

Nick Stone:

PAN KLARNET:

Przełożył Piotr Kuś

ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO

Copyright © Nick Stone 2006 All rights reserved

Copyright © for Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2009 All rights reserved

Projekt okładki Anna M. Damasiewicz

Redaktor

Piotr Rumatowski

Redaktor techniczny Teodor Jeske-Choiński

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-275-5

Zysk i S-ka Wydawnictwo

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. (061) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26

Dział handlowy, tel./fax (061) 855 06 90

sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

Dla Hiacynty i Seba

Ku wiecznej pamięci Philomeny Paul (Fofa), Bena Cawdry'ego, Adriana „Skipa” Skipseya oraz mojej babci, Mary Stone

Yo loyen konté, Yo mal kalküé. Porzekadło haitańskie

Prolog

Nowy Jork, 6 listopada 1996

Dziesięć milionów dolarów za dokonanie cudu i przywiezienie dziecka żywego, pięć milionów za jego zwłoki i jeszcze dodatkowe pięć milionów za wykrycie zabójców — nieważne, czy w wypadku tego wykrycia, jeśli mają na rękach krew dziecka, pozostaną martwi czy zginą.

Takie były warunki. Gdyby je zechciał przyjąć, porozumienie zostałoby zawarte natychmiast.

*

Max Mingus był policjantem, zanim został prywatnym detektywem. Specjalizował się w poszukiwaniu zaginionych osób; odnajdywanie ich było jego wielkim talentem. Mnóstwo ludzi twierdziło, że jest w tym interesie najlepszy — a przynajmniej twierdzili tak do 17 kwietnia 1989 roku, to jest do dnia, w którym rozpoczął siedmioletnią odsiadkę na wyspie Rikers za morderstwo i w którym nieodwołalnie i na zawsze wygasła jego licencja detektywa.

Klient nazywał się Allain Carver. Jego syn miał na imię Charlie. Charlie zaginął i najprawdopodobniej został porwany.

Optymistycznie patrząc, gdyby sprawa zakończyła się happy endem dla wszystkich zainteresowanych, Max miałby w perspektywie nowe beztrudne życie, które mógłby rozpocząć z dziesięcioma, a może i piętnastoma milionami dolarów na koncie. O wiele rzeczy nie musiałby się już nigdy martwić, a przecież ostatnie lata były dla niego jednym wielkim zmartwieniem.

Wszystko dotąd brzmiało dobrze, ale potem już gorzej.

- 9 -

Dziecko zaginęło na Haiti.

— Haytee? — zapytał Max, jakby źle usłyszał.

— Tak — odparł Carver. Cholera jasna.

Co właściwie wiedział o Haiti? Voodoo, AIDS, Papa Doc*, Baby Doc**, ludzie uciekający z wyspy na łodziach, a ostatnio amerykańska inwazja pod hasłem „Operacja Przywrócić Demokrację”, którą oglądał w telewizji.

Znał — ale dawno temu — całkiem sporo Haitańczyków, twardzieli, z którymi miał regularnie do czynienia, kiedy był policjantem i prowadził sprawy w „Małym Haiti”, w Miami. O swojej ojczyźnie nigdy nie powiedzieli ani jednego dobrego słowa, a najczęściej padało z ich ust określenie „złe miejsce”, które było zresztą najłagodniejsze.

Wspomnienia o Haitańczykach, z którymi się w życiu spotkał, wcale nie były mu niemiłe.

Właściwie podziwiał tych ludzi. Byli uczciwi, honorowi i ciężko pracowali, zajmując przy tym najbardziej żalosną pozycję w Ameryce. Jadali najgorzej ze wszystkich, żyli poniżej progu ubóstwa, zarabiali żalosne pieniądze.

Dotyczyło to większości Haitańczyków, których spotkał. W każdej dużej grupie społecznej znajdowało się mnóstwo wyjątków i z takimi też miewał do czynienia. Ci pozostali w jego pamięci jak ledwo zaleczone rany, które otwierają się pod wpływem najłżejszego szturchnięcia, byle dotyku. Cała sprawa od któregoś momentu brzmiała już tylko bardzo źle. Właśnie wykaraskał się z jednego bagna, dlaczego więc miałby brnąć w następne?

Dla pieniędzy. Oto dlaczego.

Papa Doc — pseudonim dr. François Duvaliera, prezydenta i dyktatora Haiti w latach 1957-1971 (przyp. red.).

** Baby Doc — Jean-Claude Duvalier, syn i następca prezydenta François Duvaliera, obalony w 1986 r. (przyp. red.).

10 -

Charlie zniknął 4 września 1994 roku, w swoje trzecie urodziny. Od tego dnia nikt go nie widział i nikt o nim nie słyszał. Nikt nie zażądał za niego okupu, nie było świadków porwania. Rodzina Carverów musiała przerwać poszukiwania chłopca po dwóch tygodniach, ponieważ na Haiti najechała armia USA. Wszyscy mieszkańcy zostali zamknięci w granicach wyspy, ustanowiono godzinę policyjną i ograniczenia w przemieszczaniu się. Poszukiwania zostały wznowione dopiero pod koniec października, ale do tego czasu wszelkie ślady po zaginionym dziecku, o ile wcześniej w ogóle istniały, raz na zawsze uległy zatarciu.

— Jeszcze jedno — rzucił Carver, na zakończenie. — Jeśli podejmie się pan tego zadania, musi pan wiedzieć, że będzie ono z całą pewnością niebezpieczne. Może nawet bardzo niebezpieczne.

— Dlaczego? — zapytał Max.

— Pana poprzednicy, oni... ich losy nie ułożyły się najlepiej.

— Nie żyją?

Zapadła cisza. Twarz Carvera jakby się skrzywiła, a jego skóra straciła trochę koloru.

— Nie. Nie chodzi o to, że nie żyją — powiedział w końcu. — Ale... Gorzej. Znacznie gorzej.

Część pierwsza

Uczciwość i prostolinijność nie zawsze są najlepszym rozwiązaniem, ale Max, kiedy tylko mógł, stawiał je nad kłamstwem i kręctwem. Dzięki temu lepiej sypiał.

— Nie mogę — powiedział Carverowi.

— Nie może pan, czy nie chce?

— Nie mogę, bo nie chcę. Nie mogę przyjąć tego zlecenia. Prosi mnie pan o podjęcie poszukiwań dziecka, które zaginęło dwa lata temu, w kraju, który w ciągu tych dwóch lat powrócił do epoki kamienia łupanego.

Carver uśmiechnął się tak słabo, że uśmiech z trudem można było dostrzec na jego ustach, jednak był to uśmiech prosty i niewymuszony. Dzięki niemu Max zaczął orientować się, z jakiego typu bogaczem ma do czynienia. Z najgorszym. Z koneksjami gdzie się da, z pieniędzmi poupychanymi w skrytkach bankowych — pieprzyć giełdy i obligacje — z licznymi wysoko oprocentowanymi kontami zagranicą, będący po imieniu z każdym, z kim warto być po imieniu, mający władzę pozwalającą mu kruszyć wolę ludzi, których akurat trzeba skruszyć. Z człowiekiem, który nigdy nie przyjmuje do wiadomości żadnej odmowy.

— Dawał pan sobie radę w znacznie trudniejszych sprawach. Dokonywał pan... cudów — powiedział Carver.

— Nigdy nie wskrzeszałem umarłych, panie Carver. Co najwyżej ich odkopywałem.

— Jestem gotowy na najgorsze.

- 13 -

— Nie jest pan, skoro rozmawia pan ze mną — stwierdził Max. Zaraz pożałował swojej otwartości. Więzienie pozbawiło go dawniejszego taktu i uprzejmości. Stał się bardzo szorstki. — W pewnym sensie ma pan rację. W swoim czasie szukałem duchów w piekle, ale to było amerykańskie piekło i zawsze miało jakieś wyjście ewakuacyjne. Tymczasem pańskiego kraju w ogóle nie znam. Nigdy w nim nie byłem i, bez urazy, nigdy nie zamierzałem tam się udać. Do diabła, przecież tam nawet nie mówi się po angielsku.

Wtedy Carver wymienił kwotę honorarium.

*

Jako prywatny detektyw Max nie zbił fortuny, wiodło mu się jednak całkiem nieźle. Zarabiał wystarczająco dużo, żeby prowadzić dostatnie życie, a nawet trochę oszczędzić. Jego żona, wykwalifikowana księgowa, pilnowała, żeby interes się bilansował. Regularnie odkładała pieniądze na trzy konta oszczędnościowe, a poza tym mieli udziały w barze „L” w centrum Miami, prowadzonym przez Franka Nuneza, kumpla Maksa, emerytowanego gliniarza. Do końca spłacili dom i dwa samochody, trzy razy w roku wyjeżdżali na wakacje, raz w miesiącu jadali w drogiej restauracji.

Max nie miał wielu osobistych wydatków. Jego ubrania — garnitury do pracy i na specjalne okazje oraz spodnie khaki i T-shirty na wszelkie inne sytuacje — zawsze były w dobrym gatunku, ale rzadko drogie. Nauczył się odpowiednio ubierać już przy drugiej sprawie, kiedy krew tętnicza trysnęła mu na garnitur za pięćset dolarów i musiał go oddać technikom sądowym, którzy z kolei przekazali go prokuratorowi okręgowemu, który później zaprezentował garnitur przed sądem jako dowód „D”. Co tydzień kupował żonie kwiaty, a na urodziny, na Boże Narodzenie i na rocznicę ślubu — kosztowne prezenty. Był szczodry dla najbliższych przyjaciół i dla syna chrzestnego. Nie miał nałogów. Papierosy i skrety z marihuaną porzucił, kiedy opuścił szeregi policji. Trochę trwało, zanim przestał pić, jednak alkohol zdołał także wykreślić ze swojego życia. Jedyłą jego pasją pozostała muzyka—jazz, swing, doo-wop, rock and roll, soul, funk i disco. Miał pięć tysięcy płyt kompaktowych, albumów i singli winylowych — znał z nich każdą nutę i każdy fragment tekstu. Największą kwotą, jaką kiedykolwiek wydał w gotówce, było czterysta dolarów, które zapłacił na aukcji za podwójny dziesięcioalowy winylowy album Franka Sinatry *In The Wee Small Hours Of The Morning*. Oprawił go w ramki i powiesił na ścianie w gabinecie, naprzeciwko biurka. Kiedy zapytała o album żona, skłamał i powiedział jej, że kupił go bardzo tanio na jakimś jarmarku w Orlando.

W każdym razie jego życie było wygodne, takie, jakie sprawia, że człowiek jest szczęśliwy, coraz grubszy i z każdym dniem coraz bardziej konserwatywny.

Ale pewnego dnia zabił w Bronksie trzech ludzi i wszystko w jednej chwili wywróciło się do góry nogami.

Po wyjściu z więzienia Max wciąż miał dom i samochód w Miami oraz dziewięć tysięcy dolarów na koncie. Mógł żyć za to jeszcze najwyżej pięć miesięcy, później musiałby sprzedać dom i znaleźć pracę. A to mogłoby się okazać bardzo trudne. Bo kto by go zatrudnił? Byłego policjanta, byłego prywatnego detektywa i byłego więźnia? Trzy wielkie minusy. Miał czterdzieści sześć lat i był zbyt stary, żeby uczyć się czegoś nowego, a jednocześnie zbyt młody, by całkowicie się poddać. Do cholery, co mogłoby robić? Stać za barem? Zmywać naczynia w jakiejś kuchni? Może pakować ludziom zakupy? Albo zapier-niczać na budowie czy pracować jako ochroniarz na poczcie?

Prawda, miał kilku przyjaciół i znał ludzi, którzy byli mu coś winni za wcześniejsze przysługi, a więc nie musiałby o nic prosić na kolanach. Takie błagania oznaczałyby, że zrywa z wszelkimi swoimi zasadami. Pomagał kiedyś ludziom, bo mógł, a nie dlatego, że spodziewał się później jakiegokolwiek rewanzu. Żona nazywała go naiwniakiem, miękka galareta

- 14 -

- 15 -

pod betonowym wizerunkiem i okazywaną na prawo i lewo stanowczością. Pewnie miała rację. Pewnie powinien był zawsze stawiać własny interes ponad interes innych ludzi. Czy teraz jego

życie będzie inne? Prawdopodobnie tak.

Jasno i wyraźnie widział oczyma wyobraźni, jak będzie wyglądała jego przyszłość za rok albo dwa. Zamieszka w jednopokojowym wynajętym mieszkaniu o ścianach wyklejonych poplamioną tapetą, nękaną przez zgraje karaluchów i ręcznie wypisaną w kiepskim hiszpańskim litanię zakazów, powywieszanych na wszystkich drzwiach. Będzie słyszał, jak kłóca się, pieprzą, rozmawiają i biją sąsiedzi — na górze, na dole, po lewej i prawej stronie. Będzie dysponował jednym talerzem, jednym nożem, widelcem i łyżką. Będzie grał w totolotka i w napięciu obserwował losowania na telewizorze z wiecznie trzęsącym się obrazem. Po prostu będzie powoli umierał, powoli gasł, komórka po komórce.

Mógł przyjąć robotę od Carvera albo pogрузić się po szyję w ponurym świecie byłego skazańca. Innego wyboru nie miał.

Po raz pierwszy Max rozmawiał z Allainem Carverem, kiedy był jeszcze w więzieniu, przez telefon. Początek nie był udany. Max kazał mu się odpiardolić natychmiast, kiedy rozmówca się przedstawił.

Carver jednak nagabywał go praktycznie codziennie przez ostatnie osiem miesięcy jego pobytu w więzieniu.

Najpierw przyszedł list z Miami.

Drogi panie Mingus!

Nazywam się Attain Carver. Szczerze podziwiam Pana i wartości, których Pan broni. Uważnie prześledziwszy Pańską sprawę...

- 16 -

W tym momencie Max zakończył czytanie. Dał list Velas-quezowi, kumplowi z celi, który wykorzystał go na skręta. Velasquez palił w ten sposób wszystkie listy Maksa, z wyjątkiem osobistych. Max nadał mu ksywę „Palacz”.

Max był sławnym więźniem. Jego sprawę roztrząsała telewizja i wszystkie gazety. Niemal połowa kraju miała wyrobioną opinię o nim i o tym, co zrobił. Głosy ludzi rozkładały się na sześćdziesiąt do czterdziestu procent, sześćdziesiąt za nim, a czterdzieści przeciwko niemu.

W czasie pierwszych sześciu miesięcy za kratkami otrzymywał listy całymi workami. Nigdy na żaden z nich nie odpowiedział. Nie wzruszały go nawet te najbardziej szczerze. Zawsze gardził obcymi, którzy korespondowali ze skazańcami znanymi z telewizji albo z gazet, lub też poznanymi poprzez cholerne organizacje więzienne, wynajdujące skazańcom kumpli, z którymi mogliby wymieniać się listami. Tacy zawsze byli pierwszymi, którzy żądali kary śmierci, jeśli taka wchodziła w grę. Max przez jedenaście lat był policjantem i nadal miał w sobie coś z policjanta. Wielu spośród jego najbliższych przyjaciół wciąż służyło w policji i chroniło tych samych ludzi przez zagrożeniem ze strony bestii, z którymi korespondowali.

Kiedy przyszedł pierwszy list od Carvera, korespondencja Maksa ograniczała się do listów od żony, szwagrów i kilkorga przyjaciół. Jego fani przerzucili się na sławniejsze typy, jak chociażby OJ Simpson czy bracia Menendez.

Brak odpowiedzi na pierwszy list nie zniechęcił Carvera, który po raz kolejny napisał już po dwóch tygodniach. Gdy i tym razem odpowiedzi nie było, Carver napisał do Maksa w kolejnym tygodniu; następne dwa listy nadeszły tydzień później, a po siedmiu dniach jeszcze dwa. Velasquez był niemal szczęśliwy. Lubił listy Carvera, ponieważ papier — kremowa papeteria ze znakiem wodnym, z nazwiskiem Carvera, jego adresem i numerami telefonów wytłoczonymi w prawym

17

rogu pięknymi szmaragdowymi literami — miał w sobie coś, co fantastycznie reagowało na zielsko, które palił, i otumaniało go bardziej niż zazwyczaj.

Aby przyciągnąć uwagę Maksa, Carver próbował różnych taktyk. Zmieniał papier, pisywał odręcznie, a nawet kazał pisywać innym ludziom. Jakkolwiek by jednak się starał, wszystkie listy kończyły w płucach „Palacza”.

Wreszcie korespondencja urwała się, ale zaczęły telefony. Max przypuszczał, że Carver przekupił kogoś na wysokim szczeblu, ponieważ rozmowy telefoniczne mogli prowadzić tylko więźniowie o rzeczywiście poważnych wpływach i ci, którzy wkrótce mieli stawać przed sądami apelacyjnymi.

Strażnik zawsze odbierał Maksa z kuchni i prowadził go do jednej z sal konferencyjnych, w której podłączano telefon — specjalnie dla niego. Max rozmawiał z Carverem na tyle długo, aby usłyszeć jego nazwisko, rozpoznać po akcencie, że jest on Anglikiem, i wyjaśnić mu, że nie powinien dzwonić już nigdy więcej.

Carver jednak się nie poddawał. Przeszkadzał Maksowi w pracy, na boisku sportowym, przy posiłkach, pod prysznicem, w czasie przeznaczonym na wypoczynek i nawet po zgaszeniu światel na noc. Max postępował z nim zawsze tak samo. Słuchał jego „dzień dobry”, wypowiadał swoją kwestię i odkładał słuchawkę.

W końcu złożył skargę u naczelnika więzienia, który uznał, że w całym życiu zawodowym nie słyszał niczego bardziej zabawnego. Większość więźniów skarżyła się bowiem z powodu nękania ich wewnątrz, a nie spoza murów więzienia. Powiedział Maksowi, żeby się nie zachowywał jak pizda, i zagroził, że jeśli jeszcze raz przyjdzie do niego z takim gównem, każe mu wstawić telefon prosto do celi.

O telefonach Carvera Max wspomniał także Dave'owi Torresowi, swojemu prawnikowi. Torres sprawił, że telefony się skończyły. Zaproponował też, że zdobędzie trochę dodatko-

18
wych informacji o Carverze, lecz Max z tego zrezygnował. W wolnym świecie z pewnością byłby bardzo ciekaw, co to za jeden. Jednak za murami więzienia, kiedy człowiek nie może nosić własnego ubrania, ani nawet własnego zegarka, ciekawość jest czymś, co właściwie nie istnieje. Carver odwiedził Maksa dzień przed jego zwolnieniem. Max odmówił spotkania, w związku z czym Carver zostawił mu ostatni list, znów na oryginalnej papeterii.

Max dał ten list Velasquezowi jako pożegnalny prezent.

Po wyjściu z więzienia Max gotów był polecieć do Londynu.

Podróż dookoła świata była pomysłem jego żony. Marzyła o takiej podróży bezustannie. Od dawna fascynowały ją inne kraje i ich kultury, historie, pomniki oraz ludzie. Często bywała w muzeach, stała w kolejkach przed wejściami na najnowsze wystawy, uczestniczyła w wykładach i seminariach i bezustannie coś czytała — kolorowe magazyny, artykuły w gazetach oraz niezliczone książki. Robiła, co mogła, by swoimi zainteresowaniami zarazić Maksa, ale ten tylko ją zbywał. Pokazała mu fotografie Indian z Ameryki Południowej, którzy nosili placki do pizzy przymocowane do dolnych warg, czy afrykańskich kobiet, o szyjach jak żyrafy otoczonych sprężynami przemysłowymi, jednak nie potrafił dostrzec w nich nic nadzwyczajnego. Max był w życiu w Meksyku, na Bahamach, na Hawajach i w Kanadzie, lecz jego prawdziwym światem były Stany Zjednoczone i nie był to dla niego bynajmniej świat za mały. Miał w ojczyźnie pustynie i arktyczne bezkresy, a pomiędzy nimi wszystko, co tylko można było sobie wyobrazić. Dlaczego więc miałby jeździć zagranicę, żeby oglądać to samo?

Jego żona miała na imię Sandra. Poznał ją, kiedy jeszcze był policjantem. Była w połowie Kubanką i w połowie Afro-

- 19 -

amerykanką. Była piękna, bystra, zgrabna i pełna poczucia humoru. Nigdy nie powiedział do niej „Sandy”.

Zaplanowała, że swoją dziesiątą rocznicę ślubu uczcą w wielkim stylu, podróżując dookoła świata i oglądając te wszystkie rzeczy, o których dotąd Sandra jedynie czytała. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, Max prawdopodobnie namówiłby ją na tydzień w Key West, dodając obietnicę, że trochę później udadzą się na skromniejszą wyprawę zagraniczną (do Europy albo do Australii), ale ponieważ w chwili, kiedy ujawniła mu swoje plany, przebywał akurat w więzieniu, raczej trudno mu było zaprotestować. Poza tym, biorąc pod uwagę miejsce, w którym wbrew własnej woli się wówczas znajdował, szybki wyjazd z Ameryki tak daleko, jak to tylko możliwe, przynajmniej na jakiś czas, wydawał się całkiem dobrym pomysłem. Rok zagranicą pozwoliłby mu przemyśleć własne perspektywy i projekty na resztę życia.

Sandra organizowała wyprawę przez cztery miesiące. Zgodnie z jej planem mieli wrócić do domu w Miami dokładnie w rok po wyjeździe, na kolejną rocznicę ślubu. W ciągu tego roku zamierzali zwiedzić całą Europę, rozpoczynając od Anglii, potem Rosję i Chiny, następnie Japonię i Daleki

Wschód, później Australię i Nową Zelandię, skąd poleciliby do Afryki i na Bliski Wschód, kończąc zwiedzanie świata na Turcji.

Im więcej podczas cotygodniowych wizyt opowiadała o tej podróży Maksowi, tym bardziej nęciła go perspektywa rocznej wyprawy. W więziennej bibliotece zaczął czytać materiały o miejscach, które mieli odwiedzić. Początkowo robił to jedynie po to, żeby szybciej mijały kolejne dni za kratami, jednak im mocniej wciągał się w wizje i marzenia swej żony, tym mocniej czuł, jak bardzo jest mu bliska, bliższa niż kiedykolwiek.

Końcowe opłaty za wyprawę uregulowała w dniu, w którym zginęła w wypadku samochodowym na stanowej jedynce; wszystko wskazywało na to, że sama go spowodowała, nagle zmieniając pas i wjeżdżając pod zbliżającą się z naprzeciwka ciężarówkę. W czasie sekcji zwłok okazało się, że tuż przed momentem zderzenia zabił ją za kierownicą tętniak mózgu.

Smutną wiadomość przekazał mu naczelnik więzienia. Max nie był w stanie w żaden sposób zareagować. Skinął tylko w milczeniu głową i wyszedł z jego gabinetu, po czym resztę dnia spędził jak zwykle, zmywając kuchenne stoły, wydając posiłki, myjąc tace w ciepłej wodzie i czyszcząc posadzki. Ani słowa nie powiedział Velasquezowi, bo nie należało tego robić. W więzieniu okazywanie żalu lub smutku, albo jakiegokolwiek emocji innej niż gniew i wściekłość, było oznaką słabości. Takie uczucia należało skrywać głęboko w sobie, jak zakorkowane w butelce, starannie ukryte przed każdym współwięźniem.

Śmierć Sandry dotknęła go boleśnie dopiero następnego dnia, w czwartek. Czwartek był dniem jej odwiedzin. Nigdy ani jednego nie opuściła. Przylatywała zawsze poprzedniego wieczoru, spędzała noc u ciotki, która mieszkała w Queens, i następnego dnia dojeżdżała na spotkanie z Makssem.

Okolo drugiej po południu, kiedy zwykle kończył pracę w kuchni i gawędził o byle czym z kucharzem Henrym, wywoływany był przez system nagłaśniający do pokoju widzeń. Sandra czekała już na niego po drugiej stronie przeszklonej budki. Zawsze była starannie ubrana i umalowana, no i miała roześmiane usta i skrzące się oczy, tak jak na ich pierwszej randce. Rozmawiali o tym i o owym, jak Max się czuje, jak wygląda, po czym Sandra opowiadała mu, co się dzieje w domu, opowiadała o sobie i swojej pracy.

Henry i Max mieli pewien układ. Henry dawał Maksowi w czwartki lekką i szybką robotę, żeby mógł wyjść z kuchni, kiedy tylko jego nazwisko zostanie wyczytane przez megafon, za to Max odwdzięczał się Henry'emu w taki sam sposób we wszystkie niedziele, kiedy w odwiedziny przyjeżdżała jego rodzina — żona i czwórka dzieciaków. Zachowywali się, jakby

- 20 -

- 21 -

nie miało znaczenia, że Henry odsiaduje wyrok od piętnastu lat do dożywocia za napad z bronią w rękę, w czasie którego zginęła ciężarna kobieta. Dodatkowo obciążało go to, że napadu dokonał z kilkoma ludźmi, będącymi, tak jak on, członkami Organizacji Aryjskiej.

Na zewnątrz wszystko wyglądało w ten czwartek tak jak w każdy inny. Tyle że Max obudził się z olbrzymim, przygniatającym bólem w piersiach i poczuciem pustki, które zwiększało się w miarę, jak mijały kolejne godziny poranka. Słyszał w uszach jakiś dziwny świst powietrza, jakby przez cały czas stał w potężnym przeciągu w wąskim tunelu, a żyły na jego skroniach bezustannie boleśnie pulsowały. Chciał powiedzieć Henry'emu, że w tym tygodniu Sandra nie przyjedzie w odwiedziny i nie przyjedzie także w tygodniu następnym, ale nie potrafił się zebrać w sobie, aby powiedzieć cokolwiek. Zresztą wiedział, że w chwili, w której zacznie mówić, i tak straci kontrolę nad swoimi słowami i najprawdopodobniej się rozklei.

W kuchni nie miał dość zajęcia, żeby nie rozmyślać o Sandrze. Pozostała mu do wyczyszczenia nieskazitelnie czysta kuchenka gazowa. Nieustannie kierował wzrok na tarczę zegara, choć próbował tego nie robić, i obserwował, jak czarne wskazówki nieuchronnie zbliżają się do godziny drugiej.

Odtworzył w myślach zeszlotygodniową wizytę Sandry, przypomniał sobie każdą sekundę ich ostatniego spotkania. Przypomniał sobie każde słowo, które do niego wypowiedziała — o niespodziewanej zniżce, którą uzyskała od jednej z linii lotniczych, o bezpłatnych noclegach w luksusowym hotelu, które wygrała w konkursie, i o tym, jakie wrażenie wywarł na niej swoją

wiedzą o historii Australii. Czy kiedykolwiek powiedziała mu cokolwiek o migrenach, bólach i zawrotach głowy, trudnych okresach albo o krwawieniu z nosa? Znów widział jej twarz przez szybę ze szkła kuloodpornego; szkło upačkane było setkami odcisków palców i mazgnięć szminki od pocałunków, jakimi obdarzali się przez grubą szybę skazańcy ze swoimi ukochanymi kobietami. Max i Sandra nigdy tego nie robili. Wspólnie uznali, że byłoby to tylko bezsensowną oznaką desperacji. W końcu nic nie wskazywało na to, że nie będą się jeszcze kochać naprawdę. Teraz Max żałował tej decyzji. Dotyk przez szkło byłby lepszy od absolutnej pustki, z którą pozostał.

— Max! — zawołał Henry znad zlewozmywaka. — Czas odegrać rolę męża.

Brakowało dosłownie kilku sekund do drugiej. Max, jakby na sygnał, zaczął zdejmować fartuch, po czym nagle zastygł w bezruchu.

— Ona dzisiaj nie przyjedzie — powiedział, pozwalając, żeby sznurki fartucha zawisły wzdłuż jego nóg. Poczul, jak w oczach zbiera mu się gejzer łez.

— A to dlaczego?

Max nie odpowiedział. Henry podszedł do niego, wycierając dłonie w ręcznik do naczyń. Zobaczył, że Max jest bliski płaczu, i zdziwił się. Zrobił nawet krok do tyłu. Jak wszyscy współwięźniowie, uważał dotąd, że Max jest twardym skurwysynem — miał w końcu do czynienia z byłym gliniarzem, który chodził w więzieniu z wysoko uniesioną głową, a na przemoc zawsze odpowiadał przemocą.

Henry uśmiechnął się.

Mógł to być uśmiech drwiny albo sadystycznego zadowolenia z nieszczęścia współwięźnia, albo po prostu niepewny uśmiech zmieszanego, zaskoczonego człowieka. Przecież jako twardziel Max nie powinien płakać, chyba że nagle przeistoczył się w ostatnią pizdę.

Max, pogrążony w przeogromnym bólu, wyczytał w uśmiechu Henry'ego drwinę.

Szum w jego uszach nagle ustał.

Walnął Henry'ego pięścią w gardło, krótkim prostym ciosem, w który włożył całą siłę, jaką posiadał. Usta Henry'ego

-22 -

- 23 -

otworzyły się szeroko. Charcząc, z trudem łapał oddech. Tymczasem Max poprawił mu prawym sierpowym w szczękę i lewym prostym w żołądek. Henry był potężnie zbudowanym, wysokim facetem, który potrafił wycisnąć 150 kilogramów bez mrugnięcia okiem, a jednak padł na podłogę jak kłoda. Max wybiegł z kuchni.

Nie mógł zrobić nic gorszego. Henry był wysoko postawioną osobistością w Organizacji Aryjskiej i dla ludzi z Organizacji był niezwykle cenny. To dzięki niemu zarabiali pieniądze nawet w więzieniu, handlując najlepszymi prochami, ponieważ to dzieci Henry'ego wносиły je tutaj pomiędzy pośladkami. Nie było wątpliwości, że za tę zniewagę Organizacja zażąda krwi, przykładowej zemsty, która pozwoli zachować jej twarz.

Przez trzy dni Henry przebywał w izbie chorych. W tym czasie Max zastępował go w kuchni, czekając na akt zemsty. Organizacja nie biła i mordowała w takich sytuacjach natychmiast i w pośpiechu. Jej ludzie lubili osaczyć ofiarę czwórką lub piątką. Strażnicy zawsze byli wówczas uprzedzeni — uprzedzeni i opłaceni, co oznaczało, że tak jak wszyscy, będą patrzeć w przeciwnym kierunku. Max miał nadzieję, że zginie szybko i bez nadmiernego bólu. Perspektywa opuszczenia więzienia na wózku inwalidzkim była gorsza.

Nic się jednak nie zdarzyło.

Henry zeznał, że poślizgnął się na kuchennej podłodze na rozlanym tłuszczu. Wrócił do kuchni już w niedzielę, ze starannie zadrutowaną szczęką. Dowiedział się o stracie Maksa i kiedy go zobaczył, natychmiast podał mu rękę i poklepał po ramieniu. A Maksowi zrobiło się strasznie głupio.

Pogrzeb Sandry odbył się w Miami, tydzień po jej śmierci. Maksowi pozwolono wziąć w nim udział.

Jej zwłoki wystawiono w otwartej trumnie. Przedsiębiorca pogrzebowy założył jej na głowę czarną perukę, zupełnie do niej niepasującą. Nigdy nie miała włosów ani tak prostych, ani tak czarnych. Makijaż także był zupełnie bez sensu. Za ży-

cia Sandra nigdy tak grubo się nie malowała. Max pocałował jej zimne zaciśnięte usta i wsunął palce pomiędzy jej złożone ręce. Potem stał nad nią, chcąc, żeby ta chwila nie miała końca, czuł się jednak w taki sposób, jakby Sandra znajdowała się o milion mil od niego. Ludzkie zwłoki nie były dla niego niczym nowym, lecz fakt, że są to zwłoki najważniejszej osoby w jego życiu, robił wielką różnicę.

Jeszcze raz ją pocałował. Desperacko pragnął, aby jej oczy chociaż na chwilę się otworzyły, aby mógł w nie popatrzeć jeszcze jeden, ostatni raz. Kiedy się całowali, Sandra nigdy, przenigdy ich nie zamykała. Wyciągnął ku nim rękę i wtedy spostrzegł, że pyłki z białych lilii upstrzyły kołnierzyk granatowego biznesowego kostiumu, w jaki Sandra została ubrana do trumny. Strząsnął pyłki z kołnierzyka i na tym poprzestał.

W czasie pogrzebu najmłodszy brat Sandry, Calvin, zaśpiewał Let's Stay Together, jej ulubioną piosenkę. Poprzednim razem zaśpiewał ją dla niej na weselu. Calvin miał wspaniały głos, jednocześnie ponury i żalobny i zarazem przenikający prosto do mózgu, jak głos Roya Orbisona. Tego już Max nie wytrzymał. Rozpląkał się jak bóbr. Nie płakał tak od dzieciństwa. Płakał tak mocno, że zmoczył cały kołnierz koszuli, a powieki straszliwie mu napuchły.

Wracając do Rikers, postanowił, że sam odbędzie podróż, na której organizację Sandra poświęciła ostatnią część swojego życia. Częściowo chciał w ten sposób zadośćuczynić jej pragnieniom, a częściowo zobaczyć to wszystko, czego ona już nigdy nie zobaczy — po prostu za nią spełnić jej marzenie. Ale przede wszystkim chciał wyjechać dlatego, że właściwie nie wiedział, co dalej ze sobą zrobić.

Jego prawnik, Dave Torres, odebrał go spod bramy więzienia i zawiózł do Avalon Rex, małego, taniego hoteliku na Broo-

- 24

- 25 -

klynie, położonego w odległości zaledwie kilku przecznic od Prospect Park. Pokój hotelowy był funkcjonalny. Stało tu łóżko, biurko, krzesło, szafa, nocny stolik, lampa podłogowa, radio z budzikiem i telefon. Łazienka była jedna na całe piętro. Miał tutaj mieszkać przez dwa dni i dwie noce, a następnie wylecieć z lotniska JFK do Anglii. Torres wręczył mu bilety, paszport, trzy tysiące dolarów w gotówce i dwie karty kredytowe. Max podziękował mu za wszystko, po czym uściśnieli sobie dłonie i się rozstali.

Kiedy został sam, przede wszystkim otworzył drzwi, wyszedł na korytarz, po czym wrócił i zamknął drzwi. Spodobało mu się to tak bardzo, że powtórzył te czynności kilkakrotnie, aż uznał, że wreszcie spowszedniała mu możliwość wchodzenia do pokoju i wychodzenia z niego, kiedy tylko ma na to ochotę. Z kolei rozebrał się i popatrzył na swoje odbicie w lustrze w garderobie. Od czasu, kiedy przestał być wolnym człowiekiem, nie widział swojej nagiej sylwetki w lustrze. Po ośmiu latach, ubrany jedynie w dwa tatuaże, od szyi w dół wyglądał zupełnie dobrze. Wciąż miał szerokie ramiona, wypukłe bicepsy, mięsiste przedramiona, krótką i szeroką szyję, twarde mięśnie brzucha i grube uda. Gdyby trochę się postarał, dobrze natarł olejkami, w swoim czasie mógłby nawet zdobyć tytuł najlepiej umięśnionego więźnia. W więzieniu nie dbało się jednak o sylwetkę dla samej sztuki, lecz dla przetrwania. Dobrze zbudowani więźniowie mieli za kratami łatwiejsze życie; przeważnie schodzono im z drogi. Max utrzymywał się w znakomitej kondycji jeszcze jako wolny człowiek. Jako nastolatek uprawiał boks i trzykrotnie wygrywał Złote Rękawice w wadze średniej, a później zachował sylwetkę i sprawność, biegając, pływając i walcząc od czasu do czasu w sali bokserskiej niedaleko Coral Gables. Ćwiczenia fizyczne nie stanowiły dla niego uciążliwego obowiązku dzięki samodyscyplinie, którą potrafił sobie narzucić. W Rikers pozwalano mu ćwiczyć przez pół godziny dziennie. Sześć razy w tygodniu ćwiczył z ciężarami, na zmianę kształtując górną i dolną część ciała. Co rano wykonywał w celi trzy tysiące pompek i przysiadów, po pięćset w serii. Mimo że wciąż był przystojny w oszukańczy sposób, który przyciągał kobiety i gejów, szukających ostrego seksu i awanturnicznych związków, jego twarz nie sprawiała najlepszego wrażenia. Skórę na niej miał napiętą, poprzecinaną jednak wąskimi zmarszczkami i bladą jak wosk; z powodu wieloletniego braku światła słonecznego była to niemal twarz ducha. Niebieskie oczy spoglądały przed siebie ze złością, a kąciki ust opadały ostro w dół, jak u jego matki, która — podobnie jak on

teraz — w jesieni życia pozostała zupełnie sama. Matka w jego wieku była już zupełnie siwa, całkiem jak on. Tej przemiany w sobie nie mógł zauważyć w więzieniu, ponieważ chcąc wyglądać groźniej w oczach współwięźniów, już pierwszego dnia po wyroku kazał fryzjerowi, żeby go obciął na zero. Pozwolił włosom odrastać dopiero w ciągu ostatnich kilku tygodni przed końcem odsiadki. Błąd ten zamierzał jednak naprawić jeszcze przed wylotem do Anglii.

Następnego ranka wyszedł z hotelu. Musiał sobie kupić ciepły płaszcz na zimę, marynarkę, no i kapelusz, skoro chciał pozbyć się siwych włosów, które teraz sprawiały, że wyglądał jak stary człowiek. Był jasny, mroźny dzień. Świeże powietrze aż paliło mu płuca. Na ulicach przewalały się tłumy ludzi. Nagle dostał jakby zawrotu głowy i stracił orientację, gdzie się znajduje, co robi i dokąd zmierza. Chodził po zatłoczonych chodnikach w godzinach szczytu, mijając ludzi, którzy się śpieszyli, żeby zarabiać pieniądze, i którzy uśmiechem i słowami podziękowania reagowali na każdą obelgę ze strony tych, co im płacili. Powinien był się na to przygotować, tymczasem odnosił wrażenie, że wbrew własnej woli znalazł

- 26 -

- 27 -

się na innej, obcej mu planecie. Siedem lat zrobiło swoje. Wszystko, co widział, było zupełnie inne niż wtedy, kiedy go zamykano. Zmieniły się ubrania, fryzury, sposób poruszania się ludzi, ich twarze, ceny w sklepach, zmieniły się nawet języki. Było tego zbyt wiele, by w ciągu kilku krótkich godzin mógł wszystko przyswoić, przeanalizować i porównać. Zbyt nagle musiał ogarnąć rzeczywistość po siedmiu latach w więzieniu, gdzie wszystko było raz na zawsze ustalone i gdzie znało się przynajmniej z widzenia ludzi, z którymi miało się na co dzień do czynienia. Teraz, będąc wolnym człowiekiem, Max czuł się jak pływak, który stoi nad wodą, ale który zapomniał, co robić, żeby w niej nie utonąć. Stwierdził ponuro, że niezależnie od tego, ile człowiek ma wolności, i tak każdy jest na swój sposób więźniem. Miał jedynie słabą nadzieję, że jego własne przystosowanie się do nowego społeczeństwa to tylko kwestia czasu.

Wysunął się z tłumu i wszedł do małej kawiarni. Była pełna ludzi, którzy przed powrotem do biur raczyli się porcjami kofeiny. Zamówił espresso. Otrzymał je w tekturowym kubku z tekturowym uchwytem i wydrukowanym napisem, który informował, że napój w kubku jest **BARDZO GORĄCY**. Kiedy posmakował, kawa była ledwie ciepła.

Co właściwie robił w Nowym Jorku? Przecież to nie było jego miasto. Dlaczego rozmyślał o podróży dookoła świata, skoro po wyjściu z więzienia nie pojechał nawet do własnego domu, w swoje rodzinne strony, i nie wykonał żadnych ruchów, żeby przyzwycząić się do ponownego życia na wolności?

Ale Sandra by tego nie chciała. Powiedziałaaby, że to bezcelowe, że przecież i tak w końcu by tam trafił. Prawda. Więc czego właściwie się bał? Tego, że nie ma jej przy nim? Nie ma i nigdy już nie będzie. Odeszła, i to na zawsze. Jego przystosowanie się do nowego życia musiało więc przede wszystkim polegać na przyzwyczajeniu się do jej nieobecności, pogodzeniu się ze stratą i spojrzeniu w przyszłość.

28

Pieprzyć to wszystko. Postanowił polecieć pierwszym samolotem do Miami.

Z hotelu zatelefonował do linii lotniczej. Wszystkie loty do Miami w ciągu najbliższych dwóch dni były zarezerwowane do ostatniego miejsca. Zdołał zarezerwować dla siebie lot dopiero na piątek po południu.

Chociaż nie miał zielonego pojęcia, co robi, kiedy znajdzie się w Miami, perspektywa odwiedzenia znajomych miejsc sprawiła, że od razu poczuł się lepiej.

Pomyślał, że teraz weźmie prysznic, coś zje i może odwiedzi fryzjera, jeśli znajdzie jakiś salon fryzjerski w okolicy.

Zadzwoił telefon.

— Pan Mingus?

— Tak.

— Allain Carver.

Max zaniemówił. Jak on go tutaj znalazł?

Dave Torres. Prawnik był jedynym człowiekiem, który wiedział, gdzie Max przebywa. Od jak dawna pracował dla Carvera? Prawdopodobnie od czasu, kiedy Max go poprosił o przerwanie telefonów, jakimi był nękanym w więzieniu. Zamiast rozmawiać z władzami, Torres poszedł pewnie prosto do Carvera. Cholerny śmieć, grał na dwie strony. Torres nigdy nie przepuścił okazji, żeby zarobić kilka dodatkowych dolców.

— Halo? Jest pan tam jeszcze?

— O co chodzi? — zapytał Max.

— Miałbym dla pana pracę. Sądzę, że mogłaby pana zainteresować.

Max zgodził się na spotkanie następnego dnia. Znow był normalnym ciekawskim człowiekiem.

Carver podał mu adres na Manhattanie.

29

— Pan Mingus? Nazywam się Allain Carver. Pierwsze wrażenie: kutas, napawający się władzą.

Kiedy Max wszedł do klubu, Carver wstał z fotela. Zamiast

podejść do gościa, zrobił jedynie kilka kroków do przodu. Przedstawił się i pozostał w miejscu, z rękami złożonymi za plecami, tak jak król witający ambasadora z byłej kolonii, obecnie beznadziejnie biednej i na gwałt potrzebującej jakiejś jałmużny.

Wysoki i szczupły, ubrany w dobrze skrojoną granatową marynarkę, jasnoniebieską koszulę i doskonale dopasowany jedwabny krawat, Carver przypominał postać z musicalu z lat dwudziestych. Mógłby w nim zagrać biznesmena z Wall Street. Jego krótkie jasne włosy były zaczesane do tyłu, z przedziałkiem dokładnie na środku głowy. Miał mocno zarysowane szczęki, podłużną twarz i był ładnie opalony.

Max zbliżył się do niego i podali sobie ręce. Carver miał mocny uścisk i delikatną skórę; jego ręce z pewnością nigdy nie skalały się pracą fizyczną.

Wskazał Maksowi czarne mahoniowe krzesła, obite czarną skórą, ustawione dookoła okrągłego stołu. Począł, aż Max usiadzie, po czym zajął miejsce dokładnie naprzeciwko niego. Krzesła miały szerokie i wysokie oparcia, kończące się mniej więcej dwie stopy powyżej głowy Maksa. Nie mógł popatrzeć do tyłu ani w lewo czy w prawo, nie wychylając się daleko w bok.

Za nim znajdował się bar z kontuarem na całą szerokość pomieszczenia. Na półkach za kontuarem stały wszelkie alkohole, jakie tylko można było sobie wyobrazić: zielone, niebieskie, żółte, różowe, białe, brązowe, w przejrzystych i pół-przejrzystych butelkach, lśniących równie wesoło jak zasłonki z plastikowych paciorków w luksusowym burdelu.

— Czego pan się napije?

— Poproszę o kawę. Ze śmietanką, bez cukru.

Carver popatrzył w róg sali i uniosł rękę. Natychmiast podeszła do niego kelnerka. Była nieprawdopodobnie chuda, miała wysokie kości policzkowe, wydęte wargi i dostojny chód modelki. Wszystkie kobiety z personelu Carvera, jakie dotąd zobaczył Max, wyglądały jak modelki. Były to dwie barmanki o uwodzicielskich spojrzeniach, które były tak ładne, że mogłyby z powodzeniem sprzedawać mężczyznom białe koszule i wodę po goleniu, oraz recepcjonistka jak z katalogu z luksusowymi ubraniami dla kobiet. Widział też faceta z ochrony, który gapił się w monitory telewizji przemysłowej, a przecież był tak elegancki, że jako przedstawiciel firmy mógłby roznosić gratis dietetyczną colę robotnikom na budowie.

Max niemal przeoczył klub. Mieścił się w zupełnie anonimowej pięciopiętrowej rezydencji w ślepej uliczce niedaleko Park Row, tak anonimowej, że dwukrotnie ją minął, zanim zauważył numer 34 na niewielkiej tabliczce, przymocowanej do muru obok drzwi. Klub znajdował się na trzecim piętrze, na które wjeżdżało się windą o ścianach z luster i ze lśniącymi mosiężnymi uchwytami dla podróżujących. Lustra ustawione były tak, że mnożyły odbicia w nieskończoność. Kiedy drzwi windy otworzyły się i Max wysiadł, odniósł wrażenie, że znalazł się w holu nadzwyczaj luksusowego hotelu.

Pomieszczenie, w którym stanął, było obszerne i bardzo ciche; przypominało pod tym względem bibliotekę albo mauzoleum. Cały gruby dywan ozdobiony był wzorami o kształcie dębowych pniaków, sterczących jak ponure kikuty w spalonym lesie. Max myślał, że jest tutaj sam, dopóki nie zobaczył dymu z cygara, unoszącego się nad jednym z krzeseł. Kiedy popatrzył uważniej, dostrzegł

także za tym krzesłem męską stopę w beżowym bucie. Na ścianie wisiał jeden jedyny obraz, oprawiony w ramy. Przedstawiał młodego chłopca, grającego na flecie. Chłopiec ubrany był w zniszczony mundur z czasów wojny secesyjnej, o wiele na niego za duży.

- 30 -

- 31 -

— Jest pan członkiem klubu? — zapytał Max, żeby przełamać pierwsze lody.

— Jesteśmy jego właścicielami. Tego i kilkunastu innych podobnych obiektów na całym świecie — odparł Carver.

— Zatem prowadzi pan kluby.

— Niekoniecznie — odparł Carver i zrobił zdziwioną minę. — Mój ojciec, Gustav, założył te kluby pod koniec lat pięćdziesiątych, żeby umilać życie swoim najlepszym klientom. Ten był pierwszy. Mamy poza tym podobne kluby w Londynie, Paryżu, Sztokholmie, Tokio, Berlinie i wielu innych miejscach. Ożywiają interesy. Kiedy jakaś osoba fizyczna albo firma robi z nami interesy, przekraczające pewną wysoką kwotę netto, oferujemy za to dożywotnie członkostwo. Zachęcamy do wprowadzania do klubów przyjaciół i znajomych, którzy, oczywiście, za siebie płacą. Pozyskujemy mnóstwo takich płacących członków i dobrze na tym wychodzimy.

— Nie wystarczy więc po prostu wypełnić formularz?

— Nie. — Carver zachichotał.

— Hołota nie ma tu wstępu?

— W ten sposób prowadzimy interesy — odrzekł Carver kwaśnym tonem. — Może mi pan wierzyć, to działa.

Ponad skrzypiący angielski akcent Carvera przebijały się ślady mowy charakterystycznej dla elity ze Wschodniego Wybrzeża — nienaturalne zjadanie pewnych spółgłosek i przesadne akcentowanie innych. Cóż, może facet skończył jakąś uczelnię w Anglii, a może w Ameryce uczęszczał do któregoś z uniwersytetów Ivy League*?

* Ivy League — Liga Bluszczowa. Stowarzyszenie ośmiu elitarnych uniwersytetów amerykańskich znajdujących się w północno--wschodniej części USA. Używa się też angielskiego określenia „The Ancient Eight” (Starożytna Ósemka). Nazwa pochodzi od bluszczu typowego dla starych budynków (przyp. red.).

32 -

Carver ubrany był odpowiednio do pory dnia. Max ocenił, że jest mniej więcej w jego wieku, może rok lub dwa lata młodszy, odżywia się zdrowo i racjonalnie. Na szyi miał jednak głębokie zmarszczki, a w kącikach małych, niebieskich oczu kurze łapki. Dzięki opaleniznie mógł od biedy uchodzić za białego człowieka z Ameryki Południowej — Argentyńczyka albo Brazylijczyka — o niemieckich korzeniach. Gdyby nie jego nieładne usta, można by go uznać za uderzająco przystojnego. Usta jednak czyniły go brzydszym. Wyglądały jak krzywe nacięcie wykonane brzytwą, z którego zaraz poleje się krew.

Kawę podano im w porcelanowym dzbanku. Max nalał sobie filiżankę i dołał porcję śmietanki. Kawa była aromatyczna i mocna, a śmietanka nie zostawiła na jej powierzchni tłustego kożucha. Taką pijali jedynie koneserzy, którzy kupowali kawę w ziarnach i sami ją mielili. Nie miała nic wspólnego z wstrętną miksturą, jaką się kupowało w supermarketach.

— Słyszałem o pana żonie — odezwał się Carver. — Bardzo mi przykro.

— Mnie również — odparł Max uprzejmie. Pozwolił, żeby temat rozplynął się w powietrzu, i po kilkunastu sekundach przeszedł do interesów. — Wspomniał pan, że ma pracę akurat dla mnie i że mam się nad tym zastanowić.

Carver powiedział mu o Charliem. Usłyszawszy całą historię, Max oświadczył, że nie przyjmie zlecenia. Wtedy Carver wymienił kwotę honorarium i Max umilkł, raczej zszokowany niż zachęcony wizją wielkiego zarobku. W gruncie rzeczy taka wizja czy chciwość nie miały do niego dostępu. Wymieniając kwotę, Carver podał Maksowi kopertę w formacie A4. W środku znajdowały się dwie błyszczące czarno-białe fotografie małej dziewczynki — zdjęcie jak do legitymacji i cała sylwetka.

— Chyba mówił pan, że zaginał panu syn, panie Carver? — spytał Max, wpatrując się w fotografię.

— Charlie miał obsesję na punkcie swoich włosów. Przeżywalimy go Samson, ponieważ nie pozwolił nikomu się do nich zbliżyć. Urodził się już, rzecz cokolwiek niezwykła, z mnóstwem włosów na głowie. Pamiętam, kiedy mu je usuwano w szpitalu, drapał, gryzł i po prostu wył, jakby z bólu. To było przerażające. Podobnie działo się później, kiedy tylko ktoś chciał podejść do niego z nożyczkami. W końcu postanowiliśmy nie wpływać na bieg spraw, wychodząc z założenia, że wyrośnie z tej fobii.

— Albo i nie — powiedział Max specjalnie złośliwym tonem.

Odniosł wrażenie, że wyraz twarzy Carvera na ułamek sekundy się zmienił, jakby fragment jego nieskazitelnie biznesowej postawy niespodziewanie skradziony został przez cień człowieczeństwa. Nie wystarczyło to Maksowi, aby polubić potencjalnego klienta, jednak stanowiło dobry początek. Max uważnie obejrzał fotografię legitymacyjną. Charlie w niczym nie przypominał ojca. Jego oczy i włosy były bardzo ciemne, usta duże z pełnymi wargami. Nie uśmiechał się. Sprawiał wrażenie znudzonego. Tak mógłby wyglądać geniusz, któremu niespodziewanie przerwano jakąś ważną pracę. Chłopak miał bardzo dorosłe oczy. Jego spojrzenie było mocne i poważne.

Druga fotografia przedstawiała Charliego stojącego przed krzakami bugenwilli z niemal identycznym wyrazem twarzy. Jego włosy były bardzo długie i związane w dwa pęki, opadające na ramiona. Ubrany był w kwiecistą sukienkę z falbankami na rękawach, kołnierzyku i wszystkich brzegach.

To sprawiło, że Maksowi zrobiło się niedobrze.

— To nie mój interes i nie jestem psychologiem, ale takie coś może cholernie namieszać dziecku w głowie — powiedział do Carvera prawie z nienawiścią.

— To był pomysł mojej żony.

— Nie sprawia pan wrażenia pantoflarza.

Carver zaśmiał się krótko. Zabrzmiało to tak, jakby od-chrząkiwał.

— Ludzie na Haiti są bardzo zacofani. Nawet ci najinteligentniejsi i najlepiej wykształceni wierzą w różne brednie, przesady...

— Voodoo?

— My mówimy vodou. Haitańczycy to w dziewięćdziesięciu procentach katolicy, ale w stu procentach wyznawcy vodou, panie Mingus. Nie ma w tym nic złego, a przynajmniej nic gorszego niż czczenie półnagiego mężczyzny, przybitego do krzyża, pijącego własną krew i jedzącego własne ciało.

Carver uważnie popatrzył na twarz Maksa w oczekiwaniu na reakcję. Max jednak wytrzymał jego spojrzenie, nie ujawniając żadnych uczuć. Jeśli o niego chodziło, Carver mógł sobie czcić, kogo chciał, i wyznawać dowolną wiarę. Bóg jednego człowieka bywał przecież obiektem żartów innego — tak urządzony był świat i Max nie miał nic przeciwko temu.

Znow zerknął na fotografię Charliego w sukience. „Biedne dziecko”, pomyślał.

— Szukaliśmy go dosłownie wszędzie — odezwał się Carver. — Na początku 1995 roku przeprowadziliśmy wielką kampanię. Zamieszczaliśmy ogłoszenia w gazetach i w telewizji, umieszczaliśmy fotografię chłopca na billboardach, dawaliśmy ogłoszenia do radia, robiliśmy naprawdę wszystko. Ustanowiliśmy dużą nagrodę za informacje i jeszcze większą za oddanie nam Charliego. Oczywiście, konsekwencje łatwo było przewidzieć. Z kryjówek wypełzał dosłownie każdy żul i opowiadał, że wie, gdzie „ona” jest. Niektórzy nawet twierdzili, że Ją” porwali, i żądali okupów, ale kwoty, jakie wymieniali, były po prostu trywialne, o wiele za małe. Oczywiście, nie miałem wątpliwości, że kłamią. Wieśniacy na Haiti nigdy nie widzą dalej niż czubki ich nosów. A ich nosy są bardzo płaskie.

— Podążał pan jednak jakimiś tropami?

— Tylko najbardziej obiecującymi.

- 34 -

- 35 -

— To pierwszy błąd. Należy sprawdzać wszystko. Podążać każdym tropem.

— Tak twierdzili pana poprzednicy.

„Przynęta i haczyk”, pomyślał Max. „Nie ładuj się w to. Zostaniesz użyty w jakiejś bezsensownej rywalizacji”.

Ale i tak był ostrożny. Ilu ludzi pracowało już nad tą sprawą? Dlaczego nic nie osiągnęli? I ilu wciąż się zajmuje zaginionym chłopcem?

Postanowił udawać obojętność.

— Na razie niech mi pan za dużo nie opowiada. Prowadzimy jedynie niezobowiązującą rozmowę — powiedział do Carvera.

Carvera jakby ktoś uderzył, zniżył do poziomu, na którym nikt nigdy go nie widywał. Zapewne zawsze otaczali go jedynie ludzie, którzy bez wahania i umiaru śmiali się ze wszystkich jego dowcipów. Tak to bywało z bardzo bogatymi ludźmi, bogatymi już od samego urodzenia: pływali we własnych oceanach i bynajmniej nie oddychali tym samym powietrzem, co wszyscy inni. Prowadzili równoległe, odizolowane życie, nieświadomi problemów, wzlotów i klęsk ludzi żyjących w normalnym świecie. Czy Carver kiedykolwiek musiał czekać przez miesiąc na kolejny czek z wypłatą, żeby sobie kupić nową parę butów? Czy kiedykolwiek rzuciła go kobieta? Czy zapukał do jego drzwi windykator? Wątpliwe.

Carver opowiedział mu o zagrożeniu, przypomniał, że jego poprzednikom przytrafiły się nieszczęścia. Max wciąż nie chciał rozwijać tego tematu. Przyszedł na spotkanie w trzydziestu procentach przekonany, że nie podejmie się zadania, jakie chciał mu zlecić Carver. Teraz był o tym przekonany już w pięćdziesięciu procentach.

Carver przełknął obojętność Maksa i zaczął mówić o Char-liem — o tym jak zaczynał chodzić, jaki był muzykalny — a potem opowiedział mu trochę szczegółów o Haiti.

Max słuchał, udając zainteresowanie, ale w gruncie rzeczy

coraz bardziej zamykał się w sobie, pragnąc, aby spotkanie z Carverem jak najszybciej się zakończyło.

Czuł w sobie dziwną pustkę. Cała sprawa miała dwa oczywiste aspekty: motyw finansowy oraz jakieś brednie, zahaczające o voodoo. Nikt nie żądał okupu, a więc znaczenia nabierał aspekt voodoo, Max wiedział zaś na ten temat więcej, niż na razie chciał ujawnić Carverowi. A może Carver wiedział już wszystko o nim i o Solomonie Boukmanie? Tak, w gruncie rzeczy był pewien, że Carver o tym wiedział. Oczywiście. Jak mógł nie wiedzieć, skoro na swojej liście płac miał Torresę? Co jeszcze mógł o nim wiedzieć Carver? Jak głęboko sięgnął wstecz w jego życie? Czy ukrywał w zanadrzu coś, czym mógł go zaskoczyć?

Zły początek, jeśli sprawa miałaby toczyć się dalej. Max nie ufał swojemu przyszłemu klientowi.

*

Max zakończył spotkanie, zapewniając Carvera, że sprawę przemyśli. Carver dał mu wizytówkę i dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji.

*

Wziął taksówkę z powrotem do hotelu. Na kolanach położył sobie fotografie Charliego Carvera. Zaczął myśleć o dziesięciu milionach dolarów i o tym, co mógłby z nimi zrobić. Sprzedałby dom i kupiłby jakiś skromny apartament w spokojnej okolicy, pewnie w Kendall. A może przeniósłby się do Key West albo w ogóle pożegnałby się z Miami?

A potem zaczął myśleć o wyjeździe na Haiti. Mógłby wziąć tę sprawę? Tak, bez wątpienia. Sama zagadka go fascynowała. Chodziło przecież jedynie o rozgryzienie problemu, pracę umysłu, a nie o badanie szczątków, grzebanie w śmieciach, współpracę z technikami sądowymi i tym podobne bzdety.

- 36 -

- 37 -

W czasie pobytu w więzieniu pewnie wiele stracił ze swoich najlepszych umiejętności. Poszukując Charliego Carvera, mógłby je w dużym stopniu odzyskać.

Wróciwszy do pokoju hotelowego, ustawił dwie fotografie na biurku i zaczął się w nie wpatrywać. Nie miał własnych dzieci. I właściwie nigdy nie chciał ich mieć. Generalnie nie miał do dzieciaków cierpliwości i zwykle działały mu na nerwy. Za najgorszą rzecz uważał przebywanie w jakimś pokoju sam na sam z wrzeszczącym dzieckiem, którego nie sposób uciszyć. Chociaż, o ironio,

wiele spraw, które mu zlecano, kiedy był prywatnym detektywem, polegało na odszukaniu zaginionych dzieci, czasami nawet niemowlaków. W tej dziedzinie miał stuprocentową wykrywalność. Żywe lub martwe, zawsze zwracał je rodzicom. Chciał, żeby tak samo było z Charliem. Bał się, że nie da rady, że zawiedzie chłopaka, lecz przecież te jego oczy, lśniące dziecięcym gniewem, jakby go poszukiwały, śledziły go z fotografii, gdy przemierzał pokój. Było to głupie uczucie, jednak odnosił wrażenie, że wołają go, wzywają, aby pośpieszył z pomocą. Magiczne oczy.

Max wyszedł z hotelu w poszukiwaniu spokojnego baru, w którym mógłby coś wypić, ale w każdym było pełno ludzi, w większości o pokolenie młodszych od niego, szczęśliwych i hałaśliwych. Clintona po raz drugi wybrano na prezydenta. Wszędzie świętowano ten wybór. Cóż, to wszystko nie było dla niego. Postanowił po prostu kupić w sklepie butelkę Jacka Danielsa. Szukając sklepu, wpadł na faceta w białej puchowej kurtce i czapce narciarskiej, zsuniętej niemal na oczy. Max przeprosił go. Coś jednak wypadło z kieszeni puchowej kurtki i wylądowało na bucie mężczyzny. Była to plastikowa, her-

38 -

metycznie zamykana torebka foliowa, z pięcioma płaskimi jointami w środku, zwiniętymi jak tampon. Max podniósł torebkę, chcąc zwrócić ją mężczyźnie, ale ten zdążył już uciec.

Max wsunął torebkę do kieszeni marynarki i kontynuował marsz, aż wreszcie znalazł sklep z alkoholem. Jacka Danielsa nie było. Mieli inne bourbony, ale nic, co jakością i mocą byłoby chociaż zbliżone do Jacka.

No i, oczywiście, miał jeszcze skręty.

Kupił tanią plastikową zapalniczkę.

Dawno temu Max Mingus i jego partner, Joe Liston, bardzo lubili popalać drobnutkie skręty, które dostarczał im pewien dealer o ksywie Five Fingers. Five dawał im najlepszy towar i zawsze dorzucał kilka uncji Karaibskiej Królowej — bardzo mocnej trawki z Jamajki, którą popalał zresztą również sam.

Nic lepszego Max nigdy nie palił. W każdym razie Karaibska Królowa była sto razy lepsza od śmiecia, który będzie musiał mu wystarczyć teraz.

Godzinę później siedział na łóżku, wpatrując się w ścianę, niemal nieświadomy gwałtownego szarpania żołądka.

Położył się na plecach i zamknął oczy.

Zaczął rozmyślać o Miami.

O wspaniałym, słodkim, ukochanym domu.

Mieszkał niedaleko Hobie Beach, na Key Biscayne, tuż przy Rickenbacker Causeway. W ładne wieczory razem z Sandrą siadali na ławce na werandzie i patrzyli w kierunku centrum Miami, na hipnotyzujące neony, wdychając zapachy Biscayne Bay, unoszone przez chłodną bryzę, zawierające w sobie odór świeżych ryb morskich i ropy z silników łodzi rybackich. Chociażby spędzili w ten sposób nie wiadomo ile

- 39

wieczorów, widok za każdym razem był inny. I Miami zawsze sprawiało ciekawsze wrażenie niż Manhattan. Lubili w takie wieczory rozmawiać o przyszłości i o tym, że ich dobre i wygodne wspólne życie kiedyś będzie jeszcze lepsze. Przyszłość dla Sandry oznaczała pełną rodzinę, z dziećmi.

Max powinien był jej powiedzieć o wasektomii, wycięciu nasieniowodu, któremu został poddany kilka miesięcy przed ich pierwszym spotkaniem, ale nigdy nie mógł się na to zdobyć. Cóż, po prostu zabrakło mu jaj.

Czy mógł wprowadzić dzieci do własnego świata po tym wszystkim, co każdego dnia widział w pracy — na przykład dziecięce zwłoki, a czasami nawet drobne szczątki zwłok, składane kawałek po kawałek? Nie, nie mógł. Nigdy nie byłby w stanie spuścić swoich dzieci z oczu nawet na chwilę. Zamknąłby je w domu i jak najdalej wyrzuciłby klucz. Nie pozwalałby im chodzić do szkoły, bawić się przed domem ani chodzić do koleżanek i kolegów w obawie, że ktoś mógłby je po drodze porwać lub skrzywdzić. Sprawdzałby wszystkich swoich krewnych i znajomych, poszukując wśród

nich pedofilów. Jakie więc byłoby to życie — dla dzieci, dla jego żony, dla niego samego? Żadne. Lepiej więc było zapomnieć o takiej rodzinie, zapomnieć o tym, że można mieć potomstwo, w ogóle wymazać z umysłu taką możliwość.

Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy: to był dla niego zły czas, gówniany okres.

Osiemdziesiąty pierwszy: rok Solomona Boukmana, przywódcy gangu z Małego Haiti.

Osiemdziesiąty pierwszy: rok Króla Mieczy.

*

Sandra by go zrozumiała, gdyby był z nią uczciwy od samego początku, jednak kiedy zaczęli się spotykać, wciąż był zatwardziałym kawalerem, okłamującym każdą kobietę, udającym, że chce się wiązać na całe życie, opowiadającym każdej wszystko, co chciała usłyszeć, byleby tylko się z nią

- 40 -
przespać, a potem ją zostawić. Zanim ożenił się z Sandrą, miał wiele okazji, żeby jej wszystko wyjaśnić, o wszystkim opowiedzieć, ale kiedy na dobre się zakochał, po prostu się bał, że ją straci. Sandra pochodziła z dużej rodziny i bardzo kochała dzieci.

Teraz żałował, że nie zrezygnował z poddania się wasektomii, kiedy jeszcze mógł. Po raz pierwszy pomyślał w ten sposób rok po ślubie, gdy wspólne życie z Sandrą zdążyło już zmienić go na lepsze i — krok po kroku — zaczynał zmieniać swoją postawę wobec rodziny. Teraz bardzo pragnął kogoś po sobie zostawić, nawet mały drobiazg, który mógłby pielęgnować i kochać, tak jak uwielbiał i kochał Sandrę. Znowu pomyślał o ich wspólnym domu. Mieli w nim dużą kuchnię z kontuarem kuchennym na środku. Siadał na nim czasami w nocy, rozmyślając o sprawie, nad którą aktualnie pracował i która zwykle go budziła.

Czasami dołączała do niego Sandra.

Wyobraził ją sobie wtej kuchni, w obszernej koszulce i w kłapkach, ze zmierzwioną fryzurą i szklanką wody w dłoni.

— Powinieneś wziąć tę sprawę, Max—powiedziała, patrząc na niego z ukosa. Niespodziewanie obudzona, oczy miała na-puchnięte od snu.

— Dlaczego? — usłyszał własny głos.

— Ponieważ nie masz wyboru, najdroższy. Przecież doskonale o tym wiesz.

W jednej chwili się obudził. Kompletnie ubrany, leżał na łóżku, z oczyma utkwionymi w białym suficie. Miał sucho w ustach i czuł w nich odór resztek hamburgera.

Pokój śmierdział starym skretem, co sprawiło, że natychmiast powrócił myślami do celi, którą dzielił z Velasquezem. Ten zawsze przed snem dawał sobie w płuco, dopiero wtedy modlił się po łacinie i wreszcie szedł spać.

Max wstał i chwiejnym krokiem podszedł do łóżka. Odnosił wrażenie, że w jego głowie szaleje przynajmniej dwadzieścia

młotów parowych. Wciąż był mocno oszołomiony po wypaleniu marihuany. Otworzył okno i do pokoju wdarło się mroźne powietrze. Wziął kilka głębokich oddechów. Mgła w jego głowie powoli zaczęła ustępować.

Postanowił wziąć prysznic i się przebrać.

— Pan Carver? Tu Max Mingus.

Była godzina dziewiąta rano. Max był już w pobliskim barze i zjadł obfite śniadanie — omlet z czterech jaj, cztery tosty, wypił sok pomarańczowy i dwie filiżanki kawy. Jeszcze raz wszystko przemyślał, wszystkie za i przeciw, ocenił ryzyko, no i nie zapomniał o pieniądzach. Następnie poszukał budki telefonicznej.

Głos Carvera brzmiał tak, jakby mężczyźnie brakowało oddechu, jakby uspokajał się po porannym joggingu.

— Znajdę pańskiego syna — powiedział Max.

— Wspaniała wiadomość! — Carver niemal krzyknął.

— Jednak wszystkie warunki i zasady naszej współpracy będę chciał mieć na piśmie.

— Oczywiście. Proszę przyjść do klubu za... Za jakieś dwie godziny. Kontrakt będzie gotowy.

— Jasne.

— Kiedy zamierza pan zacząć pracę?

— Zakładając, że zdołam zarezerwować miejsce w samolocie, powinienem przylecieć na Haiti we wtorek.

Wylądowawszy w Miami, Max wziął taksówkę z lotniska i pojechał do domu. Poprosił kierowcę, żeby wybrał okrężną trasę, Le Jeune Road, aby mógł sobie popatrzeć na Małą Hawanę i Coral Gables. Chciał na własne oczy zobaczyć, jak jego rodzinne miasto zmieniło się w ciągu siedmiu lat, poczuć jego puls, bijący w poszczególnych dzielnicach, od barrio po dystrykt miliarderów.

Domem opiekował się jego teść. To on odbierał rachunki. Max był mu winien trzy tysiące dolarów, jednak to nie stanowiło problemu, bo jeszcze w Nowym Jorku Carver dał mu dwadzieścia pięć tysięcy zaliczki, gotówką, natychmiast po podpisaniu kontraktu. Max udał głupka i zabrał ze sobą na spotkanie Dave'a Torresa, aby jako jego prawnik przeczytał umowę i był świadkiem jej podpisania. Dobrze się bawił, obserwując, jak Torres i Carver udają, że nigdy dotąd się nie spotkali. Prawnicy to wspaniali aktorzy, ustępujący talentem jedynie swoim klientom, którzy przed sądem udają niewiniątka.

Max patrzył przez szybę, jednak niewiele do niego docierało. Miami: osiem lat później... Miasto witało go sznurami lśniących samochodów, rzędami palm, niespokojne pod bezchmurnym, bezgranicznie błękitnym niebem. Kiedy samolot lądował, akurat padał deszcz, jeden z tych potężnych deszczy w Słonecznym Stanie, tak intensywnych, że krople uderzające w ziemię aż się od niej odbijały. Przestało padać kilka minut przed wyjściem Maksa z lotniska. Wokół tyle się działo, że na niczym nie mógł skupić wzroku. Zaczął myśleć o powrocie do starego domu. Miał nadzieję, że teściowie nie wymyślili żadnej niespodzianki, żadnego przyjęcia na jego powitanie. Byli dobrymi ludźmi, kierowały nimi zawsze najlepsze intencje, czasami jednak w swej dobroci przesadzali i osiągalni efekty przeciwne do zamierzonych.

Taksówka minęła Małą Hawanę i Coral Gables, a Max nawet tego nie zauważył. Obecnie jechała główną autostradą Vizcaya i zbliżała się do zjazdu na Rickenbacker.

Kiedy wracał do domu po dłuższej nieobecności w związku z jakąś sprawą poza Miami albo po zamiejscowym spotkaniu z potencjalnym klientem, Sandra zawsze czekała na

- 42 -

- 43 -

niego na lotnisku. Pytała, jak mu poszło, chociaż wystarczało jej jedno spojrzenie, by wszystkiego się domyślić. Wychodzili z hali przylotów, po czym zostawiała go przed terminalem i szła po samochód. Jeśli Max wracał w dobrym nastroju, on sam prowadził. Po drodze do domu wszystko jej opowiadał: co się wydarzyło i na czym polegała jego rola. Kiedy dojeżdżali do domu, Sandra знаła już sprawę, temat był zamknięty i nigdy więcej go nie poruszali. Czasami wychodził do niej rozpromieniony, triumfujący, zadowolony — to wtedy, gdy rozwiązał sprawę szybko i dobrze. Zdarzało się to rzadko, ale takie dni były dla nich szczególnie okazjami. Jechali wówczas razem na tańce albo na kolację, albo po prostu do jakiegoś baru. Jednak na trzy przyloty Maksa, Sandra prowadziła samochód przynajmniej dwa razy, ponieważ on całą sylwetką zdradzał, że poszło mu źle, a twarz emanowała rezygnacją. Wtedy ona podtrzymywała rozmowę, starając się poruszać jedynie jakieś błahy tematy i patrząc przed siebie. Do jego ponurych myśli przenikały rozważania o zasłonach, które trzeba wyprać, o czyszczeniu dywanów, o tym, że należałoby kupić nowy sprzęt do kuchni. Te słowa miały uzmysławiać Maksowi, że życie toczy się dalej mimo śmierci, z którą się zetknął, i ponurych wieści, jakie musiał przekazać rozpaczającej małżonce, krewnemu albo przyjacielowi ofiary.

Najważniejsze, że Sandra zawsze czekała za barierką, zwrócona twarzą w kierunku drzwi hali przylotów.

Oczywiście, odebrawszy bagaż, także teraz odruchowo spojrzął w miejsce, gdzie zwykle stała. Popatrzył po twarzach kobiet, które czekały na swoich mężczyzn, jednak żadna z nich nawet nie przypominała Sandry.

Nie mógł wrócić do domu. Nie teraz. Nie był jeszcze gotów na wizytę w muzeum szczęśliwych wspomnień.

— Panie kierowco! Proszę jechać prosto, niech pan nie skręca — powiedział, kiedy zobaczył, że

taksówkarz włączył kierunkowskaz.

— To dokąd?

— Do hotelu Radisson. North Kendall Drive.

— Hej, Max Mingus! Co się z tobą działo? — Głos Joe'ego Listona potężnie zadudnił w słuchawce. Max zadzwonił do niego z pokoju hotelowego.

— Dobrze cię słyszeć, Joe. Jak się masz?

— Dobrze, Max, dobrze. Jesteś w domu?

— Nie. Zameldowałem się w Radissonie, w Kendall, na kilka dni.

— A co, coś nie tak z twoim domem, stary?

— Zamieszkały tam kuzynki Sandry — skłamał Max. — Pomyślałem, że dam im jeszcze trochę czasu.

— Naprawdę? — zapytał Joe, chichocząc. — A mają jakieś dokumenty?

— Dokumenty?

— Mingus, jesteś teraz wielkim, cholernym bohaterem na całą okolicę. Nie spieprz tego — powiedział Joe i spowaźniał. — Człowieku, w twoim domu absolutnie nikogo nie ma. Od dnia śmierci Sandry wóz patrolowy sprawdza go co godzinę.

Max powinien był to przewidzieć. Poczł zakłopotanie.

— Przecież nie opuszczę cię w nieszczęściu. Ale wkurzę się, jeśli będziesz mnie traktował jak przybłądę, który właśnie wysiadł z autobusu z Retard City w Ohio — stwierdził Joe. Miał rację. Max milczał i zamilkł również Joe. Max usłyszał w słuchawce odgłosy biura — rozmowy, dzwonenie telefonów, otwieranie i zamykanie drzwi, sygnały pagerów.

— Przepraszam, Joe — odezwał się w końcu. — Jest mi ciężko.

— No es nada, mi amigo — powiedział Joe po przerwie, w czasie której Max miał pomyśleć, że rozważa, czy uznać jego słowa za szczere. — Będzie ci bardzo ciężko tak długo,

- 44 -

- 45 -

jak długo będziesz uciekał przed wspomnieniami. Musisz wspiąć się na górę, bo inaczej góra sama przyjdzie do ciebie. — Zapewne w taki sposób Joe strofował swoje dzieci, kiedy narzekały, że zadanie domowe jest zbyt trudne.

— Wiem — odparł Max. — Możesz mi wierzyć, pracuję nad tym. W gruncie rzeczy między innymi dlatego zadzwoniłem. Chciałbym cię poprosić o kilka przysług. Chodzi mi o jakieś akta, informacje, wszystko, co masz na temat Allaina Carve-ra. Jest Haitańczykiem i...

— Znam go — przerwał mu Joe. — Chodzi o jego zaginionego syna, tak?

— Tak.

— W swoim czasie był tutaj i zgłosił mi zaginięcie.

— Myślałem, że chłopak zaginał na Haiti?

— Ktoś przekazał policji informację, że widział go tutaj, w Hileah.

— No i?

— To była jakaś zwariowana stara baba, która twierdziła, że ma wizje.

— Sprawdziłeś to?

Joe roześmiał się — serdecznym, rubasznym śmiechem, ale zarazem suchym i cynicznym; typowym śmiechem gliniarza, jakiego się nabywa po dobrych dwóch dekadach w służbie.

— Max! Gdybyśmy wzięli ją na poważnie, z równym powodzeniem moglibyśmy szukać na plaży w Miami zielonych ludzików. Ta baba mieszka w Małym Haiti. A twarz dzieciaka można tam zobaczyć dosłownie wszędzie, przylepioną do ścian, murów, drzwi i wystaw sklepowych, ludzie pewnie widzą ją nawet w wodzie, którą piją. A towarzyszy jej informacja o tysiąc dolarowej nagrodzie dla każdego, kto przekaze o nim jakąś wartościową informację.

Max pomyślał o poszukiwaniach prowadzonych przez Car-vera na Haiti. W Miami zapewne osiągnął identyczny rezultat, czyli nic.

— Masz adres tej kobiety?

— Czyżbyś chciał wziąć tę sprawę? — zapytał Joe. Był szczerze zmartwiony.

— Tak.

— Wiesz co? Carver przyszedł wtedy do mnie głównie dlatego, że szukał kontaktu z tobą. Słyszałem, że opędzałeś się od niego jak od natrętnej muchy. Co spowodowało, że zmieniłeś zdanie?

— Potrzebuję pieniędzy.

Joe zamilkł. Max usłyszał w słuchawce, jak coś zapisuje, skrzypiąc długopisem po papierze.

— Będiesz potrzebował gnata — odezwał się Joe po chwili.

— To by było moje drugie życzenie.

Maksowi odebrano prawo do posiadania broni do końca życia. Spodziewał się, że Joe nie będzie chciał spełnić tej prośby

— A pierwsze?

— Potrzebuję kopii wszystkich papierów, jakie masz na temat tego chłopca i całej jego rodziny.

Joe znowu coś zapisał.

— Nie ma problemu — odrzekł po chwili. — Spotkajmy się wieczorem w naszym starym barze, w „L”, powiedzmy około ósmej.

— W piątek?! Może jednak umówimy się w jakimś spokojniejszym miejscu?

— Tam od niedawna jest nowe pomieszczenie, droższe i tak spokojne, że można usłyszeć, jak pierdzą pchły.

— W porządku. — Max roześmiał się.

— Cieszę się, że znowu cię zobaczę, Max. Naprawdę się cieszę.

— Ja też się cieszę, grubasie.

Joe chciał powiedzieć coś jeszcze, ale powstrzymał się. Spróbował ponownie i nie powiedział ani słowa. Max po

- 46

- 47 -

mlaskaniu zorientował się, że Joe otwiera i zamyka usta, ale jednak nie wypowiada słów, które zgromadziły się w jego gardle.

Wciąż byli w stanie porozumiewać się telepatycznie, jak starzy partnerzy.

Joe czymś się martwił.

— Co cię gryzie, Joe?

— Na pewno chcesz jechać na Haiti? — zapytał Joe. — Uważam, że jeszcze możesz się z tej sprawy wycofać, jeszcze nie jest zbyt późno.

— Po co mi to mówisz, Joe?

— Tam nie jest zbyt bezpiecznie.

— Wiem, jaka jest sytuacja w tym kraju.

— To nie o to chodzi. Chodzi o Boukmana.

— Boukmana? Solomona Boukmana?

— Aha.

— Co z nim?

— Wyszedł — powiedział Joe niewyraźnie.

— Co? Przecież siedział w celi śmierci! — krzyknął Max i aż wstał z łóżka.

Zdziwiła go jego własna reakcja. Przez siedem lat nauczył się w więzieniu kontrolować praktycznie wszystkie emocje, a jeśli już je w jakikolwiek sposób wyrażał, to naprawdę w bardzo ograniczonym zakresie. W więzieniu nie można pokazywać innym, co człowieka boli i co cieszy, bo natychmiast to wykorzystają przeciwko niemu. Obecna reakcja dowodziła, że ponownie przyzwyczajają się do wolnego świata i odnajduje te swoje cechy, które zostawił za sobą, kiedy znalazł się za kratami.

— Ten dupek Clinton, którego Ameryka znowu wybrała na prezydenta, dał mu bezpłatny bilet do domu — wyjaśnił Joe. — Wyobraź sobie, że teraz transportujemy obcych kryminalistów do domów. I to na zmianę, a to z polecenia władz stanowych, a to federalnych.

— Czy oni wiedzą, co on zrobił?

— Dla władz to nie ma znaczenia. Bo dlaczego niby mielibyśmy marnować pieniądze podatników na trzymanie bandyty w więzieniu, skoro można go po prostu odesłać do jego ojczyzny?

— Ale on jest na wolności!

— Tak, ale to jest teraz problem Haitińczyków. No i twój także. Jeśli go tam spotkasz...

Max znowu usiadł.

— Kiedy to się stało, Joe? Kiedy on wyszedł?

— W marcu. W tym roku.

— Jebaniec!

— Powiem ci coś więcej... — zaczął Joe, ale przerwał, ponieważ musiał porozmawiać z kimś, kto stanął obok niego. Słuchawkę telefonu odłożył na biurko. Max słyszał, że rozmowa Joe'ego staje się coraz głośniejsza. Nie rozumiał, czego dotyczyła, ale najprawdopodobniej chodziło o to, że ktoś coś spieprzył. Dialog stopniowo przerodził się w monolog, który Joe jedynie od czasu do czasu przerywał jakimiś niezrozumiałymi okrzykami. W końcu Joe chwycił słuchawkę. — Max?! Zobaczmy się wieczorem w „L”! Wtedy porozmawiamy! — krzyknął i rzucił słuchawkę na widełki.

Max roześmiał się, wyobrażając sobie podwładnego Joe'ego, który za chwilę będzie musiał wysłuchać jednej z długich i pouczających tyrad, z jakich Joe był znany. Używał wówczas wszystkich argumentów, jakich tylko mógł użyć w jednej przemowie na zadany temat, i nie kończył, dopóki ich nie wyczerpał. Ale najpierw patrzył nieszczęsnemu podwładnemu prosto w oczy, jakby miał do czynienia z psim gównem, które pojawiło się na chodniku na jego drodze do kościoła, a dopiero potem zaczynał mówić.

Przestał się śmiać, kiedy przypomniał sobie pierwsze dziecko, które stało się ofiarą rytualnego mordy, i wyobraził sobie, jak wyglądały jego zwłoki na wózku w kostnicy.

Solomon Boukman: zabójca dzieci. Na wolności.

- 48 -

49 -

Solomon Boukman: seryjny morderca. Na wolności.

Solomon Boukman: zabójca gliniarza. Na wolności.

Solomon Boukman: przywódca gangu, baron narkotykowy, alfons, organizator prania pieniędzy, porywacz, gwałcieciel. Na wolności.

Solomon Boukman: ostatnia sprawa Maksa jako policjanta, ostatni bandyta, jakiego aresztował, facet, który nieomal go zabił.

Słowa Solomona Boukmana: „Dzięki tobie mam powód, żeby jeszcze żyć”; wypowiedziane w sądzie scenicznym szeptem, zmroziły Maksa do szpiku kości i uczyniły sprawę pomiędzy nimi bardzo osobistą.

„Adios, matkojebco”, odpowiedział mu wówczas Max. Bardzo się pomylił.

Boukman stał na czele gangu o nazwie KBSN, Klub Baronów Sobotniej Nocy. Ich idolem był Baron Samedi, bóg śmierci voodoo. Członkowie klubu twierdzili, że ich przywódca posiada nadprzyrodzone moce, że umie czytać w ludzkich myślach i przepowiadać przyszłość, że potrafi przebywać w dwóch miejscach jednocześnie, materializować się w zamkniętych pomieszczeniach tak jak bohaterowie Star Trefca. Uważali, że zyskał te moce od jakiegoś demona, którego czcił, jakiegoś méchant loa. Max i Joe złapali Boukmana, a potem rozpedzili na cztery wiatry i pozamykali praktycznie wszystkich członków gangu.

Max zatrzęsł się ze złości. Zacisnął dłonie w pięści i poczuł, jak gorąco oblewa mu twarz. Żył na czole nabrzmiały i zaczęły pulsować jak dżdżownice na gorącej patelni. Solomon Boukman był osobnikiem, którego złapaniem naprawdę się szczycił. Żeby tego dokonać, przez długi czas pracował jak wół, bez chwili wytchnienia.

Ateraz Boukman był wolny. Pokonał system. Tak jakby pokonał Maksa i jeszcze nasikał mu na twarz. Tego było za wiele, za wiele, żeby przejść nad tym do porządku dziennego.

- 50 -

3

Max znał Joe'ego od dwudziestu pięciu lat. Rozpoczęli pracę w policji jako partnerzy w służbie patrolowej i szczebel po szczeblu równolegle awansowali.

Parę tę znano w policji w Miami jako grupę „Born to Run”. Ich szef, Eldon Burns, wymyślił tę ksywę, ponieważ gdy stali obok siebie, przypominali mu okładkę sławnego albumu Bruce'a

Springsteena, na której blady i wychudzony wokalista stoi obok Clarence'a Clemonsa, swojego gargantuicznego saksofonisty, ubranego w czapkę z pomponem. Nie było to złe porównanie. Joe był tak zbudowany, że każdy, kto stanął obok niego, od razu mógł się poczuć karłem albo krasnalem. Wyglądał jak obrońca futbolowy, który połknął cały zespół, miał sześć stóp i pięć cali wzrostu w samych skarpetkach i aby przejść przez większość drzwi, musiał się pochylić. Ksywa spodobała się Joe'emu. Uwielbiał Bruce'a Springsteena. Miał wszystkie jego albumy i single, a na kasetach wideo setki godzin koncertów. Zdawało się, że nie słucha żadnej innej muzyki. Gdy tylko Springsteen wyruszał w trasę koncertową, Joe wykupywał najlepsze miejsca na wszystkich koncertach na Florydzie. Max ciężko przeżywał wspólne patrole z Joe'em po koncercie Springsteena, ponieważ jego partner opisywał swoje doznania do ostatniego szczegółu, piosenka po piosence, minuta po minucie. A koncerty Springsteena trwały po jakieś trzy godziny każdy, z kolei opowieści Joe'ego — sześć. Max, który nie znosił Springsteena, nie potrafił pojąć, dlaczego Joe tak się nim zachwyca. W jego uszach głos wokalisty w najlepszym razie brzmiał jak pochrząkiwanie, ale porównywał go też czasami do zawodzenia osoby chorej na raka gardła. Kiedyś zapytał Joe'ego, co właściwie widzi w tym facecie. W odpowiedzi usłyszał długą tyradę o muzyce i wielkiej osobowości. Nic z tego nie zrozumiał, ale zrezygnował z dalszych dociekań. W końcu zły gust jeszcze nikomu nie zrobił krzywdy.

Ale ich wspólna ksywa nie stanowiła dla niego problemu. Oznaczała, że przynajmniej są zauważani. Po tym, jak obaj awansowali na detektywów, Max kazał sobie wytatuować „Born to Run” na prawym przedramieniu. Rok później dołożył do tego tatuażu tradycyjny tatuaż policyjny — tarczę z czaszką i skrzyżowanymi rewolwerami oraz napisem „Śmierć jest pewna, a życie nie”. Bar „L” zawdzięczał swoją nazwę kształtowi budynku, chociaż aby ten kształt dostrzec, trzeba było patrzeć na budynek z góry. Detektyw Frank Nunez po raz pierwszy dostrzegł ten kształt z policyjnego helikoptera, kiedy ścigał furgonetkę ze złodziejami, którzy właśnie okradli bank i uciekali przez centrum Miami. Później ułatwił Maksowi i Sandrze nabycie udziałów w barze „L”. Trzymali je długo, przynosiły bowiem spore dochody, ale w końcu musieli je sprzedać, aby zapłacić rachunki, które wystawił Maksowi adwokat. Od poniedziałku do soboty bar znajdujący się w centrum Miami pełen był ludzi, głównie biznesmenów i pracowników okolicznych banków. Od frontu „L” był zupełnie typowym barem, z przyciemnionymi szybami z rżniętego szkła i migającym jaskrawym neonem, reklamującym piwo. Miał dwa wejścia. Prawe prowadziło prosto do kontuaru w dużej i wysokiej sali z podłogą wyłożoną drewnianymi panelami i ścianami przyozdobionymi różnymi marynarskimi przedmiotami: kołami napędowymi parowców, kotwicami i harpunami służącymi do polowań na rekiny. Wejście z lewej strony wiodło ku długim schodom prowadzącym do baru koktajlowego, oddzielonego od reszty obiektu grubą przeszkloną ścianą w niebieskim kolorze. Ludzie znajdujący się w barze koktajlowym widzieli z góry, co się dzieje w zasadniczej części lokalu, sami jednak byli z tej zasadniczej części niewidoczni. Było to idealne miejsce na pierwszą randkę albo na poufne spotkania służbowe, ponieważ podzielono je na przytulne kantorki, łagodnie oświetlone czerwono-złotymi lampkami w chińskim stylu. Bar koktajlowy miał odrębną obsługę i serwował jedne z najlepszych koktajli w Miami.

Kiedy Max wszedł do środka, zobaczył Joe'ego w jednym z kantorków, tuż przy oknie. Miał na sobie niebieską marynarkę i krawat. Max od razu poczuł, że sam ubrał się na to spotkanie zupełnie niestosownie. Przyszedł ubrany w luźny sweter, spodnie khaki i sportowe buty.

— Porucznik Liston? — zapytał, kiedy podszedł do przyjaciela.

Joe uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby, które załśniły na jego ciemnej twarzy. Wstał. Max zdążył prawie zapomnieć, jak potężnie zbudowanym facetem jest Joe. A przez ostatnie lata zdołał jeszcze przytyć i jego twarz trochę bardziej się zaokrągliła. Wciąż jednak wyglądał jak najgorszy koszmar podejrzanego w pokoju przesłuchań.

Joe mocno uściśnął Maksa. Mimo że w więzieniu Max ustawicznie ćwiczył, jego tułów, razem z ramionami, ciągle był węższy od klatki piersiowej Joe'ego. Ten poklepał go teraz po ramionach i cofnął się kilka kroków, żeby ogarnąć wzrokiem całą sylwetkę przyjaciela.

— Widzę, że dobrze cię karmili — powiedział.

— Pracowałem w kuchni.

— A nie u fryzjera? — zapytał Joe i poklepał Maksa po tysej czaszce.

Usiedli. Joe zajmował większość przestrzeni po swojej stronie kantorka. Joe zamówił colę dietetyczną i kieliszek bour-bona. Max poprosił tylko o colę.

— Abstynent? — zapytał Joe.

— Kierowca. A ty?

— Piję tak mało, że można powiedzieć, że nie piję prawie wcale. Kryzys wieku średniego. Jak już dopadnie mnie kac, to nie mogę się go pozbyć przez cały dzień.

— I czujesz się lepiej, nie pijąc.

52 -

53

— Skądże.

Joe prawie wcale się nie postarzał na twarzy; w każdym razie w słabym oświetleniu baru koktajlowego nie było tego widać. Jednak znacznie powiększyło się jego czoło i włosy miał dłuższe niż dawniej, co nasunęło Maksowi podejrzenie, że jego przyjaciel łysieje na środku czaszki.

W barze przebywało ledwie kilka par, wszystkie w oficjalnych ubraniach biurowych. Z głośników ustawionych w progu dobiegały dźwięki pianina. Muzyka była tak chaotyczna, że z równym powodzeniem mogły to być odgłosy konia, sikającego na dzwoneczki wietrzne.

— Co u Leny? — zapytał Max.

— Wszystko w porządku. Przesyła ci pozdrowienia — odparł Joe. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął kilka fotografii i podał je Maksowi. — Policyjne fotki. Powiedz mi, jeśli rozpoznasz na nich kogoś znajomego.

Max zaczął oglądać zdjęcia. Pierwsze było rodzinną fotografią z Leną pośrodku. Lena była bardzo drobna, przy Joe'em wyglądała niemal jak dziecko. Joe poznał ją w miejscowym kościele baptystów. Nie był nadzwyczaj religijny, ale kościół był dla niego lepszym i tańszym sposobem spędzania czasu niż włóczenie się po barach i spotkanie z kumplami z pracy. Nazywał kościoły „najmilszymi miejscami dla samotnych ludzi, jeśli nie liczyć nieba”.

Lena nigdy nie lubiła Maksa. Nie winił jej za to. Kiedy zobaczyli się po raz pierwszy, Max miał na kołnierzu koszuli krew z własnego ucha, które mu nadgryzł ścigany przestępca. Lena w pierwszej chwili pomyślała, że to są ślady po szmince, i od tego czasu zawsze spoglądała na niego tak, jakby właśnie zrobił coś złego. Ich dwustronne relacje były poprawne, ale ograniczały się do niezbędnych kontaktów i suchych rozmów. Nie poprawiły się, kiedy wystąpił z policji. Jego ślubem z Sandrą była przerażona. Nawet Bóg nie byłby w stanie zmienić jej niepoehlebnej opinii o Maksie.

- 54 -

Kiedy Max widział Joe'ego po raz ostatni, ten miał trójkę dzieci, samych chłopców. Najstarszy miał na imię Jethro, oprócz niego byli jeszcze Dwayne i Dean, którzy rodzi się rok po roku. Na fotografii jednak Lena trzymała na kolanach dwie malutkie dziewczynki.

— Tak, ta po lewej to Ashley, a po prawej Briony — powiedział Joe z dumą.

— Bliźniaczki?

— Żebyś wiedział. Stereo. Podwójny kłopot.

— Ile mają lat?

— Po trzy. Nie planowaliśmy z Leną więcej dzieci. Ot, przypadek.

— Ludzie mówią, że te niezaplanowane są najbardziej kochane.

— „Ludzie” mówią różne rzeczy, w większości brednie. Wszystkie moje dzieci kocham po równo. Dzieci były naprawdę ładne, urodę — a zwłaszcza oczy — odziedziczyły po matce.

— Sandra mi o nich nie mówiła — stwierdził Max.

— Jestem pewien, że rozmawialiście na widzeniach o ważniejszych sprawach niż moje dzieci.

Kelner przyniósł colę i bourbona. Joe po chwili wziął do ręki kieliszek, rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje, i jednym ruchem wytrząsnął alkohol na podłogę.

— Za Sandrę — powiedział.

Była to ceremonia, którą Joe zawsze odprawiał, kiedy umierał ktoś mu bliski. Powaga ceremoniału mogła popsuć nastrój rozmowy. Maksowi nie było to wcale na rękę. Miał z Joe mnóstwo spraw do omówienia.

— Przecież Sandra nie piła — zauważył.

Joe popatrzył na niego, dostrzegł w kącikach jego ust ślady rozbawienia i sam wybuchnął głośnym śmiechem. Śmiał się długo, rubasznie, przez co wszyscy klienci baru zaczęli się w niego wpatrywać.

- 55 -

Max spojrzął na fotografię swojego syna chrzestnego. Jethro trzymał w rozczapierzonej dłoni piłkę do baseballu. Chłopak miał dwanaście lat, jednak był tak wysoki i szeroki w ramionach, że mógł uchodzić za szesnastolatka.

— Chyba po ojcu taki postawny, co? — zauważył Max.

— I kocha tę grę.

— Może to w niej właśnie jest jego przyszłość?

— Być może, ale to się jeszcze zobaczy. Poza tym na razie chcę, żeby przynosił dobre stopnie ze szkoły. I nie sprawia mi zawodu; ma chłopak łeb na karku.

— Nie chcesz, żeby poszedł twoim śladem?

— Powiedziałem, chłopak ma łeb na karku, jest bardzo inteligentny.

Stuknęli się szklankami z colą.

Max oddał fotografię i popatrzył przez szybę na główną salę barową. Była pełna ludzi. Przychodzili tu bankierzy z Brickell Avenue, biznesmeni, białe kołnierzyki z poluźnionymi krawatami, zostawiali na podłodze torby i nesesery, marynarki przerzucali beztrudnie i byle jak przez oparcia krzesel. Brzegi marynarek szorowały podłogę. Max wypatrzył dwóch facetów w identycznych jasnoszarych marynarkach. Zaciskali dłonie na butelkach budweisera i rozmawiali z dwiema kobietami. Pewnie dopiero je poznali, wymienili imiona, znaleźli jakiś temat do rozmowy i usilnie poszukiwali następnych. To wszystko można było wyczytać z mowy ich ciał. Mieli wyprostowane plecy, byli usztywnieni, w każdej chwili gotowi podjąć temat rzucony przez kobiety. Obaj tak naprawdę interesowali się tylko jedną z nich, tą samą. Była długowłosą blondynką w granatowym biznesowym kostiumie. Jej przyjaciółka już to wyczuła i rozglądała się niecierpliwie po całym barze. Jako kawaler Max nauczył się polować właśnie na takie brzydsze koleżanki, wychodząc z założenia, że te ładniejsze wymagają większej uwagi, są trudniejsze do zdobycia i czasami odchodzą w środku nocy, pozostawiając faceta z wielkim ładunkiem w sztywnym fiucie. Kobiety, która niespecjalnie spodziewały się podboju, szybciej rezygnowały z oporu. W dziewięciu przypadkach na dziesięć dzięki takiej taktyce odnosił sukces, a czasami miewał nawet bonusy, gdy niespodziewanie i z własnej inicjatywy okazywały mu zainteresowanie te ładniejsze koleżanki. Do większości kobiet, z którymi się umawiał, nie żywił żadnego uczucia. Właściwie to nawet ich nie lubił. Po prostu stanowiły wyzwania, należało zrobić swoje, posiadać je i tyle. Zmienił się całkowicie, kiedy spotkał Sandrę, teraz jej jednak nie było i powracało do niego stare myślenie z kawalerskich czasów niczym duch amputowanej kończyny przesyłający fizyczne wrażenie właściwie znikąd.

Nie kochał się z kobietą od ośmiu lat. I nie myślał o seksie od pogrzebu Sandry. Nawet się nie brandzłował. Jego libido z szacunkiem się zamknęło.

Był wierny Sandrze, był mężczyzną jednej kobiety. Nie pragnął nikogo nowego, żadnej nowej kobiety, przynajmniej nie teraz. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jak by to było znowu poderwać kobietę, prowadzić z nią rozmowy o niczym, udawać czułego, zmierzając jedynie do tego, żeby ją przelecieć. Na scenę rozgrywającą się w barze patrzył więc z niesmakiem pioniera, który obserwuje naśladowców.

Joe popchnął w jego kierunku teczkę.

— Oczywiście, dokopałem się do pewnych informacji na temat tych Carverów z Haiti — powiedział. — Są to głównie sprawy z przeszłości, nic aktualnego. Jest trochę informacji na wideo na temat inwazji na Haiti. Allain Carver czasami się na nich pojawia.

— Dzięki, Joe. — Max wziął teczkę ze stołu i położył ją na krześle obok siebie. — Coś ich łączy z Miami?

— Żadne sprawy kryminalne, ale ojciec Allaina, Gustav Carver, ma rezydencję w Coral Gables. Sześć lat temu było tam włamanie.

— Co mu skradziono?

- 56

57

— Nic. Pewnej nocy ktoś włamał się do rezydencji i nasrał na jakiś drogi porcelanowy talerz. Zostawił talerz w jadalni i zniknął bez śladu.

— Kamery?

— Niczego nie zarejestrowały. Nikt w policji specjalnie się nie przyłożył do sprawy. Raport ma tylko dwie strony. Wyglądało na to, że ktoś raczej chciał się na coś poskarżyć, niż popełnić wielkie przestępstwo. Może jakiś wyrzucony z pracy służący?

Max roześmiał się. Słyszał w życiu o jeszcze dziwniej szych przestępstwach, ale myśl o tym, co Allain Carver znalazł na stole w jadalni, kiedy rano zszedł na śniadanie, naprawdę go rozbawiła. Wciąż się uśmiechał, kiedy nagle pomyślał o Bo-ukmanie i uśmiech momentalnie zniknął mu z ust.

— Może mi powiesz, co się stało z Solomonem Boukmanem? Kiedy pojechałem do Nowego Jorku, siedział w celi śmierci i od igły z trucizną dzieliła go już tylko jedna apelacja.

— To nie Teksas — zauważył Joe. — Na Florydzie nic nie dzieje się szybko. Nawet czas biegnie tu wolniej. Dobry prawnik może rozciągnąć rozpatrywanie jednej apelacji na dwa lata. A potem jeszcze sędzia ma dodatkowe dwa lata na podjęcie decyzji. Dodaj to wszystko do siebie i masz rok 1995. Ostatnia apelacja Boukmana została odrzucona, tak jak przewidywałem, tyle że...

— Tyle że facet został, kurwa, wypuszczony na wolność — powiedział Max, podnosząc głos niemal do krzyku.

— Czy ty wiesz, ile kosztuje bilet w jedną stronę na Haiti? — zapytał Joe. — Mniej więcej sto dolców plus podatki — odpowiedział sam sobie. — A czy wiesz, ile kosztuje państwo utrzymanie człowieka w celi śmierci? Do diabła, zapomnij o tym. A wiesz, ile kosztuje państwo sama egzekucja? Tysiące! Dostrzegasz w tym logikę?

— A czy rodziny ofiar ją dostrzegają? — spytał Max gorzko.

- 58 -

Joe zamilkł. Max widział, że sam jest wściekły z powodu uwolnienia Boukmana, ale też gryzie go coś jeszcze.

— Powiedz mi resztę, Joe.

— Dzień po wyjściu Boukmana posprzątało jego celę. A tam było to — odrzekł Joe i podał Maksowi kartkę o wymiarach szkolnego zeszytu, zamkniętą w hermetycznym plastikowym woreczku.

Boukman wyciął z gazety fotografię Maksa, zrobioną w czasie procesu, i nakleił ją na środek kartki. Pod spodem, ołówkiem, niemal dziecinnymi, okrągłymi literami, bardzo starannie i równo, jakby korzystał z linijki, napisał: „DAJESZ MI POWÓD, ABY ŻYĆ”. Poniżej znajdowały się kontury Haiti.

— Co on, kurwa, przez to rozumie? — zapytał Joe.

— Powiedział to do mnie w czasie procesu, kiedy zeznawałem — odparł Max i na tym poprzestał. Nie zamierzał opowiadać Joe'emu całej prawdy. Nie teraz. I pewnie nigdy.

Przed aresztowaniem Boukmana zetknął się z nim dwa razy. Nigdy w życiu nie bał się tak drugiego człowieka, jak bał się Boukmana.

— Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale w Boukmanie jest coś autentycznie przerażającego — powiedział Joe. — Pamiętasz, jak wtedy wpadliśmy do pałacu zombie?

— On jest tylko człowiekiem, Joe. Chorym, popierdolo-nym, ale jednak człowiekiem. Z krwi i kości, tak samo jak my dwaj.

— Nie sprawiał takiego wrażenia, kiedy go aresztowaliśmy.

— No i co z tego? Odleciał nam na miotle?

— Nie wiem, ile Carver ci płaci, człowieku. Ale uważam, że nawet nie powinienes się zbliżać do Haiti. Daj sobie z tym spokój — powiedział Joe.

— Jeśli na Haiti spotkam Boukmana, przekażę mu pozdrowienia od ciebie. A potem go zabiję — odparł Max.

— Nie możesz tego traktować tak lekko.

- 59 -

— Nie zamierzam.

— Mam dla ciebie gnata. — Joe pochylił się ku przyjacielowi i zniżył głos. — Nowa Beretta i dwieście sztuk naboju. Trochę z wydrążonym czubkiem, a reszta normalna. Jak mi powiesz, którym samolotem lecisz, przekażę ją dla ciebie na stanowisko odlotów. Dostaniesz ją, wsiadając na pokład. Z jednym zastrzeżeniem: nie przywoź jej z powrotem do Stanów. Musi zostać na Haiti.

— Mógłbyś mieć przez to poważne kłopoty; uzbrajasz zbrodniarza — zażartował Max, podciągając rękawy swetra do łokci.

— Nie znam żadnych zbrodniarzy, ale znam dobrych ludzi, którzy zeszli na złą drogę. — Joe uśmiechnął się. Znowu stuknęli się szklankami.

— Dzięki, stary. I dzięki za wszystko, co robiłeś dla mnie, kiedy mnie tutaj nie było. Jestem twoim dłużnikiem.

— Przystań pieprzyć. Niczego mi nie jesteś winien. Jesteś gliniarzem. A gliniarze zawsze sobie pomagają. Doskonale wiesz, że tak jest i zawsze tak będzie.

Zależnie od tego, co zrobili, że wylądowali za kratami (w zasadzie reguła nie dotyczyła gwałtów i przestępstw na tle seksualnym, jednak wszystko inne było dozwolone), gliniarzy w więzieniu chronił cały system. W kraju funkcjonowała nieoficjalna sieć samopomocy: policjanci z jednego stanu chronili skazanych policjantów z innego, wiedząc doskonale, że taka przysługa nigdy nie zostanie zapomniana. Skazanych policjantów czasami przez tydzień lub dwa trzymano w więzieniach o zaostrzonym rygorze, a potem w tajemnicy przenoszono do więzień o minimalnym rygorze, dla „białych kołnierzyków”, przestępców, którzy nie stwarzali żadnego zagrożenia fizycznego. Tak traktowano przede wszystkim tych gliniarzy, którym zdarzyło się zabić podejrzanego w śledztwie, albo tych, którzy ukradli zarekwirowane narkotyki i zostali złapani na ponownym sprzedawaniu ich na ulicy. A jeżeli taki transfer pomiędzy więzieniami był niemożliwy, uwięziony gliniarz był oddzielany od reszty skazanych, trzymany w pojedynczej celi, strażnicy przynosili mu posiłki z własnej kantyny i nawet pozwalali mu w pojedynkę brać prysznic czy ćwiczyć w sali gimnastycznej. Gdy brakowało pojedynczych cel, co zdarzało się permanentnie, gliniarz odbywał karę z innymi, ale przez cały czas jego bezpieczeństwa strzegli dwaj strażnicy. Jeśli tylko ktoś mu zagrażał, zabierano delikwenta na rozmowy wystarczająco długie, by potem rozpuścić po więzieniu wiarygodną plotkę, że facet sypie. Mimo że Maksa aresztowano w Nowym Jorku, Joe nie miał żadnego problemu z zapewnieniem przyjacielowi pięciogwiazdkowego traktowania w Rikers.

— Zanim wyjedziesz, powinieneś się spotkać z Clyde'em Beesonem — powiedział Joe.

— Beesonem? — zdziwił się Max.

Spośród wszystkich prywatnych detektywów na Florydzie Clyde Beeson był jego największym konkurentem. Max jednak nim pogardzał, a miało to związek ze sprawą Boukmana.

— Carver zatrudnił go, zanim dotarł do ciebie. Zdaje się, że nie bardzo się spisał, sądząc po tym, co do mnie dotarło.

— Co się stało?

— Najlepiej będzie, jak usłyszysz wszystko od niego.

— Nie będzie chciał ze mną rozmawiać.

— Będzie chciał, jeżeli mu powiesz, że wyjeżdżasz na Haiti.

— Dobrze, spotkam się z nim, jeśli znajdę czas.

— Musisz — powiedział Joe z naciskiem.

Zbliżała się północ i w barze na dole panował już niemożliwy ścisk. Pełno w nim było pijaków i ludzi przegranych, którzy niepewnym krokiem chodzili do toalety i z powrotem. Toczyło się ze sto rozmów i wszyscy musieli przekrzykiwać głośną muzykę. Przez szkło Max słyszał jedynie niewyraźny szum.

- 60 -

- 61 -

Popatrzył, co robią faceci w szarych marynarkach i ich dwie kobiety. Blondynka i jeden z nich byli już razem. Zdjęli marynarki. Mężczyzna podwinął rękawy koszuli. Pozbył się krawata. Kobieta

miała na sobie trykotową bluzkę na ramionach, z odkrytymi plecami. Patrząc na jej ładnie opalone i proporcjonalne ramiona, Max odgadł, że jest pewnie trenerką jakiejś modelki z magazynu fitness. Albo ważną figurą w jakimś biurze, która dużo ćwiczy dla zdrowia. Mężczyzna już zabierał się do rzeczy: pochylał się ku niej nad stolikiem, trzymał dłoń na jej przedramieniu. Jego opowieści sprawiały, że kobieta się śmiała. Pewnie nawet nie były zabawne, ale kobieta najwyraźniej była nim zainteresowana. Jej przyjaciółki już nie było, nie było też w barze rywala mężczyzny.

Prawdopodobnie wyszli osobno; przegrani rzadko wychodzili razem.

Max i Joe jeszcze przez jakiś czas rozmawiali: kto odszedł na emeryturę, kto spośród ich wspólnych znajomych z policji zmarł — trzy osoby, na raka, od kuli i z powodu utonięcia po pijaku — kto się ożenił, kto rozwiódł, jak się teraz pracuje, jak się zmieniło po odejściu ze stanowiska Rodneya Kinga. Śmiali się, przeklinali i wspominali. Joe opowiedział o piętnastu koncertach Bruce'a Springsteena, które obejrzał, kiedy Maksa nie było. Łaskawie ograniczył detale do minimum. Wypili jeszcze kilka szklanek coli, obgadywali po cichu pary tulące się do siebie w zaciszu baru koktajlowego, rozmawiali o starzeniu się. Było im dobrze, sympatycznie, czas mijał szybko i Max zapomniał o Boukmanie.

O drugiej w barze nie było już niemal nikogo, poza kilkoma pijakami. Para, którą obserwował Max, wyszła.

Także on i Joe zaczęli się zbierać do wyjścia.

Na ulicy było zimno i wiał lekki wiatr. Max wciągnął głęboko w płuca powietrze Miami — zapach morza mieszał się w nim ze słabym odorem trzęsawisk i gryzących spalin z samochodów.

62

Być znowu na wolności

— Jak to teraz jest? — zapytał Joe. ?

— Tak, jakbym uczył się chodzić i odkrywał, że przecież potrafię biegać — odparł Max. — Powiedz mi coś. Jak to się stało, że nigdy mnie nie odwiedziłeś?

— A spodziewałeś się mnie?

— Nie.

— Widzenie z tobą zaburzyłoby mój kompas moralny. Gliniarzy nie wsadza się do więzień. Poza tym czułem się w pewnym sensie za to wszystko odpowiedzialny. Nie przemówiłem ci do rozsądku, kiedy jeszcze mogłem.

— Rozsądek a natura człowieka to dwie różne sprawy, Joe.

— Już to słyszałem. Jednak każdy człowiek potrafi chyba odróżnić rozsądek od braku rozsądku. Ty jesteś wyjątkiem, ty nie potrafiłeś, przyjacielu.

Znów ten protekcyjny ton. Max dobiegał pięćdziesiątki, dwie trzecie życia miał za sobą. Nie potrzebował wykładów Joe'ego, który był starszy od niego ledwie o trzy lata, a zawsze zachowywał się tak, jakby różnica wieku pomiędzy nimi wynosiła przynajmniej dziesięć lat. Poza tym, co mogły teraz przynieść jakiegokolwiek wykłady i pouczenia. Co się stało, to się stało, czasu nie można cofnąć. No i Joe też przecież nie był święty. Kiedy byli partnerami, do policji wpływało tyle samo skarg na jego brutalne postępowanie z podejrzanymi, ile wpływało na Maksa. Nikt się tym zresztą za bardzo nie przejmował. Miami było strefą wojny. Na przemoc należało odpowiadać przemocą.

— Zostajemy kumplami, Joe?

— Na zawsze. Uściskali się.

— Skontaktuję się, kiedy wrócę.

— W jednym kawałku, człowieku, tylko takim chcę cię widzieć.

63 -

— Zobaczysz. Pozdrów ode mnie dzieciaki.

— Uważaj na siebie, bracie. Rozeszli się w przeciwne strony.

Otwierając drzwi wypożyczonej hondy, Max zdał sobie sprawę, że Joe powiedział do niego „bracie” po raz pierwszy, odkąd się poznali dwadzieścia pięć lat temu. Mogli sobie być najlepszymi przyjaciółmi, ale jeśli chodzi o jakiegokolwiek czułości, Joe był zatwardziałym segregacjonistą.

Wtedy Max wreszcie pojął, że sprawy na Haiti mogą potoczyć się źle.

Jadąc do Kendall, Max wrócił myślami do Solomona Boukmana i krew znowu zaczęła się w nim gotować. Krzyczał, przeklinał i walił dłońmi w kierownicę.

Zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

Kilkakrotnie głęboko odetchnął, uspokoił się, powiedział sobie, że musi się skoncentrować na Charliem Carverze, skupić się tylko na nim, a resztę spraw zostawić na boku. Boukman przebywał na Haiti. Wrócił tam dopiero po zniknięciu Charliego, nie był więc w sprawę zamieszany.

Właściwie nie miało to znaczenia. Max wiedział, że jeśli spotka Boukmana, tak go zabije. Bo jeśli nie, to Boukman zabije jego.

Wróciwszy do hotelu, Max wziął prysznic i spróbował zasnąć, jednak sen nie nadchodził.

Wciąż myślał o Boukmanie, o tym, że jest na wolności, gdy tymczasem powinien być już nie opuścić więzienia. Myślał o Boukmanie śmiejącym mu się w twarz, Boukmanie mordującym kolejne dzieci. Nie był w stanie określić, co w tym

wszystkim wkurzało go najbardziej. Przecież powinien być już dawno Boukmana zabić. Przecież miał taką możliwość.

Wstał z łóżka, włączył światło i wziął ze stołu teczkę z informacjami na temat Carvera. Zaczął je czytać i nie przestał, dopóki nie dotarł do końca.

Nikt na dobrą sprawę nie wiedział, skąd pochodzą Carverowie ani kiedy po raz pierwszy pojawili się na Haiti. Jedna z plotek głosiła, że są to potomkowie polskich żołnierzy, którzy masowo zdezerterowali z armii Napoleona, żeby w latach dziewięćdziesiątych XVIII stulecia walczyć u boku powstańców Toussain-ta L'Ouverture. Inna z kolei łączyła ich ze szkockim klanem McGarverow, który mieszkał na wyspie w XVIII i XIX wieku, uprawiając kukurydzę i trzcinę cukrową.

Nie budził jednak wątpliwości fakt, że około 1934 roku Fraser Carver, dziadek Allaina, był już multimiliardierem — nie tylko najbogatszym człowiekiem na Haiti, ale też jednym z najbogatszych ludzi na Karaibach. Fortunę zbił, zalewając wyspę tanią, zupełnie podstawową żywnością — ryżem, fasolą, mlekiem (w proszku lub skondensowanym), mąką kukurydzianą i olejem — którą kupowali dla niego z dużym rabatem amerykańscy żołnierze i przewozili na wyspę za darmo. Z tego powodu wielu pomniejszych handlarzy zbankrutowało i w końcu Carver uzyskał monopol na sprzedaż całej żywności, jaką importowano na Haiti. Pod koniec lat trzydziestych otworzył na wyspie drugi bank z krajowym kapitałem — Banque Populaire d'Haiti.

Fraser Carver zmarł w 1947 roku, pozostawiając swoje imperium w rękach ojca Allaina, Gustava. Brata bliźniaka Gusta-va, Clifforda, znaleziono martwego w jakimś wąwozie w 1959 roku. Chociaż jako oficjalną przyczynę śmierci podano wypadek samochodowy, w pobliżu ciała nie znaleziono żadnego samochodu, rozbitego ani sprawnego. Tymczasem niemal

- 64 -

- 65 -

każda kość Clifforda była złamana przynajmniej jeden raz. Raport CIA cytował anonimowych świadków, którzy widzieli członków miejscowej milicji — FSN albo Tonton Macoutes, jak powszechnie ich nazywano — podbiegających do Clifforda na ulicy przed jego domem i wciągających go do samochodu. Raport kończyła konkluzja, że to Gustav Carver doprowadził do zamordowania brata przy pomocy swojego przyjaciela i bliskiego współpracownika, François „Papy Doca” Duvalie-ra, prezydenta kraju.

Gustav Carver poznał François Duvaliera w Michigan, w 1943 roku. Duvalier był jednym z dwudziestu haitańskich lekarzy, przysłanych na tamtejszy uniwersytet w celu dalszego kształcenia w zakresie publicznej opieki zdrowotnej. Carver przebywał w mieście w interesach. Przedstawił ich sobie wspólny przyjaciel obu panów, a inicjatywa wyszła od Duvaliera, który dobrze znał reputację Carverow i legendy krążące na ich temat — i koniecznie chciał poznać Gustava. Później Carver opowiedział przyjacielowi o tym spotkaniu i stwierdził, że od razu wiedział, iż Duvalier jest stworzony do wielkich rzeczy i że na pewno zostanie w przyszłości prezydentem Haiti.

W tym czasie trzy czwarte populacji kraju gnębiła frambezzja, bardzo zaraźliwa i wyniszczająca choroba tropikalna, która atakowała ludzkie kończyny, nosy i usta. Jej ofiarami padała biedota, przede wszystkim ludzie, których nie było stać na buty, choroba atakowała bowiem głównie

poprzez bosc stopy.

Gdy Duvalier wrócił z Michigan, posłano go na najbardziej zainfekowane obszary Haiti, do Kliniki Wiejskiej w Gressier, piętnaście mil na południowy zachód od Port-au-Prince. Bardzo szybko skończyła mu się penicylina, której potrzebował do leczenia ludzi, a kiedy posłał po nią do stolicy, dowiedział się, że jej zapasy są niemal na wyczerpaniu i że będzie musiał poczekać przynajmniej tydzień na kolejną dostawę ze Stanów Zjednoczonych. Wtedy poprosił o pomoc Gustava Carvera.

66 -

Carver natychmiast dostarczył mu dziesięć ciężarówek, załadowanych penicyliną oraz łózkami i namiotami.

Duvalier wyleczył z frambezji cały region i jego nazwisko bardzo szybko stało się popularne wśród biedoty, ludzi, którzy na chorych, zainfekowanych nogach zaczęli odbywać nieraz bardzo długie pielgrzymki, żeby tylko się u niego leczyć. Zyskał przydomek „Papa Doc”. I jako „Papa Doc” stał się bohaterem ludowym, wybawcą biednych.

Gustav Carver zafundował Duvalierowi w 1957 roku całą kampanię w wyborach prezydenckich, a poza tym użyczył mu zastępów silnych ludzi, żeby namawiali do poparcia dobrego doktora tych wyborców, których nie można było przekupić. W efekcie Duvalier wygrał wybory przytłaczającą większością głosów. A Carver dostał w nagrodę znaczące udziały w bardzo lukratywnym państwowym handlu kawą i kakao.

Kiedy Papa Doc ogłosił się „Dożywotnim Prezydentem”, Haiti wkroczyło w kolejny mroczny okres. Jego prezydentura była najbardziej przerażającą i okrutną tyranią w historii kraju. Wojsko i Tonton Macoutes zabijały, torturowały i gwałciły tysiące Haitańczyków — zarówno na rozkaz rządu, jak i, jeszcze częściej, z pobudek osobistych, zwykle dla zagarnięcia ziemi albo przejęcia czyjegoś biznesu.

Tymczasem Gustav Carver pomnażał fortunę, w dużym stopniu dzięki przyjaźni z Duvalierem, który oddawał w jego ręce coraz więcej zmonopolizowanych dziedzin gospodarki — w tym całą produkcję trzciny cukrowej i cementu. Pęczniały także konta Carvera w Banque Populaire d'Haiti, gdzie regularnie deponował miliony dolarów pomocy amerykańskiej, które napływały co trzy miesiące. Większość tych kwot po cichu przelewał na konta w bankach szwajcarskich.

Papa Doc zmarł 21 kwietnia 1971 roku. W wieku dziewiętnastu lat miejsce ojca jako „Dożywotni Prezydent” zajął Jean-Claude. Nominalnie dzierżąc całą władzę, Baby Doc absolutnie nie był zainteresowany rządzeniem Haiti i pozostawił to

- 67 -

nieprzyjemne zajęcie najpierw swojej matce, a potem żonie Michele. Ich ślub w 1981 roku Księga Rekordów Guinnessa opisała jako trzecie tego rodzaju wydarzenie w historii pod względem przepychu. Tymczasem w tym samym roku Międzynarodowy Fundusz Walutowy uznał Haiti za najbiedniejsze państwo na półkuli zachodniej.

Świt w Miami. Max skończył czytać i wyszedł na balkon. Jak wszyscy najlepsi biznesmeni, Carverowie byli bezwzględni oportunistami. Ale też, podobnie jak inni doskonali biznesmeni, mieli tylu wrogów, że nie wystarczyłoby książki telefonicznej, aby ich spisać.

Słabe promienie słońca dopiero gasiły gwiazdy, a wiatr wciąż niósł w sobie chłód nocy, jednak Max był pewien, że znów rodzi się kolejny miły i ciepły dzień. Zresztą miły był każdy dzień spędzony na wolności, a nie w więzieniu.

Clyde Beeson upadł bardzo nisko. Życie nie walnęło go po prostu po zębach. Ono wypełniało ścierwem nawet liczne stę-chłe dziury w jego uzębieniu. Nie stać go było ani na dom, ani na byle jakie choćby mieszkanie. Obecnie mieszkał w kolonii brudnych przyczep kempingowych w Opa-locka.

Opa-locka było zapomnianą dziurą, jednym z najbardziej ponurych miejsc w hrabstwie Dade i małym szarym wrzodem na opalanej, dobrze odżywionej, hedonistycznej dupie Miami. Był miły dzień, a na jasnoniebieskim niebie świeciło klarowne słońce, wesoło oświetlając ponury krajobraz i czyniąc dominującą wokół architekturę, opartą na wzorach mauretańskich, jeszcze bardziej wyobcowaną i bezsensowną.

Max uzyskał adres od recepcj onistki, która pracowała w holu

kompleksu luksusowych apartamentowców w Coconut Grave, miejscu, gdzie Beeson mieszkał, kiedy był u szczytu powodzenia. Okna apartamentów wychodziły na Bayside Park, gdzie bogaci ludzie uprawiali jogging, przy brzegu cumowały liczne jachty i skąd można było obserwować pocztówkowo nieskazitelne zachody słońca nad Florydą. Recepcjonistka uznała, że Max jest windykatorem i odbiera długi. Powiedziała mu na odchodnym, żeby draniowi powyrywał z dupy obie nogi.

W zależności od położenia i autoramentu mieszkańców niektóre kolonie przyczep dawały wytchnienie od uciążliwego życia w mieście. Ludzie zamieszkiwali w nich czasowo, spędzając w nich czasami tylko weekendy i zachowując anonimowość za pomalowanymi na biało płotami, krzakami róż, połąciami starannie pielęgnowanych trawników i niewielkimi skrzynkami na pocztę, których nikt nigdy nie zaśmiecał bezsensownymi reklamami. Czasami takie miejsca zyskiwały miłe nazwy, jak Lincoln Cottage, Washington Bungalow albo Roosevelt Huts. Jednak większość kolonii przyczep kempingowych cieszyła się zdecydowanie złą sławą. Ludzie w nich po prostu wegetowali i nie kryli się specjalnie z tym, że ich życie jest przegrane.

Okolica, w której stała przyczepa Beesona, wyglądała tak, jakby walnęła w nią bomba, i to dokładnie wtedy, kiedy dodatkowo przechodził tamtędy niszczycielski huragan. Odnosiło się wrażenie, że jest składowiskiem wraków — zniszczonych kuchenek gazowych, telewizorów, samochodów, które już nigdy donikąd nie pojedą, lodówek — i wszelkich innych śmieci zalegających tak grubymi warstwami, że już od dawna i na stałe były wkomponowane w krajobraz. Człowiek z zewnątrz czuł się tutaj jak na wysypisku śmieci, na którym ktoś bardziej przedsiębiorczy poustawiał drewniane tabliczki z wielkimi numerami i strzałkami, kierującymi ku miejscom, gdzie jeszcze stoją jakieś przyczepy. A były one z zewnątrz w tak fatalnym stanie, że w pierwszej chwili Max zaczął brać rów-

- 69 -

niez przyczepy za porzucone wraki, ale zmienił zdanie, gdy przez ich okna dostrzegał oznaki życia. Nigdzie nie było widać ani jednego samochodu, który można by uznać za zdolny do jazdy. Nie było dzieci, żadnych psów. Ludzie, którzy tu mieszkali, już na nic w życiu nie liczyli. Byli wykolejeńcami, drobnymi przestępcami, handlarzami starzyzną albo po prostu kompletnymi życiowymi nieudacznikami.

Przyczepa Beesona była ze wszystkich stron niemiłosiernie poobijana, a z drewnianych okiennic na obu oknach, umieszczonych po dwóch stronach masywnych drzwi i opatrzonych trzema zamkami, płatami schodziła biała farba. Przyczepa stała na podstawach ułożonych z czerwonych cegieł, odjechać więc już nigdzie nie mogła. Max podjechał swoim samochodem najbliżej, jak się dało, i wyłączył silnik.

Zapukał do drzwi i cofnął się, żeby ktoś, kto znajdował się w przyczepie, mógł go zobaczyć. Natychmiast usłyszał głucho warczenie psa, potem drapanie pazurów i wreszcie pies dwa razy zaszczekał. Beeson miał pitbulla. Okiennica po lewej stronie poruszyła się, po czym ktoś lekko ją popchnął.

— Mingus? Max Mingus? — krzyknął Beeson z przyczepy-

— Tak, we własnej osobie. Otwórz mi drzwi, musimy porozmawiać.

— Kto cię tu przysłał?

— Nikt.

— Jeśli szukasz pracy, akurat trzeba by opróżnić mój kibel. — Beeson zarechotał, zachwycony własnym dowcipem.

— Jasne, ale jak skończymy rozmawiać! — odkrzyknął mu Max.

Przemądrzały skurwysyn, nawet teraz nie stracił umiejętności wyśmiewania się z nieszczęść innych ludzi. Jego głos nic się nie zmienił, był to taki dziwaczny gardłowy skrzek, nijaki, jakby facet stracił już jedno jądro i spodziewał się, że w niedługim czasie odpadnie mu drugie.

70 -

Okiennica rozwarła się jeszcze mocniej i Max dostrzegł twarz Beesona — okrągłą, tłustą i

trupioblada. Beeson popatrzył w prawo i w lewo. Sprawdzał, czy teren jest bezpieczny. Kilka chwil później Max usłyszał pobrzękiwanie co najmniej pół tuzina łańcuchów, wypinanych z haczyków po drugiej stronie drzwi. Następnie szcęknęły stalowe zasuwy, a dopiero potem zachrobotały otwierane zamki yale. Facet w przyczepie musiał się czuć jak sadomasochista w dobrze zapiętym gorsecie.

Beeson uchylił lekko drzwi i stanął w progu, mrużąc oczy przed słońcem. Na wysokości jego szyi drzwi nadal łączył z framugą jeden gruby łańcuch. U stóp mężczyzny przysiadł potężny pies.

Wysunął pysk na zewnątrz, po czym warknął na Maksa. Z jego pyska zwisały ciężkie stalaktyty gęstej śliny.

— Czego tu chcesz, Mingus? — zapytał Beeson.

— Porozmawiać o Charliem Carverze — odparł Max.

Z postawy Beesona, który wysunął przez szparę jedynie głowę, bez trudu wywnioskował, że w jednej ręce trzyma broń, a w drugiej smycz swojego psa.

— Kto cię przysłał? Carverowie?

— Do ciebie? Nie, skądże. Ale zająłem się ich problemem.

— Jedziesz na Haiti?

Beeson z powrotem zamknął drzwi, wypiął łańcuch i w końcu znów je otworzył. Ruchem głowy skinął na Mingusa, żeby wszedł do środka.

W przyczepie było ciemno, po długim pobycie na odkrytym terenie mogło się wydawać jeszcze ciemniej niż w rzeczywistości, a stęchlizna i smród uderzały w nozdrza ze zdwojoną siłą.

Przepotężny kwaśny odór ludzkiego gówna sprawił, że Maksowi na chwilę zakręciło się w głowie.

Cofnął się o krok, treść jego żołądka zaczęła się unosić i z trudem przełknął ślinę. Wreszcie zakrył nos chusteczką i postanowił oddychać tylko przez usta, jednak po chwili smak gówna poczuł na języku.

71 -

Muchy były po prostu wszędzie, zaczęły latać mu wokół uszu, uderzać go w dłonie i w twarz, niektóre siadały na nim i gryzły go, zanim zdążył zareagować. Usłyszał, jak Beeson przegania pitbulla w kąt i do czegoś go przywiązuje.

— Lepiej miej oko na swój samochód — powiedział Beeson. — Gówniarze rozbiorą go na drobne, jeśli będzie zbyt długo stał niepilnowany.

Rozsunął zasłony w lewym oknie i zaraz odszedł od niego, mrużąc oczy. Muchy natychmiast pofrunęły ku światłu, głośno bzycząc.

Max zdążył już zapomnieć, jaki Beeson jest niski. Pewnie nie miał nawet pięciu stóp, a jego głowa była nieproporcjonalnie wielka w stosunku do reszty ciała.

W przeciwieństwie do innych prywatnych detektywów z hrabstwa Dade Beeson nigdy nie był gliniarzem. Karierę zawodową zaczął jako urzędnik w biurze Partii Demokratycznej na Florydzie, zbierając haki zarówno na rywali, jak i na sprzymierzeńców, i następnie zamieniając je na polityczną walutę.

Rzucił politykę i został prywatnym detektywem po nominacji Cartera na kandydata Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich. Zyskał reputację faceta, który zarobił miliony, rujnując innych ludzi — ich małżeństwa, kariery polityczne, interesy — i wykorzystując na swój użytek wszelkie ludzkie brudy. Owoce swojego sukcesu na bieżąco przejadał. Max pamiętał go z czasów, kiedy był królem Miami i najbliższej okolicy. Nosił najdroższe marynarki, buty szyte specjalnie dla niego i koszule tak białe, że wręcz świeciły. Pachniał najdroższą wodą kolońską, której zresztą używał w nadmiarze. Miał zawsze manikiurowane paznokcie, a na palcach obu rąk złote sygnety. Niestety, nic nie mogło zmienić jego sylwetki. Posturą przypominał krasnala i choćby założył garnitur wart kilka tysięcy dolarów, nie miał żadnej szansy, aby wyglądać na nie wiadomo jakiego ważniaka

z Florydy. W swoich najlepszych ubraniach Maksowi zawsze kojarzył się z przerośniętym dzieciakiem w dniu pierwszej komunii.

Teraz stał przed nim w brudnej kamizelce nałożonej na tanią czarną koszulę z nadrukowanymi pomarańczami i zielonymi palmami.

Max był w szoku.

I nie chodziło bynajmniej o koszulę albo kamizelkę Be-sona...

Zaszokowała go jego pielucha.

Clyde Beeson miał na sobie pieluchę — grubą, kiedyś białą, a teraz szarobrązową pieluchę wielkości ręcznika, starannie zawiązaną w pasie.

Do ciężkiej cholery, co się z nim stało?

Max rozejrzał się po przyczepie. Wydawała się pusta. Pomiędzy nim a Beesonem rozciągał się fragment podłogi przykrytej linoleum, pod ścianą stał oliwkowozielony skórzany fotel z poprzecieranymi oparciami oraz odwrócona do góry dnem skrzynia, służąca jako stół. Podłoga była brudna, pokryta jakąś oleistą mazią, a jej oryginalny żółty kolor prześwitywał tylko w tych miejscach, w których oleistą maz z niewiadomych powodów rozdrapał pitbull. Jego odchody były po prostu wszędzie, niektóre zupełnie świeże, inne suche albo dopiero schnące.

Jak to się stało, że Beeson aż tak się zapuścił?

Max zobaczył kartonowe pudła ustawione jedno na drugim przy jednej ze ścian, od podłogi do sufitu, zasłaniające całe okno po prawej stronie. Wiele pudeł było mokrych i wybrzuszonych, a ich zawartość w każdej chwili mogła się wylać lub wysypać.

Światło przenikające z zewnątrz z trudem przebijało się przez powietrze, w którym unosiły się kłęby papierosowego dymu i w którym jak oszalałe latały muchy plujki, pewnie szczęśliwe, gdy przypadkiem zdołały wylecieć na zewnątrz,

- 72 - - 73 -

i przekonane, że tam świat jest lepszy. W tej żalostnej norze nie wytrzymałyby nawet one.

Pies, przywiązany w ciemnym rogu, znowu warknął na Maksa. Z ponurego kąta docierał do niego jedynie widok lśniących, czujnych psich ślepiów.

Odgadł, że kuchnia za przepierzeniem pełna jest brudnych naczyń z gnijącym jedzeniem. Wolał nie myśleć o stanie łóżka i toalety.

W przyczepie było niemiłosiernie gorąco. Max pokryty był już warstwą potu, z każdą chwilą coraz grubsza.

— No i co, Mingus? Podejdz bliżej. — Beeson wykonał ruch ręką, w której trzymał rewolwer.

Miał Magnum kaliber .44, z długą lufą ze lśniącej stali, identyczny sześciopalcowy jak ten, którego używał Clint Eastwood w Brudnym Harrym. Rewolwer był niemal równie długi jak ręka, w której go trzymał.

Beeson zauważył, że Max się nie poruszył i że przez cały czas zasłaniał nos chusteczką z miną świadcząca o krańcowym obrzydzeniu.

— Rozgość się — kontynuował Beeson. Wzruszył ramionami, a na jego ustach pojawił się uśmiech. Patrzył na Maksa mętnymi, gadzimi, brązowymi oczami. Były spuchnięte, wytrzeszczone, otoczone szarą skórą. Z pewnością sypiał bardzo mało.

— Przed kim się ukrywasz? — zapytał Max.

— Po prostu się ukrywam — padła odpowiedź. — A więc Allain Carver każe ci szukać swojego dzieciaka?

Max pokiwał głową. Chciał odsunąć chusteczkę od twarzy, jednak smród w pomieszczeniu był tak potworny, że niemal czuł, jak do niego przylega, cząsteczka po cząsteczce.

— No i co mu odpowiedziałeś?

— Że dzieciak prawdopodobnie nie żyje.

— Nie wiem, jak mogłeś zarobić w tym mieście chociażby jednego dolca przy takiej postawie.

— Uczciwość popłaca.

Beeson roześmiał się. Musiał palić dziennie ze trzy albo i cztery paczki papierosów, bo jego śmiech przerodził się w gwałtowny kaszel. Max wyobraził sobie, jak od tego kaszlu pękają jego płuca.

Wreszcie Beeson zebrał w ustach gęstą flegmę i splunął na podłogę. W plwocinie było mnóstwo krwi. „Rak?“, pomyślał Max.

— Nie robiłem czarnej roboty dla ciebie, Mingus — powiedział Beeson. — I nic ci nie powiem.

Chyba że mi zapłacisz.

— Wiedzę, że pewne rzeczy się nie zmieniły.

— Siła przyzwyczajenia.

Max nie był w stanie dłużej wytrzymać. Cofnął się do drzwi i otworzył je jak szeroko. Do przyczepy natychmiast wpadło światło i świeże powietrze. Max przez chwilę stał w progu, głęboko oddychając.

Pitbull zawarczał i zaczął szarpać się na uwięzi, zapewne pragnąc natychmiast się wyrwać z szamba, w którym dotąd mieszkał.

Max podszedł z powrotem do Beesona, omijając szlak psich odchodów, wiodący do kuchni. Beeson nie poruszył się. Fakt, że drzwi były otwarte, jakby w ogóle do niego nie dotarł.

Muchy omijały Maksa w szaleńczym locie. Wszystkie wyrwały się na wolność.

— Co się stało, że tak skończyłeś? — zapytał Max. Nigdy nie wierzył w przeznaczenie, karmę, ani w to, że Bóg

— jeśli istniał — naprawdę kieruje losem jednostek. Różne sprawy na świecie działy się bez szczególnych powodów, po prostu się działy, i rzadko ich ofiarami albo beneficjentami byli właściwi ludzie. Każdy człowiek miał marzenia, ambicje, własne cele. I sam pracował na ich spełnienie bądź realizację. Czasami wygrywał, częściej jednak ponosił porażkę. Taki właśnie był pogląd Maksa na życie. Zupełnie nieskomplikowany. Jednak patrząc w tej chwili na Beesona, zwątpił. Jeśli nie tak właśnie wyglądała boska interwencja w ludzkie sprawy, to co to było?

— Co? Współczujesz mi? — zapytał Beeson.

— Nie.

Beeson uśmiechnął się. Zmierzył wzrokiem postać Maksa od góry do dołu.

— Do kurwy nędzy! Powiem ci.

Beeson odszedł od okna, usiadł na fotelu, a rewolwer położył na kolanach. Z kieszeni koszuli wyciągnął paczkę pallmaili bez filtra, szybko wytrząsnął jeden papieros i zaraz go zapalił.

— Na Haiti pojechałem we wrześniu, w zeszłym roku. Byłem tam trzy miesiące. Widzisz, wiedziałem, że sprawa jest beznadziejna już od chwili, gdy Carver opowiedział mi szczegóły. Nie było żądania okupu, nie było żadnych świadków, nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. No, ale, kurwa, co z tego? Zażądałem potrójnego wynagrodzenia, bo w końcu Haiti to nie to samo co Wyspy Bahama. Carver zgodził się bez problemu. No i wyszedł z tym samym bonusem za żywego dzieciaka, który pewnie zaoferował również tobie.

— Ile ci zaproponował?

— Milion gotówką, jeśli znajdę zwłoki. Pięć milionów gotówką, jeśli dostarczę mu dzieciaka żywego. Pewnie obiecał ci tyle samo?

Max pokiwał głową.

— Pomyślałem sobie, że facet jest biznesmenem i nie wydaje na darmo wielkich pieniędzy.

Doszedłem do wniosku, że zdaje sobie sprawę, iż dzieciak jest martwy jak suche gówno i że chce jedynie godnie go pochować albo spalić, albo zrobić cokolwiek, to samo, co oni wszyscy robią ze swoimi umarłakami na tej pieprzonej wyspie. Uznałem, że bez problemu znajdę tego trupa, zarobię łatwy milion i jeszcze będę miał małe wakacje na koszt klienta. Oceniałem, że robota zajmie mi jakieś dwa tygodnie.

Beeson wypalił papieros do kilkumilimetrowego niedopałka, po czym od niedopałka natychmiast przypalił następny. Sam niedopałek rzucił na podłogę, potem zdusił go bosą

76 -

piętą, nie zdradzając żadnego bólu. Max odgadł, że jego rozmówca jest na mocnych środkach przeciwbólowych, które zabijają doznania fizyczne, jednak mózgowi pozwalają w miarę sprawnie funkcjonować. Mówiąc, Beeson ani na chwilę nie przestawał patrzeć Maksowi prosto w oczy.

— Tymczasem wszystkie moje nadzieje diabli wzięli. Przez pierwsze trzy tygodnie na Haiti jedynie pokazywałem na prawo i lewo fotografię dzieciaka, a w odpowiedzi od wszystkich słyszałem wciąż te same dwa słowa: Vincent Paul. Dowiedziałem się, że ten Vincent Paul twardą ręką rządzi największą dzielnicą slumsów na wyspie. Ale z tego powodu władze nie traktują go poważnie. Ludzie gadają jednak, że gdzieś tam zbudował całe nowoczesne miasto. Ale nikt z moich rozmówców nigdy w nim nie był i nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Opowiadano mi, że ludzie pracują tam nago w fabryce narkotyków. I każdy z tych ludzi — kobiety i mężczyźni — ma na

twarzą maskę Billa albo Hillary Clinton. No, ale chuj z maskami. Zacząłem sobie wyobrażać tego Paula jako gangstera z pierwszej ligi. Aristide, czy jakakolwiek inna marionetka, teraz albo później osadzona przez Clintona na Haiti, to w porównaniu z nim jest i będzie tylko chłystek.

Dowiedziałem się, że Paul nienawidzi Carverow. Ale nikt nigdy mi nie powiedział dlaczego.

— Założyłeś więc, że to on porwał dzieciaka?

— Jasne. Miał motywy i środki.

— Rozmawiałeś z nim?

— Próbowałem, ale z Vincentem Paulem się nie rozmawia. To on mówi do ciebie — odparł Beeson, bardzo powoli, pod długiej chwili milczenia.

— I powiedział coś do ciebie?

Beeson przestał mówić. Niespodziewanie wbił wzrok w podłogę, a potem nisko opuścił głowę.

Ucichł. Max wpatrywał się w jego czaszkę; była niemal zupełnie łyśa. Rosło na niej bardzo niewiele włosów, grupujących się w długie rudobrazowe kosmyki. Beeson trwał w milczeniu długą minutę. Nie wydawał

77

żadnego dźwięku. Max już miał przerwać ciszę, gdy Beeson powoli podniósł głowę. Jeszcze przed chwilą był dumnym człowiekiem, mimo że żył w nędzy i brudzie. Teraz duma całkowicie zniknęła z jego oblicza, oczy mu się rozszerzyły, a worki pod nimi pomarszczyły, jakby ktoś z nich spuścił powietrze. Max dostrzegł, że na twarz Beesona wypełza strach.

Jeszcze przez moment Beeson palił pall maila, wpatrując się w okno, aż wreszcie znowu zaczął kasłać i pluć krwawą flegmą. Odrzucił niedopałek i gdy nad sobą zapanował, przesunął się na skraj fotela i pochylił tułów do przodu.

— Ani przez moment nie miałem wrażenia, że zbliżam się do rozwiązania zagadki, jednak chyba się myliłem albo przynajmniej ktoś inny myślał, że do czegoś dotarłem. W każdym razie któregoś dnia zasnąłem w hotelu. Nazajutrz budzę się w jakimś dziwnym pokoju o cholernie żółtych ścianach i nie mam pojęcia, jak się w nim znalazłem. Jestem przywiązany do łóżka, nagi, leżę z twarzą w poduszce. Wchodzą jacyś ludzie. Ktoś wbija mi igłę w dupę, mija chwila i co? Nie ma mnie! Gasnę jak światło.

— Widziałeś tych ludzi?

— Nie!

— Co było potem?

— Znowu się obudziłem. Oczywiście, pomyślałem, że śnię. Bo siedziałem w samolocie. American Airlines, wysoko na niebie. Wracalem do Miami. Nikt się mną nie interesował, nikt nie widział we mnie nic dziwnego. Zapytałem stewardesę, jak długo już lecimy, i powiedziała mi, że godzinę. Zapytałem człowieka, który siedział za mną, czy widział, jak wsiadałem do samolotu, a ten odpowiedział, że nie, że spałem już w swoim fotelu, kiedy wszyscy zaczęli wsiadać.

— Nie pamiętasz, jak się dostałeś do samolotu? Na lotnisko? Nic?

— Zupełnie nic. W Miami wyszedłem z samolotu. Odebrałem bagaż. Wszystko w torbie było na miejscu. Dopiero kie-

dy wychodziłem z terminalu, spostrzegłem dekoracje bożonarodzeniowe. Szybko złapałem jakąś gazetę i przeczytałem, że właśnie jest czternasty grudnia! O mało się nie zesrałem! Nie pamiętałem ani chwili z całych dwóch miesięcy mojego życia! Z dwóch miesięcy, Mingus!

— Zatelefonowałeś do Carvera?

— Zrobiłbym to, ale... — Beeson wziął głęboki oddech. Dotknął swojej klatki piersiowej. — Coś mnie tutaj bolało. To był taki gorący, rozdzierający ból. Poszedłem więc do łazienki i rozpiąłem koszulę. I zobacz, co znalazłem.

Beeson wstał, ściągnął kamizelkę i koszulę, ukazując Maksowi nagi tors. Porastały go gęste kręcone ciemnobrazowe włosy, miejscami przywodzące na myśl brudne motyle. Zaczynały się poniżej ramion i kończyły w okolicach pępka. Na torsie było też jednak miejsce, gdzie włosy rozdzielały się i w ogóle nie rosły. Tym miejscem była długa różowa szrama, rozpoczynająca się u podstawy szyi i biegnąca przez klatkę piersiową, pomiędzy płucami, przez brzuch, a kończąca się na wzgórku łonowym.

Max poczuł, że znowu wszystko mu się przewraca w żołądku, jakby właśnie podłoga rozstała się pod nim w tej pieprzonej przyczepie kempingowej, a on sam rozpoczynał lot w dół, w bezkresną otchłań.

Oczywiście, to nie było dzieło Boukmana, ale wyglądało znajomo, tak jak okaleczenia tych wszystkich biednych dzieci, które Max musiał oglądać, kiedy go ścigał.

— To mi zrobili — powiedział Beeson. — Skurwysyny. Max był tak przerażony, że nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa.

Beeson szybko założył koszulę, kamizelkę i opadł na fotel. Następnie ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać, a jego przetłuszczone ciało trzęsło się jak galareta.

Max nienawidził patrzeć, jak mężczyźni płaczą. W takich chwilach nigdy nie wiedział, co powiedzieć, jak się zach-

- 78 -

79 -

wać. Uspokajanie takich mężczyzn w sposób, w jaki uspokaja się płaczące kobiety, mogło być uznane za obrazę ich męskości. Teraz więc po prostu stał, czując się cholernie głupio, i pozwalał Beesonowi lkać, mając nadzieję, że szybko skończy, ponieważ jeszcze wiele chciał się od niego dowiedzieć.

Płacz nieszczęśnika powoli zamieniał się w niewyraźne pochrząkiwanie i pociąganie nosem.

Wreszcie Beeson wytarł dłonią łzy z twarzy, a mokrą rękę przetarł o resztkę włosów na głowie.

— Pojechałem prosto do szpitala — kontynuował, kiedy już zapanował nad głosem. — Zbadali mnie. Niczego mi nie brakowało, ale... — wskazał palcami na pieluchę. — Zauważyłem to po pierwszym posiłku. Wszystko przeze mnie po prostu przelatuje. Żadnego trawienia. I nikt nie umie mi pomóc. Niczego w sobie nie potrafię zatrzymać. Permanentna dyzenteria.

Los Beesona obudził jednak w Maksie współczucie. Mały detektyw przypominał mu teraz męskie kurwy spod celi. Widywał ich na dziedzińcu więzienia. Oni także owijali się pieluchami, ponieważ ich zwieracze były poluznione z powodu bezustannych zbiorowych gwałtów.

— Myślisz, że to ten Vincent Paul ci to zrobił?

— Ja wiem, że to on. Ostrzegł mnie. Max potrząsnął głową.

— Jak na zwykłe ostrzeżenie, to było cholernie dużo roboty. Za dużo. Poza tym znam cię, Beeson.

Bardzo łatwo cię przestraszyć. Wystarczyłoby, żeby kilku facetów wpadło do twojego pokoju hotelowego i przyłożyło ci broń do głowy, a spierdalałbyś z tej całej wyspy w podskokach.

— Jesteś bardzo miły — odparł Beeson i zapalił kolejnego papierosa.

— Do czego dotarłeś?

— O co ci chodzi?

- 80 -

— Doszedłeś do czegoś w związku z dzieciakiem? Złapałeś jakiś trop? Podejrzewałeś kogoś?

— Nie. Nie miałem zupełnie nic.

— Jesteś pewien? — zapytał Max i popatrzył Beesonowi w oczy, szukając w nich oznak, że kłamie.

— Zupełnie nic, mówię ci.

Max mu nie uwierzył, ale to jeszcze nie był koniec rozmowy.

— Dlaczego mnie tak kurewsko potraktowali? To miała być jakaś wiadomość dla Carvera?

— Czemu nie? Za mało wiem, żeby ci odpowiedzieć — stwierdził Max. — Co było dalej? Z tobą.

— Ja? Po prostu się rozpadłem. O, tutaj — powiedział obojętnym głosem i poklepał się po głowie.

— Zupełnie się załamalem. Nie mogłem już pracować. Dałem sobie spokój. Zrezygnowałem.

Byłem winien klientom pieniądze za sprawy, których nie dokończyłem. Musiałem im pooddawać forszę i prawie nic mi nie zostało, no ale co z tego, kurwa? Przynajmniej żyję.

Max pokiwał głową. Wiele wiedział o miejscu, w którym zadomowił się Beeson. Jedyne perspektywa wyjazdu na Haiti powstrzymywała Maksa przed poszukiwaniem podobnej zdezelowanej przyczepy kempingowej dla siebie.

— Nie jedź na Haiti, Mingus. Tam się dzieje coś kurewsko niedobrego — odezwał się Beeson. Jego głos zabrzmiał niespodziewanie mocno wśród świstu zimnego wiatru w ciepłej przyczepie,

hulającego po wszystkich szczelinach.

— Nawet gdybym nie chciał, właściwie nie mam wyboru — odparł Max. Po raz ostatni rozejrzał się po przyczepie. — Widzisz, Clyde, nigdy cię nie lubiłem. I nadal cię nie lubię. Myłeś dwulicowym ścierwem, pazernym łotrem bez skrupułów. Ale wiesz, co ci powiem? Nawet ty nie zasługujesz na coś tak ohydneho.

— Rozumiem, że nie zostaniesz na kolacji — powiedział Meeson.

- 81 -

Max odwrócił się i przekroczył próg. Beeson złapał magnum i podreptał za nim. Po drodze głośno pierdnął.

Znalazłszy się na zewnątrz, na świeżym powietrzu, w blasku słońca, Max zaczął głęboko oddychać przez nos. Miał nadzieję, że smród nie przyłgnął na stałe do jego odzieży i włosów.

— Hej, Mingus! — zawołał Beeson od drzwi. Max odwrócił się.

— Ruchali cię w więzieniu?

— Co?

— Byłeś dziwką jakiegoś czarnucha? Może miałeś czarnucha, który wołał do ciebie „Mary”?

Łykałeś spernę czarnych bandziorów?

— Nie.

— A więc co takiego, do kurwy nędzy, nagle się z tobą stało, że uznałeś za stosowne mi współczuć? Dawny Max Mingus ze starej szkoły powiedziałby, że mam to, na co zasłużyłem. Kopnąłbyś mnie jeszcze na odchodnym w mordę i wytarł but o moje usta.

— Uważaj na siebie, Clyde — odrzekł Max. — Bo nikt inny tego nie robi.

Następnie wsiadł do samochodu i odjechał. Czuł się cholernie niedobrze.

6

Wrócił do Miami i pojechał do Małego Haiti.

W latach sześćdziesiątych, kiedy był dzieckiem, miał koleżankę, Justine, która gdzieś tutaj mieszkała. Wówczas tę część Miami nazywano Lemon City i była to przede wszystkim dzielnica białych z klasy średniej. Doskonale robiło się tutaj zakupy. Matka Maksa bardzo często kupowała tu prezenty na Boże Narodzenie i na urodziny.

Kiedy dziesięć lat później Max zostawał gliniarzem, mieszkali tutaj już tylko biedni biali. Wszyscy bogatsi zdążyli się wyprowadzić, sklepy zostały pozamykane albo poprzenoszone i dzielnica, kiedyś tętniąca życiem, zesłała na psy. Później zaczęli się do niej wprowadzać uciekinierzy z Kuby, a potem tanie domy wykupili najlepiej prosperujący Afroamerykanie z Liberty City. Haitańczycy w znaczącej liczbie pojawili się tu w latach siedemdziesiątych, uciekając przed reżimem Baby Doca. Pomędzy Afroamerykanami a Haitańczykami panowało duże napięcie, często przeradzające się w krwawe zamieszki. Łała się głównie krew tych drugich, ale tylko do czasu, gdy przybywający coraz liczniej nowi imigranci z wyspy zaczęli organizować się w gangi, które murem broniły haitańskich interesów w potyczkach z obcymi. Spośród tych gangów najgorszą sławę zyskał SNBC, czyli Saturday Night Barons Club, na którego czele stał Solomon Boukman.

Max po raz ostatni był tutaj w 1981 roku, z Joe'em, kiedy ścigał Boukmana i jego bandę. Jechali wtedy pustymi (jeśli nie liczyć wszechobecnych śmieci) ulicami, mijali dawne sklepy, pozabijane deskami, zrujnowane domy, jeszcze niedawno ładne i bogate, przez długie minuty nie widząc żywej duszy. Wreszcie natrafili na jakieś zamieszki — wewnętrzna sprawa Haitańczyków — i musieli zwiewać, bo jeszcze trochę i to im by się dostało.

Piętnaście lat później Max spodziewał się mniej więcej tego samego, tyle że w jeszcze gorszym stanie, ale kiedy wjechał na 54. Ulicę, w pierwszej chwili pomyślał, że zabłądził. Było tu zadziwiająco czysto i porządnie. Chodnikami spacerowało mnóstwo ludzi, przemierzających się pomiędzy sklepami pomalowanymi na jasne kolory; przeważał jaskrawy róż oraz wszelkie odcienie koloru niebieskiego, pomarańczowego, żółtego i zielonego. Na parterach budynków mieściło się mnóstwo małych restauracji, barów i kawiarenek, nierzadko

- 82 -

- 83 -

ze stolikami wystawionymi na zewnątrz. W sklepach sprzedawano dosłownie wszystko, od

żywności i drewnianych rzeźb po książki, płyty z muzyką i obrazy.

Max zahamował przy krawężniku, wysiadł z samochodu i ruszył na piechotę. Jak okiem sięgnąć, był jedynym białym, ale nikt nie patrzył na niego z ukosa, nikt nie robił nieprzyjaznych min, jak by to miało miejsce w jakimś ponurym getcie.

Było późne popołudnie i słońce zaczynało już zachodzić. Niebo stopniowo zabarwiało się na purpurowo. Max szedł do miejsca, do którego matka i ojciec zabrali go, gdy był nastolatkiem, do sklepu z meblami przy 60. Ulicy, w którym kupili stół kuchenny. Sklepu z meblami od dawna już nie było, ale na jego miejscu stał imponujący Market Karaibski, będący wierną kopią starego Żelaznego Magazynu w Port-au-Prince.

Wszedł do środka i zaczął spacerować pomiędzy półkami, na których wystawiano żywność, płyty kompaktowe, ubrania, a nawet katolickie dewocjonała. Rozmawiano w kreolskim dialekcie, który był mieszaniną języka francuskiego i różnych języków plemiennych z Afryki Zachodniej.

Wszystkie rozmowy brzmiały w taki sposób, jakby zaraz miało dojść rękoczynów. Po kreolsku się nie mówiło, lecz niemal krzyczało. Każde słowo rozbrzmiewało tak, jakby było ostatnim i natychmiast miały pójść w ruch pięści. Jednak patrząc na zachowanie rozmawiających ludzi, Max dochodził do wniosku, że oni wcale się nie kłócą, lecz co najwyżej plotkują, albo prowadzą handel.

Wyszedł z marketu i przeszedł przez jezdnię, kierując się ku kościołowi Notre Dame d'Haiti i sąsiadującemu z nim Haitańskiemu Centrum Katolickiemu Pierre'a Toussainta. Centrum było zamknięte, wszedł więc do kościoła. Max nigdy nie wierzył w Boga, jednak kościoły po prostu uwielbiał. Zawsze je odwiedzał, kiedy musiał przemyśleć coś poważnego, ponieważ były najspokojniejszymi i najbardziej pustymi

miejskami, jakie znał. Zwyczaj ten utrwalił, kiedy był jeszcze prostym policjantem i patrolował ulice. Siedząc w kościelnej ławce, mając za towarzysza jedynie służbowy notes, rozwikłał wiele zagadek. W kościele zwykle łatwiej było mu się skupić. Nigdy nikomu o tym nie powiedział, nawet żonie, żeby nikt nie pomyślał, iż jest dziwolągiem, zapatrzonym w posłannictwo Jezusa Chrystusa, a może sam uważa się za Mesjasza.

Kościół był pusty, jeśli nie brać pod uwagę starej kobiety, siedzącej w jednej ze środkowych ławek i głośno czytającej z haitańskiego modlitewnika. Usłyszała, jak Max wchodzi do środka, i na chwilę odwróciła się, nie przerywając modlitwy.

Max stanął pod ścianą z witrażem w oknie i malowidłem na tynku, przedstawiającym podróż Haitańczyków z ojczyzny na południową Florydę, które to wydarzenie bacznie obserwowali z niebios Matka Boska i jej niemowlę — Jezus. W powietrzu unosił się zjełczały zapach kadzidła i wosku oraz różowych i białych lilii, stojących w wazonach, po obu stronach ołtarza.

Kobieta, niby czytając, teraz ani na chwilę nie odrywała od Maksa spojrzenia czarnych oczu.

Celowała w niego wzrokiem niczym z dwulufowej strzelby. Czuł na sobie jej spojrzenie tak, jakby znajdował się pod obserwacją kamery przemysłowej w banku. Popatrzył na staruszkę: była niska, drobna, siwa, a na obwisłej, pomarszczonej twarzy miała ciemne plamy wątrobowe. Próbował uśmiechnąć się do niej tak, jak uśmiechał się czasami do potencjalnie nieprzyjaźnie nastawionych do niego nieznanym — szeroko, wesoło, pełnymi ustami — jednak nie wywarł na niej żadnego wrażenia. Cofnął się i po raz pierwszy w kościele poczuł się nieswojo. Postanowił wyjść.

Przy drzwiach dostrzegł w rogu szafę z książkami. Rozpoznał biblie w języku kreolskim, francuskim i angielskim oraz mnóstwo książek o świętych Kościoła katolickiego.

Obok szafy do ściany przytwierdzona była duża tablica korkowa. Poprzypinano do niej małe fotografie dzieci haitańskich.

Pod każdym zdjęciem znajdowały się żółte naklejki z nazwiskiem dziecka, wiekiem i jakąś datą. Dzieci były różnych ras, obojga płci, miały od trzech do ośmiu lat, niektóre ubrane były w mundurki szkolne. Kątem oka Max zauważył fotografię Charliego Carvera. Mniejsza odbitka zdjęcia, które dał mu Allain Carver, widniała w prawym dolnym rogu tablicy, zagubiona pomiędzy wieloma innymi dziecięcymi twarzyczkami, łatwa do przeoczenia. Max przeczytał podpis:

Charles Paul Carver 3 lata, 09/1994

Wrzesień 1994 roku był miesiącem zaginięcia chłopca. Max sprawdził daty pod pozostałymi fotografiami. Żadna nie sięgała dalej niż do 1990 roku.

— Czy pan jest z policji? — niespodziewanie usłyszał za plecami męski głos. Pytający mówił po angielsku, z lekkim francuskim akcentem, i prawdopodobnie był czarnoskóry.

Max odwrócił się i zobaczył przed sobą księdza, który trzymał ręce złączone za plecami. Był trochę wyższy od Maksa, ale też drobniejszy i węższy w ramionach. Na nosie miał okulary w srebrnej drucianej oprawie. Ich soczewki odbijały światło i nie pozwalały dostrzec jego oczu. Włosy miał płowe i kozią bródkę tego samego koloru. Wyglądał na czterdzieści kilka, a może pięćdziesiąt lat.

— Nie, jestem prywatnym detektywem — odparł Max. Nigdy nie kłamał w kościele.

— Kolejny łowca nagród — prychnął ksiądz.

— Czy to takie oczywiste?

— Jestem przyzwyczajony do takich jak pan.

— Tak wielu ich tu bywa?

— Wielu, niewielu, szybko o nich zapominam. Wszyscy przychodzą tutaj, zanim wyjedziecie na Haiti. Wy i dziennikarze.

— Jakoś trzeba zacząć — zauważył Max. Czuł na sobie uważny wzrok księdza. Czuł też lekki odór jego kwaśnego potu i słaby zapach jakiegoś taniego mydła, zapewne Camay. — Te wszystkie dzieci?

— Les enfants perdus — powiedział ksiądz. — Zaginione dzieci.

— Również porwane?

— To zdjęcia tych, o których wiemy. Ale jest ich o wiele, wiele więcej. Większość Haitańczyków nie jest w stanie sprawić sobie aparatu fotograficznego albo zrobić choćby jednej pamiątkowej fotografii.

— Od jak dawna to trwa?

— Dzieci na Haiti ginęły zawsze. A ja zacząłem przypinać fotografie do tej tablicy zaraz po rozpoczęciu pracy w tutejszej parafii, w 1990 roku. W jednej z haitańskich religii dusze dzieci są bardzo poszukiwanym towarem. Mogą otworzyć wiele drzwi.

— Uważa więc ksiądz, że chodzi o voodoo?

— Kto wie?

W głosie księdza zabrzmiał smutek i jakby zmęczenie, sugerujące, że każdą możliwość rozważył już milion razy i żadnej odpowiedzi nie znalazł.

Ale Max usłyszał w jego głosie również jakby coś osobistego. Aby uprawdopodobnić swoje spostrzeżenie, szybko przesunął wzrokiem po tablicy, starając się natrafić na twarz dziecka o rysach zbliżonych do rysów księdza. Nie znalazł takiej twarzy, ale zaryzykował.

— Które z nich jest dzieckiem księdza?

Kapłan drgnął, autentycznie zaskoczony, ale po chwili szeroko się uśmiechnął.

— Jest pan bardzo spostrzegawczym człowiekiem. Z pewnością Bóg pana wybrał.

— Po prostu przecucie, ojcze.

Ksiądz zbliżył się do tablicy i wskazał na dziewczynkę, której fotografia znajdowała się tuż obok fotografii Charliego.

- 86 -

- 87 -

— Moja bratanica, Claudette. Przyznam, że umieściłem jej zdjęcie tuż przy tym bogatym chłopcu, licząc... Sam nie wiem na co.

Max przeczytał podpis pod fotografią:
Claudette Thodore 5 lat, 10/1994

— Zaginęła miesiąc po chłopcu. Thodore? To także nazwisko księdza?

— Tak. Nazywam się Alexandre Thodore. Claudette jest córką mojego brata, Caspara. Dam panu jego adres i numer telefonu. Caspar mieszka w Port-au-Prince.

Ksiądz wyciągnął z kieszeni mały notes i zapisał informacje. Następnie wydarł z notesu kartkę i podał ją Maksowi.

— Czy brat księdza opowiedział, co się wydarzyło?

— Cóż, jednego dnia bawił się z córką, a drugiego już musiał jej szukać.

— Zrobię, co w mojej mocy, żeby ją odnaleźć.

— Nie wątpię w to — powiedział ksiądz. — A jeśli chodzi o dzieci na Haiti, to wymyśliły przezwisko dla straszdyła, które je porywa. Tonton Clarinette. Pan Klarnet.

— Klarnet? Jak instrument muzyczny? Dlaczego?

— To dzięki temu instrumentowi wabi dzieci do siebie.

— Jak Szczurołap z Hamelin?

— Mówi się, że Tonton Clarinette pracuje dla Barona Sa-mediego. To w religii voodoo bóg śmierci. Kradnie dziecięce dusze, żeby zabawiać nimi innych zmarłych. Ludzie mówią, że w połowie wygląda jak ptak, a w połowie jak człowiek. Niektórzy twierdzą, że jest po prostu ptakiem z jednym okiem. Jedynie dzieci są w stanie go zobaczyć. To dlatego, że sam był dzieckiem, kiedy umarł. Przypowieść mówi, że był żołnierzem we francuskim oddziale, a właściwie maskotką francuskich żołnierzy. W swoim czasie w wojsku było wiele takich dzieci, przypisanych do różnych oddziałów. Służył w jednym z pułków, które w XVIII wieku wysłano na Haiti, aby utrzymywały na wyspie porządek. Zabawiał żołnierzy, grając dla nich na klarnecie. Niewolnicy pracujący na polu często słyszeli jego grę i byli na niego bardzo źli, ponieważ muzyka klarnetu przypominała im o ich własnej niewoli i biedzie. Wreszcie niewolnicy zbuntowali się, w krwawej walce pokonali pułk chłopca i wielu żołnierzy wzięli do niewoli. A potem kazali chłopcu grać na klarnecie, kiedy mordowali jeńców z zimną krwią, jednego po drugim. Na koniec, zakopali chłopca żywcem. Do ostatniej chwili musiał im grać — mówił Thodore grobowym głosem. Opowiedział legendę, ale widać było, że podchodzi do niej bardzo serio. — To jest stosunkowo nowe wierzenie. Kiedy dorastałem, jeszcze o nim nie słyszałem. Ludzie zaczęli opowiadać o Panu Klarnecie dopiero jakieś dwadzieścia lat temu. Mówią, że gdziekolwiek się pojawi, zawsze zostawia po sobie ślad.

— Jaki ślad?

— Nigdy takiego śladu nie widziałem, ale podobno wygląda jak krzyż, który ma rozgałęzienie na dwie nogi, połączone półpromieniem.

— Powiedział ksiądz, że dzieci „zawsze” znikają na Haiti. Wie ksiądz, jak jest teraz? Ile ich znika w ciągu roku?

— Nie sposób odgadnąć. — Thodore rozłożył ręce, aby podkreślić beznadziejność takiej próby. — Haiti to nie Miami. Tam nawet nie ma gdzie i komu zgłaszać takich zaginięć. Poza tym biedota nie rejestruje urodzeń, większość ludzi nie posiada metryk urodzenia i nie istnieją akty zgonu; takie rzeczy są zarezerwowane tylko dla bogatych. A niemal wszystkie dzieci, które znikają, pochodzą z biedoty. Kiedy takie dziecko pewnego dnia zaginie, w gruncie rzeczy jest tak, jakby praktycznie nigdy nie istniało. Ale po zaginięciu syna Allaina Car-vera sytuacja trochę się zmieniła. To dziecko bogatych ludzi. Dzięki temu zdarzeniu ktoś wreszcie zwrócił uwagę na prob-

- 88 -

- 89 -

lem. Tak samo jest tutaj, w Miami. Jeśli zaginie czarne dziecko, nikt się tym nie przejmuje. Szuka go może jeden, może dwóch policjantów, ale i tak bez większego przekonania. Ale jeżeli zaginie dziecko o białej skórze, zaczyna go szukać nawet Gwardia Narodowa.

— Z całym szacunkiem, ojczy, ale to nie jest do końca prawda, mimo że czasami może tak to wyglądać — powiedział Max, starając się zachować spokój. — I na pewno nigdy tak się nie działo, kiedy ja byłem gliniarzem. Byłem nim tutaj, w Miami. Wtedy tak się nigdy nie działo.

Ksiądz przez chwilę uważnie mu się przyglądał. Sam miał oczy gliniarza, takie, które na odległość potrafią odróżnić szczerą od kłamstwa i bredni. Podał Maksowi rękę. Pożegnali się uściskiem dłoni. Na odchodnym ojciec Thodore pobłogosławił jeszcze Maksa i życzył mu powodzenia.

— Niech pan ją sprowadzi z powrotem — wyszeptał.

Część druga

Samolot na Haiti był opóźniony o godzinę, gdyż musiał czekać na jakiegoś więźnia, którego do ojczyzny eskortowało dwóch zastępców szeryfa.

Wnętrze maszyny było zatłoczone do wszelkich możliwych granic. Haitańczycy, głównie mężczyźni, wracali do domów z zakupów w Ameryce, z torbami pełnymi żywności, mydeł, ubrań oraz z mnóstwem kartonów pełnych taniego sprzętu elektronicznego — odbiorników telewizyjnych

i radiowych, odtwarzaczy wideo, wentylatorów, kuchenek mikrofalowych, komputerów i dużych radiomagnetofonów tranzystorowych. Z wielkim trudem upychali swoje zdobycze na półkach bagażowych nad głowami albo wsuwali je pod fotele lub, jeśli już nie pasowały w żadne inne miejsca, pozostawiali je po prostu w przejściach między fotelami, naruszając wszelkie możliwe przepisy bezpieczeństwa.

Stewardessy jednak nie marudziły. Zdawały się do tego przyzwyczajone. Wyprostowane, z zawodowymi uśmiechami przyklejonymi do ust, poruszały się wśród kartonowych przeszkód z zadziwiającą wprawą.

Oprócz mieszkańców wyspy, Max wyławiał wzrokiem z tłumu pasażerów wracających do domu tych Haitańczyków, którzy od dawna mieszkali na obczyźnie. Ci pierwsi standardowo poobwieszani byli złotymi łańcuchami, złotymi kolczykami i bransoletami. Zwykle mieli na sobie więcej złota, niż posiadali pieniędzy na kontach bankowych. Ci drudzy zazwyczaj

- 91 -

ubrani byli bardzo konserwatywnie — tanio, lecz porządnie. Mężczyźni nosili na ogół spodnie z materiału i koszule z krótkimi rękawami, a kobiety ładnie skrojone sukienki.

Atmosfera na pokładzie była wesoła, a spóźnieniem najwyraźniej nikt się nie przejmował.

Rozmowy to były bardzo głośne, to znowu cichły. Można było odnieść wrażenie, że niemal wszyscy na pokładzie samolotu doskonale się znają. Haitańskie głosy — głębokie i gardłowe — kolektywnie zagłuszały muzykę z głośników i wszystkie kolejne komunikaty pilotów.

— Większość tych ludzi mieszka w domach, w których nie ma elektryczności — powiedziała kobieta siedząca przy oknie obok Maksa. — Nakupowali te wszystkie urządzenia jako ozdoby, symbole własnego statusu, tak jak my kupujemy rzeźby albo obrazy.

Nazywała się Wendy Abbott. Mieszkała na Haiti z mężem, George'em, od trzydziestu pięciu lat. W górach otaczających Port-au-Prince prowadzili szkołę podstawową. Chodziły do niej zarówno biedne, jak i bogate dzieci. Rodzice bogatych płacili za naukę gotówką, a rodzice biednych — w naturze. Przeważały bogate, gdyż tylko nieliczni biedni ludzie na Haiti wierzyli w sens edukacji i jej przydatność w życiu. Wielu uczniów Wendy uczęszczało później do Union School, gdzie wychowywano je po amerykańsku, albo do droższej i bardziej prestiżowej Lycée Français, szkoły, która przygotowywała do francuskiego licencjatu.

Max przedstawił się kobiecie i na tym poprzestał.

W środkowej części samolotu siedziało około pięćdziesięciu kanadyjskich żołnierzy, stanowiących część Korpusu Pokojowego ONZ. Tworzyli grupę młodych ludzi o różowych i białych, spoconych twarzach oraz sumiastych wąsach. Siedzieli w ciszy, spięci i jakby nieszczęśliwi w rozwrzeszczanej gromadzie Haitańczyków, którym wkrótce bądź co bądź mieli wszechstronnie pomagać. Patrząc na ich miny, można

- 92 -

było dojść do wniosku, że na wyspie będzie dokładnie odwrotnie.

Wreszcie, pobrękując ciężkimi łańcuchami, którymi był skuty, na pokład wszedł haitański więzień, prowadzony przez dwóch eskortujących go Amerykanów. Max zlustrował go wzrokiem: ubrany był w ciężkie drelichowe spodnie bez paska i luźną białą koszulkę, na głowę założył niebiesko-białą przepaskę, nie miał jednak żadnej biżuterii ani tatuaży. Sprawiał wrażenie gangstera małego kalibru, zapewne nakrytego na sprzedaży koki albo ujętego po pierwszym zabójstwie, kiedy jeszcze wprost śmierdział dymem ze spalonego prochu. W hierarchii swojego gangu najprawdopodobniej nie zdążył dotrzeć nawet do drugiego szczebla. Był w więziennym stroju, gdyż odbywając karę, przypuszczalnie pracował fizycznie i po prostu wyrósł z ubrania, w którym stawał przed sądem. Starał się trzymać prosto i dumnie, zachowywać obojętność, ale Max bezbłędnie wyczytał z jego oczu, że dopiero teraz, ujrawszy rozgadany tłum na pokładzie samolotu, więzień przyjął do wiadomości, iż wkrótce będzie wolny. Zapewne po usłyszeniu wyroku spodziewał się, że dożyje swoich dni w amerykańskim więzieniu.

Haitańczycy zignorowali go, jednak Kanadyjczycy poświęcili mu całą uwagę, bez reszty.

Obserwowali też zastępców szeryfa, jakby się spodziewali, że któryś z nich stanie przed nimi i wyjaśni, co się dzieje.

Oczywiście, żaden tego nie zrobił. Jeden zaczął natomiast rozmawiać ze stewardessą. Chciał z więźniem i drugim zastępcą szeryfa zająć trzy fotele w środkowym rzędzie najbliższej drzwi, miejsca te były jednak zajęte i stewardesa zaprotestowała. Wtedy funkcjonariusz wyciągnął z kieszeni jakiś papier i podsunął jej przed oczy. Stewardesa wzięła dokument do ręki, przeczytała i po chwili zniknęła za przepierzeniem, które miała za plecami.

— Zastanawiam się, czy on wie, jaką stanowi zniewagę dla swojego dziedzictwa... Żeby wracać na Haiti tak, jak przybyli

- 93 -

tam jego protoplaści... w łańcuchach? — odezwała się Wendy, patrząc na więźnia.

— Proszę pani, moim zdaniem głównie go obchodzi to całe dziedzictwo — odparł Max.

Aż do tej chwili więzień wpatrywał się w jakiś neutralny punkt, nie skupiając wzroku na niczym ani na nikim w szczególności, musiał jednak poczuć na sobie spojrzenia Maksa i Wendy, ponieważ popatrzył w ich kierunku. Wendy opuściła głowę niemal w tej samej chwili, w której napotkała jego wzrok, lecz Max ani myślał postąpić podobnie. Więzień natychmiast rozpoznał osobnika swojego pokroju, lekko się uśmiechnął i skinął Maksowi głową. Max niemal odruchowo odpowiedział mu podobnym skinieniem.

Nic takiego nie wydarzyłoby się w więzieniu — czarni skazańcy nie kłaniali się białym skazańcom, chyba że znali się z jakiegoś wspólnego handlu. A czym można tam było handlować? Zazwyczaj narkotykami albo seksem. Poza takimi okazjami za kratami różne rasy zawsze były w stanie wojny. Białymi gardzili i czarni, i Latynosi, widząc w nich symbole tego wszystkiego, co ich gnębiło od dnia urodzenia. Podobne uprzedzenia, oparte na nienawiści i strachu, sprawiały, że człowiek zachowywał w więzieniu bezustanną czujność i był w stanie przeżyć.

Stewardesa wróciła i powiedziała trojgu ludziom siedzącym w pierwszym frontowym rzędzie, że muszą się przesiąść. Pasażerowie zaczęli protestować, ale uspokoiła ich deklaracją, że odbędą podróż w pierwszej klasie, dostaną za darmo szampana i więcej miejsca na wyprostowanie nóg. To zapewnienie wystarczyło, by poderwali się i zaczęli zbierać swoje bagaże. Dopiero teraz Max zauważył, że cała trójka to siostry zakonne.

Zastępcy szeryfa posadzili więźnia w środkowym fotelu i zajęli miejsca po obu jego stronach. Po dziesięciu minutach samolot wystartował z Miami International.

- 94 -

Mając kształt kleszczy homara, choć nieco uszkodzonych, Haiti wyglądało z powietrza zupełnie nie na swoim miejscu po widokach bujnej zieleni Kuby i innych, pomniejszych wysp, które minął samolot. Wyszuszony i jakby kwaśny, kraj wydawał się całkowicie pozbawiony trawy i roślin liściastych. Kiedy samolot zawisł tuż nad granicą Haiti z Republiką Dominikany, można było bardzo łatwo dostrzec, w którym miejscu oba narody podzieliły pomiędzy siebie wyspę. Granicę stanowił szeroki pas nieużytków. Po dominikańskiej stronie znajdowała się soczysta oaza, a po haitańskiej ziemia wyschnięta na kamień.

Poprzedniej nocy Max nie spał zbyt wiele. Późnym wieczorem był w biurze Joe'ego, najpierw kopiując stare akta Solomona Boukmana i SNBC, a następnie przeglądając w bazie danych informacje na temat byłych członków gangu.

Boukman, mimo że był założycielem SNBC, robił w klubie bardzo niewiele. Miał dwunastu zastępców, bezgranicznie lojalnych wobec niego oraz równie bezwzględnych i bezlitosnych. Sześciu spośród nich już nie żyło — na dwóch wykonano wyroki śmierci na Florydzie, na jednym w Teksasie, dwóch zastrzelili policjanci, jeden został zamordowany w więzieniu. Kolejny odsiadywał wyrok od dwudziestu pięciu lat do dożywocia w więzieniu dla najbardziej niebezpiecznych przestępców, a pozostałych pięciu deportowano na Haiti pomiędzy marcem 1995 a majem 1996 roku.

Rudy Crevecoeur, Jean Desgrottes, Salazar Faustin i Don Moise byli najbardziej odrażającymi spośród podwładnych Boukmana. Byli jego zbrojnymi ramionami, to oni nadzorowali działalność gangu i to oni pilnowali, żeby nikt nie kradł, nie ściągał haraczy ani nie zabijał wtedy, kiedy nie powinien. Moise, Crevecoeur i Desgrottes byli też bezpośrednio odpo-

95 -

wiedzialni za porwania dzieci, które Boukman poświęcał w czasie ceremonii rytualnych. Salazar Faustin z kolei odpowiadał za wszystkie operacje SNBC na Florydzie związane z narkotykami. Wcześniej był członkiem Tonton Macoute, prywatnej milicji Duvaliera, i działając w gangu, wykorzystywał swoje koneksje na Haiti, aby zorganizować wydajną siatkę przemytników kokainy, służącą szmuglowaniu tego narkotyku do Miami. Kupowano ją bezpośrednio od boliwijskich producentów, a następnie transportowano — na pokładzie dwuosobowych samolotów pasażerskich — na Haiti. Samoloty te lądowały na tajnych lądowiskach na północy kraju. Tam zmieniał się pilot, samolot tankowano, po czym natychmiast odlatywał do Miami. Amerykańskie władze celne nie zadawały sobie trudu, żeby taki samolot dokładnie sprawdzić, ponieważ przylatywał przecież jedynie z Haiti, a nie ze strefy, gdzie produkowano narkotyki. W Miami kokainę transportowano do Sunset Marquee, taniego hotelu w South Beach, który był własnością Faustina i jego matki, Marie-Felize. Tam, w piwnicy, kokainę porcjowano, po czym otrzymywali ją do sprzedaży uliczni dealerzy związani z SNBC. Dystrybucja obejmowała zasięgiem całą Florydę. Zarówno Salazar, jak i Marie-Felize Faustin otrzymali za handel narkotykami wyroki dożywotniego więzienia. Deportowano ich z USA tego samego dnia, 8 sierpnia 1995 roku. Ich spotkanie na lotnisku, po długiej rozłące spowodowanej odsiadką w amerykańskich więzieniach, podobno było bardzo wzruszające.

Samolot wylądował za piętnaście trzecia po południu. Obsługa naziemna przyciągnęła do drzwi maszyny białą drabinę na kołach. Pasażerowie musieli przejść pieszo dystans pomiędzy samolotem a budynkiem lotniska — byle jaką prostokątną bryłą o popękanych białych murach. Z tej bryły po prawej stronie wynurzała się wieża kontroli lotów z napisem Witamy w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Port-au-Prince, wymalowanym nad drzwiami od strony płyty lotniska brzydkimi dużymi literami.

Pilot poprosił pasażerów, żeby pozwolili najpierw wyjść z samolotu więźniowi.

Drzwi otworzyły się. Zastępcy szeryfa, teraz obaj w ciemnych okularach, wstali razem z więźniem i wyprowadzili go na zewnątrz.

Kiedy Max stanął w drzwiach samolotu, zdziwiło go ogromne gorąco, które natychmiast przykryło go grubym kocem, nieprzepuszczającym powietrza. Po chwili do jego ciała nie docierał już przez ten koc żaden najslabszy choćby podmuch powietrza. W porównaniu z Haiti nawet najbardziej upalne dni na Florydzie wydawały się stosunkowo chłodne.

Zszedł na płytę lotniska zaraz za Wendy, z ciężką torbą w ręce, wdychając powietrze, które przywodziło na myśl gorącą parę, i pocąc się wszystkimi porami skóry.

Maszerując obok siebie, oboje ruszyli za pozostałymi pasażerami w kierunku terminalu. Wendy zauważyła, że policzki Maksa poczerwieniały, a na jego czole pojawiła się warstwa potu.

— Ma pan szczęście, że nie wylądował pan tu w środku lata - powiedziała. — Wtedy człowiek czuje się tak, jakby w grubym futrze wstępował do piekła.

Płytę lotniska wypełniało mnóstwo żołnierzy, przede wszystkim amerykańscy marines w mundurach z krótkimi rękawami, ładujący na ciężarówki skrzynie i kartony, rozluźnieni i nigdzie się nieśpieszący. Wyspa należała teraz do nich — tak długo, jak długo będą chcieli.

Z przodu Max dostrzegł zastępców szeryfa, którzy właśnie przekazywali więźnia trzem Haitańczykom w cywilnych

- 96 -

- 97 -

ubraniach, uzbrojonym w karabiny. Jeden z zastępców przyklęknął i zapewne zdjął kajdany z kostek więźnia. Z miejsca, w którym znajdował się Max, wyglądało to tak, jakby poprawił sobie sznurowadła w butach. Po chwili ruchem ręki pokazał Haitańczykom, że więzień należy do nich. Kiedy tylko więzień został rozkuty, zastępcy szeryfa wsiedli do czekającego na nich wojskowego dżipa armii USA i odjechali z powrotem do samolotu. Tymczasem trzej Haitańczycy zaczęli rozmawiać z więźniem, który przez chwilę intensywnie masował sobie kostki u nóg i przeguby rąk. Kiedy skończył, cała czwórka zniknęła w bocznych drzwiach terminalu. Dobiegała stamtąd głośnie muzyka. Tuż przy drzwiach stał pięcioosobowy zespół i grał umiarkowanie skoczną miejscową

melodię. Max nie rozumiał słów piosenki, ale odnosił wrażenie, że jej treść płynie z głębi serca i jest raczej smutna.

Muzycy byli już w podeszłym wieku, wychudzeni i ubrani w tanie plażowe koszule, jakie sprzedawano w Miami, ozdobione rysunkami palm na tle zachodzącego słońca. Jeden z nich grał na bongo, drugi na gitarze basowej, kolejny na instrumentach klawiszowych. Był jeszcze gitarzysta i wokalista. Instrumenty i mikrofony mieli podłączone do wzmacniaczy ustawionych przy ścianie. Max zobaczył, że niektórzy podróżni zaczęli kołysać się w rytm ich muzyki, a znaleźli się nawet tacy, którzy razem z nimi śpiewali.

— Ten utwór ma tytuł Haiti, Ma Chérie. To żale nad losem wygnańców — wyjaśniła Wendy, kiedy mijali zespół i dotarli do miejsca, gdzie grupa przybyszów musiała się podzielić na dwie części: jedną, składającą się tylko z obywateli Haiti, i drugą, skupiającą wszystkich pozostałych.

— Tu się pożegnamy — powiedziała Wendy do Maksa. — Mam podwójne obywatelstwo. Czasami to pozwala unikać kolejek i nadmiernej biurokracji.

Pożegnali się Uściskiem dłoni.

- 98 -

— Aha, niech pan uważa na taśmę z bagażem — dodała jeszcze, kiedy skierowali się do kontroli paszportowej. — Nie zmienili jej od 1965 roku i strasznie niszczy walizki.

Kiedy w końcu urzędnik ostemplował mu paszport wielką I czerwoną pieczętą, Max mógł wejść do hali przylotów, w rzeczywistości znajdującej się w tym samym olbrzymim pomieszczeniu, które służyło za halę odlotów, w której dokonywano odprawy celnej, sprzedawano bilety i wypożyczano samochody, i w której znajdowały się punkty informacji turystycznej i wszystkie wyjścia z terminalu oraz wejścia na jego teren. Panował tu nieprawdopodobny ścisk — mnóstwo rozwrzeszcza-nych młodych i starych ludzi, kobiet i mężczyzn, przepychało się i biegało we wszystkich kierunkach. Max dostrzegł nawet kurczaka, zagubionego w tłumie, błądzącego tu i tam, dziko trzepoczącego skrzydłami, gładającego z przerażeniem i co chwilę brudzącego posadzkę. Wkrótce zaczął go ścigać jakiś mężczyzna. Zanim go dopadł, biegał w tłumie z rozpostartymi rękami, odtrącając każdego, kto nie zszedł mu z drogi. Max zatelefonował do Carvera, jeszcze zanim wszedł na

pokład samolotu. Podał mu numer lotu i planowaną godzinę przylotu. Usłyszał, że ktoś będzie na niego czekał. Teraz jednak na próżno wypatrywał kogoś nieznanego, trzymającego nad głową tabliczkę z jego nazwiskiem.

W pewnym momencie po lewej stronie zauważył jakieś nadzwyczajne poruszenie. Potężny tłum zaczął się gromadzić przy końcu obszaru przylotów. Wszyscy popychali się, wszyscy krzyczeli i wszyscy byli niezwykle nerwowi. Po chwili

li Max zrozumiał, co jest tego powodem. Właśnie ruszyła taśma z bagażami.

Cóż, musiał odebrać swoją walizkę.

Skierował się prosto do taśmy, początkowo starając się delikatnie odsuwać ludzi, którzy zastawiali mu drogę, jed-

99 -

nak gdy zrozumiał, że w ten sposób ani trochę nie zbliży się do celu, zmienił taktykę i postanowił zachowywać się tak jak wszyscy Haitańczycy. Zmierzając po bagaż, zaczął energicznie roztrącać tych, którzy mu przeszkadzali, na prawo i lewo rozdawać kuksańce oraz rozpychać się ramionami. Zatrzymał się tylko raz, aby nie nadepnąć na kurczaka i jego właściciela.

Dotarł do gęstego tłumu przed taśmą bagażową i błyskawicznie dał nura pomiędzy nogami ludzi, zyskując widok na bagaże. Na pierwszy rzut oka taśma w ogóle się nie poruszała i sprawiała wrażenie, jakby nie funkcjonowała już od wielu lat. Jej chromowane boki były podziurawione przez nity, których większość dawno powypadała, pozostawiając po sobie ostre brzegi, niebezpiecznie powyginane na zewnątrz. Pas transmisyjny, kiedyś z czarnej gumy, obecnie przetarty był aż do stalowych talerzy. Jedyne gdzieś widać było nędzne resztki oryginalnego gumowego pokrycia, uparcie do nich przyklejonego.

Pas bagażowy wydawał się najważniejszym miejscem w sali z wysokimi i brudnymi ścianami, kiedyś zapewne śnieżnobiałymi, z marmurową podłogą i wielkimi wentylatorami, zwisającymi z

sufitu. Wentylatory ledwie poruszały powietrze i praktycznie nie rozpraszały gorąca, za to wyglądały tak, jakby lada moment miały poodrywać się od sufitu i poodcinać głowy ludzi znajdujących się pod nimi.

Kiedy Max uważniej popatrzył na taśmę, zdał sobie sprawę, że się jednak poruszała i bagaż powoli się przemieszczał, ale był to ruch zaiste ślimaczy.

Wokół taśmy zgromadziło się znacznie więcej ludzi niż było w samolocie, którym przyleciał Max. Większość przyszła po prostu, żeby kraść bagaż. Max z wprawą zawodowca zaczął obserwować tłum, odróżniając autentycznych pasażerów od złodziei. Złodzieje bezmyślnie łapali pierwszą lepszą walizkę, jaka tylko znalazła się w ich zasięgu. Ale prawowici właścicie-

- 100 -

le zaraz łapali za ręce złodziei i po krótkiej, acz gwałtownej szamotaninie, wydzielali swoją własność. Złodzieje próbowali walczyć o łup, ale dość szybko poddawali się i kontynuowali polowanie, szukając szczęścia przy innej sztuce bagażu. Panowała wolna amerykanka. Dookoła nie było widać ani policjantów, ani żadnych ochroniarzy.

Max uznał, że lepiej nie zaczynać wizyty na Haiti od znokautowania kogoś, niezależnie od tego jak bardzo usprawiedliwione byłoby to działanie. Przedzierał się wzdłuż tłumy tak długo, dopóki nie znalazł się jak najbliżej luku, z którego wylaniały się bagaże.

Minęła wieczność, zanim ukazała się jego czarna walizka Samsonite. Zacisnął dłoń na jej uchwycie i zaczął energicznie wycofywać się z tłumy.

Kiedy znalazł się w jako tako spokojnym miejscu, znowu zobaczył kurczaka. Jego właściciel zdążył zawiązać mu dookoła szyi sznur i teraz ciągnął go w kierunku wyjścia.

— Pan Mingus? — zapytała jakaś kobieta za jego plecami.."-

Max odwrócił się. Najpierw zauważył jej usta, o szerokich, mięsistych, wydętych wargach, oraz białe zęby.

— Jestem Chantale Duplaix — kontynuowała kobieta. — Wysłał mnie pan Carver, żebym pana stąd odebrała — dodała, wyciągając na powitanie rękę.

— Witam, mam na imię Max — odparł i potrząsnął jej dłonią; była drobna i wyglądała na delikatną, jednak skóra na niej była szorstka, a uścisk okazał się zdecydowany i mocny.

Chantale była bardzo piękna i Max nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Miała jasnobrażową skórę z kilkoma ciemniejszymi kropkami przy nosie i na policzkach, wielkie oczy o kolorze ciemnego miodu i proste, czarne włosy, sięgające ramion. W butach na wysokich obcasach była trochę niższa od Maksa. Ubrana była w ciemnoniebieską spódnicę do kolan i luźną bluzkę z krótkimi rękawami.

Górny guzik bluzki

101

był odpięty, ukazując na szyi cienki złoty łańcuszek. Kobieta wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat.

— Przepraszam za kłopot z bagażem. Co prawda byliśmy gotowi ci pomóc, Max, ale doskonale dałeś sobie radę.

— Nie macie tu żadnej ochrony? — zapytał Max.

— Kiedyś mieliśmy. Ale to wy odebraliście nam broń — odparła Chantale z naciskiem. Jej oczy pociemniały, a głos stał się twardszy. Max spróbował sobie wyobrazić, co się dzieje, kiedy ta kobieta wpada w prawdziwą złość. — Wasza armia nas rozbroiła — kontynuowała Chantale, jakby spodziewała się, że Max jej nie zrozumiał. — Nie zdołała pojąć, że jedyna władza, jaką szanują Haitańczycy, to władza z bronią.

Max nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie znał na tyle sytuacji politycznej na Haiti, by w jakikolwiek rozsądny sposób skomentować słowa dziewczyny. Wiedział jedynie, że znaczna część cywilizowanego świata zniechęciła Amerykanów za interwencję na wyspie. No i rozumiał, że w związku z tym, iż Amerykanie byli na Haiti okupantami, będzie musiał bardzo się starać, aby Chantale go nie tylko zaakceptowała, ale i polubiła.

— No, ale dajmy sobie z tym spokój — powiedziała dziewczyna, obdarzając go szerokim, jasnym uśmiechem. Po prawej stronie jej ust, na wysokości dolnej wargi, Max zauważył seksowny pieprzyk. — Witamy na Haiti.

Max skinął głową z nadzieją, że ten gest nie zostanie odebrany jako sarkazm. Zmienił zdanie i uznał, że Chantale nie ma dwudziestu pięciu lat i jest raczej bliżej trzydziestki. W jej zachowaniu, samokontroli, widać było dojrzałość, umiejętność dyplomatycznego zachowania, którą nabywa się przez lata doświadczenia.

Poprowadziła go do stanowiska kontroli celnej — dwóch stolików, przy których każdy przylatujący musiał otwierać walizki i poddać je kontroli. Dopiero teraz Max spostrzegł dwóch wysokich mężczyzn, którzy im towarzyszyli, zachowu-

jąc dystans i czujnie rozglądając się na boki. Mieli wąsy, okulary przeciwsłoneczne i znaczące wybrzuszenia na bokach, niepozostawiające wątpliwości, że pod luźnymi koszulami, wypuszczonymi na spodnie, noszą broń.

Chantale uśmiechnęła się do pary celników, którzy odpowiedzieli jej uśmiechami i przepuścili ją i całą czteroosobową grupę bez żadnej kontroli. Patrzyli za nią, dopóki nie znikła im z pola widzenia. Max nie mógł się powstrzymać i znalazłszy się za plecami dziewczyny, również uważnie zlustrował jej postać. Od razu zrozumiał celników i aż cicho gwizdnął. Chantale miała szerokie ramiona, proste plecy i elegancką szyję. Miała też wąskie kostki i kształtne łydki. Niewątpliwie dbała o siebie, dużo biegała i ćwiczyła na siłowni. Jej tyłek miał wręcz perfekcyjny kształt — był wysoki, jędrny, okrągły i twardy.

Wyszli z budynku lotniska i skierowali się ku dwóm granatowym terenowym toyotom, zaparkowanym jedna za drugą. Chantale wsiadła do pierwszej z nich i otworzyła bagażnik, żeby Max mógł umieścić w nim walizkę i torbę. Eskortujący ich mężczyźni zajęli miejsca w drugim samochodzie.

Max usiadł obok Chantale. Dziewczyna włączyła klimatyzację. Ciężki pot, który przylgnał do Maksa na gorącym lotnisku, zaczął szybko schnąć.

Popatrzył przez szybę w kierunku drzwi wejściowych do terminalu i dostrzegł, że więzień, który podróżował jego samolotem, stoi przy nich, wciąż drapie się po przegubach i rozgląda na prawo i lewo. Wyglądał na zagubionego i nieszczęśliwego, jakby tęsknił za swoją celą, za bezpieczeństwem, które oferowała, i jasnymi regułami postępowania. Odezwała się do niego kobieta, siedząca na ziemi ze skrzyżowanymi nogami w brudnych tenisówkach. W pewnej chwili więzień wzruszył ramionami i w geście bezradności pokazał jej otwartą dłoń. Na jego twarzy widać było zmartwienie, które powoli przeradzało się w strach. Gdyby go teraz widzieli kumple z celi, zagubionego, zalęknionego, obcego w wolnym świecie... Max

- 102 -

- 103 -

pomyślał, że fajnie by było zagrać rolę dobrego Samarytanina i podwieźć mężczyznę do miasta, jednak zaraz porzucił pomysł. Nie dla niego towarzystwo. Owszem, sam był wiele lat w więzieniu, ale nie uważał się za kryminalistę. Chantale jakby odgadła jego myśli.

— Zaraz go ktoś stąd zabierze — powiedziała. — Wyślą po niego samochód, tak jak my po ciebie.

— Kto wyśle ten samochód?

— Zależy, komu wierzyć. Niektórzy mówią, że w kraju działa organizacja byłych więźniów amerykańskich, prawie jak związek zawodowy. Kiedy ktoś wraca z więzienia w USA, natychmiast jest odbierany przez tę organizację z lotniska i przyjmowany do nowego gangu. Inni twierdzą, że nic takiego nie istnieje i że takimi osobnikami zajmuje się Vincent Paul.

— Vincent Paul?

— Le Roi de Cité Soleil, Król Cité Soleil. Cité Soleil to największe slumsy w kraju. Znajdują się niedaleko Port-au-Prince. Mówi się, że kto rządzi Cité Soleil, rządzi całym Haiti. Wszystkie zmiany w rządzie miały swój początek właśnie tam, nie wykluczając upadku Jeana-Claude'a Duvaliera.

— Czy to Paul za tym stał?

— Ludzie opowiadają różne rzeczy. Tutaj mówi się naprawdę dużo. Często jest to tylko pusta gadanina. Przez tę skłonność do gadania i lenistwa nasza gospodarka wygląda tak, jak wygląda. Nie ma pracy. Nie ma co robić. Ludzie mają więcej czasu niż sensu w życiu. Sam zobaczysz — powiedziała Chantale, potrząsając głową.

— A gdybym chciał spotkać się z Vincentem Paulem?

— Sam przyjdzie do ciebie, jeśli uzna to za konieczne.

— Zrobi to? — zapytał Max i zaraz pomyślał o Beesonie. Czy także jego Chantale odebrała z lotniska? Wiedziała, co się z nim stało?

— Kto to może wiedzieć? Może to rzeczywiście on stoi za wszystkim, co się dzieje na Haiti, a może nie on? Vincent

Paul nie jest jedyną osobą, która nienawidzi rodziny Carve-rów. Mają wielu wrogów.

— A ty ich nienawidzisz?

— Nie — odparła Chantale i roześmiała się. Popatrzyła Maksowi prosto w oczy. Miała prześliczne

oczy
łani i wiele mówiący śmiech — głośny, lekko skrzeczący rehot, trochę wulgarny i bardzo seksowny. Był to śmiech dziewczyny, która lubiła alkohol, narkotyki i wprost uwielbiała pieprzyć się z nieznanymi mężczyznami. Włączyła silnik i odjechali.

8

Droga z lotniska była długa, mlecznoszara i pełna kurzu. Jej nawierzchnię przecinały pęknięcia, zagłębienia, szczyrby, a czasami także dziury i kratery różnych rozmiarów i różnej głębokości. Było cudem, że droga jeszcze się nie rozpadła i nie zamieniła w gruntową.

Chantale prowadziła sprawnie, umiejętnie omijając największe dziury i zwalniając, kiedy musiała przejechać w poprzek przez mniejsze. Wszystkie samochody przed nimi i jadące z naprzeciwka zachowywały się w taki sam sposób. Chwilami można było odnieść wrażenie, że za kierownicami siedzą wyłącznie pijani kierowcy.

— Pierwszy raz na Haiti? — zapytała.

— Tak. Mam nadzieję, że nie wszędzie jest tak jak na lotnisku.

— Bywa gorzej. — Roześmiała się. — Ale damy sobie radę. Wyglądało na to, że po Haiti jeżdżą tylko dwa rodzaje

samochodów: luksusowe i skrajnie zdezelowane. Max dostrzegał przez szybę mercedesy, bmw, lexusy i mnóstwo džipów. W pewnej chwili zobaczył nawet bentleya, a zaraz za nim lśniącego rolls-royce'a. Jednak na każdy taki pojazd

104 -

- 105 -

przypadały dziesiątki pordzewiałych gruchotów, dymiących z rur wydechowych dymem czarnym jak smoła, ciężarówek i furgonetek, których przedziały ładunkowe były pełne ludzi, podróżujących zresztą nawet na dachach tych pojazdów, nie wspominając tych, którzy wisieli po bokach na ich stopniach i wykorzystywali dosłownie wszystkie uchwyty i występy z boku, z tyłu i na maskach pojazdów. Z kolei stare kombi upstrzone były licznymi sloganami i wizerunkami świętych oraz chłopów pracujących na polach. Chantale powiedziała Maksowi, że to są taksówki, nazywane tu tap-tap. One także były przepełnione do granic możliwości ludźmi i ich bagażami — poupychanymi byle jak koszami, kartonowymi pudłami, zawiniątkami. Chwilami Max odnosił wrażenie, że w kraju nastąpiła jakaś katastrofa i wszyscy dokądś uciekają.

— Zamieszkaż w jednym z domów Carvera, w Petionville. To przedmieście Port-au-Prince, w odległości mniej więcej pół godziny jazdy do centrum. Stolica jest obecnie zbyt niebezpieczna — powiedziała Chantale. — Dom obsługuje służąca o imieniu Rubie. Jest bardzo miła i pracowita. Będzie dla ciebie gotować i prać. Nie będziesz jej w ogóle widywał, chyba że będziesz spędzał całe dni w domu. Jest wyposażony w telefon, odbiornik telewizyjny i prysznic. Ma wszystkie podstawowe wygody.

— Dzięki — odparł Max. — Na tym polega twoja praca dla Carvera?

— Na wożeniu jego gości? — Chantale lekko się uśmiechnęła. — Nie, to wyjątkowe zadanie.

Pracuję w zespole Allai-na. Powiedział, że jeśli cię przywiozę, przez resztę dnia będę miała wolne.

Droga rozwidliła się i samochód jechał teraz przez, zdawałoby się, bezkresny płaskowyż, zakurzony, porośnięty gdzieniegdzie cienką, żółtawą trawą. Wkrótce jednak sceneria zaczęła się zmieniać. Po lewej stronie Max zauważył ciemne góry i nisko nad nimi wiszące chmury, tak bliskie ich szczytów, jakby urwały się z niebiańskich

cum i zaczęły szybko opadać, zagrażając ziemi. Od czasu do czasu przy drodze pojawiały się znaki w kształcie lizaków, czarno-białe, zakazujące jazdy szybszej niż 60, 70, 80, 90 kilometrów na godzinę, lecz nikt nie zwracał na nie nadmiernej uwagi. Wszyscy też jeździli środkiem drogi, chyba że z naprzeciwka pojawiał się większy i cięższy pojazd, któremu, chcąc nie chcąc, trzeba było ustąpić miejsca. Chantale jechała ze stałą prędkością, równo siedemdziesiąt na godzinę.

Przy drodze stały także kolorowe billboardy, wysokie na trzydzieści stóp i szerokie na sześćdziesiąt, reklamujące międzynarodowe i jakieś lokalne marki. Pomiedzy nimi rozmieszczono mniejsze i węższe tablice, z reklamami banków, stacji radiowych i miejscowych gier liczbowych. Czasami na billboardzie pokazywała się twarz Charliego Carvera. Dziecko sprawiało wrażenie zastraszonego, pustym wzrokiem wpatrywało się w dal, a pod jego wizerunkiem widniał napis, wypisany czarno-białymi literami: „NAGRODA \$ 1,000,000”. Po prawej stronie natomiast zapisano numer telefonu, z którego mógł korzystać każdy informator.

— Od jak dawna tak stoją? — zapytał Max, kiedy mijali pierwszy wizerunek Charliego.

— Od dwóch lat — odparła Chantale. — Są zmieniane co dwa miesiące, ponieważ tracą kolory.

— Zakładam, że telefonów jest bardzo dużo.

— Na początku było mnóstwo, jednak się skończyły, kiedy ludzie zrozumieli, że za brednie, które opowiadają, nie dostaną żadnych pieniędzy.

— Jaki był Charlie?

— Widziałam go tylko raz, w domu Carvera, przed inwazją. Był wtedy niemowlakiem.

— Rozumiem, że pan Carver oddziela życie prywatne i zawodowe grubą zasłoną.

- 106 -

107

— Na Haiti to jest niemożliwe. Ale stara się, jak może — odparła Chantale i znów poszukała oczyma jego wzroku.

W tonie jej głosu wyczuł cień rozgoryczenia. Miała fran-cusko-amerykański akcent, rzecz niemal nie do wyobrażenia. Nie mogło to jednak dziwić, skoro zapewne urodziła się i wychowała na wyspie, a kształciła gdzieś w Stanach Zjednoczonych albo w Kanadzie. Na pewno miała niemal trzydzieści lat.

Była piękna. Max bardzo chciał pocałować ją prosto w usta, posmakować jej grubych, zawsze lekko rozwartych warg. Teraz jednak szybko odwrócił głowę, nie chcąc po raz kolejny zdradzić się z myślami.

Na drodze zaczęli pojawiać się piesi, głównie mężczyźni w rozchełstanych koszulach i brudnych spodniach oraz w słomkowych kapeluszach, pilnujący żałośnie chudych, brudnych brązowych kóz albo ciągnący osiodłane osły, objuczone przeladowanymi trzciniowymi koszami. Widać było też kobiety i mężczyzn, poruszających się grupami albo pojedynczo z blaszanymi kubłami na ramionach, pełnymi wody. Wszyscy przemieszczali się bardzo powoli, chwiejnym, niepewnym krokiem. Wkrótce samochód dojechał do pierwszej wioski, grupy jednoizbowych sześciennej bud, pomalowanych na pomarańczowy, żółty lub zielony kolor, z dachami pokrytymi zardzewiałą blachą. Przy drodze siedziały kobiety, sprzedające ze stolików rozpuszczające się brązowe słodycze. Wszędzie biegały nagie dzieciaki. Jakiś mężczyzna próbował rozpalić ognisko, ale na razie zamiast ognia nad ziemię unosił się jedynie gęsty siwy dym. Po wiosce krążyły bezpańskie psy. A wszystko to działo się w żarze upalnego dnia.

Chantale włączyła radio. Max spodziewał się kolejnej mutacji Haiti, Ma Chérie, jednak ku swojemu zaskoczeniu usłyszał mechaniczne rytmy muzyki rap. Była to jakaś przeróbka Ain't Nobody, piosenki, którą uwielbiała Sandra. Teraz utwór był niemiłosiernie okaleczony przez rapera, który

nie brzmiał ani trochę lepiej niż nieskoordynowany chór więźniów z Rikers.

— Lubisz muzykę? — zapytała Chantale.

— Tak. Muzykę, owszem, lubię — odparł, patrząc na nią. Na „muzykę” położył mocny akcent. Dziewczyna poruszała głową w rytmie utworu.

— Niby jaką? Bruce'a Springsteena? — zapytała i wskazała głową na jego tatuaż.

Max nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Wyjaśnienie prawdy

O tatuażu zabraloby mu zbyt wiele czasu, a poza tym ujawniloby za duzo dodatkowych informacji na jego temat.

— Dalem to sobie zrobic z glupoty — powiedzial w koncu. — Teraz lubie rzeczy o wiele spokojniejsze. Takie tam stare melodie dla ludzi w moim wieku.

— Sinatrze? To rzeczywiscie jest stare — stwierdzila Chantale, tym razem zatrzymujac wzrok na jego twarzy i klatce piersiowej.

Zorientowal sie, gdzie patrzy. Minelo wiele czasu, odkad ostatni raz pozwolil sobie na flirt. Dawno temu wiedzial, jak rozgrywac podobne sytuacje. Wiedzial, czego chce. Teraz nie byl pewien.

— Tutaj najbardziej popularna muzyka to kompas. Skladanka. Coś jakby jedna bardzo dluga piosenka, ktora moze trwac pol godziny albo dluzej, ale tak naprawde skladajaca sie z wielu krótszych utworów, złożonych razem. Jej tempo sie zmienia. — Chantale znowu patrzyła na droge przed maską samochodu.

— Czyli taka sobie wiazanka?

— Tak, wiazanka, ale niezupełnie. Musialbys jej posluchac, zeby zrozumiec. Najpopularniejszy piosenkarz na Haiti to Slodki Micky.

— Slodki Micky? Ksywa dobra dla klauna.

— Nazywa sie Michel Marteny. Pomieszanie Boba Marleya i naszych miejscowych raperów.

- 108

- 109 -

— Interesujace. Ale nigdy o nim nie slyszalem.

— Czesto wystepuje w Miami. Pochodzisz z Miami, prawda?

— Iz innych miejsc — odparl Max i popatrzyll na twarz Chantale, chcac sie zorientowac, czy wie o nim cos jeszcze. Dziewczyna nie zareagowala.

— Jest jeszcze taki zespól, Fugees. O nich chyba slyszales?

— Nie — zaprzeczyl Max. — Graja kompas"?

Chantale wybuchla smiechem. Identycznym smiechem jak poprzednio.

Jej wulgarne rzenie zaatakowalo umysl Maksa. Wyobrazil sobie, jak ja posuwa. Nic nie mogle na to poradzie. W koncu przez osiem lat jedyną ulge przynosila mu własna reka.

Mial teraz problem — erekcje. Szybko zerknal na swoje krocze. Czlonok sterczal mu juz na kilometr; wylazl spod spodenek i ocieral sie o wewnetrzną strone nogawki, stawiajac na kroczu wysoki namiot.

— Opowiedz... Opowiedz mi cos o tych Fugitives — odezwal sie, niemal charczac.

— Fugees — poprawila go Chantale i zachichotala. Ale zaczela mowic.

Zespól skladal sie z dwóch facetów i dziewczyny, wokalistki. Chlopaki byli Amerykanami urodzonymi na Haiti, a dziewczyna — Afroamerykanką. Grali hip-hop soul, a ich ostatni album, The Score, sprzedal sie na całym świecie w kilku milionach egzemplarzy. Mieli kilka duzych przebojów zatytułowanych Ready Or Not, Fu-Gee-La czy Killing Me Softly.

— To ta piosenka Roberta Flack? — zapytal Max.

— Ta sama.

— I co, rapowana?

— Nie... Lauryn spiewa ja tak jak Roberta, a tylko Wyclef dodaje „One time... one time" przez cały czas. Rytm jest jednak hiphopowy.

— Okropienstwo.

— Wcale nie, mozesz mi wierzye — powiedziala dziewczyna, jakby chciala bronie Fugees, lecz jednoczesnie z taką wyzsoscia, jakby sie nie spodziewala, ze Max zdolaja zrozumiec. — Lauryn naprawde potrafi spiewac. Spróbujcie ich znaleze. To nic trudnego. Na Haiti stacje radiowe graja ich przez cały czas.

Zaczela przeszukiwac stacje, nadajace funk, reggae, calypso i przeboje czolowej czterdziestki na liscie Billboardu. Z glosnika co chwile slychac bylo miejscowy jezyk i muzyke hip-hop, ale Fugees Chantale nie mogla znaleze.

Kiedy sie pochybila, Max ukradkiem zerknal ku jej piersiom. Zajrzal w szpare pomiedzy zapieciami

jej bluzki: miała biały sztywny biustonosz z miseczkami obręzionymi koronką. Drobne piersi o kolorze drewna tekowego odrobinę spod niego wystawały. Max zaraz jednak dostrzegł lekki uśmiech w kącikach jej ust i zobaczył, że nieznacznie zmarszczyła nos. Doskonale wiedziała, gdzie Max patrzył — i że spodobało mu się to, co ujrzał.

— A może opowiesz mi coś o sobie? — poprosił Max. — Na przykład, gdzie studiowałaś?

— Mam magisterium z ekonomii. W 1990 roku ukończyłam Uniwersytet w Miami. Przez kilka lat pracowałam w Ci-tibanku.

— Kiedy wróciłaś na Haiti?

— Trzy lata temu. Moja mama zachorowała.

— W przeciwnym wypadku nadal siedziałabyś w USA?

— Tak. Dobrze mi się tam żyło — powiedziała dziewczyna i pod jej profesjonalnym uśmiechem pojawiła się jakby chmura żalu.

— A co robisz dla Allaina Carvera?

— Przede wszystkim jestem jego osobistą asystentką. Teraz zastanawia się nad przeniesieniem mnie do marketingu, bo chce zacząć wypuszczać karty kredytowe, jak tylko go-

- 110 -

- 111 -

spodarka się podniesie. Amerykanie niby mają nam udzielać jakiejś pomocy, ale na razie nie dostaliśmy od nich ani jednego dolara.

— Zdaje się, że za bardzo nas nie lubisz, co?

— Nie wiem, co sobie wyobrażaliście, lądując na wyspie, ale na razie wszystkie nasze sprawy jedynie pogorszyliście.

— Nie ma to jak dobry początek — powiedział Max i zaczął spoglądać przez szybę.

*

Dwadzieścia minut później wjechali do pierwszego miasta, zakurzonej dziury, pełnej poniszczonych budynków. Droga w mieście była jeszcze bardziej zniszczona niż na otwartej przestrzeni.

Toyota zwolniła, kiedy skręcili na główną ulicę. Była ogromnie zatłoczona, przede wszystkim przez biedaków, w większości bosych, poubieranych w ubrania, które przylatywały na wyspę w paczkach z międzynarodową pomocą humanitarną. Chodzili po ulicy we wszystkich kierunkach, powoli i raczej z wieloletniego przyzwyczajenia, niż z rzeczywistej potrzeby czy też śpiesząc się w konkretne miejsce. Wyglądali jak pokonana armia, naród podbity, złamany i bez przyszłości. Takie było teraz Haiti, kraj, który dopiero co zrzucił jarzmo niewolnictwa. Niektórzy pchali byle jak skrecone wózki, zwykle porzewiałe, z oponami bez powietrza, inni nieśli na głowach albo na ramionach wielkie czerwone kosze lub stare walizki. Pomiędzy ludźmi swobodnie biegały zwierzęta, jakby im równe: czarne świnie, psy o sierści wypłowiałej w słońcu, osły, niemożliwie chude kozy, krowy z wystającymi żebrami, kury i kureczaki. Taką biedę Max oglądał do tej pory jedynie w telewizji, zwykle w krótkich relacjach o głodzie w Afryce albo w migawkach ze slumsów Ameryki Południowej. Owszem, w USA widział ludzką biedę i nieszczęście, jednak nie miało to żadnego porównania

- 112 -

z tym, co teraz obserwował w pierwszym haitańskim mieście, do którego wjechał.

Stracił nawet ochotę na seks i przynajmniej zapanował nad niechcianą erekcją.

— To Petionville — powiedziała Chantale. — Twoja przystań na tak długo, jak długo pozostaniesz na Haiti.

Zaczęli wjeżdżać na strome wzgórze, po czym skręcili w lewo i potoczyli się powoli dziurawą boczną drogą, wzdłuż której stały wysokie domy o białych murach. Na zakręcie, gdzie droga kierowała się już prosto do samego centrum przedmieścia, stały dwie palmy. Pomiędzy palmami znajdowała się brama, a za nią droga dojazdowa na posesję. Na obu skrzydłach bramy napisano czarnymi literami „Impasse Carver”.

Chantale skręciła w drogę, zacienioną, ponieważ po obu jego stronach palmy rosły już bardzo gęsto i tylko chwilami spomiędzy ich gęstych liści przebijały ostre promienie słońca. Nawierzchnia

podjazdu była starannie utrzymana, równa; wielka ulga po dziurawych drogach, którymi toyota poruszała się przez ostatnie kilkadziesiąt minut.

Dom Maksa stał przy końcu dojazdu. Kolejna brama wjazdowa była otwarta i po chwili Chantale zatrzymała samochód na betonowym dziedzińcu, jeszcze gęściej otoczonym przez palmy. Max popatrzył na budynek: jednopiętrową pomarańczową budowlę o spadzistym rdzewiejącym dachu, stojącą na palach o wysokości mniej więcej trzech do czterech stóp. Na werandę prowadziło dziesięć szerokich kamiennych schodów. Wzdłuż ścian budynku zasadzono krzewy bugenwilli i oleandry.

Chantale wyłączyła silnik. Chwilę później na dziedzińcu wjechał samochód z ochroniarzami.

— Dzisiaj wieczorem Carverowie zapraszają cię na kolację. Ktoś przyjedzie po ciebie około ósmej.

— Ty także tam będziesz?

- 113 -

— Nie będę. Chodźmy, oprowadzę cię po domu.

Oprowadziła go po posiadłości, jak handlarz nieruchomościami oprowadza potencjalnego kupca. Mówiła trochę więcej, niż to było niezbędne, podkreślając różne szczegóły. Dom nie był duży. Miał dwie sypialnie, salon, kuchnię i łazienkę. Był doskonale utrzymany, podłoga, wyłożona kafelkami, lśniła, a w powietrzu unosił się zapach mydła i mięty.

Kiedy zrobiła swoje, Chantale zaproponowała mu jeszcze, żeby zwiedził ogród, po czym uściśnęła mu rękę i obdarzyła go uśmiechem — sztywnym i profesjonalnym, chociaż Maksowi wydawało się, że wyczuł w nim kilka stopni ciepła. Może jednak się mylił? Może jedynie zbyt wiele sobie wyobrażał i puszczał wodze fantazji, jak to wdowiec, który od ośmiu lat nie kochał się z kobietą i podnieca się samym dotykiem i zapachem pięknej dziewczyny, choćby nie wiadomo jak słabym? Noc na Haiti zapadała bardzo szybko. W jednej minucie było jeszcze późne popołudnie, wciąż jasny dzień, a w następnej już było ciemno, jakby ktoś wyłączył światło.

Max obejrzał teren za domem. Znajdował się tam kamienny ogród w stylu japońskim, nienagannie zaprojektowany i utrzymany, z kamiennymi ścieżkami wiodącymi na okrągły plac, wyłożony płytkami z zielonego marmuru, wyposażony w duży stół z białego metalu oraz w sześć dopasowanych do niego krzeseł. Siedziska krzeseł były trochę zakurzone, podobnie jak blat stołu, na którym zresztą widniały także plamy po czerwonym wosku ze świec. Max wyobraził sobie, że można by tu spędzać we dwoje całe noce, popijając egzotyczne drinki przy blasku świec, trzymając się za ręce i ciesząc każdą sekundą. Pomyślał o Sandrze, która bardzo lubiła takie otoczenie i takie chwile. Chłonąc każdą upływającą minutę, niemal się nią delektując, lubiła trzymać w swoich dłoniach jego dłonie, nie pozwalając mu myśleć o niczym poza nimi i mówiła, że teraz naprawdę należą tylko do siebie. Przypomniał sobie, jak razem spędzili swoją pierwszą rocznicę, jedząc ryby z grilla przy domu, który specjalnie wynajęli w Keys. Codziennie obserwowali zachody i wschody słońca i w rytmie wybijanym przez fale dużo tańczyli na plaży. Czy Sandrze podobałoby się na Haiti? Nigdy na temat tego kraju nie zamienili ani słowa. Granice ogrodu wyznaczały młode palmy, najwyżej trzyletnie albo czteroletnie, wciąż cienkie i łamliwe. Z kolei granice posiadłości wyznaczał rząd drzew mango, pomarańczowych i cytrynowych. Pomiędzy nim a rzędem palm stał wysoki płot, zwieńczony zwojami drut kolczastego. Do płotu podłączony był prąd elektryczny, dlatego dobiegał od niego nieustanny szum. Płot był dość niedbale zamaskowany, zarówno od zewnątrz, jak i od wewnątrz, przez gęsty żywopłot. Max dotarł na sam koniec płotu, aż do białego, wysokiego na dwadzieścia stóp muru, zwieńczonego drutem kolczastym. Na ziemi przed murem porozsypywane było drobne szkło, częściowo ukryte w piasku. Max znalazł dziurę w płocie, zakrytą listowiem, wyjrzał i wyszedł przez nią na zewnątrz. Budynek stał tyłem do jaru, który biegł wzdłuż całego ogrodzenia posiadłości. Jar przedzielony był murem, po którego drugiej stronie wznosiła się stroma ściana czarnej ziemi. U jej szczytu wyrastały wysokie drzewa. Wszystkie pochylały się w kierunku jaru, praktycznie pod identycznymi kątami. Część ich korzeni wyszła z ziemi i widoczna była w powietrzu, jakby przetoczyła się tędy lawina, która jednak z nieznanego powodu zatrzymała się w połowie. Dno jaru wypełniała stojąca, czarna woda. Max domyślił się jej pochodzenia, kiedy po drugiej stronie jaru zobaczył neony stacji benzynowej Texaco i towarzyszącej jej restauracji.

Usłyszał odgłosy ulicy. Ruch uliczny każdego miasta na świecie ma swoje szczególne brzmienie i rytm. W Nowym

- 114 -

115 -

Jorku dominują odgłosy klaksonów i syren, samochodów w korkach i ambulansów. W Miami ruch uliczny jest bardziej płynny, dlatego słyszy się hamowania i poślizgi, odgłosy pędzących motocykli i warkot lowriderów. W Petionville samochody podrygiwały, jakby po dziurawych drogach ciągnęły za sobą dziurawe błotniki, a klaksony rozbrzmiewały jak rozstrojone saksofony altowe.

Max długo stał, wpatrując się w świat na zewnątrz. Wycofał się, kiedy zaskoczyła go noc.

Był wdzięczny przyrodzie, kiedy nie mógł dojrzeć już nic więcej. Powietrze dookoła niego zaczęło rozbrzmiewać grą świerszczy i cykad, a atramentowa ciemność rozbłyskiwać punkcikami robaczek świętojańskich; drobniutkie cytrynowe płomyki wybuchały w niej na milisekundy i znikwały na zawsze.

Niebo było bezchmurne i Max zobaczył na nim tysiące bezładnie porzrzucanych gwiazd. Zdawały się błyszczącymi na białą kropelkami, które niemalże można by chwycić w ręce.

Ruszył z powrotem do domu. Nagle zatrzymał się w pół kroku. Jego reakcję spowodował słaby, odległy dźwięk. Zaczął nasłuchiwać. Dźwięk wznosił się ponad grą insektów, odgłosami ruchu ulicznego i niedalekich slumsów biedoty szykującej się do spędzenia kolejnej nocy w domostwach z tektury i sklejek.

Max odniósł wrażenie, że wyczuwa jego kierunek. Odwrócił się odrobinę w prawo. Teraz słyszał go wyraźnie, jak zbliża się jakby znad miasta. Były to pojedyncze, jednostajne uderzenia w werble, powtarzające się co dziesięć — dwanaście sekund. Bumm... bumm... bumm... bumm... bumm.

Był to basowy bęben. Jego odgłosy unosiły się ponad wrzaskliwymi dźwiękami nocy, natrętne i mocne, jak bicie serca ogromnego potwora.

116

Max poczuł, jak dźwięk przenika jego ciało — rytm wybijany przez samotnego bębniarza, uciskający jego piersi, a potem przenoszący się na serce. Wtedy uderzenia serca i bębna zlały się w jedno.

10

Na kolację zabrali go ochroniarze, których już poznał na lot-tlisku. Wyjechali z posiadłości na główną ulicę, a na jej końcu skręcili w lewo i pomknęli stromą drogą, która wiodła w góry. Minęli jakiś bar. Jego nazwa ułożona była z jaskrawo świecących żarówek: „La Coupole”. Na zewnątrz widać było sześciu czy siedmiu białych mężczyzn, z butelkami pełnymi piwa w dłoniach.

Rozmawiali z miejscowymi kobietami w obcisłych krótkich spodenkach i równie obcisłych sukienkach. W mężczyznach Max natychmiast rozpoznał swoich rodaków. Wszyscy byli identycznie ubrani — w spodnie khaki, jak on sam, i T-shirty, jakie również on zapakował na podróż. Szeregowcy na przepustkach, przedstawiciele najeżdźczej armii, wydający pieniądze amerykańskich podatników. Odnotował w myślach, żeby się zatrzymać, kiedy będzie wracał od klientów. Dzisiejszego wieczoru rozpocznie się poszukiwanie Charliego Carvera.

Posiadłość Carverów stanowiła w połowie plantacja bananów, jedna z najbardziej wydajnych na Haiti. Według raportu CIA rodzina przeznaczała dochody z plantacji na projekty filantropijne, na przykład w Arkę Noego, szkołę dla najbiedniejszych dzieci na wyspie.

Dom Carverów był olśniewającym trzypiętrowym biało-pastelowym budynkiem z szerokimi, rozchodzącymi się schodami, prowadzącymi do rzęsiście oświetlonego głównego wej-

- 117 -

ścia. Przed domem rozciągał się dobrze utrzymany trawnik, w którym na środku tkwiła bulgocząca fontanna i pełen ryb staw ze słoną wodą. Brzegi stawu otaczały ławeczki. Cały teren oświetlony był z wysokich wież jak stadion piłkarski.

Strażnik, uzbrojony w uzi, z dobermanem, którego mógł spuścić ze smyczy jednym naciśnięciem guzika w uchwycie, podszedł do samochodu, który objechał trawnik i stanął przed schodami. Max od zawsze nienawidził psów; było to wynikiem koszmarne wspomnienia panicznej ucieczki przed psem, jaka mu się przydarzyła w dzieciństwie. Głupie psy to wyczuwały i natychmiast

obnażały kły i na niego warczały. Psy wyszkolone nie śpieszyły się i czekały na sygnał do ataku. Ten przypominał Maksowi policyjnego psa pościgowego. Stał grzecznie przy nogach swojego pana, spokojnie tłumiąc w sobie zabójcze instynkty, lecz bez wątpienia był wyszkolony, aby na jeden znak skoczyć do krocza i gardła wskazanej ofiary. W tej właśnie kolejności.

* M Służąca zaprowadziła Maksa do salonu, gdzie czekało na niego troje Carverow: Allain, stary człowiek, w którym Max odgadł Gustava, oraz blondynka, która zapewne była matką Char-liego i żoną Allaina.

Allain wstał z fotela i podszedł do Maksa. Skórzane obcasy jego butów lekko piszczały na podłodze z białych i czarnych kafelków. Szedł przez cały czas z wyciągniętą ręką. Na ustach miał swój zwykły zawodowy uśmiech, lecz poza tym w niczym nie przypominał zimnego osobnika, którego Max spotkał w Nowym Jorku. Z włosów zmył brylantynę, a wraz z brylantyną ubyło mu co najmniej pięć lat oraz większość sztucznej powagi.

— Witamy pana, Max — odezwał się. Podali sobie dłonie. — Dobrą miał pan podróż?

— Tak, dzięki.

— Dom panu odpowiada?

— Jest doskonały, dziękuję.

Carver wyglądał jak elegancki menedżer hotelu. Ubrany był w brązowe półbuty, spodnie khaki i jasnoniebieską koszulę w stylu oksfordzkim, z krótkimi rękawami, dobrze pasującą do jego beznamiętnych oczu. Miał cienkie, piegowate ramiona.

— Proszę do nas podejść — powiedział Carver i poprowadził Maksa dalej przez salon.

Carverowie siedzieli dookoła podłużnej szklanej ławy, pod którą na półce leżało pięć stert kolorowych magazynów. Na szklanym blacie stała waza, ozdobiona rysunkami żółtych, różowych i pomarańczowych lili. Gustav siedział w fotelu z czarnej skóry o złotych obramowaniach. Kobieta zajmowała miejsce na sofie, pasującej do fotela.

W powietrzu unosił się zapach płynu do polerowania mebli, środków do czyszczenia okien, pasty do podłogi i środków dezynfekujących, zazwyczaj używanych do sprzątania korytarzy w szpitalach. Max wyróżnił także słaby odór zjełczałych cygar.

Miał na sobie beżową płócienną marynarkę, którą kupił gotową u Saksa, w Dadeland Mail, na Piątej Alei, białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i czarne skórzane buty. Miał też beretę, przypiętą do paska po lewej stronie. Zanim wszedł do posiadłości, nie przeszukano go. Postanowił, że wspomni o tym Carverom, jeśli jego praca przyniesie jakiś pożądany przez nich efekt.

— Francesca, moja żona — powiedział Allain. Francesca Carver uśmiechnęła się nieznacznie, jakby

uśmiechanie się sprawiało jej wielki wysiłek. Ujęła wyciągniętą dłoń Maksa w zimne palce, co na moment przypomniało mu czasy, kiedy był zwykłym policjantem z patrolu i musiał przeszukiwać toalety, mając nadzieję znaleźć na dnie jakieś narkotyki. Zazwyczaj tę gównianą robotę trzeba było wykonywać gołymi dłońmi, ponieważ odpowiednich rękawiczek

- 118 -

- 119 -

brakowało. Pamiętał, że miesięczne gówno było w dotyku takie samo jak zimny hamburger. Teraz identyczne wrażenie jak wtedy, gdy grzebał w kiblach, odniósł, dotykając dłoni pani Carver.

Ich oczy spotkały się na moment. Tęczówki kobiety miały barwę słabego, splukanego błękitu i ledwie odbijały się na tle białek — niczym wspomnienia dawno zapomnianej kropli atramentu, która padła na wyprany materiał. Jej spojrzenie przypominało spojrzenie gliniarza — było czujne, badawcze, wątpiące, zawierające cień irytacji.

Francesca była piękna, jednak na sposób, jaki nigdy nie uderzał Maksa. Była wysublimowaną, odległą pięknnością, której uroda mówiła raczej o statusie, niż emanowała seksem. Miała delikatną, porcelanowobiałą skórę, doskonale zharmonizowane rysy, wszystko w niej było symetryczne i dokładnie na miejscu, nic zbyt duże i nic zbyt małe. Obrazu dopełniały wysokie kości policzkowe i lekko zadarty nos, stanowiący doskonale uzupełnienie dla lekceważącego lub pogardliwego spojrzenia. Francesca Carver miała twarz, jakie widywało się w dziesiątkach country clubów, twarz osoby, do której nie sposób się zbliżyć bez mocnych koneksji. Twarz kobiety z elit Manhattanu,

piękności z Florydy, księżniczki z Palm Springs i arystokratki z Bel Air jednocześnie. W tym obliczu odbijało się całe jej dotychczasowe życie: czterogodzinne proszone lunche, zabójcze diety, comiesięczne płukanie okrzężnicy, godziny u manikiurzystek, pedikiurzystek, masaże, botoksy, wizyty u fryzjerek dwa razy w tygodniu, guwernantka, osobisty trener, dzienne/tygodniowe/miesięczne kieszonkowe, ograniczona możliwość prowadzenia swobodnych rozmów. Była doskonałym kontrastem Allaina Carvera.

Ale to wszystko nie było jednak całą prawdą o tej kobiecie. Kilka rzeczy ją zdradzało i zakłócało ten idealny obraz. Zapewne codziennie wypijała z wielkiej karafki równowartość czterech kieliszków czystej wódki—jej blond włosy, związane

120

w kok, odsłaniały twarz bardziej, niż ona sama by chciała, przez co uważny obserwator dostrzegał cienie pod jej oczami oraz żyłę na lewej skroni, pulsującą pod skórą bardzo szybko, co świadczyło o nieregularnym rytmie serca i o wielkim napięciu. Nie odezwała się ani słowem.

Max zorientował się, że nie wywarł na niej najlepszego wrażenia, co było dziwne, ponieważ rodzice, którzy wynajmowali go do poszukiwań ich zaginionych dzieci, zazwyczaj widzieli w nim co najmniej superbohatera.

— I mój ojciec, Gustav Carver.

— Miło mi pana poznać — powiedział Gustav do Maksa. Jego głos był chropawy i serdeczny; typowy głos palacza, który dużo krzyczy.

Podali sobie ręce. Jak na człowieka w swoim wieku, który już zdążył przejść zawał, starszy Carver miał dużo siły. Mimo że w uścisk dłoni włożył niewiele siły, był bliski skruszenia ręki Maksa. Dłoń starszego pana miała niemal rozmiar rękawicy do baseballu.

Wziął do ręki czarną laseczkę ze srebrną gałką i poklepał nią sofę po lewej stronie, tuż obok siebie.

— Proszę usiąść przy mnie, panie Mingus — zamruczał groźnie.

Max usiadł wystarczająco blisko, by wyczuć zapach łagodnego mentolu, dolatujący od starego człowieka. Ojciec był zupełnie niepodobny do syna. Gustav Carver przypominał gargulca wypoczywającego pomiędzy dwiema demonicznymi erupcjami. Miał wielką głowę z gęstymi, zaczesanymi do tyłu i skropionymi brylantyną siwymi włosami. Jego nos był zakrzywiony, usta zaciśnięte, przywodzące na myśl ptasi dziób, a małe ciemne oczy, wystające spod zasłon gęstych rzęs, lśniły jak dwa świeżo wypalone ziarenka kawy.

— Ma pan ochotę na coś do picia? — zapytał Gustav. Było to raczej polecenie niż zaproszenie.

— Tak, proszę — odparł Max.

121

Chciał poprosić o wodę, ale Gustav nie dopuścił go już do głosu.

— Powinien pan spróbować naszego rumu. Jest najlepszy na świecie. Jest naprawdę najlepszy na świecie. Wypiłbym z panem, ale pompka mi się buntuje. — Poklepał się po piersiach i zachichotał.

— Pan będzie łykał rum, a ja ślinkę.

— Ma pan na myśli rum barbancourt? — zapytał Max. — Mamy go w Miami.

— Ale nie odmianę deluxe — zareagował natychmiast Gustav. — To nie jest rzecz dla obcokrajowców. Ta odmiana nigdy nie opuszcza wyspy.

— Ale ja nie piję alkoholu, panie Carver.

— Nie wygląda mi pan na wojującego alkoholika — zauważył Gustav i zmierzył uważnym spojrzeniem twarz Maksa. Jego akcent był bliższy typowo angielskiemu niż akcent jego syna.

— Rzuciłem picie przed osiągnięciem tego stadium.

— Wielka szkoda. Pewnie polubiłby pan nasz rum.

— Nie gustowałem w rumie. Pijałem raczej bourbona i piwo.

— Co zatem mogę panu zaproponować?

— Poproszę o wodę.

— To jest tutaj kolejny luksusowy napój. Max roześmiał się.

Gustav warknął na służącego, który podczas całej tej rozmowy stał przy drzwiach, a którego Max nie widział. Słowa, którymi Carver zażądał wody dla Maksa, wystrzeliły z jego ust głośno niczym pociski z pistoletu startowego.

Patrząc, jak służący wypada z salonu, Max złapał spojrzenie Allaina, siedzącego na drugim końcu sofy, wyprostowanego, wpatrującego się pustym wzrokiem w przestrzeń i bębniącego palcami po oparciu. Zdał sobie sprawę, że Allain od momentu, w którym przedstawił go Gustawowi, w ogóle się nie odzywał. Max ukradkiem zerknął na Francescę, siedzą-

- 122 -

cą naprzeciwko, i stwierdził, że zachowywała się w taki sam sposób jak mąż — siedziała wyprostowana, z dłońmi na kolanach — i patrzyła w pustkę.

Układ sił w rodzinie od razu stał się dla niego jasny. Rządził Gustav Carver, bez żadnych pytań i opozycji. A w tej chwili odbywało się właśnie przedstawienie, w którym tylko on grał główną rolę, wszyscy zaś pozostali byli dodatkami, wynajętymi pomagierami, nawet członkowie jego rodziny. Stary człowiek wysysał ze wszystkich zgromadzonych w salonie wszelką energię i osobowość, po czym asymilował ją w sobie. To dlatego Allain, kiedy Max widział go po raz ostatni, wydawał się zupełnie inny. I to dlatego Francesca sprawiała wrażenie cichej myszki, gdy tymczasem jej oczy lśniły, dowodząc, że jest kimś zupełnie innym. Gustav musiał być dla dorastającego syna okropnym ojcem, facetem, który to, czego nie mógł posiadać i złamać — niszczył.

Salon był ogromny. Wzdłuż trzech ścian stały półki z setkami starych książek. Wszystkie kolekcje oprawne były w złoconą skórę, jednak ich grzbiety mieniły się różnymi blokami kolorów—od rdzawoczerwonego, przez zielony, po granatowy i czekoladowobrązowy — a obicie półek doskonale podkreślało te barwy. Maksowi przyszło do głowy pytanie, ile spośród tych książek Carverowie rzeczywiście przeczytali.

W książkach pograżali się tylko ludzie pewnego specyficznego rodzaju. Max do tego rodzaju nie należał. Już jako dzieciak ponad ślęczenie nad historyjkami dla dzieci przedkładał aktywność fizyczną. Przed uwięzieniem czytywał jedynie gazety i materiały związane ze sprawami, które akurat prowadził.

W jego domu to Sandra była namiętnym czytelnikiem; pochłaniała dosłownie wszystko, co się dało przeczytać.

Światło w salonie — pochodzące z lamp punktowych na suficie i wysokich lamp ustawionych w rogach pomieszczenia — było ciepłe, miłe, niemal intymne. Przypominało barwą blask kominków, świeczek albo lamp olejowych. Max dostrzegł dwie

123

zbroje rycerskie, z hełmami, ustawione na stojakach na skraju półek na prawej ścianie salonu. Na ścianie naprzeciwko niego, pomiędzy dwoma łukowatymi oknami, wisiał wielki portret kobiety, a pod portretem znajdowała się półka kominka, na której stało mnóstwo fotografii w ramkach różnych kształtów i rozmiarów

— Pańskie nazwisko, panie Mingus, ma chyba pochodzenie afroamerykańskie, co? — zapytał Gustav.

— Mój ojciec pochodził z Nowego Orleanu. Był muzykiem jazzowym, który nie zrobił kariery. Zmienił nazwisko, zanim spotkał moją mamę.

— Charles Mingus?

— Tak.

— Jeden z jego kawałków nosi tytuł...

— Haitańska Piosenka Walki, wiem — przerwał mu Max.

— Opowiada o La Gauge, naszych walkach kogutów — poinformował go Carver.

— W Miami również mamy walki...

— Tutaj są one o wiele brutalniej sze.

Carver uśmiechnął się szeroko do Maksa. Zęby starego człowieka miały piaskowy kolor, lecz były czarne przy korzeniach.

Wzrok Maksa spoczął na liliach, którymi była ozdobiona waza. Było w nich coś złowieszczonego, coś, co klóciło się z zamożnym spokojem całego salonu.

— Lubi pan jazz? — zapytał Carver.

— Tak. A pan?

— O tyle, o ile. Widzieliśmy kiedyś Mingusa na koncercie tutaj, w Port-au-Prince, w hotelu

„Olfsson”. Ale to było dawno temu.

Gustav zamilkł i wbił spojrzenie w portret na ścianie.

— Chodźmy — powiedział niespodziewanie. Pomagając sobie laską, podniósł się z fotela.

- 124 -

Max wstał, żeby mu pomóc, ale Gustav go odepchnął. Był mniej więcej tego samego wzrostu co Max, lekko się jednak garbił. Poza tym miał węższe ramiona i węższą szyję.

Poprowadził Maksa w kierunku ramek z fotografiami, ustawionych na kominku.

— Nasz panteon, galeria sław. Albo niesław, według waszych polityków—obwieścił gardłowym głosem, ruchem ręki ogarniając gzyms kominka.

Gzyms wykonany był z granitu ozdobionego wijącymi się liśćmi laurowymi złotego koloru. Był znacznie szerszy, niż Max się spodziewał — bardziej półka niż zwykły gzyms kominkowy. Max omiótł wzrokiem wszystkie fotografie. Było ich ponad sto, w pięciu rzędach. Ramki w każdym rzędzie stały pod innym kątem, dlatego generalnie każda fotografia była mniej lub bardziej widoczna.

Ramki miały czarny kolor i ozdobione były tymi samymi motywami wijących się złotych liści laurowych co gzyms kominka. Na pierwszy rzut oka Max dostrzegał na fotografiach jedynie nieznanne twarze, pusto wpatrujące się w niego, czarno-białe, sepiowane albo kolorowe. Byli to przodkowie Carverów—mężczyźni starzy i jeszcze starsi, kobiety, głównie młode, wyłącznie rasy białej. Po chwili jednak, gdzieś wśród arystokratycznych postaci z przeszłości, dumnie pozujących do kamery, zobaczył fotografie młodego Gustava, a to łowiącego ryby, a to grającego w krykieta, a to z żoną w dniu ślubu, lecz przede wszystkim ściskającego dłonie różnych sław tego świata. Max rozpoznał wśród nich JFK, Fidela Castro (na dwóch fotografiach, ustawionych jedna obok drugiej), Johna Wayne'a, Marilyn Monroe, Normana Mauera, Williama Hol-dena, Ann-Margaret, Clarka Gable'a, Micka Jaggera, Jerry'ego Lolla, Trumana Capote, Johna Gielguda, Grahama Greene'a, Richarda Burtona i Elizabeth Taylor. Na żadnym ze zdjęć Carver ani nie wydawał się przytłoczony, ani też nie na miejscu w towarzystwie gwiazdy, a wręcz przeciwnie. Max odniósł

125

wrażenie, że Gustav wygląda tak, jakby to on robił łaskę, że pozuje tym ludziom.

Na kominku stały także dwie fotografie Franka Sinatry. Na jednej z nich siedział obok Carvera za jakimś stołem prezydialnym, a na drugim całował w policzek oniemiałą z wrażenia Judith Carver.

— Jak pan go znajduje? — zapytał Max. — To znaczy, Sinatrę.

— Kijanka, której się zdaje, że jest rekinem — odparł Carver. — Wulgarny typ, zupełnie bez klasy.

Jednak moja żona go uwielbiała, dlatego wybaczałem mu dosłownie wszystko. Ciągłe pisuje do mnie. Albo jego sekretarka, oczywiście. Niedawno przesłał mi najnowszą płytę.

— LA Is My Lady?

— Nie. Duety.

— Nowy album?! — zawołał Max, trochę za mocno podekscytowany, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności.

Przed wyjazdem nie przyszło mu do głowy, żeby pochodzić po sklepach z płytami. Zanim zamknęły się za nim bramy więzienia, kupowanie nowości w sklepach muzycznych miał we krwi. Odwiedzał je w każdy wtorek i piątek.

— Mogę go panu sprezentować, jeśli pan chce — rzekł Carver z uśmiechem. — Jeszcze go nawet nie otworzyłem.

— Nie mogę go przyjąć.

— Może pan. — Carver poklepał Maksa protekcjonalnie po ramieniu, po czym spojrzał na portret.

Max również podążył wzrokiem w tym kierunku i rozpoznał starszą wersję Judith Carver z fotografii na kominku, a jej usta, niemal pozbawione warg, podpowiedziały mu, że ma do czynienia ze starszą wersją Allaina Carvera. Siedziała na fotelu ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi jedna na drugiej ułożonymi na kolanie. Za jej plecami, na podwyższeniu, ustawiona była ta sama waza z liliami, która teraz zdobiła ławę w salonie.

- 126 -

— Moja żona, Judith — powiedział Carver, ruchem głowy wskazując portret.

— Kiedy pan ją stracił?

— Pięć lat temu. Zmarła na raka — odparł i popatrzył Maksowi w oczy. — Mężowie nie powinni grzebać swoich żon.

Max pokiwał głową. Z boku dostrzegł, jak oczy Gustava wypełniają się łzami, jak drżą mu wargi i jak w końcu je zagryza, żeby pozostały nieruchome. Chciał mu powiedzieć coś uspokajającego, chciał powiedzieć, że mu współczuje, jednak poczuł, że słowa go opuściły, no i właściwie nie był pewien własnych motywów.

Po raz pierwszy spostrzegł, że on sam i stary człowiek są identycznie ubrani: Gustav miał na sobie beżową płócienną marynarkę, białą koszulę i starannie wypastowane brązowe buty ze skóry.

— Excusez-moi, Monsieur Gustav? — za ich plecami odezwał się służący.

Przyniósł wodę dla Maksa, w wysokiej szklance, z lodem i plasterkiem cytryny. Szklanka stała samotnie na środku szerokiej okrągłej tacy.

Max wziął szklankę do ręki. Skinieniem głowy i uśmiechem podziękował służącemu.

Carver wziął znad kominka jedną z fotografii rodzinnych. Max zorientował się, że została wykonana w salonie, w którym właśnie się znajdował. Carver siedział na niej w fotelu, trzymając w ramionach dziecko, rozpromieniony. Max z trudem rozpoznał w dziecku Charliego.

— To zdjęcie z chrztu tego małego człowieka — powiedział (Carver). — Gnojek przez całą uroczystość głośno popierdywał.

Carver roześmiał się z własnego dowcipu. Max nie miał już wątpliwości, że stary uwielbiał wnuka. Dostrzegł to w sposobie, w jaki trzymał fotografię, w jaki się jej przypatrywał.

Carver podał zdjęcie Maksowi i ruszył powoli wzdłuż kominka. Zatrzymał się na skraju i wziął jakąś mniejszą foto-

- 127 -

grafie z tylnego rzędu. Pozostał w miejscu i długo się w nią wpatrywał.

Max zerknął mu przez ramię. Zdjęcie przedstawiało rodzinę Carverów, zgromadzoną dookoła patriarchy i jego wnuka. Mieli cztery córki — trzy z nich urodę odziedziczyły po matce i były pięknosciami w typie Franceski, czwarta była niska i gruba i do złudzenia przypominała młodszą wersję swojego ojca. Obok niej stała Francesca, a Allain zamykał rząd po prawej stronie. Na fotografii znajdował się jeszcze jeden mężczyzna, mniej więcej w wieku Allaina, jednak znacznie wyższy i z krótkimi ciemnymi włosami. Max zgadywał, że to jego szwagier.

Carver podszedł z powrotem do Maksa. Ten zauważył, że starszy pan lekko kulał na lewą nogę.

Carver odstawił fotografię z chrztu na miejsce i pochylił się ku Maksowi.

— Bardzo się cieszę, że to pan nad tym pracuje — powiedział, zniżając głos do szeptu. — Jestem zaszczycony, że mojego wnuka będzie szukał ktoś taki jak pan, mężczyzna, który dobrze rozumie wszelkie wartości i pryncypia.

— Jak już mówiłem pańskiemu synowi, ta historia niekoniecznie musi się dobrze skończyć — odparł Max również szeptem.

Zazwyczaj w stosunkach z klientami był bardzo powściągliwy, teraz jednak musiał przed samym sobą przyznać, że polubił starego człowieka, mimo tych wszystkich rzeczy, jakie o nim dotąd czytał.

— Panie Mingus...

— Proszę się do mnie zwracać po imieniu. Mam na imię Max, panie Carver.

— A więc, Max. Jestem bardzo stary. Po zawale. Nie zostało mi już wiele czasu. Może rok, może trochę więcej. Chcę jeszcze zobaczyć naszego chłopaka. To mój jedyny wnuk. Chcę go choć raz jeszcze zobaczyć.

W oczach Gustava znowu pojawiły się łzy.

- 128 -

— Zrobię, co w mojej mocy, panie Carver — stwierdził Max z przekonaniem w głosie, mimo że niemal w stu procentach był pewien, iż Charlie Carver jest martwy. Tego jednak nie śmiał staremu człowiekowi powiedzieć.

— Wierzę panu — odparł Carver, patrząc na Maksa wzrokiem pełnym nadziei.

Max poczuł, że jest gotowy do pracy. Postanowił, że uczyni wszystko, aby znaleźć Charliego

Carvera—jeśli nie jego ciało, to przynajmniej ducha — i chociaż wskazać miejsca, które nawiedza. Dowie się, co przydarzyło się chłopcu, i wskaże, kto jest za to odpowiedzialny. Potem zainteresuje się motywami. Ale na tym już poprzestanie. Nie zastąpi wymiaru sprawiedliwości. Zresztą, wymiar sprawiedliwości pozostanie kwestią Carverów.

Jego wzrok spoczął na czymś, czego dotąd nie zauważył, a co widoczne było dopiero, gdy stanęło się blisko kominka. Na słowach wyrytych złotymi literami na gzymsie nad paleniskiem. Był to cytat z Psalmu 23, najbardziej znanego, rozpoczynającego się słowami: Pan jest moim pasterzem... Tutaj wyryty był piąty werset:

Stół dla mnie zastawiasz wobec mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity*.

Podeszła służąca.

— Le dîner est servi.

— Merci, Karinę — powiedział Carver. — Kolacja. Mam nadzieję, że przybył pan do nas z pustym żołądkiem.

Kiedy Max i Carver ruszyli ku drzwiom, Allain i Francesca wstali ze swoich miejsc i po chwili poszli za nimi. Przez

* Przekład za: Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Poznań 2002.

- 129 -

kilka ostatnich minut Max właściwie zapomniał, że oni także znajdowali się w salonie.

11

Kolację podawały dwie służące w czarnych uniformach i białych fartuchach. Były ciche i sprawne. Na pierwsze danie zaserwowały zwinięte plastry szynki parmeńskiej z kawałkami schłodzonych kantalupów, spadzią, z melonami galia i arbuzami.

Jadalnię, podobnie jak salon wyłożoną czarnymi i białymi płytkami, rześście oświetlały dwa wielkie żyrandole. Głównym meblem w pomieszczeniu był stół bankietowy, przy którym jednocześnie mogły zasiadać dwadzieścia cztery osoby. Na lewo od wejścia na ścianie wisiał portret Judith. Na stole stały trzy wazy ze sztucznymi liliami. Zastawiono go tak, że Max i gospodarze zasiedli blisko siebie, zwróceniem twarzami w kierunku portretu. Gustav zajął, oczywiście, główne miejsce, Francesca usiadła naprzeciwko Allaina, a Max obok niej.

Max dyskretnie rozglądał się po jadalni. Pamiętał, że znajduje się na obcym terytorium i w zupełnie obcej sobie sytuacji. Nie lubił ceremoniałów ani etykiety. Poza wyprawami do restauracji, do których dawno temu zabierał żonę, a jeszcze wcześniej różne przyjaciółki, jedynymi formalnymi kolacjami, w jakich zdarzało mu się uczestniczyć, były doroczne bankiety glińiarzy, przerażające się zazwyczaj w festiwale niepohamowanego obżarstwa.

Zmagając się z plasterkami szynki, spoglądał ku Carverom. Wszyscy troje jedli w ciszy, nie patrząc na siebie. Jedynymi dźwiękami, jakie wypełniały ogromną jadalnię, były uderzenia sztućców o porcelanowe talerze. Gustav nie odrywał wzroku od jedzenia. Max zauważył, że starszemu panu drżała ręka,

kiedy wsuwał jedzenie do ust. Allain nabijał jedzenie widelcem od góry, gwałtownie, pośpiesznie, w taki sposób, jakby chciał nim przebić mrówkę uciekającą po talerzu. Wsuwał owoce szybko do ust i dosłownie je łykał, nie przeżuwać, jak jaszczurka połykająca muchę. Francesca trzymała nóż i widelec tak, jak zazwyczaj trzyma się druty przy szydełkowaniu. Każdy kęs jedzenia kroił na drobno na talerzu, po czym wsuwała go do ust, praktycznie ich nie otwierając. Dopiero teraz Max dostrzegł, jak drobne, blade i pozbawione żył były jej ramiona. Dostrzegł, że jej ręce również lekko drżały, odzwierciedlając gnębiące ją niepokoje. Popatrzył z powrotem na Allaina i znowu na nią. Żadnej chemii. Nic. Sypiają osobno? Marna para. Kłóćą się czasami czy ich wspólne życie jest już tylko pustą ciszą? Cisza pomiędzy nimi z pewnością nie wynika z rozdrażnienia po stracie dziecka. Są nadal małżeństwem tylko dlatego, że nie mają innego wyjścia. Max był pewien, że Carver ma kogoś na boku. Dbał o siebie i stroił się. Francesca najwyraźniej z tego zrezygnowała. Biedna kobieta.

— Od jak dawna mieszka pani na Haiti, pani Carver? — zapytał Max. Jego głos niespodziewanie zadudnił w jadalni potężnym basem.

Ojciec i syn unieśli spojrzenia znad talerzy, popatrzyli na niego, a następnie na Francescę.
— Od zbyt dawna—odpowiedziała szybko głosem niewiele donośniejszym od szeptu, jakby chciała dać do zrozumienia, że Max nie powinien z nią rozmawiać. Nie odwróciła głowy, właściwie zerknęła na niego jedynie kątem oka.

Max głośno przełknął spory kęs szynki. Był tak duży, że aż zabolalo go gardło. Na talerzu leżał kolejny kawałek, jednak już go nawet nie dotknął.

— Powiedz mi, Max, jak trafiłeś do więzienia? — niespodziewanie zagrzemiał Gustav.

— Tato! — Allain aż się zaczerwienił, zaskoczony oprysk-liwością ojca.

- 130 -

- 131 -

— Nie mam nic przeciwko rozmawianiu na ten temat — powiedział Max do Allaina. Spodziewał się, że stary człowiek w końcu zacznie go pytać o przeszłość. — Nie powinienem był przyjmować sprawy od Garcii — kontynuował. — To ona zaprowadziła mnie za kraty. Była zbyt osobista. Moja żona i ja znaliśmy niemal całą jego rodzinę. Mieliśmy wśród tych ludzi przyjaciół, przede wszystkim moja żona, a później ja. Czasami opiekowaliśmy się ich córką, Manuellą.

Znów ją ujrzał oczyma wyobraźni, jakby stała tuż przed nim. Miała cztery lata, ale rysy jej twarzy już zdradzały, że w przyszłości będzie piękną kobietą. Miała zakrzywiony nosek, brązowe oczy, kręcone brązowe włosy, zuchwały uśmiezek na twarzy i bez przerwy coś mówiła i mówiła.

Kochała Sandrę (zwracała się do niej „ciotuniu”). Czasami spędzała noc u Sandry i Makska, nawet kiedy w domu byli oboje rodzice.

— Richard i Luisa mieli właściwie wszystko to, do czego dąży większość ludzi. Byli milionerami. Przez wiele lat bardzo się starali, żeby mieć dziecko. Ale wystąpiły komplikacje. Luisa trzykrotnie poroniła i w końcu lekarze powiedzieli jej, że więcej już w ciążę nie zajdzie. Kiedy więc na świecie mimo wszystko pojawiła się Manuela, uznali to za cud. Bardzo kochali swoją dziewczynkę.

Manuela niezbyt lubiła Makska, jednak po ojcu odziedziczyła umiejętność dyplomatycznego wychodzenia z każdej sytuacji i mimo młodego wieku doskonale już rozumiała, jak ważne jest, aby niepotrzebnie nie obrażać ludzi. Była więc wobec Makska bardzo grzeczna, zwracała się do niego „wuju Maksie”, ale kiedy uważała, że jej nie słyszy, mówiła o nim tylko „Max” albo „on”. Ale czasami Max słyszał i w takich chwilach jedynie się uśmiechał, gdyż w ustach dziecka brzmiało to bardzo dorośle.

— Skontaktowali się ze mną natychmiast po tym, jak otrzymali żądanie zapłacenia okupu.

Poradziłem im, żeby poszli na policję, oni jednak odparli na to, że porywacze zagrozili zamor-

- 132 -

dowaniem dziecka, jeśli policja o czymkolwiek się dowie. Normalna rzecz, jak z filmu — mówił Max. — Tymczasem żelazna reguła jest taka, żeby nigdy nie wierzyć porywaczom, w szczególności takim, którzy uprzedzają, żeby się nie kontaktować z policją. Oni w większości właściwie nie wiedzą, co robią, są nerwowi i w dziewięciu przypadkach na dziesięć ofiara porwania co najmniej odnosi rany. Powiedziałem o tym wszystkim Richardowi, on jednak postanowił rozgrywać sprawę zgodnie z regułami ustalonymi przez porywaczy. Poprosił mnie, żebym to ja przekazał okup.

Miałem w umówionym miejscu zostawić pieniądze, a następnie czekać na telefon z informacją, gdzie się znajduje Manuela. Dostarczyłem forszę w pewne miejsce niedaleko wolno stojącej budki telefonicznej w Orlando. Przejął ją jakiś facet na motocyklu. Nie zauważył mnie, ponieważ ukryłem się po drugiej stronie ulicy. Zapisałem numery rejestracyjne motocykla, zapamiętałem jego markę i uważnie przyjrzałem się sylwetce faceta. No, ale nikt do mnie już nie zadzwonił. Poprzez kumpla z policji uzyskałem dane właściciela motocykla. Był nim jeden z pracowników Richarda.

Wydobyłem z faceta wszystkie informacje, jakich potrzebowałem, po czym przekazałem go policji. Powiedział mi, że Manuela jest przetrzymywana w pewnym domu w Orlando. Pojechałem do tego domu, ale dziewczynki już tam nie było.

Max zobaczył, że Francesca Carver nerwowo wykręca pod stołem rogi chusteczki.

— Facet, który przejął okup, podał mi nazwiska współników. Troje z nich miało ledwie po siedemnaście lat, to było dwóch chłopaków i dziewczyna. Czarnoskórzy. Wszyscy notowani już przez policję. Dziewczyna kilka lat wcześniej uciekła z domu i była doświadczoną prostytutką.

Jeden z chłopaków był kuzynem prowodyra tego porwania.

W jadalni pojawiły się służące. Zaczęły zbierać talerze po pierwszym daniu, uzupełniać wodę i napoje w kieliszkach. Allan i Gustav całą uwagę skierowali na Maksa. Czuł, że chło-

- 133 -

na każde jego słowo. Natomiast Francesca w ogóle na niego nie patrzyła. Żyły na jej skroniach znowu intensywnie pulsowały.

— No i zaczęło się polowanie na tego człowieka, najpierw na terenie stanu, a potem w całym kraju, z udziałem FBI. Przez pół roku szukano Manuela i szefa porywaczy. Bezskutecznie. Ja też przez cały ten czas szukałem dziewczynki. Richard zaoferował mi milion dolarów, wołałem jednak w tej sprawie pracować za darmo.

Max aż za dobrze pamiętał te poszukiwania, milę za milą wzdłuż niekończących się autostrad, szos i dróg, za kierownicą wynajmowanych samochodów. Każdy z nich miał jakiś feler. Albo nie działała klimatyzacja, albo ogrzewanie. Popsuty był kierunkowskaz albo skrzynia biegów, nie było radia albo grało jedynie bardzo głośno. W niektórych autach wały się resztki jedzenia po ludziach, którzy wynajmowali je wcześniej. Pamiętał pokoje w motelach, w których mieszkał na trasach poszukiwań, pamiętał hotelowe telewizory, przeloty, tabletki wzmacniające popijane kawą, telefony do domu i telefony do rodziny Garcii. Pamiętał desperację, która wzrastała w nim z każdym dniem tak samo, jak każdego popołudnia aż do wieczora wydłużają się wszystkie cienie. Na chwilę to do niego powróciło, trochę zamazane, jakby zza mgły, jednak wystarczająco wyraźne, aby wciąż bolało.

— Swego czasu widywałem mnóstwo popieprzonych i strasznych rzeczy. Widziałem, jak ludzie wyrządzają sobie nawzajem takie okropności, jakich nie bylibyście sobie w stanie nawet wyobrazić. Ale to wszystko jakoś po mnie spływało, bo było po prostu częścią mojej pracy. Było czymś, co mogłem zostawiać za sobą po każdym dniu, co mogłem zmywać z siebie i następnego dnia znów się w to samo pogrążyć. Jednak kiedy sprawa przybiera wymiar osobisty, bardzo uderza w psychikę. Znika z życia tych kilka godzin codziennego odpoczynku, rozmywa się czas pomiędzy pracowaniem a niepra-

- 134 -

cowaniem. Już nie jest się profesjonalistą. Jest się po prostu krewnym skrzywdzonych ludzi — matek i ojców, mężów i żon, chłopaków i ich dziewczyn, ich znajomych, a nawet przyjacielem ich ukochanych zwierzątek. Ich łzy wydają się płynąć także z twoich oczu. Wiecie, że jednym z elementów szkolenia detektywa jest uczenie, w jaki sposób przekazywać złe wiadomości? Uczą cię profesjonalnego okazywania współczucia. Mnie uczył tego jakiś emerytowany aktor z Hollywood. Muszę powiedzieć, że byłem najlepszy w mojej grupie. Umiałem na zawołanie współczuć, a nawet udawać współczucie. Teraz chciałem odgrywać coś takiego na własny użytek. Nie potrafiłem. Znalazłem Manuelę Garcia niemal rok po porwaniu. W Nowym Jorku. Nie żyła już od sześciu czy siedmiu miesięcy. Różne rzeczy z nią wyprawiano, nim umarła. Straszne, ohydne rzeczy. — Max w porę powstrzymał się przed opowiadaniem Carverom szczegółów.

Służące weszły do salonu z głównymi daniami. Tym razem było to jedzenie typowo haitańskie: grillot, czyli pieczeń wieprzowa smażona w czosnku, pieprzu i chili, podawana w przybraniu z cytryn, plasterki bananów smażone na złocistobrazo-wy kolor, kukurydza i nerkowiec w gęstym sosie i wreszcie riz dion-dion, czyli ryż z miejscowymi grzybami. Podano także sałatkę z pomidorów.

Max nie mógł odgadnąć, czy Carverowie w ogóle kiedykolwiek jadali miejscowe potrawy, ale odnosił wrażenie, że raczej nie gustowali w nich i że jedzenie rodem z Haiti przygotowane zostało specjalnie dla niego, na dobry początek jego pracy na wyspie. Nakładali sobie na talerze bardzo niewiele. Za to Max wziął mnóstwo ryżu, banany, grillot i wielką porcję sałatki z pomidorów; nałożył ją na duży talerz obiadowy, ignorując stojący obok specjalny talerzyk do sałatki.

Zorientował się w gafie dopiero, gdy Francesca położyła na taki talerzyk kilka plasterów pomidora, a porcję grillot na duży talerz. Wcale się jednak nie zmartwił.

- 135 -

Allain Carver jadł to samo co Max, tylko w mniejszych ilościach. Francesca pocięła swoją

wieprzowinę na małe kawałki, każdemu uważnie się przyglądając, jakby chciała z nich odgadywać własną przeszłość.

Przez kilka minut jedli w milczeniu. Max starał się jeść powoli, lecz odczuwał straszny głód, a jedzenie było naprawdę doskonałe. Od ośmiu lat nie jadł nic lepszego.

Konwersacja znowu się rozwinęła, kiedy jego talerz był prawie pusty.

— No i co się potem stało, Max? — zapytał Gustav.

— Cóż... — Max upił łyk wody — jak państwo wiecie, istnieje ogromne lobby psychiatrów, którzy z oddaniem wartym lepszej sprawy zagląдают do mózgów ludzi, będących w stanie zadawać innym ludziom najstraszliwsze tortury. Po tej samej stronie barykady stoją złotouści adwokaci, którzy wyjaśniają przed sądami, że ich klienci skończyli tak, jak skończyli, tylko dlatego, że byli molestowani jako dzieci, ponieważ ich rodzice byli jeszcze gorszymi popaprańcami od nich. Jeśli chodzi o mnie, nigdy nie kupuję tych bzdur. Nigdy. Głęboko wierzę, że zdecydowana większość z nas odróżnia dobro od zła i nawet ci spośród nas, którzy przeszli piekło w dzieciństwie, potrafią jako dorośli dążyć do dobra i harmonii. Jednak dla większości Amerykanów terapia psychiatryczna wydaje się tym samym, co spowiedź, i skłonni są traktować psychiatrów na równi z kapłanami. Gustav Carver roześmiał się i zaklaskał. Allain jedynie uśmiechnął się z przymusem. Francesca znowu zaczęła dusić palcami chusteczkę.

— Wiedziałem, że tym dzieciakom się w końcu upiecze. W Nowym Jorku nie ma kary śmierci. Wystarczyło im udawanie choroby psychicznej i wolność mieli w praktyce zagwarantowaną, w krótkim czasie. Dwoje z nich było uzależnionych od narkotyków, a takie uzależnienie w Nowym Jorku traktowane jest jako powód ograniczenia odpowiedzialności. Byłem pewien, że za radą adwokatów zrzucą całą winę na szefa bandy, najstarszego, tego, który pracował u Richarda. Tymczasem Manuela w ogóle zostanie zapomniana i bohaterami procesu zostaną ci gówniarze. Prasa pewnie weźmie na widelec całą afroamerykańską młodzież, zacznie się rozpisywać, jaka ona jest zła i tak dalej. Gówniarze może i trafią za kraty, dostaną pewnie wyrok od piętnastu do dwudziestu lat, ale tylko jak wszystko by dobrze poszło. W więzieniu bez wątplenia zostaną zgwałceni. Chłopaki zarażą się AIDS. Być może. Ale pieprzyć ich zmarnowane, psu na budę potrzebne życie, Manueli nikt życia już nie mógł przywrócić. Max westchnął.

— Najpierw znalazłem dziewczynę. Zapewniam państwa, że to wcale nie było trudne. Dawała dupy za narkotyki. Doprowadziła mnie do chłopaków, do Harlemu. Pomyśleli, że jestem gliną. Opowiedzieli mi wszystko ze szczegółami, do najdrobniejszego cholernego detalu. Dobrze, że się tak zachowali, bo nie miałem przynajmniej wątpliwości, że to oni... No i ich zastrzeliłem.

— Tak po prostu? — zapytał Allain. W jego oczach można było dostrzec przerażenie.

— Tak po prostu — odparł Max.

Jeszcze nigdy nikomu nie opowiedział aż tyle o sprawie Garcii i nie spodziewał się, że to wyznanie przyniesie mu aż taką ulgę. Nie oczekiwał od nikogo rozgrzeszenia ani nawet zrozumienia czy empatii. Po prostu chciał się uwolnić od prawdy.

Tymczasem Gustav szeroko się do niego uśmiechnął. Oczy błyszczały mu, jakby opowieść Maksa poruszyła go i pobudziła.

— I pewnie przyznałeś się do nieumyślnego spowodowania śmierci, gdy tymczasem starannie zaplanowałeś i z zimną krwią popełniłeś morderstwo. Otrzymałeś bardzo niski wyrok. Ten sam system, który przed chwilą krytykowałeś, doskonale o ciebie zadbał — stwierdził.

- 136 -

- 137 -

— Miałem dobrego prawnika — stwierdził Max. — No i doskonałego psychiatrę.

Gustav roześmiał się głośno, a po chwili zaśmiał się także Allain.

— Brawo! — zawołał Gustav wesoło i bardzo głośno. Jego uznanie dla Maksa rozniosło się echem po jadalni, a Max odniósł wrażenie, że do gratulacji dla niego dołącza się liczna grupa ukrytych gdzieś słuchaczy.

Allain wstał, również się śmiejąc.

Max był częściowo rozbawiony, częściowo skonsternowany, a częściowo czuł, że właściwie chce

sobie już stąd pójść. Dwaj Carverowie nie prezentowali sobą wiele więcej niż zgraja konserwatywnych dziwolągów, którzy pisali do niego listy do więzienia. Pożałował, że nie może już cofnąć swoich słów, że nie może opowiedzieć im po prostu tych samych bzdur, którymi karmił gliniarzy i prawnika, opowiadając, że w gruncie rzeczy działał w samoobronie.

Dobrą zabawę przerwała Francesca.

— Wiedziałam — odezwała się jadownicę. Zwęziła oczy do drobnych szparek i popatrzyła na Maksa. — Tu wcale nie chodzi o Charliego.

— Francesco, wiesz przecież, że to nieprawda — odparł Allain takim głosem, jakby karciał dziecko za jakieś oczywiste kłamstwo. Posłał jej spojrzenie, które miało ją przywołać do porządku.

Francesca zareagowała na nie, opuszczając nisko głowę. — To zrozumiałe, że moja żona nie jest w najlepszym nastroju. Jest zdenerwowana — powiedział porozumiewawczo do Maksa, pochylając się ku niemu.

— Zdenerwowana? Wcale nie jestem zdenerwowana! Jestem bardziej niż zdenerwowana!

Wkurwiona! — wrzasnęła Francesca.

Jej twarz przybrała purpurową barwę, bladoniebieskie oczy niemal wyszły z orbit i zdawały się jeszcze bledsze. Pulsująca żyła na jej skroni zrobiła się granatowa, formując na niej

- 138 -

brzydki ciemny zawijas. Podobnie jak mąż, Francesca miała angielski akcent, jednak nie połykała samogłosek, co było charakterystyczne dla ludzi, którzy mieszkali na Wschodnim Wybrzeżu.

— Chyba pan już wie, dlaczego jest tutaj z nami, prawda? — zapytała Maksa. — Oni wcale pana nie sprowadzili, aby znalazł pan Charliego. Oni myślą, że Charlie nie żyje. Ściągnęli pana tutaj, bo chcą, żeby pan złapał porywaczy, czyli tych bezczelnych śmiałków, którzy odważyli się podnieść ręce na potężny, przemądrzały, wszytkowiedzący i przebogaty klan Carverow! Historia, którą pan opowiedział, to wszystko potwierdza. Pan wcale nie jest „prywatnym detektywem”. Jest pan po prostu sławnym mordercą do wynajęcia.

Max popatrzył na nią, czując zakłopotanie. Został złajany i właściwie nie miał słów na swoją obronę. Czegoś takiego się nie spodziewał.

Pod wieloma względami kobieta miała rację. Przecież sam wiedział, że jest w gorącej wodzie kąpany. Działał pod wpływem chwilowych impulsów. Często brał nad nim górę gwałtowny temperament, odbierając mu zdolność do logicznego myślenia.

— Francesca, proszę cię — powiedział Allain błagalnym tonem.

— Pieprzę cię, Allain! — zawołała. Odrzuciła na stół serwetkę i wstała tak gwałtownie, że jej krzesło przewróciło się do tyłu. — Zdaje się, że obiecałeś, iż znajdziesz Charliego.

— Przecież się staramy

— Razem z nim? — zapytała Francesca, wskazując na Maksa.

— Francesco, proszę cię, usiądź.

— Mam cię gdzieś, Allain. I ciebie też, Gustav. Mam głęboko w dupie was i całą tę waszą rodzinę. Posłała Maksowi spojrzenie pełne nienawiści. Żyłki w kącikach jej oczu napęczniały, wyskakując na skórze jak poranne

139

dżdżownice. Wściekłość i strach sprawiły, że jej usta zaczęły drżeć. Nagle jakby odmłodziła, ukazała się oczom Maksa mniej zniszczona i bardziej ponętna.

Odwróciła się i wybiegła z pokoju. Max dopiero teraz zauważył, że jest bosa, a nad lewą kostką ma niewielki tatuaż.

Po nieprzyjemnej eksplozji nastąpiła cisza tak absolutna, że Max usłyszał, jak któryś z dobermanów przed domem wydrapuje łapami dziurę w zwirowej ścieżce. Do jego uszu dotarło także cykanie świerszczy.

Allain sprawiał wrażenie upokorzonego. Był czerwony na twarzy. Jego ojciec opadł na krzesło i patrzył na syna raczej z rozbawieniem niż ze współczuciem.

— Przepraszam za moją żonę — powiedział po chwili Allain do Maksa. — Bardzo to wszystko przeżywa. Oczywiście, my wszyscy jesteśmy przygnębieni, ale dla niej, dla matki, sytuacja jest szczególnie trudna.

— Rozumiem — odparł Max.

Bo rozumiał. Rozróżniał dwa rodzaje rodziców ofiar: tych, którzy spodziewali się najgorszego, i tych, którzy do końca żyli nadzieją. Ci pierwsi nie pękali — mimo ogromnej straty panowali nad sobą, jednak stawali się mniej wrażliwi na otoczenie, a za to coraz bardziej nieufni i nietolerancyjni. Ci drudzy nigdy już nie byli w stanie się pozbierać. Śmierć dziecka oznaczała dla nich koniec wszystkiego, co kochali, oznaczała, że nie widzieli już sensu życia. Młodo umierali — na raka, z powodu uzależnień, zatruc. Max bezbłędnie odróżniał ludzi z tych dwóch grup, rozpoznawał ich już na progu mieszkań. Nigdy się nie mylił, aż do teraz. Przyszedłszy tu, uznał, że Carverowie przebrną przez najtrudniejsze chwile bez większego szwanku. Wybuch Franceski sprawił, że zmienił zdanie. Wsunął do ust kolejny kawałek grillot.

— Kiedy Charlie został porwany, Francesca była z nim w samochodzie — wyjaśnił Allain.

— Proszę mi opowiedzieć, jak to się stało — poprosił Max.

— To było na krótko przed inwazją Amerykanów. Francesca zabrała Charliego do Port-au-Prince, do dentysty. Po drodze jakiś samochód z nienawistną tłuszcą zajechał im drogę. Wsiedli z niego ludzie i po prostu wyrwali syna z rąk matki.

— Az nią co się stało?

— Pobili ją. Straciła przytomność. Odzyskała ją, leżąc na środku drogi.

— Nie miała ochrony?

— Miała. Kierowcę.

— Tylko kierowcę?

— To był bardzo dobry ochroniarz.

— Co się z nim stało?

— Jesteśmy przekonani, że tego samego dnia zginął.

— Niech mi pan powie — Max poprosił Allaina — czy pana żona często się pojawiała w telewizji? A może w gazetach?

— Nie. Może kiedyś, jeden raz, przy okazji jakiegoś przyjęcia u amerykańskiego ambasadora, kilka lat temu. Dlaczego pan pyta?

— A pański syn? Bywał na zdjęciach w gazetach?

— Nigdy. Do czego pan zmierza, Max?

— Kierowca.

— Kierowca? O co chodzi?

— Jak się nazywał?

— Eddie. Eddie Faustin — odparł Allain.

Faustin? Serce Maksa zabiło trochę szybciej. Czy ten Faus-tin miał jakiś związek z Salazarem Faustinem z Saturday Night Barons Club? Max nie bardzo chciał już teraz wracać na tę ścieżkę.

— Czy Faustin mógł zaplanować porwanie chłopca?

— Eddie Faustin był tak tępy, że z trudem potrafił zawiązać sznurowadła u butów, a pan sugeruje, że mógłby zaplanować porwanie? — zdziwił się Gustav. — To był dobry człowiek. Bardzo, bardzo lojalny. Gotów nadstawić za nas karku; pewnie nie poprosiłby nawet o aspirynę, gdyby go ten kark zabolął. Kiedyś przyjął na siebie kulę, która była przeznaczona dla mnie, rozumie pan? I nie usłyszałem od niego ani słowa narzekania. Po tygodniu był z powrotem w pracy. On i jego brat byli kiedyś w tajnej policji. Ludzie ich raczej nie lubili z powodu tego, co wyrabiali, kiedy u władzy byli Duvalierowie. Ale wszyscy się ich bali.

„Tak, to ci sami ludzie”, pomyślał Max. Salazar służył kiedyś w haitańskiej tajnej policji.

Wyszkolili go na faceta bezlitosnego, bez skrupułów. Podczas uroczystości przyjęcia w szeregach tajniaków kandydaci musieli walczyć z pitbullami i zabijać skazańców gołymi rękami. Stanowili jedną wielką rodzinę. To spostrzeżenie postanowił jednak zachować na razie tylko dla siebie.

— Może więc w tym porwaniu chodziło właśnie o niego? — zapytał Max.

— Myśleliśmy o tym, jednak mogli przecież przyjść po niego o każdym czasie. Wszyscy wiedzieli, że pracował dla nas. I wszyscy wiedzą, gdzie nas szukać, prawda? — wyjaśnił Allain.

— Także porywacze, jak rozumiem. Jest pan pewien, że to nie Eddie stał za porwaniem i że nie był w tę sprawę w żaden sposób zamieszany? — Max zapytał Gustava.

— Nie, na pewno nie. Gotów jestem świadczyć za niego całym życiem, niezależnie od tego, jak długo ma ono jeszcze trwać — powiedział stary człowiek.

W sumie Max nie miał powodów, żeby nie wierzyć Gustavowi. Takie porwanie wymagało wielu przygotowań i środków, począwszy od znalezienia bezpiecznej kryjówki, poprzez zorganizowanie samego napadu, likwidację ewentualnych świadków i sprawną ucieczkę. Aby mogło się udać, wymagało opanowania, chłodnych kalkulacji, sprawnego dowodzenia i racjonalnych decyzji.

Wymagało też bezwzględności i zimnej

- 142 -

krwi. Gustav Carver nigdy nie dopuściłby blisko siebie kogoś, kto spełniałby podobne kryteria.

Większość ochroniarzy to z zasady bezmyślne tępaki i w szczególności jego personel nie mógł tu stanowić wyjątku. A Eddie Faustin musiał być tę-pakiem szczególnym, skoro powrócił do pracy już tydzień po otrzymaniu postrzału.

Jeżeli Eddie był zaangażowany w porwanie, z pewnością ktoś go w nie wmanipulował. Hałastra, która napadła na samochód, prawdopodobnie miała być zmyłką, zorganizowaną po to, żeby zamordować Eddiego, niewygodnego świadka, i po to, żeby prawdziwi porywacze mogli szybko i bez śladu zniknąć z dzieckiem. Otwarte pozostawało tylko pytanie, czy stanowili część tej zgrai, czy też zjawili się na miejscu trochę później, żeby zabrać dzieciaka.

Chwileczkę...

— Co powiedziała pani Carver o zwłokach Eddiego? Gdzie się znajdowały?

— Nie było żadnych zwłok — wyjaśnił Allain.

— Nie było zwłok?

— Jedynie kałuża krwi przy samochodzie. Naszym zdaniem to była jego krew.

— Krew od krwi się nie różni, jeśli po prostu na nią popatrzeć. Przecież mogła należeć do kogokolwiek — zauważył Max.

— To prawda — przyznał Allain.

— Cóż, na razie muszę więc również Eddiego traktować jako osobę, która zaginęła — stwierdził Max. — A co ze świadkami? Z pańską żoną?

— Pamięta jedynie zgraję obdartusów atakujących samochód.

— Ale jeśli Eddie żyje, z pewnością wie, kto porwał Char-liego, prawda?

— To jest wielkie Jeśli" — wtrącił się Gustav. — Eddie nie żyje. Napastnicy go zabili, jestem pewien.

- 143 -

Być może, pomyślał Max, jednak „być może” nie rozwiązało jeszcze żadnej sprawy.

— Jak miał na imię brat Eddiego? — zapytał.

— Salazar — odparł Allain i spojrzał na ojca.

— To ten sam, którego aresztowałeś, przyskrzyniając So-lomona Boukmana — oznajmił Gustav, jakby czytał w myślach Maksa.

— Jest pan bardzo dobrze poinformowany — odrzekł Max. — Zapewne wie pan również, że całą tę zgraję deportowano ze Stanów i znowu znajduje się na Haiti.

— Wiem — odparł Gustav. — Czy to cię martwi?

— Tylko jeśli zdołają gdzieś mnie dopaść znienacka. Nastąpiła chwila ciszy. Gustav uśmiechnął się do Maksa.

— Otrzyma pan przewodnika — powiedział Allain. — Kogoś, kto pokaże panu wyspę i będzie pełnił funkcję tłumacza. Właściwie już pan poznał tę osobę. To Chantale.

— Chantale? — powtórzył Max.

— Będzie pańską asystentką.

Gustav zarechotał i puścił do Maksa oko.

— Rozumiem — powiedział Max. — Ta dziewczyna nie wygląda jednak na kogoś, kto ma znajomości wśród biedaków.

— Umie się wszędzie poruszać, zapewniam.

— Och, tak! — Gustav znowu się roześmiał.

Maksowi przyszło do głowy pytanie, który z tej dwójki ją pieprzył. Gotów był postawić na Allaina,

ponieważ ten zrobił się cały czerwony. Max poczuł przyptyw głupiej zazdrości. Cóż, pieniądze i status Carvera z pewnością były afrodyzjakiem. Próbował sobie wyobrazić Chantale i Allaina razem, ale jakoś nie potrafił. Coś tutaj nie pasowało. Tymczasem musiał potraktować Chantale jedynie jako partnerkę, koleżankę chroniącą w potrzebie jego dupę, tak samo jak jego partnerzy, kiedy służył w policji.

Wsunął do ust jeszcze jeden kawałek grillot, jednak mięso było już zimne i twarde. Postanowił zjeść jeszcze trochę pomidorów, ponieważ wciąż nie zaspokoił głodu.

— Mój syn nie ma szczęścia do asystentek — powiedział Gustav.

— Tato! — zawołał Allain.

— Sądzę, że powinieneś powiedzieć Maksowi, na co się naraża, prawda? Uczciwość tego wymaga, nie sądzisz? — zapytał Gustav.

— Spotkałem już Clyde'a Beesona, jeśli między innymi o to panu chodzi — oświadczył Max.

— Miałem raczej na myśli nieszczęsnego pana Medda. Allain wyglądał na skonsternowanego.

Posłał ojcu spojrzenie pełne złości.

— Kiedy się tu pojawił? — zapytał Max.

— W styczniu, w tym roku — odpowiedział Allain. — Dar-wen Medd. Kiedyś służył w Siłach Specjalnych. W Ameryce Południowej ścigał członków karteli narkotykowych. Nie minęło dużo czasu i...

Allain urwał i odwrócił wzrok.

— Medd zniknął bez śladu — wyjaśnił Gustav. — Dzień przed zniknięciem powiedział nam, że jedzie do Saut d'Eau; to takie Lourdes w wersji voodoo, wodospad, pod którym ludzie stają, żeby się oczyścić. Ktoś podobno widział tam Char-liego.

— I potem już nigdy nie mieliście od niego wiadomości? Allain pokiwał głową.

— Wiecie, kto mu przekazał tę informację?

— Nie.

— Czy sami podążyliście tym śladem? Mam na myśli wodospad.

— Tak. Okazał się fałszywy.

— Czy wypłaciliście Meddowi dużą zaliczkę?

— Mniejszą niż panu.

- 144 -

- 145 -

— Sprawdziliście port lotniczy?

— I porty morskie, i granicę lądową. Facet zniknął bez śladu.

Max zamilkł. Z każdego kraju można było wyjechać, nie pokazując się na przejściu granicznym, i Haiti nie stanowiło wyjątku. Najlepszym tego dowodem byli uciekinierzy na łodziach, których fale morskie codziennie wyrzucały na wybrzeże Florydy. A poza tym Medd mógł bez większych trudności prześlizgnąć się przez bardzo słabo strzeżoną granicę na terytorium Dominikany.

Ale — zakładając, że wciąż żył — jeżeli wyjechał z kraju, dlaczego uczynił to tak szybko, nie kontaktując się z Carverami?

— Nie mówisz mi wszystkiego, Allain — Gustav burknął do syna.

— Ojcze, nie sądzę, żeby to było ważne — odparł Allain, starając się nie patrzeć ani na Gustava, ani na Maksa.

— Ale to właśnie jest ważne — stwierdził Gustav. — Widzisz, Max, Medd i Beeson mieli poprzednika...

— Ojcze, to nie ma znaczenia — odezwał się Allain. Zaciskał pięści, a jego wzrok płonął.

— To był Emmanuel Michelangelo — powiedział Gustav, podnosząc głos.

— On także zniknął? — zapytał Max Allaina. Bardzo mu zależało na tym, by nie dopuścić do kolejnego rodzinnego spięcia.

Kiedy Allain usłyszał to pytanie, w jego oczach pojawiła się jakby panika.

Gustav poruszył się. Miał zamiar się odezwać, jednak Max przyłożył środkowy palec do ust, nakazując mu milczenie.

Allain tego nie zauważył. Był bardzo blady. Patrzył gdzieś w dal, ale niczego teraz nie widział. Jego

umysł zawrócił daleko w przeszłość, przekopując się przez czas, który upłynął. Minęła zaledwie chwila, zanim dotarł do złych wspomnień. W zmarszczkach na czole Allaina zabłyszczał pot.

— Nie, tylko... Zniknął jedynie Medd — odparł Allain drżącym głosem. — Manno... Emmanuel został znaleziony w Port--au-Prince.

— Martwy? — spytał Max.

Allain potwierdził, jednak słowo „tak” z wielkim trudem przeszło mu przez gardło.

— Czy był przecięty na dwie części? — Max znowu zadał pytanie.

Allain opuścił głowę i przytrzymał ją pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem.

— Co się stało, panie Carver? — zapytał Max.

Allain potrząsnął głową i Max pomyślał, że mężczyzna zaraz się rozplacze. Emmanuel Michelangelo musiał być jego bliskim przyjacielem.

— Panie Carver, bardzo proszę — powtórzył Max tym samym tonem, starając się zawrzeć w głosie odrobinę intymności. — Rozumiem, że to jest dla pana trudne, ale ja naprawdę muszę wiedzieć, co się stało.

Allain milczał.

Max usłyszał jakby drapanie na podłodze obok krzesła Gustava.

— Powiedz mu! — niespodziewanie eksplodował Gustav

Max i Allain spojrzeli w jego kierunku w samą porę, żeby ujrzeć, jak stary człowiek wstaje i przecina powietrze laseczką.

W momencie, w którym laseczka uderzyła w stół, rozległ się potężny trzask. Szkło i naczynia stołowe podskoczyły i większość roztrzaskała się w drobny mak.

Gustav stał sztywny, sylwetką górując ponad stołem, rozzłoszczony, kołyszący się na boki i groźny. Jego obecność wypełniała cały pokój, niczym trujący gaz.

— Zrób to, co ci każe, i mu powiedz — zażądał Gustav, powoli i głośno. Wzniesioną laseczką celował w Allaina. Max zobaczył, że przykleiły się do niej resztki fasoli i ryżu.

- 147 -

— Nie! — odkrzyknął Allain i zacisnąwszy dłonie w pięści, ze złością spojrzął ojcu w oczy. Na jego twarzy malowało się ogromne wzburzenie, policzki mu drżały. Max gotów był w każdej chwili stanąć pomiędzy ojcem a synem, gdyby młodszy zdecydował się zaatakować starszego.

Gustav nie ugiął się pod spojrzeniem syna, a na jego ustach i zuchwie pojawił się jakby lekki uśmiezek.

— Emmanuel Michelangelo — powiedział, wycierając laseczkę w obrus i opierając ją o krzesło — był jedynym Haitańczykiem, jakiego zatrudniliśmy. Byłem przeciwny zatrudnianiu Haitańczyków, są tępi i leniwi, ale mój syn nalegał. Zgodziłem się więc na próbę. Ale okazał się zupełnie bezużyteczny. Został znaleziony we własnym dziupie, w Port-au-Prince. W samochodzie nie było ani silnika, ani kół, i jeszcze mnóstwa innych rzeczy. Emmanuel siedział w środku, na miejscu kierowcy. Penis i jaja miał starannie odcięte... a właściwie niestarannie, bo ktoś użył do tego nożyczek.

Max poczuł, jak strach dławi mu żołądek i nieprzyjemnym mrowieniem wędruje ku jądrom.

Mówiąc, Gustav przez cały czas patrzył na Allaina. Allain nie odrywał wzroku od ojca, wciąż miał zaciśnięte pięści, jednak Max już wiedział, że ich nie użyje, nie zaatakuje starego Carvera. Zresztą ojciec wiedział to od samego początku.

— Michelangelo został uduszony własnymi genitaliami — powiedział Gustav. — Cały penis miał w gardle, jądra wypychały mu policzki...

Gustav zademonstrował, jak to wyglądało, wsuwając do ust palce wskazujące i wypychając nimi własne policzki. Następnie wyciągnął język i, nadal patrząc na syna, zaczął nim przewracać z boku na bok. Teraz już naprawdę do złudzenia przypominał gargulca.

— Mam nadzieję, że mnie się to nie przydarzy i nie zmartwię Chantale — stwierdził Max.

- 148 -

Gustav zagrzmiął rubasznym śmiechem i otwartą dłonią uderzył w stół.

— Wreszcie! — zawołał. — Wreszcie ktoś z ikra.

— Ty draniu! — krzyknął Allain.

Max pomyślał, że to chodzi o niego, ale syn wciąż wpatrywał się w ojca. Po chwili jak burza wybiegł z pokoju.

W wielkiej jadalni znowu zapanowała upiorna cisza. Max popatrzył na swoje niedokończone danie i nagle zapragnął znaleźć się w jakimś innym miejscu.

Gustav usiadł i zawołał służące. Przyszły błyskawicznie. Posprzątały szkło i resztki jedzenia z podłogi, a potem pozbierały ze stołu ocalałe talerze.

Wracając po raz kolejny z kuchni, jedna ze służących przyniosła Gustavowi srebrne pudełko z papierosami, zapalniczkę i popielniczkę. Powiedział coś do niej tak cicho, że musiała pochylić się ku niemu bardzo nisko, żeby cokolwiek usłyszeć. Mówiąc do niej, stary człowiek zacisnął dłoń na jej ramieniu.

Służąca wyszła z jadalni, a Carver wziął z pudełka papierosa i zapalił go.

— Przed pierwszym zawałem paliłem jakieś czterdzieści sztuk dziennie — oświadczył. — Teraz pozwałam sobie tylko na jednego, żeby chociaż pamiętać, jak smakują. A ty?

— Rzuciłem.

Gustav uśmiechnął się i pokiwał głową.

Niektórzy ludzie rodzą się palaczami. Gustav był jednym z nich. Uwielbiał swój nałóg. Z rozkoszą wdychał dym z papierosów, potem przetrzymywał go w płucach i dopiero po długiej chwili wypuszczał ustami.

— Przykro mi, że musiałeś być świadkiem tego wszystkiego. Właściwie to kłóć się wszystkie rodziny na świecie. To jest nieprzyjemne, ale zdrowe. Masz rodzinę, Max?

— Nie. Moja mama umarła. Gdzie jest ojciec, nie wiem. Teraz prawdopodobnie także nie żyje. Myślę, że mam kilkoro kuzynów, siostrzeńców i bratanków, ale nikogo z nich nie znam.

149 -

— A rodzina twojej zmarłej żony? Utrzymujesz z nią kontakt?

— Bardzo luźny. Gustav pokiwał głową.

— Allain bardzo się zdenerwował historią z Emmanuelem, ponieważ byli przyjaciółmi ze szkoły. A ja przepychałem tego Emmanuela najpierw przez szkołę, a później przez college. Jego matka była nianią Allaina, który kochał ją bardziej niż własną matkę. Na Haiti mamy kulturę służących. Nazywamy ich restavec. To kreolskie tłumaczenie słów „być z”. Pochodzi od francuskiego rester — być — i avec — z. Widzisz, naszym służącym na Haiti nie płacimy. Oni po prostu mieszkają z nami, „są z” nami. Ubieramy ich, karmimy i zapewniamy mieszkanie. W zamian oni dla nas gotują, sprzątaj, opiekują się domem i ogrodem. To stosunki feudalne, wiem. — Carver uśmiechnął się, obnażając zęby o kolorze karmelu. — Popatrz jednak na ten kraj. Dziewięćdziesiąt osiem procent ludności wciąż pociera dwa drewnianki, aby wskrzesić ogień. Czujesz się urażony?

— Nie — odparł Max. — Takie mniej więcej stosunki panowały w więzieniu. Kultura skurwysynów. Bywało, że ludzie sprzedawali się za paczkę fajek. Za sprzedanie magnetofonu można było sobie zapewnić obciążanie pały do końca życia.

Gustav zachichotał.

— Tutaj nie jesteśmy aż takimi barbarzyńcami. Kultura służących to po prostu sposób życia.

Haitańczycy mają ją w genach i nie ma sensu poprawiać natury. Moich ludzi staram się traktować najlepiej, jak mogę. Wszystkie ich dzieci wysyłam do szkół. Wiele z nich zostało majątnymi ludźmi z klasy średniej; oczywiście, w Ameryce.

— A co z Emmanuelem?

— Był bardzo inteligentny, ale miał ogromną słabość do kobiet. Sprawiały, że się dekoncentrował.

— Jego matka była pewnie z niego dumna.

- 150 -

— Z pewnością by była. Zmarła, gdy miał piętnaście lat.

— Cholera jasna — westchnął Max.

Gustav zdusił w popielniczce niedopałek papierosa. Wróciła służąca. Podeszła do Maksa i położyła coś przed nim na stole. Była to płyta kompaktowa Franka Sinatry, Duety. Na okładce widniała dedykacja piosenkarza dla Gustava, napisana niebieskim atramentem.

— Bardzo panu dziękuję — powiedział Max.

— Mam nadzieję, że ci się spodoba. W domu, w którym zamieszkałeś, powinien się znajdować odtwarzacz CD.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na siebie ponad stołem. Mimo że przed kilkoma minutami był świadkiem okrucieństwa Gustava Carvera, Max polubił go i nic nie mógł na to poradzić. Tkwiła w nim fundamentalna uczciwość, dzięki której człowiek przynajmniej wiedział, na czym stoi.

— Zaproponowałbym ci kawę, ale czuję, że muszę się już położyć — powiedział Carver.

— Nie ma sprawy — odparł Max. — Jeszcze tylko jedno. Co mógłby mi pan powiedzieć na temat Vincenta Paula?

— Mógłbym o nim opowiadać przez cały wieczór, jednak większa część mojej opowieści pewnie by cię nie zainteresowała. Ale powiem ci jedno: jestem przekonany, że to on stoi za porwaniem Charliego. Jest nie tylko kimś, kto — moim zdaniem — mógłby coś takiego zorganizować, ale jest także człowiekiem, który po prostu byłby do tego zdolny.

— Dlaczego?

— Bo mnie nienawidzi. Zresztą nienawidzi mnie bardzo wielu ludzi, z różnych powodów. Muszę z tym żyć. — Carver uśmiechnął się smutno.

— Przesłuchano go?

— To nie Ameryka. — Carver zarechotał. — A poza tym, kto by się ośmielił pojechać do niego, żeby go zabrać na przesłuchanie? Na sam dźwięk nazwiska tego potwora odważni ludzie srają w gacie.

- 151 -

— Ale, panie Carver... — zauważył Max — z pewnością człowiek o pańskiej pozycji... Mógłby pan zapłacić ludziom, żeby...

— Żeby co, Max? Żeby go zabili? Aresztowali go? Pod jakim „zarzutem”, przyjmując twoją terminologię? Podejrzenia porwania mojego wnuka? Przecież to nie ma sensu. Możesz mi uwierzyć, chwyciłem się wszelkich możliwości, żeby dopaść Paula, żeby go „przesłuchać”, jak to się mawia. Ale tego się nie da zrobić. Vincent Paul jest tutaj zbyt grubą rybą, jest zbyt potężny, żeby czepiać się go bez dowodów. Pochopne działania mogłyby wywołać nawet wojnę domową. Ale z dowodami mógłbym na niego ruszyć. Zdobądź więc dla mnie te dowody. I sprowadź z powrotem chłopca. Proszę. Błagam cię o to.

12

Znalazłszy się w samochodzie zjeżdżającym z gór do Petion-ville, Max poczuł falę ogromnej ulgi. Cieszył się, że wreszcie opuścił dom Carverów. Miał nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiał jeść z nimi kolacji.

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, w jak wielkim napięciu funkcjonował przez cały wieczór. Spocona koszula przylegała do płótna jego marynarki i odczuwał pierwsze symptomy bólu głowy wywołanego stresem. Potrzebował teraz spokoju, spaceru, samotności, świeżego powietrza oraz czasu na myślenie, na poskładanie do kupy wszystkiego, czego się dotąd dowiedział.

Poprosił ochroniarzy, żeby wysadzili go przy barze, który pamiętał z drogi do domu Carverów. Nie byli zadowoleni, powiedzieli mu, że to „niezbyt bezpieczny pomysł” i że mają rozkazy, aby go zawieźć prosto do domu. Max zastanawiał się, czy nie pokazać im pistoletu na dowód, że nic złego

nie

152

może mu się stać, w końcu jednak po prostu przekonał ich, że wszystko będzie w porządku, że bar przecież znajduje się bardzo blisko domu.

Odjechali, nawet nie pomachawszy mu na do widzenia. Przez krótką chwilę patrzył za ich samochodem; jego czerwone światelka znikwały na drodze w szybszym tempie niż znikają monety wrzucone do studni.

Na końcu drogi znajdowało się centrum Petionville — rondo i rynek, oświetlone pomarańczowym światłem neonu i całkowicie opustoszałe. Przestrzeń pomiędzy barem a rondem była niemal zupełnie ciemna. Tylko gdzieś tam ciemność przebijały słabe światła nagich żarówek nad drzwiami wejściowymi do domów i w ich oknach oraz małe ogniska na poboczu drogi. Od czasu do czasu dało się zauważyć światła przejeżdżających samochodów. Max wiedział, że aby dotrzeć do

domu, musi skrócić w jedną z bocznych uliczek, dojść do jej końca i znaleźć strzałkę wskazującą drogę do Impasse Carver. Dopiero po chwili doszedł do wniosku, że powinien być jednak pozwolić ochroniarzom, aby zawieźli go do domu. Właściwie nie umiał się poruszać w ciemnościach miasteczka i nie miał pojęcia, w którą uliczkę należało skręcić. Do wyboru były przynajmniej cztery.

W tej sytuacji będzie musiał powoli schodzić ze wzgórza i próbować każdą po kolei, dopóki nie trafi na właściwą. Pamiętał, że kiedy był młodszy, również pakował się w podobnie głupie sytuacje, ale wówczas przeważnie był albo pijany, albo naćpany, albo wszystko razem. Zawsze jednak bezpiecznie trafiał do domu. Cały i zdrowy. Teraz też nie powinno mu się przydarzyć nic złego. Ale najpierw musiał się napić. Chociażby dobrego piwa, żeby splukać z przelęku tego sześciogwiazdkowego barbanco-urta deluxe, którym go poczęstował stary Carver. Dopiero wtedy pójdzie do domu. Piwo pozwoli mu znaleźć drogę i uwolni go od strachów, które powoli zaczynały wpadać mu do ucha

153

natarczywymi szeptami. Oczywiście wyobraźni znów widział Clyde'a Beesona w pieluchach, powracało doń pytanie, co się stało z Derwenem Meddem. Wyobrażał sobie Emmanuela Michelangelo z odciętym i wepchniętym do gardła fiutem. Zastanawiał się, czy byłby zdolny dalej żyć, gdyby odcięto mu jego własnego fiuta. Myślał o Boukmanie, siedzącym tutaj, gdzieś na ulicy, może przy którymś z tych małych ognisk, obserwującym go i czekającym.

Od zewnątrz bar „La Coupole” był małym, jaskrawoniebieskim domem z zardzewiałym blaszanym dachem, z którego okapów zwisały na sznurach różnokolorowe żarówki, podobne do tych, które otaczały szyld składający się z dwóch desek i nazwy baru wypisanej na nich koślawymi literami białą farbą. Dodatkowo w ściany wkręcono małe punktowe lampki, które rzucały światło na popękany beton przed budynkiem. Wszystkie okna były pozabijane deskami. Na frontowej ścianie ktoś wypisał sprayem „La Coupole wita USA”, a obok napisu znalazło się miejsce dla kolejnej deski; na niej z kolei wypisano listę podawanych tu drinków wraz z cenami. Nie była ona długa: budweiser, Jack Daniels i cola — nie sprzedawano nic więcej.

Z wnętrza baru dobiegały dźwięki pulsującej muzyki, jednak była ona głośna tylko na tyle, by Max mógł dosłyszeć rytm gitary basowej. Było to na ulicy jedyne źródło hałasu, mimo że dookoła baru zgromadziło się mnóstwo ludzi — wyłącznie miejscowych — którzy rozmawiali, czasami gestami podkreślając znaczenie jakichś słów.

Przed wejściem do baru siedział na motocyklu bez błotników jakiś łysy nastolatek w workowatej białej marynarce, bez koszuli i bez butów. Z czterech rogów siodełka strzelały sprężyny i fragmenty gąbki. Dzieciaka półkolem otaczali mali chłopcy, spoglądający na niego z podziwem i szacunkiem:

na

154

obrazie w kościele mógłby to być Jezus w postaci haitańskiego chłopaka ze slumsów, ubranego w znoszony dyskotekowy strój Johna Travolty.

Max wszedł do środka. Oświetlenie było tu słabe i docierało jakby zza mgły, jednak zdołał wyłowić wzrokiem wszystkie kontury. Wnętrze okazało się znacznie większe niż przypuszczał. Od razu zorientował się, że oryginalna ściana budynku została na parterze wybita i powstała obszerna przybudówka. Bez trudu dawało się ją wyodrębnić, ponieważ właściciela albo nie było stać, albo po prostu nie zatroszczył się o to, aby ściany przybudówki wymalować jak pozostałą część baru. Jego trzecia część miała taki sam niebieski kolor jak ściany na zewnątrz, podczas gdy ze ścian przybudówki straszyły szare, nierówno poukładane cegły. Podłogę stanowił po prostu wylany cement.

Pod ścianami sali barowej ustawiono drewniane stoliki i krzesła. Nie sposób byłoby się dopatrzeć dwóch identycznych stolików albo dwóch identycznych krzeseł. Niektóre były wysokie i okrągłe, inne niskie i kwadratowe, niektóre powstały w wyniku połączenia szkolnych ławek, inne z kolei wykonano, dzieląc na pół i modyfikując większe stoły. Max dostrzegł także jeden stolik z mosiężnymi lub miedzianymi okuciami, sprawiający podejrzane wrażenie cennego antyku. W barze było mnóstwo ludzi, na ogół białych mężczyzn. Max przypuszczał, że są to głównie

Amerykanie po służbie oraz żołnierze innych nacji, przysłani tutaj w ramach misji ONZ. Swoich rodaków wyławiał z tłumu bezbłędnie. Byli dwa razy lepiej zbudowani niż ich partnerzy innych narodowości — efekt ćwiczeń fizycznych, obżarstwa i wreszcie genów. Mieli, jak on sam, wielkie dłonie, masywne ramiona, małe głowy i bardzo krótkie szyje. Nieliczne kobiety, które im towarzyszyły, były zbudowane podobnie. Wszyscy bawili się w swoim zamkniętym kręgu, opowiadając sobie różne historie, żartując, śmiejąc się i pijąc wyłącznie buda i colę prosto z butelek.

!

- 155 -

Kiedy Max znalazł się w środku, obrzucili go spojrzeniami, w których nawet nie starali się ukryć zaciekawienia. W barze, w którym ludzie byli ubrani w dzinsy, bawełniane koszulki i tenisówki, jego garnitur i lśniące czarne buty aż raziły.

Podszedł do kontuaru. Nie było przed nim ani jednego stołka, tylko miejsce do stania. Na półce za ladą stała jedna jedyna butelka — standardowy rum barbancourt — zakurzona i wciąż fabrycznie zamknięta. Piwo i colę podawano tu prosto z lodówki.

Max zaskoczył barmana, prosząc o rum. Barman zdjął butelkę z półki, otworzył ją i nalał do plastikowego kubka trochę więcej niż podwójną porcję. Zamierzał dorzucić do środka kilka kostek lodu, jednak Max przypomniał sobie ostrzeżenia, że nie powinien na Haiti konsumować wody prosto z kranu, i potrząsnął głową na znak, że lodu sobie nie życzy Zapłacił dolarami. Dwa dolce. Reszty nie było.

Dźwięki muzyki docierały z dziedzińca po lewej stronie, zza framugi, w której nie było drzwi. Dziwacznie wyglądający haitański dyskdżokej obsługiwał odtwarzacz płyt kompaktowych, puszczając jakąś okropną piosenkę, śpiewaną po angielsku, ale z wyraźnym niemieckim akcentem. Dyskdżokej stał za stolikiem, na którym ustawił sprzęt. Tuż przed nim kilka tuzinów żołnierzy po służbie, mających w tym kraju utrzymywać pokój, wyginało się w rytmie muzyki jak epileptycy na lodowisku.

Max poczuł na sobie jakieś natarczywe spojrzenie. Odwrócił głowę i pobiegł wzrokiem ku najciemniejszemu kątowni baru, skąd — jak mu się zdawało — ktoś mu się przypatrywał. Miał rację. Uśmiechały się do niego dwie Haitanki. Podchwyciły jego spojrzenie i lekko pokiwały głowami. Prostytutki. Wyglądały tak, jak wyglądają prostytutki na całym świecie. Max poczuł, że reaguje na nie jego członek. Czarne i brązowe kobiety zawsze go podniecały, a więc i teraz nie mogło być inaczej.

Jedna z prostytutek wstała i ruszyła w jego kierunku. W zbyt obcisłej czarnej sukience i w srebrnych butach na wysokich obcasach poruszała się dość niezdarnie. Max zdał sobie sprawę, że wpatruje się w dziewczyny, wcale ich nie widząc. Przez cały czas odtwarzał w myślach dawne wspomnienia i kreował fantazje. Kobiety w jednej chwili wyczuły jego potrzeby, wręcz wywachały kotłujące się w nim pożądanie. Popatrzył zbliżającej się prostytutce prosto w oczy, przez co zatrzymała się wpół kroku. Jej uśmiech natychmiast zamienił się w wyraz rozczarowania. Max potrząsnął głową, a potem się odwrócił. Znowu patrzył na dyskdżokeja a i tancerzy.

Upił łyk alkoholu. Rum był zaskakująco dobry: słodki i łagodny na języku, łatwy do przełknięcia. Zamiast ostrego uderzenia w jelita, jakiego się spodziewał, po pierwszym łyku poczuł w sobie miłe ciepło. Jego pierwszy drink od prawie dziesięciu lat. Ciepło, które go po nim ogarnęło, było przyjemne i bardzo znajome.

Z nałogiem tak naprawdę nikt nie jest w stanie wygrać. Można do końca życia go unikać, jednak zawsze już będzie tkwił w człowieku w postaci impulsu, żeby znowu się zapomnieć, w postaci nieustannej pokusy maszerującej tuż obok swojej ofiary, gotowej przystąpić do działania, kiedy tylko ta się potknie. Najlepiej odstąpić od nałogu jeszcze w jego wczesnej fazie, kiedy przyjemność z pogrążania się w nim wciąż jest większa od bólu i przymusu. Podobnie jest ze wspomnieniami, jakie pozostają po ludziach, których się kiedyś spotkało na krótko i w miłych okolicznościach. Kolejne spotkania już nie miałyby sensu, ponieważ przyniosłyby jedynie rozczarowania.

Max nie był alkoholikiem, ale — gdyby nie więzienie — pewnie w końcu poddałby się nałogowi. Wypijał drinka po każdym dniu pracy, niezależnie od tego, o której godzinie kończył. Nieraz o

siódmej czy ósmej rano znajdowali z Joe'em pierwszy otwarty bar i siadali na jednego razem z ludźmi, którzy strzelali sobie grzdyla w drodze do pracy, albo tymi, któ-

- 156 -

- 157 -

rzy przychodzili na śniadanie po całonocnej balandze. Nad ranem wypijali zawsze tylko jeden kieliszek, najczęściej setkę irlandzkiej whisky, nierozcieńczonej, bez lodu.

Kiedy Max miał wolny wieczór, wypijał w barach całkiem sporo, ale zawsze tylko tyle, żeby nie stracić nad sobą kontroli. Pomagało mu to zapomnieć, że jest gliną, i sprać z siebie tę dziwną aurę, otaczającą wszystkich gliniarzy i pozwalającą ludziom bezbłędnie wyławiać ich z tłumu. Alkohol podpowiadał mu, jak się zachowywać w trudnych sytuacjach, jak odpowiadać na nieprzyjemne pytania. A poza tym pasował do posiłków, był przyjacielem podczas samotnych nocy. No i pomagał mu zdobywać kobiety na jedną noc. Mnóstwo kobiet.

Max nigdy nie kosztował żadnych przyjemności tylko połowicznie. Wypalał dziennie całą paczkę czerwonych marlboro, jeszcze więcej, kiedy pił, i jeszcze więcej, kiedy był u progu rozwikłania jakiejś ważnej sprawy. Razem z Joe'em wypalał także mnóstwo skrętów z marihuaną, dobrego jamajskiego towaru, który zawsze dawał porządnego kopa. Joe rzucił marihuanę, kiedy gdzieś przeczytał, że jej palenie w zbyt wielkich ilościach prowadzi do chorób psychicznych, a poza tym sprawia, że mężczyznom wyrastają cycki. Max poszedł po prostu śladem przyjaciela, lecz nie bez znaczenia były plakaty z ostrzeżeniami przed marihuaną, drukowane specjalnie dla policjantów przez FBI.

Sandra pomogła mu odrzucić wszystko, co złe — alkohol, marihuanę, papierosy i, przede wszystkim, wykańczającą pracę w policji.

Potem powiedziała „tak”, kiedy poprosił ją o rękę.

W noc poprzedzającą ślub specjalnie postanowił przegiąć pałę. Kupił sobie butelkę whisky i paczkę marlboro. Już od roku nie pił i nie palił, ale chciał ostatecznie powiedzieć „do widzenia” swojemu dawnemu stylowi życia — jednocześnie papierosom, alkoholowi i samotności.

Wyjechał z miasta i przejechawszy spory odcinek Ocean

Drive, w końcu zatrzymał samochód, usiadł na plaży i zapragnął sobie przypomnieć to wszystko, co było jego przeszłością. Papieros smakował okropnie, whisky paliła go w gardło i poczuł się jak głupek, który tylko szuka kłopotów, samotny na piasku dzikiej plaży, jednak uważnie obserwowany przez różnych dziwaków, drobnych złodziejasków i przypadkowych turystów. Wrzucił papierosa do butelki, mocno zakręcił nakrętkę, po czym cisnął butelkę do oceanu i odszedł. Nie czuł satysfakcji.

Teraz fale wyrzuciły butelkę z powrotem na brzeg.

Nikt w barze nie palił. Max opróżnił kubek i poprosił o następną porcję rumu. Alkohol rozluźniał go, pomagał mu zebrać myśli.

Carverowie: Gustav był człowiekiem strasznym, ale niezwykłym. Max go podziwiał. Stary człowiek do końca odgrywał swoją rolę, pomimo choroby.

Allain był zapewne miłszym facetem, niż dotąd dał się poznać. Miał przypuszczalnie całkiem inne pomysły na prowadzenie interesów niż jego ojciec. Mimo że w domu wciąż był tłamszony, z pewnością nie brakowało mu ani inteligencji, ani odwagi.

Pomiędzy ojcem a synem nie było zbyt wielkiej miłości, być może w ogóle się nie kochali, panował jednak szacunek — przynajmniej ze strony Allaina — no i był jeszcze Charlie. W tej chwili to Charlie Carver jednoczył rodzinę.

To samo dotyczyło Franceski Carver. Nienawidziła Maksa, on jednak odgadł, skąd wzięła się w posiadłości Carverow, i sympatyzował z nią, a nawet jej współczuł. Kobieta pragnęła uciec od swojego małżeństwa, uciec od Carverow i z Haiti, ale nie mogła tego uczynić bez swojego dziecka — dosłownie albo w przenośni. Gdyby tylko dowiedziała się, co się z nim stało, byłaby wolna. Carverowie stanowili rodzinę dysfunkcyjną, jednak Max nie mógł powiedzieć, że są najgorszą rodziną, jaką w życiu

- 158 -

- 159 -

spotkał. Wobec nieszczęścia, jakie na nich spadło, trzymali się razem i na swój specyficzny sposób wszyscy nawzajem się wspierali.

Najprawdopodobniej porwanie Charliego było raczej zemstą na starym Carverze, a nie na jego synu. Lista wrogów Gu-stava była zapewne grubsza od niejednej książki telefonicznej. Jeśli znajdował się wśród nich ktoś wystarczająco bogaty i zdesperowany, by wynająć ludzi do porwania chłopca, jak kogoś takiego znaleźć? To przecież było prawie niemożliwe.

Ale czy na pewno? Do poszukiwań przystąpiło dotąd trzech prywatnych detektywów, którzy marnie skończyli —jeden nie żył, jeden zaginął i prawdopodobnie był już martwy, a kolejny został straszliwie okaleczony. Cała trójka musiała natrafić na ślad chłopaka; w przeciwnym wypadku pewnie do dzisiaj wszyscy cieszyliby się dobrym zdrowiem.

Beeson był spośród nich typem najbardziej upartym i zachłannym. Kiedyś w trakcie wykonywania zlecenia otrzymał postrzał w brzuch i wrócił do zajęcia natychmiast po opuszczeniu szpitala. Nic nie mogło stanąć na drodze pomiędzy nim a pieniędzmi.

Ale co się stało z Darwenem Meddem?

Max opróżnił trzecią szklankę z rumem. Ludzie w barze wciąż spoglądali na niego ukradkiem, nikt się do niego nie zbliżał. Dwóch Amerykanów rozmawiało z prostytutkami. Cała czwórka była po imieniu, ale nie zanosilo się, że dojdzie do jakiegoś porozumienia. Dziewczyny wydawały się tym nie-zainteresowane, żołnierze prawdopodobnie obawiali się AIDS, a żaden kondom nie był w stanie ich uchronić przed mitem, że ta straszna choroba zaczęła się właśnie na Haiti.

Jakiś Haitańczyk stanął w pobliżu grupki Amerykanów, uważnie przysłuchując się ich konwersacji. Zachłannie łapał każde ich słowo i jak papuga powtarzał te, które rozumiał. Kiedy któryś z Amerykanów mówił „Jebać” albo „kurwa”, albo rzucał nazwisko jakiejś sławnej osoby z branży muzycznej

czy filmowej, Haitańczyk powtarzał je niczym echo, klepał się po udach i rechotał wesoło, kiwał głową i wołał „o, tak” albo „no jasne!” głosem, w którym jego zdaniem brzmiał amerykański akcent, a który w rzeczywistości brzmiał jak chińskie jodłowanie. Co jakiś czas Amerykanie spoglądali na niego i wybuchali śmiechem, pogardliwym lub lekceważącym. Kilku jednak milczało; z głębokim niesmakiem wpatrywali się w podsłuchującego. Max widział tę pogardę w ich twarzach, postawie, wzroku, krzywych minach, które robili, kiedy słyszeli, jak tubylec naśladuje Amerykanów.

Haitańczyk był ubrany w czapkę baseballową, założoną tyłem do przodu, workowatą koszulkę z flagą amerykańską, luźne dzinsy i buty nike. Prawdziwy fan swoich okupantów.

Nagle Max zrozumiał, co dzieje się naprawdę.

Haitańczyk w rzeczy samej rozmawiał z kimś, kogo Max dotąd nie widział, stojącym w środku grupy, zasłanianym przez swoich kumpli. Max zauważył go dopiero wtedy, gdy jeden z Amerykanów poszedł do baru, żeby kupić kolejne drinki.

Był to ostrzyżony na jeża blondyn z małym nosem i grubymi wąsami. To on nabijał się z Haitańczyka, udając, że go uczy angielskiego, a w rzeczywistości robiąc z niego ostatniego głupka. Max zaczął nasłuchiwać uważniej.

— Powtarzaj za mną — mówił ostrzyżony najeża, poruszając rękami jak dyrygent. — Ja...

— Ja...

— Jestem...

— Jezdem...

— Z zoo...

— Zzo...

— Które się nazywa...

— Które się nazywa...

— Haiti.

— Haiti?

- 160 -

- 161 -

— Haiti, a może inaczej, nazywajcie sobie tę cholerną dziurę, jak tylko chcecie!

Krótko ostrzyżony roześmiał się, a wraz z nim grupa Amerykanów. Milczało tylko kilku kontestatorów. Jeden z nich podchwycił spojrzenie Maksa i zrobił minę, która miała wyrażać bezsilność i przeprosiny: to przecież oni, a nie ja.

Maksa to jednak gównu obchodziło. Nie współczuł kontestującemu rodakowi, lecz Haitańczykowi. Scena była żalosna i doprowadzała Maksa do pasji. Przypomnił mu się pewien skecz Sammy'ego Davisa juniora z Rat Pack Vegas Show, który miał nagrany na taśmie. Frank i Dean ponizali Sammy'ego na scenie, obrzucając go wszelkimi możliwymi rasistowskimi epitetami, widzowie zrywali boki ze śmiechu, a tymczasem Sammy klepał się po udach i klaskał, mając szeroko otwarte usta, jakby i on się dobrze bawił, lecz jego oczy pozostawały zimne i obojętne, dusza bez wątpienia przebywała zupełnie gdzie indziej, a usta groziły, że w każdej chwili zawyją z bólu i — przede wszystkim — złości, mimo że bez wątpienia zaraz zagłuszą je dźwięki orkiestry i jeszcze głośniejszy aplauz widowni. Haitańczyk był dokładnie taki sam jak Sammy, tyle że z pewnością nie czuł bólu, bo w przeciwieństwie do Sammy'ego nie rozumiał, co mówi i co mu robi krótko ostrzyżony.

W tej chwili Max po raz pierwszy w życiu poczuł wstyd, że jest Amerykaninem.

Wrócił do baru i potrząsnął przed barmanem plastikowym kubkiem, dając mu znać, żeby go znowu napełnił. Barman nalał mu czwartą porcję rumu i zapytał, jak mu smakuje. Max odpowiedział, że trunek jest wspaniały.

Do baru podszedł jakiś mężczyzna i zamówił coś w miejscowym języku. Zamienił kilka słów z barmanem, który na koniec rozmowy się roześmiał.

Mężczyzna odwrócił się do Maksa, uśmiechnął się zdawkowo i skinął mu głową.

- 162 -

Max odpowiedział identycznym skinieniem.

— Od niedawna? — zapytał go mężczyzna.

Max nie wiedział, czy chodzi mu o to, czy od niedawna jest na Haiti, czy jedynie w tym barze. Rum zaczynał mu już uderzać do głowy. Nie był trzeźwy, choć jeszcze nie całkiem pijany.

— Max Mingus, prawda? — zapytał znowu mężczyzna. Max zrobił tak zaskoczoną minę, że wszelkie zaprzeczenia

nie miałyby już sensu. Milczał jednak, czekając na kolejny ruch mężczyzny.

— Shawn Huxley. — Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął do Maksa rękę. — Spokojnie, jestem tylko dziennikarzem.

Ujmujący głos, miły uśmiech i łagodne ruchy. A jednak w postawie i zachowaniu mężczyzny było tyle szczerości, ile jej zazwyczaj bywa w słowach sprzedawcy używanych samochodów.

— Widzisz, od mojego człowieka na lotnisku codziennie otrzymuję listę przylatujących pasażerów. No i proszę, dzisiaj lotem AA numer 147 przyleciał pan Max Mingus. Nazwisko dość rzadkie, prawda?

Dziennikarz miał frankoamerykański akcent. Z pewnością nie haitański, nie kajeński.

Kanadyjczyk?

Facet wyglądał dość dobrze, prawie przyjemnie. Miał delikatną karmelową skórę, orientalne oczy, cienki wąsik nad górną wargą i starannie wymodelowaną fryzurę. Ubrany był w spodnie khaki, białą koszulkę z krótkimi rękawami i mocne czarne buty. Był mniej więcej takiego samego wzrostu co Max, jednak lżejszy od niego przynajmniej o jedną trzecią.

— To chyba pomyłka — mruknął Max.

— Daj spokój, po co te teksty. Postawię ci drinka i w zamian opowiem ci o sobie.

— Nie — odparł Max i odwrócił się twarzą do baru.

— Potrafię sobie wyobrazić, co myślisz o dziennikarzach, Max. Doskonale wiem, że faceci z Heraldza dokładnie przeryli

163

twoją przeszłość przed procesem, że mocno dali się we znaki twojej żonie...

Max zmierzył Huxleya ostrym spojrzeniem. Nie lubił dziennikarzy, nigdy ich nie lubił, nawet wtedy, kiedy nominalnie byli jego przyjaciółmi, kiedy stali po tej samej stronie co on. Gdy jego proces stał się głośny w całych Stanach, dziennikarze wydobyli wszelkie możliwe brudy na jego

temat. Te brudy wystarczały, żeby go pogrzebać ze dwadzieścia, a może więcej razy. Wszystko im się doskonale układało. Oto staje przed sądem jeden z najbardziej znanych i szanowanych detektywów na Florydzie, bohaterski policjant, który jednak budował swoją błyskotliwą karierę na przemocy wobec podejrzanych i brutalnym zmuszaniu ich do składania zeznań, i zapewne też podrzucał im obciążające dowody. Dziesiątki dziennikarzy dosłownie rozbijało przed jego domem obozy. Do jego wizerunku nie pasował im fakt, że się ożenił z czarnoskórą kobietą. Dlatego biali dziennikarze wypytywali Sandrę, czy jest jego sprzątaczką, a czarni obwołali ją prostytutką.

— Posłuchaj, nie włącz ci w drogę, więc odczep się ode mnie — warknął Max na tyle głośno, że ludzie dookoła przerwali rozmowy i popatrzyli w ich kierunku. — A jeśli jeszcze raz chociaż słówkiem wspomnisz moją żonę, oderwę ci głowę i nasram do szyi. Zrozumiałeś?

Huxley pokiwał głową i znieruchomiał. Najwyraźniej nie spodziewał się takiej riposty. Max mógł się teraz dobrze zabawić, napawać jego strachem, ale nie miał na to ochoty. Ci wszyscy faceci z mediów przecież jedynie wykonywali swoją podłą robotę, poszukiwali wszelkich okazji, żeby się wybić — postępowali dokładnie tak, jak postępują wszyscy bezwzględni ludzie, mający wybujałe ambicje. Gdyby Max zawsze był przykładnym policjantem, nigdy nie szukał drogi na skróty, gdyby zawsze postępował zgodnie z instrukcjami, prasa do końca trzymałaby jego stronę, aż do samego wyroku za zbrodnię, którą przecież popełnił.

- 164 -

Max poczuł, że musi się wysikać. Ostatni raz sikał jeszcze przed wyjazdem do Carverow. Napięcia wieczoru odwróciły jego uwagę od coraz bardziej pęczniejącego pęcherza. Rozejrzał się dookoła, jednak nie dostrzegł żadnych drzwi, za którymi dyskretnie znikaliby ludzie, i tym bardziej nie dostrzegł żadnego symbolu czy wskazówki, które prowadziłyby do toalety. Zapytał o nią barmana, a ten ruchem głowy wskazał jakiś punkt za stolikiem, przy którym siedziały prostytutki.

Max ruszył we wskazanym kierunku. Dziewczyny natychmiast się ożywiły, poprawiły sukienki i posłały mu otwarte, zapraszające spojrzenia. Były one podobne do spojrzenia Huxleya — natrętne, obiecujące przyjaźń, zaufanie, dyskrecję i jeszcze wiele innych rzeczy, oczywiście, za odpowiednią cenę. Były spojrzeniami sprzedawców, wyprzedających za odpowiednio wysoką cenę własne dusze, kawałek po kawałku. Dziennikarzom i prostytutkom zawsze było po drodze. Ale czy on, Max, wiele się od nich różnił? Czy to, że kiedy sprzątał brudy innych ludzi, starał się patrzeć w drugą stronę, czyniło go lepszym? Przecież niemal wszyscy robimy dla pieniędzy obrzydliwe rzeczy. Tak właśnie działał świat — wcześniej czy później wszystko bywało wystawiane na sprzedaż.

Bar miał dwie toalety. Na drzwiach, trochę uniesionych ponad nierówną, brudną posadzkę, byle jak wymalowano jasnoniebieską i różową farbą symbole płci. Pomiędzy drzwiami do toalet znajdowała się wnęka osłonięta kotarą, na którą składały się sznureczki z nawleczonymi paciorkami. We wnęcie stało łóżko z niepowleczoną poduszką na wierzchu i przewrócona skrzynka po budweiserze, ze stojącą na niej lampą naftową. Max odgadł, że tutaj właśnie sypia barman albo dozorca.

Zbiornik na wodę do splukiwania w kabinie był czarny i umieszczony bardzo nisko, na wysokości twarzy Maksa. Sama toaleta nie miała sedesu i wypróżnić się należało po prostu do czarnej dziury. Sikał bardzo długo, nasłuchując, jak mocz trafia w coś miękkiego i wilgotnego, znajdujące-

- 165 -

go się kilka stóp pod jego stopami. To coś czuć było amoniakiem i zgniłymi kwiatami, czyli normalnym odorem fekalii i środków dezynfekcyjnych, wrzucanych do dziury kloacznej na codzienną porcję odchodów produkowanych przez klientów baru.

Max usłyszał, że ktoś staje pod drzwiami, zapala papierosa i głęboko wciąga w płuca dym. Wyszedł na korytarzyk przed kabiną i zobaczył Shawna Huxleya, stojącego tyłem do ściany i opierającego się o nią stopą.

— Co cię tak zainteresowało? Podśluchiwałeś, jak szczam? A może to nagrałeś? — zadrwił Max. Był już pijany, nie na umór, ale musiał bardzo się starać, żeby zachować równowagę.

— Chłopak Carverow — odezwał się Huxley. — To z jego powodu tu jesteś, prawda?

— A jeśli nawet, to co z tego?

Max przybliżył twarz do twarzy Huxleya i niechcący trysnął na niego śliną. Huxley zamrugał oczyma, jednak nie starł śliny Maksa z policzka. Max skupił wzrok na małej perłowej kropelce,

która zawisała na wąsach dziennikarza, tuż przy wardze. Gdyby wysunął język, od razu by na nią natrafił.

Max był bardziej pijany, niż mu się zdawało. Przegapił moment, kiedy powinien był przestać pić. Pluł bowiem ludziom na twarze tylko wtedy, kiedy już nad sobą nie panował.

— Mógłbym ci pomóc — znowu powiedział Huxley i zaciągnął się papierosem.

— Nie potrzebuję cię — odparł Max i popatrzył na Huxleya z góry. W jasnym świetle dziennikarz zdawał się jeszcze drobniejszy, jakby żył na diecie z selera, papierosów i wody.

— Jestem tu już prawie trzy lata. Przyjechałem na kilka miesięcy przed inwazją. Wiem, jak się poruszać po tym kraju. Znam ludzi, wiem, jak do nich docierać, wiem, jak z nimi rozmawiać.

— Mam kogoś lepszego od ciebie. — Max uśmiechnął się i pomyślał o Chantale.

— A ja przypuszczam, że natrafiłem na pewien trop, który może być związany z porwaniem.

— Naprawdę? A co to za trop? I dlaczego nie podążyłeś nim do końca, żeby zgarnąć nagrodę? — zapytał Max.

— To już robota dla ciebie — odrzekł Huxley. Rzucił na podłogę papierosa, którego wypalił do samego filtra, i przydepnął niedopałek obcasem.

Max nie był pewien, czy Huxley mówi prawdę. Właśnie na tym polegał największy problem z dziennikarzami; przenigdy nie można było im ufać. Większość była zakłamanymi dwulicowymi draniami.

No i dlaczego niby Huxley miałby mu oferować pomoc? Dziennikarze przecież nigdy nikomu nie pomagali, pracowali jedynie dla siebie. O co mogło mu chodzić? Pewnie o pieniądze, bo o co innego? Sprawa Charliego Carvera nie miała szans, żeby się znaleźć na pierwszych stronach dzienników w Ameryce Północnej.

Max postanowił kontynuować rozmowę z Huxleyem, jednak z najwyższą ostrożnością. W końcu znajdował się w obcym kraju, który—jeśli nawet kiedyś próbował się dostosować do wymogów XX wieku — teraz cofał się w czasie. Huxley mógł w tym kraju okazać się pożyteczny.

— Poznałeś moich poprzedników? — zapytał.

— Takiego niskiego faceta o nieszczególnej aparycji.

— Clyde'a Beesona?

— Tak, jego właśnie. Wiele razy widywałem go w okolicy mojego hotelu...

— Hotelu?

— Hotelu „Olfson”. Tam właśnie mieszkam.

— Co on tam robił?

— Kręcił się pomiędzy dziennikarzami, zbierał jakieś główniane informacje.

— Jakbym widział faceta — mruknął Max — Może wiesz, co zamierzał?

- 166 -

- 167 -

— Któregoś wieczoru podsłuchałem w barze, jak pyta o drogę do wodospadów.

— Wodospadów? — powtórzył Max. Pamiętał przecież, dokąd udał się Medd. — Do miejsca voodoo?

— Tak. Mówił, że ma jakiś ślad. Wtedy widziałem go po raz ostatni — powiedział Huxley. — Znałeś go?

— Przecież jestem prywatnym detektywem z Florydy, więc jak myślisz?

A więc Beeson także zmierzał do wodospadów. Co za trop ich tam prowadził?

— Byliście przyjaciółmi? — zapytał Huxley.

— Nie, wręcz przeciwnie. Odwiedziłem go, zanim przyjechałem na wyspę. Oględnie mówiąc, nie wyglądał najciekawiej.

— Co się z nim stało?

— Nie pytaj.

Huxley popatrzył Maksowi prosto w oczy i na jego ustach pojawił się dwuznaczny uśmiech. Mógł świadczyć o rozbawieniu i jednocześnie zrozumieniu, bo właściwie dalsza odpowiedź nie wymagała już słów. Ale w ten sposób uśmiechali się też ludzie, którzy chcieli sprawiać wrażenie, że wiedzą więcej niż można ich podejrzewać. Max jednak nie zamierzał się na to nabrać. W końcu

sam także czasami stosował tę sztuczkę.

— Czy Beeson mówił ci coś na temat Vincenta Paula?

— Tak, rozmawiał o nim ze mną — odparł Max.

— Vincent Paul, Le Roi de Cité Soleil. Tak właśnie nazywają go bogaci i przerażeni ludzie, jak Ludwika XVI, wytwornego francuskiego króla. A ma to być obelga.

— Niby dlaczego?

— Vincent mieszka gdzieś w pobliżu Cité Soleil, Gównianego Miasta, jak je nazywam. To gigantyczny slums na przedmieściach Port-au-Prince, tuż nad morzem. Przy tym gównie najgorsze amerykańskie miasta wyglądają jak Park Avenue. W gruncie rzeczy na całym świecie nie ma drugiego takiego

168

tworu jak Cité Soleil. Byłem już w slumsach w Bombaju, Rio, Mexico City; w porównaniu z Cité Soleil każdy z nich to raj. Tutaj blisko pół miliona ludzi, a więc prawie dziesięć procent ludności tego kraju, mieszka na sześciu milach kwadratowych gówna i śmieci. Dosłownie. Ten slums ma nawet własny sztuczny kanał; nazywają go tutaj Kanałem Bostońskim. Płynie nim ropa z elektrowni.

Max dosłownie chłonał wszystkie informacje. Koncentrując się na nich, błyskawicznie trzeźwiał.

— I mówisz, że właśnie tam znajdę Vincenta Paula?

— Tak. Powiadają, że kto rządzi Cité Soleil, rządzi całym Haiti. Ludzie tam są tak biedni, że jeśli tylko obiecasz im jedzenie, czystą wodę i coś do ubrania, gotowi są rzucać cegłami w każdy cel, jaki im wskażesz. Niektórzy mówią, że Paula opłaca CIA. Za każdym razem, kiedy CIA chce się pozbyć na Haiti jakiegoś miejscowego prezydenta, każe Paulowi siać zamęt w Cité Soleil.

— Myślisz, że to prawda?

— Przekonać się o tym można by tylko w jeden sposób: po prostu zapytać faceta osobiście. Ale tego nie da się zrobić. On jedynie mówi do ludzi, z którymi się spotyka. Nie słucha ich i po prostu nie pozwala przemawiać do siebie.

— Mówił do ciebie?

— Jakiś czas temu miałem już wyznaczony termin spotkania, ale Paul się rozmyślił.

— Dlaczego?

— Nie powiedział. — Huxley roześmiał się.

— Wiesz cokolwiek o mieście, które Vincent Paul jakoby zamierza wybudować od podstaw? — zapytał Max.

— Tylko tyle, że nikt nie wie, gdzie ono powstaje. Nikt nigdy tam nie był.

— Uważasz, że to miasto istnieje?

— Może tak, może nie. Na Haiti nigdy nic nie wiadomo na pewno. W tym kraju wszystko opiera się na mitach, plotkach,

169

pogłoskach i domysłach. Prawda często się zaciera, a niekiedy jest taka, że nikt w nią nie wierzy.

— Myślisz, że Vincent Paul ma coś wspólnego ze zniknięciem Charliego Carvera?

— Może po prostu spotkamy się jutro albo pojutrze i dłużej sobie porozmawiamy, wymienimy informacje i przekonamy się, w jakim zakresie jeden z nas może pomóc drugiemu? — zapytał Huxley, uśmiechając się. Spetował kolejnego papierosa.

Max doskonale rozumiał, że Huxley od początku zmierzał do takiej konkluzji, karmiąc go skrawkami informacji, nawet użytecznych, ale takich, które tylko będą zwiększać jego apetyt. Na koniec, uznawszy, że Max jest już wystarczająco głodny, PO prostu zamierzał zamknąć drzwi do kuchni i zmienić zasady gry. Bo on po prostu grał.

— Co będziesz z tego miał? — zapytał Max.

— Pulitzerza. — Huxley znowu się uśmiechnął. — Piszę książkę o inwazji i jej następstwach, wiesz, o taki rzeczach, o jakich nigdy nie przeczytasz w gazetach. Nie uwierzysz, co tu się dzieje codziennie, co ludzie tutaj wyrabiają i jakie okropności uchodzą na sucho.

— Na przykład?

W tej chwili do toalety wkroczył blondyn ostrzyżony na jeża. Popatrzył na Maksa i Huxleya, po

czym uśmiechnął się z drwiną, obnażając długie kły.

— Dzień dobry paniom — prychnął.

Posłał Maksowi spojrzenie pełne niesmaku. Jego szarozielone oczy mogłyby sprawiać nawet przyjemne wrażenie, gdyby nie były takimi małymi i lodowato zimnymi otworkami na skrajnie bezmyślnej twarzy.

Wszedł do pomieszczenia pomiędzy boksami z toaletami. Po chwili Max i Huxley usłyszeli, jak młody człowiek opróżnia pęcherz, kierując strumień moczu na łóżko, na drewnianą skrzynię i na podłogę. Popatrzyli po sobie. W oczach Huxleya

- 170 -

Max ujrzał autentyczną pogardę, głęboką, szczerą, płynącą prosto z serca.

Żołnierz skończył i, zapinając rozporek, wrócił do baru. Po drodze jeszcze raz posłał mężczyznom drwiące spojrzenie i głośno czknął, zwracając twarz w ich kierunku.

Max spojrzął na niego, poświęcając mu właściwą dozę uwagi, jednak pilnował się, żeby nie popatrzeć mu w oczy. To groziło otwartym konfliktem, a Max nie miał najmniejszego zamiaru wszczynać teraz awantury.

Huxley wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. Chciał go zapalić, ale ręce trzęsły mu się gorzej niż alkoholikowi na odtruciu. Max wziął od niego zapalniczkę i sam przypalił mu papierosa.

— Piszę właśnie o takich... o takich ściervach. — Huxley splunął przez pierwszą chmurę dymu, jaką wypuścił ustami. Jego głos drżał z wściekłości. — Pierdoleni Amerykanie powinni się wstydzić, że takie gnoje, jak ten typ, walczą w ich imieniu.

Max zgadzał się z nim, jednak nie powiedział tego głośno.

— A więc jesteś Haitańczykiem, Shawn? — zapytał. Huxley był zaskoczony.

— Zdaje się, że wiele widzisz, Max.

— Pewnych spraw nie sposób przeoczyć — odparł Max. Lecz prawda była taka, że narodowość Huxleya po prostu odgadł.

— Masz rację: urodziłem się tutaj. Kiedy miałem cztery lata, po śmierci moich haitańskich rodziców adoptowała mnie para Kanadyjczyków. O tym, kim naprawdę jestem, opowiedzieli mi dopiero po wielu latach, kiedy szedłem do college'u.

— Teraz więc szukasz tu swoich korzeni?

— Raczej owoców, które pozostały po dalekiej przeszłości. Wiem przecież, skąd pochodzę — powiedział Huxley. — Zresztą, nazywaj to, jak chcesz.

Max coraz bardziej zaczynał go lubić. I to nie z powodu wypitego rumu czy ich wspólnej pogardy dla krótko

- 171 -

ostrzyżonego amerykańskiego żołnierza. Była w nim jakaś szczerłość, której nie spotykało się wśród ludzi prasy. Może dopiero zaczynał pracę w swoim zawodzie i nie utracił na dobre dziewictwa, a może po prostu nie docierało jeszcze do niego, że cała jego praca to głównie oszukańcza gra, która wcale nie polega na spełnianiu misji i na docieraniu do absolutnej „prawdy”? Max też był kiedyś idealistą, ale tylko na samym początku, kiedy zaczynał jako gliniarz. Był wówczas wystarczająco młody, aby wierzyć w takie brednie, jak ta, że ludzie są z gruntu dobrzy albo że świat można skutecznie naprawiać. Marzył o tym, że jeśli będzie dobrze wykonywał swoją robotę, kiedyś zostanie okrzyknięty bohaterem. Ale wystarczył niecały tydzień służby patrolowej na ulicach i Max idealista błyskawicznie przemienił się w skrajnego cynika.

— Gdzie mogę cię znaleźć? — zapytał.

— Mieszkam w hotelu „Olfson”. To najsłynniejszy hotel na Haiti.

— A dlaczego?

— Bo mieszkał tam Graham Greene.

— Kto?

— Również Mick Jagger. W rzeczy samej mieszkam teraz w tym samym pokoju, w którym mieszkał Jagger, kiedy pisał Emotional Rescue... Chyba nie zrobiłem na tobie wrażenia, co, Max? Nie jesteś fanem Stonesów?

— Czy jeszcze jakiś ważniak tam mieszkał? — Max lekko się uśmiechnął.

— Nikt, kogo byś znał.

Huxley roześmiał się głośno i podał Maksowi wizytówkę. Znajdowało się na niej jego nazwisko i zawód, adres hotelu i numer telefonu.

Max wziął wizytówkę i wsunął ją do kieszeni marynarki, tej samej, do której schował płytę kompaktową z autografem Franka Sinatry, otrzymaną od Carvera.

— Odezwę się, jak tylko się trochę rozejrzę na tej wyspie — obiecał.

— Koniecznie — odparł Huxley.

13

Max wyszedł z „La Coupole” około drugiej nad ranem. Rum barbancourt sprawił, że głowa mu się kołysała, ale było mu całkiem przyjemnie. Alkohol zawsze wiele mu obiecywał, ale picie nieodmiennie kończyło się tak samo: cholernym bólem głowy. Rum podziałał na niego jednak inaczej niż inne alkohole; czuł się raczej jak pod wpływem narkotyków, niż jak człowiek, który za dużo wypił. Był uśmiechnięty i w głębi serca pewien, że wszystko będzie dobrze i że świat wcale nie jest takim złym miejscem. A Haiti to nawet przyjemna wyspa.

Z betonu strzelały w górę ciemne słupy telegraficzne, lekko pochylone w kierunku rześcicie oświetlonego centrum Petionville. Druty zwisały z nich tak luźno i nisko, że Max mógłby ich dotknąć, gdyby chciał. Ruszył ulicą, prawie nie czując ziemi pod stopami, ale musiał zmagać się z siłami grawitacji, które w każdej chwili groziły, że go przewrócą. Ludzie za jego plecami wychodzili z baru, rozmawiając i wybuchając śmiechem. W miarę, jak się oddalał, ich głosy przechodziły w coraz słabsze szepty. Czasami jakiś Amerykanin zakłócał ciszę głośnym wrzaskiem albo innym nieartykułowanym wybuchem, ale cisza, która po takich odgłosach zapadała, była jeszcze głębsza niż przedtem.

Max nie wiedział dokładnie, w którą ulicę powinien skręcić. Nie pamiętał, ile przecznic minął w samochodzie, zanim zobaczył bar. Znajdował się blisko centrum miasta, ale nie zupełnie blisko.

Minął pierwszą poprzeczną ulicę, popatrzył w głąb niej, ale to z pewnością nie była ta właściwa. Po lewej stronie znajdował się supermarket, a po prawej wysoki

- 172 -

- 173 -

mur, pokryty napisami. Może powinien skręcić w następną? Albo w jeszcze następną? Pomiedzy kilkoma drinkami, które w końcu razem wypili, chciał spytać Huxleya o drogę, ale całkiem o tym zapomniał. Przestał się przejmować powrotem, kiedy stracił rachubę wypijanych kolejek.

Barbancourt powiedział mu, że bez problemu znajdzie drogę do domu. Ruszył więc po prostu przed siebie.

Zaczęły go obcierać buty, raniąc kostki. Nienawidził tych ładnych, nowych, lśniących skórzanych mokasynów, które kupił na Piątej Alei u Saksa w Dadeland Mail. Powinien był trochę je powyginać przed założeniem. Nie podobały mu się odgłosy, jakie wydawały obcasy przy zetknięciu z brukiem. Przypominało to stąpanie młodego konia, któremu przybito pierwsze podkowy.

W pewnej chwili usłyszał dudnienie bębnow—jego źródło nie znajdowało się ani trochę bliżej niż wtedy, gdy usłyszał je po raz pierwszy. Dudnienie było jednak wyraźniejsze, a dźwięki zdawały się docierać od strony gór. Chwilami towarzyszył im grzechot jakby pordzewiałych sztuców: to brzmiała w urywającym rytmie niemal pełna perkusja, tom-tomy, głuche bębny basowe i cymbały. Jej odgłosy docierały wprost do pijanej części jego umysłu, tej części, która nad ranem będzie go bolała jak jasna cholera.

Ktoś go pociągnął za rękaw.

— Blan, blan.

To był głos dziecka, chrapliwy, ale zapowiadający mutację. Głos chłopca.

Max rozejrzał się na boki, jednak nikogo nie dostrzegł. Odwrócił się i popatrzył na drogę, którą przeszedł. Zobaczył jedynie słabe światła baru i ludzi w sporej odległości. I nic więcej.

— Blan, blan.

To było za jego plecami, z drugiej strony. Max powoli znowu się odwrócił.

Wpatrzył się w ciemność przed sobą, dając sobie czas, by przyzwyczaić do niej wzrok. Kontury trochę przed nim falowały, jakby znajdował się na dnie głębokiego jeziora i stamtąd spoglądał, jak

wpadają do wody kamienie, które ktoś rzuca, stojąc na brzegu.

Z trudem wyłowił z ciemności sylwetkę chłopca; był to jedynie zarys postaci na tle pomarańczowego neonu.

— Tak? — zapytał.

— Ban moins dollah! — krzyknął chłopiec.

— Co?

— Kob, ban moins ti kob!

— Jesteś ranny? — zapytał Max przytomnie. Zachował się po prostu w takiej sytuacji jak policjant. Chłopiec zbliżył się do niego. Ręce trzymał wyciągnięte daleko przed siebie.

— Dollah! Ban moins dollaaarrggh! — krzyknął.

Max na chwilę zasłonił uszy. Gówniarz naprawdę głośno wrzeszczał.

— Dollah? — Chyba chodziło o pieniądze. Chłopak chciał pieniędzy. — Nie mam — powiedział Max, pokazując chłopakowi puste dłonie. — Nie mam żadnych pieniędzy.

— Ban moins dollah done — zaskomlił chłopak i tchnął gorącym oddechem na wciąż otwartą dłoń Maksa.

— Nie mam dolarów. Nie mam ani jednego peso, nie mam nawet pierdolonego centa — rzekł Max i ruszył do przodu.

Chłopak podążył za nim, kilka kroków z tyłu. Max przyśpieszył. Chłopak uczynił to samo i po chwili zawołał głośno:

— Blan! Blan!

Max nawet nie odwrócił głowy. Słyszał odgłos kroków dziecka za swoimi plecami. Były znacznie cichsze od stukotu jego obcasów, uderzających o bruk. Chłopiec nie miał butów.

Max jeszcze bardziej przyśpieszył kroku. Dziecko podążało w ślad za nim, jego tempem.

- 174 -

175 -

Minął ulicę, która wydała mu się znajoma, i gwałtownie przystanął. Chłopak nie spodziewał się tego i wpadł na niego z tyłu. Max zachwiał się, postąpił dwa kroki do przodu, stracił równowagę i się przewrócił. Niestety, ostatnim krokiem trafił prosto w głęboką dziurę.

Przez kilka sekund leżał bez ruchu i próbował się zorientować w szkodach, jakich sobie narobił.

Nogi były najprawdopodobniej w porządku, bo nie czuł w nich żadnego poważnego bólu. Tułów i policzki, którymi przejechał po ziemi, też go specjalnie nie bolały. Ale był świadomy, że wydarzyło się coś paskudnego, świadomy wielkiego bólu, zbliżającego się już do niego jakby zza matowego szkła, jednak ból ten był wciąż jedynie niewyraźnym cieniem wśród ciągle go otaczającej pięknej, jedwabnej mgiełki. W czasach, kiedy jeszcze nie słyszano o anestezjologach, podawano zapewne rum barbancourt ludziom, którym trzeba było amputować kończyny.

Chłopiec roześmiał się żabim rechotem nad jego głową.

— Blan sa sou! Blan sa sou!

Max nie miał pojęcia, o co mu, do cholery, chodziło. Podniósł się na rękach, wyciągnął nogę z dziury i szybko wstał. Teraz dopiero poczuł kłujący ból w klatce piersiowej. Zakłęcie, pod którego wpływem się znajdował po wypiciu ogromnej ilości rumu, teraz ustąpiło i zaczęły go dopadać wszelkie możliwe w takiej sytuacji koszmary. Zobaczył, że połowa jego nogawki jest mokra i upstrzona śmierdzącą mieszaniną moczu, zużytego oleju i ludzkich odchodów.

— Odczep się! — zawołał.

Teraz jednak nie widział już chłopca. Dzieciak zniknął. Zamiast niego ujrzał natomiast tuż przed sobą mniej więcej tuzin uliczników, dzieciaków, z których najstarszy nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat. Widział zarysy ich głów oraz zęby tych, którzy akurat je szczyrzyli, a także białka ich oczu. Byli niewysocy; żaden z nich nie sięgał Maksowi wyżej niż do ramienia. Czuł ich zapachy — dym spalonego drewna, woń gotowanych jarzyn, gołej ziemi, potu i zgnilizny. Czuł też na sobie ich uważne spojrzenia.

Ulica nie była oświetlona, nie przejeżdżał nią żaden samochód. Światła baru były jedynie małymi punkcikami w znacznej odległości. Jak daleko już od niego odszedł, kierując się w dół, ku centrum miasta? Popatrzył szybko na ulicę po prawej stronie. W poprzek jezdni kolejni chłopcy ustawili się

w dwóch rzędach, blokując mu możliwość ucieczki w tym kierunku, a przecież nie był pewien, czy to właśnie ta ulica prowadzi do jego tymczasowego domu. Powinien zawrócić, być może do samego baru, i jeszcze raz rozpocząć marsz do domu. I tym razem dokładnie wypytać się o drogę. Ruszył, ale po chwili się zatrzymał. W dziurze stracił but. Rozejrzał się, ale nie był w stanie dostrzec dziury, z której przed chwilą się wydostał. Postawił nogę na ziemi i poczuł pod stopą twardy asfalt.

Dudnienie bębnow nagle ustało, jakby bębniarze zobaczyli, że coś mu się przytrafiło, i biegli teraz, żeby się temu przyjrzeć dokładniej. Panowała taka cisza, że Max odniósł dziwne wrażenie, iż właśnie ogłuchł.

Zdjął ze stopy drugi but, wsunął go do kieszeni marynarki i pomaszerował z powrotem pod górkę. Po chwili znowu się zatrzymał. Dzieciaków dookoła niego było więcej niż dotąd przypuszczał. Rozstawiły się w poprzek ulicy, odcinając mu drogę powrotną do baru. Stał przed nimi tak blisko, że do jego nozdrzy dotarł odór ich ciał; śmierdziały rybimi wnętrznościami. Już miał do nich przemówić, kiedy usłyszał za plecami jakieś szepty, słowa unoszące się w powietrzu, niczym krople deszczu parujące na gorącym blaszanym dachu.

Kiedy się odwrócił, zobaczył następny kordon dzieciaków przecinający ulicę. Za tym kordonem dostrzegł mnóstwo kolejnych sylwetek, zbliżających się od centrum Petion-ville. Zmierzało ku niemu jeszcze więcej dzieciaków. Każdy

- 176 -

- 177 -

z nich trzymał coś w ręce. Były to, jak odnosił wrażenie, kije, a w gruncie rzeczy bardzo grube pałki.

Wyraźnie był ich celem. Zamierzali go zabić.

Usłyszał, że ze sterty po jego prawej stronie wysuwa się jakiś kamień i toczy w dół stromą ulicą. Szepty dookoła zmieniły tonację; wyczuł bardzo wyraźnie, że w tłumie dzieciaków ktoś kogoś strofuje. Skierował wzrok w tę stronę i jego spojrzenie spoczęło na progu jakiegoś pustego budynku. Przyjrzał mu się uważniej, szukając w mroku jakichś odcieni szarości, i dopiero wtedy dostrzegł, że chłopacy, ustawieni w rzędzie, podają sobie z rąk do rąk kamienie. Połowa z nich trzymała je już w dłoniach. Przypuszczał, że kiedy wszyscy będą uzbrojeni, zaczną w niego rzucać. A następnie zaatakują go ci z pałkami i waląc z całej siły, pozbawią go resztek życia.

Zaschło mu w ustach. Nie wiedział, co robić. Nie był w stanie myśleć. Nie potrafił natychmiast wytrzeźwieć.

Nie wiadomo dlaczego, znowu dał znać o sobie rum. Ciało Maksa odzyskało lekkość, a głowa jasność myślenia. Poczul się odważny i niezwyknięty.

Właściwie sytuacja wcale nie była tragiczna. Przecież wychodził już cało z gorszych opresji. Teraz wystarczyło po prostu przebić kordon gówniarzy i zwiać. Do diabła, przecież to nie było niemożliwe. Dlaczego nie spróbować?

Zrobił kilka kroków do tyłu i napiął mięśnie, szykując się do staranowania kordonu. Słyszał dzieciaki za sobą, ale nie obejrzał się. Czy już odgadły, jakie ma zamiary? Prawdopodobnie tak. W końcu cała ta banda gówniarzy doskonale widziała w ciemnościach.

Kiedy na nich ruszy, z pewnością przewróci trzech albo czterech. Inni pewnie obrzucają go kamieniami, ale jeśli ochroni głowę i pobiegnie cholernie szybko, uniknie najgorszego. Tyle że był mocno pijany, już niemłody i zdawał sobie sprawę, że na długą ucieczkę nie wystarczy mu siła. Poza tym gówniarze z pewnością będą go gonić, a on nie wiedział, dokąd właściwie uciekać. Uznał jednak, że tym będzie się martwić dopiero później. Ilu ich było?

Setka, lekko licząc. Cóż, właściwie już teraz powinien się uważać za martwego.

Powoli trzeźwiał, a początkowy optymizm stopniowo go opuszczał.

Znowu usłyszał dudnienie bębna, w tym samym rytmie, jaki wczesnym wieczorem dotarł do niego na dziedzińcu domu. Tym razem bęben brzmiał jak wybuchy bomb spadających na odległe miasto albo odgłosy tarana uderzającego w bramy obłożonej twierdzy. Jego rytm nie wdzierał się Maksowi do samego serca, lecz w jakieś nieokreślone miejsce za uszami. Każde uderzenie eksplodowało w czaszce jak granat i wysyłało wzdłuż kręgosłupa falę potężnych drgań; sprawiało, że mimochodem

wykrzywił twarz i niemal podskakiwał.

„Myśl, człowieku, ratuj się”, pomyślał. Zrób coś, spróbuj z nimi porozmawiać. Jeśli to nie przyniesie skutku, dopiero wtedy uciekaj.

— Chcecie pieniędzy? — zapytał żalonym tonem.

Nie usłyszał odpowiedzi. Chłopcy wciąż w milczeniu przekazywali sobie z rąk do rąk kamienie, jednocześnie zacieśniając wokół niego krąg. Sytuacja wydawała się bez wyjścia.

Wtedy przypomniał sobie o pistolecie. Był przecież uzbrojony, a w magazynku miał komplet nabojów.

Niespodziewanie ze szczytu wzgórza dotarł do jego uszu warkot motocykla. Jego odgłos rozdarł gwałtownie ciszę; był takim samym zaskoczeniem, jakim byłby warkot piły łańcuchowej w kaplicy. Po chwili na motocyklu nadjechał chłopaczek w białej marynarce.

Kiedy zatrzymał się przed kordonem otaczającym Maksa, warkot motocykla przeszedł w miarowy terkot.

Chłopak zsiadł z motocykla, położył pojazd na ziemi i podszedł do Maksa.

- 178 -

- 179 -

— Sa wap feh la, blan? — odezwał się głębokim, pełnym wściekłości głosem, który z powodzeniem mógłby należeć do kogoś pięciokrotnie starszego.

— Nie rozumiem — wyseplenił Max. — Mówisz po angielsku?

— Angieeelsku?

— Tak, po angielsku. Mówisz?

Chłopak popatrzył na niego, nie ruszając się z miejsca.

Max usłyszał atak, zanim go zobaczył. Powietrze przeszło coś ciężkiego, mierzącego prosto w jego głowę. Odruchowo przykucnął i w tej samej chwili chłopak w białej marynarce niemal wyleciał w powietrze.

Max natychmiast zaatakował gówniarza, który zadał cios. Dwoma szybkimi uderzeniami trzasnął go w zębra i w splot słoneczny. Dzieciak jęknął, później krzyknął, złożył się wpół jak papier i, już bezbronny, zarobił od Maksa prawego sierpowego prosto w szczękę. Po tym ciosie padł bezwładnie na ziemię.

Max złapał otumanionego za kark, wydobyl zza paska be-rette i wsunął lufę pistoletu do jego ust.

— Cofnąć się, gówniarze, natychmiast, albo wasz kumpel zginie! — zawołał i rozejrzał się dookoła.

Chłopak zaczął go drapać po ramionach i wierzgać nogami, chcąc wyrwać się z żelaznego uścisku. Max natychmiast nastąpił bosą nogą na dłoń gówniarza. Zmiażdżył mu kości. Chłopak przestał się wrywać i zaskowytał.

Zaden z jego kompanów nawet się nie poruszył.

Co teraz?

Przecież nie mógł ciągnąć gówniarza ze sobą, szukając ulica po ulicy drogi do domu. Może mógłby użyć go jako tarczy i posługując się nim, oderwać się możliwie daleko od tłumu napastników, potem go odepchnąć i rozpocząć ucieczkę?

Wątpliwe, by go puścili.

Może więc powinien utorować sobie drogę pistoletem?

Nie, wykluczone. Przecież nie będzie, kurwa, strzelał do dzieci.

Po prostu wypali w powietrze i ucieknie, korzystając z zamieszania, a może nawet paniki, która — Boże, spraw, żeby tak się stało — wybuchnie wśród gówniarzy.

— Odłóż broń! Max aż podskoczył.

Tubalny głos rozległ się nad jego głową, jakby docierał wprost z ciemnego nieba. Nie puszczając dzieciaka, Max odwrócił się twarzą w kierunku Pétionville. Nie dojrzał niemal nic, ponieważ widok w tym kierunku zasłaniała sylwetka mężczyzny, którego Max bardziej wyczuł niż zobaczył.

Mężczyzna musiał być ciężki i mocno zbudowany, skoro jego głos brzmiał jak grzmot pioruna wśród przewalających się ciężkich chmur.

— Drugi raz nie powtórzę — ostrzegł mężczyzna.

Max wyciągnął pistolet z ust chłopaka i wsunął go z powrotem do kabury.

— A teraz puść dzieciaka.

— On mnie chciał, kurwa, zabić! — krzyknął Max.

— Puść go! — zagrział mężczyzna.

W tym samym momencie kilku chłopaków aż podskoczyło i upuściło pałki.

Max uwolnił swojego niedoszłego zabójcę.

Mężczyzna warknął coś po kreolsku i niespodziewanie ponad głową Maksa zapaliły się oślepiające białe światła. Detektyw na wszelki wypadek osłonił oczy dłonią. Zauważył, że chłopak, który przyjechał na motocyklu, klęczy na ziemi, a jego biała marynarka cała uwalana jest we krwi.

Niespodziewanie Max mógł teraz dostrzec w szerokim promieniu każdy milimetr ulicy, na której się znajdował. Otaczające go dzieciaki ustawione były wokół niego w trzech rzędach. Wszystkie były wychudzone, ubrane w łachmany, wielu miało na sobie jedynie krótkie spodenki. Odwracały głowy od światła, dodatkowo osłaniając oczy dłońmi.

- 180 -

- 181 -

Ponownie usłyszał polecenie wydane w języku kreolskim.

Wszyscy chłopacy w jednej chwili rzucili na ziemię kamienie i pałki. Kamienie natychmiast potoczyły się po asfalcie; kilka z nich otarło się o boscie stopy Maksa.

Zerknął w kierunku światła. Głos, który go ocalił, docierał sponad rzędu lamp.

Głos mężczyzny znowu zadudnił i chłopacy rozpiechli się. Tupot ich bosych stóp na asfalcie słyhać było dosłownie przez chwilę, ponieważ uciekali niemal w panice. Prawie setka skierowała się ku centrum Petionville. Max upewnił się, że nie miał szansy, aby im uciec. Bez wątpienia, jeszcze chwila i rozszarpałiby go na strzępy.

Usłyszał, że ktoś uruchamia potężny silnik auta stojącego na drodze, i zobaczył dwa słupy dymu z rur wydechowych, unoszące się w górę za światłami niczym dwie nieskończenie wysokie sosny. Odniósł wrażenie, że znajdujący się przed nim samochód to duży wojskowy dżip. A przecież nawet nie słyszał, jak nadjechał.

Mężczyzna, który go uratował, mówił z angielskim akcentem. W jego głosie nie było żadnych naleciałości francuskich ani amerykańskich.

Max poczuł, że mężczyzna uważnie mu się przygląda. Niemal fizycznie poczuł jego przepotęzną obecność — magnetyczną i przytłaczającą — tak wielką, że mogłaby wypełnić sobą ogromny pałac.

Mężczyzna podszedł do Maksa.

Max podniósł głowę, jednak nie zdołał zobaczyć twarzy nieznajomego.

Mężczyzna pochylił się, złapał klęczącego chłopaka za marynarkę i podniósł go z ziemi w taki sposób, jakby zbierał z niej coś, co mu przed chwilą wypadło z kieszeni. Max dostrzegł jego obnażone przedramię, z potężnymi mięśniami, grubymi żyłami i bicepsami większymi niż bicepsy Joe'ego.

Dostrzegł też pięść, kanciastą, ciężką i twardą jak młot parowy. Mógłby przysiąc, że mężczyzna miał sześć palców. Kiedy bowiem podnosił chłopaka, Max naliczył na niej pięć knykci, a nie cztery. Mężczyzna był potężnie, wręcz gigantycznie zbudowany. Po chwili zniknął z chłopakiem w samochodzie.

Był to, Max prawie nie miał wątpliwości, Vincent Paul.

Górne światła dżipa zgasły, pozostały jednak zapalone główne reflektory i nadal Maksa oślepiały. Silnik samochodu zawył na podwyższonych obrotach.

Max odzyskał możliwość widzenia dopiero wtedy, gdy samochód zaczął zjeżdżać ze wzgórza na tylnym biegu. Pojazd dotarł do ronda, skręcił w lewo i odjechał w siną dal. Max w ostatniej chwili starał się przyjrzeć sylwetkom ludzi znajdujących się w środku, ale bez skutku. Z miejsca, w którym stał, auto wydawało się zupełnie puste, kierowane przez duchy.

14

Kiedy samochód odjechał, Max rozejrzał się po znów ciemnej okolicy, poszukując cholernej drogi do domu. Alkohol atakował go falami i chwile otumanienia mieszały się w nim z momentami

całkowitej jasności umysłu.

W końcu, na drodze eliminacji kolejnych rozwiązań — co polegało na powrocie do baru, a potem na wchodzeniu na głębokość kilkudziesięciu kroków po kolei we wszystkie ulice wiodące w prawo pomiędzy barem a centrum miasta — znalazł wreszcie Impasse Carver.

Była to droga najbliższa tej, przy której się znajdował, kiedy zaatakowały go dzieciaki.

- 182 -

- 183 -

Wróciwszy do domu, Max wszedł do swojego pokoju, wyciągnął z kieszeni portfel, odpiął kaburę z pistoletem i rzucił wszystko na łóżko. Ściągnął marynarkę, która nie była już beżowa, lecz raczej brązowa i przepocona. Właściwie do niczego się nie nadawała. Spodnie po prostu śmierdziały.

Lewa nogawka była czarna i sztywna i kleiła się do wszystkiego, czego dotknęła.

W domu było gorąco i wilgotno. Max włączył wentylator, żeby chociaż trochę schłodzić martwe powietrze. Ręce mu drżały, strach i wściekłość dopiero teraz zaczęły drażnić jego tętnice i żyły, przez co serce biło jak oszalałe, pompując do krwi adrenalinę. Pomyślał o o dzieciakach, które go napadły. Jakaś część osobowości kusila go, żeby wrócił na ciemne ulice, skopał gówniarzy i sponiewierał, posłał ich do cholernego nieba voodoo razem z cholerną pomocą humanitarną, jakiej zaznają dzień po dniu w nieskończonych ilościach. Inna część namawiała go, żeby jak najszybciej czmychnął z tego przeklętego kraju, chociażby na jakiejś łodzi z nielegalnymi uciekinierami. I jeszcze inna, za to najbardziej ukryta, mówiła mu, że po prostu powinien się wstydzić swojej ostatniej nieostrożności i bezsensownego pijaństwa.

Przypomniał sobie o wizytówce Huxleya i płycie kompaktowej Sinatry, które miał w marynarce.

Wizytówka wciąż znajdowała się w kieszeni, jednak po płycie nie było ani śladu. Zdał sobie sprawę, że wypadła mu, kiedy się potknął na chodniku i wylądował nogą w dziurze. Zmiał marynarkę w kłębek i rzucił ją w róg pokoju. Zdjął koszulę i przetarł się ręcznikiem, po czym rozebrał się z bielizny, wrzucił wszystko do kosza na pranie i wreszcie poszedł pod prysznic. Odkręcił kran i strumień lodowatej wody natychmiast padł na jego ciało. Zaskoczony, aż jęknął, i pośpiesznie zaczął przykręcać wodę. Czuł jednocześnie, jak wzbiera w nim wściekłość, strach i frustracja, których teraz już nie musiał tłumić.

Uświadomił sobie, że nawet jeżeli w najbliższych godzinach się ich pozbędzie, będą powracały za każdym wyjściem z tego domu, o ile się od nich jakoś nie uwolni, o ile ich skutecznie nie odegna.

Znowu odkręcił kran do końca, aż zaczęły drzeć rury doprowadzające wodę, co zagrażało oderwaniem się od mocowań, które przytrzymywały je przy ścianach. Pozwolił, żeby zimna woda leciała na jego ciało silnym, ostrym strumieniem tak długo, aż poczuł ból. Miał on być karą za upokorzenie, które sam sobie zafundował i które nieomal skończyło się dla niego tragicznie.

Ośmieszyla go zgraja głupich, małych dzieciaków. Gdyby w porę nie zjawił się facet w dziupie, pewnie by go zabiły. No ale co można zrobić, kiedy na człowieka napadnie gromada gówniarzy? Gdyby zabił w swojej obronie chociaż jednego z nich, spłonąłby w piekle. Gdyby zaniechał obrony, to oni by go zabili, i to bez skrupułów.

Przez własną głupotę wpakował się w sytuację bez wyjścia. Był cholernie zły na siebie i dopiero długa zimna kąpiel trochę go uspokoiła. Wiedział jednak, że złość i tak powróci.

Wytarł się i wrócił do pokoju. Był tak cholernie rozdygotany, że nie miał żadnej nadziei na spokojny sen. Wolałby napić się jeszcze rumu. Wiedział, że nie powinien, że jeśli zacznie pić w takich okolicznościach, znajdzie się znowu na znanej mu już, prostej drodze do alkoholizmu.

Jednak w tym momencie gówno go to obchodziło.

Założył spodnie khaki, białą koszulkę i podreptał do kuchni.

Otworzył drzwi i włączył światło.

Przy stole w kuchni siedziała Francesca Carver.

— Do diabła, co pani tutaj robi?! — zawołał Max. Kompletnie zaskoczony, zrobił krok do tyłu.

— Przyszłam, żeby z panem porozmawiać.

— Jak się pani tutaj dostała?

— Przecież to nasz dom, prawda? — zapytała wyniośle.

— O czym chce pani rozmawiać?

- 184 -

185 -

— O Charliem. Muszę panu opowiedzieć o kilku sprawach, zanim zacznie pan go szukać. Max wyszedł po notes i miniaturowy magnetofon, a tymczasem Francesca siedziała nieporuszona przy stole, popijając wodę z butelki, którą znalazła w lodówce, i paląc francuskiego gitane'a z dziwacznej niebiesko-białej paczki. Papieros śmierdział jak wszyscy diabli, ale całkowicie do Franceski pasował. Był to gruby, biały papieros, taki, jakie paliły bohaterki klasycznych filmów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, umieszczając je w szklanych lufkach.

Max zrozumiał, że wszedłszy do domu, nie wyczuł smrodu papierosa, ponieważ odór, jaki rozsiewał dookoła on sam, był o wiele potężniejszy.

— Zanim zacznę, musi mi pan jedną rzecz obiecać — powiedziała Francesca, kiedy Max wrócił do kuchni.

— To się jeszcze zobaczy — odparł.

Kobieta wyglądała teraz zupełnie inaczej niż podczas kolacji. Była ładniejsza, rozluźniona, pewna siebie. Przebrała się w bladoniebieską bluzeczkę, długą dzinsową spódnicę i sportowe buty. Włosy miała rozpuszczone, a na twarzy skromny makijaż, skoncentrowany głównie wokół oczu.

— Nie może pan powtórzyć niczego, co powiem, Gusta-vowi.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ gdyby się dowiedział, że u pana byłem, złamałabym mu serce, a z jego sercem i tak jest już bardzo źle. Może mi więc pan obiecać?

„Akurat”, pomyślał Max. Francesca na pewno nie darzyła miłością Gustava Carvera. Poza tym, czy miała go za głupka, czy też liczyła na to, że Max rzeczywiście da się nabrać na jej łzawe zapewnienie? Zachowywała się jak początkująca słuchaczka szkoły aktorskiej: skrajnie odmieniła swój wizeru-

- 186 -

nek, a każde słowo wypowiadała takim tonem, jakby się miała za chwilę rozpląkać.

— A jaki jest prawdziwy powód? — zapytał Max.

Popatrzył jej prosto w oczy. Francesca nawet nie mrugnęła, wytrzymała jego wzrok. Jej spojrzenie było zimne, twarde, bezwzględne. Mówiło mniej więcej tyle: widziałam już w życiu wszystko, co najgorsze, i to w wielkich ilościach, a mimo to jeszcze nie zwariowałam. Więc się pieprz, stary.

— Gdyby Gustav wiedział, o czym za chwilę panu opowiem, zsiniałby z wściekłości.

— Chce pani powiedzieć, że Charlie nie jest jego wnukiem?

— Nie! Jak pan śmie!? — zawołała.

Wyglądała na zdęgotowaną. Jej twarz przybrała barwę purpurową, a wzrok stał się ostry jak sztylet. Szybko otrząsnęła popiół z papierosa i zgasiła go w szklance do połowy wypełnionej wodą. Używała jej zamiast popielniczki.

— Przepraszam. — Max się uśmiechnął. — Po prostu panią sprawdzałem.

Przełknęła to bez słowa, coś więc mogło być na rzeczy. Max jednak nadal nie wiedział, czy trafił w żywy nerw, ukryty pod prawdą, czy też jedynie uraził jej wybujałą dumę. Zadawał ciosy nieco na oślep, sprawdzając jej wiarygodność. Na razie Francesca się trzymała.

— Co takiego zamierza mi pani powiedzieć, pani Carver?

— Chcę, żeby mi pan dał słowo.

— Jest pani pewna?

— Ma mi pan do zaoferowania chyba niewiele więcej, prawda?

Max roześmiał się. Nadęta suka. Chce jego słowa? Oczywiście, czemu nie? W końcu zawsze mógł je przecieź złamać; nie pierwszy raz. Słowa, obietnice, uściski dłoni i przyrzeczenia właściwie nic nie znaczyły w tym przeklętym świecie. Liczyły się jedynie przyjaźnie.

- 187 -

— Daję pani moje słowo, pani Carver — powiedział.

Jego głos zabrzmiał szczerze, a wagę słów wzmocniło jeszcze otwarte spojrzenie, jakie utkwił w oczach Franceski. Pokiwała głową, najwidoczniej usatysfakcjonowana.

Ukryty magnetofon kasetowy już pracował i nagrywał wszystko, co mówiła kobieta. Max dawno

temu zaczął potajemnie nagrywać wszystkie rozmowy z klientami, świadkami i podejrzanymi. — Dzisiaj, u nas w domu, miał pan rację co do Eddiego Faustina — zaczęła Francesca. — On rzeczywiście był zamieszany w porwanie. Był człowiekiem porywaczy, szpiegującym nas w naszym własnym domu.

— I przysłała pani, żeby mi to powiedzieć?

— Chciałam po prostu swobodnie z panem porozmawiać. Nie mogłabym odbyć tej rozmowy w obecności Gustava. Na Faustina nie pozwoliłby powiedzieć ani jednego złego słowa. W końcu ten człowiek przyjął na siebie kulę, która była przeznaczona dla Gustava, i ten fakt czyni go w oczach mojego teścia świętym. — Francesca na chwilę przerwała i zapaliła kolejnego papierosa. — Gustav jest strasznie uparty. Cokolwiek mu mówiłam o porwaniu, natychmiast to odrzucał. Twierdził, że nie mogę niczego pamiętać, ponieważ zostałam pozbawiona przytomności. I nawet później, kiedy przeszukaliśmy pokój Faustina i znaleźliśmy to wszystko, co tam trzymał...

Urwała i przycisnęła palce wskazujące obu rąk do czoła, kreśląc kółka na skórze. Max odniósł wrażenie, że czyni to raczej dla podkreślenia dramaturgii chwili niż w celach terapeutycznych.

— Co znaleźliście?

— Faustin mieszkał w starej stajni, za głównym budynkiem. Te stare stajnie przerobiliśmy na małe mieszkania dla najbardziej zaufanych służących rodziny. Po porwaniu jego mieszkanie zostało opróżnione, a w pudełku pod łóżkiem znaleźliśmy lalkę, voodoo. Ta lalka przedstawiała mnie.

— Czy Faustin pani nienawidził?

— Nie. On mnie kochał albo pożywał, a może był mną zauroczony. Lalka była talizmanem miłosnym. Wykorzystał do jej zrobienia moje prawdziwe włosy, a na dłoniach i stopach poprzyklejał nawet ścinki moich paznokci. Zbierał je albo płacił któregoś ze służących, żeby je dla niego zbierała.

— Podejrzewała go pani o to?

— Skądże. Faustin był pracownikiem, któremu wszyscy ufaliśmy. Był zawsze grzeczny, zachowywał wobec nas właściwą, bardzo profesjonalną postawę.

— I nie zorientowała się pani, że coś do pani czuł? Na przykład pożądanie? Nigdy nie podchwyciła pani jakiegoś jego spojrzenia, powiedzmy... niestosownego?

— Nie. Służący znają u nas swoje miejsce.

— Jasne, pani Carver. I to pewnie dlatego Faustin pomógł w porwaniu pani syna — stwierdził Max z sarkazmem.

Francesca zaczerwieniła się. Widać było, że jej dopiekl. Max nie chciał jednak za bardzo jej drażnić, gdyż rozdrażniona mogła zamknąć się w sobie. Kontynuował rozmowę.

— Co się stało tego dnia, w którym Charlie został porwany?

Francesca zdusiła niedopalek i niemal natychmiast zapaliła następnego papierosa.

— To był poranek w dniu trzecich urodzin Charliego. Widzieliśmy amerykańskie okręty wojenne, zapewne z żołnierzami, którzy mieli dokonać inwazji, stojące na linii horyzontu, naprzeciwko wejścia do portu w Port-au-Prince. Wszyscy mówili, że Amerykanie wkrótce zbombardują Pałac Narodu. W całym Port-au-Prince ludzie grabili i podpalali sklepy. Znaleźli się tacy, którzy porzucali swoje domy w górach i zbiegali się do miasta z wózkami i taczkami, żeby ukraść jak najwięcej dóbr ze sklepów albo z prywatnych domów w stolicy. Rozprzestrzeniła się anarchia. O tym, jak było źle, świadczyły chociażby zapachy unoszące się w powietrzu. Odór palonej

- 188 -

- 189 -

gumy zawsze oznaczał grabieże i rzeczywiście — dochodziło do grabieży. Dzikie hordy blokowały drogi, budując barykady z płonących opon samochodowych. Ku niebu wznosiły się nad Port-au-Prince ogromne słupy czarnego dymu. W kraju było naprawdę bardzo, bardzo źle.

Francesca na chwilę umilkła, westchnęła, ale zaraz kontynuowała.

— A już naprawdę tragicznie i niebezpiecznie zrobiło się, kiedy tego ranka wyjechaliśmy do miasta w kuloodpornej limuzynie. Rose, niania, siedziała w samochodzie na tylnym siedzeniu, obok Charliego i mnie. Chłopiec był wesoły. Pozwalał, żebym bawiła się jego włosami. Jechaliśmy na Rue du Champs de Mars, niedaleko Pałacu Narodu. W mieście tego dnia było naprawdę bardzo

niebezpiecznie. Szybko straciłam rachubę, licząc zwłoki, które zalegały na ulicach. Faustin powiedział, że powinniśmy zatrzymać się w jakimś ustronnym miejscu i przeczekać, aż ucichną strzały, zaparkowaliśmy więc przy Boulevard des Veuves. Zwykle pełno tam samochodów, wówczas było jednak zupełnie pusto. Zauważyłam, że z Faustinem dzieje się coś bardzo złego. Mocno się pocił i przez cały czas obserwował mnie we wstecznym lusterku. Wszystkie nasze samochody zawsze powinny być wyposażone w naładowaną broń ukrytą pod siedzeniami. Sprawdziłam pod moim i nic. Faustin zauważył, czego szukam, i kiedy znowu uchwyciłam jego spojrzenie, uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Nie ma ich tam, prawda?”. Zablokował drzwi. A ja starałam się nie okazywać, że jestem coraz bardziej przerażona.

Francesca umilkła na krótką chwilę.

— Odgłosy strzelaniny stopniowo ustawały. Rose zapytała Faustina, dlaczego nie ruszamy. Odpowiedział jej bardzo niegrzecznie, żeby pilnowała swoich spraw. Krzyknęłam na niego, żeby uważał, co mówi. On na to, żebym się zamknęła. Wtedy zrozumiałam już z całą pewnością, że dzieje się z nami coś bardzo niedobrego. Wpadłam w histerię. Wrzasnęłam na Faustina, żeby wypuścił nas z samochodu. Nie zareagował. Na ulicy pojawiły się jakieś dzieciaki, taka nasza miejscowa uliczna gównażeria. Dzieciaki zobaczyły samochód i zaczęły do niego podchodzić. Zajrzały do środka. Jeden z nich wykrzyknął imię Faustina, a potem po prostu wrzeszczał plugawym językiem i wytykał nas palcem. Tymczasem podchodziło do nas coraz więcej ludzi, tym razem dorośli, z maczetami, pałkami, oponami i kanistrami z benzyną. Przez cały czas krzyczeli: „Faustin — zabójca, Faustin — zabójca!”. Faustin był przecież wcześniej członkiem Tonton Macoute i wszyscy się go bali. Miał wielu wrogów i mnóstwo ludzi pragnęło jego śmierci. Tłum ludzi zaczął otaczać samochód gęstym kordonem. Ktoś rzucił kamieniem w tylne okno. Kamień odbił się, nie wyrządzając samochodowi żadnej szkody, jednak to był sygnał, który sprawił, że motłoch dosłownie rzucił się na auto. Faustin zdołał wyjechać z kordonu, ale nie zajechał daleko, bo na końcu drogi ludzie zbudowali barykadę. Postanowił wycofać się na wstecznym biegu, jednak wtedy tłum znowu nas dopadł. Byliśmy w pułapce.

Francesca umilkła i wzięła głęboki oddech. Zbladła, a w jej oczach pojawił się strach.

— Powoli — powiedział Max.

— Ludzie wyszli zza barykady i ruszyli na samochód — kontynuowała kobieta. — Po kilkunastu sekundach byliśmy całkowicie otoczeni. Ludzie znowu wołali: „Faustin — zabójca”, uderzali w samochód pałkami i rzucali kamieniami. Rozbili szyby. Wreszcie zaczęli dźgać czymś ostrym w rogi dachu. Faustin wyciągnął spod swojego siedzenia pistolet maszynowy. Rose krzyczała ze strachu. Przypuszczam, że ja też. Charlie przez cały czas był spokojny, patrzył na wszystko, jakby to było przedstawienie. Ostatnia rzecz, jaką zarejestrowałam, to moment, kiedy tulił go do siebie, głaszcząc po włosach i mówię, że wszystko będzie dobrze. A potem... Potem się ocknęłam. Leżałam na tej samej ulicy, ale kilkaset jardów od samochodu. Nie wiem,

- 190 -

- 191 -

w jaki sposób przebyłam ten dystans. Zobaczyłam starą kobietę w różowej sukni, siedzącą po drugiej stronie ulicy, przed warsztatem szewskim. Ona też patrzyła prosto na mnie.

— Gdzie ona siedziała?

— Przed warsztatem szewskim. To takie miejsce, gdzie się naprawia buty — wyjaśniła Francesca.

— Co pani zrobiła potem?

— Wróciłam do samochodu. Byłam całkowicie zdezorientowana. Ulica była pusta, a na ziemi widziałam mnóstwo krwi.

— Była pani ranna? Mocno?

— Miałam jedynie wstrząśnienie mózgu. Poza tym kilka ran i siniaków. Rose nie żyła. Faustina nie było. I nigdzie też nie było mojego małego synka — powiedziała Francesca i opuściła głowę. Zaczęła płakać. Najpierw w ciszy z jej oczu potoczyły się pojedyncze łzy, później kilkakrotnie pociągnęła nosem, aż wreszcie zalała się łzami i głośno załkała.

Max zatrzymał magnetofon. Poszedł do łazienki po papierowe serwetki. Podał je kobiecie i usiadł naprzeciwko niej, obserwując ją i czekając, aż się wypłacze. Nie krępowała się jego obecnością. W

końcu nie miała wyboru. Kiedy najgorsze minęło, odezwała się:

— Zaparzę kawę.

Max siedział i obserwował, jak Francesca wyciąga z przeszklonej szafki nad zlewozmywakiem metalowy ekspres do kawy. Podłączyła go do prądu, nalała do pojemnika wodę z butelki i włączyła. Z innej szafki wyciągnęła dwie filiżanki i cukiernicę. Filiżanki przetarła od wewnątrz ściereczką, którą znalazła na lodówce. Jakby bawiły ją te czynności; na jej ustach pojawił się nawet słaby uśmiech. Max przypuszczał, że tęskniła za życiem bez służących i pokojówek.

Popatrzył na zegarek. Była czwarta piętnaście nad ranem. Na zewnątrz wciąż było ciemno, słychać już jednak było pierwsze poranne ptaki, ćwierkające w ogrodzie, walczące z owadami. Chantale miała przyjść o ósmej, było już więc za późno, żeby się przespać. Stwierdził, że będzie jakoś musiał przebrnąć przez nadchodzący dzień.

Kawa parzyła się z cichym sykiem. Kiedy żaroodporny szklany dzbanek napełnił się czarnym płynem, Francesca przelała kawę do specjalnego termosu i postawiła go na stole. Po chwili obok termosu położyła także tacę z filiżankami, podstawkami, łyżeczkami, dzbaneczką ze śmietanką i cukiernicą. Max posmakował kawę. Był to ten sam gatunek, który niedawno pił w klubie Carvera. Przez długi czas siedzieli niemal w zupełnej ciszy. Max powiedział, że kawa jest doskonała.

Francesca zapaliła papierosa, potem następnego.

— Pani Carver...

— Proszę mówić do mnie po imieniu. Francesca.

— Francesca, po co właściwie jechałaś tego dnia z synem do Port-au-Prince?

Max ukradkiem włączył magnetofon.

— Mieliśmy wyznaczone spotkanie.

— Z kim?

— Z człowiekiem o nazwisku Filius Dufour. Właściwie nie jest on zwykłym człowiekiem; to houngan, kapłan voodoo.

— Zabrałaś Charliego do kapłana voodoo w jego urodziny? ! — zawołał Max.

W jego głosie zabrzmiało więcej zdziwienia niż w rzeczywistości odczuwał. Miejscowa religia była w rodzinie Carverów doskonale zakorzeniona. Max przypomniał sobie, jak bardzo bronił jej Allain.

— Już od sześciu miesięcy woziłam go na spotkania z Fi-liusem raz w tygodniu, co tydzień.

— Dlaczego?

— Filius nam pomagał, Charliemu i mnie.

— Wjaki sposób?

— Ile masz czasu?

- 192 -

- 193 -

— Tyle, ile potrzeba — odparł Max.

Francesca popatrzyła na jego zegarek. Max ukradkiem sprawdził długość taśmy, jaka pozostała jeszcze w magnetofonie. Kasetę miała łącznie dwie godziny, jednak jej pierwsza strona już się prawie kończyła. Szybko przewinął ją do końca. Włączył nagrywanie na drugiej stronie natychmiast, kiedy Francesca znów zaczęła mówić.

— Charlie urodził się w Miami czwartego września 1991 roku. Jedną z sióstr, kiedy zobaczyła jego głowę zaraz po urodzeniu, aż krzyknęła. Charlie wyglądał, jakby urodził się w grubym czarnym czepku, ale to były tylko jego włosy. Widzisz, urodził się z bujną fryzurą. To się czasami zdarza. Trzy tygodnie później wróciliśmy na Haiti. Krajem rządził wtedy Aristide; były to właściwie rządy mafii, która dla niepoznaki nazwała się rządem. Wielu ludzi opuszczało wówczas kraj, i to bynajmniej nie biedacy na byle jakich łodziach. Wyjeżdżali bogaci obywatele, biznesmeni, ludzie przedsiębiorczy. Gustav nie miał zamiaru wyjechać, mimo że w publicznych przemówieniach Aristide dwukrotnie wskazał na nas jako na ludzi, którzy wszystko „ukradli” biednym Haitańczykom. Gustav wiedział, że Aristide zostanie obalony. Był w bliskich stosunkach zarówno z pewnymi wojskowymi, jak i z kilkoma ważnymi ludźmi z otoczenia Aristide'a.

— Bardzo przebiegły facet — zauważył Max.

— Gustav wyznaje maksymę, że należy utrzymywać bliskie stosunki z przyjaciółmi, ale jeszcze

bliższe z wrogami.

— A czy on w ogóle ma przyjaciół?

Francesca roześmiała się głośno, po czym przez chwilę patrzyła Maksowi w oczy. Detektyw wyczuł, że jest badany, że kobieta chciałaby odgadnąć, skąd u niego taki komentarz. Krótkie spojrzenie w oczy Maksa niczego jej jednak nie odpowiedziało.

— Aristide został obalony trzydziestego września. Tego wieczoru Gustav wydał przyjęcie. Aristide miał zginąć, ale plany

194

w ostatniej chwili zmieniono. Mimo wszystko było to radosne przyjęcie. Miesiąc później Charlie został ochrzczony. Od samego początku wiedziałam, że z chłopcem coś jest nie tak. Kiedy miałam kilkanaście lat, niańczyłam moich siostrzeńców i siostrzenicę i wszyscy troje byli zupełnie inni niż Charlie. Reagowali na to, co robię. Rozpoznawali mnie. A Charlie, nic z tych rzeczy. Nigdy nie patrzył prosto na mnie. Nigdy nie wydawał się zainteresowany moją obecnością. Nie wyciągał do mnie rąk, nigdy się nie uśmiechał. I — jeszcze jedna dziwna rzecz — nigdy nie płakał.

— W ogóle?

— Nigdy, w ogóle. Wydawał różne dziecięce odgłosy, ale nigdy nie słyszałam go płaczącego. A przecież kilkumiesięczne dzieci płaczą prawie co chwilę. Płaczą, kiedy się zmoczą albo kiedy zrobią kupkę. Płaczą, kiedy są głodne. Płaczą, kiedy chcą zwrócić na siebie uwagę. Ale nie Charlie. Był bardzo, bardzo cichy. Czasami można było odnieść wrażenie, że nie ma go w domu. Lekarz przychodził do niego mniej więcej co tydzień. Wspomniałam mu o tym, to znaczy o dziwnym zachowaniu chłopca. On jednak tylko zażartował, żebym się cieszyła, bo taka cisza nie potrwa wieczność. Ale, oczywiście, wciąż trwała. Allain mówił mi, żebym się nie martwiła, że sam Gustav w ogóle nie mówił, dopóki nie skończył czterech lat.

Francesca zamilkła i zapaliła kolejnego papierosa. Max zaczynał się przyzwyczajać do ich okropnego zapachu.

— Powiedziałaś, że Charlie na mnie nie reagował. To prawda, ale zawsze uśmiechał się do Gustava. I śmiał się głośno, kiedy stary człowiek robił przed nim głupie miny albo łaskotał go po piętach. Od początku wytworzyła się między nimi silna więź. Gustav był bardzo dumny z Charliego. Zawsze miał dla niego czas. Kilka razy zabrał go ze sobą do banku. Siedział przy nim do późna w nocy, karmił go, zmieniał mu pieluchy. Widok ich dwóch, w pełnym porozumieniu, był naprawdę wzruszający. Nigdy wcześniej nie widziałam Gustava bardziej szczęśli-

- 195 -

wego. Wobec pozostałych wnucząt nie był ani taki opiekuńczy, ani nie poświęcał im tyle uwagi co Charliemu. Charlie to jego jedyny wnuk, pozostałe to wnuczki. Myślę, że chciałby umrzeć ze świadomością, że jego nazwisko rodowe zostanie zachowane, że będzie trwało. To człowiek starej daty, ale przecież cały ten nasz kraj nie jest nic nowocześniejszy od niego.

Max nalał sobie kolejną filiżankę kawy. Pierwsza wygoniła zmęczenie z jego kości i z oczu.

— A więc chodziło ci o stan Charliego, kiedy zaczęłaś z nim jeździć do kapłana voodoo? Nie chodziło o ciebie, ale wyłącznie o syna, prawda? Uważałaś, że niewłaściwie się rozwija i zaczęłaś bywać z nim u kapłana, żeby wydał diagnozę, a może coś zaradził.

— I tak, i nie. Niezupełnie tak. Widzisz, włosy Charliego...

— Widziałem fotografie — przerwał Max. — Widziałem go w tej sukience.

— Nikomu nie pozwalał ich sobie obciąć...

— Wyjaśnił mi to już twój mąż — powiedział Max z niesmakiem.

— Naprawdę nie mieliśmy wyjścia. Ludzie sprawiali, że życie Charliego stawało się nieznośne.

— Tak było, zanim ubraliście go w sukienkę czy po tym? — zapytał Max sarkastycznym tonem.

— Zrobiliśmy to dla jego dobra — odparła Francesca stanowczo. — Czy nie rozumiesz, że Charlie wrzeszczał wniebogłosy za każdym razem, kiedy ktoś zbliżał się do niego z nożyczkami?

— Wiem. Allain i to mi powiedział.

— A czy powiedział ci, jak Charlie krzyczał? To nie był krzyk niemowlaka czy małego chłopca. Był w nim czysty ból, to był wrzask, który mroził krew i rozdzierał uszy. Wyobraź sobie jaskinię, a w niej piszczące nietoperze. Ludzie mówili nam, że krzyk Charliego słyszać było nawet w odległości

dwóch mil.

Max zatrzymał taśmę. Wspomnienie wrzasków chłopca wprowadziło Franceskę z równowagi. Przygryzła górną wargę i z trudem powstrzymywała płacz. Max zapragnął wziąć ją w ramiona, pozwolić jej wypłakać się w jego objęciach, jednak uznał, że byłby to gest nie na miejscu. W końcu właśnie ją przesłuchiwał, zbierał dowody, nie rozmawiał z nią jako jej powiernik czy spowiednik.

— Wyjaśnij mi kwestię z sukienką — poprosił, kiedy stwierdził, że Francesca zapanowała już nad łzami.

Znał wprawdzie wyjaśnienie tej sprawy, ale uważał, że rozmowa będzie dla niej łatwiejsza, jeśli będzie się składać z krótkich pytań i odpowiedzi.

— Nigdy nie ścinałimy włosów Charliego. Rosły po prostu byle jak, w nieładzie. Czasami zbieraliśmy je w kitki albo w kok, aż wreszcie spleśliśmy je w warkocz. No i okazało się, że łatwiej jest ubierać go w sukienkę i przedstawiać na zewnątrz jako dziewczynkę niż wszystkim wyjaśniać, dlaczego ma taką, a nie inną fryzurę. Widzisz, to całkiem dobrze zadziałało. No i Charlie zaczął nosić sukienkę, przez cały czas — powiedziała Francesca.

— Skąd się dowiedziałas o tym kapłanie voodoo?

— Pewnego dnia, ni z gruszki, ni z pietruszki, Rose przyniosła mi od niego odręcznie napisany list. W liście znajdowały się informacje o mnie i o Charliem, których nikt, powtarzam, nikt, nie mógł znać.

— Powiesz mi, co to za informacje?

— Nie — odparła Francesca stanowczo. — Ale jeśli jesteś tak dobry, jak twierdzi Allain, to i tak się dowiesz.

Max kontynuował zadawanie pytań.

— W jaki sposób Rose poznała tego kapłana?

— Pracuje dla niego Eliane, jej przyjaciółka.

— Rozumiem — powiedział Max, zaznaczając Eliane w myślach jako potencjalną podejrzaną. — Czy Rose mogła znać te „tajemnice”, których nie chcesz mi zdradzić?

— Nie.

- 196 -

- 197 -

— Nawet w tym małym kręgu rodzinnym?

— Nie.

— Jasne. Zatem razem z Charliem zaczęłaś jeździć do kapłana. Co tam się stało?

— On rozmawiał, najpierw ze mną, potem spotykał się z Charliem, osobno, sam na sam.

— W jakim wieku był Charlie, kiedy zaczęły się te spotkania?

— Miał dwa i pół roku.

— Czy już wtedy mówił?

— Nie. Ani słowa.

— To w jaki sposób komunikował się z kapłanem?

— Nie wiem, ponieważ mnie przy tym nie było. Ale jakakolwiek była to komunikacja, spotkania zadziałały, ponieważ Charlie zmienił się w stosunku do mnie. Jakby się otworzył. Patrzył na mnie. Nawet zaczął się uśmiechać. Miał taki uroczy uśmiech. Kiedy widziałam ten uśmiech na jego ustach, dzień wydawał się piękniejszy.

Głos Franceski przeszedł w szept. Każde jej słowo dowodziło, że cierpi.

Głośno wydmuchała nos, prychając jak foka, po czym zapaliła papierosa, ostatniego z paczki.

Zmięła w dłoni puste opakowanie.

— Jak często ty i Charlie spotykaliście się z tym kapłanem?

— Raz w tygodniu.

— Zawsze tego samego dnia w tygodniu i o tej samej porze?

— Nie, dni tygodnia się zmieniały. O tym, że będzie spotkanie, zawsze uprzedzała mnie Rose.

— Będę się musiał spotkać z tym facetem.

Z kieszeni na piersi Francesca wyjęła złożoną kartkę papieru i przesunęła ją po stole w kierunku

Maksa.

— To jest adres Filiusa i wskazówki, jak do niego dojechać. Czeka na ciebie dzisiaj około drugiej po południu.

198

— Czeka na mnie?

— Wiedział, że przyjedziesz na Haiti. Wiedział już dwa miesiące temu. Widział twój przyjazd.

— Jak to dwa miesiące temu? Jak mógł to wiedzieć? Przecież dwa miesiące temu nawet ja sam nie wiedziałem, że tu przyjadę.

— On widzi różne rzeczy.

— I jeszcze przepowiada przyszłość?

— Można tak powiedzieć, ale to nie to samo.

— Dlaczego tak niemiło zachowałeś się podczas kolacji?

— Nie zdawałam sobie sprawy, że to jesteś właśnie ty.

— A więc już po kolacji rozmawiałaś z Dufurem?

— Tak.

— I dlatego do mnie przyjechałaś? Francesca pokiwała głową.

— Ma na ciebie duży wpływ.

— Nie w takim sensie, jak sobie myślisz.

— Czy cokolwiek z tego, co dzisiaj usłyszałem, opowiedziałaś moim poprzednikom?

— Nie. Opowiadałam im tylko o porwaniu.

— Dlaczego?

— Emmanuel był miłym chłopakiem, ale był też bardzo niedyskretny. Taki plotkarz.

Nienawidziłam Clyde'a Beeso-na, a Medd mało mnie obchodził. Przyjechali tutaj tylko dla pieniędzy.

— Przecież oni żyli z takiej roboty — powiedział Max. — Praca jak każda inna. Można pracować za biurkiem, nalewać benzynę do samochodów na stacji benzynowej, można być policjantem, strażakiem, kimkolwiek, ale pracuje się dla pieniędzy. Ci, którzy nie żądają wynagrodzenia za pracę, to szczęśliwcy albo głupcy.

— A więc musisz być głupcem, Max — stwierdziła Francesca i popatrzyła mu prosto w oczy. — Bo na szczęśliwca to mi nie wyglądasz.

- 199 -

Później wiele więcej już mu nie powiedziała.

Max odprowadził ją do drzwi. Na pożegnanie podała mu rękę i przeprosiła za wybuch przy kolacji.

Błagalnym tonem jeszcze raz poprosiła go, żeby odnalazł Charliego. Odparł, że zrobi wszystko, co w jego mocy, a potem obserwował, jak idzie ścieżką w kierunku czekającego na nią samochodu.

Na dworze było już niemal zupełnie jasno i nad ogrodem unosiło się szaroniebieskie światło, a hałaśliwe ptaki ucztowały, wyłapując rozleniwione owady. Ulice za murami posiadłości powracały do życia.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, usłyszał, jak ożywa silnik samochodu. Trzasnęły drzwiczki i samochód powoli ruszył.

15

Max umył twarz, ogolił się i zaparzył nową porcję kawy.

Usiadł z filiżanką na werandzie. Słońce uniosło się wysoko i dosłownie w ciągu kilku sekund dom i ogród zalały jego oślepiające promienie, jakby ktoś za pomocą ogromnego reflektora punktowego zaczął przeszukiwać całą okolicę.

Zaczął popijać kawę. Nie był już zmęczony, nie miał nawet kaca.

Popatrzył na zegarek. Szósta trzydzieści. Ta sama godzina była w Miami. Joe pewnie już wstał i siedział z żoną i z dziećmi przy śniadaniu.

Poszedł do sypialni i wykręcił domowy numer przyjaciela. Stary telefon miał obracaną tarczę. ' — Joe? Tu Max.

— Hej, co u ciebie, stary? Właśnie o tobie myślałem.

— To zadziałała siła voodoo — powiedział Max, myśląc o kapłanie Charliego.

Joe roześmiał się.

— Jesteś w kuchni, Joe?

— Nie, w moim domowym gabinecie. Dźwiękoszczelnym. Dzięki temu moja żona, jak twierdzi, nie musi słuchać Spring-steena. Nienawidzi go tak jak ty.

— Amen — przytaknął Max. — Posłuchaj, potrzebuję informacji na temat pewnego faceta. Będzie to dla ciebie problem?

— Nie. Mam dostęp do bazy danych bezpośrednio z prywatnego komputera. Prosto z domu.

— Jakim cudem? — zapytał Max z niedowierzaniem.

— Wszystko teraz funkcjonuje w sieci informatycznej — odparł Joe. — Dzięki temu całą umysłową robotę wykonuję w domu. W miejscu pracy zajmuję się tylko gówniarzami, którzy popalają trawkę i czasami uciekają z domów. Nauka poszła mocno do przodu, od kiedy od nas odszedłeś, Max. Technologia jest jak rdza — nigdy nie śpi, zawsze prze do przodu i stopniowo zajmuje te obszary, do których my sami dążyliśmy zbyt powoli. Moje poszukiwanie w sieci może spowolnić jedynie to, że zbyt wiele osób jednocześnie będzie się poruszało w systemie.

— Mam czas, jeśli ty go masz, Joe. Być może będziesz musiał dotrzeć aż do bazy danych Interpolu.

— Strzelaj.

— Imię: Vincent. Nazwisko: Paul. Tak się pisze, jak słyszysz.

— Haitańczyk?

— Tak.

Max usłyszał, jak Joe stuka palcami po klawiaturze komputera. W tle rozbrzmiewała przytłumiona muzyka, głos Bruce'a Springsteena przebijający się ponad dźwięki gitary akustycznej. Przyszło mu do głowy pytanie, czy płyta kompaktowa Franka Sinatry wciąż leży na ulicy.

Po chwili znowu usłyszał głos Joe'ego.

— Max? W krajowej bazie danych nie ma nic, ale jest Vincent Paul w kartotece Interpolu.

Określony jako osoba zagi-

- 200 -

- 201 -

niona, ale mało istotna. Tym niemniej szukają go Brytyjczycy, Scotland Yard.

Joe jeszcze kilkakrotnie postukał w klawiaturę.

— Mam także fotografię. To dość dobrze zbudowany facet. Źle mu z oczu patrzy. I wygląda jak Isaac Hayes za swoich naprawdę najgorszych dni. I jest wielki jak cholera. Piszą tu, że ma około sześciu stóp i dziewięciu cali wzrostu. W butach będzie miał pewnie równe siedem. Cholera, prawie Goliat! I mam tu jeszcze do niego mnóstwo odnośników. Posłuchaj, Max, to może teraz potrwać nawet godzinę, a ja już muszę iść do moich dzieciaków. Włączę autowyszukiwanie. Kiedy tylko będę miał komplet informacji, zadzwonię do ciebie. Jaki jest twój numer?

Max podał mu numer telefonu.

— Lepiej jednak będzie, jak ja sam do ciebie zadzwonię, Joe. Bo nie wiem, kiedy wrócę do domu.

— Jasne.

— Jeśli będę potrzebował, załatwisz mi pewne testy w medycynie sądowej?

— Zależy, czego szukasz.

— Chodzi o DNA, grupy krwi, pewnie jeszcze odciski palców.

— Chyba nie będzie problemu. To drobne rzeczy. Tylko mi tu nie podsyłaj całego umarlaka.

— Postaram się. — Max zachichotał.

— Jak ci tam leci? — zapytał Joe.

— Dopiero przyjechałem...

— I jeśli natychmiast stamtąd wyjedziesz, stracisz jedynie pieniądze. Pamiętaj o tym, brachu.

Max zdążył zapomnieć, jak dobrze Joe go zna. Już zdołał wyczuć niewielkie wahanie w jego głosie.

Max zastanawiał się nawet, czy nie opowiedzieć mu o spotkaniu z dzieciakami po wyjściu z baru, pomyślał jednak, że lepiej nikomu o tym nie wspominać, a jeszcze lepiej — samemu jak najszybciej zapomnieć o tym incydencie.

- 202 -

— Będę o tym pamiętał, Joe, nic się nie martw.

Max znowu usłyszał muzykę — Bruce grał na gitarze akustycznej i dmuchał w harmonijkę ustną jak Bob Dylan na sterydach. Wiedział, że poranki to dla Joe'ego najszcześniejsze chwile. Mógł słuchać swojej ulubionej muzyki, we własnym domu, otoczony ukochaną i kochającą go rodziną. Joe zawsze miał przy sobie kogoś, kto się o niego troszczył i o kogo troszczyć mógł się on sam. Max zapragnął nagle jeszcze chociaż przez moment pozostać na linii telefonicznej i przez kilka minut przysłuchiwać się życiu i rodzinnemu szczęściu przyjaciela, poczuć wspaniałe ciepło i czułość, emanujące dosłownie z każdego zakamarka jego domu.

Cześć trzecia

16

— Max, ty śmierzisz — powiedziała Chantale i roześmiała się głośno swoim brudnym, lubieżnym śmiechem.

Miała rację. Mimo że bardzo długo mył się, szorował zęby, w gorącym i wilgotnym klimacie jeszcze się nie pozbył smrodu, jaki przyłgnął do niego po nocnej przygodzie i po wypitym alkoholu. Rum, który pił kilka godzin temu, dopiero teraz parował z niego przez skórę i zapach potu roznosił się po wnętrzu landcruisera, słodko-kwaśny, jakby ktoś gotował cukierek w occie.

— Przepraszam — mruknął i popatrzył przez okno na przesuwany się za nim krajobraz.

W miarę, jak zbliżali się do Port-au-Prince, na świecie było coraz bardziej żółto i brązowo, a tylko gdzieniegdzie prześwitywały połacie zieleni.

— Nie chciałam cię obrazić.

— A ja wcale się nie obraziłem. Lubię ludzi, którzy mówią to, co myślą. Nie trzeba ich rozgryzać. Chantale pachniała wspaniale. Roztaczała się wokół niej świeża, ostra i jednocześnie delikatna aura cytrusów, izolująca dziewczynę od odoru Maksa. Ubrana była swobodnie, w turkusową bluzeczkę z krótkimi rękawkami, spłowiałe niebieskie dżinsy i buty w kolorze pustyni. Włosy miała związane do tyłu w krótki koński ogon. W kieszeni na piersiach trzymała okulary przeciwsłoneczne, długopis i mały notes. Nie przyjechała jedynie, żeby Maksa gdzieś podwieźć. Miała zamiar razem z nim pracować, czy to mu się podobało, czy nie.

- 205 -

Zjawiła się w domu trochę za wcześnie, o siódmej trzydzięci, w zakurzonej hondzie civic, której szyby wyglądały, jakby ich nie myto od roku. Max akurat jadł śniadanie, które przygotowała mu Rubie, służąca. Chciał zjeść rano jajka na miękko, i to jej właśnie wytłumaczył, powoli, w prostej angielszczyźnie, posługując się dodatkowo rękami, ale Rubie raczej niewiele z tego zrozumiała, bo skończyło się na omlecie na podkładzie z tortilli z tapioką. Omlet był jednak doskonały i syty. Max popił go podwójnie mocną czarną kawą i dużą szklanką soku, który Rubie określała słowem chadec. Był to sok grejpfrutowy, jednak zupełnie nie było w nim cierpkości, która zawsze charakteryzuje soki z tego owocu.

— Ciężka noc? — zapytała Chantale.

— Można tak powiedzieć.

— Byłeś w „La Coupole”?

— Skąd wiesz?

— Zdaje się, że nie omijasz barów na swojej drodze.

— Byłaś już tam?

— Nie. — Dziewczyna roześmiała się. — Wzieliby mnie za kurwę.

— Raczej wątpię. Masz w sobie za dużo klasy.

No i proszę. Zaczął ją podrywać. Bez wielkich ceregieli, bez zastanowienia, bez żadnego wysiłku, żeby znaleźć właściwe słowa. Po prostu otworzył usta i popłynęło z nich to, co w tej chwili powinno popłynąć. Taki dwuznaczny komplement, który jeszcze nie musiał do niczego prowadzić. Teraz sprawy mogły się potoczyć dwojako: Chantale mogła podjąć grę i ją kontynuować albo dać Maksowi do zrozumienia, że nie ma mowy, aby przyjazne stosunki pomiędzy nimi posunęły się choć odrobinę dalej.

Dziewczyna trochę zbyt mocno ścisnęła kierownicę obiema rękami i popatrzyła prosto przed siebie.

— Nie sądzę, żeby dla twoich rodaków na wyspie było to jakąś różnicą — powiedziała gorzko.

A więc na nic się nie zanosilo. Jej odpowiedź nie oznaczała wprawdzie prostego i stanowczego

odrzućcia zalotów, jednak z pewnością świadczyła, że nie zamierza ulec. Max próbował określić w myślach liczbę mężczyzn, z którymi była Chantale. W jej ostatnich słowach usłyszał gorycz, jakby przeżyła wielki zawód miłosny. Być może rozpoznała jego grę dlatego właśnie, że w niedawnej przeszłości sama taką grę podjęła i mocno się na niej sparzyła?

— Musiał cię bardzo zranić, Chantale — powiedział.

— Tak było — odparła krótko w kierunku przedniej szyby

Na znak, że nie zamierza kontynuować tematu, włączyła radio i nastawiła głośną muzykę.

Ostro skręcili w lewo i jechali teraz w poprzek zbocza góry, z której przed chwilą zjeżdżali.

Wreszcie Max zobaczył Port--au-Prince, rozciągające się w dole, kilka mil z przodu, i wylaniające się z linii brzegowej jak zaschnięte wymiociny w nieświadomym oczekiwaniu, aż ocean je splucze z powierzchni ziemi.

W centrum Port-au-Prince obecność wojsk amerykańskich była bardzo widoczna. Pałac Narodu otaczał kordon hum-veyów, dżipów z zamontowanymi karabinami maszynowymi i mnóstwo po zęby uzbrojonych żołnierzy. Obecny prezydent kraju, już wcześniej oficjalny następca i bliski współpracownik Aristide'a, były piekarz i—jak głosiły plotki — alkoholik o nazwisku Preval, rządził z tego pałacu krajem w taki sposób, w jaki sterowali nim, niczym marionetką, amerykańscy mocodawcy.

Według Huxleya, który wprowadzał Maksa w zagadnienie, obecna konstytucja Haiti zabraniała prezydentowi pełnić funkcję przez dwie kadencje z rzędu, zezwalała natomiast, aby ubiegał się o kolejny wybór po trwającej przynajmniej jed-

- 206 -

- 207 -

ną kadencję przerwie. Wielu ludzi na wyspie uważało Prevala za faceta, który mógłby Aristide'owi co najwyżej czyścić buty i którego zadaniem było jedynie wygrzewanie miejsca na jego fotelu i oczekiwanie na nieuchronny powrót mistrza do władzy. Demokracja ma swoje prawa.

— Przekłęci Amerykanie! — zawołała Chantale, gdy mijali dżipa pełnego marines. — Nie obraż się.

— Nie mam zamiaru. Rozumiem, że nie zgadzasz się z tym, co się dzieje w twoim kraju?

— Początkowo się zgadzałam, ale trwało to, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że najazd na nas był wyłącznie zagrywką, mającą załatwić Clintonowi drugą kadencję. Spieprzył robotę w Somalii, gdzie USA zostało upokorzone, a jego osobista wiarygodność mocno nadszarpnięta. Co więc zrobił? Po prostu wybrał sobie niemal bezbronny czarny kraj i go najechał w imię „demokracji” i „wolności” — powiedziała Chantale gorzko, ale zaraz się roześmiała. — Pamiętasz, jak wysłali Jimmy'ego Cartera, żeby negocjował pokój z juntą po tym, jak junta odmówiła ustąpienia?

— Tak, widziałem to — odparł Max. W więzieniu, pomyślał. — „Jimmy Carter, prawa człowieka ucieleśnione”. Nienawidziłem tego dupka. Facet zrujnował Miami.

— W 1980 roku, prawda? Za sprawą uciekinierów z Kuby?

— Tak. To było wspaniałe miejsce, pełne żydowskich emerytów i prawicowych Kubańczyków, bezustannie spiskujących przeciwko Castro. W Miami było naprawdę spokojnie, konserwatywnie, przestępczość była niska, po prostu sielanka. Nagle Castro zaczął nam przysyłać w łodziach kryminalistów i wariatów, dołączając ich do tych Kubańczyków, którzy byli zwykłymi uciekinierami, pragnącymi rozpocząć nowe życie. A my nie mieliśmy żadnego przewodnika, żadnego podręcznika, żeby ich odróżniać. Byłem wtedy gliną i wiesz co? Dla gliniarzy tamten czas to piekło. Właściwie nie wiedzieliśmy,

- 208 -

co nas walnęło. W jednej chwili Miami było najlepszym miastem do życia i wychowywania dzieci, a w następnej stało się amerykańską stolicą morderstw.

— Pewnie głosowałaś na Reagana?

— W 1980 głosował na niego każdy gliniarz z Miami. Tylko chorzy nie oddali wtedy na niego głosu. — Max uśmiechnął się.

— Ja byłem zwolenniczką demokratów. W 1992 roku głosowałam na Clintona, a wcześniej na Dukakisa. Ale nigdy więcej. — Chantale pokręciła głową. — Słyszałaś, co się stało w czasie tak

zwanych rozmów pokojowych pomiędzy Carterem a generałem Cedrasem, szefem junty?

— Nie. Powiedz mi.

— Carter wychodzi z samolotu, a kamery wszystko kręcą. Zaraz podchodzi do niego generał Cedras, ale z żoną. I to ona prowadziła negocjacje. Zmusiła Cartera, żeby zapłacił każdemu członkowi junty po dziesięć milionów dolarów, zagwarantował im swobodny wyjazd z kraju i zrezygnował ze ścigania ich. Interes został ubity. Potem zażyczyła sobie, żeby Stany Zjednoczone chroniły ich domy. I wynegocjowała z Carterem, żeby rząd USA wynajął te domy dla personelu swojej ambasady. Interes ubity. A na koniec — i z powodu tego punktu całe porozumienie prawie legło w gruzach — pani Cedras zażyczyła sobie, żeby przewieziono do Wenezueli, dokąd wyjeżdżali wszyscy członkowie junty, jej czarną skórzaną sofę. Wtedy Carter powiedział: nie ma mowy. A dlaczego? Ponieważ Carterowi nie wolno było obiecywać żadnych pieniędzy firmom przeprowadzkowym. Wszystko inne było w porządku, Carter się zgadzał, ale w sprawie sofy nie cofnął się ani o krok. Długo sprzeczali się w tej kwestii i wreszcie, kiedy już się zdawało, że przez sofę rypnie się całe porozumienie, Carter zadzwonił do Clintona i, wyrwawszy go w środku nocy z łóżka, wyjaśnił sytuację. Clinton był wściekły. Zmieszał Cartera z błotem, wrzeszczał do telefonu tak głośno, że ludzie słyszeli jego sło-

- 209 -

wa w sąsiednim pokoju. Ale wyraził zgodę i sofa pojechała na wygnanie razem z juntą. Max wybuchnął śmiechem.

— Pieprzysz — powiedział po chwili.

— Ludzie mówią, że to prawda — odparła Chantale. Oboje się roześmieli.

Pałac Prezydencki był rozłożystym piętrowym gmachem, olśniewająco białym. Padające na budynek promienie słońca częściowo odbijały się od jego murów, przez co zdawał się lśnić, a wrażenie to potęgowały jeszcze czarne góry, widoczne w tle. Na maszcie przed głównym wejściem powiewała nie-biesko-czerwona flaga Haiti.

Objechali cokół, na którym stał pomnik generała Henrie-go Christophe'a, jednego z pierwszych przywódców Haiti, na koniu, skierowany przodem ku pałacowi i wojskom amerykańskim. U podstawy cokołu przesiadywały grupy młodych Haitańczyków. Na ich chudych kończynach powiewały luźno rękawy i nogawki, a oni po prostu obserwowali swoich okupantów, ruch uliczny albo tępo wpatrywali się w przestrzeń.

Reszta miasta, a przynajmniej ta jego część, którą mógł obejrzeć Max, była jednym wielkim wysypiskiem śmieci — śmierdzącą, rdzewiejącą, rozłazącą się, ponurą ruiną. Port--au-Prince nie było miastem w złej kondycji, ono po prostu nie miało już żadnej kondycji. Było wycieńczonym, butwiejącym organizmem na skraju upadku. Na sam początek powierzchownego leczenia potrzebowało milionów dolarów, ale tak naprawdę należało je po prostu całkowicie zniszczyć i zbudować na nowo. Rzędy domów w kolorze pierników w części miasta, która kiedyś musiała uchodzić za lepszą, od dawna nie miały drzwi, stały zrujnowane i śmierdzące, zamieszkiwane przez nie wiadomo ilu dzikich lokatorów. Wielu z nich Max widział stojących beczynnie na balkonach. Nigdzie nie było ulicznej sygnalizacji świetlnej. Od wyjazdu z Pétionville Max widział ją tylko w jednym miejscu,

- 210 -

a i tam nie działała. Ulice, jak niemal wszystkie, które dotąd zobaczył na Haiti, miały nawierzchnię popękana i dziurawą. Przejeżdżające samochody w większości sprawiały wrażenie, jakby w ostatniej chwili ludzie powyciągali je ze złomowiska. Ich rury wydechowe dymiły gęstym i czarnym dymem, niesłychanie śmierdzącym. Nieliczne furgonetki zwykle były jaskrawo pomalowane, ich silniki wyły na wysokich obrotach, a w przedziałach ładunkowych aż po sufity mrowili się byle jak poubierani, spoceni ludzie, najczęściej wraz z dobytkiem. Od czasu do czasu przejeżdżały samochody luksusowe, warte dziesiątki tysięcy dolarów importowane auta, z mozołem omijające głębokie kratery na nierównych ulicach.

Miasto napełniło Maksa smutkiem, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie zaznał. W kilku najbliższych zrujnowanych budynkach dostrzegł wspaniałe stare kamienice, które w czasach swojej świetności naprawdę musiały robić wielkie wrażenie i mogłyby nadal imponować, gdyby je tylko

wyremontowano. Nie mógł się jednak spodziewać, że to kiedykolwiek nastąpi. Jeśli stolice państw z założenia są oknami wystawowymi dla reszty kraju, wówczas Port-au-Prince musiało być odpowiednikiem wspaniałego salonu samochodowego, który splądrowano, podpalono i którego w ogóle nie ratowano, aż wreszcie spadł łaskawy deszcz i zduł płomień.

— Pamiętam, kiedy tu przyjechał papież — powiedziała Chantale i przyciszyła radio. — To było w 1983 roku, na kilkanaście miesięcy przed moim wyjazdem do Stanów. U władzy był wtedy Jean-Claude Duvalier, Baby Doc, ale w rzeczywistości rządziła jego żona, Michele. Kazała wysprzątać wszystkie ważniejsze ulice, opróżnić je z żebraków i handlarzy, którzy sprzedawali towary prosto z drewnianych stolików. Musieli się spakować i wynieść w takie miejsca, których nie miał zobaczyć papież. Po mieście włączyło się również mnóstwo inwalidów — ludzi niepełnosprawnych fizycznie i umysłowo; mieli swoje obozowiska i głównie żebrali przy drogach. Także

211

ich się pozbyła. Ulice zyskały nowe nawierzchnie, wszystko starannie pomalowano. Na kilka godzin przed przejazdem kolumny pojazdów z papieżem Michele kazała skropić ulice perfumami Chanel. W czasie tej akcji stałam na którymś z chodników. Zapach perfum był tak silny, że rozboleła mnie głowa. Przyłgnał do mojego ubrania na długie miesiące. Nie chciał puścić, mimo że moja mama wielokrotnie prała to, co wówczas miałam na sobie. Od tamtego dnia mam alergię na Chanel. Jeśli ktoś się tym skropi, zaraz to wyczuwam i dostaję bólu głowy.

— Co się stało z niepełnosprawnymi?

— To samo, co w latach siedemdziesiątych, kiedy postanowiono uczynić kraj bardziej atrakcyjnym dla turystów. Zebrano ich do kupy — chorych, ułomnych, bezbronnych — i wyeksponowano na La Gonâve. To taka mała wyspa u brzegów Haiti.

— Rozumiem — powiedział Max i poklepał się po kieszeni na piersiach, szukając notatnika. Nie było go tam. — Co się z nimi stało? Wciąż tam są?

— Nie wiem. Pewnie część nadal tam przebywa. To byli brudni ludzie, żyjący niemal jak szczury. Nikt nigdy o nich nie dbał — odparła Chantale.

Max podniósł z podłogi u swoich stóp mały wojskowy plecak, w którym schował aparat fotograficzny i magnetofon. Zapakował do niego także długopis, jednak zapomniał o papierze. Chantale wsunęła dłoń do kieszeni kostiumu i wręczyła mu mały notes.

— O sprawach zasadniczych nigdy nie zapominam — stwierdziła i roześmiała się.

Max zapisał kilka informacji.

— Słyszałaś o Ton Ton Clarinette?

— Należy wymawiać Tonton, Max, bez odstępów. Kiedy tak mówisz, odnoszę wrażenie, jakbyś naśladował kroczonego sło-

. - 212 -

nia. — Znowu się roześmiała. — Tonton Clarinette to miejska legenda, groźna opowieść, którą rodzice opowiadają niesfornym dzieciom. Dziecko, bądź grzeczne, bo inaczej zabierze cię Pan Klarnet. To postać podoba do Szczurołapa z Hamelin, hipnotyzuje dzieci swoją muzyką i wykrada je, na zawsze.

— Czy mówi się tutaj, że to Tonton zabrał Charliego?

— Tak, oczywiście. Kiedy rozwieszaliśmy na ulicach plakaty, podchodzili do nas ludzie i mówili: „Nigdy nie znajdziecie tego dzieciaka. Zabrał go Tonton Klarnet, tak jak już zabrał wiele naszych dzieci”.

Max pomyślał o Claudette Thodore i pokiwał głową.

— Popatrz tam!

Chantale wskazała na jakąś boczną uliczkę, przy której stały niskie, zdeformowane budynki. Na ich murach i dachach wymalowano jakieś symbole. Ludzie wyskakiwali ze zdezelowanej ciężarówki, która właśnie zaparkowała na środku ulicy.

— To była kiedyś dzielnica czerwonych latarni. Było tam mnóstwo barów dla gejów, burdeli i nocnych klubów. Naprawdę dzikie miejsce, pełne beztróskiego życia. Każdej nocy trwały tu wariackie zabawy. Ludzie na Haiti zawsze byli ubodzy, ale kiedyś potrafili chociaż się bawić. Teraz jest tu tak niebezpiecznie, że nocą może przejechać tędy jedynie wojskowy patrol.

— A co się stało z barami?

— Jean-Claude kazał je wszystkie pozamykać w 1983 roku, kiedy na wyspę spadła pierwsza fala AIDS. Większość bogatych amerykańskich gejów, którzy przyjeżdżali tutaj na seksualne weekendy, zrezygnowała z wizyt, ponieważ wasze media ogłosiły, że to Haiti jest miejscem, gdzie wykluła się choroba. Jean-Claude zwinął także wszystkich miejscowych gejów.

— Ich również wysłał na La Gonave?

— Nie. Nikt nie wie, co się z nimi stało.

— Inaczej mówiąc, zostali pozabijani?

- 213 -

— Prawdopodobnie. Nikt tego nie wie na pewno. Nikt tego nie sprawdzał, przynajmniej oficjalnie, żeby nie powstały żadne plotki. Homoseksualizm jest tutaj wielkim tabu. Mamy obecnie takie powiedzenie: „Na Haiti nie ma homoseksualistów; wszyscy ożenili się z dziećmi”. To tajemnica poliszynela, że w swoim czasie Jean-Claude był biseksualistą. Do mężczyzn zabierał się chyba z nudów, bo mógł pieprzyć każdą Haitankę, jaką tylko chciał. Mówi się, że w wysokich kręgach towarzyskich miał chłopaka, nazywał się René Sylvestre. To był wielki tłusty facet. Jeździł po wyspie pozłacanym rolls-royce'em i zawsze nosił sportowe dresy.

— Coś mi to przypomina.

— Nazywano go „Le Mighty Real”; to ksywa piosenkarza disco.

— Tego, który śpiewał You Make Me Feel Mighty Real?

— Znasz to?

— Jasne. Miałem w zbiorach ten singiel.

— Ty? — Chantale roześmiała się.

— Tak.

— Naprawdę?

— Tak. Co w tym nadzwyczajnego? Miałem nawet oryginalną wersję tej piosenki w wykonaniu Tony'ego Manero. You Make Me Feel Mighty Real to jeden z moich ulubionych utworów.

— Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić. — Chantale znowu głośno się roześmiała.

— To przyjrzyj mi się trochę uważniej.

— Zobaczymy.

17

Wjechali w Boulevard Harry Truman, biegnącą wzdłuż wybrzeża szeroką drogę, o zadziwiająco równej nawierzchni,

otoczoną rzędami palm. Po lewej stronie Max dostrzegł na horyzoncie tankowiec i okręt wojenny, natomiast z przodu zarysy portu z rdzewiejącymi i w części zatopionymi wrakami statków, wystającymi z wody. W pewnej chwili minęli oddział żołnierzy w błękitnych hełmach ONZ, maszerujący w przeciwnym kierunku.

Banque Populaire d'Haiti, rdzeń rodzinnego biznesu Car-verów, był imponującym kremowym budynkiem w kształcie prostopadłościanu. Pewnie lepiej by służył jako biblioteka albo gmach sądu. Mgliście przypominał Maksowi zdjęcia Arc de Triomphe w Paryżu.

Budynek był nieco oddalony od ulicy. Postawiono go na szczycie łagodnego wzniesienia i otoczono soczyście zielonym trawnikiem. Posiadłość ograniczał mur z piaskowca, zwieńczony różowymi i białymi kwiatami, jakby od niechcenia zakrywającymi ostre kolce i drut kolczasty. Prowadziła do niej wysoka metalowa brama, przy której stali dwaj uzbrojeni strażnicy. Kiedy Chantale zatrzymała samochód przed bramą, jeden z nich powiedział coś do radionadajnika i wrota otworzyły się.

— To jest wjazd dla specjalnych gości — wyjaśniła Chantale, kiedy wjechali do środka i powoli sunęli w kierunku budynku krótką dróżką dzielącą trawnik na dwa kwadraty. — Korzysta z niego jedynie rodzina, niektórzy pracownicy i najważniejsi klienci.

— Do której z tych grup ty należysz? — zapytał Max.

W lusterku dostrzegł, że za nimi wjechał terenowy srebrny mercedes z przyciemnionymi szybami. Dojechali ścieżką na parking, w połowie pusty. Przez obrotowe drzwi do banku wchodziło i wychodziło z niego mnóstwo ludzi.

Kiedy wysiedli, Max dojrzał, że mercedes zaparkował kilka stanowisk od nich. Patrzył w jego

kierunku na tyle długo, by zarejestrować to wydarzenie, jednak zbyt krótko, aby

- 214 -

- 215 -

ktoś mógł odnotować jego zainteresowanie. Z mercedesa wysiadło czterech mężczyzn — potężnie zbudowanych facetów o południowej urodzie. Obeszli auto i stanęli przed otwartym bagażnikiem. Max zobaczył wszystko, co chciał. Wiedział, co stanie się za chwilę, i to jeszcze zanim mężczyźni wyprzedzili jego i Chantale na krótkiej drodze do banku. Szybkim krokiem zmierzali ku drzwiom, a każdy z nich trzymał w rękach po dwie walizki wyglądające na dość ciężkie.

— Specjalni goście? — zapytał, spoglądając z ukosa na Chantale.

— Pieniądze nie znają swojego pochodzenia. Nie znają go także moi pracodawcy — odparła dziewczyna.

W jej głosie nie było ani cienia zmieszania, zaskoczenia czy obawy, tak jakby spotykała się z podobną sytuacją już wcześniej albo była przygotowana na odpowiadanie na podobne pytania.

Max zamilkł. Wyobrażał sobie, że przez Banque Populaire przepływa szeroki strumień pieniędzy, których źródłem jest handel narkotykami. Od początku lat osiemdziesiątych przynajmniej dziesięć do piętnastu procent światowej produkcji kokainy transportowano przez Haiti, a większość głównych graczy z karteli Ameryki Południowej zbudowała z tym krajem silne związki. Wielu z nich wykorzystywało Haiti, kiedy trzeba było zniknąć z horyzontu i ukryć się na rok albo dwa. Max był pewien, że Carverowie nigdy aktywnie nie uczestniczyli w interesach narkotykowych — Gustav był na to zbyt inteligentnym biznesmenem — ale też nie rezygnowali z pieniędzy, które same pakowały im się do rąk.

Zamierzał rozpocząć śledztwo właśnie w banku, w samym sercu terytorium Carverów. Zawsze pracował w taki sposób. Zaczynał od klienta, bo im więcej wiedział o ludziach, którzy mu płacili, tym więcej wiedział od razu o ich wrogach. Odkrywał, czego nienawidzili, czego zazdrościli, co pragnęli

- 216 -

odebrać i zniszczyć. Na początku ustalał motyw, następnie zarzucał sieć wśród prawdopodobnych podejrzanych, a później przystępował do łowów. Eliminował ich, jednego po drugim, aż w końcu wyłapywał sprawcę.

Weszli z Chantale do banku, niemal deptając po piętach mężczyznom z walizkami. Wewnątrz, jak Max mógł się spodziewać, było wprost olśniewająco. Hol stanowił skrzyżowanie hangaru samolotowego z mauzoleum korporacji, gdzie mogli spoczywać zmarli dyrektorzy, upamiętnieni mosiężnymi tablicami. Sufit, na którym widniał ogromny fresk, znajdował się prawie sto stóp nad podłogą. Podtrzymywały go wielkie del-fijskie filary z ciemnego granitu. Fresk przedstawiał jasno-błękitne niebo z kłębiastymi chmurami i otwartą ręką Boga, z której wypadały banknoty w najważniejszych światowych walutach, od dolarów po ruble, od franków po jeny, funty i pesety. Dziwne, ale nie było wśród nich haitańskiej gourde.

Stanowiska do obsługi klientów znajdowały się pod ścianą naprzeciwko drzwi wejściowych. Było ich przynajmniej trzydzieści, w powydzielanych kabinach, zbudowanych z granitu i szkła kuloodpornego. Max odnotował, że wszyscy klienci banku są doskonale ubrani, jakby każdy z nich przed przyjściem tutaj specjalnie odwiedził dom mody i jeszcze salon fryzjerski. Nietrudno było odgadnąć, że posiadanie konta bankowego dawało człowiekowi na Haiti pewien status społeczny, czyniło go członkiem ekskluzywnego kręgu, a cały rytuał inwestowania i wypłacania pieniędzy był społecznym równoważnikiem przyjmowania komunii i uczęszczania do kościoła w niedzielę.

Mężczyźni z walizkami skierowali się ku prawemu skrajnemu stanowisku obsługi. Tymczasem przy drzwiach zajęli miejsca dwaj strażnicy, z karabinami trzymanymi w poprzek piersi.

Środek wypolerowanej granitowej podłogi zajmował dywan z elementami flagi narodowej; leżał mniej więcej na połowie przestrzeni. Max obszedł go dookoła, uważnie oglądając. Skła-

- 217 -

dały się na niego dwa poprzeczne pasma: ciemnoniebieskie u góry, a czerwone u dołu, z grzebieniem symbolizującym palmę, otoczoną po obu stronach przez armatę, maszty flagowe i muszkiety z nasadzonymi bagnietami. Na czubku palmy widniała niebiesko-czerwona czapka, a na

zwoju u dołu napis — „L'Union Fait La Force”.

— Dywan wyglądał o wiele lepiej, kiedy był flagą Duvaliera, w kolorze czarnym i czerwonym zamiast niebieskiego. Oznaczał interesy, biznes. Flaga wróciła do oryginalnych kolorów dziesięć lat temu, trzeba więc było również wymienić dywan — powiedziała Chantale, dostrzegłszy zainteresowanie Maksa. — To taka bardzo francuska flaga. Jej kolory — niebieski i czerwony — pochodziły zasadniczo z trójkolorowej flagi francuskiej, a brak bieli oznacza wyplenienie z wyspy białego człowieka. Napis i broń symbolizują walkę kraju o wolność poprzez jedność i gwałtowną rewolucję.

— Kraj wojowników — zauważył Max.

— Kiedyś — odparła Chantale ponuro. — Teraz już nie walczymy. Po prostu poddajemy się przeznaczeniu.

— Max! — zawołał Allain Carver.

Pojawił się nie wiadomo skąd i już zmierzał w ich kierunku. Kilka dobrze ubranych kobiet, oczekujących w swoich kolejkach, odwróciło głowy i przez dłuższą chwilę przypatrywało się całej scenie. Oczy kobiet świdrowały Allaina, kiedy niemal biegł po marmurowej podłodze, stukając o nią obcasami, z lekko wyciągniętymi rękami, jakby zamierzał serdecznie wyściskać swoich gości. Podali sobie jedynie dłonie.

— Witam! — zawołał znowu Carver.

Jego twarz rozpromieniał ciepły uśmiech. Mężczyzna ubrany był w starannie wyprasowany i doskonale na niego pasujący garnitur, włosy miał zaczesane do tyłu. Znowu nad wszystkim panował, pan i władca najbliższej okolicy.

Max rozejrzał się po holu bankowym. Przyszło mu do głó-

wy pytanie, jaka część tego, co widzi, została zbudowana za pieniądze z handlu narkotykami.

— Z prawdziwą przyjemnością osobiście oprowadziłbym pana po banku — Carver zaczął przeproszać — jednak przez cały dzień będę zajęty z klientami. Rolę przewodnika powierzę więc naszemu szefowi bezpieczeństwa. Pan Codada zaraz będzie do pańskiej dyspozycji.

Poprowadził Maksa i Chantale z powrotem tą samą drogą, którą przybyli, ale zanim dotarli do obrotowych drzwi wejściowych, skręcili w zupełnie inne drzwi, przy których stał kolejny strażnik, i znaleźli się w chłodnym i długim korytarzu, wyłożonym niebieskim dywanem, który kończył się przed drzwiami windy.

Wyszli z windy i od razu stanęli przed jedynymi drzwiami na następnym korytarzu. Carver dwukrotnie zapukał, po czym otworzył je gwałtownie, jakby chciał kogoś po drugiej stronie na czymś nakryć, złapać na czynności zakazanej albo co najmniej zastać w kłopotliwej sytuacji.

Pan Codada rozmawiał przez telefon. Jedną nogę opierał o biurko i śmiał się głośno. Podrygiwał przy tym, a razem z nim trzęsły się frędzle przy jego markowych mokasynach. Zerknął przez ramię na trzy osoby wkraczające do pokoju, machnął na nie zdawkowo i kontynuował rozmowę, nie zmieniając pozycji.

Pomieszczenie było obszerne, a na jego głównej ścianie wisiał oprawiony w ramy obraz przedstawiający nowoczesny biały budynek, stojący tuż przy wodospadzie. Na innej ścianie wisiał bardziej tradycyjny obraz, również oprawiony, ukazujący ulicę przed kościołem i spacerujących po niej ludzi. Na biurku pana Codady nie było nic poza telefonem, dużym notesem i kilkoma czarnymi drewnianymi figurkami.

— A bientôt ma chérie — powiedział Codada, kilkakrotnie pocałował słuchawkę telefonu i wreszcie ją odłożył. Odwrócił obrotowe krzesło i dopiero wtedy popatrzył na przybyłych.

- 218 -

- 219 -

Nie podchodząc ani kroku bliżej, niemal z progu, Carver szybko powiedział coś po kreolsku, jednocześnie wskazując głową na Maksa. Codada bez słowa pokiwał głową. Na jego twarzy wyraz profesjonalnej powagi mieszał się z resztkami rozbawienia. Max natychmiast rozszyfrował scenę rozgrywającą się przed jego oczami. Codada był człowiekiem Gustava i jego syna nie traktował najpoważniej.

Z kolei Carver zwrócił się do Chantale, tym razem łagodniej i z uśmiechem. A już całkiem

czarujący był, kiedy mówił do Maksa:

— Życzę miłego zwiedzania. Później porozmawiamy. Maurice Codada wstał i obszedł biurko. Ciepłym gestem ujął ramiona Chantale i wykonał ruch, jakby całował dziewczynę w policzki, jednak nawet jej nie dotknął ustami. Następnie Chantale przedstawiła mu Maksa.

— Bienvenu a la Banque Populaire d'Haiti, Monsieur Mainguss — odezwał się Codada serdecznie i skłonił głowę, ukazując Maksowi pokrytą piegami łysinę. Dopiero potem energicznie potrząsnął jego dłonią. Mimo że był szczupłym, drobnym człowieczkiem, niższym i gorzej zbudowanym od Maksa, uścisk jego ręki był silny. Chantale wyjaśniła, że będzie musiała tłumaczyć rozmowy, ponieważ Codada nie zna języka angielskiego.

Codada poprowadził gości z powrotem do głównego wejścia i natychmiast zaczął pokazywać im bank, komentując wszystko w języku kreolskim w tempie, z jakim wylatują kule z karabinu maszynowego.

Długie wywody Codady Chantale przekładała na krótkie informacje w języku angielskim.

— Filary przyjechały z Włoch... Podłogi też... Flaga Haiti... Blaty przyjechały z Włoch... Ale pracownicy nie, ha, ha, ha...

Codada szedł wzdłuż rzędu klientów, niektórym podając rękę, innych klepiąc po ramionach, posyłając całusy kobietom, jednym słowem zachowując się wobec nich tak, jak za-

- 220 -

chowuje się polityk prowadzący kampanię wyborczą. Od jednej z kobiet odebrał nawet dziecko i je pocałował.

Można go było wziąć za lwa przebranego dla zabawy za cyrkowego klauna. Miał płaski szeroki nos, ciemną — lecz nie czarną — skórę, pokrytą mnóstwem piegów, i bardzo czerwone wargi (dolna była ciemniejsza). Kroplił się na nich pot, który szef ochrony co jakiś czas zlizywał czubkiem różowego języka. Miał czujne spojrzenie, strzelające spod powiek, które gęsto pokrywały nabrzmiałe naczynia krwionośne.

Jednak mnóstwo rzeczy zupełnie do Codady nie pasowało. Na przykład biżuteria. Miał na sobie sporo złota: po dwie ciężkie bransolety na każdym z przegubów i dwa okazałe sygnety na palcach. Kiedy się uśmiechał, ukazywał rząd złotych zębów, a gdy chodził, pod jego koszulą pobrzękiwały kolejne złote łańcuchy, zawieszane na szyi.

Max uznał, że Codada nie posiada dosłownie ani jednej cechy osobowości, która predestynowałaby go do pracy w ochronie. Ludzie, którzy wykonywali taką robotę, bywali bardzo zamknięci w sobie i niezwykle dyskretni. Mówili mało, widzieli wszystko, myśleli i działali bardzo szybko. Codada był chodzącym zaprzeczeniem takich osób. Lubił zwracać na siebie uwagę. Ochroniarze, mieszając się z tłumem, w każdym widzieli potencjalne zagrożenie — lecz nie Codada. Był nawet źle ubrany.

Miał na sobie białe, przykrótkie spodnie, granatową kamizelkę i krzykliwy krawat w białe i rdzawoczerwone paski. Ochroniarze zwykle nosili stonowane kolory i proste garnitury, tymczasem Codada wystrojony był jak szef sali restauracyjnej na jakimś liniowcu pasażerskim, i to liniowcu przeznaczonym dla gejów.

Wsiedli do windy o ścianach wyłożonych lustrami i pojechali na piętro, gdzie mieścił się wydział klientów instytucjonalnych. Codada ustawił się w windzie w taki sposób, że przez cały czas mógł widzieć Chantale w trzech wymiarach. Jeśli Max jeszcze przed chwilą sądził, że Codada jest homoseksu-

221

alistą, to natychmiast porzucił to przypuszczenie. Przez kilka sekund, które spędzili w windzie, szef ochrony wręcz rozbierał wzrokiem Chantale. Szczególną uwagę poświęcał dekolтови, jednak nie koncentrował się wyłącznie na nim. Zanim dotarli na piętro, musiał się zorientować, że Max uważnie obserwuje jego zachowanie, bo omiótł spojrzeniem jeszcze tylko pośladki dziewczyny i lekko do niego mrugnął na znak, że mają wspólny obszar zainteresowania. Chantale niczego nie zauważyła.

Wydział klientów instytucjonalnych wyłożony był grubymi dywanami, chłodziła go klimatyzacja i lekko czuć go było plasteliną. Na korytarzu wisiały czarno-białe fotografie najważniejszych projektów i konstrukcji, których powstanie kredytował bank, od kościołów po supermarkety.

Codada przeprowadził gości przez liczne pokoje, w których po dwie, trzy osoby siedziały przed ekranami komputerów przy biurkach wyposażonych w telefony i dosłownie nic nie robiły. Właściwie na całym piętrze można było odnieść takie samo wrażenie. Wiele ekranów komputerowych było ciemnych, nie dzwoniły telefony, a niektórzy urzędnicy nawet nie próbowali udawać, że są czymś zajęci. Siedzieli za swoimi biurkami i prowadzili towarzyskie rozmowy albo po prostu czytali gazety. Max popatrzył na Chantale, oczekując od niej wyjaśnienia tego stanu rzeczy, ale dziewczyna mu go nie udzieliła. Tymczasem Codada trajkotał bez przerwy. Kilkoro bankowców oderwało się od swych miejsc i ruszyło w ślad za wycieczką. Niektórzy śmiali się głośno ze słów Codady, choć z tłumaczenia Chantale nie wynikało, żeby mówił cokolwiek śmiesznego.

Max powoli zaczynał rozumieć mentalność Gustava i jego postawę wobec miejscowych ludzi. Tkwiło w nich coś, co należało nienawidzić, ale zarazem coś, co należało głęboko podziwiać. Na następnym piętrze panowało trochę większe ożywienie. Zajmowano się tutaj kredytami hipotecznymi i pożyczkami. Rozkład biura był identyczny, ale Max parokrotnie usłyszał

222
dzwoniące telefony i stwierdził, że przy kilku komputerach ludzie naprawdę pracują. Codada wyjaśnił mu za pośrednictwem Chantale, że Haitańczycy wolą budować domy od podstaw niż kupować używane, od poprzednich właścicieli, zatem bardzo często potrzebują pomocy przy zakupie gruntów, zatrudnianiu architektów i ekip budowlanych.

Carverowie mieli swoje biura na najwyższym piętrze. Jadąc na nie, Codada tym razem skorzystał z luster w windzie, żeby poprawić na sobie garnitur i przygładzić włosy. Chantale złapała spojrzenie Maksa i uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo. Jej mina mówiła wszystko. Bez wątpienia chciała podzielić się z Maksem wiadomością, że uważa Codadę za skończonego dupka. Max dyskretnie poklepał się po czubku głowy.

Drzwi windy otworzyły się i wyszli z niej do obszernej recepcji, w której za mahoniowym biurkiem siedziała kobieta. Połowę recepcji zajmowała poczekalnia, w której stały niskie, czarne, skórzane kanapy, stoliki i chłodziarka z wodą do picia. W głębi spacerowali dwaj ochroniarze z uzi, w kamizelkach kuloodpornych. Codada wyprowadził Maksa i Chantale z windy i skierował się razem z nimi w lewo, ku ciężkim podwójnym drzwiom. Wystukał na klawiaturze umieszczonej we framudze kod dostępu. Ich ruchy śledziła mała kamera pod sufitem. Drzwi otworzyły się, ukazując korytarz, który prowadził do kolejnych podwójnych drzwi.

Znaleźli się przed gabinetem Gustava Carvera. Codada powiedział do interkomu nazwiska gości. Rozległ się cichy brzęczyk i drzwi się otworzyły.

Sekretarka Gustava, potężnej postury kobieta o jasnej skórze, już dobrze po czterdziestce, powitała Codadę zdawkowym skinieniem głowy.

Codada przedstawił jej Maksa, jednak nie przedstawił Maksowi sekretarki, przez co ten nie poznał jej imienia. Tabliczki z imieniem i nazwiskiem nie było również na jej biurku. Kobieta przywitała się z Maksem i grzecznie ukloniła.

- 223 -

Codada o coś ją zapytał i w odpowiedzi usłyszał „Non”. Podziękował jej i wyprowadził Maksa i Chantale z sekretariatu z powrotem na korytarz.

— Zapytał, czy może nam pokazać gabinet Gustava Carvera, jednak Jeane powiedziała „nie” — wyjaśniła Chantale szeptem.

— A co z Allainem?

— On jest wiceprezydentem banku. Jego biura są na parterze. Ominęliśmy je.

Codada sprowadził gości po schodach na parter. Tam Max podał mu dwieście dolarów amerykańskich, żeby je rozmiął na walutę haitańską. Codada popędził w kierunku kas, znowu witając się i posyłając całusy klientkom.

Wrócił po kilku minutach, trzymając w ręce pękatą brązową kopertę z gourde. Haitańska waluta uległa w wyniku inwazji i fatalnego stanu miejscowej gospodarki takiej dewaluacji, że jeden dolar wart był od pięćdziesięciu do stu gourde, zależnie od tego, w jakim banku dokonywało się wymiany. Banque Populaire oferował obecnie najlepszy kurs na Haiti.

Max wziął od Codady pieniądze i zaczął pobieżnie oglądać banknoty. Były wilgotne i tłuste i — mimo że z założenia wielokolorowe: niebieskie, zielone, purpurowe i czerwone — miały jedynie różne odcienie koloru brązowego. Im mniejszą wartość przedstawiały (zaczynały się od pięciu gourde), tym były bardziej zniszczone. Najwyższe nominały, czyli pięćsetki, były nawet w dobrym stanie, całkowicie czytelne. Wszystkie ostro śmierdziały spleśniałym serem.

Codada przeprowadził Maksa i Chantale przez obrotowe drzwi, po czym zaczął się z nimi żegnać. Kiedy wymieniali na schodach ostatnie słowa, z banku wyszli mężczyźni z walizkami, tym razem pustymi. Na ich widok Codada przerwał pożegnanie i pozdrowił mężczyzn serdecznie, a jednego z nich nawet objął na chwilę w płu.

Max i Chantale wrócili do samochodu.

— No i co? — zapytała dziewczyna.

— Gustav to wielkoduszny człowiek — stwierdził Max.

— Niby dlaczego?

— Wielu ludziom płaci za to, że praktycznie nic nie robią.

Max chciał jeszcze dodać swoją opinię o szefie ochrony, jednak tego nie zrobił. Osądzanie człowieka na podstawie pierwszego wrażenia nigdy nie przynosiło niczego dobrego.

— Gustav rozumie mentalność Haitańczyków: zrób coś kiedyś dla kogoś, a zyskasz przyjaciela na całe życie. Wszyscy się trzymamy tej zasady — odparła Chantale.

— Rozumiem, że to działa w dwóch kierunkach.

— Tak, oczywiście. Czasami robimy dodatkową miłą, żeby pomóc przyjacielowi w potrzebie, ale potrafimy zrobić i dwadzieścia, żeby go zakopać po śmierci.

18

Pojechali na Boulevard des Veuves, skąd porwano Charliego.

Zaparkowali i wysiedli z samochodu. Upalne powietrze natychmiast otoczyło Maksa cienką warstwą roztopionej lawy, piekąc jego skórę i gotując mu wnętrzności. Od razu zaczął się pocić, a jego koszula w jednej chwili stała się wilgotna. Bliżej wybrzeża gorące powietrze schładzały poddmuchy wiatru znad morza, jednak dalej na wyspie było ono potwornie rozżarzone, nieruchome i suche jak pieprz.

Chodniki ułożono wysoko ponad gruntem. Ich nawierzchnie były gładkie i śliskie jak lód i — dzięki miliardom wydeptujących je stóp oraz całym dekadom zaniedbania — odbijały promienie słońca równie intensywnie jak lustra. Max i Chantale bardzo powoli ruszyli przed siebie zatłoczonym bulwarem, pełnym ludzi, którzy coś sprzedawali, czymś się wymieniali, coś kupowali albo też po prostu kręcili się bez celu czy rozmawiali. Max słyszał, jak na suchym betonie skrzy-

- 224 -

- 225 -

pią jego gumowe podeszwy. W zasięgu wzroku każdy mniej lub bardziej otwarcie przypatrywał się jemu i dziewczynie. Szczególnie zaciekawione spojrzenia kierowały się ku niemu — był tutaj po prostu nietypowym eksponatem i obserwowano go z wielkim niedowierzaniem. Na szczęście w ścigających go spojrzeniach nie było ani tej podejrzliwości, ani nienawiści, których doświadczał, kiedy przechodził przez getto w Miami. Pamiętając o tym, co przydarzyło mu się kilka godzin temu, unikał kontaktu wzrokowego z Haitańczykami. Ci, którzy pojawiali się naprzeciwko niego, ustępowali mu z drogi, schodząc z chodnika na jezdnię, jedynie trochę mniej zatłoczoną.

Gdyby nie wiedział, że miasto jest niemal doszczętnie splądrowane i oddycha resztkami sił, odniósłby wrażenie, że znalazł się w wyjątkowo złej dzielnicy. Jezdnia Boulevard des Vauves została kiedyś wybrukowana kamieniami w kształcie sześćcio-kątów. W tej chwili pozostały na niej tylko te najbliższe krawężników. Wszystkie inne były powyrywane, niektóre czysto, fachowo, inne byle jak, naprędce, przez co na ziemi pozostało mnóstwo bezkształtnych kawałów betonu. Co dwa jardy czaiła się jakaś dziura, a co cztery albo pięć droga zapadała się, tworząc wielkie, śmierdzące kanały, pełne czarnych much. Kanały te wzmagały fetor, dochodzący z otwartych toalet publicznych, w których mężczyźni, kobiety i dzieci załatwiali swoje potrzeby, absolutnie nie przejmując się mijającymi ich tłumami. W powietrzu unosił się odór gówna, stęchłej wody, zgniłych owoców i warzyw oraz butwiejącej zwierzęcej padliny.

Wszechobecny pył wdierał się w każdą szczelinę i przylegał do każdej powierzchni. Spływał na miasto z gór, które kręgiem otaczały stolicę. Kiedyś były gęsto zalesione, jednak kolejne generacje Haitańczyków wycinały rosnące na nich drzewa, przerabiając je na domy, wozy i zużywając na podpałkę. Gdy góry pozostały nagie i bezbronne, słońce wysuszyło zdrową i żyzną kiedyś ziemię, a wiatry zaczęły wywiewać ją w twarze miesz-

kańców wyspy. Kiedy Max posmakował tej ziemi językiem, od razu wiedział, że gdyby jeszcze zamknął oczy, poczułby smak tego, co zasnąłby, gdyby go zakopano żywcem w tym cholernym, pieprzonym, zapomnianym przez Boga miejscu.

Twarcz Charliego spoglądała z czarno-białych plakatów, porozwieszanych dosłownie wszędzie. Oferowano na nich nagrodę pieniężną za wszelkie informacje dotyczące porwania, i konkurowały one z kolorowymi posterami, na których zachwalano koncerty haitańskich artystów w Miami, na Martynice, Gwadelupie i w Nowym Jorku.

Max zerwał jeden z plakatów z Charliem, aby móc pokazywać go ludziom. Zauważył na lewym marginesie mały znak wykonany odręcznie — krzyż, lekko zakrzywiony pośrodku, z okrągłym szczytem i rozdzieloną podstawą. Brakowało w nim dwóch trzecich prawej poprzecznej części. Zaczął oglądać inne plakaty z chłopcem i stwierdził, że identyczne symbole widnieją na wszystkich.

Zwrócił na to uwagę Chantale.

— Pan Klarnet — powiedziała.

Przystąpił do poszukiwania świadków porwania Charliego. Zaczęli od sklepów—najpierw małych składów z żywnością, bez klimatyzacji, z byle jak wyciosanymi półkami z drewna, a potem wchodzili do sklepików z glinianymi naczyniami i sztucami, piekarni, sklepów mięsnych, w których z haków zwisały pojedyncze, żałośnie chude kurczaki, albo do takich, w których oferowano jedynie używane części samochodowe czy wyłącznie jaskrawobiałe kurze jajka. W każdym miejscu otrzymywali identyczną odpowiedź: *Mpas weh en rien* — Niczego nie widziałem, niczego nie widziałam.

Następnie zaczęli wypytywać ludzi na ulicy. Polegało to na tym, że Chantale zagadywała przechodniów, pokazując im plakat.

Ale nikt niczego nie widział. Nagabywani kręcili przecząco głowami, potrząsali ramionami i odpowiadali jakimiś monosy-

- 226 -

- 227 -

labami, pomrukami. Max stał i patrzył, obserwując przepytanych ludzi oczyma detektywa, poszukując w ich zachowaniu śladów, które by świadczyły o wybujałej wyobraźni lub o tym, że kłamia. Widział jednak tylko zmęczone twarze niewyspanych mężczyzn i kobiet w nieokreślonym wieku, zakłopotanych zainteresowaniem białego mężczyzny i kobiety o jasnej skórze.

Po ponad godzinie takiego bezowocnego przepytывania Max pomyślał, że trzeba w końcu znaleźć szewca, o którym wspomniała Francesca. Przez cały czas wypatrywał szyldu, ale bez skutku. Być może już minęli to miejsce, a może szewc po prostu zamknął interes. W końcu niemal połowa ludzi, których mijali, była bosa, o stopach tak grubych i zniekształconych, że zaczynał wątpić, czy kiedykolwiek nosili buty.

Skierowali się z powrotem do samochodu. W pobliżu stary człowiek sprzedawał lody z przenośnej lodówki ustawionej na drewnianym wózku. Oferował też butelki z różnobarwnym syropem.

Ujrzawszy go, Max od razu wiedział, że starzec na nich czeka. Natknął się na niego wzrokiem już kilkakrotnie. Starzec zawsze znajdował się na pograniczu jego pola widzenia, niby to zainteresowany wyłącznie swoim wózkiem, jednak przez cały czas czujny, bez wątplenia szukający dogodnej sposobności do rozmowy.

Zaczął mówić natychmiast, kiedy Max do niego podszedł. Podejrzewając, że stary chce, wietrząc bogatego klienta, jedynie sprzedać mu trochę nie wiadomo czym zanieczyszczonych napojów chłodzących, Max ze zniecierpliwieniem machnął na niego ręką.

— Myślę, że warto go posłuchać, Max — odezwała się Chan-tale. — Opowiada o porwaniu.

Starzec powiedział, że widział, jak to się wydarzyło, ponieważ wszystko odbywało się blisko jego

wózka, tyle że po przeciwnej stronie jezdni. Jego wersja wydarzeń korespondowała z opowieścią Franceski. Faustin zatrzymał samochód na jezdni i długo czekał. A potem głośno krzychał na obie kobiety, które znajdowały się wewnątrz pojazdu.

Lecz wtedy dookoła samochodu zaczął się gromadzić tłum. Faustin opuścił szybę i powiedział ludziom, żeby pilnowali swoich interesów i się rozeszli. Ponieważ nikt się nie poruszył, wyciągnął pistolet i strzelił kilka razy w powietrze. Kiedy Faustin strzelał, Rose niespodziewanie zaatakowała jego twarz od tyłu i próbowała wydrapać mu oczy. Wtedy strzelił także do niej.

Wielu ludzi zdążyło już rozpoznać Faustina. Tłum zaatakował samochód maczetami, nożami, pałkami i kamieniami. Rozbito szyby w oknach, przewrócono go na dach i zaczęło się plądrowanie. Starzec powiedział, że uczestniczyło w tym około trzystu osób.

Tłum wyszarpnął Faustina na zewnątrz. Był cały zakrwawiony, ale wciąż żył i błagał, żeby mu darowano życie. Jednak nikt na to nie zważał. Jego ciało przerobiono na przysłowiowy siekany kotlet. Kiedy tłum w końcu się rozpierzchnął, pozostała z niego kupka ścierwa, wnętrzości i krew, nogi i ręce były podrywane i pokryte resztkami ubrania. Starzec pamiętał, że ludzie się śmiali, odcinając Faustinowi głowę. Potem nadziali ją na kij i pobiegli z nią w kierunku La Saline. Faustin miał niewiarygodnie wielki język — równie duży jak język krowy albo osła. Tłum próbował mu go wyrwać, podobnie jak oczy, ale tkwił na miejscu tak mocno, że wreszcie z tego zrezygnowano. Kiedy ludzie biegli z odciętą głową Faustina do slumsów, śpiewając i tańcząc przez całą drogę, język powiewał jak chorągiewka.

Sprzedawca lodów nie bardzo wiedział, co stało się później. Ludzie, którzy zostali na miejscu, zaczęli rozrywać samochód na kawałki. Wtedy nadjechały trzy dżipy, a w nich Vincent Paul ze swoimi ludźmi — i tłum natychmiast się rozpierzchnął. Paul zaczął krzyczeć, biegać po ulicy; pytał, gdzie jest chłopiec i kobieta. Ktoś wskazał w kierunku, gdzie zniknęła ga-wiedź z głową Faustina. Ludzie Paula załadowali zwłoki Rose na jeden z dżipów i odjechali z piskiem opon.

- 228 -

- 229 -

Starzec powiedział, że już nic więcej nie wie. Incydent zdarzył się kilka dni przed najazdem na wyspę amerykańskich wojsk, twierdził. Wtedy haitańska armia i milicja przeczesywały najbiedniejsze przedmieścia, strzelały na oślep i podpalały niektóre domy. W atmosferze nienawiści i strachu wydarzyło się wiele okropnych rzeczy.

Max podziękował staremu człowiekowi i dał mu pięćset gourde. Sprzedawca lodów popatrzył na pieniądze i potrząsnął ręką Maksa. Obiecał mu, że kiedy tylko pójdzie do kościoła, złoży w jego imieniu ofiarę i się za niego pomodli.

19

Stara kobieta, tak jak ją opisała Francesca, miała na sobie wyblakłą różową suknię i siedziała na ławce przed warsztatem szewskim na samym końcu Boulevard des Veuves. Warsztat znajdował się w budynku, którego frontowa ściana ozdobiona była malowidłem przedstawiającym czarnoskórego mężczyznę w drelichowym kombinezonie i w białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Mężczyzna podzelał jakiś but, a tymczasem bosa dziecko wpatrywało się w anioła stojącego pomiędzy nim a czarnoskórym szewcem. Malowidło było jedyną wskazówką sugerującą, co się znajduje wewnątrz. Za drzwiami do budynku, chociaż szeroko otwartymi, panowała nieprzenikniona ciemność, mimo że na dworze było bardzo jasno. Wisiał na nich plakat z podobizną Charliego. Kiedy weszli z Maksem do środka, Chantale szybko powiedziała kobiecie przebywającej w warsztacie, kim są i o co im chodzi. Kobieta poprosiła Chantale, żeby się do niej zbliżyła i mówiła prosto do jej ucha. Max wcale się nie zdziwił tą prośbą. On sam ledwie słyszał słowa dziewczyny ponad odgłosami ulicy: krzykami ludzi, warkotem samochodów i bezustannym ujadaniem klaksonów.

Kobieta wysłuchiwała Chantale uważnie i odparła głośno w taki sposób, jak robią to zwykle ludzie niedosłyszający.

— Mówi, że widziała, co się stało — przetłumaczyła Chantale. — Akurat wtedy tutaj była.

— I co widziała? — zapytał Max, a Chantale zaraz przetłumaczyła odpowiedź.

— Mówi, że słyszała, że płacisz ludziom za ich wspomnienia.

Kobieta uśmiechnęła się i pokazała Maksowi to, co pozostało z jej użębienia: dwa krzywe brązowe kikuty wyglądające bardziej na fragment szczęki złego psa niż człowieka. Popatrzyła przez ramię w kierunku otwartych drzwi, po czym pokiwała głową i zerkając to na Maksa, to na Chantale, zaczęła mówić coś cichym głosem. Nie trwało to długo. Na twarzy Chantale pojawił się krzywy uśmiezek. Dopiero po chwili przetłumaczyła Maksowi, co usłyszała.

— Ona chce więcej niż zapłaciłeś temu poprzedniemu mężczyźnie.

— Dostanie więcej, jeżeli to, co powie, okaże się prawdą i będzie miało jakąś wartość.

Usłyszawszy te słowa z ust Chantale, kobieta roześmiała się głośno. Wyciągniętym palcem wskazała na drugą stronę bulwaru, gdzie ktoś także powiesił plakat z podobizną Charliego.

— On tam właśnie był — oznajmiła Maksowi za pośrednictwem Chantale.

— Kto? — zapytał Max.

— Wielki człowiek... Największy człowiek. Vincent Paul?

— Widziałas go kiedykolwiek przedtem?

— Nie.

— A potem?

— Nie.

— Znasz Vincenta Paula?

— Nie.

- 230 -

- 231 -

— Jak ludzie nazywają tego człowieka? — zapytał Max.

— Le Roi Soleil? — zasugerowała Chantale, ale reakcją było pełne zaskoczenia spojrzenie kobiety. Nie miała pojęcia, o co chodzi Chantale.

— Dobrze. Ten mężczyzna. Co on robił?

— Biegł — padła odpowiedź. Kobieta znowu popatrzyła na plakat i dodała: — Biegł z tym chłopcem.

— Z tym chłopcem? — powtórzył Max i wskazał ręką na podobiznę Charliego. — Jesteś pewna?

— Tak — odpowiedziała kobieta. — Mężczyzna przełożył go sobie przez ramię, jak worek z węglem. Chłopiec kopał i wymachiwał ramionami.

— Co się stało potem?

Kobieta znowu pokazała Maksowi brązowe kły. Max sięgnął do kieszeni i pokazał jej z kolei zwitek przetłuszczonych gourde. Kobieta wyciągnęła rękę i wykonała palcami ruchy, które były jednoznaczne: zapłać mi.

Max z uśmiechem potrząsnął przecząco głową. Na migi pokazał kobiecie, że owszem zapłaci, ale najpierw musi usłyszeć coś więcej.

Teraz z kolei uśmiechnęła się kobieta i nagle wybuchła śmiechem. Zwracając się do Chantale, zrobiła jakąś uwagę na temat Maksa. Chantale jej nie przetłumaczyła, ale słowa kobiety wyraźnie ją rozbawiły.

Ich rozmówczyni bez wątpienia miała już ponad siedemdziesiąt lat. Jej włosy — chociaż niewiele ich wystawało spod szerokiej chusty, jaką zawiązała na głowie — były siwiuteńkie. Podobnie jak rzadkie brwi. Nos miała płaski jak u boksera, a oczy, którymi spoglądała na Maksa, odrobinę ciemniejszej barwy niż skóra. Białka jej oczu były beżowe.

— Od Cite Soleil nadjechał samochód — powiedziała, wskazując ręką kierunek. — Wielki człowiek wsiadł z chłopcem do środka i pojechali.

— Widziałas kierowcę?

- 232 -

— Nie. Samochód miał czarne okna.

— Co to był za samochód?

— Bardzo ładny. Z pewnością należał do bogatej osoby — przetłumaczyła Chantale.

— Czy ona może mówić jaśniej? Czy samochód był duży? Jakiego był koloru?

— Ciemny samochód z ciemnymi szybami — powiedziała Chantale. Tymczasem kobieta

kontynuowała. — Mówi, że widywała go tutaj wcześniej, przed tym zdarzeniem przynajmniej kilka razy. Zawsze jedynie przejeżdżał bulwarem.

— A czy widziała go później, po porwaniu chłopca?

Chantale przetłumaczyła pytanie. Kobieta odparła, że później samochodu już nie widziała i że jest zmęczona, ponieważ sięganie pamięcią tak daleko wstecz bardzo ją wyczerpuje.

Max wypłacił jej osiemset gourde. Kobieta szybko przeliczyła pieniądze i mrugnęła do niego, jakby od tej chwili oboje mieli jakiś wspólny sekret. Następnie szybko podzieliła banknoty. Największy, o nominale pięciuset gourde, wsunęła pod suknię, a resztę umieściła w bucie szybkimi, wprawnymi ruchami. Max popatrzył na wyblakły i poplamiony przód jej sukni, a później na buty. Były nie do pary, miały różne rozmiary i różne kolory. Jeden był kiedyś czarny, obecnie raczej szary, drugi zapewne czerwono-brązowy, z metalową sprzączką. Buty były małe, tak jak nogi kobiety, i gdyby Max nie zobaczył tego na własne oczy, przysięgłby, że nie sposób pomieścić w nich tak grubego zwitka banknotów.

Max zerknął przez framugę w kierunku drugiego pomieszczenia. W środku panowała nieprzenikniona ciemność i nie dobiegał stamtąd żaden odgłos. Gotów był jednak przysiąc, że ktoś tam się znajduje i uważnie go obserwuje.

— Warsztat jest zamknięty — powiedziała stara kobieta, jakby czytając w myślach Maksa. — Teraz wszystko jedynie zamykamy.

- 233 -

I

20

— No i co o tym myślisz? Czy to Vincent Paul porwał Char-liego?

— Nie wiem — odparł Max. — Nie mam żadnych dowodów, które by przemawiały za czy też przeciw.

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym na Rue du Dr Aubry, popijając wodę z butelek, które Max zabrał na drogę w przenośnej lodówce.

Chantale popijała wodę, żując jednocześnie gumę o smaku cynamonowym. Minał ich jakiś dzimp z emblematami ONZ.

— Vincenta Paula obwinia się o wszystko, co się tutaj dzieje — powiedziała Chantale. — O każde przestępstwo. Obrabowano bank? Vincent Paul. Skradziono samochód? A któż inny mógł to zrobić, jak nie Vincent Paul? Włamanie do domu? Vincent Paul. A to wszystko gówna prawda. To nie są jego sprawy. Tutejsi ludzie są tak beznadziejnie tępi, tacy żałośni, przerażeni, cholernie zacofani... Wierzą, w co chcą wierzyć, nieważne, jakie to jest głupie i bezsensowne. I to wcale nie dotyczy tylko niepiśmiennych mas, ale także wykształconych ludzi, którzy powinni być chociaż trochę mądrzejsi, ludzie, którzy prowadzą tu interesy, takich samych jak ci, którzy rządzą tym krajem.

— Cóż, sądząc po tym, co tutaj widzę, zacofanie rządzących mnie nie zaskakuje. — Max zachichotał. — Chantale, co o nim sądzisz, o tym Vincencie Paulu?

— Uważam, że jest zamieszany w coś bardzo poważnego, potężnego.

— Handel narkotykami?

— A cóżby innego? Przecież wiesz, że Clinton odsyła do nas kryminalistów rodem z Haiti? Vincent Paul zawsze posyła po takich typów samochody na lotnisko.

— I dokąd ich zabiera?

— Do Cite Soleil, do slumsów, o których ci wczoraj opowiadałam.

— „Ten, kto włada Sitay Sol-ay, włada krajem”. Czy to nie leci właśnie tak? — zapytał Max, przypomniawszy sobie wczorajsze słowa Huxleya.

— Imponujesz mi. — Chantale uśmiechnęła się i podała mu butelkę z wodą. — Ale co ty właściwie wiesz o tym miejscu?

— Co nieco — odparł Max i powtórzył dziewczynie większość tego, co usłyszał od Huxleya.

— Nigdy nie chodź tam bez przewodnika. No i bez maski gazowej. Wystarczy, że tam wejdiesz, a jesteś zgubiony. Jeśli nie zabiją cię ludzie, zrobi to powietrze.

— Zabierzesz mnie tam?

— Nie ma mowy! W ogóle nie znam Cite Soleil i wcale nie chcę poznać — powiedziała Chantale

niemal ze złością.

— To niedobrze, ponieważ chciałbym tam jutro pojechać. Muszę się rozejrzeć.

— Niczego tam nie znajdziesz. Zwłaszcza jeśli tak po prostu tam wjedziesz. Musiałbyś dokładnie wiedzieć, o co ci chodzi.

— Pewnie mówisz prawdę. — Max się roześmiał. — No, cóż, pojedę sam do Cité Soleil. Powiesz mi tylko, jak tam dotrzeć. Nic mi się nie stanie. — Chantale miała niewyraźną minę. — Nie bój się, nie powiem twojemu szefowi.

Chantale uśmiechnęła się. Wypiła łyk wody i oblizała wargi-

—Możesz mi powiedzieć coś jeszcze o Vincencie Paulu? Na przykład o jego relacjach z Carverami? — zapytał Max.

— Gustav doprowadził do bankructwa jego ojca. Perry Paul był poważnym hurtownikiem. Prowadził mnóstwo lukratywnych interesów z Wenezuelczykami i Kubańczykami. Wiele rzeczy sprzedawał im po bardzo niskich cenach. Gustav wykorzystał swoje wpływy w kręgach rządowych, żeby wyrugować go z interesów. Kiedy Perry stracił wszystko, zastrzelił się. Vincent był akurat wtedy w Anglii. Był bardzo młody,

- 234 -

- 235 -

jednak nienawiść jest u nas cechą genetyczną. Nienawidzą się czasem całe rodziny tylko dlatego, że jeden pradziad wyrządził innemu pradziadowi jakąś krzywdę, prawdziwą czy domniemaną.

— Co za burdel.

— Takie jest Haiti.

— Co Vincent robił w Anglii?

— Uczył się. W szkole średniej, a potem w college'u. Max przypomniał sobie angielski akcent mężczyzny poprzedniej nocy.

— Spotkałaś go kiedykolwiek? — zapytał.

— Nie. — Chantale roześmiała się. — Opowiadam ci tylko o tym, co sama słyszałam, co mi opowiadano. To nie są fakty, za których autentyczność mogłabym ręczyć.

Max zanotował coś w notatniku.

— Dokąd teraz, detektywie?

— Do Roo Doo Chumps Da Mars.

— Rue du Champs de Mars — poprawiła Chantale.—A tam po co?

— Do Feliusa Dofoora.

Chantale nie zareagowała. Kiedy Max na nią spojrział, spostrzegł, że jest blada i przestraszona.

— O co chodzi? — zapytał.

— Chcesz jechać do Filiusa Dufoura? Le grand voyant?

— Co znaczy to ostatnie słowo w ludzkim języku?

— Prawdziwej władzy w naszym kraju nie mają ani politycy, ani Carverowie, nie ma jej nawet wasz prezydent. Faktycznie rządzą nim tacy ludzie jak ten, z którym zamierzasz się spotkać. Filius Dufour był osobistym wróżbitą Papy Doca. Duvalier nigdy nie podjął żadnej ważnej decyzji, uprzednio się z nim nie skonsultowawszy. — Chantale obniżyła głos, jakby się bała, że jej następne słowa mógłby usłyszeć ktoś postronny. — Widzisz, Papa Doc umarł przynajmniej dwa miesiące wcześniej niż ogłoszono to publicznie. Tak się bał, że wrogowie odkryją

236 -

jego zwłoki i złapią jego ducha, że rozkazał, aby pochowano go w tajemnicy, w sekretnym miejscu. Aż do dzisiaj nikt nie zna tego miejsca; poza Filiusem Dufourem. Mówi się, że to on przeprowadził ceremonię pogrzebową. Mówi się też, że doprowadził do ślubu Baby Doca z własną matką, w dniu śmierci Papy Doca, pod świętymi wodospadami. Był to rzadki rytuał voodoo. Tylko niewielu ludzi na świecie potrafi go jeszcze wykonywać. Polega on na przekazywaniu mocy ojca synowi. Po tym, jak Duvalierowie stracili władzę, wszyscy związani z nimi ludzie albo uciekli z kraju, albo zostali uwięzieni, albo zabici — wszyscy, z wyjątkiem Filiusa Dufoura. Nic złego mu się nie przydarzyło. Wszyscy się go boją, boją się jego mocy.

— Myślałem, że on po prostu jest kapłanem voodoo.

— Hounganem? Nie. Voyant to jakby wróżbita, ktoś, kto przepowiada przyszłość, ale jego moc jest znacznie większa. Jeśli bardzo zależy ci na kobiecie, która jest dla ciebie niedostępna, na przykład szczęśliwie zamężna i nie zwraca na ciebie uwagi, możesz iść do houngana, a on postara się rozwiązać problem po twojej myśli.

— Jak?

— Poprzez zaklęcia, modlitwy, śpiewy i ofiary błagalne. Taka sprawa jest zawsze bardzo osobista, nieformalna i wszystko zależy w niej od samego houngana. Ceremonia obejmuje czasami bardzo obrzydliwe rytuały, jak na przykład gotowanie tamponów kobiety albo picie jej wydzielin.

— I to działa?

— Jeszcze nie słyszałam o nikim, kto by tego próbował. — Chantale roześmiała się. — Widziałam już jednak mnóstwo okropnych mężczyzn, parujących po wyspie z pięknymi kobietami, sam więc wyciągnij wnioski.

— Co taki facet, jak mu tam...

— Voyant. Oni nie mają nic wspólnego z voodoo, ale jeśli powiesz to komuś spoza Haiti, i tak ci nie uwierzy. — Chantale obrzuciła Maksa badawczym spojrzeniem, jakby chcia-

- 237 -

ła się upewnić, czy bierze jej słowa poważnie. Z zadowoleniem zauważyła, że starannie coś zapisuje. — Wróżbici żyją na całym świecie, czytają z kart tarota, z dłoni, wróżą cyganki i różne media. Voyanci są do nich podobni, ale to grupa znacznie poważniejsza. Nie stosują żadnych chwytów. Nie potrzebują ich. Przychodzi się do takiego kogoś z konkretnym problemem. Na przykład, za miesiąc się żenisz i masz wątpliwości. Voyant patrzy na ciebie i mówi ci, długimi zdaniami, co nastąpi po ślubie. Prowadzicie spokojną rozmowę. Nigdy nie dowiesz się od voyanta, co masz zrobić, on po prostu odsłania przed tobą przyszłość i pozwala, żebyś sam decydował, co dalej.

— Taka gorąca linia telefoniczna? W Ameryce to sporo kosztuje.

— Jasne. Ale wielcy voyantowie — na całym Haiti jest pewnie dwóch, a Filius Dufour ma wprost niewyobrażalną potęgę — mogą zmieniać przyszłość. Jeśli nie spodoba ci się to, co usłyszysz, wielki voyant może porozmawiać bezpośrednio z duchami. Może dochodzić z nimi do porozumienia.

— Porozumienia?

— Tak. Nie wierzysz?

— Rozumiem, że cała ta zabawa przynosi efekty tylko wtedy, gdy zainteresowana osoba wierzy w magię, o której mi właśnie opowiedziałaś?

— To działa również w przypadku niewierzących. Na przykład voyant sprawia, że od kogoś odchodzi żona, spadają na niego inne nieszczęścia. I mężczyzna nie wie, dlaczego. Przecież żyli z żoną zgodnie przez piętnaście lat, a tymczasem ona okazuje się nagle najgorszym wrogiem swojego męża. Na dodatek ich córka zachodzi w ciążę, i tak dalej.

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— Moja mama jest mambo — kapłanką. Kiedy miała trzynaście lat, przeszła u Filiusa Dufoura inicjację. Zresztą ja także.

238

— Jak?

— Na specjalnej ceremonii.

Max popatrzył na dziewczynę, ale niczego nie wyczytał z jej twarzy.

— Jak to się odbyło?

— Mama dała mi coś do wypicia. Kiedy się napiłam, opuściłam własne ciało, patrzyłam na wszystko z góry. Nie z bardzo wysoka, lecz z wysokości kilku stóp. Wiesz, jak wygląda ciało w oczach człowieka, który je opuścił?

Max potrząsnął przecząco głową. Nie przeżył niczego podobnego, nawet kiedy był naćpany w trupa kolumbijską albo jamajską trawką.

— Jak winogrona, które spadły z gałęzi, pomarszczone, wklęsłe, obwisłe, nawet u tak młodej osoby, jak ja wtedy.

— I co dalej?

— Nie to, co myślisz — odparła Chantale, bezbłędnie odgadując jego przypuszczenia. — Nasza religia może jest prymitywna, ale nie jest okrutna.

Max pokiwał głową.

— Kiedy widziałaś Dufoura po raz ostatni?

— Od tamtego dnia w ogóle go nie widziałam. A ty czego od niego chcesz?

— To część mojego śledztwa.

— Ale...

— Sprawa poufna — odparł Max ostro.

— Rozumiem — mruknęła niechętnie Chantale. — Właśnie powiedziałam ci coś bardzo osobistego, coś, czego nie rozpowiadam dookoła, a ty mi nie chcesz powiedzieć...

— Opowiedziałas to z własnej woli, nie zmuszałem cię — zauważył Max i natychmiast pożałował swoich słów. Zachował się jak dupek.

— Czułam, że powinieneś to wiedzieć — odrzekła Chantale cicho.

— Dlaczego?

239

— Po prostu. Bo masz w sobie coś takiego, że łatwo powierzać ci najskrytsze tajemnice. Bo słuchasz i nie osądzasz.

— Pewnie mi to zostało z lat, kiedy byłem gliną. Chantale nie miała racji. Zawsze osądzał to, co usłyszał.

Dziewczyna jednak z nim flirtowała, delikatnie, płytko, nie mówiła na razie nic, czemu później by musiała zaprzeczać. Sandra zaczynała w taki sam sposób, delikatnie dawała do zrozumienia, że jest nim zainteresowana, jednak dopóki nie była pewna jego wzajemności, mógł to tylko odgadywać. Nie wiedział, jak się zachowa, jeśli sprawy z Chantale zabrną dalej. Postanowił na razie się nad tym nie zastanawiać.

— Dobra, Chantale. Powiem ci. Charlie Carver przez sześć ostatnich miesięcy poprzedzających jego zniknięcie odwiedzał Filiusa Dufoura każdego tygodnia. W dniu porwania także jechał właśnie do niego.

— Cóż, jedźmy tam więc także i my — powiedziała Chantale i włączyła silnik.

21

Rue Boyer było kiedyś zamkniętym i strzeżonym osiedlem

0 domkach ślicznych jak pierniki, stojących za rzędami palm kokosowych i hibiskusów. W czasie swojego panowania Papa Doc lokował tutaj własne kochanki, tymczasem Baby Doc zamienił dwa domy w ekskluzywne burdele, w których aż roiło się od blondwłosych prostytutek z Los Angeles, gotowych za pięćset dolarów za godzinę zabawiać szefów kolumbijskich karteli, przyjeżdżających na Haiti w celu kontrolowania procesu dystrybucji narkotyków i sprawdzania, czy odpowiednie kwoty lądują na kontach w miejscowych bankach. Kochanki i kurwy uciekły z wyspy wraz z upadkiem reżimu Duvalie-rów, a następnie masy uznały domy i okoliczne ulice za swoją własność. Najpierw więc wszystkie domy zostały splądrowane od piwnic po strychy, a potem wprowadzili się do nich dzicy lokatorzy. Mieszkali w nich aż do teraz.

Max nie potrafił zrozumieć, dlaczego Dufour postanowił tutaj pozostać. Główna droga prowadząca do osiedla była w ruinie, wyglądała jak ulica w getcie albo zapomniana aleja w jakimś zaniedbanym parku.

Przejechali przez pozostałości bramy wjazdowej — pod żelazną konstrukcją, popękaną i zniekształconą. Jej skrzydła zwiślały żałośnie na naderwanych zawiasach. Dalej wiodła ulica niewiele różniąca się od innych na Haiti. Straszły na niej dziury czy wręcz kratery, nierówności i przeszkody, a z kolei domy po obu stronach — kiedyś imponujące, eleganckie, dwupiętrowe konstrukcje — były teraz ciemnymi symetrycznymi plamami wśród wybujałej, niepielęgowanej roślinności, pozbawionymi wszelkich ozdób, żalonymi z racji błyskawicznej utraty jeszcze niedawno świetnego statusu. Obecnie nadawały się tylko do wyburzenia. Ale były nowymi domami dla ludzi z małych wiosek, starych i bardzo młodych, jednak niemal identycznie ubranych w

łachmany, które ledwie zakrywały ich intymne miejsca i czasami pozwalały na zorientowanie się w ich płci. Ci ludzie jak jeden mąż ruszyli za przejeżdżającym samochodem, a niemal we wszystkich oknach pojawiły się zaciekawione twarze o pustych i jakby wystraszonych spojrzeniach.

Dufour mieszkał w ostatnim domu przy ulicy, która w końcu okazała się ślepyim zaułkiem. Dom ten całkowicie różnił się od pozostałych. Miał różowe mury, ozdobne balkony i białe okiennice, wszystkie starannie zamknięte. Przed domem rozpościerał się zadbane zielony trawnik, a do stopni wiodących na werandę prowadziła kamienna ścieżka, wzdłuż której rosły kolorowe kwiaty.

Na ulicy bawiło się mniej więcej dziesięcioro dzieci. Kiedy Max i Chantale wysiedli z samochodu, wszystkie przerwały zabawę i zaczęły ich obserwować.

- 240 -

- 241 -

Max usłyszał za sobą jakiś gwizd. Zobaczył, jak mały chłopiec biegnie szybko przez trawnik i po chwili znika za załomem domu.

Kiedy ruszyli ścieżką, dzieci z ulicy zbiły się w gromadę i stanawszy na ich drodze, zablokowały przejście. Wszystkie miały w dłoniach kamienie.

W przeciwieństwie do innych dzieci, jakie Max widział na ulicach, te były starannie ubrane, na nogach miały buty i w ogóle wyglądały na zdrowe i czyste. Żadne z nich nie mogło mieć więcej niż osiem lat, ale na ich twarzach rysowała się stanowczość, doświadczenie i mądrość znacznie starszych osób. Max próbował uśmiechnąć się rozbijając do jednej z dziewczynek, z kokardkami we włosach, ta posłała mu jednak tylko dzikie spojrzenie.

Chantale usiłowała przemówić do dzieci, żadne jednak ani jej nie odpowiedziało, ani się nie poruszyło. Ich palce mocniej się zacisnęły na kamieniach, młodzieńskie sylwetki napięły się i aż zadrżały z nienawiści. Max popatrzył na ziemię i zrozumiał, że w razie potrzeby dzieciaki miały mnóstwo gotowej amunicji.

Ujął Chantale za ramię i razem z nią cofnął się o kilka kroków.

Niespodziewanie oboje usłyszeli kolejny gwizd, tym razem dochodzący z domu. Chłopak, który przed chwilą za nim zniknął, teraz wrócił i coś głośno wykrzykiwał. Chantale odetchnęła z ulgą. Dzieci porzuciły kamienie i wróciły do zabawy.

22

Drzwi otworzyła im nastoletnia dziewczynka z aparatem korekcyjnym na zębach. Wpuściła ich do środka i gestem nakazała, żeby poczekali w holu, o podłodze z żółtych i zielonych płytek. Sama natomiast pobiegła szerokimi scho-

242

dami, wyłożonymi grubym dywanem, które prowadziły na półpiętro.

Po strasznym upale na zewnątrz dom początkowo wydał się przyjemnie chłodny, ale wkrótce ten chłód dał się odczuć jako nieprzyjemny ziąb. Chantale potarła ramiona, żeby się rozgrzać.

Hol oświetlały tylko małe okienka w suficie i nie było tutaj żadnego innego źródła światła. Max nie dojrzał żadnej lampy, czy to elektrycznej czy innej, a na ścianach nie było żadnego przełącznika.

Widoczność ograniczona była zaledwie do pięciu stóp. Ciemność dawało się wprost dotknąć, była jak żywa, czekająca na gości na skraju światła, gotowa w razie konieczności natychmiast atakować.

Max zdołał dostrzec na ścianie duży obraz olejny. Przedstawiał dwóch mężczyzn o kościstych hiszpańskich rysach twarzy. Przed nimi stała ładna ciemnoskóra kobieta. Wszyscy troje byli ubrani w stroje z okresu wojny secesyjnej. Mężczyźni, w długich czarnych marynarkach i szarych spodniach z różowymi lampasami, wyglądali niczym karciarze z Missisipi. Kobieta miała na sobie pomarańczową suknię z białym marszczonym kołnierzykiem, a w ręce parasol.

— Czy któryś z tych facetów to Doofoor? — zapytał Max.

— Obaj — wyszeptła Chantale, uważnie wpatrująca się w obraz.

— Ma brata bliźniaka?

— Jeśli nawet, to nigdy o nim nie słyszałam.

U szczytu schodów znowu pojawiła się dziewczynka i skinęła na nich, żeby poszli do góry.

Idąc po schodach, Max zobaczył na ścianach mnóstwo czarno-białych fotografii. Niektóre były opatrzone datami, inne miały odcień sepii. W słabym oświetleniu te, które były wyżej zawieszane,

wydawały się ciemniejsze, mimo że znajdowały się bliżej iluminatorów w suficie. Szczególnie jedna przykuła uwagę Maksa. Przedstawiała czarnoskórego mężczyznę

- 243 -

w okularach, w białej marynarce, przemawiającego do grupy dzieci siedzących na trawniku.

— To Papa Doc, kiedy był jeszcze dobrym człowiekiem — powiedziała Chantale, gdy zauważyła, czym zainteresował się Max.

Dziewczynka doprowadziła ich do pokoju, którego drzwi były szeroko otwarte, jednak w środku panowała niemal nieprzenikniona ciemność. Uśmiechając się, dziewczynka złapała za rękę Chantale i poleciła jej, żeby ujęła dłoń Maksa. Szurając nogami, wszyscy troje weszli do ciemnego pokoju.

Chantale i Max zostali doprowadzeni do kanapy i na niej usiedli. Dziewczynka zapaliła zapalniczkę, która na moment oświetliła pokój. Max przez krótką chwilę zdołał dostrzec Du-foura. Siedział dokładnie na wprost kanapy, w głębokim fotelu, a koc okrywał jego kolana. Patrzył prosto na swoich gości i się uśmiechał. Wkrótce zapalniczka zaczęła przygasać i w pokoju znowu zapanował mrok, jednak zaraz zapłonęła mała lampka oliwna, zapalona przez dziewczynkę. W jej świetle Dufoura nie było widać. Max bynajmniej tego nie żałował, ponieważ jego wizerunku w oświetleniu, którego źródłem była zapalniczka, nie dało się uznać za przyjemny. Mężczyzna przypominał ogromnego indyka. Miał długi i ostry nos, którego początek zdawał się znajdować gdzieś między oczyma, a pod jego dolną szczęką po prostu zwisały grube i pomarszczone mięsiste zwalły skóry. Jeśli Dufour już teraz nie liczył stu lat, to z pewnością był tego wieku bardzo blisko. Lampka słabo oświetliła sylwetkę Chantale. Max widział niewyraźny zarys jej postaci, mahoniowy stół przed kanapą i srebrną tacę ze szklanym dzbankiem, do którego nalano schłodzony sok z lipy, oraz dwie szklanki ozdobione niebieskimi wzorkami. Sam Dufour i wnętrze pokoju pozostawało niewidoczne.

Dufour odezwał się pierwszy, po francusku, a nie po kreol-sku. Łagodnym, ledwie słyszalnym głosem wyjaśnił, że w ję-

- 244

zyku angielskim zna zaledwie trzy słowa: „cześć”, „dziękuję” i „do widzenia”. Chantale przetłumaczyła to wyjaśnienie Maksowi i zapytała Dufoura, czy zgadza się, żeby w czasie rozmowy pełniła funkcję tłumacza. Zwracając się do niej „made-moiselle”, Dufour odparł, że nie ma nic przeciwko temu. Max odniósł wrażenie, że na chwilę przeniósł się w dawne czasy, kiedy mężczyźni kłaniali się kobietom, dotykając rękami kapelusza, na ich widok wstawali, podsuwali im krzesła i otwierali przed nimi drzwi. Szybko powrócił jednak do rzeczywistości i całkowicie współczesnych problemów.

— Bardzo państwa przepraszam za tę ciemność, moje oczy nie służą mi już tak samo jak dawniej.

Nadmiar światła wywołuje u mnie okropne bóle głowy — powiedział Dufour po francusku, a Chantale przetłumaczyła. — Serdecznie witam w moim domu, panie Mingus.

— Postaramy się nie zabrać panu zbyt wiele czasu — odparł Max.

Położył na stoliku magnetofon, długopis i notatnik.

Dufour zażartował, że im jest starszy, tym mniejsze stają się wszelkie przedmioty codziennego użytku. Przypominał, że pamięta czasy, kiedy magnetofony były ogromne i ciężkie jak kamienie.

Poprosił gości, żeby skosztowali lemoniady, którą kazał dla nich przygotować.

Chantale naląca lemoniadę do obu szklanek. Max był zaskoczony, kiedy się zorientował, że ozdoby na szklankach pochodzą ze wschodniej Azji i przedstawiają mężczyzn i kobiety w różnych pozycjach seksualnych — zwyczajnych i bardzo egzotycznych. Wykonanie niektórych wymagało umiejętności zawodowych akrobatów. Przyszło mu do głowy pytanie, ile czasu minęło od dnia, w którym Dufour po raz ostatni miał jakąś cipkę.

Popijając lemoniadę, rozmawiali o błahych sprawach. Napój był cierpki, lecz odświeżający. Dufour zapytał Maksa, od jak dawna przebywa na Haiti i co myśli o tym kraju. Max odparł, że jest tu jeszcze zbyt krótko, żeby wyrażać jakiegol-

245

wiek opinii. Usłyszawszy tę odpowiedź, Dufour roześmiał się głośno, jednak trudno było

odgadnąć, co jego śmiech w tym wypadku oznaczał.

— Bien, bien — powiedział po chwili. — Zaczynamy.

23

Max otworzył notes i nadusił w magnetofonie przyciski nagrywania.

— Kiedy po raz pierwszy zetknął się pan z Charliem Car-verem?

— Jego matka przywiozła go do mnie na kilka miesięcy przed jego zniknięciem. Nie pamiętam dokładnej daty — odparł Dufour.

— W jaki sposób poznał pan tę kobietę?

— Sama mnie znalazła. Była poważnie zaniepokojona.

— Czym?

— Jeśli ona tego panu nie powiedziała, tym bardziej ja nie mogę tego uczynić.

Odpowiedź Dufoura była grzeczna, lecz stanowcza. Dufo-urowi z pewnością nie pozostało już wiele życia, jednak Max wyczuł w pomarszczonym ciele żelazną wolę. Starał się traktować to spotkanie jako spokojną konwersację. Zamierzał zadawać starcowi pytania łagodnym i przyjaznym tonem, zachowywać się swobodnie, ale nie nonszalancko. Nie kładł rąk na stół, nie pochylał się do przodu. Po prostu siedział wyprostowany na kanapie i sprawiał wrażenie człowieka, który ma zamiar wysłuchać tego, co zechce za pośrednictwem tłumaczki opowiedzieć mu stary człowiek.

Chantale wręcz przeciwnie, niemal zsuwała się ze swojego miejsca, starając się jak najlepiej słyszeć, co mówi Dufour. Ten bynajmniej nie ułatwiał jej zadania. Jego głos był niemal przez cały czas bardzo słaby, chwilami przechodził w szept,

a chwilami w syk, przypominający dźwięk, jaki wydaje gorący węgiel rzucony na śnieg.

— Co pan sądzi o Charliem?

— Bardzo inteligentny i szczęśliwy chłopak.

— Jak często go pan widywał?

— Raz w tygodniu.

— Zawsze tego samego dnia tygodnia?

— Nie, w każdym tygodniu był to inny dzień.

— Co tydzień?

— Co tydzień.

W okolicy fotela Dufoura rozległ się odgłos jakby wieczka odkręcanego ze słoika, i nagle dotarł z tego kierunku zapach nafty i zgniłych warzyw. Momentalnie zabił miłą woń świeżej lipy, unosząc się dotąd w pokoju. Chantale skrzywiła twarz i szybko się cofnęła, byle jak najdalej od źródła odoru. Max zatrzymał magnetofon.

Dufour nie zamierzał niczego wyjaśniać. Roztarł coś, najpierw na swoich dłoniach, później na nadgarstkach i przedramionach, a następnie jeszcze na każdym palcu. Odór, jaki temu towarzyszył, najpierw był wstrętny, a w końcu wprost nie do wytrzymania. W gardle Maksa uformowała się kwaśna, gumowata kula.

Przestał patrzeć w kierunku starego człowieka i rozejrzał się po pokoju. Jego oczy powoli przyzwyczyły się do półmroku i widział już teraz więcej niż na początku. Wszystkie gładkie powierzchnie dawały leciutkie odbicia w blasku lampki oliwnej, przypominając Maksowi fotografie tłumów na koncertach rockowych, gdy ludzie trzymali nad głowami płonące zapalniczki. Po lewej stronie miał okna osłonięte drewnianymi okiennicami. Przez ich wąziutkie przypadkowe prześwity wpadały drobne pasemka jaskrawego światła słonecznego.

Dufour zamknął pojemnik i powiedział coś do Chantale.

— Mówi, że może kontynuować — przetłumaczyła dziewczyna.

- 246

- 247

— W porządku. — Max znowu włączył nagrywanie w magnetofonie i popatrzył wprost przed siebie, chcąc wyłowić z mroku zarys głowy i bladą twarz gospodarza. — Kto ustalał terminy spotkań? Pan czy pani Carver?

— Ja.

— W jaki sposób informował pan ją o tych terminach?

— Przez telefon. Eliane, moja służąca, którą spotkaliście, przybywszy do mnie, telefonowała do Rose, niani Charlie-go.

— Ile czasu im pan poświęcał?

— Za każdym razem cztery do pięciu godzin. Max zanotował tę odpowiedź.

— Czy w czasie tych spotkań przebywał z wami ktoś jeszcze?

— Tylko Eliane.

— Nikt nie wchodził do domu, kiedy przebywała tu pani Carver i jej syn? Nie było tu żadnych gości?

— Nie.

— Czy informował pan kogokolwiek, że zajmuje się pan Charliem?

— Nie.

— Czy ktokolwiek widział, jak Charlie tutaj wchodzi?

— Mógł to widzieć każdy, kto akurat przebywał na ulicy. Gdy tylko Chantale przetłumaczyła tę odpowiedź, Dufour

roześmiał się. Śmiech miał znaczyć, że był to po prostu żart.

— Czy ci ludzie wiedzieli, kto to jest? — zapytał jednak Max.

— Nie, nie sądzę.

— Czy zauważył pan, że ten dom obserwuje ktoś podejrzany? Ktoś, kogo nie powinno być w okolicy?

— Nie.

— Nikt się nie kręcił w okolicy?

— Nie. Zauważyłbym.

— Myślałem, że pan nie lubi dziennego światła?

— Widzieć można na wiele sposobów — przetłumaczyła odpowiedź Chantale.

Max przypomniał sobie swoje poprzednie spotkania z kapłanem voodoo, który—jak głosiły pogłoski — posiadał zdolności nadprzyrodzone. Było to, kiedy szukał Boukmana. Najsilniejszy w tym człowieku był jego odór — mieszanina rumu i smrodu ciała, które nie zaznało kąpieli od wielu miesięcy. Max był dla tego mężczyzny cierpliwy i uprzejmy, jednak niewiele wyniósł z tego spotkania, poza ogólnymi informacjami o narodowej religii haitańskiej.

— Zadaje mi pan niewłaściwe pytania — powiedział Dufour za pośrednictwem Chantale.

— Naprawdę? A o co powinienem pytać?

— To nie ja jestem detektywem.

— Czy wie pan, kto porwał Charliego?

— Nie.

— Myślałem, że potrafi pan spoglądać w przyszłość...

— Nie w każdą.

„Jak wygodnie”, pomyślał Max. — Pewnie tłumaczysz się w ten sposób ludziom, kiedy niespodziewanie umrą ich bliscy.

— Na przykład — kontynuował Dufour — nie jestem stanie uprzedzać ludzi o zbliżającej się śmierci ich bliskich.

Przypadek. Nie ma czegoś takiego, jak czytanie w cudzych myślach.

Ktoś — albo coś — poruszyło się za plecami Maksa. Odniósł wrażenie, że pod jakimś ciężarem ugięła się deska podłogowa. Szybko spojrzął za siebie ponad ramieniem, ale niczego nie zobaczył. Popatrzył na Chantale i zorientował się, że dziewczyna niczego nie usłyszała.

Znowu skierował uwagę na Dufoura.

— Proszę mi opowiedzieć o Charliem. O jego wizytach. Jak one wyglądały?

— Rozmawialiśmy.

— Rozmawialiście?

- 248 -

- 249 -

— Tak. Rozmawialiśmy bez słów.

— Rozumiem. A zatem, co się działo? Używaliście telepatii, czy jak?

— Nasze duchy ze sobą rozmawiały.

— Rozmawiały wasze duchy? — zapytał Max najspokojniejszym tonem, na jaki w tej chwili było go stać. Z trudem nad sobą zapanował, bardzo mu się chciało śmiać.

Rozmowa oficjalnie zesła więc na tematy, które był skłonny określać jako brednie i banialuki. Max wiedział, że musi przez to brnąć, przynajmniej dopóty, dopóki zasady tej rozmowy będą na tyle jasne, że jego rola przepytującego pozostanie niekwestionowana.

— Nasze duchy. Nasze wnętrza. Pan również posiada wnętrza. Niech pan nie myli ciała z duszą i przypisanym jej duchem. Pańskie ciało jest jedynie domem, w którym mieszka pan podczas pobytu na ziemi.

„A ty mnie nie pomył z debilem”.

— Rozumiem. Zatem, jak to się odbywało, w jaki sposób przemawiał pan do jego ducha?

— Cóż, czynię tak, chociaż... prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie rozmawiałem z duchem żadnej innej żyjącej osoby. Charlie był wyjątkiem.

— O czym rozmawialiście?

— O nim.

— Co panu powiedział?

— Czy powiedziano panu, dlaczego do mnie przyjeżdżał?

— Ponieważ nie mówił i...

— Wyjaśnił mi, dlaczego tak się dzieje.

Max kątem oka dostrzegł coś po prawej stronie, tuż obok siebie, i szybko się odwrócił, żeby to zobaczyć, jednak niczego nie dojrzał.

— Wyjaśnijmy to. Charlie powiedział panu, albo powiedział to panu jego „duch”, na czym polega jego problem. Dlaczego nie jest w stanie mówić.

- 250 -

— Tak.

— No i?

— No i co?

— Na czym polegał ten problem?

— Powiedziałem o tym jego matce. Jeśli ona panu tego nie przekazała, również ode mnie niczego pan nie usłyszy.

— Mogłoby to pomóc w moich poszukiwaniach — zauważył Max.

— Nie pomoże.

— Może ja to ocenię?

— Nie pomoże — powiedział Dufour stanowczo.

— I matka Charliego przyjęła to za pewnik? Cokolwiek, jak pan twierdzi, powiedział panu na ten temat Charlie?

— Nie. Podobnie jak pan podeszła do moich słów sceptycznie. Właściwie to mi nie uwierzyła. — Chantale przetłumaczyła te słowa z wahaniem, zmieszana, pełna wątpliwości.

— A co zmieniło jej stanowisko?

— Jeżeli zechce, sama to panu powie. Ode mnie niczego pan nie usłyszy.

Max zrozumiał, że w tej sprawie niczego u Dufoura nie osiągnie. Jakakolwiek tajemnica wchodziła w grę, miał szansę na wysłuchanie jej tylko z ust Franceski albo Allaina Carvera. Tymczasem kontynuował rozmowę ze starym człowiekiem.

— Powiedział pan, że wasze „duchy rozmawiały”. Pański duch i duch Charliego, tak? Czy nadal ze sobą rozmawiacie? Utrzymujecie kontakt obecnie?

Chantale przetłumaczyła. Dufour nie odpowiedział.

Max zdał sobie sprawę, że aż do tej pory nie zauważył, aby z pokoju wyszła służąca. Czy wciąż tutaj przebywała? Obrócił głowę w kierunku drzwi, starając się cokolwiek zobaczyć, jednak ciemność, która go otaczała, była zbyt gęsta, by mógł widzieć na odległość dalszą niż dwa — trzy kroki.

— Oui — powiedział w końcu Dufour i poprawił się w fotelu.

251 -

— Tak? Rozmawialiście ostatnio?

— Tak.

— Kiedy?

— Dzisiaj rano.

— Czy Charlie żyje?

— Tak.

Maksowi zaschło w ustach. Ekscytacja błyskawicznie zastąpiła wszystkie jego wątpliwości i całe niedowierzanie.

— Gdzie on jest?

— On tego nie wie.

— Jest w stanie cokolwiek opisać?

— Nie. Wie tylko tyle, że opiekują się nim kobieta i mężczyzna. Traktują go bardzo dobrze, jak rodzice.

Max zapisał tę uwagę, chociaż całą rozmowę nagrywał.

— Czy Charlie mówi w ogóle cokolwiek o miejscu, w którym przebywa?

— Nie.

— Jest ranny?

— Mówi, że ma bardzo dobrą opiekę.

— Powiedział panu, kto go porwał?

— Tego musi się pan dowiedzieć sam. Po to pan tutaj przyjechał. To pańskie zadanie, cel, który musi pan zrealizować — powiedział Dufour. Podniósł przy tym głos, wyraźnie zdenerwowany.

— Mój cel? — Max odłożył notes. Ostatnie słowa starca nie spodobały mu się. Były zbyt aroganckie, zbyt bezczelne.

— Każdy z nas zostaje wysłany na ziemię w jakimś celu, Max. Każde życie istnieje dla jakiegoś powodu — kontynuował Dufour już spokojnym tonem.

— No i co?

— Musisz zrealizować swój cel, Max. A to, jaki kierunek przyjmą wydarzenia, zależy od ciebie, a nie ode mnie.

— Twierdzi pan, że urodziłem się po to, żeby znaleźć Char-iego?

252

— Nie powiedziałem, że go znajdziesz. To nie zostało jeszcze zadecydowane.

— Tak? A kto o tym ma zdecydować?

— Nie wiemy jeszcze, dlaczego tutaj jesteś.

— Liczba mnoga? O kogo panu chodzi?

— Nie wiemy, co cię tutaj trzyma. Wobec innych łatwo było się zorientować. Przyjeżdżali tu dla pieniędzy Najemnicy. Wstrętni ludzie. Ale ciebie przywiodło tutaj coś innego.

— Bynajmniej nie uroczy klimat — odparował Max i niemal natychmiast przypomniał sobie sen, jaki miał w pokoju hotelowym w Nowym Jorku; Sandra powiedziała mu w nim, że musi wziąć tę sprawę, ponieważ „nie ma wyboru”. Przypomniał sobie długie chwile, kiedy się zastanawiał nad przyszłością, kiedy dochodził do wniosku, że jawi się przed nim po prostu ponura, byle jaka. Ten dziwny stary kapłan voodoo miał rację. Owszem, Max przyleciał na Haiti, żeby ratować Charliego, ale również po to, żeby ratować siebie.

Ile Dufour już o nim wiedział? Zanim zdołał zadać to pytanie, stary człowiek zaczął mówić:

— Bóg daje nam rozum i wolną wolę. Tylko niewielu otrzymuje od niego wszystko w odpowiedniej ilości. Jedni dostają od niego więcej, inni mniej i większości to musi wystarczyć. Ci, którzy otrzymują wszystko, są świadomi swojej przyszłości. Politycy widzą siebie w roli prezydentów, pracownicy w roli menedżerów, żołnierze jako generałów, aktorzy jako supergwiazdy i tak dalej. Zwykle już na starcie można powiedzieć, czy ci ludzie są w stanie zrealizować swoje plany. Zanim osiągną dwadzieścia lat, doskonale wiedzą, co chcą robić ze swoim życiem. To, w jaki sposób realizujemy nasz cel — nasze „przeznaczenie” — w znacznej mierze zależy od nas samych, ale nie do końca. Jeśli Bóg ma dla nas cel wyższy i widzi, że marnujemy czas, kierując się ku celowi niższemu, interweniuje i prowadzi nas ku właściwej ścieżce. Czasami jest to interwencja

bolesna, czasami wydaje się interwencją

253

„błahą” albo „przypadkową”. Ci o większym rozumie od razu rozpoznają rękę Boga, kiedy stara się kształtować ich losy, i są w stanie wkroczyć na właściwą ścieżkę bez większych oporów. Max, to właśnie Bóg skierował cię tutaj.

Max głęboko odetchnął. Smród w pokoju przeminął i znowu czuł w nozdrzach słodki zapach lipy. Nie wiedział, co myśleć o słowach Dufoura.

„Koncentruj się na tym, co wiesz, a nie na tym, co chciałbyś wiedzieć”, rozmyślał. „Max, poszukujesz zaginionej osoby, małego chłopca. I tylko to się liczy, tylko twoje poszukiwania. Jak mawiał Eldon Burns: rób swoje i pieprz resztę”.

Wyjął z kieszeni plakat z podobizną Charliego i rozłożył go na stole. Wskazał na krzyże zaznaczone na brzegach.

— Widzi pan to? — zapytał Dufoura, wskazując na znaki.

— Tak. Tonton Clarinette. To jego znak — odparł Dufour.

— Myślałem, że Ton Ton Clarinette to tylko mit.

— Na Haiti wszystkie fakty opierają się na mitach.

— Chce pan więc powiedzieć, że on istnieje naprawdę?

— To ty musisz to odkryć. — Dufour uśmiechnął się. — Skieruj się ku źródłu mitu. Dowiedz się, skąd się wziął, dlaczego i kto stoi u jego początków.

Max pomyślał o Beesonie, Meddzie i o słowach Huxleya, który powiedział mu, dokąd ci dwaj się udali: do wodospadów. Zapisał sobie, żeby jeszcze raz porozmawiać z Huxleyem.

— Wracając do Charliego — odezwał się. — Czy Charlie widział Ton Ton Clarinette'a?

— Tak.

Max zerknął ku Chántale. Podchwyciła jego spojrzenie. W oczach dziewczyny tkwił strach.

— Kiedy?

— Kiedy był u mnie po raz ostatni, Charlie powiedział mi, że widział Tonton Clarinette'a.

— Kiedy? — Max pochylił się bliżej ku starcowi.

- 254 -

— Tego nie powiedział. Po prostu poinformował mnie, że go widział.

Max zapisał w notesie: „Przesłuchać służących Carve-rów”.

— Ludzie porywają tutaj dzieci, prawda? — zapytał starca.

— Tak, zdarza się to dość często.

— Co jest przyczyną tych porwań?

— A dlaczego ludzie porywają dzieci w twoim kraju?

— Głównie dla seksu. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Następnie dla pieniędzy.

Porywają je także bezdzielne pary, które nie mają cierpliwości do agencji adopcyjnych, samotne kobiety, które pragną macierzyństwa, i tak dalej.

— Na Haiti dzieci służą również do innych celów.

Max przez moment zobaczył w wyobraźni sylwetkę Bo-ukmana.

— Voodoo?

Dufour prychnął z pogardą.

— Nie, nie chodzi o vodou. Vodou to nic złego. Jest podobne do hinduizmu, tyle że występują w nim różni bogowie do różnych spraw i jeden wielki wspaniały Bóg, stojący ponad nimi wszystkimi. Żadne dziecko nigdy nie zostało poświęcone w ofierze vodou. Pytaj dalej.

— Satanizm? Czarna magia?

— Czarna magia. Masz rację.

— Dlaczego dzieci są poświęcane w czarnej magii?

— Z różnych powodów, na ogół szalonych. Większość czarnej magii to okrutne wyczyny skończonych idiotów, ludzi, którym się wydaje, że jeśli zrobią coś wielce szokującego, diabeł wyjdzie z piekła, poda im rękę i spełni ich trzy życzenia. Ale tutaj sprawa wygląda inaczej. Tutaj ludzie dokładnie wiedzą, co czynią. Widzisz, ty, ja — my wszyscy — jesteśmy uważnie obserwowani i strzeżeni przez duchy.

— Aniołów stróżów?

- 255 -

— Tak, jakkolwiek zechcesz ich nazwać. I widzisz, najpotężniejszą ochroną, jaką można sobie wyobrazić, jest ochrona przez duchy dzieci. Dzieci są niewinne. Czyste. Bardzo niewiele złego może ci się przydarzyć, jeśli z nieba pilnuje cię duch dziecka.

Max przez chwilę analizował słowa Dufoura. Przecież niemal dokładnie na tym polegała sprawa Boukmana. Boukman poświęcał dzieci, żeby karmić nimi jakiegoś demona, którego rzekomo wywoływał na ten świat.

— Mówi pan, że dzieci są najpotężniejszymi aniołami stróżami, ponieważ są niewinne i czyste? — zapytał. — A Charlie? Do czego jeszcze by się nadawał, poza tym, że jest dzieckiem?

— Charlie to bardzo specjalne dziecko — odparł Dufour. — Ochrona z jego strony byłaby o wiele większa, ponieważ można go zaliczyć do duchów najczystszych, tych, które czasami określamy jako Nieustannie Czyste, które nigdy nie poznają zła. Inne duchy im ufają. Są w stanie otworzyć wiele drzwi. Tylko nieliczni mogą się cieszyć tym, że strzegą ich właśnie takie duchy. Zaszczyt ten przypada zwykle takim ludziom jak ja, tym, którzy potrafią spoglądać poza teraźniejszość.

— A zatem, czy możliwe jest, żeby... żeby „ukraść ducha”?

— Tak, oczywiście. Nie jest to jednak prosta procedura i nie każdy jest w stanie to zrobić. To bardzo skomplikowana sprawa.

— Czy pan to potrafi?

— Tak.

— Czy kiedykolwiek pan to robił?

— Aby czynić dobro, trzeba poznać zło. Ty, Max, powinieneś lepiej niż inni ludzie wiedzieć, co mam na myśli. Istnieje zła strona tego, co robię — odwrócenie moich czynów, rodzaj czarnej magii, który wiąże się z więzieniem dusz, zmuszaniem ich, żeby były stróżami zła. Dzieci są tej magii głównym elementem. Tutaj, na Haiti, są na wagę złota, są walutą.

W chwili, w której Chantale skończyła tłumaczenie, w pokoju zjawiała się służąca. Podeszła do nich.

— Już czas — powiedział Dufour.

Pozegnali się. Służąca ujęła Chantale i Maksa za ręce i wyprowadziła ich z pokoju. W progu Max odwrócił się i popatrzył ku miejscu, w którym przed chwilą siedzieli. Gotów byłby przysiąc, że tam, gdzie znajdował się dotąd Dufour, dostrzegł nie jedną, ale dwie ludzkie sylwetki. Jednak po chwili stracił tę pewność.

24

Ruszyli w drogę powrotną do banku. Tym razem za kierownicą usiadł Max, powoli przyzwyczajając się do zrujnowanych nawierzchni ulic Port-au-Prince.

Od wyjazdu z domu Dufoura Chantale przez bardzo długi czas nie odezwała się ani słowem.

— Dzięki za pomoc, Chantale — powiedział Max w pewnej chwili i popatrzył na dziewczynę.

Była bardzo blada. Jej twarz lśniła kropelkami potu. Skórę nad górną wargą miała po prostu mokrą. Jej sztywna szyja i wyraźnie widoczne pod skórą mięśnie szczęki dowodziły, że dziewczyna jest bardzo spięta.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Nie — wykrztusiła. — Zatrzymaj samochód.

Max zahamował przy krawężniku na tętniącej życiem ulicy. Chantale wyskoczyła z auta, zrobiła kilka kroków i zwymiotowała do rynsztoka. Mężczyzna, który w pobliżu sikał pod jakimś murem, odwrócił głowę i popatrzył na nią z odrazą.

Kiedy dziewczyna zwymiotowała po raz drugi, Max był już przy niej i przytrzymał ją, żeby nie upadła.

- 256 -

- 257 -

Gdy skończyła, oparł ją o maskę samochodu i powiedział, żeby kilkakrotnie głęboko odetchnęła.

Wydobył z auta butelkę z wodą, wylał trochę na chusteczkę i przyłożył ją do czoła Chantale.

Następnie zaczął chłodzić notesem powietrze przed jej twarzą.

— Już mi lepiej — powiedziała po chwili. Kolory zaczęły wracać na jej twarz.

— To było chyba trochę za dużo dla ciebie, prawda?

— Przez cały czas byłam zdenerwowana.

— Nie okazałaś tego.

— Możesz mi wierzyć, denerwowałam się.

— Ale byłaś wspaniała. Tak dobrze się sprawiałaś, że jutro daję ci wolne.

— Chcesz pojechać do Cite Soleil, prawda?

— Trafiłaś w samo sedno!

Wsiadli z powrotem do samochodu i Chantale podała Maksowi mapę. Powiedziała mu, żeby zabrał ze sobą maskę chirurgiczną i rękawice — dostępne w obu głównych supermarketach — i żeby po skończonej wyprawie wyrzucił buty, o ile zamierza wysiąść z samochodu i chodzić po Cite Soleil. Grunt jest tam dosłownie usłany odchodami — zwierzęcymi, ale głównie ludzkimi. A w powietrzu unoszą się wszelkie możliwe zarazki i choroby.

— Naprawdę uważaj tam na siebie. Zabierz ze sobą pistolet. I nie zatrzymuj samochodu, jeśli to nie będzie absolutnie konieczne.

— Zaczynam sobie wyobrażać amerykańskie Liberty City.

— Cite Soleil to nie żart, Max. To najgorsze z możliwych najgorszych miejsc na ziemi.

Zawiózł Chantale do Banque Populaire i kiedy wysiadła z samochodu, patrzył za nią i jej kształtną pupą, dopóki nie zniknęła w wejściu. Ani razu się nie odwróciła. Max nie potrafił odgadnąć, czy to cokolwiek znaczyło.

258

25

Z domu zatelefonował do Allaina Carvera i pokrótce opowiedział mu, co robił, z kim rozmawiał i jakie są jego najbliższe plany. Z reakcji Carvera, który nie zadawał pytań, a jedynie pochrząkiwał co chwilę, by Max wiedział, że jego rozmówca jest ciągle na linii, wywnioskował, że Chantale wszystko mu już dokładnie opowiedziała.

Następnie zadzwonił do Franceski. Nikt nie podniósł słuchawki.

Rozsiadłszy się na werandzie z notesem w rękach, zaczął przesłuchiwać nagrane rozmowy.

Zadawał też sobie pytania.

Po pierwsze: dlaczego w ogóle Charliego porwano? Dla pieniędzy?

Jednak nie pojawiło się żadne żądanie okupu, co całkowicie skreślało ten motyw. Zemsta?

Bardzo prawdopodobne. Bogaci ludzie zawsze mają sporo śmiertelnych wrogów. A Carverowie muszą ich mieć całą książkę telefoniczną.

Co właściwie było nie tak z Charliem?

Nie zaczął jeszcze mówić. Są dzieci, które wypowiadają pierwsze słowa po wielu latach od urodzenia.

Właściwie o co chodzi z jego włosami?

Był małym dzieckiem. Jednym z niewielu wspomnień po ojcu, jakie zachował Max, była jego opowieść, że jako niemowlę Max wybuchał płaczem za każdym razem, kiedy ktoś się śmiał. Cóż, niemowlęta na różne sytuacje reagują dziwnie, a potem z tego wyrastają.

Jasne, jednak Dufour doszedł do jakiegoś wniosku.

Czy porywacze również?

- 259

Być może. A w takim wypadku motywem porwania był szantaż. Carverowie ani słowem o takiej możliwości nie wspomnieli, ale to wcale nie dowodziło, że należało ją odrzucić. Jeśli z dzieckiem działo się coś naprawdę złego, Allain i Fran-cesca zapewne ukrywali to przed Gustavem ze względu na jego słabe zdrowie.

Dlaczego Francesca sama nie powiedziała mu o stanie Charliego?

Może byłoby to dla niej zbyt bolesne? A może nie uważała tego za istotne?

Czy chłopca porwano dla celów czarnej magii? Możliwe.

Max uznał, że będzie musiał zacząć po kolei sprawdzać wrogów Carverów, także pod kątem ich

zaangażowania w czarną magię. Tylko jak to zrobić? Cały kraj był wywrócony do góry nogami i ledwie dychał. Nie było w nim policji, z którą można by porozmawiać, a Max wątpił też, czy w ogóle istniały tutaj jakieś kartoteki lub teczki, dokumentujące najpoważniejsze przestępstwa i katalogujące przestępców.

Max wiedział, że niczego nie osiągnie, zaglądając pod każdy kamień albo ścigając każdy cień. Co sądzić o Eddiem Faustinie?

Z pewnością miał związek z porwaniem. Był jego ważnym uczestnikiem. Wiedział, kto jest porywaczem. Należy koniecznie sprawdzić, kogo znał.

Kim był potężnie zbudowany mężczyzna, którego widziała kobieta w warsztacie szewskim? Czy to mógł być Faustin? Najwyraźniej już w pobliżu samochodu zabito go i odcięto mu głowę, zatem z pewnością to nie był on. Zwłaszcza że jeśli miał podobne geny jak jego matka i brat, nie był człowiekiem wielkiej postury. Obaj Faustinowie byli średniej budowy, trochę obrośnięci tłuszczem.

Oczywiście, na miejscu porwania pojawił się Vincent Paul.

Czy Charlie wciąż żył?

W tej kwestii Max miał tylko słowo Dufoura i nawet jeśli Dufour sam nie był porywaczem i nie trzymał chłopca w zamknięciu, należało mu nie ufać i zakładać najgorsze.

Czy Dufour naprawdę wiedział, kto porwał Charliego?

Odpowiedź jak wyżej.

Jak poważny był jego wpływ na Francescę?

Kobieta była młoda i bezbronna, łatwo można ją było wykorzystać. Świat oglądał takie sytuacje codziennie: fałszywi wróżbiarze czy okultyści bez skrupułów wykorzystywali osoby samotne, pogrążone w żałobie, naiwne, słabe czy wreszcie cholernie głupie. Zazwyczaj obiecywali im wspaniałą przyszłość w cenie dziewięćdziesięciu dziewięciu dolarów plus podatek.

Czy za porwaniem stoi Dufour?

Max starał się rozważyć wszystkie za i przeciw.

Czy Dufoura można zaliczyć do grona podejrzanych?

Właściwie nie wiadomo. I tak, i nie. Człowiek, który był tak blisko Papy Doca i Baby Doca, musiał mieć na tyle determinacji, by nie zawahać się przed prostym porwaniem. Z pewnością znał przynajmniej kilku członków Tonton Macoutes, pozostających obecnie bez zajęcia i gotowych przyjąć nawet najpodlejszą robotę za śmieszne wynagrodzenie. Przecież porywanie ludzi było jeszcze do niedawna ich podstawowym zadaniem. Co jednak mogło być motywem Dufoura?

Starego człowieka, któremu pozostało jedynie kilka lat życia? Czy, na przykład, Gustav Carver uczynił w przeszłości coś złego jemu albo jego rodzinie? Max w to wątpił. Gustav przenigdy nie zadarłby przecież z jednym spośród faworytów Papy Doca. Tym niemniej Max na tym etapie nie mógł jeszcze wykluczyć żadnej możliwości.

*

Później próbował zasnąć, jednak sen nie przychodził. Poszedł do kuchni i w jednej z szafek znalazł nienapoczętą butelkę

- 260 -

- 261 -

rumu. Kiedy ją wyciągał, w rogu szafki zauważył jakiś przedmiot. Była to wysoka na cztery cale druciana figurka mężczyzny w słomkowym kapeluszu, stojącego z szeroko rozstawionymi nogami i rękami złożonymi na plecach.

Max postawił figurkę na stole i popijając rum, uważnie ją oglądał. Jej głowa była pomalowana na czarno, strój — koszula i spodnie — miał kolor ciemnoniebieski. Pod szyją miała czerwoną chustę, a przez ramię przewieszoną małą szkolną torbę. Wyglądała jak kolorowy strach na wróble.

Rum dobrze wchodził, ogarnęło go przyjemne ciepło, które od żołądka rozlało się wkrótce po całym jego ciele. Po latach przerwy Max znowu przyzwyczajał się do alkoholu.

26

Cokolwiek Huxley i Chantale opowiedzieliby mu o Cité Soleil, ani oni, ani nikt i nic nie mogło go przygotować na to, co pojawiło się tuż przed zderzakami jego samochodu, gdy wjechał na teren

wielkich slumsów. Pewna część jego osobowości twardego i zimnego faceta nagle pękła i jedynie z wielkim trudem wziął się w garść i zdołał stłumić w sobie współczucie dla ludzi, którzy musieli tutaj żyć.

Z początku, jadąc wąskim i brudnym duktem, który był tu główną drogą, odnosił wrażenie, że znajduje się w jakimś labiryncie nędzy. Jak okiem sięgnąć, po obu stronach otaczały go tysiące przeludnionych jednoizbowych szop, od wschodu na zachód, od horyzontu po horyzont. Stały tak gęsto, że nie sposób było znaleźć pomiędzy nimi skrawka przestrzeni. A jednak im więcej widział szop i im uważniej się im przypatrywał, tym mocniej zdawał sobie sprawę, że przynajmniej w dziedzinie mieszkalnictwa w tych ogromnych slumsach panuje pewien stały porządek, który można by określić jako system klasowy, doskonale utrwalony wśród nędzarzy. Mniej więcej czwarta część zabudowań wykonana była z cegieł suszonych na słońcu i miała dachy z pordzewiałej blachy stalowej. Te robiły wrażenie dość solidnych i nawet nadających się do zamieszkania. Dużo gorzej wyglądały chaty z cienkich sklejek i o jasnoniebieskich dachach z plastikowych płyt. Zapewne mocniejsze wiatry zwiewały te domostwa do morza razem z mieszkańcami; konstrukcje te były jednak o wiele lepsze od najgorszego badziewia w tym piekle — domów z kartonowych pudeł. Kilka przewróciło się, kiedy Max na nie spoglądał. Przypuszczał, że domy z cegieł należą do slumsowych weteranów, tych, którzy przetrwali tutaj wiele lat i zdołali wczołgać się na sam szczyt tej kupy gówna. W kartonowych budach gnieździли się zapewne nowi mieszkańcy albo ludzie słabi i niemal martwi, gdy tymczasem w drewnianych — ci, którzy w hierarchii społecznej zajmowali miejsca gdzieś pomiędzy dwiema poprzednimi grupami. Z dziur w dachach snuły się słupy czarnego dymu. Rozpuszczały się na niebie, tworząc szary smog o kształcie zeppelinów, unoszący się nad całym terenem i niepoddający się podmuchom wiatrów. Podążając samochodem w głąb dzielnicy slumsów, Max czuł na sobie setki i tysiące spojrzeń. Ludzie, których mijał, byli chudzi, przygarbieni, otuleni łachmanami, prawie niezdolni do utrzymania się przy życiu. Spoglądając na niego i na jego samochód, zazwyczaj opierali się o swoje rudery.

Gdzieś tam pomiędzy prostopadłościanami tych ruder znajdowały się obszary, których nie zabudowywano. Ziemia w takich miejscach stanowiła skrzyżowanie śmietników i pól bitewnych, jakie pozostały po I wojnie światowej. Była lepka, błotnista, śmierdziała śmiercią i beznadzieją. Czasami ułożona była w pagórki, po których biegały rozbawione dzieci o nogach chudych jak u owadów, wydętych brzuskach i głowach tak dużych, że aż dziwne było, iż cienkie szyje dają radę je unosić.

- 262 -

- 263 -

Minął dwa konie; ich kopyta tonęły w łajnie. Konie ledwie się ruszały i były tak wychudzone, że Max bez trudu mógł policzyć ich żebra.

Wszędzie było pełno otwartych dołów kloacznych, zdezelowanych karoserii samochodów osobowych, autobusów i ciężarówek. Służyły jako mieszkania. W swoim samochodzie wszystkie okna miał szczelnie zamknięte, klimatyzacja pracowała pełną mocą, a mimo to ostry odór z ulicy przedzierał się do środka. Wszystkie okropne, złe zapachy mieszały się tu w jeden i mnożyły razy dwa. Max czuł fetor ciał, gnijących od miesięcy, sfermentowanych śmieci, zużytego oleju, ludzkich odchodów, zwierzęcych odchodów, dymu, stojącej wody i upadłego człowieczeństwa. Zaczęło mu się robić niedobrze. Założył na twarz jedną z masek, które kupił rano w supermarkecie, zanim udał się w tę podróż.

Przejechał „Kanał Boloński” po prowizorycznym moście, złożonym z zupełnie do siebie niepasujących metalowych dźwigarów. Szeroka rzeka ścieków i spalonego oleju dzieliła Cite Soleil na pół. Na zatrutej ziemi slumsów była permanentną raną, odprowadzającą swoją krew prosto do morza. Max nie miał już wątpliwości, że nigdy dotąd nie widział gorszego miejsca. Był to piekielny krąg, przeniesiony na ziemię jako ostrzeżenie. Wprost nie potrafił uwierzyć, że siły ONZ i USA, okupujące kraj od dwóch lat, nic dotąd z Cite Soleil nie zrobiły.

Zaczął się rozglądać za jakimiś śladami Vincenta Paula — za porządnymi samochodami, dżipami, działającymi urządzeniami, czyli po prostu za czymś, co by do tego miejsca nie pasowało. Wokół

siebie widział jednak tylko nędzę i jeszcze raz nędzę, chorobę na chorobie, ludzi wyglądających jak własne cienie.

Dotarł do jakiegoś wzniesienia i wysiadł z samochodu, żeby się rozejrzeć. Pamiętając, co mu powiedziała Chantale o spacerowaniu po slumsach, Max kupił wcześniej parę butów, które

264 -
zamierzał wyrzucić natychmiast po powrocie. Było to używane obuwie sportowe, a sprzedała mu je jakaś kobieta z kosza z najdziwniejszymi przedmiotami, ustawionego na chodniku niedaleko Impasse Carver. Teraz cieszył się z tego zakupu, ponieważ przy każdym kroku jego buty zapadały się w grunt, mimo oślepiającego, gorącego słońca miękkiego i mokrego, chociaż rozum podpowiadał, że powinien być twardy i suchy.

Przyjrzał się masom ludzi dookoła, niezliczonym nogom, z metalicznym pluskotem rozdeptującym czarną maź. Znajdował się w samym centrum slumsów, które były domem dla pół miliona ludzi, a mimo to dookoła panowała niesamowita cisza. Ponad rytmiczny szum morza, którego brzeg znajdował się w odległości co najmniej jednej czwartej mili, z trudem przedzierały się jakiegokolwiek inne odgłosy. Była to taka sama cisza, jaka panowała w najgorszych miejscach Liberty City, gdzie nagła śmierć dopadała ludzi co godzinę, z regularnością zegara. Tutaj pewnie działo się to co sekundę.

Czy Vincent Paul naprawdę mógł przebywać na stałe w takim miejscu? Czy mógł mieszkać w okolicy tak brudnej, tak skalanej?

Max niespodziewanie natrafił na luźniejszy grunt i ani się obejrzał, jak zapadł się po kostki w odchodach. Łajno zmieszane z błotem zaczęło przedostawać się do jego butów. Jak oparzony, błyskawicznie wyrwał nogi z czarnej mazi i przeszedł na twardszą ziemię.

Usłyszał za sobą warkot nadjeżdżających samochodów.

W oddali, po lewej stronie, zobaczył mały konwój pojazdów wojskowych — trzy ciężarówki i dwa dżipy, jeden na początku, a drugi na końcu konwoju — jadący w kierunku morza.

Pobiegł do swojego landcruisera i włączył silnik.

- 265 -

27

Dojechał za konwojem aż do prowizorycznego obozu, w którym stało w półkolu kilkanaście oliwkowozielonych namiotów. Nad dwoma z nich łopotwały flagi Czerwonego Krzyża.

Tłoczyły się tutaj setki mieszkańców Cite Soleil, którym żołnierze, stojący za długimi stołami, rozdawali jedzenie. Ludzie odbierali papierowe talerze z posiłkami i natychmiast przystępowali do jedzenia, praktycznie nie ruszając się z miejsca. Wielu wracało na koniec kolejki i cierpliwie czekało na następną porcję.

Inni znowu oczekiwali na swoją kolej przed ciężarówkami, z których rozdawano wodę. W rękach trzymali puste wiadra, puszki i kanistry. Trochę dalej w trzech kolejkach ludzie tłoczyli się po przydziały ryżu, kukurydzy i węgla. Zachowywali się zadziwiająco spokojnie i cicho. Nikt nikogo nie popychał, nikt z nikim się nie bił, nikt nie panikował. Wszyscy odbierali swe przydziały z takim nabożeństwem, jak wierni przyjmują komunię w kościele.

Max zaczął myśleć, że się pomylił, że Narody Zjednoczone jednak coś robią, żeby ulżyć cierpieniom tych zdesperowanych ludzi, że nie tylko zaprowadzają na Haiti demokrację, ale dążą także do zlikwidowania głodu. Jednak kiedy uważniej przyjrzał się samochodom, stwierdził, że wszystkie są nieoznaczone. Żaden z żołnierzy nie miał na głowie niebieskiego hełmu sił okupacyjnych ani insygniów ONZ na mundurze. Wszyscy byli natomiast wyposażeni w różnorodną broń — od uzi po karabiny samopowtarzalne i kałasznikowy.

Zdał sobie nagle sprawę, że właśnie patrzy na ludzi Vincen-ta Paula. Chwilę później dostrzegł jego samego, wyłaniającego się z namiotu medycznego. Podobnie jak jego ludzie, nie nosił maseczki, rękawic chirurgicznych ani jednorazowych butów. Ubrany był na czarno, w koszulkę, spodnie wojskowe i buty spadochroniarza. Był wysoki, ciężki, ostrzyżony na zero

- 266 -

i miał ciemną skórę. Max próbował go porównać do sylwetki Joe'ego; nie był pewien, który z dwóch mężczyzn jest wyższy i mocniej zbudowany. Vincent Paul bez wątpienia rzucał na ziemię

dłuższy cień i był jakby bardziej postawny niż Joe, ale trudno ich było porównywać na odległość. Potężnie zbudowany mężczyzna podszedł do jednego ze stołów z żywnością i zaczął pomagać swoim ludziom w jej rozdawaniu. Rozmawiał przy tym wesoło i uśmiechał się do ludzi stojących w kolejce. Czasami wybuchał głośnym śmiechem — głębokim, dźwięcznym, jowialnym, świadczącym o pewności siebie. Jeśli Max wcześniej miał wątpliwości, kto to jest, teraz się one rozwiały. Rozpoznał głos, który słyszał dwa wieczory wcześniej, rozpoznał głos człowieka, który go ocalił przed ulicznymi rabusiami.

Rozdawszy kilkanaście talerzy z żywnością, Paul wszedł w tłum. Rozmawiał z dziećmi, czasami kucnął, żeby jego głowa znajdowała się na tej samej wysokości co głowy jego małych rozmówców, odzywał się do mężczyzn i kobiet, niekiedy przystawał na dłużej, żeby ich posłuchać. Podawał ludziom ręce, nie miał nic przeciwko temu, że go ściskali, a czasem całowali w policzki. Kiedy jakaś staruszka pocałowała go w dłoń, natychmiast sam podniósł jej rękę do swojej twarzy i odpowiedział identycznym pocałunkiem, oboje się roześmieli. Wszyscy odwracali głowy w jego kierunku. Niektórzy opuszczali swoje miejsca w kolejkach i szli za nim.

W pewnej chwili Max coś usłyszał. Najpierw cichy syk, jakby fragmenty piosenki. Syk, dziwne „ssssan-ssssan/ssssan-ssssan/ssssan-ssssan”, z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy i wreszcie Max zorientował się, co jest jego źródłem. To ludzie zaczęli wykrzykiwać imię swojego dobrodzieja. Do cichego początkowo chóru kilku głosów przyłączyli się praktycznie wszyscy. Teraz słychać już było wyraźnie głośne „Vinnn-ssssan/Vinnn-ssssan/Vinnn-ssssan”. Vincent Paul był na ustach wszystkich, wszystkie oczy spoglądały na niego.

267

Mieszkańcy Cite Soleil zapomnieli o głodzie i biedzie. Tłoczyli się wokół Vincenta Paula, otoczyli go całkowicie, a jednak pozostawili dość wolnej przestrzeni, żeby przez cały czas mógł się swobodnie poruszać, potrząsać rękami ludzi i przyjmować ich uściski. Max dostrzegł w jego pobliżu dwie uderzająco piękne kobiety w wojskowych mundurach polowych, czujnie obserwujące tłum, trzymające dłonie na kolbach pistoletów, które tkwiły w kaburach na ich biodrach.

Paul uniósł do góry obie ręce i ludzie natychmiast ucichli. Był w tłumie najwyższą osobą, wszyscy więc bez trudu widzieli jego wielką głowę. Zaczął przemawiać głębokim barytonem. Jego słowa docierały do Maksa, który jednak nic z tego nie rozumiał. Co chwilę tłum przerywał Paulowi oklaskami, wesołymi okrzykami, śmiechem, gwizdami, aż wreszcie przytupywaniem i wrzaskami. Nawet jego uzbrojeni podwładni, którzy musieli go widzieć w takich sytuacjach już milion razy, klaskali w dłonie z niewymuszonym entuzjazmem.

Max widywał już tego typu zgromadzenia wielokrotnie na ulicach Miami. Co kilka lat bowiem najwięksi miejscowi dealerzy — ci, którym udało się przeżyć wojny gangów i uniknąć więzienia dzięki szczęściu, brakowi skrupułów, pieniądзом i dobrym koneksjom — postanawiali „coś sprezentować” społeczności, którą dotąd jedynie dziesiątkowali narkotykami i swoimi wojenkami. Oni i ich podwładni czasami przebierali się też na Boże Narodzenie za Świętych Mikołajów i rozdawali ludziom pieczone indyki, prezenty, a nawet pieniądze. Zdobyli przecież dla siebie wszystko, co ich ograniczone mózdzki potrafiły wyśnić: nieopisany dobrobyt, najśliczniejsze kobiety w łóżkach, władzę, samochody i markowe ubrania. Wielkie gesty bezpośrednio poprzedzały ich upadki, które następowały za sprawą policji albo ich rywali i wrogów. A działo się tak, ponieważ dopiero na sam koniec, gdy mieli już wszystko i byli o krok od nieuchronnego upadku, starali się o ludzką miłość i szacunek.

- 268 -

W tej chwili Max mógł jedynie podziwiać działalność dobroczynną Vincenta Paula, niezależnie od tego, jakie nim kierowały motywy. Zaczynał rozumieć, że oto znalazł się w takiej części świata, gdzie wszelkie uznawane przezeń wartości zupełnie się nie sprawdzały. Ludzie z tego świata mogli sobie pomóc jedynie poprzez ucieczkę z niego. I tysiące spośród nich uciekały co roku, narażając przy tym życie, wsiadając do byle jakich łodzi i kierując ich dzioby w stronę Florydy. Ci, którzy tutaj pozostawali, byli skazani na życie na kolanach, zdani na łaskę i niełaskę obcych. Ale ktoś w końcu musiał im pomagać i wydawało się jasne, że nie mógł to być nikt z ONZ ani ze Stanów Zjednoczonych. Dlaczego więc nie miałyby to być największy handlarz narkotyków na całych

Karaibach?

Obserwując, jak Paul przypochebia się tłumowi, Max z każdą chwilą nabierał pewności, że patrzy na porywacza Charliego Carvera. Paul mógł bez większych trudności porwać chłopca i ukryć go w Cite Soleil. Miał wystarczającą władzę, by tego dokonać i zatrzeć wszelkie ślady. W gruncie rzeczy mógł robić wszystko, na co tylko miał ochotę, pewny całkowitej bezkarności.

28

Późnym popołudniem Vincent Paul wsiadł do dzipa i opuścił slumsy. Za jego samochodem ruszyła ciężarówka i dwa auta osobowe.

Max pojechał w sporej odległości za tym małym konwojem. Samochody wkrótce dotarły na suche, rzadko zabudowane przedmieścia, gdzie wzdłuż drogi stały domy albo w połowie zburzone, albo jedynie do połowy zbudowane: Kiedy zapadł zmrok, konwój skierował się ku górą, mknąc stromą gruntową drogą, nad którą bez przerwy unosiły się tumany kurzu.

- 269 -

Ostatni odcinek podróży wiódł przez szeroki płaskowyż. Wkrótce w oddali rozbłysły płomienie ogniska. Dotarłszy do niego, samochody Paula się zatrzymały. Zostały ustawione w taki sposób, że ich światła krzyżowały się i mogły oświetlać duży fragment jałowej, kamienistej ziemi.

Max wyłączył światła swojego auta, podjechał jeszcze trochę bliżej obozowiska i wysiadł. Ustalił, gdzie się znajduje, aby trafić z powrotem, po czym zbliżył się do konwoju.

Skrzynia ładunkowa najbliższej ciężarówki była otwarta. Nagle w jej wnętrzu rozległy się dzikie odgłosy i z ciężarówki wypadł mężczyzna. Uderzył o ziemię z łoskotem, wrzaskiem i brzękiem ciężkich łańcuchów. Jeden z ludzi Vincenta podniósł go i trzasnął nim o ciężarówkę.

Po chwili z pojazdu wypchnięto jeszcze więcej mężczyzn. Wszyscy po kolei padali na ziemię, jeden na drugiego. Max naliczył ich ośmiu. Zawleczono ich na oświetlony teren pomiędzy pojazdami.

Max podszedł jeszcze bliżej. Oprócz niego wydarzenia obserwowała także grupa dziesięciu albo i więcej cywilów.

Odszedł trochę w lewo, pozostając w ciemności. Teraz doskonale widział jeńców, których ludzie Paula ustawili w rzędzie. Wszyscy byli ubrani w mundury ONZ i mieli hinduskie rysy.

Złączywszy ręce za plecami, Paul przeszedł wzdłuż szeregu. Każdemu mijanemu żołnierzowi patrzył prosto w oczy. Przypominał teraz ojca rozzłoszczonego na niesforne dzieciaki. W porównaniu z nim żołnierze byli drobni i słabi.

— Czy którykolwiek z was mówi i rozumie po angielsku? — zapytał.

— Tak — odpowiedzieli żołnierze, jak jeden.

— Który z was jest tu dowódcą?

Jeden z żołnierzy wystąpił przed szereg i stanął na baczność. Próbował spojrzeć Paulowi w oczy i musiał podnieść głowę tak wysoko, że można było odnieść wrażenie, iż patrzy w niebo i szuka na nim jakiejś odległej gwiazdy.

270 -

— Nazywasz się jakoś?

— Kapitan Ramesh Saggar.

— To są twoi ludzie?

— Tak.

— Wiesz, dlaczego was tu przywieźliśmy?

— Nie. Kim jesteście? — zapytał kapitan.

Paul popatrzył przelotnie na cywilów, a później z powrotem na żołnierza.

— Wiecie, dlaczego przebywacie w tym kraju?

— Słucham?

— Dlaczego tu przebywacie, dokładnie tutaj, na Haiti? Co tu robicie? Ty i twoi ludzie, oddział ONZ rodem z Bangladeszu?

— Ja...ja... ja... nie rozumiem.

— Czego nie rozumiesz? Pytania? Czy nie rozumiesz, co robisz w tym kraju?

— Dlaczego pan mnie o to pyta?

— Ponieważ to ja zadaję pytania, a ty masz mi na nie odpowiadać. I pytania, które zadaję, są proste,

kapitanie. Przecież nie żądam, żebyś ujawniał tajne informacje na temat swojego oddziału. Paul był spokojny, ton jego głosu stanowczy, lecz pozbawiony emocji. Jeśli przesłuchanie prowadziło do tego, czego spodziewał się Max, spokój ten był preludium do wybuchu. W takim przesłuchiwanym ludzi doskonały był Joe. Kiedy wchodził do pokoju przesłuchań, podejrzany niemal robił w spodnie na widok jego potężnej sylwetki i marsowej miny. Po chwili mocno się dziwił, słysząc spokojne i konkretne pytania: „Niech mi pan po prostu powie, co chcę wiedzieć, a ja już sam postaram się dla pana o jakiś korzystny układ z prokuratorem”. Jeśli to na przesłuchiwanego nie zadziało i był wyjątkowo odporny na konkrety albo jeśli Joe miał po prostu zły dzień, nagle wybuchął, a podejrzany sam nie wiedział, kiedy lądował na podłodze.

— Odpowiedz na moje pytanie!

271 -

— Jesteśmy tutaj, żeby utrzymywać pokój.

Max usłyszał, że głos kapitana po raz pierwszy zadrżał.

— „Utrzymywać pokój?” — powtórzył Paul. — No i co, to właśnie robicie?

— O co panu chodzi?

— Odpowiadaj na moje pytania. Wykonujecie to, co wam powierzono? „Utrzymujecie pokój?”

— Tak. Sądzę, że tak.

— Dlaczego?

— Bo tu już nie ma wojny domowej. Ludzie ze sobą nie walczą.

— To prawda. Przynajmniej na razie. — Paul popatrzył na pozostałych siedmiu żołnierzy; wszyscy stali w pozycji na spocznij. — Czy jesteście skłonni twierdzić, że wasze zadanie, „utrzymywanie pokoju”, które, jak uważa kapitan, wykonujecie bardzo dobrze, obejmuje także ochronę narodu haitańskiego?

— O... ochronę?

— Tak, ochronę. Czyli zadbanie o to, żeby temu narodowi nie działo się nic złego. Rozumiecie?

W głosie Paula pojawiła się odrobina jadu.

— Tak.

— A więc wykonujecie swoje zadanie?

— Ja... ja... ja myślę, że tak.

— Tak myślisz? Naprawdę tak myślisz? — Paul popatrzył na kapitana.

Kapitan pokiwał głową. Unikał wzroku Paula. Tracił resztki pewności siebie.

— Powiedz mi więc coś, kapitanie. Czy uważasz, że „ochrona narodu haitańskiego” polega także na gwałceniu kobiet? Albo nie, bądźmy bardziej dokładni. Czy uważasz, że „ochrona narodu haitańskiego” polega na gwałceniu i biciu nastoletnich dziewcząt?

Saggar milczał. Jego usta drżały, dygotał ze strachu.

- 272 -

— Słucham! — powiedział Paul i pochylił się nad nim. Cisza.

— Cholera, odpowiedz na moje pytanie! — wrzasnął Paul tak głośno, że wszyscy wokół, nie wyłączając jego własnych żołnierzy, aż podskoczyli. Max poczuł, że jego głos rezonansem zabrzmiał mu w trzewiach jak dudnienie gitary basowej.

— Ja... ja... ja...

— Jaja, jaja — przedrzeźniał Paul kapitana cienkim głosem. — Czy ktoś cię ściska za jaja, kapitanie? Nie? To mi odpowiedz, do cholery!

— N... n... n... nie, nie polega, ale...

Paul uniósł rękę, żeby go uciszyć, i kapitan wzdrygnął się.

— Teraz już pewnie wiesz, o co nam chodzi...

— Przepraszamy — jęknął kapitan.

— Co?

— Już za to przeprosiliśmy. Napisaaliśmy list.

— Niby co? To? — Paul wyciągnął z kieszeni zmięty papier i zaczął czytać: — „Drogi panie Le Fen...” — To ten facet przy dziupie, w czerwonej koszuli, we własnej osobie. „Za pośrednictwem niniejszego listu chciałbym w imieniu własnym oraz w imieniu żołnierzy, służących w Siłach

Pokojowych Organizacji Narodów Zjednoczonych, wyrazić żal z powodu godnego ubolewania incydentu, w którym uczestniczyła pańska córka i kilku żołnierzy służących pod moim dowództwem. Natychmiast podejmiemy środki, aby podobny incydent nigdy w przyszłości się nie powtórzył. Z poważaniem, kapitan Ramesh Saggarr".

Paul złożył powoli list i schował go z powrotem do kieszeni spodni.

— Czy wiesz, że dziewięćdziesiąt procent ludności Haiti nie potrafi czytać? Wiesz o tym, kapitanie?

— N. n... nnie.

- 273 -

— Nie? A wiesz, że angielski nie jest tu dla nikogo pierwszym językiem?

— Tak.

— Jeśli chcesz wiedzieć, to jest trzeci język. Ale dziewięćdziesiąt dziewięć procent Haitańczyków go nie zna. I pan Le Fen należy do tej zdecydowanej większości. Po co więc napisaliście do niego ten list po angielsku, co? I jakie właściwie znaczenie ma ten list dla Vérité Le Fen? Wiesz, kto to jest, kapitanie?

Saggarr nie odpowiedział.

Paul krzyknął coś do grupy cywilów i wyciągnął rękę. Z grupy wyszła dziewczyna, mocno utykając. Stała tuż przed Sag-garem, przodem do niego. Oboje byli tego samego wzrostu, chociaż dziewczyna była nienaturalnie przygarbiona. Max nie mógł tego zobaczyć, sądząc jednak po minie kapitana, twarz dziewczyny musiała być naprawdę w fatalnym stanie.

Max popatrzył po żołnierzach. Jeden z nich, chudy i łysy, z sumiastymi włosami, drżał.

— Rozpoznajesz ją, kapitanie?

— Naprawdę, bardzo mi przykro — powiedział Saggarr do dziewczyny. — To, co z tobą zrobiliśmy, naprawdę było bardzo złe.

— Już mówiłem, kapitanie, ona cię nie rozumie.

— P... pro... proszę przetłumaczyć.

Paul odezwał się do dziewczyny. Ta wyszeptala mu coś do ucha i Paul znowu popatrzył na Saggara.

— Co ona powiedziała?

— Get maman ou. Dosłownie tłumacząc, „pizda twojej matki”. Ale to znaczy również „pierdol się”.

— Co... Co zamierzacie z nami zrobić?

Paul znowu sięgnął do kieszeni, tym razem na piersi. Wyciągnął z niej coś małego, po czym wręczył to Saggarowi. Kapitan spojrzał. Na jego niespokojnej twarzy najpierw pojawiło się niedowierzanie, a potem zmieszanie. To była fotografia.

274

— Skąd pan to ma?

— Z twojego biura.

— Ale... ale...

— Miłe dziewczynki, prawda? Jak im na imię? Saggarr patrzył na fotografie i zaczął łkać.

— Ich imiona, kapitanie.

— Jeśli... jeśli skrzywdzicie kogokolwiek z nas, czekają was ogromne kłopoty.

Paul skinął na ostatniego żołnierza w szeregu. Ustawił go naprzeciw kapitana, cofnął się kilka kroków, po czym wyciągnął pistolet i strzelił mu w skroń. Ciało żołnierza padło bezwładnie na ziemię, a z dziury w jego głowie gejzerem wytrysnęła krew. Saggarr krzyknął.

Paul schował pistolet do kabury, podszedł do zwłok i kopnął je w bok.

— Jak mają na imię twoje córki, kapitanie?

— M... M... Meenai Sass... Su... Su... Sunita.

— Meena? — Paul wskazał palcem na fotografię. — To ta najstarsza? Ta z opaską na włosach?

Kapitan pokiwał głową.

— Ile ma lat?

— Trzy... trzy... trzynaście.

— Kochasz ją?

— Tak.

— Co byś mi zrobił, gdybym ją zgwałcił? Saggar nie odpowiedział. Wbił wzrok w ziemię.
— Nie patrz na swoje buty, kapitanie. Patrz na córkę... Właśnie tak — powiedział Paul, kiedy kapitan wypełnił jego polecenie. — A teraz wyobraź sobie, że zgwałciłem twoją córkę. Potrafisz?
— Paul spojrział na oficera. — Wyobraź sobie: ja i moi ludzie pewnego dnia przejeżdżamy ulicą przed twoim domem. Jest nas ośmiu. Widzimy Meenę, jest sama. Zatrzymujemy się i z nią rozmawiamy. Zapraszamy ją na przejażdżkę. Ona odmawia, ale my i tak ją zabieramy. Tak po prostu,

275

w środku dnia. Widzi nas wielu świadków, jednak nikt nas nie zatrzymuje, ponieważ mamy na sobie wojskowe mundury i jesteśmy uzbrojeni. Aha, zapomniałem dodać pewną, w sumie mało istotną rzecz. W wolnych chwilach jesteśmy oddziałem ONZ, „utrzymującym pokój”. Przebywamy w twoim kraju, żeby cię „chronić”. Tyle że ludzie, których chronimy, w gruncie rzeczy strasznie się nas boją. Wiesz, dlaczego? Ponieważ mamy taki zwyczaj, że porywamy z ulic młode dziewczęta, takie jak Meena.

Saggar zwiesił głowę, opuścił ramiona. Znowu patrzył w ziemię. Bał się, ogarnęło go poczucie winy, jednak jeszcze nie poddawał się losowi. Nie wierzył, że Paul zabije i jego, i wszystkich jego ludzi. Było dla niego niepojęte, że coś takiego może nastąpić. Max jednak już wiedział, że jeńców czeka śmierć. On sam rozmawiał z przywódcą gangu, który porwał Manuełę, podobnie jak Paul z Saggarem. Mówił draniowi o jego siostrze, aby mu w pełni uzmysłowił, jak ciężkie popełnił przestępstwo, aby je spersonalizować, sprawić, żeby poczuł moc bólu, jaki komuś sprawił. Wtedy jednak wydarzenia nie przebiegły zgodnie z jego planem. Przywódca gangu po prostu powiedział Maksowi, że z przyjemnością by popatrzył, jak posuwa jego młodszą siostrzyczkę w dupę. Pięć miesięcy później zaczął ją oddawać miejscowemu pedofilowi. Wtedy Max bez żalu i skrupułów strzelił draniowi w głowę.

— Wywozimy twoją córkę w ustronne miejsce. Dzielna dziewczyna ta twoja Meena. Waleczna. Gryzie jednego z moich kumpli, prawie odgryza mu palec. On z wściekłości uderzają kolbą karabinu w zęby. Następnie łapie jązauszy wtyka członek w jej usta, a pozostali moi kumple w tym samym czasie przytykają jej do głowy lufy pistoletów. Każdy czeka na swoją kolej. Każdy, z wyjątkiem mnie i mojego kierowcy. Ja jestem ponad to wszystko. Bo, widzisz, jeśli mam ochotę na bzykanie, zakładam dwa kondomy i idę do którejś z dominikańskich kurew, które urzędują niedaleko mojego baraku. A kierowca? Po prostu nie lubi seksu zbiorowego.

Po dłuższej zabawie moi chłopcy dają już spokój ustom małej Meeny i zaczynają ją gwałcić. Każdy z nich. Dwukrotnie. Rozdziewiczają dziewczynkę. Rozrywają ją w środku. Dosłownie. Ma krwotok wewnętrzny. Chłopcy to zauważają, oczywiście. I co robią? Przystają gwałcić i wołają lekarza? Nie, nic z tego. Odwracają dziewczynę na drugą stronę i posuwają w dupę. Znowu każdy z nich, po kolei. Dwukrotnie. I wiesz, co robią na zakończenie? Obszczywają Meenę i odjeżdżają w poszukiwaniu następnej dziewczyny. Meenę ktoś znajduje po dwóch dniach. Jest prawie nieżywa. Czy wiesz, ilu potrzeba szwów tylko dla zszycia jej pochwy? Stu osiemdziesięciu trzech! A ona ma dopiero trzynaście lat.

Saggar zaczął płakać.

— Ja., ja... ja niczego nie zrobiłem — zaskomlał.

— Po prostu stałeś i na wszystko patrzyłeś. Patrzyłeś, jak dziewczynę gwałcą twoi ludzie, pod twoim dowództwem. A wystarczyłoby jedno twoje słowo i by przestali. Musisz więc przyjąć za to, co się wydarzyło, pełną odpowiedzialność.

— Niech pan napisze na mnie skargę do przełożonych. Przyznam się do winy. A oni...

— Podejmą wobec ciebie środki dyscyplinarne zgodne z regulaminem wojskowym ONZ. Nawet, kurwa, o tym nie myśl! — wrzasnął Paul. — Rodzina Le Fenów poszła już ze skargą do twoich przełożonych, zanim przyszła do mnie. Wiedziałeś o tym? A co zrobili twoi przełożeni? Kazali ci przeprosić tę rodzinę na piśmie. Jak myślisz, co zrobią za drugim razem? Nakażą ci umyć mój samochód?

— Proszę... — Saggar padł na kolana. — Proszę, nie zabijajcie mnie.

— Gdybym zgwałcił twoją córkę, chciałbyś mnie zabić, prawda?

— Proszę...

- 276 -

- 277 -

— Odpowiedz na moje pytanie.

— Postawiłbym pana przed sądem! — wykrzyczał Saggar.

— Przecież wiesz, że na Haiti prawo nie funkcjonuje. Tutaj nie ma żadnego prawa. Bill Clinton podarł naszą konstytucję i zapłacił prawnikom z Arkansas, żeby napisali nową. Jeszcze tego nie zrobili. Czekając na nią, moglibyśmy zastosować sprawiedliwość bangladeską, nie sądzisz? Co ty na to, kapitanie? Powiedz mi, jaka jest w twoim kraju kara za gwałt?

Saggar nie odpowiedział.

— No, mów. Przecież wiesz. Saggar szlochał, ale milczał.

— Przecież wiesz, że ja wiem — stwierdził Paul. — Przygotowałem się do tej rozmowy. Chcę jednak usłyszeć, jaka jest kara, z twoich ust.

— Śśś... śmierć.

— Słucham?

— Kara śmierci.

— A więc gwałt uważa się w twoim kraju za tak odrażające przestępstwo, że karze sieje śmiercią. Tym niemniej uważasz, że na Haiti gwałt jest dozwolony? Tak uważasz?

— Powiedział pan, że tutaj prawo nie funkcjonuje.

— Jedynie wśród Haitańczyków. Widzisz, to jest nasz kraj. Nasz, a nie twój. Nie wolno ci przyjeżdżać do nas i traktować nas w taki sposób. Musisz ponieść konsekwencje. I ja właśnie jestem twoją konsekwencją.

— Moi ludzie chcieli tylko się trochę zabawić. Nie zamierzały skrzywdzić dziewczynki.

— Spróbuj wyjaśnić to jej, dobrze? Czy wiecie, parszywe dranie, że nie tylko zniszczyliście na zawsze jej twarz, spowodowaliście, że pękł jej kręgosłup, ale też doprowadziliście do tego, że nigdy nie będzie w stanie normalnie chodzić? Nie poniesie niczego na plecach. A w tym kraju kobiety noszą wszystko. Ona, kiedy dorośnie, będzie praktycznie mar-

- 278 -

twa. Zrujnowaliście jej życie. Mogliście ją zabić, na to samo by wyszło.

Na twarzy Saggara lśniły łzy.

Paul wskazał na prawą stronę.

— Idź i stań tam. — Potykając się, Saggar postąpił kilka kroków. — Stój. Nie ruszaj się.

Jeden z ludzi Paula przyłożył kapitanowi do głowy lufę karabinu.

Paul podszedł do pozostałych żołnierzy z Bangladeszu i złapał jednego z nich za ramię. Następnie obejrzał jego dłonie. Po chwili wykręcił mu rękę i wyciągnął go z szeregu. Żołnierz nie zdołał nawet poruszyć stopami; Paul brutalnie pociągnął go do miejsca, w którym stał Saggar.

— Nazywasz się Sanjay Veja?

— Tak jest! — krzyknął żołnierz. Był łysy i gładko ogolony. Głos miał mocny i zdecydowany.

— Dziewczyna ugryzła cię w palec i dlatego walnąłeś ją w twarz kolbą karabinu. Zgwałciłeś ją pierwszy. Byłeś najbardziej brutalny. Masz coś do powiedzenia?

— Nie — odparł Veja. Nie próbował się bronić.

— Zdejmuj spodnie.

— C.co?

— Spodnie. — Paul wskazał na nie palcem i powoli powtórzył: — Zdejmij je.

Veja spojrzął za siebie, na pozostałych żołnierzy. Żaden z nich jednak na niego nie patrzył. Wykonał polecenie. Paul odszedł od niego na kilka kroków i zaczął oglądać ziemię. Przez chwilę podnosił kamienie, ważył je w rękach i w końcu odrzucał tak długo, aż wreszcie znalazł, co chciał: dwa duże płaskie kamloty, pasujące do jego szerokiej dłoni.

— I zdejmij gacie — rozkazał Paul, nawet się nie odwróciwszy.

Veja znowu zerknął na kolegów i powoli zdjął białe bokserki.

- 279 -

Paul podszedł do niego z dłońmi złączonymi za plecami.

— Złap w ręce swojego fiuta. — Paul odczekał, aż żołnierz zrobił to, co mu polecił. — Teraz stań swobodnie.

Max patrzył, jak Vincent Paul pochyla się nad krocem żołnierza. Haitańczyk głośno wciągnął powietrze przez nos i nagle machnął rękami, w których trzymał kamienie. Te z obu stron trzasnęły w zwisające jądra żołnierza. Max usłyszał równocześnie dwa dźwięki: głośny trzask zderzających się kamieni i równie głośny, przeraźliwy skowyt żołnierza.

Potworny ból sprawił, że oczy Veji niemal wyskoczyły z orbit, a na jego łysej czaszce nabrzmiały wszystkie żyły. Otworzył szeroko usta, jednak mięśnie jego żuchwy nagle zastygły i przez chwilę nie był w stanie zamknąć ust.

Dopiero po sekundzie zdał sobie sprawę, co się stało. Gdy świadomość nieszczęścia dołączyła do nieopisanego fizycznego bólu, jego skowyt przerodził się w niekontrolowany, piskliwy jęk i szloch. Max poczuł ciarki wzdłuż kręgosłupa i zrobiło mu się niedobrze. Jeden z kumpli Veji zwymiotował, dwóch zemdlalo, a pozostali — wśród nich kapitan Saggar — zaczęli szlochać i zmoczyli się w spodnie.

Tymczasem Paul jeszcze nie skończył. Opuścił ręce, chwycił to, co zostało z moszny żołnierza, i zaczął mocno kręcić w lewą stronę. Max zobaczył, że goła noga żołnierza podnosi się z ziemi, a stopa drży. Po chwili Paul przekręcił mosznę w prawo, aż wreszcie zaczął nią gwałtownie szarpać i obracać w obie strony, jakby wykręcał mokre pranie.

Nagle znieruchomiał. Dwukrotnie nabrał w płuca powietrze i dwukrotnie głośno je wypuścił. Odchrząknął, po czym jednym gwałtownym szarpnięciem oderwał resztki moszny od ciała żołnierza. Odgłos, jaki temu towarzyszył, podobny był do tego, jaki powstaje przy wyrwaniu piór z martwych kurczaków.

Veja cofnął się powoli, krok po kroku. Poruszał ustami, nie wydając żadnego dźwięku. W jego oczach widoczny był ból

i niedowierzanie. Zachwiał się, zrobił jeden krok do przodu, ale po chwili znowu się cofał.

Max dostrzegł krwawą miazgę pomiędzy jego nogami i strumyki szkarłatnej krwi ciekące po udach.

Veja dotknął dłońmi okrutnej rany pod swoim członkiem.

Paul odrzucił wyrwaną mosznę gdzieś daleko.

Veja podniósł do oczu zakrwawione ręce. Uważnie je oglądał, a tymczasem po jego twarzy spływały gęste ciężkie łzy. Nagle padł na plecy i głośno uderzył czaszką w kamienistą ziemię.

Paul wyciągnął pistolet i kilkakrotnie strzelił martwemu żołnierzowi w głowę. Następnie próbował wyrwać z grupy kolejnego przerażonego żołnierza. Ten szarpał się, płakał, wył, za nic w świecie nie chciał zrobić kroku. Opierał się tak długo, że wreszcie Paul trzasnął go zakrwawioną dłonią w twarz.

— Będiesz teraz stał tutaj i patrzył na kumpli. Tak jak wtedy, kiedy gwałciliście dziewczynkę — powiedział Paul i odwrócił się twarzą do jego rodaków.

Krzyknął coś do ludzi, którzy pilnowali Saggara. Ci zawlekli go do pozostałych żołnierzy.

— Jesteś zwierzęciem, potworem! — krzyknął Saggar do Paula. — Zostaniesz za to ukarany.

Paul cofnął się i gwizdnął. Wtedy w powietrzu zaczęły latać kamienie.

Pierwszą serię rzutów oddała rodzina dziewczyny, ustawivszy się tuż przed gwałcicielami. Rzucali w nich dużymi kamieniami, znad głów i z bioder. Wszystkie trafiały do celu, przeważnie w głowy, roztrzaskując czoła, rozbijając łuki brwiowe, kalecząc oczy.

Gwałciciele próbowali uciekać do tyłu, jednak z ciemności za nimi natychmiast wystrzeliły kolejne kamienie, wyrzucane przez niewidzialne ręce. Jeden z żołnierzy stracił przytomność, kolejny padł na ziemię, podciągnął nogi do klatki piersiowej i zastygł w pozycji embrionalnej.

- 280 -

- 281 -

Kamienie bezustannie trafiały w głowy, twarze, kolana i piersi. Max zobaczył, że jeden z gwałcicieli zginął, gdy duży i kanciasty kamień roztrzaskał mu skroń, wbijając kości w mózg.

Saggar padł na czworaki i obracał się na wszystkie strony, szukając drogi ucieczki. Jego twarz cała

była we krwi, a lewe oko całkowicie znikło pod opuchlizną.

Zaden z gwałcieli nie stał już na nogach, kiedy rodzina Le Fen zbliżyła się do nich z kijami i maczetami. Na czele szła Vérité, podtrzymywana przez ojca. Pozostali ludzie, którzy dotąd rzucali kamieniami, wyszli z ciemności i razem z Le Fenami utworzyli krąg dookoła żołnierzy.

Chwilę później z zamkniętego kręgu zaczęły docierać odgłosy bicia, dżgania i kopania. Max usłyszał kilka okrzyków bólu, wszystkie jednak były niczym po straszliwych wrzaskach Veji, które wciąż brzmiały w głowie Maksa.

Tłum pastwił się nad ciałami, wyładowując nienawiść i napawając się okrutną zemstą. Dopiero zmęczenie oprawców sprawiło, że straszna rzeź dobiegła końca.

Cofnąwszy się, ludzie pozostawili na ziemi cynobrowe ochłapy, lśniąco kleiste jezioro zemsty.

Do żołnierzy podszedł jeden z ludzi Paula i wpakował po kuli w każdą czaszkę. Strzały zakończyły życie tych gwałcieli, którzy przetrwali kamieniowanie i dalszą część masakry

Paul popatrzył na kierowcę.

— Teraz ty... Wrócisz do koszar w Port-au-Prince i powiesz wszystkim, co się tu stało. Zaczynaj od przyjaciół, kolegów i swojego dowódcy Powiedz im, że to ja za to odpowiadam. Vincent Paul.

Zrozumiałeś?

Mężczyzna pokiwał głową. Słychać było, jak szczękają mu zęby.

— A kiedy im wszystko opowiesz, przekażesz im także wiadomość ode mnie. A brzmi ona następująco: jeśli któryś

- 282 -

z was kiedykolwiek zgwałci lub zrani którąś z naszych kobiet lub któreś z naszych dzieci, zginie.

Właśnie w taki sposób. — Paul wskazał na zbezczeszczone zwłoki. — A jeśli którykolwiek z was zacznie rozmyślać o zemście za to, co się dziś stało, wszyscy powstaniemy i zmasakrujemy was co do jednego. Nikomu nie odpuszczimy. I to nie jest groźba, ale obietnica. Teraz możesz odejść.

Kierowca zaczął się wycofywać, bardzo powoli, niepewnie, szurając nogami, ze spuszczoną głową. Przeszedłszy kilka kroków, nagle ruszył biegiem i zaraz zniknął w ciemności, niczym człowiek, na którym płonęło ubranie i który nagle wskoczył do wody.

Paul podszedł do członków rodziny Le Fen.

Max nie był w stanie się poruszyć. Szok i zniesmaczenie zupełnie go otumaniły, umysł miał jakby sparaliżowany z powodu tego, co przed chwilą zobaczył. Nienawidził gwałcieli i teoretycznie nie miał powodów, żeby oponować wobec tego, co uczynił Paul.

Bo to, co zrobili żołnierze, było złe, wstrętne i okropne, a oficjalna „kara”, jaką otrzymali, zakrawała na kpinę. Tym niemniej nie mógł uznać masakry za akt sprawiedliwości. Dziewczynce nie zwróciło to zdrowia i niewinności, dało jej tylko satysfakcję, że gwałciciele zostali ukarani, że przed śmiercią strasznie cierpieli. Ale co z tego?

Jasne, kara wymierzona przez Paula zapewne zadziała odstrasząco na Haiti, jednak kiedy oddziały ONZ przeniosą się w inne miejsce, nie zmienią postępowania i będą gwałcić i kaleczyć w innych krajach, do których zostaną rzucone w ramach misji „pilnowania pokoju”.

Lepiej, bardziej odpowiedzialnie, Paul postąpiłby, gdyby porozmawiał z dziennikarzami i za ich pośrednictwem zmusił dowództwo kontyngentu do ukarania żołnierzy i dania całemu światu do zrozumienia, że podobne postępowanie nigdy nie będzie tolerowane i zawsze będzie karane.

283

Ale wtedy Max pomyślał o Sandrze i zadał sobie pytanie, jak on sam postąpiłby na miejscu Paula. Czy czekałby, aż jakiś sędzia skáže gwałcieli na piętnaście lat, a może na dożywocie, jeśli dowody będą naprawdę mocne? Nie, oczywiście, że nie. On także wykastrowałby sukinsynów gołymi rękami.

Co o tym wszystkim myśleć? Paul miał rację, postąpił właściwie. W końcu nie musiało go obchodzić, co robią żołnierze ONZ w innych krajach. Był w swoim kraju i egzekwował sprawiedliwość w imieniu swojego narodu. Tak jak potrafił.

Postąpił sprawiedliwie? Och, pieprzyć to wszystko.

Max wycofał się do samochodu i odjechał.

29

Kiedy Max jechał główną ulicą prowadzącą na rynek w Pe-tionville, życie nocne było w pełnym rozkwicie. Drzwi wszystkich barów i restauracji, nad którymi świeciły zapraszająco jaskrawe neony, były szeroko otwarte. W środku jednak prawie nie było klientów.

Max musiał się napić i poszukać jakiegoś towarzystwa, żeby powrócić do równowagi, szukał banalności i możliwości porozmawiania o byle czym, żeby tylko zapomnieć o szoku i przerażeniu, które wciąż ścisnęło mu żołądek i mroziło krew w żyłach. Minęły całe lata, odkąd widział śmierć, a było to wtedy, kiedy sam ją zadał. Jego ofiary z pewnością na to zasługiwały, jednak zastrzelenie ich wcale nie było przez to łatwiejsze. Wspomnienie zabójstwa pozostawało w człowieku do końca życia, nawet jeśli potem nie było już tak mocne, jak na początku. Max kilkakrotnie widział, jak ludzie umierają na krześle elektrycznym, widział, jak płoną ich głowy, ledwie skryte pod kapturami, widział, jak rozpłaszcza się ich skóra i odpada od kości niczym roztopiony wosk od świecy. Widział, jak gliniarze strzelają do przestępców i jak przestępcy mordują gliniarzy. Miał też świadomość, że sam zabijał jako policjant. Nie wiedział, ile osób zabił na służbie, bał się policzyć, ale pamiętał wyrazy ich twarzy, kiedy błagali o życie albo kazali mu się pieprzyć czy się modlili. Zapamiętał umierającego człowieka, który w ostatniej chwili życia powiedział, że mu wybacza; w jego oddechu uniósł się odór spalonego prochu i miętowej gumy do żucia. Szef Maksa, Eldon Burns, liczył, ile osób zabił na służbie, ale był na tym tle lekko zbiegowany — liczył dosłownie wszystko, co się dało. Służbowy rewolwer trzymał w szklanym pudełku na biurku. Na lufie robił nacięcia; każde z nich oznaczało jedno odebrane życie. Max naliczył tych nacięć szesnaście. Mijając „La Coupole”, zobaczył Huxleya stojącego w drzwiach i rozmawiającego z trzema dziećmi. Max zatrzymał samochód i skierował się do baru.

— Cieszę się, że cię znów widzę, Max — powiedział Huxley serdecznie i potrząsnął jego ręką. Chłopcy, z którymi przed chwilą rozmawiał, jakby trochę przestraszyli się Maksa. Najmłodszy starannie skrył się za najstarszym, najwyższym.

Huxley odezwał się do nich. Najwyższy chłopiec odparł coś po kreolsku, mówiąc szybko, z ekscytacją. Głos miał chrapliwy i nieprzyjemny. Wskazał na Maksa palcem, niemal dotykając jego piersi.

— Co on mówi? — zapytał Max. Przypuszczał, że chłopiec był jednym z tych, którzy go napadli.

— Mam ci przetłumaczyć, że bardzo mu przykro z powodu nocnego napadu — odparł Huxley i ze zdziwieniem zmarszczył czoło.

Max popatrzył na chłopca. Miał małą głowę, niewiele włosów i drobniutkie oczy, które lśniły jak guziczki z onyksu. Dzieciak raczej się go teraz bał niż autentycznie przepraszał.

— Mówi, że nie wiedział, kim jesteś — kontynuował Huxley.

— A za kogo mnie uważa?

- 284 -

- 285 -

Huxley powtórzył pytanie chłopakowi. Z kreolskiego jazgotu, jaki rozległ się w odpowiedzi, wyłowił nazwisko Vin-centa Paula.

— Mówi, że jesteś przyjacielem Paula.

— Jego przyjacielem? Ja nie...

Chłopiec przerwał mu kolejnym potokiem słów.

— Mówi, że Paul kazał im pilnować, żeby ci tu nie spadł włos z głowy — powiedział Huxley.

Widać było, że słowa chłopca zrobiły na nim wrażenie. — Spotkałeś go?

Max nie odpowiedział.

— Zapytaj chłopaka, kiedy widział Paula po raz ostatni.

— Wczoraj — odrzekł Huxley. — Postawisz drinka?

Huxley śmiał się, kiedy Max mu opowiedział, co się stało po ich poprzednim spotkaniu.

— A powinieneś być jedynie potraktować dzieciaka z odrobiną szacunku. Powinieneś zachować się stanowczo, ale grzecznie. Dałby ci spokój. Oni nie są namolni — wyjaśnił Huxley. — Niegrzeczne zachowanie wobec kogoś, kto od urodzenia nie ma nic do stracenia, nie jest zbyt mądre. A już niegrzeczność wobec kogoś takiego w jego własnym kraju, na jego własnych ulicach, jest cholerną głupotą, Max. Miałeś szczęście, że Vincent Paul pojawił się w odpowiedniej chwili.

Bar był niemal pusty, nie grała muzyka. W ogrodzie na zewnątrz bawiła się jednak duża grupa Amerykanów. Wyglądali na facetów ze Środkowego Zachodu, kowbojów ze słomą w butach, korzystających z wolnego weekendu. Max usłyszał, jak strzelają „na sucho” z karabinów, a następnie wsuwają na miejsce magazynki.

Dopijał trzeciego nierozcieńczonego barbacourta. Porcje, jakie serwował barman, były więcej niż duże. Alkohol znowu zaczął działać na Maksa, osłabiając jego czujność.

— No i jak było w Gównianym Mieście? — zapytał Huxley, zapalając papierosa. — Byłeś tam dzisiaj, prawda?

Max posłał mu podejrzliwe spojrzenie.

— Daj spokój, Max. Śmierdzisz, kurwa, jak skunks. — Huxley roześmiał się. — Wiesz, jak tutaj przewiduje się, że wybuchną zamieszki? Wszystko zaczyna nagle śmierdzieć jak ty teraz, smrodem Gównianego Miasta. Kiedy ludzie wylęgają z Cité Soleil i zmierzają do Port-au-Prince, żeby obalić rząd, chmury zatykają nosy, wiatry wieją w przeciwnym kierunku, a ptaki spadają z nieba. Ja znam ten smród. Nie możesz mnie oszukać, Mingus. Pamiętaj, jestem Haitańczykiem.

Max zdał sobie sprawę, że wciąż ma na sobie buty, które kupił na jeden raz. Po kostki były umazane ziemią z Cité Soleil.

— Przepraszam cię za ten smród.

— Nic się nie przejmuj. Natrafiłeś na cokolwiek interesującego? — zapytał dziennikarz.

— Właściwie na nic ważnego — odparł Max. Nie zamierzał opowiadać Huxleyowi o tym, czego był świadkiem. — Ot, widziałem operację przynoszącą ulgę. Działalność charytatywną Vincenta Paula.

— Zielone namioty? Tak, z ich powodu jest sławny. Ludzie kochają go w slumsach właśnie ze względu na te namioty. Opiekuje się nimi. Plotki mówią, że w tym mitycznym mieście, które rzekomo zbudował, są szpitale i szkoły dla biednych. I to wszystko jest dla nich za darmo, finansowane z pieniędzy, jakie Paul zarabia na handlu narkotykami. Facet jest takim kokainowym Castro.

Max roześmiał się.

— Wiesz, gdzie leży to miasto?

— Nie. Ono jest jak Eldorado. Nikt nie ma pojęcia, gdzie się znajduje ani jak się tam dostać, wszyscy jednak przysięgają, że istnieje — powiedział Huxley. — Co słyhać w twoim śledztwie?

- 286 -

- 287 -

— To dopiero początek — odparł Max i upił łyk rumu. Do środka weszli Amerykanie, mniej więcej trzydziestu

marines. Przeszli przez salę, ciężko stąpając. Wszyscy mieli twarze wysmarowane na czarno, wszyscy byli od stóp do głów uzbrojeni, gotowi do natychmiastowej walki.

— Co się dzieje? — zapytał Max cicho. — Jakaś większa akcja?

— Nie. — Huxley uśmiechnął się, potrząsnął głową i przez chwilę patrzył, jak Amerykanie wychodzą na ulicę. — Wiesz, jak przebiegała ta cała „inwazja”? Nie padł ani jeden strzał. Nikt się niczemu nie przeciwstawił. No i wielu żołnierzy jest wkurzonych z tego powodu, że jeszcze na oczy nie widziało walki, dlatego co parę tygodni wylazą całymi oddziałami do miasta i prowadzą gry wojenne z jednostkami ONZ. Żołnierze ONZ zwykle bronią starych baraków w dzielnicy Carrefoura w Port-au-Prince. Zadaniem marines jest ich zdobycie.

— Czyli dobrze się bawią? — zauważył Max z sarkazmem.

— Jest w tym pewien haczyk.

— Tak? Jaki?

— Wszyscy używają bojowej amunicji.

— Cholera jasna!

— Naprawdę.

— Nie!

— Przysięgam na moją matkę.

— Jeszcze żyje?

— No jasne. — Huxley roześmiał się.

— A co z ofiarami?

— Nie ma ich tak wiele, jak mógłbyś się spodziewać. Po obu stronach padło kilku zabitych, jednak wysokie dowództwo sprawy zatuszowało. Zawsze można coś takiego zwalić na wrogi atak albo na jakiś nieszczęśliwy wypadek.

— Wciąż ci nie wierzę.

— Ja też w to nie wierzyłem, dopóki nie zobaczyłem na własne oczy — powiedział Huxley i wstał.

— Dokąd idziesz?

— Mam w samochodzie kamerę wideo. Czekam, aż któryś z tych facetów otrzyma postrzał. Jak to nagram, sprzedam kasetę CNN.

— Myślałem, że zajmujesz się tylko poważnymi sprawami.

— Bo tak jest. Trzeba jednak z czegoś żyć. — Huxley roześmiał się. — Idziesz ze mną?

— Nie dzisiaj. Miałem ciężki dzień. A ty nie daj się zastrzelić.

— Ty także. Uważaj na siebie.

Podali sobie ręce i Huxley wyszedł za żołnierzami. Max zamówił kolejny rum i popatrzył na papieros, który dziennikarz zostawił niezgaszony w popielniczce. Dym z papierosa unosił się aż do sufitu. Maksa nie obchodziło, czy to, co przed chwilą usłyszał od Huxleya, było prawdą. W gruncie rzeczy uznał całą sprawę za zabawną i chciało mu się z niej śmiać. Obecnie tylko to się liczyło.

30

Następnego dnia rano Max zatelefonował do Allaina Carvera i powiedział mu, że chce przesłuchać wszystkich służących, którzy pracowali w rezydencji w czasie, kiedy doszło do porwania Charliego.

Allain odparł, że załatwi to dla niego na jutro.

Max przesłuchiwał służących w małym pokoju na parterze głównego budynku, z oknem wychodzącym na trawnik i na rząd otaczających trawnik gęsto posadzonych drzew. Poza stołem i dwoma krzesłami, na których zasiedli on i Chanta-le, w pokoju nie było żadnych dodatkowych mebli. Makso-

- 288 -

- 289 -

wi szybko przyszło do głowy, że taki zestaw specjalnie służył wzmocnieniu kodu społecznego tego domostwa — kiedy się do nich mówiło, służący musieli stać. Postanowił więc zaoferować miejsce do siedzenia każdemu, z kim rozmawiał. Służący jednak grzecznie odmawiali i dziękowali za uczynność, zarówno ci bardzo starzy, jak i ci bardzo młodzi. Wszyscy posyłali szybkie, krótkie spojrzenia na jedyny obraz, jaki wisiał na ścianie w pokoju — wielki olejny portret Gustava, najprawdopodobniej niedawno namalowany, przedstawiający go w beżowej marynarce i czarnym krawacie, spoglądającego na służbę sponad głów osób prowadzących przesłuchanie. U stóp Gustava, trzymany na krótkiej i grubej skórzanej smyczy, siedział buldog. Jego sierść miała kolor identyczny jak marynarka Gustava, a łeb i spojrzenie wykazywały pewne, bynajmniej nie bardzo odległe podobieństwo do gargantuicznego oblicza jego pana.

Służba w rezydencji Carverów była, generalnie rzecz biorąc, podzielona na odpowiadającą za żywienie, sprzątanie i czyszczenie, utrzymanie sprzętu mechanicznego, utrzymanie ogrodu oraz za bezpieczeństwo. Ludzie ci byli zatrudniani bezpośrednio przez Gustava. Allain i Francesca mieli własną, odrębną świtę.

Przesłuchania ciągnęły się według jednego wzoru. Max zaczął od ludzi starego. Pytał ich o personalia, zadania, które wykonują, z kim współpracują, od jak dawna są zatrudnieni w rezydencji, gdzie przebywali w dniu porwania, oraz o to, czy widzieli lub słyszeli cokolwiek podejrzanego w ciągu ostatnich tygodni przed porwaniem. Poza podaniem własnych nazwisk oraz przekazaniem informacji o obowiązkach i okresie pracy, wszystkie ich odpowiedzi były identyczne. Czwartego września 1994 roku pracowali w domu lub w pobliżu domu i widziało ich wówczas przynajmniej kilkoro innych ludzi.

Z odpowiedzi, jakie padły na pytanie o Eddiego Faustina, Max wywnioskował, że ochroniarz przemknął przez życie

tych ludzi jako ktoś zupełnie nieznajomy. Wszyscy go pamiętali dość dobrze, jednak nikt nie miał na jego temat wiele do powiedzenia. Zнали go jedynie z widzenia. Gustav Carver zabronił służbie domowej utrzymywania jakichkolwiek kontaktów osobistych z członkami ochrony i na odwrót. Nawet gdyby ktokolwiek naprawdę chciał się lepiej poznać z Faustinem, mogłoby to się okazać niemożliwe, ponieważ Faustin spędzał większość czasu poza domem. Nie widywano go także po zakończeniu pracy, ponieważ nie mieszkał ze wszystkimi, w kwaterach dla służby, lecz w głównym budynku, w jednym z pokoiów w piwnicy przeznaczonych przez Gustava dla kluczowego personelu.

Służący jako tacy wszyscy byli do siebie podobni. Identycznie się uśmiechali, byli identycznie ugrzecznieni, prezentowali takie same maniere. Max miał mnóstwo kłopotu z odróżnieniem jednej osoby od drugiej.

Zrobili sobie z Chantale przerwę na lunch, który zjedli na miejscu: grillowaną rybę, tak świeżą, że w jej mięsie czuli jeszcze smak morza, a także sałatkę z pomidorów, czerwoną fasolę kidney oraz czerwoną i zieloną paprykę.

Kiedy skończyli posiłek, Chantale zadzwoniła dzwoneczkiem, który otrzymali do pokoju wraz z jedzeniem. Służące szybko weszły i posprzątały puste talerze.

— Miałem cię zapytać o Arkę Noego, pamiętasz? — powiedział Max do dziewczyny, ostrożnie dobierając słowa. Jednocześnie przeglądał notatki w poszukiwaniu kolejnej czystej kartki.

— Zapytaj o to następną osobę, która się tu pojawi — odparła Chantale raczej szorstko. — Oni wiedzą na ten temat znacznie więcej ode mnie. Wszyscy stamtąd pochodzą.

Max tak właśnie zrobił. Następne rozmowy odbył ze służącymi Allaina i Franceski. Arka Noego, dowiedział się, była sierocińcem i jednocześnie szkołą, znajdowała się w Port-au-Prince, a była prowadzona przez Carverow i do nich należa-

291

ła. Rodzina rekrutowała z tej szkoły nie tylko domową służbę, ale dosłownie wszystkich, którzy dla niej pracowali.

Nowi przesłuchiwanym różnili się od służących Gustava. Ich osobowości były bardziej wyraziste. O Faustynie wiedzieli dużo więcej niż poprzednicy. Opisywali, jak przetrząsał śmieci Franceski, jak kradł nie wiadomo co z pojemnika na śmieci i zanosił do swojego pokoju. Kiedy sprzątano ten pokój po jego zniknięciu, znaleziono lalkę voodoo, którą Faustin wykonał z włosów Franceski, resztek paznokci, chusteczek, starych opakowań po szminkach i z jej tamponów. Niektórzy opowiadali Maksowi plotki, jakoby ochroniarz zabierał z Petionville dominikańskie dziwki o jasnej skórze i płacił im ekstra za zakładanie na głowy w czasie stosunków peruk z jasnymi włosami. Wielu twierdziło, że Faustin regularnie był widywany, jak wchodził albo wychodził z baru o nazwie „Nwoi et Rouge”, prowadzonego przez jego kumpli z Macoute. Jeden lub dwaj wystękali, że widzieli, jak wyciąga ze śmieci brudne pieluchy Charliego, a ostatni spośród przesłuchiwanym służących powiedział, że podsłuchiwał, jak Faustin rozmawiał z kimś o domu w Port-au-Prince, którego miał być właścicielem.

Skończyli przesłuchania późnym popołudniem. Kiedy zjeżdżali z gór w kierunku Petionville, Max opuścił szyby w samochodzie i pozwolił, żeby do środka dostało się powietrze z zewnątrz. Chantale sprawiała wrażenie skrajnie wyczerpanej.

— Dziękuję ci za pomoc — powiedział Max. — Znowu ci dziękuję. — Po chwili dodał niezgrabnie: — Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

— Może chciałbyś się napić? — zapytała Chantale. Na jej ustach błąkał się słaby uśmiech.

— Jasne. Co proponujesz?

— Jestem pewna, że masz już jakieś miejsce na myśli.

- 292 -

— Może ulubiony bar Eddiego Faustina? — rzucił Max.

— Nietrudno było zgadnąć — powiedziała dziewczyna i roześmiała się rubasznie.

31

„Nwoi et Rouge” otrzymał nazwę na cześć kolorów flagi ha-itańskiej pod rządami Duvalierow.

Czarne i czerwone. Papa Doc zmienił oryginalny niebieski kolor na czarny, aby podkreślić całkowite zerwanie kraju z kolonialną przeszłością, lepiej uwypuklić kolor skóry zdecydowanej większości jego mieszkańców i wreszcie podkreślić swoją wiarę w noirisme

— czarną supremację. Wiara ta nie rozciągała się na kobietę, którą poślubił; Simone była mulâtresse o jasnej skórze. Nie rozciągała się też na Stany Zjednoczone Ameryki, których wojskową i finansową pomoc radośnie akceptował, gdyż pozwalała mu utrzymywać się przy władzy. Dla wielu ludzi kolory na fladze narodowej były symbolem najbardziej mrocznego i najbardziej krwawego okresu w i tak już gwałtownej oraz pełnej zawirowań historii kraju. Maksowi flaga ta przypominała o nazistach, gdyż i oni stosowali czerń i czerwień. Broń — czyli

działa, muszkiety i kije — dominowała na umieszczonym na fladze herbie nad lichym drzewem palmowym, zwieńczonym czapką frygijską. Musiał to wymyślić jakiś pijany malarz, mający zamiłowanie do osiemnastowiecznej historii. Kto, do cholery, byłby skłonny do poważnego traktowania kraju z tak idiotyczną flagą?

Flaga była dumnie zawieszona za barem, pomiędzy oprawionymi w ramki fotografiami Papy Doca i Baby Doca. Papa był czarny i miał siwiutkie włosy, a grube szkła okularów w czarnych oprawach dodawały trochę ludzkiego wyglądu jego ściągniętej twarzy, której rysy sugerowały, że jest to człowiek zdolny do nieograniczonych wprost okrucieństw. Z kolei jego

- 293 -

syn, Jean-Claude, sprawiał wrażenie leniwego walkonia. Miał łagodną, arabską twarz, brązową skórę i głupkowaty wzrok.

Bar znajdował się w wolnostojącym jednoizbowym budynku, który stał przy szosie w połowie drogi pomiędzy górami a pierwszymi zabudowaniami Petionville. Łatwo go było przegapić, ale też łatwo było go znaleźć, jeżeli ktoś wiedział, czego akurat szuka.

Kiedy Max wszedł z Chantale do środka, pierwszym, co spostrzegł, wcale nie była flaga albo portrety, lecz krępy stary mężczyzna, który zamiatał podłogę w świetle jedynej żarówki, świecącej tak jasno, że wydawała się jakby płynna. Sprawiała wrażenie, jakby ją wykonano ze stali, która zaraz się stopi i płynny metal przepali dziurę w podłodze aż do gołego cementu.

— Bond-joor — odezwał się Max.

— Bon-soir — poprawił go mężczyzna.

Ubrany był w białą koszulkę z krótkimi rękawkami, luźne sprane dżinsy, które podtrzymywały czerwone szelki i w sandały bez pięt. Kurz z podłogi zmiatał na stertę pod ścianą.

Za barem znajdowała się przeszklona chłodziarka do napojów, długi rząd butelek na półce, a na samym końcu, tuż przed wysokim wentylatorem, wisiała czarna tablica, na której Max odczytał słowo „TAFFIA”, zapisane dużymi koślawymi literami. Pod tym słowem ktoś ułożył dwa równania. Obok rysunku szklanki za znakiem „=” widniał nieporadny rysunek ręki z wyprostowanymi wszystkimi palcami, a obok rysunku butelki — dwóch rąk ze wszystkimi palcami wyprostowanymi.

Max rozejrzał się, szukając miejsc do siedzenia, jednak w barze ich właściwie nie było. Pod ścianami stały jedynie skrzynie po butelkach, ułożone w większe lub mniejsze sterty. Odgadł, że w zamyśle właściciela baru sterty te służą jako stoły i siedzenia. Tutaj piło się w stylu prymitywnym, pierwotnym, warunki były niemal frontowe.

Mężczyzna popatrzył na Chantale i zaczął z nią rozmawiać.

- 294 -

Jego głos przypominał dźwięki, jakie wydawałby pociąg, gdyby nagle wypadł z torów i dalej toczył się w dół po długim, ostrym zboczu, rozrzucając na wszystkie strony ładunek, aż do całkowitego zatrzymania się i katastrofy. W potoku słów Max usłyszał jednak, że dwukrotnie padło nazwisko „Carver”.

— On mówi, że jeśli ty także szukasz chłopaka Carverow, to przychodząc tutaj, do niego, niepotrzebnie straciłeś czas — przetłumaczyła po chwili Chantale. — Powie ci jedynie to, co powiedział innym.

— A co takiego? — zapytał Max.

Jednocześnie starał się uchwycić wzrok mężczyzny, jednak bez skutku, a to dlatego, że był on ustawiony w taki sposób, iż jego oczy pozostawały w cieniu, chociaż żarówka dawała mocne światło. Mężczyzna odpowiedział na pytanie, roześmiał się i pomachał Maksowi ręką.

— Że go tu nie ma. Do widzenia.

— Bardzo śmieszne — mruknął Max.

Czuł, że na głowie perli mu się pot. Po chwili jego krople zamieniły się w strużki i zaczęły ściekać w dół czaszki. Nieuchronnie łączyły się jedne z drugimi i stawały się coraz cięższe i bardziej nieprzyjemne. Bar śmierdział dymem z papierosów, stęchlizną i przede wszystkim eterem.

— A dlaczego ci inni uważali, że chłopiec tu jest? — zapytał Max.

— Z powodu mojego wielkiego przyjaciela, Eddiego Faustina — odrzekł mężczyzna i wskazał w prawo, na jakieś miejsce na ścianie.

Max zrobił kilka kroków w tym kierunku i dostrzegł, że żarówka oświetla pojedynczą fotografię w ramce. Od razu rozpoznał na niej Faustina. Ochroniarz Carverow miał dużą głowę, bulwiasty nos, grube policzki, wylupiaste oczy i odstające uszy oraz twarz genetycznie ukształtowaną w taki sposób, że nie był w stanie ukrywać za wargami górnych przednich zębów. Faustin nie był postawnym mężczyzną. Jego ciało było jakieś

- 295 -

liche, stanowczo zbyt drobne w stosunku do dużej głowy. Max zdziwił się, że ktoś taki był w stanie przeżyć po otrzymaniu postrzału przeznaczonego dla Carvera.

Na fotografii pozował w towarzystwie dwóch innych osób: swojego brata, Salazara, i barmana, który w ręce trzymał rewolwer, a nogę w ciężkim bucie umieścił na czyichś zwłokach. Spod pleców i głowy martwego człowieka wyływały strugi krwi. Jego ręce i nogi były związane. Trójka żywych dumnie uśmiechała się do aparatu fotograficznego.

— To były dobre czasy — powiedział barman.

Max znowu się odwrócił i zobaczył, jak barman uśmiecha się, eksponując zepsute i mocno przeredzone zęby.

— Kto zrobił to zdjęcie?

— Nie pamiętam — odpowiedział barman.

Kiedy Chantale tłumaczyła, spoglądał na nią pożądliwym wzrokiem. Błądząc oczyma po jej krągłościach, mocno zaciskał ręce na miotle.

Nagle w powietrzu rozległ się cichy furkot. Coś z dużą siłą uderzyło w żarówkę i zaraz spadło na podłogę, ciągnąc za sobą smugę dymu. Była to ćma. Jej skrzydełka, nadpalone przez gorącą żarówkę, w mgnieniu oka stały się bezużyteczne. Padła na grzbiet, przez chwilę jeszcze rozpaczliwie starała się unieść w powietrze, aż wreszcie zamarła w bezruchu.

Mężczyzna roześmiał się i zmiotł ćmę na stertę śmieci. Kiedy Max się jej uważnie przyjrzał, zorientował się, że martwe ćmy są w zasadzie jej jedynym składnikiem.

— Jak się nazywasz? — zapytał Max.

— Bedouin — odparł mężczyzna i odrobinę się wyprostował.

— Bedouin... Désyr? — zapytała Chantale. Zniżyła głos do szeptu.

— Oui. Le meme.

— Dieu — wyszeptała Chantale i zaraz się cofnęła.

— Co się stało? — zapytał Max i podszedł do niej.

- 296 -

— Później ci powiem — odparła. — Kiedy stąd wyjdziemy. Na żarówce zginęła kolejna ćma.

Spadła Maksowi na głowę

płonąc, odbiła się i, miotając się, znieruchomiła po chwili na jego ramieniu. Max strząsnął ją.

Desyr cmoknął i powiedział coś na przydechu. Podszedł do ćmy z miotłą i zmiotł martwego owada prosto na stertę innych.

— Taffia? — odezwał się do Maksa.

Ruchem ręki dał mu do zrozumienia, że pyta, czy Max chce pić.

Max pokiwał głową i ruszył za nim w kierunku kontuaru. Desyr wydobyl spod baru papierowy kubek i przytrzymał go pod kranem dozownika do płynów. Nacisnął kran i do kubka popłynęła

woda, sprawiając, że wewnątrz plastikowej butelki zaczęło bulgotać, a w powietrzu uniósł się ostry chemiczny zapach, przywodzący na myśl woń benzyny.

Desyr wręczył papierowy kubek Maksowi. Opary unoszące się ze środka natychmiast sprawiły, że zaczęły go szczypać oczy.

— Ludzie to piją? — zapytał Max Chantale. Desyr roześmiał się.

— Tak. Używają tego również do czyszczenia i napędzania silników, kiedy nie mogą zdobyć benzyny. A ten płyn jest równie dobry. To dziewięćdziesięcioprocentowy rum. Pijąc go, bądź bardzo ostrożny, bo możesz oślepnąć.

Max ostrożnie upił mały łyk taffi. Alkohol był tak mocny, że aż nie miał smaku i palił mu język do samego przetyku.

— Jezui! — zawołał Max i zapragnął od razu wypluć cały trunek, który przed chwilą wziął do ust. Desyr znowu się roześmiał i pokazał Maksowi, że powinien wszystko przełknąć jednym haustem. Max wyczuł, że jeśli tak postąpi, zyska szacunek w oczach właściciela baru i może dzięki temu dowie się coś więcej o Faustynie i porwaniu. A poza tym na dnie kubka znajdowała się porcja alkoholu o grubości zaledwie jednego palca.

- 297 -

Głęboko odetchnął i wypił do dna. Poczul w ustach jakby bombę zapalającą, a w miarę, jak rum rozlewał się po przewodzie pokarmowym, płomień dosięgał aż do żołądka.

Uderzenie alkoholu było niemal natychmiastowe. Równowartość pięciu podwójnych burbonów, wypitych na pusty żołądek, błyskawicznie wypełniła jego głowę poczuciem wielkiego oszołomienia i euforii. Stracił ostrość widzenia i zachwiał się, przewracając oczyma, by odzyskać wzrok. Po twarzy popłynęły mu łzy, do głowy uderzyła krew. Skronie gwałtownie pulsowały. Z nosa pociekł śluz. Działanie alkoholu było piorunujące. Po objawach, jakie wystąpiły, Max mógłby pomyśleć, że jednocześnie przyjął działkę kokainy, azotanu amylu i nawąchał się soli trzeźwiących. Tyle że nie czuł się ani trochę tak dobrze. Zacisnął kurczowo dłonie na barowym kontuarze, ale były całe mokre, spocone i natychmiast się z niego ześlizgnęły. Poczul zawirowania w żołądku. Głęboko wciągnął powietrze, jednak czuł w nim wyłącznie taffię. „Cholera, co mi odbiło, że wypilem to ścierwo”, pomyślał.

— Bravo blanl — krzyknął Désyr i zaklaskał dłońmi przed jego oczyma.

— Nic ci nie jest, Max? — zapytała Chántale, mówiąc mu wprost do ucha i jednocześnie uspokajająco kładąc dłoń na jego plecach.

A niby jak wyglądam? — usłyszał głośnie pytanie, które zadał sobie jedynie w myślach. Znowu głęboko wciągnął powietrze i powoli wypuścił je z płuc. Powtórzył to kilkanaście razy. Powietrze, które wydostawało się z jego ust, było gorące. Przez cały czas wpatrywał się prosto w Désyry, który spoglądał na niego z widocznym rozbawieniem. Bez wątpienia czekał, aż się przewróci.

Nudności jednak minęły, wkrótce też ustały zawroty głowy.

— Już wszystko w porządku — powiedział Max do Chan-tale. — Dzięki.

- 298 -

Desyr wyciągnął w jego kierunku kolejny kubek z alkoholem. Max jedynie potrząsnął ręką, że więcej nie chce. Desyr roześmiał się i powiedział coś po kreolsku do Chantale.

— On mówi, że jesteś nie tylko jedynym białym człowiekiem, który kiedykolwiek wypił taffię i od razu nie zemdlał, ale można cię zaliczyć do wąskiego grona Haitańczyków, którym się taka rzecz udała.

— Wspaniale — odparł Max. — Powiedz mu, że teraz ja postawię mu drinka.

— Desyr dziękuje — odparła Chantale. — Ale nigdy nie tyka tego świństwa.

Max i Desyr w jednej chwili głośnie się roześmiali.

— Popijał tu Eddie Faustin, prawda? — zapytał Max.

— Oui. Bien sur — odparł Desyr. Wyciągnął spod lady butelkę barbancourta i nalał odrobinę do papierowego kubka. — Zanim zginał, pił więcej niż zwykle.

— Mówił, dlaczego pije tak dużo?

— Dobiegał do kresu swojej przyszłości i to sprawiało, że był nerwowy.

— Wiedział, że umrze?

— Nie, skądże. Opowiadał mi, że jego houngan przepowiedział mu dobre rzeczy, kobiety — rzekł Désyr. Patrzył pożądliwie na Chantale i popijał rum. Z kieszeni spodni wydobyl woreczek z tytoniem i skrecił sobie papierosa. — Był zakochany w pani Carver, tej blondynce. Mówilem mu, że to szaleństwo, że to niemożliwe — on i ona? — Désyr potarł zapałkę o kontuar i zapalił papierosa. — Wtedy pojechał do Leballeca.

— Tego swojego hoone-guna?

— Ten houngan zajmuje się wyłącznie czarną magią—wyjaśniła Chantale. — Mówi się, że ludzie chodzą do niego, kiedy są gotowi sprzedać swoją duszę. W przeciwieństwie do innych specjalistów od czarnej magii nie przyjmuje pieniędzy. Przyjmuje... nie wiem. Nikt tego nie wie na pewno, z wyjątkiem ludzi, którzy mieli z nim do czynienia.

299

— Czy Faustin powiedział ci, co się stało, kiedy zjawił się u Le... hoone-guna? — zapytał Max Désyra.

— Nie. Ale po tym spotkaniu się zmienił. Wcześniej dużo rozmawiał i śmiał się, wspominając dawne dobre czasy. Grywał z nami w domino i w karty, a po spotkaniu z Leballekiem nie zagrał już ani razu. Po prostu stawał w tym miejscu, w którym teraz ty stoisz, i pił. Czasami sam jeden wypijał całą butelkę.

— Tego świństwa?

— Tak. Ale to wcale na niego nie działało.

Max zaczął przypuszczać, że to zapewne hoone-gun nakazał Faustinowi, żeby porwał Charliego.

— Czy kiedykolwiek rozmawiał z tobą o chłopcu? O Char-liem?

— Tak. — Désyr roześmiał się. — Mówił, że chłopiec go nienawidzi. Mówił, że chłopiec czyta w jego myślach. Mówił, że nie może się doczekać chwili, kiedy się go wreszcie pozbędzie.

— Tak powiedział?

— Tak. Ale to nie on porwał chłopca.

— A kto?

— Nikt. Chłopiec nie żyje.

— Skąd wiesz?

— Słyszałem, że został zabity przez ludzi, którzy napadli na samochód. Zatratowali go na śmierć.

— Przecież nikt nie znalazł zwłok.

— Cela se mange — wyjaśnił Désyr i zgasił papierosa, zaciskając palce na jego rozżarzonej końcówce.

— Co on powiedział, Chantale?

— Powiedział...

— Le peuple avait faim. Tout le monde avait faim. Quand on a faim on oublie nos obligations.

— On mówi... — zaczęła Chantale. — On mówi, że oni go potem zjedli.

— Gówno prawda!

— Tak powiedział.

- 300 -

Taffia napelniła żołądek i klatkę piersiową Maksa ostrym gorącym. Czuł cichy pomruk gazów trawiennych, przepływających przez jego trzewia.

— Ten Le...

— Bailee — uzupełniła Chantale.

— Ten Le-Ballack... Gdzie on mieszka? Gdzie go mogę znaleźć?

— Daleko stąd.

— Gdzie?

Kolejny potok słów z ust Désyra był trochę dłuższy, ponieważ Chantale co chwila mu przerywała i zadawała dodatkowe pytania. Max wsłuchiwał się w ich wymianę zdań, szukając znajomych słów. Désyr kilkakrotnie powiedział „och”, a Chantale coś, co brzmiało jak „zur”. Wreszcie Max usłyszał słowo, które rozpoznał — „klarnet”.

— Co on powiedział o klarnecie? — Max wtrącił się do ich rozmowy.

— Powiedział, że znajdziesz Leballeca w Saut d'Eau.

— Chodzi o wodospady voodoo? — zapytał Max. — Czyli tam, dokąd udali się Beeson i Medd przed zniknięciem? A co ma z tym wspólnego klarnet?

— Chodzi o miasto, małe miasto, położone bardzo blisko wodospadów. Jego nazwa brzmi „Klarnet”. To tam mieszka Leballec. Faustin jeździł tam na spotkania z nim.

— Słyszałaś kiedyś o tym miejscu, Chantale?

— O mieście nic nie słyszałam, ale to o niczym nie świadczy. Na Haiti każdy może w dowolnym miejscu postawić dom, nadać temu miejscu nazwę i tak powstaje wioska.

Max popatrzył na Désyra.

— Czy opowiedziałeś o tym miejscu moim poprzednikom? — zapytał.

Désyr potrząsnął przecząco głową.

— Non, monsieur — odparł. Roześmiał się. — Nie mogłem. Oblali egzamin z taffią.

301

— Zemdleli?

— Nie. Odmówili picia. Dlatego nic im nie powiedziałem.

— A więc jak to się stało, że jednak pojechali do wodospadów?

— Nie wiem. Ja im niczego nie mówiłem. Może zrobił to ktoś inny? Nie byłem jedynym przyjacielem Eddiego. Czy oni szukali Leballeca?

— Nie wiem.

— Może więc zjawili się tam z jakichś innych powodów?

— Być może — odparł Max.

Kolejna ćma wleciała w żarówkę i spadła na podłogę. Po chwili Max usłyszał jeszcze jedną, a zaraz potem w żarówkę trafiły kolejne dwie, sprawiając, że zadrzała.

Désyr przyjaźnie klepnął Maksa w ramię.

— Polubiłem cię, blanc, więc ci coś powiem: jeśli już dotrzesz do Saut d'Eau, opuść to miejsce przed północą.

Max roześmiał się głośno.

— A niby dlaczego? Bo z mroku wynurzą się zombie i mnie dopadną?

Désyr popatrzył na niego gniewnie.

— Biała magia — dobra magia — działa przed północą — powiedział, zwracając się wprost do Chantale. — Czarna magia działa po północy. Nie zapomnij o tym.

— Dlaczego mi pomagasz? — zapytał Max.

— A dlaczego nie? — Désyr roześmiał się.

32

Chantale zawiozła Maksa do kawiarni, gdzie zamówiła mu dzbanek mocnej kawy i butelkę wody. W ciągu kolejnej godziny starał się wytrzeźwieć i oczyścić głowę z taffi.

— Zawsze jesteś taki lekkomyślny? Przecież w tej szklance mógł z powodzeniem znajdować się kwas do baterii.

302 -

— Jestem facetem, który wszystkiego musi spróbować. A poza tym, dlaczego niby Désyr miałby mnie otruć?

— Bédouin Désyr? Ja bym mu nie zaufała za nic w świecie. Kiedyś nazywano go „Bisou-Bisou”. Dosłownie znaczy to „Bedouin Ogier”. Tyle że nie w takim kontekście, w jakim byś sobie wyobrażał. Służąc w Macoute, Bedouin był seryjnym gwałcicielem. Wprost uwielbiał gwałcić żony na oczach ich mężów, matki na oczach dzieci i córki na oczach ojców. Ich wiek nie miał znaczenia.

— Dlaczego więc wciąż żyje? I to tak po prostu, prowadząc bar, nie ukrywając się.

— Mity są silniejsze od śmierci, Max. Mnóstwo ludzi ciągle się boi facetów z Macoute — wyjaśniła Chantale. — Tylko niewielu członków Macoute stanęło przed sądami. I nawet po wyrokach trafiali do więzień na tydzień i zaraz wychodzili na wolność. Kilku zabił ludzi, zlinczowali ich. Większość spośród nich jednak po prostu zniknęła, zmienili miejsce zamieszkania, wyjechali z wyspy albo przeniknęli do Dominikany. Najsprytniejsi wstąpili do armii albo zaczęli się u Aristide'a.

— Aristide'a? — zdziwił się Max. — Myślałem, że on powinien być ostatnią osobą, która by im

pomogła.

Zapadła już noc. Max i Chantale byli w kawiarni jedynymi klientami. Nad ich głowami szumiał wentylator, z radia sączyła się muzyka — cicho, jednak na tyle głośno, by zagłuszać odgłosy ulicy. W pewnej chwili, wśród muzyki i szumu wentylatora Max usłyszał znajome rytmy bębnowe, dobiegające od strony gór.

— Przynajmniej zaczynał jako ten dobry — powiedziała Chantale. — Wierzyłam w niego. Mnóstwo ludzi w niego wierzyło. Nie tylko biedni.

— Nie musisz mi mówić. — Max się uśmiechnął. — My, źli amerykańscy rasiści, zdecydowaliśmy, że nie chcemy pod naszymi nosami kolejnego komucha, w szczególności czarnego, doprowadziliśmy więc do jego obalenia.

- 303 -

— Niezupełnie się zgadza — zaproponowała Chantale. — Aristide przemienił się w Papę Doca jeszcze prędzej, niż Papa Doc stał się potworem, jakiego wszyscy pamiętamy. Szybko zaczął rozsyłać po kraju uzbrojone bandy, które biły i zabijały jego przeciwników. Kiedy skrytykował go nuncjusz papieski, rozebrano go i pobito na środku ulicy. To wtedy ludzie uznali, że miarka się przebrała, i władzę przejęła armia — z błogosławieństwem prezydenta Busha i CIA.

— A zatem co znowu robi tutaj Aristide?

— Billa Clintona czekały tamtego roku drugie wybory. W 1993 roku, po niecałym roku pierwszej kadencji, skompromitował się w Somalii. Jego notowania zaczęły lecieć w dół, na łeb, na szyję. Musiał więc coś zrobić, żeby odzyskać wiarygodność. Dobrym pomysłem zdawało się przywrócenie do władzy prezydenta obalonego w wyniku przewrotu wojskowego. Ameryka to mistrz demokracji i należało to udowodnić, nawet jeśli w grę wchodził Aristide, trzeci Duvalier w kolejce — wyjaśniła Chantale. — Teraz Ameryka trzyma go na smyczy i będzie musiał zachowywać się poprawnie dopóty, dopóki nie odejdzie Clinton. A potem? Kto wie? Mam nadzieję, że będę wówczas daleko stąd — powiedziała dziewczyna i popatrzyła na ulicę.

Przy krawężniku właśnie zatrzymał się samochód ONZ i kierowca zaczął wydawać komuś stojącemu na chodniku kartony z papierosami.

— Dokąd chcesz wyjechać?

— Pewnie z powrotem do Ameryki. Może tym razem zamieszkać w Los Angeles? Z Florydą nic mnie już nie łączy — odparła Chantale. — A ty? Co będziesz robił, kiedy skończysz z robotą na Haiti?

— Nie mam zielonego pojęcia. — Max roześmiał się.

— Myślałeś o tym, żeby się gdzieś przeprowadzić?

— Co? Na przykład do Los Angeles? — Max popatrzył na Chantale. Ich spojrzenia na moment się spotkały. Zaraz opuścił wzrok. — Los Angeles to nie scena dla mnie, Chantale.

— Przecież przed chwilą mówiłeś, że jesteś facetem, który wszystkiego musi spróbować.

— Przecież ja znam Los Angeles. — Tym razem Max wybuchnął głośnym śmiechem. — Prowadziłem tam kilka spraw. I za każdym razem nienawidziłem tej roboty. Miasto jest zbyt rozłożyste, rozproszone. Pamiętam, że przebywając tam, pracowałem dwa razy szybciej niż zwykle, byleby tylko się stamtąd jak najprędzej wydostać. Te wszystkie filmy, błyskawiczne kariery, cwani producenci, cyncate aktoreczki — to przecież jeden wielki syf. Wszyscy próbują tego samego, usiłują wczłogać się do tej samej dziury, a potem wielu nie może z niej wy-leźć. Ileż tam żyje nieszczęsnych ofiar bezmyślnego wyścigu szczurów, ile marzeń zostało pogrzebanych... Na dobrą sprawę tacy ludzie funkcjonują również na Florydzie, tyle że tylko tam potrafię niektórym z nich współczuć. Ich nieszczęsne historie są bardzo różne, a w Los Angeles wszyscy nieszczęśnicy wydają się pisać tę samą książkę. Jeśli chcesz się przenieść do Los Angeles, to już lepiej zostań tutaj.

— Nie zostanę w tym kraju ani sekundę dłużej, niż będę musiała. — Chantale zdecydowanie potrząsnęła głową.

— Aż tak ci tutaj źle?

— Nie, ale lepiej mi było w Ameryce. — Chantale westchnęła. — Mam miłe wspomnienia z dzieciństwa na Haiti, jednak kiedy tu wróciłam po pobycie w Ameryce, wszystko, co mi się tutaj

podobało, zniknęło. Tak, miałam szczęśliwe dzieciństwo. Ale gdy powróciłam na Haiti jako dorosły człowiek, przeżyłam wielkie rozczarowanie.

Do kawiarni weszła jakaś para; powitali kelnera uściskami dłoni. Pomiedzy pierwszą a trzecią randką, uznał Max. Młodzi ludzie wciąż nie byli pewni siebie, zachowywali się formalnie, starannie odmierzali wszystkie ruchy. Oboje mieli po dwadzieścia kilka lat, byli dobrze ubrani. Chłopak miał starannie wyprasowane dżinsy, a kobieta swoje albo niedawno kupiła, albo wkładała tylko na specjalne okazje. Oboje nosili

- 304 -

- 305 -

koszulki polo; ona — koloru turkusowego, a on — ciemnozieloną. Kelner zaprowadził ich do stolika w rogu sali. Chantale obserwowała młodych ze smutnym uśmiechem.

— Opowiedz mi o hoone-ganie Faustina — poprosił Max.

— O Leballecu? — Chantale ściszyła głos. — Po pierwsze, on nie jest hounganem. Houngani to dobrzy ludzie. Leballec to bokor — zajmuje się czarną magią. Mówi się, że jest równie potężny jak Dufour, tyle że sto razy straszniejszy. Widzisz, życie tak się układa, że pewne rzeczy nie powinny ci się przytrafiać. A jednak się zdarzają. Na przykład zakochujesz się w osobie, która nawet nie chce o tobie słyszeć, albo marzysz o pracy w firmie, w której nikt ci nie chce zatrudnić. Doznajesz rozczarowań, nic się nie dzieje tak, jak byś pragnął. Ale większość ludzi w takich chwilach wzrusza po prostu ramionami i zajmuje się czym innym. Tutaj, na Haiti, jest inaczej. Haitańczycy udają się do swoich hounganów albo do swoich mambo. Ci spoglądają w przyszłość i widzą, czy pragnienia ich klientów mimo wszystko mają szansę kiedykolwiek się spełnić. Jeśli nie, houngan lub mambo stara się wpłynąć na przyszłość, zmienić kierunek, w którym zmierza konkretne ludzkie życie. Jednak mnóstwo pragnień po prostu nie ma szans na spełnienie.

— Ale ostatnią deską ratunku jest Leballec?

— Tak, można tak powiedzieć. Ludzie nazywają takich magików Les Ombres de Dieu, czyli Cieniami Boga. To oni chodzą za Bogiem w jego cieniu, tam, gdzie on nie patrzy. Tylko oni są w stanie zaoferować ci to, czego normalnie nigdy nie powinieneś otrzymać — wyszeptala Chantale. Wyglądała na przestraszona.

— W jaki sposób?

— Pamiętasz, co ci powiedział Dufour na temat czarnej magii? O tym, jak się wykorzystuje dzieci, żeby oszukiwać aniołów stróżów?

— Czy Le Balek zabija dzieci?

— Nie chcę o tym mówić. — Chantale wyprostowała się na krześle. — Nikt nie wie, co ci magicy naprawdę robią. Wszystko odbywa się jedynie pomiędzy nimi a ludźmi, którzy do nich przychodzą. Ale bądź pewien, że to są ekstremalne sytuacje.

— Jacy ludzie odwiedzają Le Baleka? Tak ogólnie.

— Ludzie, którzy utracili wszelką nadzieję. Ludzie zdesperowani. Ludzie, którym do oczu zagląda widmo śmierci.

— Każdy człowiek miewa takie chwile — zauważył Max.

— Był u niego Faustina.

— Bo chciał, żeby zakochała się w nim Francesca, prawda? To może dlatego porwał Charliego? — zapytał Max i przez chwilę zastanawiał się nad własnymi słowami. — Dufour powiedział, że Charlie był nadzwyczajnym dzieckiem. Pewnie Le Balek twierdził to samo.

— Być może. A może nie? Może Charlie miał być zapłatą?

— Zapłatą?

— Les Ombres nigdy nie żądają pieniędzy. Proszą o coś w zamian.

— Na przykład o porwanie?

— Albo o morderstwo.

— A co się dzieje, jeśli ich zaklęcia nie zadziałają?

— Oni nigdy nie żądają, żeby ktokolwiek robił coś dla nich z góry. Rewanż następuje dopiero wtedy, gdy osoba zainteresowana uzyskuje od Leballeca to, co chciała. Wówczas nadchodzi czas zapłaty. I tak to się zaczyna.

— Co?

— Cóż, za wszystko, co otrzymasz, musisz zapłacić trzykrotnie — powiedziała Chantale. — Właśnie dlatego wszystko się równoważy. Żaden zły uczynek nie pozostaje bez kary. Na początku lat osiemdziesiątych, zanim w nagłówkach gazet pojawiło się słowo AIDS, Jean-Claude Duvalier miał kochankę i kochanka. Był biseksualistą. Kochanka miała na imię Véronique, a chłopak — Robert. Véronique stała się za-

- 306 -

- 307 -

zdrosna o Roberta, któremu Jean-Claude poświęcał więcej uwagi. Bała się, że całkowicie utraci łaskę władcy, i bała się, że utraci ją na rzecz mężczyzny. Poszła więc do Leballeca. Nie wiem, o co go poprosiła, ale Robert niespodziewanie zmarł w samym centrum Port-au-Prince. Tak po prostu. — Chantale strzeliła palcami. — Za kierownicą samochodu. Kiedy zrobiono mu sekcję, okazało się, że ma wodę w płucach, tak jakby się utopił.

— A nie mogło być tak, że ktoś go rzeczywiście utopił i posadził trupa za kierownicą?

— Wielu ludzi widziało, jak w swoich ostatnich chwilach prowadził auto. Na krótko przed śmiercią nawet się zatrzymał, żeby kupić papierosy. Do Jean-Claude'a dotarło, że Véronique widziano w Saut d'Eau w towarzystwie Leballeca. Od razu zrozumiał, co to znaczyło. Strasznie bał się Leballeca. Mówi się, że nawet Papa Doc się go obawiał. Ale zlikwidował Véronique. Po miesiącu ją, jej matkę i dwóch braci znaleziono utopionych w ich prywatnym basenie.

— Jakoś nie widzę w tym nic demonicznego — powiedział Max. Taffia już z niego wyparowała, ale czuł się bardzo zmęczony. — Wiesz chociaż, jak ten Le Balek wygląda?

— Nie. Spośród ludzi, których znam, nikt nigdy go nie widział. Kiedy zaczniemy go szukać?

— Może jutro?

— A może pojutrze? To długa trasa, a drogi są paskudne. Będziemy musieli wyjechać bardzo wcześnie, o trzeciej lub czwartej nad ranem — stwierdziła Chantale i popatrzyła na zegarek. — A ty potrzebujesz teraz mnóstwo snu. Musisz ode-spać taffię, odzyskać świeżość.

To miało sens. Rzeczywiście, zmierzając ku miejscu, gdzie jeden z jego poprzedników zniknął i z którego drugi powrócił z korpusem otwartym od szyi po pępek, Max musiał dysponować klarownym umysłem i przede wszystkim musiał być wyspany.

308

33

— To nie jest tak, że nic nas to nie obchodzi. My jedynie sprawiamy takie wrażenie. A wrażenie jest wszystkim — powiedział Allain Carver z uśmiechem.

Trzy godziny wcześniej obudził Maksa telefonem i poprosił o spotkanie przy Arce Noego.

Max miał cholerne go kaca. Jeszcze większego niż poprzedniej nocy. Czuł, że w żołądku kotłuje mu się wór otłuszczonych kul armatnich, a głowa bolała go tak, jakby ktoś używał jego czaszki do tłuczenia ziaren w mózdzierzu. Nie potrafił tego zrozumieć. Przecież kiedy wstał, czuł się zupełnie dobrze, a tymczasem mdłości i ból powróciły w ciągu minuty po tym, jak wypił pierwszą kawę. Zażył aż cztery silne tabletki przeciwko migrenie, które w ogóle nie zadziałały.

Arka Noego znajdowała się przy bocznej ulicy, odchodzącej od Boulevard Harry Truman. Carver poprowadził Maksa i Chantale przez małą kutą w żelazie bramę, a potem wąską białą ścieżką, ograniczoną z obu stron ciemnoniebieskimi ceglami. Przeszli po doskonale zielonym trawniku, częściowo ocienionym przez palmy kokosowe. Na trawniku porozstawiane były nieustannie pracujące zraszacze. Po prawej stronie znajdował się mały plac zabaw, z huśtawkami, karuzelą oraz niewysoką drabinką do wspinaczki.

Ścieżka kończyła się schodami, wiodącymi do imponującego dwupiętrowego budynku o oślepiająco białych murach i granatowym dachu. Granatowe były także okiennice i główne drzwi. Symbol mieszczącej się tutaj instytucji — płaskorzeźba granatowej łodzi, z domem na środku zamiast żagla — widniał na murze ponad drzwiami.

Wszedłszy do środka, ujrzeni natychmiast malowidło ściennie przedstawiające białego człowieka w marynarce safari. Mężczyzna trzymał za ręce dwoje półnagich dzieci haitańskich — chłopca i dziewczynkę. Wyprowadzał je właśnie z wio-

ski, której mieszkańcy byli albo martwi, albo mieli straszliwie zdeformowane ciała. Mężczyzna patrzył prosto przed siebie. Jego szczęka wykrzywiona była w grymasie wielkiej determinacji, a stanowczy wyraz twarzy dowodził, że jest on bohaterem. Niebo za tą trójką było burzowe, a horyzont rozdzierały błyskawice wyładowań i grube krople deszczu atakujące nieszczęsną wioskę. Mężczyzna i jego podopieczni byli tymczasem nietknięci deszczem i skapani w złocistych promieniach porannego słońca.

— To jest mój ojciec — powiedział Allain.

Kiedy Max uważniej popatrzył na malowidło, rzeczywiście rozpoznał młodego Gustava. Wyglądał bardziej jak jego własny syn niż jak on sam w obecnych czasach.

Prowadząc gości korytarzem do samego serca instytucji, Carver wyjaśniał, że Gustav odegrał ogromną rolę w pewnej wielkiej akcji podjętej przez jego przyjaciela, Francois Duvaliera. Pomógł mu zlikwidować w kraju jagodzię — niezwykle niebezpieczną chorobę tropikalną. Jej ofiary, jeśli nie były leczone, najpierw pokrywały się bolesnymi krwawymi krostami, a potem odpadały im nosy, wargi i wreszcie kończyny. Nogi i ręce, zanim odpadły, zamieniały się w coś w rodzaju popiołu na końcu papierosa. Gustav kupił w Ameryce lekarstwa i zapasy żywności, po czym przypilnował, żeby dotarli do Duvaliera. W czasie wizyty w wiosce — uwiecznionej na malowidle — Gustav natknął się na dwoje sierot, chłopca i dziewczynkę. Postanowił, że zabierze je stamtąd i będzie się nimi opiekował. Ten gest zaowocował później także utworzeniem opłacanej przez Carvera szkoły dla sierot.

Na ścianach korytarza, którym szli, pozawieszane były fotografie przedstawiające uroczystości zakończenia roku szkolnego, począwszy od roku 1962. Dalej wisiały tablice korkowe z rysunkami dzieci, pogrupowanymi w zależności od wieku ich autorów. Najmłodsi mieli cztery lata, a najstarsi dwanaście. Wisiało też kilka szkiców w grupie „nastolatki”; tablica z nimi była wypełniona tylko w połowie, a rysunki były dziełami zaledwie dwóch autorów, bezsprzecznie ogromnie utalentowanych.

Carver zaczął wyjaśniać, że Arka Noego opiekuje się dziećmi od urodzenia aż do ukończenia dziesiętnastu lat albo ostatniej klasy college'u. Są karmione, ubierane, otrzymują dach nad głowami i edukację — albo nastawioną na język francuski, albo na angielski. Francuski jest w Arce Noego podstawowym językiem, ale uczniowie, którzy wykazują uzdolnienia w języku angielskim — a jest ich zaskakująco dużo, chociażby ze względu na przewagę angielskiego w telewizji czy skłonność do słuchania muzyki w tym języku — ukierunkowywani są na funkcjonowanie w systemie amerykańskim. Lekcje po francusku odbywają się na parterze, a po angielsku — na piętrze. Po ukończeniu podstawowej edukacji te dzieci, które tego chcą, posyłane są do college'ow, a ich nauka nadal finansowana jest przez Carverow.

Po obu stronach korytarza znajdowały się sale lekcyjne. Max zajrzał przez okienka w drzwiach kilku z nich i w każdej zobaczył małą grupę dzieci, chłopców i dziewczynek. Wszyscy ubrani byli w ładne mundurki: białe koszule lub bluzeczki i błękitne spodnie lub spódniczki. Dzieci zachowywały się bardzo grzecznie, skupione twarze miały zwrócone w kierunku nauczycielek — nawet te w ostatnich rzędach. Max nie był w stanie wyobrazić sobie jakiegokolwiek klasy szkolnej w Ameryce, tak spokojnej, tak zdyscyplinowanej i tak skupionej na lekcji.

— Gdzie w tym tkwi haczyk? — zapytał, kiedy szli po schodach na piętro.

— Haczyk?

— Carverowie są biznesmenami. Nie wyrzucacie w błoto ani jednego centa. Co macie z tej działalności? Przecież nie chodzi o powszechne uznanie, bo jesteście zbyt bogaci, aby dbać o to, co o was mówią ludzie.

- 310 -

- 311 -

— Ten „haczyk” jest bardzo prosty — odpowiedział Carver i uśmiechnął się. — Dzieci dorastają, kończą studia i pracują dla nas.

— Wszystkie?

— Tak. Prowadzimy mnóstwo interesów, na całym świecie, nie tylko tutaj. Te dzieciaki mogą

później pracować w Stanach Zjednoczonych, we Francji, Japonii albo w Niemczech.

— A jeśli ktoś z nich otrzyma lepszą ofertę, od kogoś innego?

— Ach, o to panu chodzi! — Carver roześmiał się głośno.

— Osiągnąwszy szesnasty rok życia, wszystkie dzieci z Arki Noego podpisują kontrakt, w którym oświadczają, że albo będą dla nas pracować tak długo, dopóki nie spłacą tego, co w nie zainwestowaliśmy...

— Zainwestowaliście? — zapytał Max. — Od kiedy dobroczynność nazywa się inwestycją?

— Czy kiedykolwiek wspominałem coś o dobroczynności?

— zdziwił się Carver.

Zagłądając do klas na pierwszym piętrze, identycznych jak te na dole, Max usłyszał mieszaninę akcentu amerykańskiego i francusko-kreolskiego.

— Spłacanie inwestycji trwa zwykle od sześciu do siedmiu lat; trochę dłużej u dziewczynek, od ośmiu do dziewięciu — wyjaśnił Carver. — Oczywiście, każdy z naszych podopiecznych może po prostu zapłacić pełną kwotę pieniędzy, jaka została w niego zainwestowana, i pójść sobie w siną dal.

— Ale coś takiego nigdy się nie zdarza, ponieważ ci młodzi ludzie po prostu nie mają skąd wziąć tak dużych pieniędzy, prawda? — spytał Max. Złość pojawiła się w jego głosie i w spojrzeniu.

— Nic nie poradzę na to, że jedni ludzie rodzą się w bogatych rodzinach, a inni w biednych —

odrzekł Carver. Uśmiechnął się niepewnie. — Rozumiem pańskie rozdrażnienie, jednak muszę zauważyć, że rozwiązania, które stosujemy, całkowicie zadowolają naszych podopiecznych. Zatrzymujemy u siebie dziewięćdziesiąt pięć procent spośród nich. Weźmy dla przykładu osobę, która tutaj uczy. — Wskazał na drobną nauczycielkę o jasnej skórze, w oliwkowozielonej sukience, której projektantem był zapewne jakiś mnich; tak bardzo przypominała habit. — To Eloise Królak. Jedna z naszych wychowanek. Jest dyrektorką szkoły.

— Królak? Czy to polskie nazwisko? — zapytał Max i uważniej przyjrzał się nauczycielce.

Jej włosy, zaczesane do tyłu w prosty kok, były czarne i lekko siwe jedynie przy skórze. Miała małe wydęte usta i trochę krzywy zgryz. Kiedy mówiła, podobna była do gryzonia, który stara się dobrać do kawałka miękkiego jedzenia.

— Natrafiliśmy na Eloise niedaleko miasteczka Jeremie. Mnóstwo ludzi ma tam jasną skórę. Wielu ma niebieskie oczy, jak Eloise. Są potomkami polskich żołnierzy, którzy porzucili armię Napoleona, żeby walczyć u boku Toussainta L'Overture. Ponieważ pomogli mu pokonać Francuzów, Touissant dał im w nagrodę właśnie Jeremie. Zaczęli się tutaj żenić, mnożyć i dzięki temu urodziło się wielu prawdziwie pięknych ludzi.

Z pewnymi wyjątkami, pomyślał Max, patrząc na dyrektorkę.

Weszli na kolejne piętro. Carver zaprezentował jadalnię i pomieszczenia dla pracowników — wspólny pokój i kilka gabinetów.

— Gdzie te dzieci śpią? — zapytał Max.

— W Petionville. Każdego ranka są tutaj przywożone, a po zajęciach zabierane z powrotem — wyjaśnił Carver. — W budynku, w którym się znajdujemy, odbywa się nauka dla młodszych dzieci, do dwunastego roku życia. Kolejna Arka Noego mieści się w innym budynku, przy następnej ulicy.

— Powiedział mi pan tylko o tych, którym się udaje, prawda? Tych najbystrzej szych dzieciach?

- 312 -

- 313 -

— Nie rozumiem.

— Przecież służących także rekrutujecie spośród tych dzieci, zgadza się?

— Nie wszyscy bywają geniuszami. Przestrzeń powietrzna jest ograniczona. Niektórzy spośród nas przez całe życie muszą chodzić po ziemi.

— Jak ich rozdzielacie? Tych bystrych od tych mniej inteligentnych? Czy ci, którzy chodzą po ziemi, czyszczą buty tym najlepszym? — zapytał Max.

Bezskutecznie starał się, aby w jego głosie nie było słyhać oburzenia. Oto miał do czynienia z ludźmi, których przodkowie poszli na wojnę, żeby zrzucić jarzmo niewoli, i zarazem z Carverami, którzy umieszczali ich na tych samych pozycjach.

— Nie pochodzi pan stąd, dlatego nas pan nie rozumie — odparł Allain z nutką rozdrażnienia w głosie. — Podejmujemy wobec tych dzieci zobowiązania na całe życie. Opiekujemy się nimi. Każdemu z nich znajdujemy odpowiednie zajęcie — coś, co do niego pasuje, coś, dzięki czemu zarabia pieniądze, nie tracąc godności. Praca, którą im znajdujemy, pozwala każdemu z nich zbudować albo kupić dom, ubierać się, regularnie jeść i w ogóle żyć na wyższym poziomie niż żyje dziewięćdziesiąt procent nieszczęsnych mieszkańców tego kraju. Gdybyśmy mogli pomóc wszystkim Haitańczykom, niech mi pan wierzy, pomagalibyśmy wszystkim. Ale aż tak bogaci nie jesteśmy. Ocenia nas pan, nas i nasze działania, według amerykańskich standardów. Stosuje pan wobec nas tę waszą pustą retorykę o wolności, prawach człowieka i demokracji. Tak naprawdę i dla was są to puste słowa. Powtarzacie je, ale czarni w waszym kraju wciąż nie mają więcej praw niż czterdzieści lat temu — powiedział Carver.

Mówił cicho, jednak w jego głosie wyraźnie słyhać było rozdrażnienie. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł pot, który perlił się na jego górnej wardze.

Broniąc swojego kraju, Carver wypowiedział słowa, z którymi Max musiał się zgodzić. A jednak w obronie Ameryki on z kolei musiałby dodać, że jest to przynajmniej kraj wolnych wyborów, że każdy, kto ma w sobie dość woli, determinacji, dyscypliny i inicjatywy, może tam odnieść sukces, że wciąż jest to kraj ogromnych możliwości. Nic jednak nie powiedział. Nie był to teraz ani czas, ani miejsce na ideologiczną debatę.

— Czy kiedykolwiek popełniliście błąd? — zapytał natomiast. — Czy zdarzył się Einstein, który przez całe życie czyścił wam toalety?

— Nie. Nigdy — odparł Carver z przekonaniem. — Każdy może być idiotą, ale nie każdy może być inteligentny.

— Rozumiem.

— Nie pochwała pan tego, co robimy, prawda? Nie uważa pan tego za sprawiedliwe?

— Jak pan już powiedział, panie Carver, to nie jest moja ojczyzna. Jestem po prostu Amerykaninem, zapatrzonym w Amerykę, z głową pełną frazesów, niemającym prawa mówić, co jest sprawiedliwe, a co nie — odrzekł Max z sarkazmem.

— Przeciętny czas życia wynosi tutaj mniej więcej czterdzieści osiem lat. To oznacza, że w wieku dwudziestu czterech osiąga się półmetek. — Carver znowu mówił spokojnie. — Ludzie, którzy pracują dla nas, którzy przechodzą przez nasz system, żyją znacznie dłużej. Dożywają późnej starości, nawet według standardów amerykańskich. Widzą, jak dorastają ich dzieci i wnuki. Tak jak to powinno się dziać. Ocalamy ludziom życie i dajemy życie. Może pan tego nie rozumie, ale przed rewolucją francuską funkcjonowała w ten sposób cała Europa. Bogaci opiekowali się biednymi. Czy wie pan, że kiedy rodzice widzą, że się zbliżamy, porzucają swoje dzieci? Wie pan, dlaczego? Żebyśmy je zabrali, żebyśmy dali im lepsze życie. Tak się dzieje przez cały czas. Z daleka to, co pan

- 314 -

- 315 -

widzi tutaj, może się wydawać złe, ale z bardzo bliska sprawa ma się po prostu odwrotnie.

34

Wyjechali do Saut d'Eau o czwartej nad ranem następnego dnia. Chantale usiadła za kierownicą. Wodospady znajdowały się w odległości zaledwie czterdziestu mil na północ od Port--au-Prince, jednak spośród tych czterdziestu mil trzydzieści przypadało na najgorsze drogi Haiti. Przy ładnej pogodzie trasę tę można było pokonać w obie strony w ciągu dziesięciu godzin, przy złej — zabierało to dwukrotnie więcej czasu.

Chantale wzięła w podróż mały koszyk z jedzeniem. Mimo że wzdłuż drogi do wodospadów znajdowało się mnóstwo punktów, gdzie można było się zatrzymać na posiłek, a w pobliżu było też miasteczko turystyczne o nazwie Ville Bonheur, w takich miejscach człowiek nigdy nie był pewien, co je. Często mięso z domowych psów i kotów podawano tam jako wieprzowinę, drób albo wołowinę.

— Dlaczego właściwie jedziesz do Saut d'Eau? — zapytała Chantale.

— Po pierwsze: chcę porozmawiać z tym Le-Bell-eckiem. Faustin wiedział, kto porwał Charliego.

Mógł się z nim podzielić tą informacją albo przynajmniej pozostawić jakąś wskazówkę. A poza tym Klarnet było ostatnim miejscem, do którego udawali się moi poprzednicy, zanim zniknęli. Chcę się dowiedzieć, dlaczego, co takiego tam zobaczyli albo usłyszeli. Na jakiś ślad po prostu musieli wpaść.

— Nie sądzisz, że ktokolwiek za tym wszystkim stoi, już dawno się postarał, żeby zatrzeć po sobie ślady?

— Tak. — Max pokiwał głową. — Tak mogło się stać. Ale kto wie? Może ten ktoś coś przeoczył? Zawsze istnieje taka możliwość.

- 316 -

— Bardzo niewielka.

— Ale jednak. Detektyw zawsze ma nadzieję, że przestępca, którego szuka, jest głupszy i mniej bystry od niego. A czasami trzeba też liczyć na zwykłe szczęście. — Max roześmiał się.

— Spodziejając się głupszego przeciwnika, nie masz chyba na myśli Filiusa Dufoura?

— Masz na myśli te brednie o „wędrówce do źródła mitu”? Ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest postępowanie według wskazówek przepowiedacza przyszłości. Interesują mnie fakty, a nie fantazje. Kiedy weźmie się do spółki okultystę, każde śledztwo od razu umiera. Zawsze.

— Chyba sam w to teraz nie wierzysz?

— Gdyby naprawdę obchodził go los dziecka i gdyby naprawdę coś o nim wiedział, powiedziałby mi.

— Może nie było mu wolno nic mówić?

— Tak? A niby kto by mu zabronił? Duchy, z którymi rozmawia albo z którymi wyrabia, Bóg wie co? Daj spokój, Chantale. Facet wie o zniknięciu chłopca tyle co ja, czyli praktycznie nic.

Przez pierwszą godzinę jechali w całkowitych ciemnościach. Zmierzając w kierunku gór, zostawili za sobą Pétion-ville, a potem ostatnie billboardy i słupy telegraficzne. Droga była zaskakująco gładka, ale trwało to jedynie do pierwszych wzgórz. Wtedy pod kołami samochodu pojawił się gruby żwir i wreszcie zwykły tłuczeń. Chantale zmniejszyła prędkość i włączyła radio. Stacja Amerykańskich Sił Zbrojnych nadawała I Wish I Could Fly R. Kelly'ego. Chantale szybko ją zmieniła i z głośników rozległ się Wu Tang Clan, rapujący America Is Dying Slowly. Na kolejnym zakresie pojawiło się haitańskie radio informacyjne. Nadawano akurat transmisję mszy katolickiej. Po chwili Chantale natrafiła na kilka stacji z Dominikany — mieszaninę salsy, wiadomości i transmisji sportowych, prawdopodobnie z meczów piłki nożnej, oraz na kolejną mszę, tym razem w języku hiszpańskim. Max uśmiechnął się, po-

- 317 -

nieważ przypomniał sobie radio w Miami; nadawało podobne treści, tyle że w jeszcze większym chaosie.

Chantale wyciągnęła z torebki kasetę magnetofonową i wsunęła ją do odtwarzacza. Nacisnęła klawisz odtwarzania.

— Sweet Micky — wyjaśniła.

Było to nagranie zarejestrowane na koncercie. Sweet Micky miał głos jak papier ścierny czyszczący tarkę do sera. Na jego śpiew składały się bezustanne krzyki, warknięcia, piski, śmiech i — w najwyższych rejestrach — rozdzierające wrzaski walczących kotów. Muzykę w tle można było uznać za zwariowany funk. Max nie pamiętał, żeby kiedykolwiek słyszał coś podobnego.

Tymczasem Chantale dowiodła, że zna i doskonale rozumie tę muzykę. Zaczęła kręcić na fotelu całym ciałem, uderzać dłońmi w kierownicę i nogami w pedały. Rytmicznie poruszała głową, tułowiem i biodrami. Jednocześnie śpiewała refren: „Tirez sur la gâchette — baff!.-baff.-baff!”, układając dłoń w pistolet i strzelając w przednią szybę. Uśmiechała się do siebie, a w jej oczach pojawiła się radość i agresja.

— To chyba nie ma nic wspólnego z Imagine Johna Lenno-na — powiedział Max, kiedy piosenka się skończyła i Chan-tale wyłączyła kasetę.

— Nie. To jest piosenka o raras. To taki wędrowny taniec, który ludzie tańczą w czasie karnawału, przemierzając ulice i wioski. Trwa czasami wiele dni. Towarzyszą mu różne szaleństwa. Mnóstwo orgii, a niekiedy zdarzają się morderstwa.

— Brzmi całkiem fajnie.

— Musiałbyś to jeszcze zobaczyć.

— Kiedy?

— Zawsze przed Wielkanocą.

— Chyba jednak nie dam rady — roześmiał się Max.

— Ale zostaniesz tutaj, dopóki nie znajdziesz Charliego, prawda?

— Tak, oczywiście, ale to przecież nie może trwać do Wielkanocy.

W blasku czerwonych i zielonych światełek świecących na tablicy rozdzielczej, Max zobaczył uśmiech dziewczyny.

— A jeśli ci się nie uda? Jeśli zgubisz ślad? — zapytała.

— Na razie nie mam czego zgubić. Sprawdzam plotki, mity, jakieś zasłyszane sprawy. Nie mam mocnego śladu.

— Możliwe, że w ogóle na taki ślad nie natrafisz.

— Zobaczymy.

— A jeśli chłopiec nie żyje?

— Jeśli nie żyje, musimy znaleźć ciało i osobę lub osoby, które odebrały mu życie. Musimy się dowiedzieć, dlaczego zginął. Motywy są zawsze bardzo istotne.

— Nie jesteś facetem, który by się poddawał, prawda?

— Nie cierpię niedokończonych spraw.

— Masz to z dzieciństwa? — zapytała Chantale i popatrzyła na Maksa z ukosa.

— Tak, chyba tak. Ale nie po moich rodzicach. Ojca właściwie w ogóle nie znałem. Opuścił mnie i matkę, kiedy miałem sześć lat, i nigdy nie wrócił. Najbliższym mi opiekunem, prawie ojcem, był facet o nazwisku Eldon Burns. Był gliniarzem, który jednocześnie prowadził salę bokserską w Liberty City. Trenował miejscowe dzieciaki. Po raz pierwszy poszedłem tam, kiedy miałem dwanaście lat. Eldon nauczył mnie walczyć i nauczył jeszcze wiele więcej. Na ringu odebrałem dużo lekcji życia. Eldon wyznawał mądre zasady; przyczepiał je na plakatach do ścian w szatniach, nie sposób więc było ich nie zauważać. Jedna z nich głosiła: „Zawsze kończ to, co zacząłeś”. Jeśli to jest bieg i zajmujesz w nim ostatnią pozycję, nie rezygnuj i nie kończ go spacerem, linię mety musisz pokonać biegiem. Jeśli to jest walka i ją przegrywasz, nie poddawaj się w przerwie między rundami, zawsze walcz do ostatniego gongu. — Max uśmiechnął się do dawnych wspomnień. — Nigdy nie daj się zwalić z nóg, a pewnego dnia będziesz najlepszy.

— To z jego powodu zostałeś gliniarzem?

- 318 -

- 319 -

— Tak. Eldon na początku był moim szefem również w policji.

— Nadal się kontaktujecie?

— Nie bezpośrednio — odparł Max.

Ich drogi się rozeszły, zanim Max trafił do więzienia. Nie rozmawiali ze sobą już od ośmiu lat. Eldon chodził na rozprawy Maksa, był też na pogrzebie Sandry, ale nic ponadto. Nie mieli już wspólnych tematów.

Chantale wyczuła niechęć Maksa do kontynuowania tematu i znowu włączyła radio. Tym razem tak długo szukała stacji, aż wreszcie usłyszała dźwięki fortepianu, grającego spokojną melodię i Wanna Be Around.

Słońce powoli zaczynało się wznosić ponad górami. Ich szczyty tworzyły na razie czarne sylwetki na tle nieba, fiole-toworóżowego w pierwszych minutach po świcie.

— Może opowiesz mi coś o sobie? — zapytał Max. — Jak się ma twoja matka?

— Umiera — odparła Chantale. — Powoli. Chwilami w ogromnych bólach. Mówi, że będzie zadowolona, kiedy to się wreszcie skończy.

— A ojciec?

— Nigdy go nie znałam. Moja matka zaszła w ciążę w czasie ceremonii. Posiadł ją duch, a więc on jest moim ojcem. Takiego ducha nazywamy Chevalier. Po francusku znaczy to „rycerz”, a w naszym języku „ujeżdżana przez bogów”.

— Jesteś więc dzieckiem boga — stwierdził Max.

— Czyż nie jesteśmy nimi wszyscy? — zapytała Chántale z uśmiechem.

— Czy ty także miałas do czynienia z Chevroletem?

— Chevalierem, a nie Chevroletem — poprawiła dziewczyna. — Nie. Ostatni raz uczestniczyłam w ceremonii w bardzo młodym wieku.

— Nigdy nie jest za późno — zauważył Max.

Chántale odwróciła się i posłała mu spojrzenie, którego

moc poczuł aż w kroczu. Było to natarczywe i roznamiętione spojrzenie dziewczyny, która chętnie poszłaby z nim od razu do łóżka. Sam nie potrafił się powstrzymać przed zerknięciem na jej usta i na mały czarny pieprzyk pod dolną wargą. Nie był doskonale okrągły, wyglądał raczej jak przecinek. Nie po raz pierwszy Maksowi przyszło do głowy pytanie, jaka Chan-tale jest w łóżku, i nie po raz pierwszy odpowiadał sobie, że musi być nadzwyczajna.

Było już jasno. Jechali teraz gruntowymi drogami, wytyczonymi wśród białych skał i głazów, a od czasu do czasu pojawiały się na nich ciała martwych zwierząt, obgryzionych do kości. W zasięgu wzroku nie było ani żadnych drzew, ani krzaków; rosły jedynie kaktusy. Widok przypominał Maksowi pocztówki, które otrzymywał od kumpli podróżujących po południo-wo-zachodnich stanach.

Wreszcie znaleźli się w górach. Były zupełnie niepodobne do tych, jakie widywał w Stanach Zjednoczonych. A był już w życiu w Górach Skalistych i Appalalach. Na haitańskie góry składały się brązowe usypiska martwej ziemi, powoli, lecz systematycznie niszczone przez każdy kolejny podmuch wiatru, każdą kolejną kroplę deszczu. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś na całej wyspie rósł las tropikalny, że katastrofa ekologiczna nie jest przypadkiem, lecz efektem działania człowieka. Max próbował uzmysłwić sobie, jak wyglądają ludzie, którzy obecnie żyją w górach, i w jego wyobraźni pojawiły się skrzyżowania osób, które ocalały z obozów koncentracyjnych, z etiopskimi ofiarami głodu.

A jednak się mylił.

Mogli być bardzo biedni, jednak wiodło im się cokolwiek lepiej niż ubogim duszyczkom z miast.

Dzieci, chociaż wychudzone, nie miały wydętych brzusczków i głodnych spojrzeń, jakie charakteryzowały małych mieszkańców Port-au-Prince.

- 320 -

- 321 -

Zabudowania wiosek ani trochę nie przypominały okropnych ruder z Cite Soleil. Ludzie mieszkali tu w małych chatkach, krytych strzechą, a ściany domów były grube i pomalowane na różne jaskrawe kolory — na czerwono, zielono, niebiesko, żółto i czerwono-biało. Nawet zwierzęta wyglądały tutaj lepiej, świnie nie przypominały kóz, kozy nie przypominały psów, psy lisów, a kurczaki nie przywodziły na myśl gołębi dotkniętych anoreksją.

Droga zrobiła się okropna i Chantale mocno zwolniła. Musiała objeżdżać dziury o głębokości pięciu stóp, przejeżdżać przez głębokie kratery, chwilami przebijać się przez niemożliwie wąskie przewężenia. Nie napotkali dotąd żadnego samochodu, jednak na poboczach zobaczyli kilka wraków, rozebranych do najmniejszych części. Max zastanawiał się, jaki los spotkał ich kierowców. Mimo że dzięki klimatyzacji w samochodzie było chłodno, Max czuł, że na zewnątrz z bezchmurnego nieba leje się straszliwy żar.

— Allain nie powiedział ci wszystkiego o Arce Noego — odezwała się Chantale. — Zresztą, nic dziwnego, zważywszy na twoją postawę.

— Uważasz, że zachowałem się niewłaściwie, zadając mu trudne pytania?

— Obaj mieliście rację. Carverowie są nie do końca w porządku, jednak popatrz na ten kraj. Więcej ludzi niż ziaren zboża na kłosach.

— Czego mi nie powiedział?

— Nie mówił o tym, jak dochodzi do podpisywania kontraktów. Każdemu dziecku, kiedy dorośnie, dokładnie przypomina się, skąd pochodzi i kto je stamtąd zabrał. Wozi się je do Cite Soleil, do Carrefoura i do innych nieprzyjemnych miejsc. Muszą patrzeć, jak inni ludzie umierają z głodu i z powodu chorób, których nikt nigdy nie leczy. I patrzą na to nie po to, żeby się nauczyły

współczucia dla innych, ale po to, żeby nauczyły się szacunku dla Carverów jako ich zbawców. Żeby raz na zawsze zrozumiały, co zawdzięczają tej właśnie rodzinie i nikomu innemu.

— Taka pralnia mózgów?

— Niezupełnie. Oni są edukowani, nauczani, że ich jedyną przyszłość stanowią wyłącznie Carverowie. W końcu zyskują przekonanie, że z chwilą, kiedy opuszczą Arkę Noego, jeżeli nie zwiążą się z rodziną, skończą w slumsach z najbiedniejszymi ludźmi w tym kraju.

— A zatem kiedy osiągają siedemnaście albo osiemnaście lat i kończy się ich pobyt w Arce, chętnie podpisują cyrografy na własne życie, tak? — podsumował Max. — Inaczej mówiąc, prehandlowują pobyt w Arce Noego na służbę na rzecz imperium Carverów?

— Właśnie.

— Jak to się stało, że ty dla nich pracujesz?

— Allain lubi czasami zatrudniać także ludzi z zewnątrz. Uzupełniają jego zastępy służących.

— Ale ten kontrakt... Nie można go wymusić, jeżeli ktoś opuszcza wyspę, prawda? Powiedzmy, że studiujesz w Ameryce i postanawiasz potem pracować dla JP Morgana, a nie dla Gustava Carvera; nie są w stanie cię zatrzymać, mam rację?

— Nie są w stanie, ale zatrzymują. — Chantale ściszyła głos, jakby się obawiała, że ktoś może ją podsłuchiwać.

— W jaki sposób?

— Wszędzie mają kontakty. To bardzo bogata i potężna rodzina. Są wpływowi. Ktoś, kto chciałby złamać warunki kontraktu, zaraz sam zostanie złamany.

— Wiesz o takich przypadkach?

— To nie jest coś, o czym mówi się na ulicach, jednak nie mam wątpliwości, że takie sytuacje się zdarzały — odparła Chantale.

— Co dzieje się z dziećmi, które już w szkole nie chcą się podporządkować Carverom? Albo z trudnymi dziećmi?

Takimi, które siedzą w ostatnich ławkach i nie interesują się lekcjami?

— Muszę powtórzyć: o takich sytuacjach nie mówi się otwarcie, jednak Allain powiedział mi kiedyś, że dzieciaki, które nie nadążają za programem, są zawożone z powrotem tam, skąd je zabrano.

— Bardzo cywilizowana metoda — powiedział Max gorzko.

— Cóż, życie. Życie nigdzie nie jest łatwe, a tutaj jest przecież jeszcze gorsze. Haiti to piekło. A wszystkie dzieci w Arce Noego doskonale wiedzą, jakie spotkało je szczęście.

— Musisz zmienić pracę, bo mówisz jak twój szef.

— Pieprz się — wyszeptała Chantale. Zwiększyła głośność radia.

Max przez chwilę rozmyślał o tym, o czym od niej usłyszał, i wyłączył muzykę.

— Dziękuję — powiedział do dziewczyny.

— Za co?

— Za otwarcie nowego wymiaru mojego śledztwa: Arki Noego.

— Uważasz, że osoba, która porwała Charliego, mogła zostać stamtąd wyrzucona?

— Albo jej przyszłość zniszczyli Carverowie. Owszem, tak uważam. Życie za życie. Trzeci z najstarszych motywów zbrodni.

— Cóż, ty wiesz najlepiej.

35

Dla większości Haitańczyków Saut d'Eau to miejsce, w którym wody mają cudowne właściwości. Ludowa przypowieść głosi, że 16 lipca 1884 roku Matka Boska ukazała się tam kobiecie, która stała w strumieniu i prała jakieś ubrania. Wizja

324

ta przekształciła się następnie w białą mewę, która wleciała w wodospad, na zawsze obdarzając kaskadę wody mocą Ducha Świętego. Od tego czasu Saut d'Eau każdego roku odwiedzają tysiące ludzi — pielgrzymów, którzy zatrzymują się przed błogosławioną wodą i głośno się modlą o wyleczenie z chorób, uwolnienie od długów, o dobre zbiory, nowy samochód czy

O szybkie uzyskanie wizej do USA. W każdą rocznicę ukazania się Matki Boskiej u stóp wodospadu organizowany jest słynny festiwal, który trwa przez cały dzień i przez całą noc.

Ujrzawszy to miejsce po raz pierwszy, Max niemal uwierzył w legendę. Po długich godzinach jazdy przez nieprzyjazną dziczą ostatnim miejscem, jakie spodziewał się zobaczyć, był mały tropikalny raj, a właśnie coś takiego ukazało się jego oczom. Przysłowiowa oaza, cud albo sanktuarium — przypomnienie tego, czym kiedyś była cała wyspa i czym już nigdy nie będzie.

Aby dotrzeć do wodospadu, Max i Chantale musieli przejść jeszcze długą drogę nad brzegiem szerokiego strumienia, który wił się przez gęsty, żywy las, pełen kolorowej roślinności. Nie byli sami. W miarę, jak zbliżali się do celu wędrówki, na drodze spotykali coraz więcej ludzi. Większość wędrowała pieszo, jednak byli i tacy, którzy podróżowali na osłach albo na koniach; zwierzęta wyglądały na niesamowicie zmęczone. Wszyscy ludzie byli pielgrzymami, zmierzającymi ku miejscu, które miało ich uwolnić od chorób, trosk i problemów. Wreszcie, znalazłszy się przed wodospadem, szli w płytkiej wodzie, uroczyście

i pokornie, w kierunku wodnej kaskady o wysokości stu stóp. Mimo ogromnego szumu, jaki powodowały potoki spadającej wody, w lesie panowała głęboka cisza, jakby sama esencja tej ciszy została zaklęta w ziemi i w bujnej roślinności. Ludzie zdawali się to głęboko odczuwać, ponieważ nikt nic nie mówił ani nie powodował żadnego hałasu, brodząc w wodzie.

Max zobaczył, że w niektóre drzewa po drodze wciśnięte były świeczki, a ich pnie pokryte były fotografiami ludzi,

325

chrześcijańskich świętych, samochodów i domów. Na drzewach wisały także pocztówki — większość z Miami i z Nowego Jorku — oraz zdjęcia, powycinane lub powyrywane z gazet i magazynów. Drzewa te, o nieprawdopodobnie grubej korze i o cienkich patykowatych gałęziach (z niektórych zwisały owoce w kształcie ogórków), jak wyjaśniła Chantale, na Haiti zwano mapou. Dla obrzędów voodoo były drzewami świętymi, a ich korzenie, tkwiące głęboko w ziemi, stanowiły kanał łączności z loas — z bogami — którzy poprzez nie przechodzili z jednego świata do drugiego. Drzewa te były nierozłącznie związane z historią Haiti: powstanie niewolników, które przyniosło krajowi niepodległość, rozpoczęło się jakoby pod drzewem mapou w miejscowości Gona'ives. Poświęcono pod nim diabłu białe dziecko, porwane wcześniej rodzicom, w zamian za jego pomoc w pokonaniu ciemniejącej kraj armii Francuzów. Niepodległość ogłoszono pod tym samym drzewem w 1804 roku.

Kiedy dotarli do wodospadu, zatrzymali się na brzegu, niedaleko mapou. Max odstawił na ziemię kosz, który do tej pory niósł. Chantale otworzyła go i wyciągnęła małą sznurowaną torbę z purpurowego aksamitu. Wyjęła z niej cztery metalowe podstawki do świec i wbiła je w drzewo w równych odległościach, jak strzałki oznaczające na tarczy kompasu cztery strony świata. Poruszając się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, wsunęła do podstawek cztery świece — białą, szarą, czerwoną i lawendową. Następnie z portfela wyciągnęła fotografię, dotknęła jej rękami i przypięła ją do drzewa na środku aranżacji ze świeczek. Potem spryskała dłoń wodą ze szklanej buteleczki, po czym wtarła w nie i w ramiona coś, co zapachniało jak wywar z drewna sandałowego. Cicho szepcząc, zapaliła świeczki, do każdej przytykając nową zapałkę. Wreszcie odchyliła głowę i popatrzyła w niebo, szeroko rozrzucając ramiona i otwierając dłonie.

- 326 -

Max trochę się odsunął, nie chcąc jej przeszkadzać. Popatrzył na wodospad. Po lewej stronie, gdzie drzewa rosły rzadziej, przebijały się pomiędzy nimi promienie słońca i układały w mgiełce ponad opadającą wodą gigantyczną tęczę. Wielu ludzi stało na skałach wprost pod wodospadem, a woda omywała ich ciała. Inni ustawili się trochę z boku, gdzie opadające kaskady nie były tak silne. Nucili jakieś melodie i wznosili ramiona ku niebu, prawie identycznie jak Chantale. Niektórzy potrząsali jakimiś grzechotkami, inni po prostu klaskali w dłonie i tańczyli. Wszyscy byli nadzy. Zbliżywszy się do skał u podnóża wodospadu, pozbywali się ubrań i pozwalali, aby spływały z biegiem strumienia. W samym strumieniu ludzie stali po pas w wodzie, omywając swe ciała ziołami i kostkami żółtego mydła, które kupowali od chłopców sprzedających je z koszy na brzegach. Max zauważył, że kilku pielgrzymów pogrążonych było jakby w transie i stało w pozycji

ukrzyżowanego Chrystusa. Inni potrzęsali głowami i całymimi ciałami, przewracali oczami, a ich języki to wysuwały się z nieustannie poruszających się ust, to wsuwały z powrotem.

Do Maksa podeszła Chantale i położyła dłoń na jego ramieniu.

— To było dla mojej matki — wyjaśniła. — W taki sposób staramy się pomagać chorym.

— Dlaczego oni pozbywają się ubrań? — zapytał Max i skinął głową ku pielgrzymom.

— To część rytuału. Przede wszystkim pozbywają się ciężaru swojej przeszłości i pecha, co symbolizują właśnie ubrania. Następnie obmywają się do czysta w wodospadzie z wodospadu. To jest coś podobnego do chrztu. Tyle że wyrzucając ubrania, dokonują ogromnych poświęceń, ponieważ wszyscy ci ludzie są naprawdę bardzo biedni.

Chantale zaczęła schodzić z brzegu ku wodzie. W ręce trzymała pustą butelkę.

! - 327-

— Wejdiesz do wody? — zapytał Max z niedowierzaniem w głosie.

— A ty nie? — odpowiedziała pytaniem Chantale. Uśmiechała się, a w jej oczach widać było zachętę.

Maksa strasznie kusiło, żeby to uczynić, ale z trudem się powstrzymał.

— Może następnym razem — powiedział.

Chantale kupiła od chłopców z koszami kostkę mydła i garść liści. Następnie weszła do wody i poszła w kierunku ciemnych skał i otaczającego je jaskrawobiałego zalewu.

Zanim dotarła do skał, zerwała z siebie koszulę i wrzuciła ją do wody. Natarła mydłem twarz i nagi tułów, po czym weszła na skałę. Stanąwszy na niej, rozebrała się do czarnych fig, po czym wyrzuciła do wody dzinsy i buty.

Max nie był w stanie oderwać od niej oczu. Nago wyglądała jeszcze lepiej, niż sobie wyobrażał. Miała silne nogi, płaski brzuch, kształtne ramiona, małe i jędrne piersi. Jej ciało było ciałem tancerki — giętkie i zgrabne, a nie atletyczne. Zaczął się zastanawiać, czy był to bardziej wpływ genów, czy regularnych ćwiczeń, ale w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że wpatrywał się w nią zbyt intensywnie, i niechętnie odwrócił wzrok.

Chantale zdążyła jednak podchwycić jego spojrzenie. Uśmiechnęła się i pomachała do niego.

Uczynił to samo, odruchowo, idiotycznie niezgrabnie, nagle sprowadzony na ziemię, zakłopotany tym, że go złapała na tym, jak na nią patrzył.

Chantale zeszła ze skały i rzuciła się do wody, w środek tęczy, tam, gdzie kaskada biła najmocniej, najszerszym strumieniem. Max całkowicie stracił ją z oczu w gmatwaninie ciał innych kąpiących się ludzi. Ich sylwetki rozmywała mgiełka nad wodą. Bywały chwile, gdy widział Chantale i mnóstwo ludzi dookoła niej, ale bywały i takie, gdy woda pod wodospadem wydawała mu się zupełnie pusta, jakby pielgrzymi się w niej rozpuścili razem ze swym brudem, który spływał na brzegi strumienia z porzuconymi ubraniami.

Rozglądając się za Chantale, niespodziewanie poczuł, że z lewej strony wodospadu ktoś go obserwuje. I nie była to obserwacja prowadzona ze zwykłej ciekawości; ktoś spoglądał na niego zupełnie inaczej niż ludzie, których mijał dotąd po drodze do wodospadu. Ktoś go uważnie oceniał, wprawnym, wyćwiczonym okiem. Znał to uczucie, ponieważ jako gliniarz był szkolony, by takie spojrzenia rozpoznawać. Większość przestępców była strasznymi paranoikami o podwyższonym stopniu podejrzliwości. Działo to u nich mniej więcej tak, jak u niewidomych, którzy mają wzmocniony zmysł smaku i słuchu. Wiedzieli, kiedy są obserwowani, wyczuwali obecność obserwatora, czuli niemal każdy jego oddech, docierali wręcz do jego myśli. Dlatego właśnie gliniarzy uczono „złotej zasady obserwacji”: nigdy nie patrz wprost na obserwowany obiekt, lecz skupiaj się na przestrzeni mniej więcej pięć stopni po jego lewej lub prawej stronie.

Niebezpieczeństwo, że zostaniesz zauważony, jest wtedy znacznie mniejsze.

Osoba, która go teraz obserwowała, nie знаła tej zasady. Nie znała też innej ważnej zasady: zawsze pozostawaj w ukryciu, bo jeżeli chcesz coś zobaczyć, to sam nie powinieneś być dostrzeżony.

Obserwator stał na skałach, daleko od opadającej wody, częściowo skryty za wodną mgłą. Był to wysoki, chudy mężczyzna w koszulce z krótkimi rękawami, z wizerunkiem Rolling Stonesów na piersiach. Koszulka była w kilku miejscach podarta. Mężczyzna patrzył wprost na Maksa. Miał bezmyślny wyraz twarzy, którą zresztą w znacznej części ocieniały dredy, sięgające mu do ramion.

Zwisały z jego czaszki jak macki martwej tarantuli-mutanta.

Chantale znowu pojawiła się na skale. Zaczęła strząsać wodę z głowy i rozczesywać włosy palcami. Po chwili weszła do strumienia i ruszyła z powrotem do Maksa.

W tym samym momencie do wody wszedł facet z dreadami. Trzymał w rękach coś, czego nie chciał zamoczyć, ponieważ uno-

- 328 -

- 329 -

sił dłonie wysoko nad wodą. Pielgrzymi, którzy akurat nie przebywali duchowo w innym świecie, zaczęli ustępować mu z drogi i wymieniając zaniepokojone spojrzenia, jeden po drugim ruszyli do brzegu. Jakaś nawiedzona kobieta mocno złapała mężczyznę za dłoń. Otrzymała błyskawiczny cios łokciem w twarz i padła na plecy, na wodę. W jednej chwili opuściły ją wszelkie duchy. Z twarzą brozącą krwią pośpieszyła na brzeg.

Widząc, że mężczyzna z dreadami się zbliża, Max ruchem ręki nakazał Chantale, żeby zawróciła na skałę. Mężczyzna był już bardzo blisko brzegu. Max pomyślał, że powinien teraz wyciągnąć pistolet i go zatrzymać, jednak jeśli mężczyzna był wariatem, to by nic nie dało. Niektórzy ludzie czasami pragnęli, żeby ktoś ich zastrzelił, ponieważ sami nie mieli dość odwagi, żeby samodzielnie, raz na zawsze, zerwać ze światem, na którym zaznali nieprawości i nieszczęść.

Mężczyzna z dreadami zwolnił i wreszcie zatrzymał się, tkwiąc w wodzie po kostki, dokładnie naprzeciwko Maksa. Wyciągnął w kierunku Maksa to, co trzymał w rękach, czyli zniszczone, zardzewiałe blaszane pudełko, z ledwie widocznym oryginalnym zdobieniem — dużą niebieską różą.

Max już miał ruszyć w jego kierunku, gdy w głowę mężczyzny trafił duży kamień.

— Iwa! Iwa!

Wrzaski dzieci rozległy się tuż za plecami Maksa.

Niespodziewanie mężczyzna z dreadami został wzięty w krzyżowy ogień pocisków. Zaczęły go trafiać odłamki skał i duże kamienie, rzucane z zadziwiającą celnością. Niemal żaden nie omijał jego ciała.

Max pochylił się i zaczął się wspinać wyżej, tam gdzie stali ci, którzy rzucali kamieniami. Była to mała grupka dzieci; najstarszy mógł mieć najwyżej dwanaście lat.

— Iwa! Iwa!

Okrzyk tchnął wreszcie życie w pielgrzymów, którzy aż do tej chwili stali bez ruchu w wodzie i jedynie wszystko obser-

330

wowali. Teraz i oni zaczęli rzucać w mężczyznę, ale nie tak celnie jak dzieci, i czasami trafiali w ludzi, którzy w pozycji krzyża stali w wodzie i po uderzeniu przewracali się, albo w nawiedzonych, którzy natychmiast dostawali jakichś demonicznych spazmów.

W pewnym momencie dłonie mężczyzny z dreadami otrzymały bezpośrednie trafienie. Upuścił pudełko do wody. Natychmiast zniknęło w jej nurcie i wypłynęło na powierzchnię kilka stóp dalej. Mężczyzna z dreadami rzucił się za nim, biegnąc tak szybko, jak tylko był w stanie. Wreszcie rzucił się do wody, ścigany przez latające kamienie i przez kilku co odważniej szych pielgrzymów, którzy ruszyli za nim z kijami, jednak bez specjalnego zapału.

Mężczyzna z dreadami uciekł.

Kiedy stało się jasne, że nie wróci, sprawy zaczęły wracać do normalnego stanu. Duchy wróciły do ciał, które przed chwilą opuściły, pielgrzymi — do obmywania ciał, po czym znów wspinali się na skały pod wodospadem, a dzieciaki na brzegu powróciły do koszyków, z których sprzedawały mydło i zioła.

Chantale podeszła do Maksa. Ten podał jej ręcznik i nowe ubranie, które miała w koszyku.

— Co znaczyło to e-wah? — zapytał Max, obserwując, jak dziewczyna suszy ręcznikiem włosy.

— Iwa? To pomocnik diabła. Człowiek, który pracuje dla bokorów — odparła. — Tyle że nie sądzę, żeby ten facet był kimś takim. To prawdopodobnie jakiś miejscowy pomyleniec. Mnóstwo jest ich tu dookoła. A już szczególnie przy wodospadzie. Przybyli tu jako normalni ludzie, wstąpiły w nich duchy i nie chcą ich opuścić.

— A czego on chciał ode mnie?

— Może myślał, że jesteś loa, czyli bogiem? — odparła pytaniem Chantale, zapinając stanik.

331

— A to dopiero nowina! — Max roześmiał się.

Pragnął obrócić wszystko w żart, jednak nie był w stanie zapomnieć widoku mężczyzny, w którego rzucano kamieniami.

Był pewien, że człowiek z dreadami doskonale wiedział, kim on jest, co tutaj robi i kogo szuka. Tę pewność dało Maksowi pierwsze spojrzenie obcego, celowo natarczywe, spojrzenie, które miało przyciągnąć jego uwagę. Dopiero kiedy mężczyzna to osiągnął, wykonał pierwszy ruch. A co było w pudełku?

36

Clarinette było na dobrej drodze, by przeistoczyć się z wioski w małe miasto. Zasadnicza część miejscowości leżała na szczycie wzgórza, z którego były doskonale widoczne wodospady, ale zbocza wzgórza usiane były jednoizbowymi domami, szopami i barakami ze sklejek. Budowle te były porzucane tak bezładnie, że z oddali sprawiały wrażenie, jakby na ziemi leżały kartony, które wypadły z przejeżdżającej ciężarówki.

Kiedy wysiadali z samochodu, ludzie zatrzymali się, żeby na nich popatrzeć. Dorośli mierzyli ich wzrokiem od stóp do głów, dokładnie oglądali landcruisera, po czym powracali do swoich obowiązków z takimi minami, jakby już kiedyś widzieli taki samochód, a teraz interesowały ich tylko jego unowocześnienia. Dzieciaki odbiegły jak najdalej. Bały się przede wszystkim Maksa, a on zastanawiał się, czy ich strach wynika z tego, że nigdy dotąd nie widziały białego mężczyzny, czy też z podejrzeń, że biały mężczyzna nie jest zbyt naturalnym produktem w tym kraju.

Najwyższym budynkiem w Clarinette był imponujący kościół — musztardowożółty okrąg wzmocnionego betonu, zwieńczony słomianym dachem i prostym czarnym krzyżem. Czte-

- 332 -

ry razy większy niż kolejny duży budynek — czyli niebieski bungalow—przytłaczał wszystkie inne otaczające go, zwykle amatorskie konstrukcje, z gliny i z blachy. Miejsce, w jakim znajdował się kościół — samo centrum wioski — wskazywało, że został wybudowany najpierw, a dopiero potem zaczęło się wokół niego rozwijać osiedle. Na pierwszy rzut oka kościół zdawał się liczyć nie więcej niż pięćdziesiąt lat.

Czubek krzyża niemal dotykał chmur, które zwisały nad wioską niewiarygodnie nisko, okrywając ją nieprzeniknionym welonem. Słońce, mimo że znajdowało się niemal w zenicie, nie potrafiło ich przebić. Stopniowa erozja niedalekich grzbietów górskich przez cały czas przybliżała niebo do ziemi.

W powietrzu unosiła się wspaniała świeżość, a zdrowe zapachy pomarańczy i dzikich ziół zdecydowanie przebijały się ponad odór palonego drewna i gotowanych na nim posiłków. Unosił się też, na tle hałasów, jakie powodowali ludzie zajmujący się swoimi sprawami, szum wodospadu, odległego o kilka mil. Jego odgłos słyszalny był jako bezustanny bulgot.

Max i Chantale przeszli przez wioskę, przez cały czas zagadując mijanych ludzi. Nikt nie wiedział niczego o Charliem, Beesonie, Meddzie ani o Faustynie czy Leballecu. I raczej nikt nie kłamał.

Pytania o Tonton Clarinette'a wzbudzały jedynie śmiech. Max zaczął wątpić, czy Beeson i Medd w ogóle tutaj dotarli. Czy to możliwe, żeby Desyr celowo skierował go na fałszywy trop?

Zbliżając się do kościoła, usłyszeli odgłosy walenia w bębny, które docierały z jego wnętrza. Max poczuł, jak rytm uderza prosto w przeguby jego rąk, jak dźwięki basu przenikają jego kości i trafiają do żył, synchronizując się z pulsem, aż wreszcie docierają do dłoni i palców, sprawiając, że je zaciska i otwiera, jakby przebiegały po nich ciarki.

Drzwi do kościoła były zamknięte na kłódkę. Na ścianie wisiała gablota z ogłoszeniami i z pięknym wizerunkiem Matki Boskiej. Chantale przeczytała ogłoszenia i uśmiechnęła się.

- 333 -

— To miejsce nie jest tym, czym myślisz, że jest. To nie jest kościół, Max — powiedziała. — To jest hounfor — świątynia voodoo. A kobieta na rysunku to wcale nie Matka Boska, lecz Erzillie Freda, nasza bogini miłości, nasza Afrodyta, jedna z najwyższych i najbardziej czczonych.

— Dla mnie wygląda jak Matka Boska — stwierdził Max.

— To kamuflaż. Kiedy Haiti było niewolniczą kolonią francuską, nasi władcy próbowali panować nad niewolnikami, zakazując religii voodoo, którą ci sprowadzili tutaj z Afryki, i nawracając ich na katolicyzm. Niewolnicy wiedzieli, że stawianie oporu doskonale uzbrojonym panom nie ma sensu, a więc udawali, że się nawracają, po prostu ich oszukiwali. Przyniesli katolickich świętych jako własnych. Chodzili do kościoła, tak jak się tego po nich spodziewano, ale zamiast modlić się do świętych z Rzymu, czcili ich jako swoich własnych loas. Święty Piotr stał się Papa Legba, czyli loa zagubionych, do świętego Patryka modlono się jako do Damballaha, loa węża, święty Jakub stał się Ogu Ferraille, czyli loa wojny.

— Sprytni ludzie.

— Dzięki temu uzyskaliśmy wolność. — Chantale uśmiechnęła się. Znowu popatrzyła na kartkę z ogłoszeniami, po czym zwróciła się do Maksa: — Dzisiaj o szóstej odbędzie się ceremonia. Moglibyśmy na niej zostać? Bardzo bym chciała, ze względu na matkę.

— Jasne. — Max pokiwał głową.

Nie miał nic przeciwko temu, nawet jeśli miało to oznaczać, że drogę powrotną do Petionville odbędą w kompletnych ciemnościach. Chciał zobaczyć ceremonię, chociażby dla zaspokojenia zwykłej ciekawości. Nigdy dotąd nie uczestniczył w prawdziwej ceremonii voodoo, miał więc szansę przywiezienia z tej wycieczki przynajmniej nowych wrażeń.

Opuścili centrum wioski i poszli na wschód, w kierunku drzew mapou. Max z fascynacją podziwiał, po niemiłych do-

- 334 -

świadczeniach ze stolicy, jak piękne, spokojne i ciche są wiejskie obszary Haiti.

Dotarli do niskiego muru z piaskowca, którego budowy nie dokończono. Gdyby wybudowano do końca jego południowy skraj, ludzie, którzy by na nim stali, mieliby wspaniałą widok na wodospady, leżące całą milę niżej.

— Po co to budowano w tym miejscu? — zdziwiła się Chantale. — Przecież znajdujemy się w samym środku niczego.

— Może właśnie o to chodziło?

— Mur jest zbyt długi i zbyt szeroki, jak na mur zwyczajnego domu. — Przesunęła wzdłuż niego wzrokiem, zatrzymując spojrzenie dopiero na górach za wioską.

Oba drzewa mapou zdobiły kikuty wypalonych świeczek, wstążki, loki z ludzkich włosów, rysunki i małe skrawki papieru z zapisanymi ręcznie tekstami. W pewnej odległości cicho sunął płytki strumień, zmierzając ku Saut d'Eau. Scena byłaby wręcz idylliczna, gdyby nie dwa duże rottweilery, kąpiące się w najlepszym w strumieniu.

Ich właściciel — niski, krępy mężczyzna w dżinsach i płóciennej białej koszuli — stał po drugiej stronie strumienia, obserwując oba psy i jednocześnie uważnie spoglądając na Maksa i Chantale. W lewej ręce trzymał śrutówkę pneumatyczną marki Mossberg.

— Bonjour! — zawołał. — Amerykanin?

— Tak — odparł Max.

— Przyjechał pan tu z wojskiem? — zapytał mężczyzna. Jego akcent wskazywał, że pochodził raczej z New Jersey niż z Haiti.

— Nie.

— Odwiedzacie wodospady? — znowu zapytał mężczyzna.

Przeszedł kawałek brzegiem, żeby stanąć naprzeciwko Chantale i Maksa.

— Już tam byliśmy.

- 335 -

— I co, spodobały się?

— Jasne.

— Ale to chyba nie przy Niagarze?

— Nie wiem — odparł Max. — Nigdy tam nie byłem.

— Kawałek w górę strumienia leży w nim kilka płaskich kamieni. Możecie przejść po nich suchą nogą na drugą stronę. — Mężczyzna wskazał na jakiś punkt w wodzie. — Oczywiście, jeśli tylko

macie taki zamiar.

— A co jest po drugiej stronie? — spytał Max, nie ruszając się z cienia drzew.

— Jedyne francuski cmentarz.

— Dlaczego „francuski”?

— Bo pochowane są na nim ciała francuskich żołnierzy. Ludzi Napoleona. Widzi pan tę ziemię? Kiedyś uprawiano tutaj tytoń. Tam, gdzie teraz jest wioska, znajdował się mały garnizon. Pewnej nocy niewolnicy wzniesli powstanie i zawładnęli garnizonem. Potem przyprowadzili tutaj żołnierzy, dokładnie na miejsce, w którym pan teraz stoi, pomiędzy dwa drzewa ma-pou. Jednemu po drugim kazali klękać na veve poświęconej Baronowi Samedi — czyli bogowi zmarłych i cmentarzy — po czym podrzynali im gardła—wyjaśnił mężczyzna, przesuwając palcem po swoim. Jednocześnie wysunął język. — Krew ofiar zbierali w dzbanie, z którego później wszyscy wypili. Następnie ubrali mundury żołnierzy, twarze i ręce pomalowali na białe, żeby oszukać ludzi, którzy patrzyliby na nich z dużej odległości, i przystąpili do demolki. Zabijali, gwałcili i torturowali. Nie oszczędzili żadnego białego mężczyzny, białej kobiety ani dziecka, na jakich natrafiali na swojej drodze. Kiedy dokonali rzezi, byli wolnymi ludźmi i tutaj właśnie się osiedlili.

Max popatrzył na drzewa i na ziemię pod swoimi stopami, jakby spodziewał się, że coś jeszcze może zdradzić historię tego miejsca. Niczego nie znalazłszy, ruszył wraz z Chantale wzdłuż brzegu, dopóki nie natrafili na kamienie, po których mogli przejść na drugą stronę strumienia.

336

Mężczyzna i jego psy wyszli im na spotkanie. Max ocenił, że był on mniej więcej w jego wieku, czyli trochę po czterdziestce, a może kilka lat starszy. Miał ciemną, okrągłą twarz i małe błyszczące oczka, jakby rozbawione; sprawiał wrażenie, jakby dosłownie przed chwilą ktoś mu opowiedział przezabawny kawał. Jego czoło było mocno pomarszczone, wyglądał jednak na silnego i zdrowego. Miał szerokie ramiona i płaską klatkę piersiową. W młodości mógł być zawodowym kulturystą, wyobrażał sobie Max, i być może nadal nad sobą pracował dla zachowania sylwetki. Nigdy wcześniej tego mężczyzny nie spotkał, ale wyobrażał sobie, że przecież go zna—jego postawa, akcent, budowa ciała i spojrzenie nieuchronnie go zdradzały. Oto stał przed nim człowiek, który wiele lat spędził w więzieniach.

Max wyciągnął do niego rękę i przedstawił siebie oraz Chantale.

— Mam na imię Philippe — powiedział mężczyzna i roześmiał się. Błysnął przy tym najładniejszym uśmiechem, jakie Maksowi zdarzyło się dotąd zobaczyć u mieszkańca Haiti. Jego głos był chrapliwy, i to, jak odgadł Max, nie z powodu częstego krzyczenia czy jakichś przebytych infekcji, ale raczej z powodu jego rzadkiego używania. Mężczyzna nie miał do kogo się odzywać albo po prostu spotykanych ludzi nie zaszczycał rozmowami. — Chodźcie! — zawołał z entuzjazmem. — Chodźcie, zwiedzimy cmentarz.

Przebrnęli przez pole i kolejny strumień, aż wreszcie dotarli do dzikiego gaju pomarańczowego, którego silny zapach czuć było już w wiosce. Philippe prowadził pomiędzy drzewami, starając się nie omijać wiszących kiści słodko pachnących pomarańcz oraz leżących na ziemi owoców, które już pospadały z drzew. Max nigdy nie widział większych pomarańcz; miały rozmiary grejpfrutów albo małych melonów miodowych. Ich skórki były grube i niemal doskonale okrągłe, a łądygi,

- 337 -

na których rosły, jaskrawozielone. Te, które popękały, ukazywały czerwone wnętrza. Popękane pomarańcze upodobały sobie muchy, które przylatywały do tego gaju w poszukiwaniu rozkładającego się cukru.

Kawałek dalej znajdował się wielki cmentarz — szeroki prostokąt ziemi, porośnięty wysoką, grubą trawą, pełen nagrobków, dużych i ładnych, ale także niewielkich, skromnych, ciągle wznoszących się prosto w górę lub pochylających się już z racji wieku. Cmentarz otaczał metalowy płot, sięgający człowiekowi do pasa. Do środka prowadziły cztery bramy, po jednej na każdym boku czworokąta.

Żołnierzy pochowano dość ciasno obok siebie, sześćdziesiąt ciał zakopanych w pięciu rzędach, liczących po dwanaście grobów. Ich nazwiska wryte były na nagrobkach głębokimi dużymi literami.

— Nie powiedziałem wam wszystkiego — odezwał się Philippe, prowadząc swoich gości wzdłuż grobów. — Niewolnicy nie tylko wypili krew tych ludzi i ukradli im mundury. Oni także ukradli ich nazwiska. Widzicie choćby tutaj? — Wskazał na grób oznaczony imieniem „VALENTIN”. — Popytajcie w wiosce o konkretnych ludzi, a przekonacie się, że każde nazwisko, jakie tam usłyszycie, ma już swego właściciela tutaj, na cmentarzu.

— Czy to nie była jakaś sprzeczność? — zapytał Max. — Skoro ci niewolnicy chcieli naprawdę być wolni, dlaczego upamiętniali swoich oprawców, przyjmując ich personalia?

— Sprzeczność? — Philippe uśmiechnął się. — Im chodziło przecież o trwałe wykorzenienie tych ludzi. I dokonali swego.

— Dlaczego więc pozostawiali po sobie ślady? Dlaczego grzebali ciała?

— Haitańczycy mają dla śmierci ogromny respekt. Nawet do śmierci białego człowieka. Nie zamierzali dopuścić, by w przyszłości prześladowały ich duchy tych Francuzów—odrzekł Philippe i popatrzył na Maksa.

Po drodze na cmentarz Max na wszelki wypadek odebzpieczył pistolet.

— Z powodu pewnej klątwy coś się im jednak nie udało — mówił dalej Philippe. Poprowadził Maksa i Chantale przez niewielką pustą przestrzeń, która oddzielała groby żołnierzy od innych. Na środku tego cmentarnego placu, na którym nie rosła żadna roślinność, leżał wielki kamień. Nie wyryto na nim ani jednego słowa, ani jednego symbolu. — W armii Napoleona było mnóstwo młodych chłopców, niektórzy nie mieli nawet ośmiu lat, byli po prostu sierotami, które przygarnęli żołnierze. Stacjonujący tutaj garnizon był naprawdę młody. Oficer dowodzący miał dwadzieścia lat — powiedział Philippe i spojrzał na kamień. — W tym miejscu pochowano garnizonową maskotkę. Nikt nie wie, ile miał lat, ale był to zaledwie kilkuletni chłopaczek. Niewolnikom pracującym na polach przygrywał na klarnecie. Zajęli się nim na samym końcu. Kazali mu grać na klarnecie, kiedy wieszali zwłoki żołnierzy za nogi i zlewali do wiader krew z ich rozciętych gardeł. Jemu tego nie zrobili. Zamknęli go w skrzyni i pochowali żywcem, właśnie w tym miejscu. — Philippe lekko trącił ziemię butem. — Mówi się, że słyszeli jego grę jeszcze długo po tym, jak na skrzynię spadła ostatnia łopata ziemi. Muzyka umierającego dziecka brzmiała przez wiele dni. Niektórzy ludzie twierdzą, że kiedy ku wiosce wieje wiatr znad cmentarza, słyszą dźwięki klarnetu, zmieszane z odorem słodkich pomarańczy. Nikt nie chce ich jeść, ponieważ wyrastają na śmierci.

— Co z tą klątwą? — zapytał Max.

— Być może pan nie uwierzy, ale Baron Samedi, który przyjął od niewolników ciała zabitych żołnierzy, nigdy nie przyjął ciała tego chłopca. Uważa, że on wciąż żyje. I w końcu zaadoptował go jako swojego pomocnika, który zajmuje się zmarłymi dziećmi.

— Jest więc dziecięcym bogiem śmierci?

- 338 -

- 339 -

— Tak, tyle że właściwie nie takim prawdziwym bogiem, ponieważ nikt nie czci go tak, jak ludzie czczą Barona. Jest raczej takim lichem, straszylem. I nigdy nie czeka, aż jakieś dziecko umrze. Zabiera je wszystkie do siebie, kiedy jeszcze żyją.

Max przypomniał sobie, co opowiedział mu Dufour o podróży do źródła mitu o Panu Klarnecie. To ten mit mógłby pomóc mu poznać prawdę o zniknięciu Charliego. No i właśnie tu się znajdował, w miejscu, gdzie mit ma swój początek. Tyle że na razie do odpowiedzi na żadne z pytań, które przed nim stały, nawet się nie zbliżył.

— Skąd pan to wszystko wie? O żołnierzach i w ogóle?

— Nasza historia mnie fascynuje, dorastałem, ucząc się jej. O Panu Klarnecie opowiedziała mi matka, kiedy byłem dzieckiem. A jej opowiadała o nim moja babcia, i tak dalej, sięgając wiele pokoleń wstecz. Słowo mówione bardziej niż książki sprawia, że historia żyje w pamięci. Papier często płonie. Poza tym, o ile nie zawodzi mnie intuicja, przyjechał pan tu właśnie po to, żeby spotkać się z moją matką.

— Pana matką? — Max zatrzymał się zaskoczony. — Jak się pan nazywa?

— Leballec — odparł Philippe z uśmiechem.

— Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej?

— Bo pan nie pytał. — Philippe zachichotał. — Przyjechał pan w sprawie chłopca, prawda? Charliego Carvera? Podobnie jak ci wszyscy inni biali faceci przed panem?

W tym momencie Max usłyszał, jak za jego plecami poruszają się gałęzie drzew pomarańczowych. Ktoś, kto jeszcze przed chwilą się wśród nich krył, zaczął bardzo szybko uciekać. Odwrócili się razem z Chantale, jak na komendę, ale zobaczyli już tylko trzy dorodne pomarańcze, toczące się w ich stronę. Jedna z nich zatrzymała się dopiero u stóp Chantale. Dziewczyna odtrąciła ją butem ze wstrętem.

— A więc pańska matka jest...

340 -

— Moja matka to bokor, tak. Założę się, że tego się pan nie spodziewał. Kobieta bokor? Kobiety robią w tym przeklętym kraju wszystko, jedynie nim nie rządzą. Ale gdyby rządziły, Haiti z pewnością nie byłoby takim gównianym miejscem, jakim jest teraz.

— Gdzie ona teraz jest? — spytał Max.

— Całkiem niedaleko. — Philippe skinął głową w kierunku wschodnim i zaczął tam iść. Po chwili zatrzymał się, popatrzył Maksowi prosto w oczy i zapytał: — Kiedy wyszedłeś?

— A ty? — Max odpowiedział pytaniem.

Byłego więźnia rozpoznawał bez cienia wątpliwości po sposobie, w jaki nosił głowę na karku, i po bezustannym napięciu całego ciała, gotowego w każdej chwili odeprzeć gwałtowny atak. On sam zresztą nie był inny, poruszał się podobnie.

— Dwa lata temu. — Philippe uśmiechnął się.

— Odesłali cię tutaj?

— Jasne. Inaczej już dawno tkwiłbym w plastikowym worku. Byłem jednym z pierwszych, których Amerykanie odesłali do kraju, królikiem doświadczalnym.

— Spotkałeś kiedykolwiek mężczyznę o nazwisku Vincent Paul?

— Nie.

— Wiesz, kto to jest?

— Tak. Jasne, że wiem.

Ruchem ręki Philippe nakazał iść dalej, zrobił kilka kroków i znów się zatrzymał.

— Gdybyś się zastanawiał, za co mnie skazali... To było morderstwo — powiedział. — Z premedytacją. Miałem gówniany spór z pewnym facetem. Znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia, on albo ja. Któregoś dnia poszedłem do niego i odstrzeliłem mu łeb. Żałuję tylko tego, że mnie złapali. A ty?

— To samo — odparł Max.

- 341

37

Leballecowie mieszkali w odległości mniej więcej pół godziny marszu od cmentarza, na końcu gruntowej drogi, która przecinała kolejne pole i jeszcze jeden strumień, po czym opadała lekko w dół, ku pochyłemu trawiastemu zboczowi, z którego widać było wodospad. Materiału na budulec z pewnością daleko tu nie szukano. Ich dom, prosty parterowy budynek, wykonany był z tego samego piaskowca co opuszczony mur niedaleko Clarinette.

Philippe poprosił, żeby poczekali na zewnątrz, razem z psami, a sam poszedł porozmawiać z matką.

Wsluchując się w odległy grzmot wodospadu, Max pomyślał o swoich pierwszych miesiącach na Rikers Island, o tym, jak długimi godzinami wsluchiwał się w szum wody otaczającej więzienie.

Ten łagodny, jednostajny szum powinien był dawać mu poczucie wewnętrznego spokoju, a tymczasem wywoływał efekt całkowicie przeciwny. Doprowadzał go niemal do szaleństwa. Był prawie pewien, że woda coś do niego szepcze, że morskie głębiny chcą mu coś poprzez ten szum przekazać. I przez cały czas wiedział, co to jest: paranoja, strach, niepewność i stres, łączące się w jedno, dopadające tych skazańców, którzy po raz pierwszy znaleźli się za murami więzienia, i oferujące szaleństwo jako proste rozwiązanie nieznośnej sytuacji. Max musiał ogromnie się starać, aby się mu nie poddać. Przetrwał najtrudniejszy okres, a potem nauczył się nie słuchać wody.

W oknie przy drzwiach ukazała się na moment jakaś ciemna sylwetka i zaraz znikła.

Chwilę później drzwi otworzyły się i Philippe gestem nakazał Maksowi i Chantale, żeby weszli do

środku. Psy pozostały na zewnątrz.

W domu było zimno i mroczno. Powietrze miało przyjemny słodki zapach, niczym dobrze zaopatrzony sklep ze słodyczami. Można było w nim wyczuć jednocześnie czekoladę, wanilię, cynamon, anyż, miętę i pomarańcze.

Philippe poprowadził ich do pokoju, gdzie jego matka czekała już przy długim stole, nakrytym czarnym jedwabnym materiałem, wyszywanym purpurową, złotą i srebrną nicią. Siedziała na wózku inwalidzkim.

Pokój nie miał okien, był jednak jasno oświetlony dzięki świeczkom ustawionym na podłodze w grupy o kształcie rombów i powtykanym w liczne mosiężne świeczniki. Świeczniki stały na obiektach o różnych długościach i wysokościach, które również przykryte były czarnym materiałem.

Z powodu tylu palących się świeczek w pokoju powinna była panować wysoka temperatura, było tu jednak przyjemnie chłodno, a to z racji pracującej pełną mocą klimatyzacji i obracającego się pod sufitem, z głośnym szumem, wentylatora. Sztuczny wiatr sprawiał, że płomienie na świeczkach lekko się chwiały, wywołując wrażenie, że ściany pokoju powoli się obracają, niczym wielkie bezkształtne bestie, polujące na ofiarę i czekające na najbardziej odpowiedni moment, żeby zaatakować.

Philippe dokonał prezentacji. Jego głos, kiedy zwracał się do matki, był bardzo czuły, a postawa pełna szacunku. Max odniósł wrażenie, że syn ją zarazem szanuje i bardzo się jej boi.

— Maksie Mingus, pozwól, że ci przedstawię panią Mercedes Leballec — powiedział i cofnął się pod ścianę.

— Bond-joor — odezwał się Max i mimo woli skłonił głowę. Kobieta emanowała wrodzonym dostojeństwem i mocą, której z pewnością uległo już wiele osób.

— Panie Mingus, witam w moim domu — odparła pani Leballec po angielsku, z lekkim francuskim akcentem. Mówiła powoli i łagodnie, wyraźnie wymawiając każde słowo.

Max ocenił, że kobieta może mieć około siedemdziesięciu lat. Ubrana była w niebieską dzinsową suknię z długimi rę-

- 342 -

- 343 -

kawami i jasnymi guzikami. Była zupełnie łysa, a skóra na jej czaszce była taka delikatna i lśniąca, że można było odnieść wrażenie, iż nigdy w życiu nie miała włosów. Na drobnej i pomarszczonej twarzy z wysokim, gładkim czołem widniały oczy tak małe, że Max z trudem dostrzegał ich białka. Poruszały się jak niewielkie cienie za szkiełkiem wizjera. Kobieta nie miała ani brwi, ani rzęs. Pod płaskim nosem w kształcie lejka Max dostrzegł nieduże usta trochę jak u ryby. Silnie zarysowane szczęki i pomarszczone policzki kształtem przypominały końskie kopyta. Max skojarzył kobietę z ekscentrycznymi i trochę strasznymi bohaterkami bardzo starych niemych filmów, chociaż mogła też uchodzić za pacjentkę szpitala po chemioterapii. Posłał krótkie spojrzenie w kierunku Philippe'a, który z rękami ułożonymi na kolanach przycupnął na stołku tuż za nią. Pomiedzy matką i synem nie zauważył nawet cienia podobieństwa.

Królewskim ruchem ręki pani Mercedes Leballec nakazała swoim gościom, żeby usiedli.

— Szuka pan chłopca, Charliego, prawda? — odezwała się, kiedy tylko Max i Chantale zajęli miejsca.

— Tak — odparł Max. — Czy ma go pani?

— Nie — odpowiedziała Mercedes stanowczo.

— Ale zna pani Eddiego Faustina?

— Znałam. Eddie nie żyje.

— Skąd pani wie? Jego ciała nigdy nie znaleziono.

— Eddie nie żyje — powtórzyła kobieta i przysunęła się na wózku trochę bliżej stołu.

Max dojrzał zawieszony na jej szyi duży stalowy gwizdek. Zapewne dzięki niemu mogła do siebie przywoływać — psy, Philippe'a... Czy kogoś jeszcze?

— Czy Eddie kiedykolwiek mówił pani, z kim pracuje? Albo dla kogo?

— Gdyby mi to powiedział, nie siedzielibyśmy teraz razem przy tym stole.

344

— A to dlaczego? — zdziwił się Max.

— Ponieważ ja byłabym bogata, a pana by tu nie było.

Uwagę Maksa przykuło coś, co zauważył za lewym ramieniem kobiety. Była to naturalnej wielkości mosiężna rzeźba pary rąk, złożonych do modlitwy, ustawiona na stoliku pod ścianą. Po obu stronach stolika znajdowały się świeczniki w kształcie delfijskich kolumn, z długimi świeczkami. Przy mosiężnych rękach stał kielich mszalny i pusta butelka z białego szkła. Z kolei za nimi, w półkolu, ustawiona była psia czaszka, leżał sztylet, para kości do gry, serce z metalu i szmaciana lalka. Jednak najważniejszym punktem tej wystawki były przedmioty, które Max dostrzegł dopiero na końcu, umieszczone tuż przed złożonymi dłońmi na mosiężnej tacy, która wyglądała jak te, które podsuwa się pod brodę katolickim wiernym przyjmującym komunię świętą. Były to porcelanowe oczy o wielkości piłeczek do ping-ponga, o jasnoniebieskich źrenicach, wpatrujące się prosto w Maksa.

Niewątpliwie spoglądał na ołtarz używany w obrzędach czarnej magii. Pamiętał takie ołtarze z lat osiemdziesiątych z Miami. Po mieście przewalała się wtedy fala kubańskiej przestępczości. Żli ludzie modlili się do złych duchów o wstawiennictwo; dopiero wtedy ruszali, żeby czynić złe rzeczy. Większość gliniarzy głośno okazywała pogardę wobec ołtarzy, określając je jako materialne przejawy wierzeń w zwykłe brednie, ale w gruncie rzeczy na ich widok przebiegały im ciarki po plecach. Były one częścią zjawiska, którego nie rozumieli, i epidemia, której nie potrafili powstrzymać.

— A więc Eddie nie powiedział ani słowa o ludziach, dla których pracował? — kontynuował Max.

— Nie.

— Ani jednego drobnego szczegółu? Nie powiedział pani nawet, czy pracuje dla mężczyzny, czy dla kobiety? Nie powiedział, jakiego koloru skóry był jego pracodawca? Czy pochodził z zagranicy?

- 345 -

— Nic.

— A pytała pani?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Bo nie była zainteresowana — odpowiedziała Mercedes spokojnie, jakby mówiła o czymś zupełnie nieważnym.

— Ale wiedziała pani, że Eddie się stacza? — Max pochylił się ponad stołem w taki sposób jak wtedy, gdy pracował w policji chciał potrząsnąć jakimś upartym świadkiem. — I wiedziała pani, że Eddie chce porwać tego dzieciaka.

— To nie była moja sprawa — odparła kobieta chłodno, niewzruszona zachowaniem Maksa.

— Ale bez wątplenia uważała pani, że Eddie postępuje źle — napierał Max.

— Nikomu nie wolno tego osądzać.

— Rozumiem. — Max pokiwał głową i znowu usiadł na krześle.

Popatrzył na Chantale, która uważnie obserwowała jego poczynania, i na Philippe'a, który siedział i po prostu ziewał.

Znowu spojrzął na ołtarzyk, na porcelanowe oczy, a potem na tło za nim. Ściana za Mercedes pomalowana była na turku-sowo. Na jej środku po przekątnej wisiał krzyż bez miejsca na głowę. Jego ramiona lśniły długimi gwoździemi, wbitymi byle jak; niektóre były pogięte, krzywe. Krzyż miał chyba sprawiać wrażenie, jakby niedawno po prostu spadł z nieba.

— Jak długo znała pani Eddiego?

— Pomogłam mu dostać pracę w rodzinie Carverow — odparła Mercedes.

Kiedy się zorientowała, że Max patrzy na przedmioty za jej plecami, przez jej usta przebiegł lekki uśmiech.

— Jak mu pani pomogła?

— Pomogłam, po prostu.

— W jaki sposób?

— Przecież pan wie — powiedziała kobieta i tym razem uśmiechnęła się szeroko, ukazując rząd drobnych zębów.

— Poprzez czarną magię? — zapytał Max.

— Może to pan nazywać, jak pan chce — Mercedes lekceważąco machnęła ręką.

— Co pani dla niego zrobiła?

— Pan Carver mógł wybierać pomiędzy Eddiem i trzema innymi. Eddie przyniósł mi po jednym przedmiocie należącym do każdego z jego rywali. Było to coś, co albo na sobie nosili, albo po prostu dotykali. No i przystąpiłam do pracy.

— Co dalej?

— Dobry los nie jest dany raz na zawsze. No i trzeba za niego zapłacić. Z odsetkami. -Mercedes lekko pchnęła fotel do tyłu.

— Mówi się, że śmierć Eddiego była straszna. To w taki sposób zapłacił?

— Eddie miał wielki dług.

— Opowie mi pani o tym? — nalegał Max.

— Dostawszy pracę u Carverow, Eddie przybiegł do mnie z mnóstwem problemów. Pomogłam mu je rozwiązać.

— Jakie to były problemy?

— Raczej typowe: kobiety, wrogowie...

— Kim byli jego wrogowie?

— Eddie należał wcześniej do Macoute. Niemal każdy człowiek, którego wcześniej bił lub oszukał, pragnął jego śmierci. A były jeszcze rodziny ludzi, których zabił, kobiety, które zgwałcił; oni także chcieli go dostać w swoje ręce. Tak to bywa, kiedy traci się władzę.

— Co otrzymała pani od niego w zamian?

— Nie zrozumiałby pan tego. A poza tym to nie pana sprawa — powiedziała Mercedes stanowczo i popatrzyła na Maksa, czekając na jego reakcję.

— No, dobrze — westchnął Max. — Niech mi pani opowie o Eddiem i Francesce Carver.

- 346 -

- 347 -

— Są w życiu takie sytuacje, w których po prostu nie można wygrać. Próbowałam go ostrzegać przed szaleństwem, bo nie widziałam dla niego dobrego zakończenia. Ale Eddie mnie nie słuchał. Musiał mieć tę kobietę, tak jak uważał, że w życiu należy mu się wszystko to, na co miał ochotę. Uważał, że jest w tej kobiecie zakochany.

— A był?

— Nie Eddie. — Mercedes parsknęła śmiechem. — On nic nie wiedział o miłości. Kobiety albo gwałcił, albo im płacił.

— I pani dla niego pracowała?

— A pan nie pracował dla złych ludzi? — Tym razem Mercedes roześmiała się długo i głośno, z głębi gardła, niemal nie otwierając ust. — My oboje wcale się tak bardzo nie różnimy, jesteśmy do wynajęcia.

Max ocenił, że kobieta właściwie nie ma przed nim nic do ukrycia, a jednak nie mówi mu wszystkiego, co by mogła. Czuł to, czuł, że niemal w każdym jej zdaniu czegoś brakuje, i to czegoś, co mogłoby się dla niego okazać bardzo ważne.

— W jaki sposób próbowała pani połączyć Eddiego i panią Carver?

— Lepiej by pan zapytał, czego nie próbowałam! Próbowałam wszystkiego. I nic nie zadziało.

— Czy taka sytuacja przydarzyła się pani kiedykolwiek wcześniej?

— Nie.

— Powiedziała to pani Eddieemu?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Nie płacił mi za nieskuteczność.

— A więc go pani okłamała?

— Nie. Spróbowałam czegoś jeszcze: rzadkiego obrzędu, takiego, jaki się przeprowadza wyłącznie w wielkiej desperacji. Czegoś bardzo ryzykownego.

— Co to było?

— Nie mogę panu powiedzieć. I nie powiem.

— Dlaczego nie?

— Nie wolno mi nawet o tym rozmawiać.

Kobieta wyglądała na odrobinę wystraszoną. Max nie naciskał.

— I to się udało?

— Początkowo tak.

— Czym się to przejawiało?

— Eddie wkrótce powiedział mi, że miał szansę na coś z tą kobietą.

— Na co?

— Na potajemną schadzke.

— Był bardziej szczegółowy?

— Nie.

— A pani go nie pytała, bo to pani nie interesowało? Mercedes pokiwała głową.

— Jakim cudem poszło więc źle?

— Eddie stracił życie. Gorzej być przecież nie może.

— Kto pani powiedział, że on nie żyje?

— On sam.

— Kto? Eddie?

— Tak.

— W jaki sposób to uczynił?

Kobieta znowu przysunęła się bliżej do stołu.

— Naprawdę chce pan wiedzieć?

Z bliska cuchnęła mentolowymi papierosami.

— Tak — odparł Max. — Chcę wiedzieć.

— Ma pan słabe nerwy?

— Nie.

— Więc dobrze. — Mercedes podjechała na wózku do Philippe'a i wypowiedziała do niego kilka zdań po kreolsku.

— Zechciejcie oboje odsunąć się od stołu, żebyśmy go mogli przygotować — powiedział po chwili Philippe do Maksa

- 348 -

- 349 -

i Chantale. Wstał ze stołka i ruchem ręki wskazał im, gdzie powinni na razie stanąć.

Max i Chantale ustawili się przy drzwiach. Całą ścianę po tej stronie zajmowały pojedyncze drewniane półki. Zaczynały się pod sufitem, a kończyły tuż nad podłogą. Na każdej z nich stał cylindryczny dzban z grubego szkła, wypełniony przejrzystym żółtawym płynem, utrzymującym zawartość dzbanów w doskonałym zawieszeniu. Max pobieżnie popatrzył po dzbanach i odnotował, że w jednym z nich znajduje się jajko, a w kolejnych czarna mamba, mała ludzka stopa, nietoperz, ludzkie serce, tłusta ropucha, pazur kurczaka, złota broszka, jaszczurka, ludzka dłoń...

— Po co to wszystko? — szeptem zapytał Chantale.

— To służy do rzucania czarów. Dobrych i złych. Moja matka też ma taką wystawkę. Dzięki jajku można sprawić, że kobieta będzie płodna albo bezpłodna — odparła Chantale. Wskazała na stopę,

jak zauważył Max, starannie odpiłowaną od reszty ciała tuż nad kostką. — Dzięki niej można

leczyć złamane kości albo kogoś okaleczyć. — Z kolei pokazała na ludzką dłoń. — To jest ręka

żonatego mężczyzny. Widzisz obrączkę na palcu? — Max rzeczywiście dostrzegł wyblakłą

obrączkę, luźno wiszącą na czwartym palcu. — Ta ręka może zawiązać lub zniszczyć małżeństwo.

Wszystko, co tutaj widzisz, można wykorzystać dwojako. Zależy, kto prosi o czary i kto je urządza.

Dobre czary przeprowadza się przed północą, a złe po północy. Tutaj raczej nikt nie myśli o dobrych...

— Skąd ona to ma?

— Zapewne kupiła.

— Gdzie?

— Na Haiti wszystko jest na sprzedaż, Max. Nawet przyszłość.

Ponownie zainteresował się tym, co robią Leballecowie. Philippe zdjął ze stołu czarne nakrycie, ukazując jego po-lakierowany blat. Były na nim narysowane czarne symbole i znaki o różnych rozmiarach. Pierwsze i najwyraźniejsze, umieszczone w dwóch półokrągłych rzędach na środku, przodem do Mercedes, były litery alfabetu: od „A” do „M” i od „N” do „Z”. Poniżej, w prostej linii, zapisano liczby, od 1 do 10. W dwóch rogach stołu znajdowały się napisy „Oui” i „Non”, a po przeciwnej stronie, na skraju widniały wyrzeźbione słowa „Au revoir”.

— Czy to jest to, co myślę, że jest? — Max zapytał Philippe'a.

— To nie jest bynajmniej gra w monopol. Mówiłeś przecież, że chcesz się dowiedzieć. — Philippe uśmiechnął się. — To jest wiedza. Podejdźcie tutaj oboje.

Max zawahał się. Co to za brednie?

Zaraz uznał jednak, że nie ma to najmniejszego znaczenia. W końcu brednie sprawiają ból tylko temu, kto w nie wierzy.

— Myślałem, że pobiera pani za te rzeczy pieniądze — powiedział Max, nie ruszając się z miejsca.

— Zamierza pan w tym uczestniczyć, czy nie?

— Tak.

— To dobrze. — Mercedes uśmiechnęła się. — Niech to zatem będzie mój prezent dla pana. Jest pan bardziej męski niż pana poprzednicy — pan Beeson i pan Medd.

— Spotkała ich pani?

— Beeson był bardzo niegrzeczny i arogancki. Nazwał mnie „dziwką hokus-pokus” i wyszedł stąd natychmiast, kiedy zobaczył, co robimy. Medd był grzeczniejszy. Zanim wyszedł, podziękował, że poświęciłam mu swój czas.

— I już nie wrócił?

— Nie.

„Znaczyło to, że oni obaj także ani na moment nie uwierzyli w te brednie”, pomyślał Max. A to oznaczało, że on sam albo ma bardziej otwarty umysł, albo jest urodzonym głupcem.

— Możemy zaczynać, panie Mingus?

- 350 -

- 351 -

Stół był jedną wielką tabliczką Ouija, przeznaczoną do seansów spirytystycznych. Po stronie Mercedes znalazł się notes, ołówek i ciężki wskaźnik z przezroczystego białego szkła.

Wszyscy byli gotowi do rozpoczęcia seansu.

Zasiedli wokół stołu, Max naprzeciwko Mercedes, a Chanta-le naprzeciwko Philippe'a, z pochylonymi głowami, ułożywszy ręce w okrąg, jakby odmawiali modlitwę. Wszyscy, z wyjątkiem Maksa, mieli pozamykane oczy. Max nie zamierzał brać tego wszystkiego poważnie. Nie wierzył w wartość takiego seansu.

— Eddie? Eddie Faustin? Ou la? — zawołała głośno Mercedes, wypełniając swoim głosem całe pomieszczenie.

Jeśli udawała, myślał Max, wkładała w to udawanie całe serce i całą duszę. Jej twarz, na której widoczny był wysiłek koncentracji, miała jeszcze więcej zmarszczek niż wtedy, gdy kobieta była zrelaksowana. Właściwe rysy niemal całkowicie zniknęły wśród dziwnych grymasów, widocznych dosłownie w każdym miejscu. Ścisnęła dłonie Chantale i Philippe'a z taką siłą, że jej pięści drżały z wysiłku. A oni oboje mieli na twarzach grymasy bólu.

W pokoju zrobiło się jakby ciemniej. Max kątem oka dostrzegł jakiś ruch przy półkach i podniósł głowę. Przedmioty na półkach zdawały się jakby odrobinę jaśniejsze, niż były przed chwilą, można było odnieść wrażenie, że ożywają, migotające i puste w środku, niczym manekiny ze sklepów z odzieżą, podpalone na środku pustej i ciemnej ulicy. Max mógłby przysiąc, że w niektórych z nich dojrzał ruch — puls żył w dłoni, drżenie dużego palca u stopy, wysunięcie języka przez węża czy pęknięcia formujące się na skorupce jajka. A jednak kiedy skupiał wzrok na pojedynczych

przedmiotach, mimo wszystko wydawały się martwe i nieruchome.

Philippe i Chantale wzmocnili uściski na dłoniach Maksa. Ich usta poruszały się bezgłośnie. Atmosfera w pokoju zmieniała się. Dotąd Max nie odczuwał tu strachu, mimo obecności tych wszystkich akcesoriów związanych z czarną magią, mimo świadomości, że jego poprzednicy przeszli przez to miejsce na drodze do okaleczenia i, prawdopodobnie, śmierci. Teraz jednak poczuł, że coś przenika i uciska jego piersi i plecy, jakby stanął na nich ktoś bardzo ciężki.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał dźwięk, nie zarejestrował go uszami jako coś istotnego. Wziął go za szum wentylatora.

Kiedy usłyszał go ponownie, był bliższy i głośniejszy i dochodził prosto spod jego nosa: pojedyncze, lekkie uderzenie, a potem odgłos jakby drapania delikatnej powierzchni, trochę przypominający dźwięk rozsuwania zamka błyskawicznego, od góry do dołu, niskie dźwięki zastępowane coraz wyższymi.

Popatrzył na stół. Coś się na nim zmieniło. Wskaźnik u boku Mercedes poruszył się — lub został poruszony — w kierunku liter. Pokazywał teraz „E”.

Chantale i Philippe puścili ręce Maksa.

— Oui la? — zapytała Mercedes.

Max zobaczył, jak wskaźnik obraca się, niedotykany przez nikogo. Za chwilę pokazał na literę „D”. Twarz Chantale była nieprzenikniona jak kamień.

Mercedes zapisała w notesie dwie pierwsze litery.

Wskaźnik obrócił się w prawo i przesunawszy się po stole, zatrzymał się na literze „I”. Jego ruchy były powolne, lecz pewne, jakby podlegał działaniu jakiejś niewidzialnej ręki. Mogło to zrobić wrażenie — nawet jeśli, jak przez cały czas wmawiał sobie Max, jego ruchy były efektem sprytnego oszustwa.

Pomyślał, że właściwie powinien zajrzeć pod stół, aby sprawdzić, czy nie ma pod nim jakiegoś sprytnego urządze-

- 352 -

- 353 -

nia, na razie wołał jednak obserwować to, co się dzieje na jego powierzchni.

Mercedes położyła obie ręce na blacie.

Wskaźnik skierował się ku literze „E” i znieruchomiał. Wyglądał jak wielka zakrzepła łąza.

— On tutaj jest — powiedziała Mercedes. — Zapytaj, czego chcesz się od niego dowiedzieć.

— Co takiego?

— Zadaż mu pytanie — powtórzyła powoli Mercedes. Max nagle poczuł się jak głupiec, jak ktoś, kogo zrobiono

w balona i z kogo przez cały czas wyśmiewa się niewidoczna publiczność.

— W porządku — powiedział, postanawiając przez jakiś czas jeszcze udawać, że wierzy w te bzdury. — Kto porwał Charliego?

Wskaźnik się nie poruszył. Przez chwilę wszyscy czekali.

— Zapytaj go jeszcze raz.

— Jest pani pewna, że on rozumie po angielsku? — zażartował Max.

Mercedes posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

Max już miał powiedzieć coś o wyładowanych bateriach, kiedy wskaźnik ożył i zaczął poruszać się wzdłuż dwóch rzędów liter. Przy wybranych literach zatrzymywał się na tyle długo, by Mercedes mogła je zapisywać.

Kiedy wskaźnik znowu znieruchomiał, kobieta uniosła notes: H-O-U-N-F-O-R.

— To oznacza świątynię — stwierdziła.

— Świątynię voodoo? — zapytał Max.

— Tak.

— Którą? Gdzie ona się znajduje? Tutaj?

Mercedes zadała pytanie, jednak wskaźnik się nie poruszył.

I nie ruszył się już ani razu. Powtórzyli obrzęd. Max posta-

rał się nawet oczyścić umysł ze wszystkich wątpliwości i cynizmu, udawał przed sobą, że naprawde

wierzy w to, co się dzieje, ale mimo to wskaźnik nie zareagował.

— Eddie nas opuścił — podsumowała w końcu Mercedes. — Zazwyczaj mówi mi do widzenia. Tym razem coś go musiało przestraszyć. Może właśnie pan, panie Mingus?

— Czy to się działo naprawdę? — Max zapytał Chantale, kiedy razem wracali do gaju pomarańczowego.

— A zauważyłeś jakikolwiek trick?

— Nie, ale to wcale nie znaczy, że go nie było.

— Raz na jakiś czas człowiek musi wierzyć także w rzeczy niemożliwe — zauważyła dziewczyna.

— Zgadza się. — Max odchrząknął. — W końcu wciąż tutaj jestem, prawda?

Był pewien, że istnieje całkowicie racjonalne i proste wyjaśnienie tego, czego oboje byli świadkami w domu Le-balleców. Zwyczajne uznanie tego, co właśnie zobaczył, za zjawisko paranormalne, mogło prowadzić prostą drogą do szaleństwa.

Max wierzył w życie i śmierć. Nie wierzył natomiast, że istniały skrzyżowania życia i śmierci, chociaż był przekonany, że pewni ludzie mogą być martwi wewnątrz i wydawać się żywymi światu zewnętrznemu. Takimi osobami była większość skazanych na dożywocie albo na długoletnie więzienie, których spotkał, odsiadując swój wyrok. Przez pewien czas był nawet do nich podobny. Był martwym ciałem, opakowanym w żywą tkankę. Potrafił wtedy oszukiwać, że żyje, wszystkich, tylko nie siebie.

- 354 -

- 355 -

38

Kiedy wrócili do Clarinette, zaczęli pytać każdego, kto wyglądał na wystarczająco wiekowego, by to pamiętać, któż taki wykonał konstrukcję, na jaką natrafili przed strumieniem.

Osoba po osobie, wszyscy udzielali identycznych odpowiedzi.

— Pan Paul — mówili. — Dobry człowiek. Bardzo hojny. Zbudował nam miasto i hounfor.

Nie Vincent Paul, wyjaśniła Chantale, lecz jego zmarły ojciec, Perry.

Jak dawno temu?

Nikt nie był pewien. Miejscowi ludzie nie mierzyli upływającego czasu w kategoriach lat. Dla nich istotne było to, co w danym okresie mogli robić, ile ciężarów przenosić, jak szybko biegać, jak długo pieprzyć, tańczyć i pić. Niektórzy twierdzili, że budowla powstawała mniej więcej pięćdziesiąt lat temu, mimo że sami nie wyglądali na więcej niż czterdzieści. Inni wspominali o dwudziestu latach, inni z kolei uważali, że pracowali na tej budowie przed równo stu laty. Nikt nie wiedział, co buduje. Wszyscy po prostu wykonywali rozkazy i polecenia.

Chantale oceniła w końcu, że konstrukcja może pochodzić z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, z czasu, zanim rodzina Paulów zbankrutowała.

Jaki był pan Paul?

— Był dobrym człowiekiem. Hojnym i miłym. Zbudował nam domy i honfour. Dawał nam żywność i lekarstwa.

Jaki ojciec, tak syn, pomyślał Max.

Czy od tego czasu zaginęło jakieś dziecko?

— Tak. Dwoje: dzieci szalonej Merveille Gaspésie. Brat i siostra, zaginęli tego samego dnia — mówili ludzie, potrząsając głowami.

Potem opowiadali identyczną historię: dzieci Gaspésie często się bawiły w pobliżu placu budowy.

Były małe, miały sie-

- 356 -

dem, a może osiem lat. Pewnego dnia zniknęły. Ludzie szukali ich długo i intensywnie, jednak bez skutku. Niektórzy twierdzili, że dzieci wpadły do wodospadu, inni, że w okolicach cementarza spotkały Pana Klarneta.

Wreszcie jednego dnia Merveille, wówczas już stara kobieta, przeszła się po domach wszystkich swoich znajomych, opowiadając, że jej syn powrócił i że powinni przyjść do niej i go zobaczyć.

Zebrała sporą grupę ludzi, jednak kiedy zjawili się w jej domu, nikogo tam nie było. Lecz ona upierała się, że chłopak wrócił, był dobrze ubrany i sprawiał wrażenie bardzo bogatego. Pokazała

gruby zwitek nowych banknotów. Twierdziła, że kiedy zapytała syna, co się stało, gdzie przebywał, ten odparł, że i jego, i siostrę zabrał pewien mężczyzna o zdeformowanej twarzy.

Ludzie w głębi serc nie uwierzyli kobiecie, ale udawali, że wierzą, ponieważ niespodziewanie stała się najbogatszą osobą w mieście. Za jej plecami gadali, że oszalała.

A Merveille znowu czekała na powrót syna. Nigdy nie wrócił. Ani na chwilę nie opuszczała domu, bojąc się, że chłopak przyjdzie, kiedy jej tam nie będzie. Bezustannie wykrzykiwała jego imię: „Boris, Boris!”

W końcu kompletnie oszalała. Zaczęła mieć halucynacje, a kiedy ludzie starali się jej pomóc, wpadała w szal. Była samotna: nie miała żadnej rodziny, a wszyscy znajomi ją opuścili.

Pewnego dnia okrzyki dobiegające dotąd z jej domu ucichły. Kiedy grupa ludzi zebrała się na odwagę i znowu poszła do niej, zastała puste obejście. Merveille tam nie było i od tego dnia nikt już nigdy jej nie widział. Nikt nie miał pojęcia, co się z nią stało. Wielka zagadka.

*

— No i co o tym myślisz, detektywie? — zapytała Chantale, ocierając usta papierową chusteczką.

— O zaginionych dzieciach? Może je porwano, może chłopiec tej kobiety rzeczywiście wrócił, no bo skąd by miała tyle

- 357 -

pieniędzy? Ale z drugiej strony, cała ta opowieść może być kolejną bajką.

Siedzieli w samochodzie, jedząc lunch, który przygotowała Chantale: comber wieprzowy, awokado i kanapki z korniszonami, sałatkę z ziemniaków i czerwonej papryki oraz banany. Popijali piwem.

Radio, nastawione na jakąś amerykańską stację, cicho odtwarzało amerykańską muzykę: The Eagles, Boston, Blue Oyster Cult, REO Speedwagon.

Było późne popołudnie. Robiło się coraz ciemniej, chmury na niebie gęstniały, powoli zasłaniając całe niebo.

— Co z Vincentem Paulem?

— Wciąż jest moim głównym podejrzanym. Stanowi jedyny stały element śledztwa, ciągle się w nim przewija. Być może to on porwał Charliego, żeby zemścić się na Carverach za prawdziwe albo wymaginowane krzywdy, które wyrządzili jego rodzinie. Oczywiście, nie mam na to absolutnie żadnego dowodu. — Max dopił piwo. — Muszę porozmawiać z Paulem, ale zdaje się, że równie realne jest, że kiedyś porozmawiam z Billem Clintonem. Poza tym zakładam, że Beeson, Medd i ten Emmanuel Michelangelo starali się o to samo, co mogło spowodować, że skończyli tak, jak skończyli.

— A jeśli to nie on? — zapytała Chantale. — Jeśli sprawcą porwania jest ktoś, o kim jeszcze nawet nie słyszałeś?

— Pożyjemy, zobaczymy. Poczekamy. Do tego w gruncie rzeczy sprowadza się praca detektywa: do czekania i obserwowania.

Chantale roześmiała się głośno. Po chwili potrząsnęła głową i ciężko westchnęła.

— Wiesz, Max, bardzo mi przypominasz byłego męża. Mniej więcej tak właśnie się odzywał, kiedy wiedział, że zabnął w ślepią uliczkę. Był gliniarzem. Wciąż nim jest. W Miami.

— Tak? A jak się nazywa?

Max był zaskoczony, zaraz jednak doszedł do wniosku, że zupełnie bez powodu. Poza pewnymi odchyleniami, typu

wiara w voodoo, Chantale była zwyczajną konserwatywną kobietą, do tego ładną. Z takimi właśnie żeni się większość policjantów.

— Ray Hernandez.

— Chyba go nie znam

— Na pewno nie. Kiedy odchodziłeś z policji, on patrolował ulice. Ale on ciebie znał. Wiedział o tobie wszystko. Codziennie śledził twój proces. Kazał mi nagrywać wiadomości, kiedy pełnił służbę, żeby niczego nie przegapić.

— Wiedziałaś więc, kim jestem? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

— A po co? Poza tym chyba musiałaś przypuszczać, że Al-lain przekazał mi o tobie podstawowe informacje.

— No tak — przyznał Max.

— Ray gardził tobą. Mówił, że jesteś bandytą z odznaką policyjną. Nienawidził cię za to, że zbrukaleś dobre imię policji.

— Co się później stało z tym twoim Raymondem?

— Kiedy awansował? Najpierw walczył z prostytutką, a potem z narkotykami. Chciał się dostać do Wydziału Zabójstw, ale wtedy musiałyby pracować z ludźmi, którzy darzyli cię wielkim szacunkiem, więc zrezygnował.

— Taki właśnie jest świat—westchnął Max. — Świat polityki, wzajemnych zależności czy kredytów w lepszych bankach. Nigdy nie możesz dostać tego, czego chcesz, nie łamiąc sobie serca albo nie wchodząc w drogę innym ludziom. — Już wyobrażał sobie, jakim facetem mógł być mąż Chantale. Zadufanym w sobie, ambitnym kutasem, który pewnie skończy w Wydziale Międzynarodowym, ponieważ tam awansuje się szybciej i bardziej liczą się ci, którzy potrafią zdradzać i niespodziewanie wbijać nóż w plecy. — Jak to się stało, że się rozstaliście?

— Ray mnie zdradzał.

— Co za dupek! — Max roześmiał się, a dziewczyna zaraz zaśmiała się razem z nim.

— Właśnie, dupek. A ty byłeś wierny swojej żonie?

- 358 -

- 359 -

— Tak. — Max pokiwał głową.

— Wierzę ci.

— Naprawdę?

— Jeszcze nigdy nie widziałam nikogo o tak rozdartym sercu.

— To aż takie widoczne?

— Tak, Max — odparła Chantale i popatrzyła mu prosto w oczy. — Nie przyjechałeś tutaj, żeby odnaleźć Charliego. Nie przyjechałeś także dla pieniędzy. Jesteś zupełnie inny niż pozostali poszukujący go faceci. Przybyłeś na Haiti, żeby uwolnić się od koszmarów, które cię prześladowały, oraz od poczucia winy i tęsknoty, które odczuwasz od czasu, kiedy umarła Sandra.

Max milczał. Odwrócił wzrok od Chantale. Nie był w stanie jej zaprzeczyć. Jej słowa mocno go ukłuły, a tkwiąca w nich prawda zadała ból niczym trujące żądło.

Dostrzegł, że ktoś otworzył drzwi do świątyni i ludzie zaczęli zmierzać w jej kierunku, powoli, ostrożnie, jakby ogarnięci ciekawością i potrzebą przeżycia nowego doświadczenia.

Bębny także zaczęły wybijać rytm, powolny, przenikający kości, jakby nakłaniający do ruchu, do tańca, do poderwania się z miejsca i ruszenia biegiem.

Kiedy znalazł się w świątyni, zobaczył, że jest większa niż oczekiwał. Była na tyle duża, że mogły się w niej odbywać jednocześnie dwie oddzielne ceremonie z setką uczestników i obserwatorów. Na czterech prostych ławkach, ustawionych wzdłuż ścian, rozsiadła się orkiestra bębniarzy.

Patrząc na nich, spodziewał się usłyszeć zwyczajny chaos dźwięków — rytmy z centrum Port-au-Prince, przetransponowane na plemienne dźwięki. Wszystkie ich instrumenty wykonane były domowym sposobem. Składały się na nie byle jak wydrążone pnie drzew albo puste beczki po płynach, na których rozpostarto zwierzęce skóry. Rozpoznał jednak w tych dźwiękach odgłosy tom-tomów, grzechotek, bongo, basów i talerzy. Muzycy porozsiadali się bez żadnego ładu i nikt nimi nie dyrygował, nikt nie narzucał żadnej linii. Oni po prostu oglądali przebieg ceremonii, wsłuchiwali się w nią i wybijali rytm dłońmi, równo niczym metronom. Nie byli ani głośniejsi, ani cichsi niż odgłos odległego pioruna.

Max wyczuł, że to jest dopiero preludium.

W świątyni było duszno, gdyż znajdowało się tutaj mnóstwo ludzi, nie było wentylacji, a na dodatek płonęły pochodnie, umieszczone w uchwytych na ścianach i rzucające bursztynowe światło. Powietrze było całkowicie nieruchome. Ku sufitowi unosiły się kłęby dymu z kadzidel. Dym powracał ku dołowi, przez co można było odnieść wrażenie, że świątynię zasnuła lekka mgła. Kiedy Max mocniej zaczerpnął powietrza, zaznał silnego, niemal narkotycznego wstrząsu, jednocześnie uspokajającego i podniecającego. Po plecach przebiegły mu zimne ciarki, ale krew jakby rozgrzała się, a serce zaczęło bić szybciej. Wyczuł mieszaninę naturalnych zapachów —

kamfory, rozmarynu, lawendy, gardenii, mięty, cynamonu, świeżego potu i starej krwi. Na środku świątyni ludzie tańczyli i śpiewali, zgromadzeni dookoła niekształtnej grubej kolumny z czarnego kamienia, który miał przypominać pień drzewa mapou. Kolumna była wysoka; wystawała ponad dach, w którym wycięto okrągłą dziurę. Na kolumnie tkwił krzyż, który można było zobaczyć z ulicy. Tak jak w prawdziwym drzewie, w rzeźbionej kolumnie znajdowało się mnóstwo płonących świeczek. Wierni chodzili dookoła niej i mocowali do kamienia fotografie, kawałki papieru, wstążki i świece, a potem cofali się i dołączali do tańca, który polegał na podrygiwaniu biodrami, kiwaniu głową. Towarzyszył temu chóralny śpiew. Max starał się wyłowić z niego chociaż kilka powtarzających się słów, jednak z ust ludzi nie wydobywało się nic, co mógłby zrozumieć.

- 360 -

- 361 -

Wierni stali na gołej ziemi; w świątyni nie było podłogi. Ziemia była płaska od tysięcy udeptujących ją nóg i spieczona na twardo od gorąca. Na ścianie widniały trzy wielkie veves, wyłaniające się z kukurydzy. Dwa z nich były węzami; jeden owijał się wokół wysokiego słupa, a jego język wskazywał na drzwi świątyni, drugi łykał własny ogon. Pomiędzy nimi leżała trumna podzielona na cztery części. W każdej z nich znajdował się krucyfiks i oko leżące na piasku.

— Loa Guide — powiedziała Chantale, przekrzykując bębny i śpiewy i wskazując na trumnę. — Bóg Śmierci.

— Myślałem, że to jest dobry Baron — odparł Max.

— On jest bogiem umarłych — rzuciła Chantale. Popatrzyła Maksowi w oczy, niemal z pożądaniem. Była jakby rozchwiana, niepewnie stała na nogach. Można było odnieść wrażenie, że jest po trzecim wieczornym drinku i alkohol stopniowo przenika do jej żył. — Wiesz, Max, co chadza w parze ze śmiercią? Seks.

— To on jest również bogiem seksu?

— Och, tak. — Chantale uśmiechnęła się, a po chwili Max usłyszał jej lubieżny śmiech. — Zaraz nastąpi banda.

— Co takiego?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Niczego już nie wyjaśniła. Zaczęła tańczyć, podrygując od łydek w górę. Jej ciało jakby płynęło powolnymi falami, przebiegającymi od stóp do głowy i z powrotem ku nogom. Max poczuł rytm bębnow w udach i biodrach. Nagle zapragnął zatańczyć z Chantale. A ona ujęła go za rękę i zaczęli iść w kierunku rzeźby mapou. Max już tańczył, wbrew sobie, naśladując ludzi, którzy znajdowali się przed nim, bez trudu przystosowując się do właściwego rytmu.

Wyczuł, że ktoś go obserwuje, w świątyni było jednak zbyt ciemno i znajdowało się tu zbyt wiele osób, by mógł wyłowić wzrokiem konkretnego człowieka.

Na prawo od kolumny Max dostrzegł grupę ludzi stojących

- 362 -

wokół małej sadzawki z bulgoczącą szarą wodą. Stało w niej, zamoczonych po pas, dwóch małych chłopców. Uważnie obserwowali zgromadzonych ludzi, którzy co jakiś czas wrzucali do sadzawki monety. W pewnym momencie do świątyni wkroczyła kobieta w jasnyniebieskiej szacie. Chłopcy złapali ją za ręce i wciągnęli pod wodę. Trzymali silnie, jakby chcieli ją utopić, po chwili jednak ją uwolnili. Kobieta wyłoniła się z wody, teraz prawie naga, jedynie w bieliznie, oblepiona błotem. Powoli wydostała się z sadzawki, zrobiła kilka kroków do przodu, po czym rzuciła się na ziemię. Zaczęła się na niej wić, mocno uderzała w nią otwartymi dłońmi, pakowała błoto z ciała do swoich ust. Wreszcie poderwała się, podbiegła do tłumu obserwującego wiernych, którzy tańczyli wokół kolumny, i wyszarpnęła kogoś — mężczyznę, któremu splunęła purpurowymi plwocinami prosto w twarz. Mężczyzna zachwiał się, wrzasnął ze strachu i zaczął przecierać dłońmi oczy i twarz. Kobieta znowu złapała go za ramię, zaciągnęła do sadzawki i wepchnęła do środka. Dwaj chłopcy zaczęli go topić i trzymali go pod wodą tak długo, aż przestał się szarpać. Kiedy go wreszcie puścili, mężczyzna powoli stanął na nogach. Jego ciało miało teraz kolor popiołu i mleka. Był nagi. Przykucnął na ziemi i obserwował tańczących.

Chantale podeszła do rzeźby i przybiła do niej zdjęcie kobiety siedzącej na łożku. Następnie zapaliła świeczkę i wsunęła ją do szczeliny w skale. Wymruczała kilka słów po kreol-sku, a potem zaczęła śpiewać jak wszyscy inni zgromadzeni wokół niej. Max dołączył wraz z nią do kręgu poruszających się ludzi.

Rytm bębnów stał się trochę szybszy. Dominował bas, który zaczął wibrować w udach Maksa. Tańczyli. Max naśladował Chantale i innych, posuwających nogami, kręcących biodrami, dotykających ziemi na przemian lewą i prawą ręką. Oboje przybliżali się do siebie, a później gwałtownie oddalali. Max prawie nie czuł, że robi to wszystko.

363 -

Kadziła, które unosiły się w powietrzu, najpierw go rozluźniły, a teraz wydawało mu się, jakby uwolnił się od własnego ciała i lewitowało wokół niego. Funkcjonowanie jego umysłu ograniczyło się zaledwie do podstawowych funkcji. Zmysły jakby ktoś otoczył kłębkami wełny, wsunął do rury i zanurzył w głębokiej, cieplej wodzie, na której unosiły się i powoli od niego oddalały, aż wreszcie znikwały tam, gdzie nie mógł ich już osiągnąć. Obserwował, jak odpływają, jednak nic go to nie obchodziło. To była rozkosz.

Bębny przyspieszyły rytm. Zaczął trochę szybciej poruszać nogami. Usłyszał własny głos, dołączający do ogólnych śpiewów, jakimś sposobem znajdujący wspólne nuty z innymi. A przecież nie był dobrym pieśniarzem. Kiedy był dzieciakiem, nigdy nie śpiewał w kościele. Śpiew wprawiał go w zbyt wielkie zakłopotanie. Najpierw jego głos za bardzo przypominał głos dziewczynki, a potem, kiedy przeszedł mutację, można było odnieść wrażenie, że nie śpiewa, lecz beczy jak owca. Ojciec próbował uczyć go muzyki, zanim skończył pięć lat — we dwóch ćwiczyli przy pianinie. Niczego to nie dało. W końcu ojciec oznajmił synowi, że słoń mu nadepnął na ucho. Teraz i tutaj, w tej świątyni, nic o tym nie świadczyło.

Jego wzrok padł na Chantale. Wyglądała tak ślicznie, tak seksownie...

Poruszali się coraz szybciej. Wyznawcy zaczęli wypadać z koła. Kobiety stały w miejscu, podrygując. Ich źrenice wykonywały jakieś szalone ruchy, języki miały wysunięte, z ust toczyła się piana; bez wątplenia wpadły w trans. Tymczasem uwalnieni w błocie nowo nawróceni wybiegali z sadzawki, rozpryskując purpurowe strumienie na ludzi w tłumie i zaciągając ich do szarej wody. Max czuł się po prostu cudownie. Uśmiechał się i słyszał śmiech w swojej głowie.

Stał naprzeciwko Chantale. Oboje znaleźli z dala od kręgu, sam na sam. Rytm bębnów przenikał do ich łędźwi, rozpalał

krocza. Chantale patrzyła mu prosto w oczy, ścisnęła i masowała swe piersi, poruszała biodrami, to wypychając je do przodu, to znowu je cofając. Wreszcie przytuliła się do Maksa i zacisnęła dłoń na jego spodniach. Na moment zamknął oczy i pozwolił, by fala przyjemności całkowicie nad nim zapanowała.

Ale kiedy otworzył oczy, Chantale nie było.

Na jej miejscu ujrzał mężczyznę. Był nagi, skórę miał pokrytą suchym szarym błotem, a białka jego oczu były jaskra-woczerwone. Gwałtownie wypychał policzki, napęniając je powietrzem.

Spomiędzy warg ciekł mu jakiś purpurowy płyn.

W jednej chwili Max oprzytomniał. Poczł się, jakby ktoś go wyrwał z bardzo głębokiego snu.

Półprzytomny, niepewnie stojący na nogach, próbował odszukać wzrokiem Chantale, jednocześnie bacznie obserwując mężczyznę. Scena wokół niego zaczęła się zmieniać, i to bardzo gwałtownie.

Dostrzegł ubłoconych mężczyzn, wrywających kobiety z kręgu tańczących, rzucających je na ziemię, zdzierających z nich ubrania i gwałcących je. Ale kobiety nawet nie starały się im opierać. Większość wydawała się przychylna poczynaniom napastników.

Rytm bębnów był teraz szybki i głośny, lecz nie miał już żadnej formy ani porządku, dochodził z każdego miejsca. Hałas uderzał w środek świątyni jak grad kul i płonących strzał. Bębny niczym koła zębate wdzierały się do głowy Maksa.

Przycisnął dłonie do uszu, aby zabić siłę dźwięku. I właśnie w tym momencie ubłocony mężczyzna splunął purpurowym płynem prosto w jego twarz. Max zdołał się w porę uchylić, dzięki czemu większość płwociny przeszła bokiem, kilka zabłąkanych kropli spadło jednak na jego dłoń. Palily jak rozgrzana lawa.

Ubłocony mężczyzna złapał Maksa za rękę i próbował pociągnąć go do siebie. Max cofnął się, dzięki czemu zdołał

- 364 -

- 365 -

wyrwać się z uchwytu mężczyzny. Natychmiast z całej siły kopnął go w pierś. Ubłocony poleciał do tyłu, padł na ziemię, przez chwilę próbował się czołgać, aż wreszcie znieruchomiał. Ale po kilku sekundach poderwał się i znowu naparł na Maksa. Jego czerwone oczy błyszczały nieopisaną wściekłością.

Max poczęstował go kilkoma sierpowymi i prostymi w głowę, zmuszając go do odwrotu. Wreszcie walnął mężczyznę dwoma potężnymi hakami, które, jeden po drugim, w odstępnie niecałej sekundy, trafiły dokładnie w to samo miejsce — w podbródek — i sprawiły, że przeciwnik natychmiast znieruchomiał na dobre. Był na długi czas unieszkodliwiony.

Max znowu zaczął szukać Chantale. Przy kolumnie jej nie było. Nie było jej również przy sadzawce. Ruszył w kierunku tłumu. Ludzie w kręgu połączyli jednak ramiona i nie przepuścili go ani kroku dalej.

Wycofał się. Bębny dudniły mu w głowie, jakby na jego mózg działało milion młotów parowych. Odwrócił się i podążył ku rzeźbie. Chantale nie mogła być daleko. Wokół Maksa na ziemi kłębiły się ciała kobiet i mężczyzn, nagich, kopulujących w najdziwniejszych dzikich pozycjach. W powietrzu unosił się odór seksu i potu.

Max zmienił zamiar i ruszył w kierunku sadzawki.

Nagle zobaczył Chantale stojącą tuż przy wodzie. Jeden z ubłoconych mężczyzn ściągnął już z niej koszulę i właśnie rozdzierał biustonosz. Chantale nie opierała się, a jedynie szklistym wzrokiem, z tępym uśmiechem obserwowała wyczyny mężczyzny.

Max jednym skokiem dopadł ubłoconego i uderzeniem głowy, niczym byk, wepchnął go do sadzawki.

Szarpnął za ramię Chantale, ona jednak wyrwała mu się, trzasnęła go otwartą dłonią w twarz i zaczęła coś do niego krzyczeć po kreolsku. Stał przed nią zdezorientowany, zupełnie nie wiedząc, co począć. Nagle Chantale chwyciła w dłoń

366

jego głowę i przycisnęła jego usta do swoich. Wdarła się w nie językiem i zaczęła zachłannie lizać, smakować język Maksa. Wreszcie złapała w dłoń jego jądra, przyciągnęła go do siebie i zaczęła się o niego intensywnie ocierać.

Cały ból nagle opuścił jego czaszkę, a świadomość rytmu bębnów znowu przewędrowała z głowy do krocza. Ponownie odniósł wrażenie, że opuszcza własne ciało, że pragnie się bezwolnie poddać temu, co się z nim dzieje. Najbardziej jednak pragnął pieprzyć Chantale na klepisku, i to natychmiast.

Z fascynacją patrzył, jak dziewczyna opuszcza w dół jego dzinsy, ale znowu zaatakował go ubłocony człowiek. Upadli na ziemię, jednak to Max przyjął na siebie cały impet zderzenia, tłukąc sobie boleśnie ramię. Ubłocony starał się przechylić szalę na swoją stronę, uderzając pięściami, ale ani jeden z jego ciosów nie był celny. Max za to zdzielił go potężnym uderzeniem kolana w splot słoneczny. Mężczyzna od razu zaprzestał walki i skulił się na ziemi. Max złapał go za szyję i za skórę na chudym pośladku, po czym, jakby to był zbędny bagaż, wrzucił go do sadzawki.

Chantale wciąż była tam, gdzie ją zostawił, tyle że z innym mężczyzną — normalnym, lecz nagim i lśniącym od potu. Stał przed nią i się onanizował. Jego członek był już twardy, gotowy do wdarcia się w Chantale.

Max szarpnął ją za ramię i pociągnął za sobą, zmierzając w kierunku wyjścia ze świątyni. Najpierw jakby na niego warknęła, zaczęła kopać i wrywać się, jednak po chwili, kiedy znaleźli się bliżej tłumu, a dalej od ceremonii, zaprzestała oporu, jakby zmiękła, a potem stała się po prostu ciężka. Z trudem powłóczyła nogami. Max zapytał, czy nic jej nie jest. Nie odpowiedziała. Próbowwała na niego popatrzeć, mimo że na razie nie była w stanie skupić wzroku.

Przełożył ją sobie przez ramię. Wyjął pistolet i odciągnął bezpiecznik. Tłum nawet na to nie zareagował.

- 367 -

Niespodziewanie po drugiej stronie tłumu pojawił się mężczyzna z dreadami. Ludzie zaczęli się przed nim rozstępować, otwierając Maksowi drogę wyjścia. Detektyw ani na chwilę nie zwalniał kroku.

Mężczyzna z dreadami wyszedł z tłumu i zbliżył się do Maksa i Chantale. Przed sobą trzymał w dłoniach błękitne pudełko z różą na wieczku.

Max uniósł pistolet i wycelował w głowę mężczyzny.

-Stój!

Mężczyzna z dreadami nie zwrócił na ostrzeżenie najmniejszej uwagi. Przyłożył pudełko do piersi Maksa i po prostu go minął. Max wziął pudełko w wolną dłoń.

Obejrzał się za siebie.

Mężczyzny z dreadami już nigdzie nie było, jednak w kierunku Maksa i Chantale biegło pięciu ubłoconych. Wymachiwali maczetami i nożami.

Z Chantale na plecach, Max — posługując się kopniakami i kuksańcami oraz grożąc pistoletem — zdołał pokonać resztę drogi ku wyjściu i uciec ze świątyni.

Chantale, w koszuli Maksa, przespała większość drogi powrotnej. Jej głośnie chrapanie brzmiało jak odgłosy z wiejskiego podwórza.

Prowadził samochód z opuszczonymi szybami i z radiem nastawionym na jakiś całonocny haitański talk show. Nie rozumiał z niego ani słowa, było to jednak lepsze od muzyki, jaką oferowały inne stacje. Dominował w nich zespół Bon Jovi.

Po pięciu godzinach dotarł do drogi prowadzącej z portu lotniczego do Petionville. Chantale obudziła się i popatrzyła na niego z takim zdziwieniem, jakby się spodziewała, że spędza noc w domu, we własnym łóżku.

— Co się stało? — zapytała.

- 368 -

— A na czym się kończy twoja pamięć? — Max wyłączył radio.

— Tańczyliśmy w świątyni. Razem.

— A potem już nic?

Chantale przez chwilę się zastanawiała, lecz bezskutecznie. Max opowiedział jej o tym, co zaszło pomiędzy nimi, ale oszczędzając jej szczegółów na temat tego, jak uratował ją ze szponów potencjalnego gwałciciela.

— Nikt nigdy nie zamierzał mnie zgwałcić, Max — powiedziała Chantale ze złością. — To było banda, orgia rytualna. Ludzie wpadają w trans i pieprzą się do utraty tchu. Nikt wtedy nie panuje nad sobą.

— Dla mnie to wyglądało jak gwałt. Taka randka voodoo, randka gwałcicieli, świadomych tego, co robią, czy nie; jakkolwiek to ocenisz. Pewien facet po prostu zdierał z ciebie ubranie.

— Ludzie postępują tak nawet wtedy, kiedy uprawiają seks za obopólną zgodą, Max. Gdybyś nie wiedział, to się nazywa pożądanie.

— Naprawdę? A ja zupełnie nie rozumiem, jak można w ten sposób pieprzyć się z obcym. Przecież on mógł mieć AIDS! Chryste!

— Chcesz powiedzieć, Max, że nigdy dotąd nie pieprzyłeś obcej kobiety?

— Co? Pieprzyłem, owszem, ale to nie to samo.

— Dlaczego? Spotykasz kobiety. Gdzie? W barze albo w nocnym klubie, prawda? Muzyka głośnie, oboje jesteście rozgrzani. Idziecie gdzieś, pieprzycie się, nad ranem się rozstajecie i żadne z was już nigdy więcej nie widzi drugiego na oczy. To samo, prawda? Tyle że u nas takie pieprzenie ma więcej znaczenia.

— Zgadza się. — Max prychnął z sarkazmem. — My, dekadency, bezduszni Amerykanie po prostu chętnie bierzemy sobie obce kobiety na jedną, nic nieznaczącą noc, jednak

369

kiedy coś takiego dzieje się tutaj, w szczególności w świątyni voodoo, należy to nazywać przeżyciem religijnym. Wiesz, co myślę, Chantale? Myślę, że to jest wielka brednia. Spółkowa-nie jest spółkowaniem. Gwałt jest zawsze gwałtem. A ten facet zamierzał cię zgwałcić. Kropka. Gdybyś

była przy zdrowych zmysłach, nie pozwoliłabyś się nawet dotknąć wstrętnemu, uwalanemu w błocie mężczyźnie.

— Skąd wiesz? — warknęła Chantale. — Nie wiesz o życiu tyle, ile ja.

Max nie odpowiedział. Mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Przez długą chwilę żałował, że nie pozostawił tej wrednej, niewdzięcznej suki na pewny zbiorowy gwałt na czarnym klepisku. Szybko przejechał przez Petionville i dotarł do drogi prowadzącej do stolicy. W nocy każde amerykańskie miasto było oświetlone niczym mała galaktyka. W Port-au-Prince paliło się tylko kilka latarni, niepewnie przebijających ciemności. Punkciki światła przypominały zbłąkane białe motyle na plamie ropy. Poza tym panował absolutny mrok. Max nigdy dotąd nie widział tak ciemnego miasta.

39

Kiedy wrócił, wciąż było ciemno, jednak owady już pochowały się w ziemi, a na dziedzińcu zaczynały śpiewać ptaki. Do świtu brakowało niewiele.

Na automatycznej sekretarce nie było odpowiedzi od Joe'ego. Z drugiej strony, było zbyt wcześnie, żeby do niego telefonować.

W pudełku, które dał mu mężczyzna z dreadami, Max znalazł zwitek banknotów i liczne karty: bankomatową, płatnicze:

- 370 -

AMEX, VISA, Mastercard. Ponadto kartę biblioteczną, dawcy krwi, wstępu na siłownię. Wszystkie należały do Darwena Medda.

Znalazł także jakieś pół tuzina czarno-białych wizytówek, spiętych razem spinaczem do papieru. Gdyby wciąż żył, Medd pracowałby w Tallahassee, gdzie się specjalizował w poszukiwaniu osób i w sprawach korporacyjnych. Ta ostatnia dziedzina miała zapewne być dla niego odskocznią, nową specjalizacją na wypadek, gdyby musiał pracować, będąc już zbyt starym, żeby się uganiać za uciekinierami z domów i ofiarami porwań. Praca w sektorze biznesowym była bezpieczniejsza i zazwyczaj płatna znacznie lepiej niż inne. Siedziało się za biurkiem i podążało za śladami, jakie ludzie pozostawiali na papierze, a narzędziami pracy były telefon, telefaks i komputer. Tak zwana praca w terenie polegała na jądaniu z klientami lunchów, kolacji, ewentualnie wypijaniu kilku drinków. Człowiek, który był w te klocki dobry, nie musiał obawiać się braku zajęcia. Jego życie było przyjemne — nudne jak cholera, jednak właśnie o takim życiu Max marzył dla siebie w przyszłości.

W portfelu nie było pieniędzy, ale w przegródce na monety Max natrafił na pojedynczą złożoną kartkę papieru.

Była to kartka wyrwana z haitańskiej książki telefonicznej z roku 1990. Zakreślone były na niej nazwiska wszystkich Faustinów mieszkających w Port-au-Prince — łącznie trzynastu.

A więc Medd był na tym samym tropie.

Kim właściwie był mężczyzna z dreadami? Dlaczego dał Maksowi to pudełko?

A może to on był Meddem? Nie. Przecież był czarny. Był szalony, całkiem możliwe, że był też niemową. W końcu ani pod wodospadami, ani w świątyni nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Być może mężczyzna z dreadami widział Medda przy wodospadach, kiedy ten przyjechał spotkać się z Mercedes Lebal-

371

lec. Może się z Meddem zaprzyjaźnił? A może jedynie znalazł jego zwłoki i zabrał portfel? Portfel, który zamknął w pudełku i przekazał pierwszemu białemu mężczyźnie, jakiego zobaczył w Saut d'Eau?

Maksowi przyszło do głowy, że najlepszym sposobem udzielenia sobie odpowiedzi na to pytanie byłaby zapewne ponowna podróż do Saut d'Eau i pogawędka z mężczyzną z dreadami, jednak za wszelką cenę chciał takiej podróży uniknąć. Jeżeli to tylko było możliwe.

*

O szóstej trzydziści zatelefonował do Joe'ego. Ten podniósł słuchawkę już po drugim sygnale. Joe był w kuchni i oglądał poranne wiadomości w przyciszonym telewizorze. W tle Max wyłowił także głosy dwóch jego córek.

Rozmowę rozpoczęli od kilku niewinnych żartów i wymiany zdań na nic nieznaczące tematy. Dopiero po dłuższej chwili przeszli do sedna.

— Ten facet, o którego sprawdzenie mnie prosileś... Vincent Paul...

— Tak?

— Chyba już ci mówiłem, że chce go przesłuchać brytyjska policja?

— Tak?

— W związku z jakimś zaginięciem. Max mocniej zacisnął dłoń na słuchawce.

— Czyim zaginięciem?

— Jakiejś kobiety — odparł Joe. — W latach siedemdziesiątych Vincent Paul był studentem Uniwersytetu w Cambridge, w Anglii. Spotykał się z miejscową dziewczyną o nazwisku... — Max usłyszał, jak Joe kartkuje notes — Josephine... Josephine Latimer. Dziewczyna była artystką. Lubiła także wypić. Dużo piła. Pewnego wieczoru przejechała samochodem jakiegoś dzieciaka i uciekła z miejsca wypadku. Auto zidentyfikowano dzięki świadkowi, który zapamiętał numery tablic rejestracyjnych. Została aresztowana i czekała w więzieniu na przesłuchanie i wyznaczenie kaucji. Jej rodzice byli w miasteczku jakimiś ważniakami. Wszyscy ich znali, no i fakt, że ich córka spowodowała wypadek, stał się lokalnym wydarzeniem. Policja chciała ją przykładowo ukarać, pokazać, że wobec prawa wszyscy są równi. O dwa tygodnie opóźniono przesłuchanie, na którym miała zostać wyznaczona kaucja. W tym czasie dziewczyna przebywała w więzieniu. Ktoś ją ciężko pobił i zgwałcił. Kiedy wyszła z więzienia, była ruiną i targnęła się na swoje życie. Proces odbył się rok później. Dziewczynę uznano za winną nieumyślnego spowodowania śmierci. Po dwóch dniach miała usłyszeć wyrok; mówiło się, że dostanie minimum pięć lat bezwzględnej odsiadki. Zrozumiała, że nie ma czasu, wiedziała, że w więzieniu nie przetrwa, nie ma żadnych szans. W dniu, w którym po raz ostatni powinna pojawić się w sądzie, zniknęła. Zaczęto jej szukać, najpierw w najbliższej okolicy, a potem w całym kraju. Zniknął także jej chłopak, Vincent. Był potężnie zbudowanym młodzieńcem, miał sześć stóp i osiem-dziewięć cali wzrostu, nikt więc nie przewidywał specjalnych trudności z jego namierzeniem. Ale minęły całe dwa miesiące, zanim ktoś dostrzegł ich łódź, zmierzającą, uważaj, do Hook of Holland.

— I na tej łodzi widziano ją ostatni raz? — zapytał Max.

— Tak. I dziewczynę, i chłopaka. Dziewczyna ciągle jest poszukiwana w Anglii za nieumyślne spowodowanie śmierci i nielegalny wyjazd z kraju. Ale, oczywiście, nie ma to już żadnego priorytetu. Bonnie i Clyde to oni oboje nie są.

— W każdym razie nie w Anglii.

— Widziałeś tego Vincenta Paula na Haiti?

— Tak.

— Rozmawiałeś z nim?

— Jeszcze nie. Z nim się nie rozmawia. To on mówi do wybranych ludzi — rzucił Max żartem.

- 372 -

- 373 -

— Co? Jak Bóg w krzewie gorejącym?

— Coś w tym rodzaju. — Max roześmiał się.

— A co z tą kobietą, Josephine? Widziałeś ją?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Jak ona wygląda?

— Nie mam jej fotografii. Ale kiedy się zobaczysz z tym Vincentem Paulem, zapytaj go, gdzie ona przebywa, albo przynajmniej, dokąd pojechała.

— Tak zrobię, jeśli tylko będę miał sposobność.

— Widzisz, Brytyjczycy wysłali na Haiti dwóch oficerów, żeby ich poszukali. Facetów ze Scotland Yardu.

— Zaraz mi powiesz, że niczego się nie dowiedzieli.

— Zgadłeś. Myślisz, że Vincent albo jego rodzina mogli ich przekupić?

— Być może, ale kiedy on był w Anglii, jego rodzina zbankrutowała. Poza tym, z tego, co się dotąd dowiedziałem, przekupywanie ludzi to nie sposób na życie Vincenta Paula. Raczej by ich zabił.

Obaj roześmiali się.

— Znasz gliniarza o nazwisku Ray Hernandez? To chyba jeden z twoich? — zapytał Max.

— Jasne, że go znam. — Joe ściszył głos, żeby nie mogły go usłyszeć dzieci. — Jeśli chodzi o faceta, którego mam na myśli, to nazywamy go Ray Przydupasez.

— Dobrze.

— Jak to się stało, że o nim usłyszałeś?

— Jakoś tak wyszło, zupełnie przypadkiem — skłamał Max.

— Był narkomanem — mruknął Joe. — Pieprzył żonę swojego partnera. Potem wykrył, że partner ma jakieś brudne sprawki na sumieniu i spowodował, że ten wyleciał ze służby. W nagrodę dostał robotę za biurkiem i stopień porucznika. Autentyczny dupek. Próbował traktować mnie z góry. Miał cholernie ładną żonę. Chodzący seks. Był chyba ślepy i głupi, że ją zdradzał.

Max odgadł, że żona Joe'ego nie słyszy go w tej chwili. Nie znał kobiety bardziej zazdrosnej od niej. Awantura groziła Joe'emu nawet za taką błahostkę, jak zbyt długie przyglądanie się dziewczynie na ulicznym billboardzie.

— Joe, bardzo cię proszę, chciałbym, żebyś zrobił dla mnie jeszcze parę dodatkowych rzeczy.

— Mów.

— Zależy mi, żebyś przyjrzał się kilku osobom i zdobył na ich temat wszystko, co się da. Po pierwsze, chodzi mi o Dar-wena Medda. Jest prywatnym detektywem w Tallahassee.

— Nie ma problemu, ale nie gwarantuję terminu — odparł Joe. — Wiesz co, Max?

— Co?

— Wiesz, co słyszę w twoim głosie?

— Co takiego?

— Jakbyś się dobrze bawił.

— Nie powiedziałbym tak, Joe.

— Może źle to ująłem. Bawi cię myśl, że mimo wszystko uda ci się przyskrzynieć tych skurwysynów. W twoim głosie słyszę jakby wiosnę. Starego dobrego Mingusa, bez bajerów.

— Tak myślisz?

— Jestem pewien. Znam cię, Max. Wróciłeś do gry.

— Skoro tak twierdzisz, Joe?

Max zachichotał. Wcale tego nie czuł. Ani trochę.

Później poszedł do łóżka i zasnął, kiedy do sypialni zaczęły wpadać pierwsze promienie słońca.

Śnił, że znów znajduje się w świątyni voodoo, jest oblepiony zaschniętym błotem i pieprzy Chantale na gołej ziemi, w szalonym rytmie bębnow. Wokół nich tańczą Joe, Allain, Velasquez i Eldon. Nagle zobaczył we śnie Charliego. Chłopczyk siedział na kolanach Dufoura i wpatrywał się w niego. Rzecz działa się przy sadzawce. Max nie mógł dokładnie dostrzec

- 374 -

- 375 -

twarży Dufoura, widział tylko jego sylwetkę. Próbował szybko wstać, lecz Chantale go nie puszczając, z całej siły obejmowała go rękami i nogami. Kiedy się wreszcie od niej uwolnił i ruszył w kierunku Charliego, chłopca i Dufoura już nie było. Na ich miejscu znajdowało się troje dzieci, które kiedyś zabił. Wszystkie miały w dłoniach pistolety. Wycelowały i strzeliły do niego. Upadł na ziemię, ale wciąż żył. Przez dziurę w dachu popatrzył na krzyż. Stała nad nim Sandra. Trzymała za rękę małą dziewczynkę. Dziewczynka była śliczna, lecz niestęchanie smutna. Max rozpoznał w niej Claudette Thodore z Małego Haiti i przypomniał sobie, że nie odwiedził jeszcze jej rodziców. Powiedział Sandrze, że pójdzie tam z samego rana, jeszcze zanim uda się do domu Faustina. Sandra pochyliła się i pocałowała go.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej twarzy, i obudził się z dłonią w powietrzu, palcami pieścił pustkę. Znowu była noc. Popatrzył na zegar. Siódma wieczorem. Spał pełne dwanaście godzin. W ustach miał sucho, gardło ściśnięte, a kąciki oczu wilgotne. Odgadł, że coś krzyczał przez sen. Na zewnątrz cykały świerszcze, a od strony gór dobiegały rytmiczne dźwięki bębnow, przenikające wprost do żołądka. Przypominały mu, że jest głodny i że wreszcie powinien coś zjeść.

Zanim zniknęła w 1994 roku, Claudette Thodore mieszkała z rodzicami, Casparem i Mathilde, przy Rue des Ecuries w Port-au-Prince, niedaleko starych baraków wojskowych.

Rue des Ecuries łączyła dwie ruchliwe główne drogi, jednak z obu stron właściwie osłaniały ją gigantyczne drzewa palmowe. Była takim miejscem, które w gruncie rzeczy zna-
li jedynie okoliczni mieszkańcy. Obcy, jeśli już się w nią zapuszczali, to tylko w poszukiwaniu skrótów. Zapominali o niej natychmiast, kiedy z tego skrótów skorzystali.

Max otrzymał wskazówki od Mathilde. Mówiła doskonale po angielsku, w jej akcencie słychać było naleciałości ze Środkowego Zachodu, może z Illinois. W każdym razie nic w głosie nie świadczyło o jej francusko-karaibskim pochodzeniu.

Kiedy razem z Chantale wysiedli z samochodu, Max wyczuł w powietrzu zapach świeżych kwiatów i mięty. Przed nim stał mężczyzna z wiadrem i mopem; sprzątał chodnik. Kiedy zbliżyli się do niego, zapach nasilił się i boleśnie uderzył Maksa w nozdrza. Domy po obu stronach ulicy ukryte były za metalowymi bramami i murami, zwieńczonymi ostrymi szpikulcami i drutem kolczastym. Zza murów wyłaniały się jedynie czubki drzew i słupów telegraficznych, fragmenty talerzy do odbioru telewizji satelitarnej, anteny telewizyjne — i nic więcej. Max zgadywał, że za murami stoją wyłącznie domy parterowe lub bungalowy. Słyszał głośno wężące psy, które wyczuły zapachy przybyszów. Żaden z psów nie warczał, nie szczekał, żaden nie ostrzegał właścicieli, że w środku dnia w pobliżu znalazł się ktoś obcy. Max wiedział, że to dlatego, iż psy były tresowane do atakowania obcych ludzi, a nie do ostrzegania o ich obecności. Takie bestie nigdy nie wydawały zbędnych dźwięków. Wpuszczały intruzów na swoje terytorium tak daleko, że nie mogli już się wycofać, i dopiero potem się z nimi rozprawiały.

Max nienawidził psów policyjnych. Były to popieprzone bestie, które miały respekt wyłącznie dla swoich treserów, a ci głównie bili je i znęcali się nad nimi. Z atakującymi psami nie można było negocjować. Nie można było ich udobruchać, zahipnotyzować ani na przykład rzucić kija, żeby zajęły się nim, dając czas do ucieczki na najbliższe drzewo. Skuteczna obrona przed atakującym psem policyjnym mogła polegać jedynie na natychmiastowym zastrzeleniu go. Tresowano

- 376 -

- 377 -

je do atakowania różnych fragmentów anatomii człowieka, w zależności od stanu. Na Florydzie chwyciły kłami za jądra, w samym Nowym Jorku za ramiona, a w stanie Nowy Jork za łydki. W pewnych stanach południowych atakowały twarz, w innych gardło. W Kalifornii starały się odgryźć pośladek, a w Teksasie fragment uda. Max nie wiedział, jak było z tym na Haiti i bynajmniej nie zamierzał się dowiadywać. Miał nadzieję, że rodzina Thodore'ow po prostu nie posiada psa.

Mężczyzna z mopem zmierzył ich wzrokiem, ani na chwilę nie przerywając pracy. Chantale skinęła głową i grzecznie się przywitała. Mężczyzna nie zareagował, a jedynie znów na nich popatrzył, mrużąc oczy w wąskie szparki. Niewątpliwie był spięty i zdenerwowany ich obecnością.

— Założę się, że ma syryjskie korzenie— wyszeptala Chantale. — Czyści ulicę mięta i wodą różaną. To syryjski zwyczaj. Chodzi o odganianie złych duchów i przyciąganie dobrych. Syryjscy handlarze osiedlili się na wyspie sporą grupą jakieś czterdzieści-pięćdziesiąt lat temu. Otworzyli małe sklepiki, w których sprzedawali różne drobne rzeczy biednym ludziom. Co ranka sprząkali ulice wokół sklepików i wysypywali na nie jakieś zioła. Miało to przynosić szczęście, powodzenie i boską opiekę. Kilku z nich rzeczywiście ją uzyskało, ponieważ dorobili się wielkich pieniędzy. Rue des Ecuries była najczystsza ulicą, jaką Max widział do tej pory na Haiti. Nigdzie nie było tu nawet najdrobniejszego kawałka śmiecia, żadnego zabłąkanego zwierzęcia ani włóczęgi na chodniku, żadnych graffiti na murach, w nawierzchni drogi, starannie ułożonej z szarych płaskich kamieni, nie było też ani jednej dziury. Przypadkowy przechodzień mógł odnieść wrażenie, że znajduje się w cichej, zamieszkiwanej przez klasę średnią dzielnicy Miami, Los Angeles albo Nowego Orleanu.

Max czterokrotnie zakolał do bramy Thodore'ow, tak jak go poprosiła Mathilde. Wkrótce usłyszał za murem czyjeś kroki.

— Qui là?

— Nazywam się...

— Mingus? — zapytał kobiecy głos.

Kobieta odciągnęła zasuwę i brama otworzyła się od środka, straszliwie piszcząc w zawiasach.

— Jestem Mathilde Thodore. Dziękuję, że pan przyszedł.

Skinęła na gości, aby weszli, po czym natychmiast zatrzasnęła bramę. Ubrana była w spodnie od dresu, klapki i luźną bawełnianą koszulkę z nadrukowanym emblematem Chicago Bulls.

Max przedstawił się i podał kobiecie rękę. Miała silny uścisk, któremu towarzyszyło niemal wyzywające spojrzenie, prosto w oczy. Gdyby szerzej się uśmiechała, byłaby atrakcyjną, a nawet piękną kobietą, twarz miała jednak spięta, harda, taką, jaką miewają ludzie, którzy widzieli już zbyt wiele mrocznych stron życia.

Znajdowali się na małym podwórku, w odległości zaledwie kilku stóp od nowoczesnego pomarańczowo-białego bungalowu o ukośnym cynkowym dachu, w połowie osłoniętego przez bujne krzaki. Za budynkiem rosło grube i wysokie drzewo palmowe, rzucając na niego żółtawy cień. Przed budynkiem stała huśtawka o porzewiałych łańcuchach. Max odgadł, że Claudette była w tej rodzinie jedynym dzieckiem.

Jego wzrok padł nagle na dwie jaskrawozielone miski dla psów, stojące tuż obok huśtawki. W jednej znajdowało się jedzenie, a w drugiej woda. Max odwrócił się i zobaczył pod murem wielką psią budę.

— Niech pan się nim nie przejmuje. On nie gryzie — powiedziała Mathilde, widząc jego niepewny wzrok.

— Zawsze tak się mówi.

— On nie żyje — szybko dodała Mathilde.

— Bardzo mi przykro — odparł Max. Kłamał.

— Karma i woda są wyłącznie dla jego duszy. Chyba pan wie, jak wielką rolę w życiu tego kraju odgrywają przesady?

378

379 -

Lepiej tutaj karmimy martwych niż żywych. Tym krajem rządzi śmierć.

Dom był mały i strasznie zagracony. Meble, które w nim stały, zdawały się zbyt duże w stosunku do dostępnej przestrzeni.

Ściany pokryte były fotografiami. Na każdej z nich widniała Claudette. Jako mały bobas miała jasne oczy i zawsze otwarte usta. Fotografie przedstawiały ją jako niemowlę, później też jako dziewczynkę w szkolnym mundurku. Miała zdjęcia z rodzicami, z dziadkami i krewnymi; ich twarze otaczały jej buzię niczym planety słońce. Była fotografowana jako szczęśliwa pięciolatka, na każdym ze zdjęć wesoła i uśmiechnięta, zawsze w centrum uwagi otaczających ją osób, śliczna, fotogeniczna. Na jednej z fotografii stała przed kościołem w Miami ze swym wujem, Alexandre'em. Zdjęcie wykonano najprawdopodobniej po mszy, ponieważ Alexandre miał na sobie sutannę, a ludzie w tle byli ubrani bardzo uroczyście i elegancko. Na innej fotografii stała przy czarnym dobermanie. Przynajmniej na tuzinie zdjęć była w towarzystwie ojca, którego, sądząc po jej uśmiechu i spojrzeniu, jakie ku niemu kierowała, zdawała się uwielbiać. Na kilku fotografiach w towarzystwie matki już się tak szeroko nie śmiała.

Gospodarze i goście zasiedli po przeciwnych stronach stołu w jadalni. Kiedy weszli, Caspar skinął im głową i obdarzył krótkimi uściskami dłoni, jednak nie zdobył się na to, aby cokolwiek powiedzieć.

Był zupełnie niepodobny do brata. Miał grube ręce z żyłami prześwitującymi przez skórę, okrągłe ramiona, płaskie szerokie palce, był niski i krępy. Zdawało się, że jest gburem, i to gburem z trudem tłumiącym w sobie agresję. Miał cienkie włosy, dość jasne, rzędzące na czubku głowy, twarz o wiele mniej ciekawą niż twarz żony i obwisłe policzki. Przypominał wkurzonego mastyfa. Max ocenił jego wiek na jakieś czterdzieści pięć lat. Caspar nosił taki sam strój jak jego żona, która usiadła obok niego, postawiwszy najpierw na stole szklankę soku.

— Jesteście fanami Chicago Bulls? — zapytał Max oboje, jednak popatrzył na Caspara, mając nadzieję na przełamanie lodów.

Cisza. Mathilde trąciła męża łokciem.

— Pomieszkiwaliśmy swojego czasu w Chicago — odparł wreszcie, ale unikał kontaktu wzrokowego.

— Jak długo? Znowu cisza.

— Przez siedem lat. Wróciliśmy, kiedy Baby Doc stracił władzę — powiedziała Mathilde.

— Powinniśmy byli tam zostać — dodał jej mąż. — Mieliśmy nadzieję, że powrót do kraju przyniesie nam coś dobrego, jednak spotkały nas tylko złe rzeczy.

Miał grobowy, nieprzyjemny głos.

Mathilde zerknęła na Maksa i uniosła spojrzenie ku sufitowi, jakby chciała powiedzieć, że Caspar jest taki przez cały czas. Max zrozumiał, że zniknięcie Claudette musiało być dla niego najstraszliwszym z możliwych ciosów.

Wyłowił wzrokiem na ścianie fotografię, na której i ojciec, i córka śmiali się. Caspar wyglądał na niej znacznie młodziej, jego włosy były ciemniejsze i gęstsze. A fotografia nie mogła być stara, ponieważ Claudette była tu niemal taka sama jak na zdjęciu, które dał Maksowi jej wuj.

— Co jeszcze się stało?

— Poza zniknięciem naszej córki? — zapytał Caspar gorzko i wreszcie spojrzął Maksowi prosto w twarz. Miał drobne, przekrwione, bardzo smutne oczka. — A co się jeszcze nie stało? To miejsce jest przeklęte. Po prostu. Tutaj nawet nic nie rośnie. Nie ma żadnych upraw, nie ma drzew.

- 380 -

- 381 -

— Nic dobrego nas tu nie spotkało. — Mathilde szybko wtrąciła się do rozmowy. — Oboje pracowaliśmy w Chicago w straży pożarnej, ale Caspar miał wypadek i otrzymał dużą wypłatę z ubezpieczenia. Od dawna rozmawialiśmy o opuszczeniu Stanów i o powrocie na Haiti, więc kiedy nadarzyła się okazja, po prostu z niej skorzystaliśmy.

— A dlaczego wcześniej wyjechaliście z Haiti?

— Nie wyjechaliśmy. To znaczy, wyjechali nasi rodzice, na początku lat sześćdziesiątych, a przyczyną tego kroku był Papa Doc. Mój ojciec miał przyjaciół, związanych z grupami dysydenckimi w Miami i w Nowym Jorku. Ci ludzie próbowali zmontować przewrót, ale przegrali na starcie. A Papa Doc nie ukarał po prostu winowajców, ale także ich rodziny i wszystkich przyjaciół oraz rodziny i przyjaciół przyjaciół. Dla pewności. Tak to się wtedy odbywało. Nasi rodzice rozumieli, że jest tylko kwestią czasu, zanim dotrą do nich siepacze z Maco-ute, dlatego wszyscy stąd wyjechaliśmy.

— A dlaczego zapragnęliście wrócić? — zapytał Max. — Przecież Chicago to wcale nie jest takie najgorsze miejsce.

— To samo sobie teraz powtarzam — mruknął Caspar. — Kiedy o tym myślę, mam ochotę sam siebie kopnąć w dupę.

Max roześmiał się, ale bardziej dla dodania otuchy Casparowi niż z autentycznego rozbawienia. Caspar popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby przejrzał tę grę. Nic nie było w stanie wyrwać go z głębokiego smutku.

— Myślę, że oboje dorastaliśmy w Ameryce w przeświadczeniu, że porzucenie ojczyzny było wielką stratą — wyjaśniła Mathilde. — Zawsze nazywaliśmy Haiti „domem”. Żyliśmy wspomnieniami z domu, który był przecież, mimo tyranii, cudownym miejscem. Cudowni byli szczególnie ludzie. Kojarzyliśmy nasz dom z miłością. Zanim wzięliśmy ślub, przysięgliśmy sobie, że pewnego dnia tutaj wrócimy i zamieszkamy. Przysięgliśmy sobie, że wrócimy do „domu”. Część pieniędzy z ubezpieczenia przeznaczaliśmy na kupno sklepu naprzeciwko

382

stacji benzynowej. Zaczęliśmy sprzedawać biednym ludziom żywność i inne podstawowe artykuły po niskich cenach. Wielu ludziom nie podobało się, że wróciliśmy na wyspę, otworzyliśmy interes i zarabiamy pieniądze. Na takich jak my mają tutaj stosowne określenie, nazywają nas „diasporą”. To jest słowo obelżywe, używane wobec ludzi, którzy stchórzyli, wyjechali z kraju i wrócili dopiero wtedy, kiedy sprawy zaczęły zmierzać ku lepszemu. Obecnie nie brzmi ono już tak jak dawniej...

— Ale wtedy dźwięczało nam w uszach przez całe dni — wtrącił Caspar. — Nie mieliśmy

problemów ze zwykłymi ludźmi, zawsze byli wobec nas przyjaźni, mili. Utrzymywaliśmy z nimi dobre stosunki. Funkcjonowaliśmy właściwie tak, jak Koreańczycy funkcjonują w czarnych dzielnicach w Chicago. Zatrudniliśmy kilka osób z najbliższej okolicy, dobrze traktowaliśmy i w ogóle szanowaliśmy wszystkich ludzi, z którymi się stykaliśmy. Nie było z nimi żadnych kłopotów. Ale tacy jak my, drobni biznesmeni, nasi sąsiedzi, równi nam statusem — a mieszkaliśmy wtedy w Petiomdille — dali nam jasno do zrozumienia, że się im nie podobamy. Używali wobec nas najbardziej obelżywych wyzwisk. Szanowaliby nas tylko wtedy, gdyby znali nas przez całe życie. — Zazdrość to zjawisko uniwersalne — zauważyła Chan-tale. — Nie odnosi się tylko do Haiti. — Wiem, wiem. Kije i kamienie to powszechna broń — przyznał Caspar ze złością.

Chantale uniosła w górę obie ręce, jakby chciała za coś przeprosić.

— Ignorowaliśmy to więc, żyliśmy jedynie dla siebie, ciężko pracowaliśmy i staraliśmy się jak najlepiej traktować wszystkich ludzi. Po jakimś czasie przeprowadziliśmy się tutaj... tu było lepiej. Sąsiadami okazali się ludzie tacy jak my, imigranci, przybysze z zewnątrz — powiedziała Mathilde i poklepała Caspara po ramieniu, żeby go uspokoić. — Tutaj jest bardzo miło. I naprawdę czysto. - 383 -

— Jesteśmy zamkniętą społecznością — dodał Caspar. — I stosujemy tu zasadę „zero tolerancji”.

— Wobec kogo?

— Wobec każdego, kogo nie znamy. Zniechęcamy ludzi do osiedlania się w okolicy. Owszem, wszyscy mogą przechodzić tą ulicą, o ile robią to szybko. Dotyczy to zwierząt, lecz zwłaszcza ludzi. Poza tym wszyscy po kolei sprzątamy ulicę, rano i wieczorem, przed zachodem słońca. Oprócz tego bardzo uważamy na siebie i na sąsiadów.

Caspar pozwolił sobie na lekki uśmiech wyższości, który powiedział Maksowi, że uwielbiał czynienie wstrętów nieszczęsnym ludziom bez własnych domów, którzy chcieliby na czystej ulicy kłaść się spać na noc. Zapewne była to jedyna rzecz, która poprawiała mu samopoczucie. Wielu byłych policjantów, których Max znał, czerpało satysfakcję z takich rzeczy. Brakowało im adrenaliny, której mieli aż nadto na ulicach, i przyjmowali posady w zawodach, w których nadal mogli sprawować władzę nad ludźmi — jako ochroniarze w klubach, portierzy w dużych korporacjach lub jako obstawa VIP-ów. Caspar prawdopodobnie z powrotem przeistaczał się w osobę, jaką był, zanim ułożył sobie szczęśliwe życie.

— Byliśmy tutaj szczęśliwi. — Mathilde kontynuowała rozmowę. — Claudette sprawiła, że niczego więcej już nie pragnęliśmy. Urodziłam ją kilka miesięcy po tym, jak się tutaj sprowadziliśmy. Nie planowaliśmy powiększać rodziny, bo uważałam, że jestem już zbyt stara, ale ona pojawiła się w naszym życiu nagle i zapaliła w nas światełka, których istnienia nigdy byśmy nie podejrzewali.

Urwała i popatrzyła na męża. Max nie widział jej twarzy, ale po minie Caspara, która nagle złagodniała, zorientował się, że kobieta może w każdej chwili wybuchnąć płaczem. Caspar objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

Max znowu spojrzął na fotografie nad ich głowami. Byli dobrymi ludźmi. Szczególnie Mathilde. W tej parze miała de-

cydujący głos, była żoną, która panowała nad zachowaniem męża, i to ona dbała o to, by ich życie przebiegało bez zawirowań. Pilnowała w rodzinie dyscypliny, i to dlatego córka bardziej niż ją lubiła ojca, który bez wątplenia spełniał wszystkie jej zachcianki. Max pomyślał o Allainie i Francesce. Dzieliły ich miliony mil, bezustannie zmierzali w przeciwnych kierunkach i mimo bólu, który powinien ich łączyć, nie było pomiędzy nimi ani odrobiny bliskości czy ciepła. Max zdawał sobie sprawę, że utrata dziecka potrafi łatwo zniszczyć nawet najmocniejsze małżeństwo.

Tymczasem zniknięcie Claudette połączyło Thodore'ów i w jakiś mroczny sposób ich wzmocniło. Skupił wzrok na dużej fotografii Claudette na huśtawce, którą wprawiał w ruch jej ojciec. W rogu fotografii widoczny był obserwujący ich duży doberman.

Mathilde wydmuchała nos w chusteczkę. — Interes szedł dobrze, nawet jeśli nie sprzyjał nam klimat polityczny — kontynuowała, uspokoiwszy się. — Kiedyś w jednym miesiącu mieliśmy dwóch prezydentów i trzy zamachy stanu. Bez trudu orientowaliśmy się, kiedy coś się miało wydarzyć, ponieważ prowadziliśmy nasz interes niedaleko Pałacu Prezydenckiego. Ten, kto był akurat u

władzy, zaopatrywał się w dodatkową benzynę na wypadek, gdyby musiał niespodziewanie uciekać. Cechą charakterystyczną naszego kraju jest to, że cała benzyna, jaką zużywamy, pochodzi ze Stanów Zjednoczonych, a więc za każdym razem, kiedy Amerykanie chcą tu usunąć prezydenta, grożą wstrzymaniem dostaw benzyny. Zawsze gdy pojawiała się takie zagrożenie, obserwowaliśmy, jak szefostwo którejś z kompanii naftowych podjeżdżało na stację benzynową; byli to grubaśni, zazwyczaj spoceni Amerykanie, wyglądający jak obwoźni sprzedawcy Biblii. Informowali właściciela stacji, że powinien się spodziewać dodatkowych dostaw, ponieważ szefostwo otrzymało „ostrzeżenie o suszy” (to był ich kod na kolejną zmianę władzy). Paliwa na razie nie mogło zabraknąć, bo mieliśmy po

- 384 -

- 385 -

24

prostu do czynienia jedynie z „cichymi” przewrotami. Nie padał ani jeden wystrzał. Człowiek mógł oglądać telewizję, aż tu nagle pojawiał się na ekranie jakiś generał i oznajmiał: w tym miesiącu aresztowany został prezydent, albo został wygnany z kraju jako zdrajca, jako człowiek skorumpowany, albo za cokolwiek innego, a nad Pałacem Prezydenckim tymczasową kontrolę przejęła armia. I to wszystko. Życie toczyło się dalej utartym trybem. Nikt nawet nie przypuszczał, że kiedyś nastąpi jakieś embargo. Ale w końcu nastąpiło.

— A nam sypnął się interes. Wiele naszych towarów pochodziło ze Stanów Zjednoczonych lub Wenezueli. Ale statki przestały przypluwać na Haiti — powiedział Caspar. — Claudette zaczęła mnie pytać, dlaczego nie chodzę do pracy. Odpowiadałem jej, że lepiej obserwować, jak dorasta.

— Spalili nasz biznes tuż przed lądowaniem marines — wyjaśniła Mathilde.

— Kto? — zapytał Max.

— Żołnierze. Dążyli do tego, żeby wojska inwazyjne miały tu od początku jak najtrudniejsze życie. Podpalili mnóstwo ważnych obiektów. I nie było w tym nic osobistego, przynajmniej w stosunku do nas.

— Och, nie? — zawołał Caspar z oburzeniem. — To było całe nasze życie. Czy może być coś bardziej osobistego?

Mathilde nie wiedziała, co odpowiedzieć. Odwróciła wzrok, natrafiła nim na jakąś fotografię na ścianie i wpatrzyła się w nią, jakby chciała się znaleźć wśród osób na niej uwiecznionych, znowu w szczęśliwych czasach.

Max wstał i odszedł od stołu. Z tyłu stała sofa, dwa fotele i średnich rozmiarów telewizor na stoliku. Telewizor pokryty był warstwą kurzu, jakby od pewnego czasu nikt go nie używał albo jakby po prostu był popsuty. Max zauważył strzelbę na śrut, opartą o ścianę przy oknie. Popatrzył na podwórko — huśtawkę, psią budę i bramę. Coś mu w tym widoku się nie zgadzało.

— Co się stało z waszym psem? — zapytał, odwracając się znów w kierunku gospodarzy.

— Zabito go — odparła Mathilde. Wstała i podeszła do Maksa. — Otrułi go ci sami ludzie, którzy zabrali naszą córkę.

— Chce pani powiedzieć, że tutaj weszli?

— Tak. Proszę za mną.

Poprowadziła Maksa krótkim, ciemnym korytarzem. Otworzyła drzwi.

— Pokój Claudette — powiedziała.

Rodzina Thodore'ow pogodziła się już z myślą, że nigdy więcej nie zobaczy swojej małej dziewczynki. Pokój był pozostawiony mniej więcej w takim stanie, w jakim się znajdował, kiedy dziewczynka przebywała tutaj ostatni raz. Na ścianach wisiały rysunki, które wykonała Claudette. W większości przedstawiały rodzinę: ojca (bardzo wysokiego), mamę (znacznie niższą), Claudette (drobniutką) i psa (pomiędzy nią a Mathilde), stojących przed domem. Rysowała kredkami. Ojciec zawsze był narysowany na niebiesko, mama na czerwono, Claudette na zielono, a pies był czarny. Inne rysunki zawierały różnokolorowe figury geometryczne i podpisane były u dołu imieniem Claudette, zapisanym jednak ręką jakiejś dorosłej osoby.

Max szybko wyjrzał przez okno i znów zainteresował się tym, co jest w pokoju. Na niskim łóżku leżała błękitna narzuta, biała poduszka i szmaciana lalka. Zauważył, że narzuta jest starannie

wygładzona i tylko na środku łóżka, gdzie czasami ktoś siadał, jest wymięta. Wyobraził sobie, że rodzice Claudette czasem tutaj przychodzą, bawią się lalką, wspominają córkę i głośno szlochają. Gotów był się założyć, że Caspar bywa tu znacznie częściej niż Mathilde.

— Tego dnia, kiedy zniknęła... przyszedłem tutaj, żeby ją obudzić. Wszedłem do środka i zobaczyłem, że łóżko jest puste, a okno szeroko otwarte. Popatrzyłem na trawnik i ujrzałem Toto, naszego psa. Leżał martwy na ziemi, tuż przy huśtawce — powiedziała Mathilde cicho.

— Czy w domu zauważyła pani jakieś zniszczenia? Na przykład zbitą szybę?

— Nie.

— Co z drzwiami frontowymi? Czy ktoś otworzył je siłą?

— Nie.

— Czy zauważyła pani jakieś nieprawidłowości w funkcjonowaniu zamków w drzwiach? Kiedy ktoś otworzy drzwi wytrychem, później klucz nie da się zazwyczaj przekręcić do końca.

— Zamki działały doskonale. I nadal działają.

— Przebywaliście wtedy w tym domu tylko we troje?

— Tak.

— Czy ktoś jeszcze ma klucze do domu?

— Nie.

— A poprzedni właściciel?

— Wymieniliśmy wszystkie zamki.

— Kto je wymieniał?

— Caspar.

— Jest pani pewna, że tego dnia zamknęła frontowe drzwi na klucz?

— Tak. Jestem pewna.

— Czy ten dom ma jakieś tylne drzwi?

— Nie.

— Co z oknami?

— Wszystkie były zamknięte. Nie natrafiliśmy na żadne ślady włamania.

— Piwnica?

— Tu nie ma piwnicy.

— Co znajduje się za domem?

— Pusta działka. Była tam galeria sztuki, ale została zamknięta. Mury tej posesji mają piętnaście stóp wysokości i są zabezpieczone drutem kolczastym.

— Drutem kolczastym? — mruknął do siebie Max. Wyjrzał przez okno i popatrzył na mur.

Zwieńczony był dłu-

gimi szpikulcami, jednak Max nie zobaczył ani śladu po drucie kolczastym, jaki chronił wiele okolicznych posiadłości.

— Zlikwidowałam — powiedziała Mathilde.—Nie chciałam, żeby po przebudzeniu Claudette miała co rano taki widok.

— Tak. Ten drut nie ma żadnego znaczenia.

„Nigdy do niczego się nie przydaje”, pomyślał Max. Jeśli ktoś będzie chciał porwać dziecko, zrobi to, niezależnie od wszelkich zabezpieczeń.

Wyszedł na zewnątrz i podszedł do bramy. Po prawej stronie rosły krzaki. Gdyby porywacze na nich wylądowali, z pewnością narobiliby hałasu. A zatem przeszli przez mur po lewej stronie, gdzie mogli spokojnie wylądować po skoku z wysokości dziesięciu stóp. Od strony ulicy zapewne użyli drabiny.

Zanim przystąpili do porwania, musieli uważnie obejrzeć posesję. Stąd wiedzieli, gdzie znajduje się psia buda i z której strony najlepiej sforsować mur.

Typowe zachowanie drapieznika.

Max odwrócił się i znowu popatrzył na budynek. W tej dziewczęcej sypialni coś się nie zgadzało. Coś tutaj nie pasowało.

Ruszył z powrotem do domu, starając się myśleć tak jak porywacz, który właśnie przed chwilą otruł psa. Pokój Claudette znajdował się po lewej stronie drzwi. Ilu ludzi po nią przyszło? Jeden czy

dwóch?

Podchwycił wzrok Mathilde, spoglądającej na niego z okna pokoju córki. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i obserwowała, jak się zbliżał.

Szyby w żadnym oknie nie zostały wybite. Żaden zamek nie był naruszony. Nie forsowano drzwi. Z tyłu do domu nie można było wejść. W jaki sposób dostali się więc do środka porywacze?

Mathilde otworzyła okno i zaczęła coś mówić do Maksa. Nie słyszał jej. Mówiąc, przypadkowo rzuciła coś z parapetu, coś małego.

- 388 -

- 389 -

Max podszedł i spojrzał na przedmiot, który upadł na ziemię. Była to mała kolorowa drucziana figurka mężczyzny o twarzy, przypominającej ptasi dziób. Ciało mężczyzny było pomarańczowe, z wyjątkiem czarnej głowy. Figurce brakowało lewej ręki, a przyjrząwszy się jej uważniej, można było zauważyć, że brakuje jej też części twarzy.

Zaczynał właśnie rozumieć, co się stało.

Podniósł figurkę.

— Kto jej to dał? — Max pokazał figurkę Mathilde. Wyglądała na kompletnie zagubioną. Wzięła figurkę od

Maksa i zacisnęła na niej dłoń. Omiatała wzrokiem parapet. Max wrócił do domu.

Na parapecie zobaczył jeszcze z pół tuzina druczianych lu-dzi-ptaków, ustawionych w rzędzie. Poza tym figurki stały przy łóżku, trochę ukryte z powodu silnych promieni słonecznych, jasno oświetlających ścianę i pozostawiających w półmroku podłogę. Wszystkie miały taki sam kształt i kolor, z wyjątkiem ostatniej, która była szersza, ponieważ stanowiła połączenie dwóch postaci — człowieka-ptaka i małej dziewczynki w niebiesko-białym kostiumie.

— Skąd ona to miała?

— Ze szkoły — odparła Mathilde.

— Kto jej to dał?

— Nigdy mi nie powiedziała.

— Mężczyzna, kobieta?

— Myślałam, że jakiś chłopiec, któryś z jej kolegów. Znała też kilkoro dzieci z Arki Noego.

— Arki Noego? Od Carvera?

— Tak. Arka Noego znajduje się kilka przecznic od Lycée Saint Anne, szkoły Claudette — powiedziała Mathilde i podała Maksowi nazwę ulicy.

— Czy pani córka kiedykolwiek wspominała, że rozmawiała z kimś nieopodal szkoły? Z jakimś nieznanym?

— Nie.

390 -

— Nigdy?

— Nie.

— Wspominała może Pana Klarneta?

Mathilde ciężko usiadła na łóżku. Jej dolna warga zaczęła się trząść, w mózgu kłębiły się myśli.

Otworzyła dłoń i popatrzyła na figurkę.

— Pani Thodore, czy jest coś, o czym pani mi nie mówi?

— Nie sądziłam, że to ma znaczenie... wtedy — odparła.

— Co?

— Pomarańczowy Człowiek.

Max znowu obejrzał rysunki na ścianie, na wypadek gdyby wcześniej przeoczył wizerunek kogoś z połową twarzy, jednak nikogo takiego nie zauważył.

Wrócił myślami do opowieści o dzieciach znikających w Clarinette. Matka powiedziała, że syn opowiadał jej, iż został porwany przez „mężczyznę o zdeformowanej twarzy”.

— Max! — zawołała Chantale z progu. — Musisz to zobaczyć.

Obok niej stał Caspar. Trzymał w rękach gruby rulon papieru.

Z tego, co opowiadała Claudette, jej przyjaciel — Pomarańczowy Człowiek — był w połowie

człowiekiem, a w połowie maszyną. Nieludzka była przynajmniej jego twarz. Miał wielkie szare oko z czerwoną kropką na środku. Wystawało z jego głowy tak daleko, że musiał je przytrzymywać ręką. Wydawało też dziwne dźwięki.

Caspar powiedział, że śmiał się, kiedy Claudette o nim opowiadała. Sam uwielbiał filmy science fiction. Jego ulubionymi były JRobocop, Gwiezdne wojny i Terminator. Często oglądał je na wideo razem z córką, mimo protestów Mathilde, że Claudette jest na nie za mała. Dla niego

Pomarańczowy Człowiek był hybrydą R2D2 i Terminatorem w chwili,

391

w której odpada od niego twarz i ukazują się mechanizmy tkwiące pod skórą. Caspar nie traktował sprawy poważnie, ponieważ nie uważał przyjaciela córki za nic bardziej realnego niż robot z filmu.

Mathilde jeszcze mniej, o ile to było możliwe, wierzyła w opowieści dziewczynki o

Pomarańczowym Człowieku. Kiedy była w wieku córki, także miała przyjaciela, który istniał tylko w wyobraźni. Była jedynaczką, rodzice często zostawiali ją samą w domu i nawet kiedy przebywali z nią, nie poświęcali jej tyle uwagi, ile potrzebowała.

Żadne z rodziców specjalnie się nie przejęło, kiedy — w ostatnich sześciu miesiącach przed zniknięciem — Claudette zaczęła sporządzać coraz więcej rysunków swojego przyjaciela.

— Nigdy go nie widzieliście? Pomarańczowego Człowieka? — zapytał Max Thodore'ow.

Znowu siedzieli we czwórkę przy stole w jadalni. Na blacie leżały rysunki, ponad trzydzieści, od prostych szkiców kredkami, po duże malowidła.

Na wszystkich widniała pomarańczowa sylwetka bardzo chudego osobnika o dużej głowie, w kształcie litery D, składającej się z dwóch połączonych, wertykalnych połówek — czworokąta po lewej stronie i okręgu po prawej. Okrąg przypominał twarz, była ona jednak bardzo niewyraźna.

Miała drobną szparkę zamiast oka, kolejną szparkę zamiast ust, nie posiadała nosa, a mały trójkąt na boku zastępował ucho. Druga połowa rysowana była dokładniej i wyglądała wręcz przerażająco.

Dominował na niej wielki zawijas w miejscu, w którym powinno znajdować się oko, a w ustach postaci znajdowały się ostre, sterczące kły, bardziej przypominające sztylety niż zęby. Osobnikowi brakowało lewej ręki.

— Nie.

392

— Rozmawialiście kiedykolwiek o nim z córką? Pytaliście ją, kto to jest?

— Czasami pytałem ją, czy kiedykolwiek go widziała — powiedział Caspar. — Zazwyczaj odpowiadała, że tak, widziała.

— Coś jeszcze? Wspominała może, że go widywała w jakimś innym towarzystwie?

Oboje rodzice potrząsnęli przecząco głowami.

— Mówiła coś o samochodzie? Mówiła, że prowadził samochód?

Znowu potrząsnęli głowami.

Max jeszcze raz popatrzył na rysunki. Nie leżały w żadnej specjalnie uporządkowanej kolejności, ale i tak mógł z nich wydedukować, co się wydarzyło, w jaki sposób Pomarańczowy Człowiek zdobył zaufanie Claudette, zanim ją porwał. Najstarsze rysunki prezentowały mężczyznę stojącego w pewnej odległości, bokiem do Claudette, w towarzystwie kilkorga innych dzieci. Był cały pomarańczowy, miał płaską twarz i okrągły tył głowy. Z miejsca, w którym powinien znajdować się jego nos, wystawał długi dziób. Z każdym rysunkiem dzieci ubywało, aż wreszcie pozostawało ich tylko dwoje, a w końcu sama Claudette, stojąca przed Pomarańczowym Człowiekiem, tak jak stała przed nim figurka na parapecie okiennym. Na wszystkich rysunkach grupowych dzieci stały w pewnej odległości od Pomarańczowego Człowieka, jednak na tych, na których był tylko on i Claudette, oboje trzymali się za ręce. Maksa wprost zmroziły rysunki, które przedstawiały życie rodzinne Claudette. Ukazywały Pomarańczowego Człowieka przed domem Thodore'ow razem z psem albo z całą rodziną na plaży.

„Claudette znała swojego porywacza”, pomyślał. Sama wpuściła go do sypialni. I dobrowolnie wyszła z nim z domu.

— Powiedziała, dlaczego nazywała go „Pomarańczowym Człowiekiem”?

— Wcale tak go nie nazywała — odparł Caspar. — To ja wymyśliłem tę nazwę. Pewnego dnia

przyniosła do domu jeden

393 -

z tych rysunków. Zapytałem ją, kto to jest, a ona odpowiedziała, że to jej przyjaciel. Tak właśnie o nim mówiła — mon ami — mój przyjaciel. Myślałem, że ma na myśli jakiegoś kolegę ze szkoły. Powiedziałem więc: „Hej, dziecko, przyjaźnisz się z pomarańczowym człowiekiem”. I takie określenie do niego przyłgnęło.

— Rozumiem — mruknął Max. — A co z jej normalnymi przyjaciółmi? Rozmawiała z nimi kiedykolwiek o Pomarańczowym Człowieku?

— Nie, chyba nie — odezwała się Mathilde. Popatrzyła na Caspara, który jedynie wzruszył ramionami.

— Czy którekolwiek dziecko ze szkoły Claudette także zniknęło?

— Nie. Nic nam o tym nie wiadomo. Max zajrzał do notatek.

— Co się stało w dniu... kiedy się zorientowaliście, że Claudette zniknęła? Co zrobiliście?

— Zaczęliśmy jej szukać — odparł Caspar. — Chodziliśmy od domu do domu. Wkrótce pomagało nam już dużo ludzi, głównie sąsiedzi. Zatrzymywali przechodniów na ulicy i wypytywali ich o dziewczynkę. Do końca dnia sami sprawdziliśmy każdy cal terenu na powierzchni mniej więcej dwóch mil kwadratowych dookoła naszego domu. Nikt niczego nie widział. Nikt niczego nie wiedział. Claudette zniknęła w czwartek. Następne dwa tygodnie poświęciliśmy wyłącznie na poszukiwania. Jeden z naszych sąsiadów wydrukował na drukarce plakaty, które porozwieszaliśmy w okolicy. Nic to nie dało.

Max coś zapisał, po czym przeczytał ostatnie kilka kartek swoich notatek.

— Czy ktoś żądał za nią okupu? — zapytała Chantale.

— Nie. Nic z tych rzeczy. Nie jesteśmy bogaci, poza Claudette mamy naprawdę niewiele — odparł Caspar rozdartym głosem. Sprawiał wrażenie, jakby się miał zaraz rozplakać.

Mathilde ujęła jego dłoń, a on ją przytulił do swojej piersi.

— Czy zamierzacie ją dla nas znaleźć? — zapytał, zwracając się do Chantale.

— Obiecałem pańskiemu bratu, że zajmę się tą sprawą

— odrzekł Max, spoglądając jednak na rodziców Claudette wzrokiem sygnalizującym, że nie ma wielkich nadziei na pozytywny rezultat poszukiwań.

— A jak się panu układa sprawa Charliego Carvera? — zapytała Mathilde.

— Co pani ma na myśli?

— Dotarł pan do czegoś? Jakies ślady?

— Nie wolno mi o tym rozmawiać, pani Thodore. Bardzo mi przykro, ale takie jest życzenie klienta. Żąda maksymalnej poufności.

— Uważa pan, że Charliego i Claudette porwali ci sami ludzie?

— Widzę w tych sprawach podobieństwa, ale są też i różnice — odparł Max. — Zbyt mało jeszcze wiem, żeby cokolwiek przesądzać.

— Vincent Paul uważa, że to ci sami ludzie — powiedział Caspar obojętnym tonem.

Max przestał pisać i popatrzył niewidzącym wzrokiem na papier przed sobą.

— Vincent Paul? — powtórzył, starając się, żeby jego głos nie zdradzał żadnych emocji. Popatrzył przelotnie na Chantale, która wskazała mu wzrokiem kilka fotografii wiszących na ścianie po lewej stronie.

— Tak. Zna go pan? — zapytał Caspar.

— Jedynie ze słyszenia — odparł Max i wstał.

Zaczął udawać, że się przeciąga i musi rozprostować plecy i szyję. Obszedł stół. Powoli podszedł do fotografii, które mu wskazała Chantale.

Niemal w samym rogu, na drugiej fotografii od brzegu, zobaczył scenę rodzinną. Na zdjęciu była Claudette w wie-

- 394 -

- 395 -

ku mniej więcej trzech lat, Mathilde i Caspar, wyglądający na szczęśliwych i cały wiek młodszych, Alexandre Thodo-re w koszuli z koloratką i w środku pomiędzy nimi siedzący, prawdopodobnie

dlatego, żeby fotograf mógł objąć obiektywem całą jego postać, Vincent Paul, łysy, z lśniąca czaszką. Książd obejmował ramieniem jego szerokie plecy.

Max odgadł, co to znaczyło: Vincent Paul przekazywał część pieniędzy z milionów, jakie zarabiał na narkotykach, na rzecz Małego Haiti. Zachował jednak tę myśl dla siebie.

Wrócił na miejsce.

— Kiedy skończyliśmy poszukiwania, kiedy uznaliśmy, że sami nic więcej nie jesteśmy już w stanie zrobić, poprosiliśmy o pomoc amerykańskich marines — powiedziała Mathilde. — W końcu i my oboje, i Claudette jesteśmy obywatelami USA. Wie pan jednak, jak zostaliśmy potraktowani? Spotkaliśmy się z jakimś kapitanem, który chciał się jedynie od nas dowiedzieć, dlaczego opuściliśmy Amerykę i zamieszkaliśmy w takiej wstrętnej norze jak Haiti. Tak właśnie nazwał ten kraj — „wstrętną norą”. Powiedział jeszcze, że żołnierze są „zbyt zajęci, aby nam pomóc”, ponieważ muszą na wyspie „przywracać demokrację”. Kiedy wracaliśmy do samochodu, musieliśmy przejść obok baru, gdzie cała zgraja marines z ogromną energią „przywracała demokrację”, żłowiąc piwo i paląc trawkę.

— A co z Vincentem Paulem?

— Pojechaliśmy do niego po tym, jak pomocy odmówiła nam amerykańska armia.

— Dlaczego nie zaczęliście od niego?

— Ja... — zaczęła Mathilde, jednak Caspar jej przerwał.

— Co pan właściwie o nim wie?

— Słyszałem o nim dobre i złe rzeczy, w większości złe — odpowiedział Max.

— Tak jak Mathilde. Nie chciała chodzić do niego po pomoc.

- 396 -

— To nie tak — odezwała się Mathilde, ale napotkała spojrzenie męża, które wyraźne mówiło „tylko nie próbuj zaprzeczać”. — No, dobrze. Ponieważ było tu mnóstwo wojska i w ogóle; nie chciałam, żeby ktoś wiedział, że mojej córki poszukuje ktoś taki. Bałam się, że zostaniemy aresztowani z powodów politycznych.

— Politycznych?

— Vincent był w bardzo bliskich stosunkach z Raoulem Ce-dratem, szefem junty, która została obalona w wyniku inwazji. Byli naprawdę dobrymi kumplami — wyjaśnił Caspar.

— Myślałem, że Paulowi odpowiadał raczej Aristide — stwierdził Max.

— Jasne, obaj dobrze się znali i rozumieli. Na początku Aristide był dobrym człowiekiem, kiedy był księdzem i pomagał biednym ze slumsów. Zrobił dla nich naprawdę wiele. Ale tego samego dnia, w którym objął urząd prezydenta, zaczął przeistaczać się w Papę Doca. Miliony dolarów z zagranicznej pomocy zaczął ładować do swojej prywatnej kieszeni. Już po dwóch miesiącach urzędowania miał na pieńku z Vincentem.

— Nigdy nie sądziłem, że ludzie tacy jak Paul mogą mieć jakieś zasady.

— To jest człowiek, który bardzo się przejmuje ludzką niedolą — powiedziała Mathilde.

— Pomógł wam?

— Bardzo. Przez miesiąc przeszukał całą wyspę. Jego ludzie szukali jej też w Nowym Jorku, w Dominikanie i na innych wyspach. Zaangażował do pomocy nawet ONZ.

— Zrobił wszystko, nie wynajął jedynie prywatnego detektywa — zauważył Max.

— Twierdził, że jeśli on sam jej nie znajdzie, nikt tego nie dokona.

— I uwierzyła mu pani?

— Uwierzylibyśmy, gdyby znalazł Claudette.

- 397 -

— Jeszcze ktoś się z wami kontaktował? Carverowie zaangażowali przede mną kilku innych facetów, żeby szukali ich syna. Czy którykolwiek z nich z wami rozmawiał?

— Nie — odrzekł Caspar.

Max zapisał kilka spostrzeżeń. Musiał się dowiedzieć od Thodore'ow jeszcze o jednej rzeczy.

— Z tego, co się dowiedziałem, mnóstwo dzieci codziennie znika na Haiti. Zatem mnóstwo ludzi prawdopodobnie chodzi do Vincenta Paula po pomoc. Dlaczego pomagał akurat wam?

Para popatrzyła po sobie. Nie wiedzieli, co odpowiedzieć na pytanie Maksa. Ułatwił im to.

— Posłuchajcie. Doskonale wiem, czym się zajmuje Vincent Paul i w sumie głównie mnie to obchodzi. Przyjechałem tutaj, żeby znaleźć Charliego Carvera, a przy okazji Claudette, jeśli tylko zdołam. Bądźcie więc ze mną szczerzy. Dlaczego Vincent wam pomógł?

— Jest przyjacielem rodziny. Mojej rodziny — odparł Caspar. — Mój brat i on znają się bardzo dobrze i od bardzo dawna.

— Paul daje pieniądze na kościół pańskiego brata w Małym Haiti, prawda?

— To nie jest tak. Mój brat prowadzi w Miami schronisko dla ludzi, którzy uciekają na łodziach z Haiti. Vincent za nie płaci. Włożył w Małe Haiti mnóstwo pieniędzy, wielu ludziom pomógł stanąć na nogach. To dobry człowiek.

— A ja znam ludzi, którzy mówią o nim coś zupełnie innego — stwierdził Max, jednak na tym poprzestał.

Powstrzymał się przed opowieścią o tym, że w Liberty City już dziesięć lat dzieciaki sprzedają na ulicach prochy Vincenta Paula, a ich rodzice się od tego świństwa uzależniają. Rodzina Thodore'ow by w to nie uwierzyła, no bo właściwie dlaczego miałyby uwierzyć?

— Znaleźliby się także ludzie, którzy by o panu mówili wyłącznie złe rzeczy, panie Mingus — odparowała Mathilde, ale jej głos zabrzmiał bardzo delikatnie.

— Tak to zwykle jest. — Max uśmiechnął się do obojga małżonków. Byli z pewnością porządnymi ludźmi: uczciwymi, ciężko pracującymi i dobrymi dla innych. Takimi, jakich obiecał sobie zawsze chronić. — Dziękuję państwu za pomoc. Bardzo proszę, nie wińcie siebie za to, co się przydarzyło Claudette. Nie mogliście nic zrobić, żeby temu zapobiec. Zupełnie nic. Można powstrzymać włamywaczy, morderców czy gwałcicieli, jednak tacy ludzie jak Pomarańczowy Człowiek są niewidzialni. Z kolei w codziennym życiu wyglądają jak ja albo jak wy; są ostatnimi osobami, które można by podejrzewać, że czynią złe.

— Niech pan ją znajdzie, proszę — powiedziała Mathilde. — Zupełnie mnie nie obchodzi los ludzi, którzy ją porwali. Chcę tylko, żeby moja córka do mnie wróciła.

41

— Wciąż uważasz, że to Vincent Paul porwał Charliego? — zapytała Chantale w samochodzie. Jechali pod pierwszy adres z nazwiskiem „Faustin”, jaki znaleźli w książce telefonicznej.

— Niczego nie wykluczam. Fakt, że pomógł w poszukiwaniach Claudette, zupełnie nic nie znaczy. Czy porwał Charliego? Będę wiedział, kiedy z nim porozmawiam — odparł Max.

Dwie figurki, które zabrał z domu Thodore'ow, ostrożnie położył na tablicy rozdzielczej, na kilku rysunkach Pomarańczowego Człowieka. Zamierzał wysłać figurki do Joe'ego, żeby sprawdził, czy są na nich odciski palców.

— Wiesz, jak do niego dotrzeć?

— Mam przecucie, że to on znajdzie mnie.

— Piłka jest chyba po twojej stronie boiska — westchnęła Chantale.

- 398 -

- 399 -

Ani słowem nie wspomniała dotąd Maksowi o tym, co się wydarzyło w świątyni, ale też nic nie wskazywało, że jest na niego zła. Zachowywała się normalnie, co jakiś czas błyskając miłym uśmiechem i wybuchając głośnym śmiechem, który w uszach Maksa brzmiał podniecająco, lubieżnie. Pełen profesjonalizm. Byłaby doskonałym politykiem albo doskonałą kochanką, potrafiącą w mig odczytywać zachcianki swojego mężczyzny. Wielu facetów w białych kołnierzykach było takich jak ona — w swojej nieszczerości sprawiali wrażenie absolutnie i do końca szczerych.

— Czy rozmawiałaś czasami z mężem o jego pracy? — zapytał Max.

— Nie. Przyjęliśmy zasadę, że nie przenosimy do domu żadnych spraw ani problemów zawodowych. A ty?

— Kiedy zostałem gliniarzem, nie miałem jeszcze żony. Ale, owszem, ja i Sandra często rozmawialiśmy o tym, czym się zajmuję jako policjant.

— Pomogła ci kiedyś w rozwiązaniu jakiejś sprawy?

— Tak, kilkakrotnie.

— Wytrąciło cię to z równowagi? Wątpiłeś w swoje umiejętności?

—Nie.—Max parsknął głośnym śmiechem i zaraz uśmiechnął się do swoich wspomnień. — Nigdy. Byłem za to dumny z mojej żony, bardzo dumny. Zawsze byłem z niej dumny. Stanęli w korku. Chantale badawczo przyjrzała się Maksowi. Podchwycił jej wzrok i próbował wyobrazić sobie, do jakich dochodzi wniosków. Dziewczyna jednak z żadną myślą się nie zdradziła.

Pięć pierwszych domów, należących do różnych Faustinów, było zniszczonych — przez ogień, włamywaczy, żołnierzy, huragan i z powodu katastrofy helikoptera ONZ. Nikt w pobliżu nie słyszał o żadnym Eddiem Faustinie.

Następny budynek, pod jaki zajechali, stał na skraju slumsów w Carrefour. Był to jedyny zachowany dom przy ulicy pełnej zrujnowanych ruder. Żeby dojść do jego drzwi, trzeba było przejść do góry po kilku stopniach, ponieważ był trochę oddalony od jezdni. W żadnym z okien nie było ani framug, ani szyb. Kiedy zapukali, nikt w środku nie zareagował. Zajrzeli przez okna, jednak budynek wyglądał na opuszczony, mimo że we frontowych pokojach można było dostrzec ładne meble, a na podwórzu z tyłu suszącą się białą pościel.

Zapytali o mieszkańców domu kilku przechodniów. Ci jednak nic nie wiedzieli; mówili, że dom jest pusty już od dłuższego czasu. Nikt do niego nie wchodzi i nikt z niego nie wychodzi.

— Dlaczego więc do środka nie wprowadził się jeszcze ktoś z ulicy? — pytał Max.

Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć.

Postanowił, że wróci tutaj o zmroku, żeby obejrzeć dom trochę dokładniej. Nie chciał, żeby była z nim Chantale, kiedy się będzie włamywał. Już i tak wiele z nim przeszła.

Dalsze wizyty w domach z listy zawiodły ich do budynków dawno opuszczonych przez prawowitych mieszkańców i zasiedlonych prawem kaduka przez biedotę i bezdomnych. Były dom Jerome'a Faustina był pełen małych dziewczynek o brzuskach tak wzdętych, że aby zachować równowagę, musiały chodzić z szeroko rozstawionymi nogami. Na wariację tego samego obrazka natrafili w innym domu, tyle że tutaj dzieci siedziały przy stole i jadły razem z rodzicami suche liście i stare ciastka. Popijali jakąś zielonkawą wodą z wiadra. Max nie wierzyłby, że są w stanie wkładać do ust i przeżuwać to, co mają na stole, gdyby nie zobaczył, jak czyni to dziewczynka w wieku około dziewięciu lat. Zachciało mu się wymiotować, jednak powstrzymał ten odruch — częściowo z szacunku dla tych biednych, nieszczęsnych dusz, które od dawna

- 400 -

- 401 -

nie spożywały przyzwoitego posiłku, i częściowo z obawy, że także jego wymioty mogą stać się dla nich jadalnym przysmakiem. Zaprzagnął dać ich rodzicom wszystkie pieniądze, jakie miał w portfelu, ale Chantale go powstrzymała. Powiedziała mu, że lepiej zrobi, jeśli kupi dzieciom jedzenie.

Znaleźli w pobliżu sklep i kupili kilka torebek kukurydzy, ryż, fasolę i banany. Wrócili i zostawili żywność na progu domu. Dzieci i dorośli tylko popatrzyli na nich z zaciekawieniem i powrócili do swojego posiłku.

Pojechali dalej. Późnym popołudniem skończyli objazd. Porozmawiali z dwiema starszymi paniami, które poczęstowały ich lemoniadą i starym ciastem, mężczyzną, który na ławce przed domem czytał gazetę z poprzedniego roku, mechanikiem samochodowym i jego synem, kobietą, która ich poprosiła, żeby przeczytali jej fragmenty niemieckiej Biblii, kolejną kobietą, która stwierdziła, że zna Maksa z telewizji i uważa go za dobrego człowieka. Mimo że nie był w stanie tego udowodnić, Max był pewien, że dom w Carrefour należał — przynajmniej przez jakiś czas — do Eddiego Faustina.

Wrócił tam, odwiózłszy Chantale do domu.

42

Odczekał, aż zapadną ciemności, po czym zaszedł na tyły budynku, wspiął się na okalający go mur i przeskoczył do ogrodu, w którym rosła tylko sucha trawa i jakieś zwiędłe krzaki.

Z łatwością otworzył dwa zamki w tylnych drzwiach i wszedł do środka.

Włączył latarkę. Kurz w całym domu zalegał grubą warstwą. Z pewnością nie było tutaj nikogo od

bardzo długiego czasu.

Budynek miał dwa piętra i piwnicę.

- 402 -

Wszedł po schodach na górę. Natrafił na duże pokoje, wyposażone w mnóstwo mebli wysokiej jakości — kredensy, szafy, mahoniowe stoły i krzesła, wszystkie na mosiężnych nogach. Małe stoliki kawowe wykonane były albo z marmuru, albo ze szkła. Na solidnych mosiężnych łóżkach wciąż leżały twarde materace, kanapy i fotele miały doskonałe obicia.

Nikt tutaj nie mieszkał już od dawna, jednak ktokolwiek był właścicielem domu i korzystał z niego w przeszłości, musiał się tu czuć bardzo pewnie. Budynek znajdował się przecież na skraju slumsów, w odległości zaledwie kilku stóp od kotła nędzy, desperacji i przemocy. W żadnym oknie nie było krat. Nikt do tego domu się nie włamał. Max przypuszczał, że jego właściciele pochodzą z Haiti i są w slumsach dobrze znani, są ludźmi, którym nie wchodzi się w drogę, takimi, których własność szanuje się bardziej niż własną.

Zszedł do piwnicy. Było tu gorąco i wilgotno, a w powietrzu unosił się odór zjełczałej żywności. Max natrafił światłem latarki na grzyb na ścianach. Cegły były wprost śliskie od wilgoci. Na ziemi coś leżało.

Znalazł włącznik światła. Naga żarówka pod sufitem oświetliła wielkie czarne veve w kształcie latawca. Całe było uwalane krwią. Podzielone było na cztery sekcje. W trzech wymalowane były różne symbole, a w ostatniej, czwartej, znajdowała się fotografia. Przedstawiała Charliego siedzącego na tylnej kanapie w samochodzie, prawdopodobnie w luksusowej limuzynie. Patrzył prosto w obiektyw aparatu.

Max zaczął oglądać zawartość kolejnych przedziałów veve zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Po kolei zobaczył symbol Pana Klarneta oraz oko, koło z trzema krzyżami i czaszkę, a w końcu fotografię. Na środku veve znajdowała się korona kwiatu, wykonana z purpurowego wosku. Zakładając, że przebywał w domu Eddiego Faustina, Max mógł z wielką pewnością założyć, że zanim mężczyzna porwał Charliego, przeprowadził tu cały ceremoniał voodoo.

- 403 -

Max schował fotografię do portfela.

Poza veve w piwnicy niczego nie było.

Już miał opuścić domu, kiedy sobie przypomniał, że przecież nie wszystko sprawdził. Wrócił na piętro. Kurz na podłodze był tak gruby, że stawiając na nim kroki, wzbijał w powietrze jego tumany. Dwukrotnie kichnął.

Niczego nie znalazł.

Zaczął opukiwać ściany. Solidne, mocne. Popatrzył pod krzesła. Przesunął kilka mebli. Dźwigając ciężki kredens, strasznie się spocił.

Uniósł na chwilę dębową szafę.

Usłyszał, jak coś spada na podłogę.

Była to kaseta wideo.

Wróciwszy do Petionville, Max odtworzył kasetę.

Rozpoczynała się sceną ukazującą chłopca idącego ulicą. Ubrany był w uniform Arki Noego — niebieskie krótkie spodenki i białą koszulę z krótkimi rękawami. Na plecach miał tornister. Max oszacował wiek chłopca na sześć do ośmiu lat.

Filmowano go z wnętrza samochodu.

Ekran nagle zrobił się czarny, ale po chwili pojawił się na nim nowy film. Przedstawiał grupę mniej więcej dwadzieścioro dzieci, w szkolnych mundurkach, zgromadzonych przed główną bramą Arki Noego. Operator filmował je, jak śmieją się i rozmawiają. Niektóre gonily się wzdłuż ulicy, a inne stały w zwartej grupie. W końcu kamera dotarła do chłopca, który był bohaterem pierwszego fragmentu. Rozmawiał wesoło z dwoma kolegami. Obiektyw skupił się na jego twarzy, raczej milutkiej, cukierkowatej niż przystojnej, potem na jego ustach, szeroko otwartych, uśmiechniętych, a później objął całą jego głowę, tułów i trochę obszaru za plecami. Następnie kamera przesunęła się na prawo, filmując ponad ramieniem chłopca, i na ekranie pojawiła się mała dziewczynka; akurat pochylała się, zawiązując sznurowadło.

Chłopiec podszedł do niej i zadarł jej spódniczkę aż na plecy, a jego koledzy zaczęli się śmiać. Dziewczynka nie zdawała sobie z tego sprawy, tak samo jak nie miała pojęcia, że jej upokorzenie jest filmowane. Kiedy wstała i spódniczka opadła na właściwe miejsce, chłopcy ze śmiechem uciekli.

Następny filmik ukazywał chłopca w klasie filmowanej zza okna. Kamerzysta stał po lewej stronie, kryjąc się w krzakach, które chwilami przesłaniały obiektyw. Chłopiec słuchał nauczycielki, notował w zeszytcie, co jakiś czas podnosił rękę. Kiedy wiedział, że zna odpowiedź na pytanie nauczycielki, jego twarz rozjaśniała się mieszaniną dumy i szczęścia. Wyznaczony do odpowiedzi, mówił z szerokim uśmiechem, który potem jeszcze długo utrzymywał się na jego twarzy promieniejącej triumfem. Niewątpliwie chłopiec był najlepszym uczniem, wystarczająco dojrzałym i zdyscyplinowanym, aby rozumieć, jak ważna dla niego jest nauka, jaką ogromną wartość ma edukacja. Prawdopodobnie nigdy nie miał w szkole kłopotów, a rodzice byliby z niego dumni, gdyby go mogli widzieć w czasie nauki. Jego żywe, bystre i dociekliwe oczy zdawały się docierać do sedna wszystkiego, co widziały.

Niespodziewanie na ekranie pojawiły się zakłócenia, a potem znów zrobił się czarny. Wydawało się, że potrwa to w nieskończoność.

Max pozwolił, żeby taśma się przewijała. Jego serce biło jak oszalałe i poczuł bardzo znajome klucie w podbrzuszu, którego jednak ostatnio doświadczał dawno temu, kiedy jako początkujący detektyw znajdował się u progu jakiegoś ponurego odkrycia. Jakaś część jego osobowości cieszyła się na to odkrycie, inna się go obawiała. Na początku wszystkie takie sytuacje okazywały się bardziej straszliwe niż zakładał, nie potrafił bowiem sobie wyobrazić, jakich okrucieństw potrafił się dopuścić jeden człowiek wobec drugiego. Jednak zanim poszedł do

- 404 -

- 405 -

więzienia, uodpornił się na nie. Przeważnie z obojętnością patrzył na ludzką śmierć, a granice jego wyobraźni sięgały tego, co może człowieka oczekiwać w piekle. Jeśli natrafiał na kogoś zabitego jednym strzałem w głowę, uważał, że morderca był wspaniałomyślny i litościwy; przecież spośród wszystkich możliwości zadania śmierci wybrał najprostszą i najszybszą.

Ekran przez chwilę był biały, później przez kilka sekund niebieski, aż wreszcie pojawiła się na nim zupełnie inna sceneria niż dotąd — betonowy budynek wielkości hangaru na samoloty, stojący wśród przebogatej roślinności. Max zatrzymał taśmę i zaczął studiować drżący obraz. Raczej nie wyglądało to na żadne miejsce na Haiti. Wokół budynku rosły drzewa i mnóstwo zieleni. Widać było, że miejsce to leży w kraju, gdzie ziemia jest zdrowa i urodzajna.

Znów włączył odtwarzanie.

Dalszą część filmu nakręcono w budynku, w ogromnej hali, do której światło wpadało przez wysokie okna.

Grupa dzieci, chłopców i dziewczynek, w wieku nieprzekraczającym dziesięciu lat, zbliżała się do stołu przykrytego jedwabną czarno-czerwoną tkaniną. Dzieci były starannie ubrane na czarno i na białą. Dziewczynki miały czarne spódniczki i białe bluzeczki, a chłopcy czarne marynarki i białe spodnie. Wszystkie dzieci po podejściu do stołu wypijały jakiś płyn z dużego, lśniącego, złotego kielicha mszalnego. Dokładnie tak samo zachowywałyby się, przystępując do komunii, tyle że tutaj nie podawano im hostii i nie było księdza, a jedynie jakiś mężczyzna, który podchodził do stołu po każdym dziecku i, używając złotej chochli, uzupełniał kielich jakimś zielonkawym płynem.

Do stołu zbliżył się chłopiec, który został sfilmowany na początku taśmy. Wziął kielich w obie ręce i wypił jego zawartość do dna. Następnie odstawił kielich dokładnie w to miejsce, z którego go podniósł, i popatrzył prosto w obiektyw kamery. Oczy miał martwe, jakby dwie bliźniacze próżnie,

- 406

umieszczone w czaszce. Każda cząstka życia, inteligencji i osobowości, jaką emanował na wcześniejszych nagraniach, opuściła go na dobre i na zawsze. Chłopiec odszedł od stołu i w rzedzie dzieci wyszedł z hali, powoli, jakby z trudem. Zresztą wszystkie dzieci poruszały się w taki sam nienaturalny sposób.

Max wiedział, jaki płyn znajdował się w kielichu. Wiedział, co ten płyn robił z człowiekiem. Była

to mikstura o nazwie sok zombie.

Tak jak w filmach, zombie voodoo technicznie są żywymi trupami, tyle że nie są martwe naprawdę, lecz znajdują się w głębokim stanie katatonicznym. Są normalnymi ludźmi, ale zatrutymi miksturą, która całkowicie ich obozwładnia. Ich mózgi pracują. Są w pełni świadomi tego, co się wokół nich dzieje, ale nie mogą się ani poruszać, ani mówić. Można nawet odnieść wrażenie, że nie oddychają. Ich serca nie biją, nie można wyczuć pulsu. Po zakopaniu ich w ziemi jako martwych, czyli po normalnym pogrzebie, houngan lub bokor — zwykle osoba odpowiedzialna za ich stan — wykopuje ich i podaje im antidotum. Odzyskują wtedy świadomość, tyle że nie jako ludzie, którymi byli przed śmiercią, lecz niemal jako żyjące warzywa. Kapłan hipnotyzuje zombie i czyni ich swoimi niewolnikami — działającymi dla niego lub dla kogoś, kto mu płaci. Robią to, co im się każe.

Boukman wykorzystywał zombie.

Po chwili chłopiec znowu znajdował się w klasie szkolnej, teraz jednak jego oczy ledwie się poruszały, a twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Kamera zmieniła plan i pokazała kogoś, kto stał przed tablicą i mówił coś do klasy.

Była to Eloise Królak, dyrektorka Arki Noego.

— Ty pieprzona suko — wyszeptał Max.

Kiedy jej twarz stała się doskonale widoczna, zatrzymał taśmę. Rysy dyrektorki były bardzo ostre, surowe, przypominały pysk gryzonia.

407 -

Max wiedział już, że kolejne nagrania na taśmie będą już tylko gorsze.

Znów włączył odtwarzanie. Miał rację.

Kiedy taśma się skończyła, jeszcze długo siedział bez ruchu, wpatrując się w pusty ekran telewizora. Niezdolny był do żadnego działania. Przez chwilę nawet drżał, zupełnie nie panując nad swoim ciałem.

43

Max zastanawiał się, czy nie powiedzieć o taśmie Allainowi, jednak się z tym powstrzymał. Uznał, że najpierw powinien zebrać więcej dowodów.

Skopiował taśmę, zapakował oryginał razem z figurkami z domu Thodore'ow i pojechał do biura FedEx w Port-au--Prince.

Poinformował Joe'ego o swoich odkryciach. Poprosił go także, aby dowiedział się wszystkiego, co tylko zdoła, na temat Borisa Gaspésie.

Następnie pojechał do Arki Noego. Zaparkował samochód na ulicy i tak ustawił lusterko, by mógł widzieć wejście do Arki.

Wszedł na teren posesji i upewnił się, że Eloise Królak jest na miejscu. Zobaczył ją, jak przemawia do dzieci — w taki sam sposób, jak przemawiała do dzieci zombie na taśmie wideo. Powrócił myślami do tej kasety, do tych ohydnych rzeczy, które robiono dzieciom, wszystko filmując. Nagle zrobiło mu się niedobrze.

Wrócił do samochodu. Czekał, aż Eloise Królak wyjdzie na ulicę.

*

Po południu spadł deszcz.

Takiego deszczu Max jeszcze nigdy przedtem nie doświadczył. W Miami deszcz zwykle siąpił — czasami przez cały dzień, przez cały tydzień, a nawet przez cały cholerny miesiąc — jednak zazwyczaj po prostu wsiąkał w ziemię albo tworzył kałuże, które szybko z powrotem parowały w powietrze.

Na Haiti deszcz dosłownie atakował.

Niebo zrobiło się prawie czarne, a strugi wody nagle spadły z gęstych burzowych chmur i dosłownie zalały całe Port-au--Prince, podmywając miasto do samych fundamentów, w ciągu sekund zmieniając suchą jak pieprz ziemię w strumienie płynącego błota.

Rynsztoki na ulicach szybko się przelały i ich czarnobru-natna zawartość wypłynęła na wierzch. W domach dookoła zbiorniki na deszczówkę, umieszczone na dachach, szybko wypełniły się po brzegi, a niektóre — zardzewiałe — po prostu popękały i z hukiem pospadały na ziemię. Co chwilę

wyłączał się prąd. Deszcz zrywał liście z drzew, strącał z nich owoce, a nawet zdzierał korę. Zapadały się dachy. Zdezorientowani i spanikowani ludzie biegali bez celu, podobnie jak zwierzęta domowe, bydło i bezpieczne psy. Stworzenia wpadały na siebie i przewracały się. Wreszcie na ulice wyległy z nor obrzydliwe, wstrętne szczury. Były ich dosłownie całe setki, tysiące. Wielkimi grupami ruszyły w kierunku portu, tratując się i popiskując w ogromnym przerażeniu. Pioruny oświetlały miasto na długie sekundy, ukazując każdy szczegół zniszczonych, podtopionych ulic, którymi spływały śmieci, odchody i wszelkie możliwe robactwo. I znów zapadała ciemność, jakby to wszystko, co na chwilę oświetlały pioruny, było tylko iluzją.

I nagle deszcz przestał padać. Max obserwował, jak burza przenosi się nad ocean.

- 408 -

- 409 -

Eloise Królak wyszła z Arki Noego dopiero o osiemnastej trzydzieści. Przyjechał po nią srebrny mercedes z przyciemnionymi szybami.

Max jechał za mercedesem przez miasto, a później górską drogą w kierunku Petionville. Było już ciemno, a ruch na drogach bardzo duży.

Mercedes zwolnił, wlokąc się w kolumnie samochodów. Max znajdował się o cztery samochody za nim.

Droga w przeciwną stronę była niemal pusta. O tej porze prawie nikt nie jechał do stolicy.

Z wyjątkiem samochodów ONZ.

Wzdłuż korka samochodów przejechał konwój, zmierzający z przeciwnego kierunku: dwa dżipy, za nimi ciężarówka, za którą jechał kolejny dżip; jego pasażerowie oświetlali latarkami każdy pojazd, tkwiący w korku.

Promień światła przesunął się po twarzy Maksa. Detektyw patrzył prosto przed siebie, trzymając obie ręce na kierownicy.

Usłyszał, że dżip się zatrzymuje.

Ktoś zapukał w szybę jego samochodu.

Max nie miał przy sobie paszportu, a jedynie kartę AMERICAN EXPRESS w portfelu.

— Bonsoir, monsieur—powiedział do niego żołnierz ONZ. Miał błękitny hełm, mundur i białą młodą twarz. Zwracał się do Maksa po francusku.

— Mówi pan po angielsku? — zapytał Max. Żołnierz nie zareagował.

— Nazwisko? — zapytał po chwili.

Zanim jeszcze zdążył je wypowiedzieć, żołnierz wy dobył z kabury pistolet i wycelował mu w głowę.

Kazano mu wysiąść z samochodu. Kiedy to zrobił, natychmiast otoczyło go pół tuzina mężczyzn, celujących mu w głowę z karabinów. Podniósł ręce do góry. Jeden z mężczyzn szybko go przeszukał, odebrał mu broń i popchnął go w kierunku czekającej ciężarówki i dżipów. Max głośno krzyknął, że nic złego nie zrobił, i kazał mężczyznom zatelefonować do Allai-na Carvera albo do ambasady USA.

Poczuł, że coś wbija się w jego lewe przedramię i zobaczył strzykawkę. Ktoś naciskał tłoczek, zawartość strzykawki szybko przedostawała się do jego organizmu.

Wtedy zrozumiał: wreszcie miał się spotkać z Vincentem Paulem.

Zaczął się zastanawiać, jaką część Paul mu zabierze albo przerobi — w taki sposób, że już nigdy nie będzie sprawnie funkcjonować.

Powinien był mocno się martwić taką perspektywą, jednak nie dopuścił do tego narkotyki. Max niczego się już nie bał. Cokolwiek mu wstrzyknięto, podziałało doskonale.

- 410 -

Część czwarta

44

— Jak się pan czuje? — zapytał Maksa Vincent Paul, wskazawszy mu ruchem ręki, żeby zajął miejsce w fotelu naprzeciwko jego biurka.

Znajdowali się w gabinecie Paula. Działała tu klimatyzacja, wzdłuż ścian stały półki z książkami, a na ścianach wisiały fotografie w ramkach i jakieś flagi.

— Gdzie ja jestem? — zapytał Max ochrypłym głosem. Przez dwa dni przebywał w pomieszczeniu bez okien. W nim

właśnie się ocknął, kiedy narkotyk przestał działać. Początkowo wpadł w panikę, zaczął się uważnie oglądać i sprawdzać, czy niczego mu nie brakuje, czy nie ma żadnych ran albo bandaży. Stwierdził w końcu, że nic mu nie zrobiono. Na razie.

Miewał regularne odwiedziny. Przychodził do niego lekarz i pielęgniarka. W towarzystwie trzech uzbrojonych ochroniarzy sprawdzali stan jego zdrowia. Lekarz zadawał mu mnóstwo pytań. Mówił po angielsku z niemieckim akcentem. Nie chciał odpowiedzieć na żadne z pytań Maksa. Ostatnią wizytę złożył drugiego dnia.

Karmiono go trzy razy dziennie, codziennie otrzymywał aktualną amerykańską gazetę, w której nie było ani słowa na temat Haiti. W odbiorniku, który ustawiono przed łóżkiem, oglądał telewizję kablową. W dniu, w którym został zaprowadzony na spotkanie z Vincentem Paulem, ochroniarze ogolili mu zarost, zgolili włosy na głowie, po czym oddali mu jego własne ubranie — wyprane i wyprasowane.

- 413 -

— Proszę się uspokoić. Gdybym pragnął pańskiej śmierci, już wcześniej pozwoliłbym, żeby dzieciaki porozrywały pana na strzepy — powiedział Paul niskim, głębokim głosem, który aż odbił się rezonansem w trzewiach Maksa.

Paul miał bardzo ciemną karnację i oczy tak szeroko rozstawione, że kiedy padało na nie światło, sprawiały wrażenie piłeczek pingpongowych, lśniących jedynie odbitym blaskiem. Na twarzy pozbawionej zmarszczek brakowało jakichkolwiek znaków szczególnych. Wyglądał na dojrzałego mężczyznę, jednak z pewnością nie na mężczyznę w wieku, jaki już, zdaniem Maksa, osiągnął, czyli pięćdziesięciu lat. Miał łysą czaszkę, długi kształtny nos, duże szczęki, gęste brwi, krótką, grubą szyję. Jego ciało pozbawione było widocznego tłuszczu, składało się z samych mięśni, przywodząc Maksowi od razu na myśl Mike'a Tysona, korę drzewa mapou albo popiersie okrutnego tyрана z pretensjami do wielkości. Nawet siedząc, sprawiał imponujące wrażenie. Wszystko w nim było nadzwyczaj wielkie, niemal monumentalne.

— To nie perspektywa śmierci mnie martwi — odparł Max. — Boję się raczej o to, jaką część mojej osoby zechce pan pozostawić przy życiu.

Na zewnątrz nie zdradzał emocji, ale wewnątrz aż drżał w oczekiwaniu na to, co nieuchronne. Życie właściwie nie przygotowało go na coś takiego, na chwilę, gdy zostanie pojmany i zdany na łaskę i niełaskę wrogiego łajdaka. Nie miał najmniejszego pojęcia, co się z nim stanie za godzinę, ba, za minutę. Jeśli Paul dobierze się do niego i zamieni go w następnego Beesona, rozważał, nie daruje mu tego i całe życie, jakie mu pozostanie, poświęci na zemstę.

— Nie rozumiem. — Paul zmarszczył czoło.

Ręce, które kruszyły i rozrywały ludzkie wnętrzości, skrzyżował na brzuchu. Były nienormalne w swej grubości i budzące grozę wielkimi rozmiarami. I były wymanikiuro-wane. Paznokcie Paula wręcz lśniły.

- 414 -

— Tak załatwił pan jednego z moich poprzedników, że nie jest w stanie utrzymać w sobie gówna — powiedział Max.

— Nadal nie rozumiem — powtórzył Paul, trochę wolniej.

— Czy to nie pan, albo któryś z pańskich ludzi, rozciął Clyde'a Beesona na dwie części i poprzestawiał mu wnętrzości?

— Nie.

— A co z Haitańczykiem, który również pracował nad tą sprawą? Emmanuelem Michaelsem?

— Michel-Angelo... — poprawił go Paul.

— Właśnie.

— ...który został znaleziony w pobliżu doków, z własnym penisem w gardle i jajami w policzkach?

— To nie pan?

— Nie. — Paul potrząsnął przecząco głową. — Michelangelo pieprzył cudzą żonę. Zajął się nim zdradzany mąż.

— Cholera jasna! — zawołał Max instynktownie.

— Gdyby pan trochę popytał ludzi, wiedziałby pan, że jego śmierć nie miała nic wspólnego z Carverami.

— Oni o tym wiedzą?

— Dowiedzieliby się, gdyby się postarali.

— Skąd pan wie, że mordercą jest mąż?

— Sam się do tego przyznał. Zabił Michelangela w swojej sypialni, a żona wszystko obserwowała.

— Komu właściwie się przyznał?

— Narodom Zjednoczonym.

— I?

— I niby co?

— Aresztowali go?

— Jasne. Na tak długi czas, jaki był potrzebny, żeby mógł opowiedzieć, co zrobił. Potem go puścili. Prowadzi hotel i kasyno niedaleko Petionville. Dobrze mu się powodzi. Może pan z nim porozmawiać, jeśli pan zechce. Interes nazywa się „El Rodeo”, a facet — Frederick Davi.

415

— Co z jego żoną?

— Zostawiła go — odparł Paul. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, jednak oczy się śmiały. Max pytał dalej.

— Jasne. A Darwin Medd? Gdzie on jest? Zabił go pan?

— Nie. — Paul potrząsnął przecząco głową. Był wyraźnie zaskoczony. — Nie wiem, gdzie on jest. Dlaczego miałbym dążyć do jego śmierci?

— Mogłaby być ostrzeżeniem. Tak jak śmierć gwałcicieli z ONZ — powiedział Max odważnie, jednak miał sucho w ustach.

— To akurat nie było ostrzeżenie. To była kara. A od tego czasu okupanci nie dokonali już żadnego nowego gwałtu — stwierdził Paul i uśmiechnął się. — Wiedziałem, że jedzie pan za mną. Trudno było pana nie zauważyć. Dobre samochody na Haiti bardzo zwracają uwagę.

— Dlaczego pan nie zareagował?

— Nie mam przed panem nic do ukrycia — odparł Paul. — Niech mi pan opowie trochę więcej o swoich poprzednikach.

Max wszystko mu wyjaśnił. Paul wysłuchał go z widoczną uwagą.

— To nie ja, zapewniam pana—wyjaśnił wreszcie. — Mimo że z powodu Clyde'a Beesona wcale nie jest mi przykro. — Wsłuchawszy się uważniej w głos Paula, Max wyłowił w nim akcent bardziej angielski niż francuski. — Żałosne małe ścierwo. Zachłanny śmieć, nie wiadomo dlaczego chodzący na dwóch nogach.

Max zdołał się uśmiechnąć.

— A więc pan go spotkał?

— Obu ściągnąłem tutaj na przesłuchania.

— W taki sposób jak mnie?

Teraz Paul się uśmiechnął, jednak nie odpowiedział na pytanie. Miał piękne, białe i równe, proste zęby. Nagle przemienił się w czarującego mężczyznę, prawie chłopca, osobę, z którą chciałoby się robić wyłącznie dobre uczynki.

— Co panu powiedzieli?

— To, o czym powie i pan: jak postępuje śledztwo?

— Pan nie jest moim klientem — zauważył Max.

— Ile właściwie pan o mnie wie, Mingus?

— Wiem, że potrafi pan ze mnie wyciągnąć informacje torturami.

— Mamy więc ze sobą coś wspólnego. — Paul roześmiał się i wziął do ręki teczkę, która dotąd leżała na biurku. Na jej okładce widniało nazwisko Maksa, napisane dużymi drukowanymi literami.

— Co jeszcze?

— Jest pan głównym podejrzanym o porwanie Charliego Carvera.

— Pewni ludzie traktują moje nazwisko jak metaforę wszelkiego zła w tym kraju.
— Świadcowie widzieli pana na miejscu porwania.
— Byłem tam. — Paul pokiwał głową. — Ale co z tego?
— Widziano pana uciekającego z dzieckiem w ramionach.
— Kto panu to powiedział? Ta stara kobieta sprzed warsztatu szewskiego? — Paul zachichotał. — Jest ślepa. Tę samą bzdurę powiedziała Beesonowi i Meddowi. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę ją jeszcze raz odwiedzić, kiedy skończymy. Kobięcina trzyma szkielet zmarłego męża w szklanej urnie, naprzeciwko drzwi. Będąc u niej, na pewno odniósł pan wrażenie, że jest obserwowany.
— Dlaczego miałyby mnie okłamywać?
— Wszyscy tutaj okłamujemy białych ludzi. Niech pan nie bierze tego do siebie osobiście. Mamy to w genach. — Paul uśmiechnął się. — No i co jeszcze, pańskim zdaniem, wie pan o mnie?
— Jest pan prawdopodobnie baronem narkotykowym, poszukiwany jest pan w związku z zaginięciem w Anglii

- 416 -

- 417 -

pewnej kobiety i nienawidzi pan Carverow. Jak mi idzie do tej pory?

— Lepiej niż poprzednikom. Nie wiedzieli o Anglii. Rozumiem, że tę wiadomość uzyskał pan od przyjaciela... — Paul wyciągnął z teczki kilka kartek i przeglądał je, dopóki nie znalazł tej, której szukał. — Joe'ego Listona. W przeszłości bardzo wiele was łączyło, prawda? Na przykład wspólna służba, Born to Run, Eldon Burns czy Solomon Boukman. To dotyczy tylko waszych spraw zawodowych. Mam o was znacznie więcej informacji.

— Nie wątpię, że zdobył pan na nasz temat wszystko, co było do zdobycia. — Max nie był zaskoczony, że Paul go dokładnie prześwietlił, jednak usłyszawszy z jego ust nazwisko Joe'ego, zmartwił się.

Paul odłożył teczkę i popatrzył na fotografie stojące przed nim na biurku. Ich ramki były szerokie i grube, ale rozmiary — proporcjonalne do powierzchni biurka, obszernego, o grubym blacie ze lśniącego, twardego, ciemnego drewna. Wszystko, co znajdowało się na nim, zdawało się mieć rozmiary dwa razy większe niż się zazwyczaj widuje. Czarne wieczne pióro wyglądało jak gruba tuba do cygara, ogromny telefon można było pomylić z zabawką dla dziecka o wielkiej okrągłej tarczy i nadzwyczaj dużej słuchawce, porcelanowa filiżanka do kawy przypominała wazę do zupy, a stojąca na biurku lampa była największa, jaką Max kiedykolwiek widział. Wyglądała jak model lampy ulicznej, wykonany w dużej skali.

Przez długą chwilę obaj mężczyźni milczeli. Obserwowali się bacznie, Paul wygodnie rozparty w fotelu, daleko od światła lampy, tak że zniknęły nawet iskierki z jego oczu, przez co Max odnosił wrażenie, że spogląda w czeluść dwóch głębokich beczek.

Cisza przedłużała się, rozciągała się nad nimi coraz grubszym welonem. Do uszu Maksa nie dochodziły żadne odgłosy z zewnątrz. Gabinet prawdopodobnie był dźwiękoszczelny.

Z boku stała długa kanapa — szerokości jednoosobowego łóżka — ze stertą poduszek, ułożonych z jednej strony. Na podłodze obok leżała otwarta książka z grzbietem skierowanym ku górze. Max wyobraził sobie Paula, jak leży na tej kanapie i czyta, pochłonięty lekturą jednej z wielu książek, które miał na półkach.

Pokój bardziej przypominał muzeum niż biuro albo gabinet. Na jednej ze ścian wisiała w gablocie flaga Haiti — brudna i postrzępiona, z dziurą wypaloną w samym środku. Naprzeciwko niej wisiała ogromna czarno-biała fotografia wysokiego łysego mężczyzny w ciemnym prążkowanym garniturze, trzymającego za rękę małe dziecko. Spoglądali przed siebie — szczególnie dziecko — niemal takim samym powątpiewającym wzrokiem. W tle, za ich plecami, widać było niewyraźne kontury Pałacu Prezydenckiego.

— Pański ojciec? — Max wskazał na fotografię.

Po oczach poznał, że mężczyzna z fotografii i Paul są spokrewnieni, mimo że ojciec miał znacznie jaśniejszą skórę niż syn. Mógł uchodzić za kogoś, kto mieszka gdzieś nad Morzem Śródziemnym. — Tak. Wielki człowiek. Miał wizję tego kraju — odparł Paul, przeszywając Maksa wzrokiem, który ten na sobie poczuł, mimo że nie widział jego oczu.

Max wstał z krzesła i podszedł do fotografii, żeby przyjrzeć się jej lepiej. W twarzy ojca było coś bardzo znajomego. Vincent miał na sobie takie same ubranie jak ojciec. Żaden z nich się nie uśmiechał. Sprawiali wrażenie, jakby gdzieś się śpiesząc, w jakiejś ważnej sprawie, nagle zostali zatrzymani i tylko przez grzeczność zgodzili się pozować do zdjęcia.

Max był już pewien, że widział Perry'ego Paula wcześniej. Tak, widział go, nie miał wątpliwości. Wrócił na swoje miejsce przed biurkiem. W jego mózgu zaczęła się formować pewna myśl.

Odrzucił ją, uznał, że to niedorzeczność, ale zaraz do niego powróciła.

- 418 -

- 419 -

Vincent Paul przysunął się do biurka i uśmiechnął się, jakby czytał myśli Maksa. Wreszcie na jego oczy padło światło i Max mógł je znowu zobaczyć. Miały bladą kolor leszczyny z lekkim odcieniem pomarańczowym. Zaskakująco delikatne, ładne oczy.

— Powiem panu coś, czego nie powiedziałem poprzednim dwóm — odezwał się Vincent cichym głosem.

— Co takiego? — zapytał Max. Przez jego ciało przebiegła zimna fala oczekiwania.

— Jestem ojcem Charliego Carvera.

45

— Kobieta, którą zna pan jako Francescę Carver, kiedyś nazywała się Josephine Latimer — zaczął Vincent. — Fran-cesca to jej drugie imię. Reszta przyszła później. Spotkałem ją w Cambridge, w Anglii, na początku lat siedemdziesiątych. Studiowałem na miejscowym uniwersytecie. Josie mieszkała w mieście razem z rodzicami. Któregoś wieczoru poznałem ją w pubie. Usłyszałem ją, zanim ją zobaczyłem. Śmiała się, wypełniała śmiechem cały pub. Popatrzyłem na nią przez całą salę i zauważyłem, że także ona patrzy wprost na mnie. Była niewiarygodnie piękna.

Mówiąc, Vincent uśmiechnął się ciepło do swoich wspomnień. Odrobinę odchylił głowę do góry i spoglądał raczej na sufit niż na Maksa.

— A pan pomógł jej uciec z kraju, żeby nie poszła do więzienia za spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym i ucieczkę z miejsca zdarzenia. Wiem — przerwał mu Max. — Pytanie brzmi: dokąd udał się z nią facet, który ją uratował? Dokąd wyjechał z nią mężczyzna, który dla miłości porzucił całe dotychczasowe życie?

Pytanie wytrąciło Paula z równowagi.

— Wcale nie porzuciłem dotychczasowego życia — odparował.

— Czy dzisiaj postąpiłby pan tak samo?

— A pan nie? — Paul uśmiechnął się.

— Nigdy nie miałem takiego dylematu — odparł Max. — Dlaczego pan nienawidzi Carverów?

— Tylko Gustava.

— A czym różni się Allain, że go pan akceptuje?

— Nie jest swoim ojcem. Kiedy Josie i ja przybyliśmy na Haiti, udaliśmy się do mojego domu rodzinnego w Pétionvil-le. Moja rodzina żyła w dużej posiadłości na szczycie wzgórza. Dla bezpieczeństwa nikogo nie uprzedziłem, że przyjeżdżamy. Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, okazało się, że cała posiadłość, pięć dużych budynków — pamiętam, jak jeden z nich moja matka budowała praktycznie gołymi rękami — była już zrównana z ziemią przez buldożery, na rozkaz Gustava Carvera. Mój ojciec był mu winien pieniądze. Odebrał je właśnie w taki sposób.

— Rzeczywiście, radykalny sposób na odebranie długu.

— Carver miał w sobie skrajną niechęć do wszystkich potencjalnych rywali, do wszelkiego współzawodnictwa. Gdyby w tej sprawie chodziło o zwyczajny dług, jakich wiele powstaje wśród ludzi, którzy prowadzą interesy, uznałbym, że postąpił niemal „uczciwie”. Takie rzeczy często zdarzają się w biznesie i trudno coś na to poradzić. Ale tu nie chodziło o interesy, to była sprawa osobista. A w sprawach osobistych Carver zawsze idzie na całego i zawsze do samego końca.

— Co nastąpiło później?

— Powiem w skrócie: moja rodzina prowadziła bardzo intratne interesy w handlu międzynarodowym i budownictwie. Pewne produkty oferowaliśmy za ceny znacznie niższe niż robił to Carver, czasami nawet niższe o pięćdziesiąt procent i więcej. Ludzie przestali kupować u

niego i zaczęli przychodzić do nas. Planowaliśmy zbudować hotel dla pielgrzymów

- 420 -

- 421 -

przybywających do Saut d'Eau, do świętych wodospadów. Miał to być tani hotel, jednak wobec dużej frekwencji, jakiej się spodziewaliśmy, mogliśmy na nim zbić fortunę. Gustav Carver wściekł się. Tracił twarz i mnóstwo pieniędzy, a bardziej od perspektywy utraty pieniędzy człowiek nienawidzi tylko ludzi, na których rzecz je traci. W tajemnicy wykupił Banque Dessalines. Wzięliśmy tam pożyczkę, żeby rozwijać nasze interesy. Gustav kupił nasz dług i wezwał nas, żebyśmy go natychmiast spłacili. Nie mieliśmy gotówki, więc szybko doprowadził nas do bankructwa. Przejął projekt Saut d'Eau i dosłownie zabił nas finansowo, zrujnował reputację mojej rodziny, oczernił nazwisko Paul. Ale to mu nie wystarczyło. Po tym, jak obrócił nasz świat w gruzy, wie pan, co zrobił? Użył cegieł z naszej zrównanej z ziemią posiadłości do budowy swojego banku. Tego było już dla mojego ojca za wiele. Był bardzo dumnym mężczyzną, ale nie potrafił walczyć. Zastrzelił się.

— Jezu — westchnął Max. Jeśli Paul nie przesadzał, a nic na to nie wskazywało, jego nienawiść do Carvera była całkowicie zrozumiała. — Co z resztą rodziny?

— Mam jeszcze dwie siostry i brata. Wyjechali z tego kraju i raczej nigdy tutaj nie wrócą.

— Matka?

— Umarła w Miami tego samego dnia, którego tam do niej przyjechaliśmy. Na raka trzustki. Nawet nie wiedziałem, że była chora. Nikt mi nie powiedział.

— Ciotki, wujowie, kuzyni?

— Nie mam rodziny na Haiti. Poza moim synem, o ile tutaj jest.

— Ma pan jakichś przyjaciół?

— Prawdziwi przyjaciele to rzadki rarytas, nawet w najlepszych czasach, ale na Haiti, może poza ludźmi, którzy znają się nie przez całe życie, „przyjaciele” w kręgach osób mających majątek mają zwyczaj odwracać się plecami, kiedy instynktownie wyczują, że ktoś jest zrujnowany. Dla bogatych Haitańczyków gorszą rzeczą od nieposiadania pieniędzy jest ich posiadanie i utracenie. Od takich ludzi, którzy wszystko utracili, stroni się, jakby ich nieszczęście miało być zaraźliwe. Poprosiłem jednego z „przyjaciół” ojca o pomoc; chciałem gdzieś zamieszkać i uzyskać od niego małą pożyczkę, którą bym spłacił, stanąwszy na nogi. W przeszłości mój ojciec kilkakrotnie pomagał ludziom w taki sposób. Człowiek ten odmówił, oświadczył, że jakkolwiek pomoc dla mnie byłaby zbyt wielkim ryzykiem — powiedział Paul gorzko.

Max dosłownie widział emanujący od niego wstręt. Paul był osobą, która zbierała urazy i karmiła nimi swoje nienawiści; było to najbardziej mroczne paliwo stymulujące do działania, jakie można było sobie wyobrazić. Ludzie tacy jak on — zdradzeni, kopnięci prosto w szczękę, dźgnięci nożem w plecy, spisani na straty — albo miewali później wspaniałe osiągnięcia, albo stawali się najbardziej ponurymi typami.

— Co więc pan zrobił, zobaczywszy, co się stało z rodzinną posiadłością? Miał pan wtedy jeszcze jakieś pieniądze?

— Nie. Ani centa. — Paul roześmiał się. — Miałem jedynie moją nianię, Anais. Traktowała mnie jak syna. Opiekowała się mną od dnia, w którym się urodziłem. Pomogła mi nawet w przyjściu na świat. Byliśmy sobie tak bliscy, że czasami gotów byłem przysięgać, iż to ona jest moją prawdziwą matką. Znając mojego ojca, wcale bym się nie zdziwił. On i dziadek bynajmniej nie byli wielkimi zwolennikami monogamii. Anais zabrała nas do siebie. Mieszkała w małym domku w La Saline. Wszyscy spaliśmy i jedliśmy w tym samym pokoju, myśleliśmy się w zlewie przy drzwiach. Było to życie, jakie już wcześniej widywałem, ale nie przypuszczałem, że zaznam go osobiście. A jeśli chodzi o Josie... Cóż, przeżyła poważny szok kulturowy, ale mawiała, że w angielskim więzieniu i tak było gorzej.

— Nigdy nie myślał pan o powrocie do Anglii?

I

I

- 422 -

- 423 -

— Nie.

— A ona?

Paul wyprostował się i przysunął fotel bliżej biurka.

— Nie zamierzałem dopuścić, by kobieta, którą kocham, wróciła do piekła. Miałem dość argumentów i siły, żeby jej na to nie pozwolić.

— I wszedł pan na drogę przestępstwa, żeby czynić dobro? Przynajmniej jest pan w tej postawie konsekwentny.

— A co innego mogłem zrobić? Ale rozumiem, dlaczego pan tak postawił sprawę. Był pan przecież gliniarzem...

— Nie — przerwał mu Max. — Ta kobieta kogoś zabiła, ponieważ usiadła po pijanemu za kierownicą. Nie była świętą osobą. Nie miała prawa tak się zachować. Wie pan to tak samo dobrze jak ja. Niech pan tylko pomyśli o rodzinie jej ofiary albo niech pan sobie wyobrazi, że to pan oplakuje kogoś, kto zginął, zabity przez pijanego kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku. Widziałby pan całą sprawę zupełnie inaczej niż teraz, proszę mi wierzyć.

— A myśli pan czasami o rodzinach tych trojga dzieciaków, które pan zabił? — zapytał Vincent lodowato.

— Nie, nie myślę — odpowiedział Max przez zaciśnięte zęby. — A wie pan, dlaczego? Ponieważ te „dzieciaki” dla zabawy torturowały i zgwałciły małą dziewczynkę. Wiem, że były naćpa-ne niemal do nieprzytomności, ale większość ćpunów nie postępuje z ludźmi w ten sposób. Te gnoje nie zasługiwały na to, żeby dalej żyć. Tymczasem człowiek, którego zabiła Francesca, to zupełnie inna para kaloszy i pan dobrze o tym wie.

Vincent przysunął się do brzegu biurka, połączył dłonie i oparł łokcie na blacie. Max znów zobaczył jego rozbijające ładne oczy.

Obaj milczeli. Max wytrzymał spojrzenie Vincenta przez czas, który zdawał się nie mieć końca.

Wreszcie wielki człowiek odwrócił wzrok, a Max przystąpił do zadawania kolejnych pytań.

Czy ktokolwiek szukał pana na wyspie? Jacyś gliniarze :

— Nie miałem wtedy o tym pojęcia, jednak szukając mnie, musieli tu dotrzeć, było to tylko kwestią czasu. Przez półtora roku mieszkaliśmy w La Saline. Byliśmy tam bezpieczni. To takie miejsce, którego się nie odwiedza, o ile się w nim nie mieszka, nie ma się kogoś znajomego, dobrze uzbrojonej ochrony albo po prostu nie chce się popełnić samobójstwa. Tak jest tam zresztą do tej pory.

— Jak odnosili się do was ludzie z La Saline?

— Wspaniale. Zaakceptowali nas. Dla nich Josie mogła przybyć nawet z kosmosu; przez cały czas, jaki tam spędziliśmy, nikt nie zadał nam żadnego kłopotliwego pytania. Żeby zarobić na życie, zaczęliśmy pracować na miejscowej stacji benzynowej. Skończyliśmy jako jej menedżerowie. Wprowadziliśmy na niej mnóstwo innowacji i nowych usług. Otworzyliśmy małą restaurację, myjnię, punkt naprawy samochodów i niewielki sklepik. Anais zajmowała się restauracją, a Josie sklepem. Rozjaśniła swoje brązowe włosy. Zatrudniałem wyłącznie ludzi z La Saline. Musieliśmy płacić za ochronę dwóm ludziom z Macoute — Eddiemu Faustinowi i jego nastoletniemu bratu, Salazarowi. Szybko się zorientowałem, że Eddie ma wielką chrapkę na Josie. Przyłąził do sklepu codziennie, zawsze coś jej przynosił, starał się bywać u niej wtedy, kiedy ja akurat wyjeżdżałem po towar. Nigdy nie przyjmowała jego prezentów, była jednak miła, starała się go nie urazić.

— Co pan z tym zrobił?

— A co mogłem zrobić? Praktycznie nic. Eddie był facetem z Macoute. Ludzie w kraju mało kogo się tak obawiali jak właśnie jego.

— Chyba się pan wściekał z powodu tej słabości Eddie-go?

— Oczywiście. — Vincent popatrzył na Maksa badawczo, starając się dociec, do czego zmierza.

- 424 -

- 425 -

A Max chciał go po prostu wyprowadzić z równowagi.

— Niech pan mówi dalej.

— Interes szedł dobrze. Dwa lata po powrocie na wyspę wyprowadziliśmy się z La Saline i kupiliśmy mały dom w mieście. Byłem przekonany, że jesteśmy już w miarę bezpieczni. Nikt za nami nie węszył. Mogliśmy trochę odetchnąć. Josie doskonale dostosowała się do warunków życia na Haiti. Właściwie wcale nie tęskniła za domem rodzinnym, ale, oczywiście, brakowało jej rodziców. Nie mogła wysłać im nawet pocztówki, aby ich poinformować, że dobrze się jej wiedzie, ale rozumiała, że jest to cena, jaką musi zapłacić za wolność. Sprawy zaczęły toczyć się źle, kiedy na stacji zatrzymał się Gustav Carver. Chciał zatankować benzynę, a ja odmówiłem obsłużenia jego samochodu. Wtedy wysiadł z niego kierowca, wyciągnął pistolet i rozkazał mi, żebym jednak zatankował. Oczywiście, w tej samej sekundzie, w której to zrobił, on i jego auto zostali otoczeni przez wszystkich mężczyzn, jacy znajdowali się w pobliżu. Było ich ze dwudziestu, wszyscy z bronią palną lub co najmniej maczetami i nożami. Gdybym rzekł jedno słowo, bez mrugnięcia okiem zabiliby i kierowcę, i starego Carvera, ale uznałem, że nie ma lepszej kary niż poniżenie dumnego człowieka w obecności syna tego, którego życie doszczętnie zniszczył. Muszę panu powiedzieć, że poczułem się wręcz słodko. Odebrałem broń kierowcy i powiedziałem mu oraz jego szefowi, żeby spieprzali z mojej stacji. Kierowca musiał pchać samochód całe trzy mile, w pełnym słońcu, do najbliższej stacji. Wtedy nie było jeszcze telefonów komórkowych i nie mógł wezwać pomocy. Carver spoglądał na mnie przez szybę samochodu, jakby chciał mnie zabić. W pewnej chwili zobaczył jednak Josie i wyraz jego twarzy się zmienił. Uśmiechnął się do niej, ale w gruncie rzeczy ten uśmiech przeznaczony był dla mnie. Nie wiem, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym napełnił bak samochodu i Carver by nim spokojnie odjechał. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł kłaniać się draniowi w pas. Nigdy w taki sposób nie żyłem i nie postępowałem. Gdybym tak zrobił, przecież z równym powodzeniem mógłbym być tym, który sam zrównuje z ziemią rodzinną posiadłość. Przez cały dzień i przez dzień następny spodziewałem się najgorszego, wyobrażałem sobie, że w każdej chwili mogą przyjechać samochody z ludźmi z Macoute. Vincent urwał i popatrzył na swoją wspólną fotografię z ojcem. Twarz miał ściętą, usta zaciśnięte, szczękę nieruchomą. Bardzo się starał, żeby nie wybuchnąć — albo żalem, albo wściekłością, tego Max nie był w stanie określić. Wątpił, czy w ciągu ostatnich kilkunastu lat Paul się przed kimś tak otworzył jak dzisiaj przed nim. Teraz emocje, które gromadził w sobie niczym w zamkniętej butelce, groziły potężną eksplozją.

— Wszystko w porządku, Vincent — powiedział Max cicho.

Paul kilkakrotnie głęboko odetchnął, odzyskał panowanie nad sobą i kontynuował:

— Kilka tygodni później Josie nagle zniknęła. Ktoś mi powiedział, że wsiadła do samochodu, który prowadził Eddie Faustin. Wysłałem na poszukiwania mnóstwo ludzi, jednak nie potrafili jej znaleźć. Pojechałem więc do domu Faustina. Nie było ich tam. Szukałem dalej, przeczesałem całe miasto, zajrzałem w każde miejsce, w którym bywał Faustin. Nigdzie nie było śladu ani po nim, ani po Josie. Ale kiedy wróciłem do domu, był tam już Gustav Carver. Siedział w środku, w salonie. Po incydencie na stacji benzynowej zaczął szukać na mnie haków. Razem z nim było więc dwoje detektywów ze Scotland Yardu, którzy mieli kopie akt policyjnych Josie i mnóstwo angielskich gazet z informacjami na pierwszej stronie o tym, jakiego przestępstwa dopuściła się dziewczyna i w jaki sposób uciekła z kraju. Niektóre gazety twierdziły, że ją porwałem, były w nich rysunki, na których wyglądałem jak King Kong. Carver twierdził, że jestem nawet podobny. Powiedział mi, że odbył

- 426 -

- 427 -

z Josie długą rozmowę, że zrozumiała swoje trudne położenie i że zgodziła się na jego warunki. W sumie jednak wszystko miało zależeć ode mnie, tak powiedział. Jeśli się nie zgodzę, detektywi zabiorą Josie i mnie do Anglii. Jeśli jednak wyrażę zgodę na proponowane przez niego porozumienie, detektywi wrócą do Anglii i powiedzą tam, że na Haiti nas nie ma.

— Na co miał pan się zgodzić? Zrezygnować z Josie?

— Tak. Chciał jej dla swojego syna, Allaina. Miała być z nim do końca życia, urodzić mu dzieci i

nigdy, pod żadnym pozorem, ze mną się nie kontaktować. I tyle. Ja miałem pozostać wolnym człowiekiem, o ile nie próbowałbym spotykać się z nią ani nawiązywać kontaktu w jakikolwiek inny sposób. Aha, i miałem osobiście tankować samochód Carvera, kiedy tylko pojawiałyby się na mojej stacji.

— I zgodził się pan?

— Nie miałem wyboru. Gustav odesłałby mnie zapewne do Anglii, a Josie zatrzymałby na Haiti. W końcu moje pozostanie w kraju znaczyło, że będę i tak blisko niej.

— Nie rozumiem tego — powiedział Max. — Carver zniszczył pańskiego ojca i wszystko, co zdołała zbudować pana rodzina. Dlaczego nie zdecydował się na zlikwidowanie również pana?

— Najwyraźniej nie rozumie pan tego człowieka, Mingus. — Vincent zaśmiał się chrapliwie. — Był pan w jego domu? Widział pan psalm? Na pewno pan widział psalm, zapisany złotymi literami obok portretu jego zmarłej żony. To Psalm 23, werset 5.

— Tak, widziałem.

— Czytał go pan?

— Cóż, znam go. „Stół dla mnie zastawiasz, wobec mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity”. To fragment sławnego Psalmu Pan jest moim Pasterzem. No i co z tego?

— Rozumiem, że na LR nie szło panu zbyt dobrze.

— LR?

— Mam na myśli lekcje religii. Przepraszam, pan pewnie nazywa to „studiami biblijnymi” czy jakoś tak.

— Miałem całkiem dobre oceny.

— Znaczenie Psalmu 23, wersetu 5, jest następujące: w dawnych czasach najlepszą formą zemsty na wrogu nie było jego uśmiercenie albo uwięzienie, lecz zmuszenie go do obserwowania, że żyjesz lepiej od niego i dobrze się bawisz. Bo w końcu czy to nie własny sukces jest największym triumfem nad tymi, którzy cię nienawidzą i życzą ci wszystkiego najgorszego?

Max bardzo starał się zachować obiektywizm, neutralność, a nawet pozostawać po stronie własnego klienta, jednak to, co mówił Paul, w połączeniu z rzeczami, które słyszał i czytał na temat Gustava Carvera, skłaniało go, do porzucenia zawodowej skorupy.

— Zatem Gustav chciał, żeby pan tu został i patrzył, jak Allain prowadzi się z miłością pańskiego życia?

— Teoretycznie rzecz biorąc, tak. — Vincent zachichotał. — Ale... technicznie, nie.

— Nie rozumiem.

— Ona w żadnym wypadku nie prowadziła się, jak pan to ujął, z Allainem.

— Ale myślałem... — Max urwał. Zagubił się.

— Jakim pan jest detektywem? Myślałem, że jest pan dobry, ba, najlepszy!

Max przemilczał tę uwagę.

— Czy mam rozumieć, że pan naprawdę niczego nie zauważył? — Vincent mocno się powstrzymywał, żeby nie wybuchnąć śmiechem. — Niczego pan w Allainie nie dostrzegł?

— Nie. A powinienem?

— Całe życie spędził pan w Miami, siedem lat siedział pan w więzieniu i na milę nie potrafi pan wyczuć cioty?

— Allain?

Max znów był całkowicie zaskoczony. Znowu usłyszał coś, czego się absolutnie nie spodziewał. Zazwyczaj bez trudu od-

- 428 -

- 429 -

gadywał, jakiej orientacji seksualnej są ludzie, z którymi się stykał. W Ameryce, a szczególnie w Miami, nie było to trudne, bo nikt się z tym specjalnie nie krył. Nie mógł uwierzyć, że tym razem niczego nie zauważył.

— Tak, Allain Carver jest homoseksualistą, gejem, massis-si, jak mówimy na Haiti. W gruncie rzeczy, Mingus, specjalnie się nie dziwię, że pan nie dojrzał w nim niczego nadzwyczajnego. Jeśli

chodzi o „te” sprawy, Allain jest bardzo dyskretny. Plotki na jego temat krążyły od wielu lat, ale nikt nie miał dowodów. Nigdy nie pokazuje się z mężczyznami na swoich własnych śmieciach. Wyjeżdża na długie weekendy do Miami, San Francisco albo do Nowego Jorku. Tam robi swoje, a tutaj jest spokojny.

— Skąd pan wie?

— Mam fotografie, a nawet nagrania na wideo. Zdobył je dla mnie Clyde Beeson. Zatrudniłem go, anonimowo, poprzez podstawioną osobę, jakieś trzy lata temu. W gruncie rzeczy to pan mi go rekomendował.

— Ja?

— Nie pamięta pan? Cóż, właściwie się nie dziwię. Był pan pierwszy, któremu oferowałem tę robotę, jednak odpowiedział mi pan dokładnie tak: „Nie łowię gówień po toaletach. Idź z tym do Clyde'a Beesona. Niewykluczone, że przyjmie to zlecenie za darmo”.

— Cóż, nie zaprzeczę, byłbym zdolny do takich słów. Proponowano mi wiele podobnych robótek, głównie w związku z rozwodami, ale ja nie angażuję się w takie sprawy — powiedział Max. Kręciło mu się w głowie. — Rozumiem więc, że moje pojawienie się tutaj ma związek z tamtą odmową?

— Do kwadratu! Wie pan, co tutaj mówi się o gejach? „Na Haiti nie ma żadnego. Wszyscy poślubili dzieciaki”. Tak jest zresztą na całych Karaibach. Homoseksualizm uważa się za perwersję, za grzech.

— Biedny Allain — westchnął Max. — Wszystkie jego pie-

- 430 -

niądze, wpływy, status, pozycja nic nie dają. Przez cały czas musi udawać kogoś, kim nie jest.

— Nie jest złym człowiekiem — przyznał Vincent. — W gruncie rzeczy, wręcz przeciwnie.

— Dlaczego więc postarał się pan o te fotografie?

— Aby go zbrukać. Zamierzałem umieścić je w haitańskich gazetach.

— W jakim celu?

— Miałem dwa. Po pierwsze, chciałem oswobodzić Allai-na, uwolnić go od sekretu. Po drugie, chciałem się zemścić na Gustavie, postawić go w trudnej sytuacji. Wszystko dobrze zgrywałem w czasie; stary był w fatalnej sytuacji. Baby Doc stracił władzę, żona Gustava umierała, on sam też miał wielkie kłopoty ze zdrowiem... Pomyślałem, że małe publiczne upokorzenie sprawi, że nie wytrzyma... Rozumie pan, chciałem go zabić, ale śmierć miała nastąpić z przyczyn naturalnych.

— Dlaczego pan tego nie przeprowadził?

— Nie mogłem tego zrobić Allainowi, nie byłem w stanie wykorzystać jego orientacji seksualnej, podeptać go, żeby dopaść jego ojca.

— Prawdziwy z pana człowiek honoru — stwierdził Max z sarkazmem. — Bóg wie, że ma pan powód, żeby Gustava nienawidzić, a ja nawet ten powód doskonale rozumiem. Dlaczego jednak, skoro aż tak pan go nienawidzi, po prostu pan drania nie zastrzelił?

— Raz nawet strzeliłem, a dwukrotnie musiałem w ostatniej chwili rezygnować.

— Próbował pan go zastrzelić?

— Eddie Faustin zatrzymał kulę.

— To pan? Wszystko jasne. — Max pokiwał głową. — A więc Gustav doprowadził do małżeństwa Allaina z Francescą, żeby ukrócić plotki?

— Tak — skinął głową Vincent. — I...

- 431 -

— I?

— Gustav potrzebował jej nie tylko do tego. Potrzebował jej także dla siebie i bynajmniej nie chodziło o seks. Miała być klaczą rozplodową. Desperacko pragnął, żeby mu urodziła wnuka. Miał jedynie wnuczki, a jest na tyle zacofany, że wierzy, iż mężczyźni są lepszymi przywódcami. Przez prawie dziesięć lat starał się ją zapłodnić. Ich spotkania określał jako „przyjmowanie depozytu”. — Vincent roześmiał się gorzko. — Josie dwukrotnie poroniła, raz urodziła martwe dziecko i raz dziewczynkę, która przeżyła zaledwie sześć miesięcy. Nie urodziła jednak syna. Znowu zacząłem się z nią spotykać pod koniec lat osiemdziesiątych. Kiedy zaszła w ciążę i nosiła w brzuchu

Charliego, Gustav myślał, że to jego dziecko, ludzie uważali, że to dziecko Allaina, a ja wiedziałem, że to dziecko moje i Josie. Poza tym dysponuję wynikami testu na ustalenie ojcostwa. Wówczas już Josie prawie nie sypiała z Gustavem. Zdołała ograniczyć wspólne noce do tych, kiedy jakoby przechodziła owulację, jednak okłamywała go, dzięki czemu Gustav brał ją albo za wcześnie, albo za późno, dosłownie. Urodziła Charliego w Miami. Był tam z nią Allain. Jeśli chce pan wiedzieć, oboje są dobrymi przyjaciółmi. Allain pomógł jej przetrwać pierwsze lata w tej rodzinie. Z jego punktu widzenia znajdowali się na tej samej łodzi, tyle że na jej przeciwnych końcach.

Max głęboko westchnął.

— Dlaczego opowiada mi pan o tym właśnie teraz? Dlaczego nie wcześniej ?

— Bo właśnie teraz. Czas i miejsce są doskonałe.

— Dlaczego nie powiedział pan tego Beesonowi albo Me-ddowi?

— Beesonowi nie ufałem. Medd... Myślę, że nie był dość dobrym detektywem.

— Zatem dopiero ja spełniam pańskie standardy?

— W stu procentach.

- 432 -

— Dzięki — mruknął Max z sarkazmem, ale całkowicie zgadzał się z Paulem. Wiedział przecież, że w swoim zawodzie jest bardzo dobry.

Chociaż już nie tak dobry jak kiedyś. A może w rzeczywistości nigdy nie był bardzo dobry, a jedynie przez długi czas miał po prostu wielkie szczęście, polegające na tym, że przestępcy, z którymi się stykał, byli nieuważni i niestaranni?

Odłożył wątpliwości na bok. Uznał, że będzie mógł do nich powrócić później, po pewnym czasie.

— Jakiego rodzaju były właściwie pana relacje z synem?

— Widywałem Charliego raz w tygodniu.

— Kto mu wybrał imię?

— Nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia — stwierdził Paul ze smutkiem.

Max postanowił wykorzystać chwilę słabości Paula, żeby wyjaśnić coś, co nie dawało mu spokoju od pierwszego wieczoru, który spędził w tym kraju.

— Co właściwie dolega Charliemu? — zapytał.

— Jest dzieckiem autystycznym — odparł Paul cichym głosem.

— Niesłychane — powiedział Max z niedowierzaniem.

— To wielkie wyzwanie. Dla nas i dla niego. — W głosie Paula można było usłyszeć ból.

— Ale po co ten sekret?

— Gustav Carver o niczym nie wie. I nie ma wiedzieć.

— A Beeson i Medd się dowiedzieli?

— Nie. — Paul potrząsnął przecząco głową.

— Kiedy dowiedział się pan, że Charlie jest dzieckiem autystycznym?

— Oboje z Josie wiedzieliśmy, że jest z nim coś niedobrze, praktycznie od momentu, kiedy zaczął chodzić. Nie był tak komunikatywny, jak inne dzieci w jego wieku.

— Jak się pan poczuł, dowiedziawszy się o tym? Kiedy już pan wiedział na pewno...

433 -

— Oboje byliśmy początkowo zszokowani i zdezorientowani, ale...

— Pytałem, jak pan się poczuł.

— Z początku źle. Ponieważ zrozumiałem, że nie będę mógł z moim synem robić wielu rzeczy, jakie są dane innym ojcom.

— Głos Paula odrobinę się załamał. — Ale cóż, takie jest życie. Nie wszystko zależy w nim od nas samych. Charlie to mój chłopak, mój syn. Kocham go i tyle.

— Jak się panu udało utrzymać wszystko w tajemnicy przed Gustavem Carverem?

— Dzięki dużej dozie szczęścia i odrobinie sprytu. On już także nie jest takim mężczyzną, jakim był kiedyś. Zawał trochę osłabił jego głowę. Ale jedno muszę mu oddać: kocha mojego syna każdą uncją swojego starczego ciała. Oczywiście, nie wie, że Charlie nie jest jego dzieckiem i nie wie nic o autyzmie. Jednak obserwując ich, kiedy są razem, można się naprawdę mocno wzruszyć. Stary

uczył Charliego chodzić. Josie pokazała mi wideo z taką scenką i stwierdziła, że to niemal wstyd, że to nie jest jego dziecko. Powiedziała, że chłopak sprawił, iż Gustav stał się miłszym człowiekiem. Nie wierzę jej. Gdyby znał prawdę o Charliem, zatłukłby go gołymi rękami.

— Skoro tak sprawa wygląda, dlaczego Francesca — Josie

— i Charlie nie mieszkają już z panem?

— Josie nie chciała, żeby Charlie rósł w moim środowisku. I ma rację. Prawdopodobnie pewnego dnia znajdzie się ktoś, kto gwałtownie zdmuchnie moją świeczkę, Mingus. Mam pełną tego świadomość. I nie chcę, żeby dwoje ludzi, których kocham nad życie, znalazło się nagle w zawieszeniu.

— Dlaczego pan nie zostawi Haiti, nie wyjedzie stąd?

— Życia, jakie tutaj prowadzę, żaden człowiek nie może pozostawić ot tak, w dowolnej chwili. To ono rezygnuje z człowieka.

— Prawda — przyznał Max. — A zatem do czego pan zmierza?

— Chcę przede wszystkim odzyskać Josie. Wybrałem najszybszą ścieżkę do osiągnięcia władzy i pieniędzy, potrzebnych dla błyskawicznego przejęcia wszystkich interesów Carvera, kiedy tylko przyjdzie na to właściwy moment. Przyjrzałem się sposobom szmuglowania przez haitańskich żołnierzy kokainy kolumbijskich karteli. Dowiedziałem się, w jaki sposób wwożą ją do kraju i wywożą z niego i dostrzegłem możliwości poprawienia tego procesu. Tylko tyle panu powiem.

— Nie było innego sposobu?

— Aby zarobić miliard dolarów na Haiti w ciągu dwudziestu lat? Nie.

— Muszę przyznać, że motywy, jakie panem kierują, są oryginalne. Dwadzieścia razy na dziesięć, kiedy jakiś niedoszły król kokainy spowiada się na policji, dlaczego wszedł w ten interes, słyszy się, że to z powodu sąsiedztwa, w jakim się obracał, albo że nie miał innych możliwości zarabiania pieniędzy, albo że z powodu matki prostytutki, która nie miała żadnego szacunku dla własnej dupy. Zawsze znajdują jakieś socjalno-ekonomiczne powody, ble-ble-ble. Pan jednak opowiedział mi, że zajął się handlem narkotykami z miłości. — Max zarżał śmiechem. — Niewiarygodna bzdura, Vincent. Tak bardzo niewiarygodna, że ja w nią wierzę!

— Cieszę się, że jest pan w stanie jeszcze dowcipkować. — Vincent zmierzył Maksa długim, przenikliwym spojrzeniem. Na jego ustach pojawiło się coś podobnego do uśmiechu. — Dziś wieczorem przeniosę pana z powrotem do haitańskiego świata. Jeśli Allain zapyta, gdzie pan przebywał przez dwa dni, nie powie mu pan, że ze mną, jasne?

— Jasne.

— To dobrze. Możemy sobie jeszcze trochę porozmawiać.

- 434 -

- 435 -

46

Zasłonięto mu oczy i wsadzono na tylne siedzenie samochodu terenowego. Podróż do Pétionville zabrała trochę czasu i prowadziła w większości w dół, co doprowadziło Maksa do wniosku, że kryjówka Paula znajduje się w górach. W samochodzie jechało oprócz niego jeszcze dwóch ludzi — Vincent Paul i kierowca. Rozmawiali ze sobą po kreolsku i od czasu do czasu wybuchali śmiechem.

Max powtarzał sobie w myślach rozmowę z Paulem, począwszy od prawdy o tym, kto rzeczywiście jest ojcem Char-liego. Usłyszawszy tę informację, przeżył szok, z którego się nie otrząsnął. Po obejrzeniu fotografii, na której zobaczył Vincenta z jego własnym ojcem, nie wątpił już, że to prawda. Charlie wyglądał na swoim zdjęciu na trochę młodszego Vincenta, ale też miał w sobie wiele z dziadka ze strony ojca — te same oczy, taki sam wyraz twarzy, podobną postawę. Paul zdążył mu pokazać album z rodzinnymi fotografiami, sięgającymi aż po lata dziewięćdziesiąte XIX wieku. Wszystkie twarze na tych zdjęciach posiadały przynajmniej śladowe elementy fizjonomii zaginionego chłopca. Wszyscy krewni Paula byli biali lub żółtawi, aż po jego czarną babcie. Wyjaśnił Maksowi, że w tej sytuacji fakt, iż Charlie miał białą skórę, wcale nie był czymś niespotykanym na Haiti, jeśli wziąć pod uwagę, że krew całego narodu uległa w ciągu ostatnich wieków całkowitemu przemieszeniu. Max pomyślał o Eloise Królak i niebieskookich, europejskich

potomkach polskich żołnierzy, zamieszkujących aż dotąd w mieście Jérémie. Żeby formalności stało się zadość, Paul pokazał Maksowi egzemplarz testu na ustalenie ojcostwa Charliego. Długo rozmawiali na temat poszukiwań chłopca. Paul opowiedział Maksowi, że był w miejscu, z którego porwano Charliego. Dosłownie pędził tam, ale zdążył jedynie zobaczyć, jak tłum wywleka Faustina z samochodu, dźga go nożami i bije

436

na śmierć. Widział, jak rozwścieczeni ludzie ucinają mu głowę, nadziewają ją na kij i, tańcząc, idą z trofeum do slumsów. Charliego nigdzie nie było. Nikt nie widział, jak zabierano go z samochodu, ale też nikt nie zauważył, w jaki sposób Fran-cesca o własnych siłach zdołała się z niego wywlec i odejść spory kawałek. Paul zgadywał, że kobieta tuliła chłopca do siebie tak mocno, iż porywacze musieli najpierw wyciągnąć z samochodu ich oboje i dopiero później oderwać dziecko od matki. Nikt tego nie widział, widziano na drodze już jedynie samotną Francescę.

Paul zaczął sprawdzać Faustina. Pojechał do Saut d'Eau i rozmawiał z Mercedes Leballec, był też w jego domu w Port--au-Prince. Znalazł vévé, ale nic więcej. Ślad się urwał. Był pewien, że Charlie nie żyje. Pomyślał, że chłopca porwał któryś z wielu wrogów Gustava i przemycił go z kraju przez Republikę Dominikany. Badał taką możliwość, jednak do niczego nie doszedł.

Rozmawiali też o Claudette Thodore. Paul nie sądził, by te dwa porwania były ze sobą powiązane. Max opowiedział mu o swoich odkryciach, ale nie o wszystkich. Przemilczał sprawę kasyty wideo i potencjalnych związków Arki Noego z porwaniami. Nie wspomniał, do jakich wniosków doszedł po obejrzeniu kasyty — że haitańskie dzieci są porywane, że urządza się im pranie mózgow, a potem przekształca się je w seksualne zabawki dla zagranicznych pedofilów.

Paul wiedział, że Max śledził kogoś z Arki Noego, jednak nie orientował się kogo. Max mu nie powiedział, ponieważ nie miał żadnych dowodów, które by potwierdzały jego podejrzenia. Paul zgodził się, aby dokończył swoje śledztwo, i zaoferował mu pomoc, kiedy tylko będzie jej potrzebował.

437 -

Opaskę zdjęto mu z oczu na przedmieściach Petionville. Samochód terenowy, którym jechał, znajdował się w środku konwoju, pomiędzy wojskowym dżipem z oznaczeniami ONZ i jego własnym landcruiserem.

W zapadającym zmroku zaczął spoglądać na mijane ulice. Zbliżało się Boże Narodzenie, jednak nie jeszcze tego nie zwiastowało. Na ulicach brakowało Świętych Mikołajów, nie było świątecznych drzewek ani jakichkolwiek ozdób. Właściwie mogła to być zupełnie dowolna pora roku. Maksowi przyszło do głowy pytanie, jak wyglądało Haiti, zanim popadło w kłopoty, w bardziej spokojnych czasach. Czy kiedykolwiek było tutaj spokojnie? Zaczynał trochę kibicować temu krajowi, chciał wiedzieć o nim jak najwięcej, chciał zrozumieć, jakim sposobem wydaje takich ludzi jak Paul, którego z trudem, ale zaczynał szanować — potępiając jego metody, ale popierając intencje i nawet rozumiejąc powody, dla których znalazł się na szczycie szczególnego biznesu. Czy on sam obrałby taką drogę, gdyby znalazł się na miejscu Paula? Prawdopodobnie tak, o ile wcześniej by się całkowicie nie załamał. A czy Paul postępowałby tak jak on, Max? Prawdopodobnie nie, ale jeśli już, nigdy by nie upadł tak nisko, nigdy nie pozwoliłby się zamknąć w więzieniu. Czy polubiłby Paula bardziej, gdyby ten wiódł życie przestrzegającego prawa bogacza? Cóż, w takim wypadku najpewniej nigdy by się nie spotkali.

— Nie rozmawialiśmy jeszcze o pieniądzach — powiedział Paul, kiedy zatrzymali się przed domem, udostępnionym Maksowi przez Carvera.

— O pieniądzach?

— Przecież nie pracuje pan za darmo.

— A pan mnie nie wynajął, więc nie jest mi pan nic winien — odparł Max.

— Jednak dam panu coś za te wszystkie kłopoty.

— Niczego nie chcę.

— To akurat pan zechce.

— Proszę spróbować.

— Spokój umysłu.

Max popatrzył na Paula badawczo.

— Solomona Boukmana.

— Boukmana? — powtórzył Max. — Ma go pan?

— Tak.

— Od jak dawna? — Max bardzo się starał mówić jak najspokojniej, nie chciał, aby Paul wyczuł w nim jakiegokolwiek emocje — złość czy podniecenie.

— Od dnia, w którym pozbyła się go pańska ojczyzna. Od dawna zabieram z portu lotniczego najbardziej niebezpiecznych skazańców, którzy wracają tu z amerykańskich więzień — zabójców, gwałcicieli czy przywódców gangów.

— Co pan z nimi robi?

— Zamykam na cztery spusty i pozwalam gnić.

— Dlaczego po prostu ich pan nie zabija?

— Bo żaden z nich nie popełnił przestępstwa na Haiti.

— A co z resztą? Daje im pan zatrudnienie w swojej kwaterze głównej?

— Nie zatrudniam kryminalistów. Źle to wpływa na interesy, szczególnie tak delikatne jak moje.

Max musiał się roześmiać. Samochód zatrzymał się przy bramie.

— Niech pan się dowie, co spotkało mojego syna, a doprowadzę do waszego spotkania. Tylko pan i pańskie nemezis. Małe pomieszczenie, cztery ściany, żadnych okien. On nie będzie uzbrojony, a pana nikt nie przeszkadza — powiedział Vincent.

Max przez chwilę zastanawiał się nad tą ofertą. W Ameryce pragnął śmierci Boukmana, a kiedy usłyszał, że został wypuszczony z więzienia, pragnął jego śmierci jeszcze bardziej.

- 438 -

- 439 -

Lecz teraz nie był pewien, czy mógłby go zastrzelić z zimną krwią. A właściwie wiedział, że nie. Boukman był bez wątpienia potworem, najgorszym przestępcą, jakiego Max napotkał na swojej drodze, jednak gdyby go po prostu zamordował, stałby się takim samym potworem jak on.

— Nie mogę przyjąć tej oferty, Vincent. Nie w taki sposób — odrzekł Max i wysiadł z samochodu. Paul opuścił szybę w oknie.

— Pański kraj go złapał i wypuścił.

— To sprawa ludzi, którzy za to odpowiadają. Ja już nie jestem gliniarzem, Vincent, zdaje się pan o tym zapominać.

— Pan także. — Vincent uśmiechnął się, po czym oddał Maksowi jego berettę i kaburę. — Byłem pewien, że pan nie przyjmie oferty.

Paul skinął na kierowcę. Samochód powoli ruszył.

— Aha, i jeszcze jedno! — zawołał. — Pamięta pan, jak opowiadałem, że Gustav Carver zniszczył buldożerami moją rodzinną posiadłość? Postawił na tym terenie dom, w którym teraz pan mieszka. Miłego pobytu!

Paul uśmiechnął się gorzko, poczym uniósł w górę przyciemnioną szybę i samochód odjechał.

47

Czekało na niego pięć wiadomości nagranych na automatycznej sekretarce: od Joe'ego, Allaina i trzy od Chantale.

Najpierw oddzwonił do Allaina. Trzymał się wersji, którą ułożył sobie w samochodzie, w drodze powrotnej. Powiedział, że nic szczególnego się nie wydarzyło, a po prostu nie odbierał telefonów, bo nie było go w domu. Na razie nie powiedział ani słowa o Eloise Królak. Byłoby to przedwczesne, a jedynym jego dowodem była kasetka wideo. Wyjaśnił, że przez kilka ostatnich dni podążał tropem, który zaprowa-

- 440 -

dził go w ślepy zaułek. Allain podziękował mu za oddanie i ciężką pracę.

Następnie Max połączył się z Joe'em. Okazało się, że ten rozgryzał jakąś sprawę i przez resztę wieczoru nie będzie uchwytany pod żadnym telefonem.

Max wziął prysznic i przygotował sobie dzbanek czarnej kawy. Pił pierwszą filiżankę, kiedy zadzwonił telefon. Chantale.

Bez wątpienia westchnęła z ulgą, kiedy usłyszała jego głos. Rozmawiali bardzo długo. Max opowiedział jej to samo kłamstwo, którym zbył Allaina. Nie był pewien, na ile może jej ufać. Ile wiedziała o Charliem? I o Allainie? Czy domyślała się, że jest gejem? Kobiety raczej wyczuwały takie sprawy.

Chantale powiedziała mu, że stan zdrowia jej matki pogorszył się. Nie była pewna, czy kobieta dożyje do Bożego Narodzenia. Max wykorzystał to i zaproponował jej, że następnego dnia nie musi się z nim kontaktować. Nie chciał, żeby kręciła się przy nim, kiedy będzie śledził Eloise.

Powiedział, że będzie ją krył przed Allainem. Zgodziła się, jednak z tonu jej głosu wywnioskował, że nie jest przekonana do takiego rozwiązania.

Po rozmowie z Chantale wyszedł z domu i usiadł na werandzie. W ciemnościach trąkotwały i skrzeczały nocne owady. Zza domu wiał lekki wiatr, głaszcząc liście na drzewach i unosząc słodki zapach jaśminu i palonych śmieci.

Zaczął rozmyślać.

Vincent Paul nie porwał Charliego.

Kto więc to zrobił?

Któryś z wrogów Paula czy któryś z wrogów Carvera? Jeśli wróg Carvera, to czy wiedział, kto jest naprawdę ojcem Charliego?

Co z Beesonem i Meddem?

Musieli zająć znacznie dalej niż on do tej pory, i słono za to zapłacili.

- 441 -

Pomyślał o Beesonie. Zapewne natrafił na poważny ślad, zanim skończył w pieluchach, w zasmrodzonej przyczepie kempingowej. Prawie się rozzłościł, gdy pomyślał, że ten zawsze spocony szpicel niemal rozwiązał sprawę, a tymczasem on, Max, nie zdołał dotrzeć jeszcze nawet do pierwszej bazy. Jednak myśl o tym, co stało się z jego dawnym rywalem, sprawiła, że cała złość natychmiast z niego wyparowała.

Musiał jeszcze raz porozmawiać z Beesonem, dowiedzieć się, do czego właściwie dotarł.

Postanowił poprosić Joe'ego, żeby dobrze go przycisnął.

A do tego czasu nie pozostawało mu nic poza śledzeniem Eloise Królak.

Wkrótce się dowie, czy kobieta ma jakiś związek z porwaniem Charliego.

48

Następnego wieczoru patrzył, jak Eloise wsiada przed Arką Noego do srebrnego samochodu terenowego. Minęła właśnie szósta po południu. Jechał za nią do Pétionville, gdzie auto zatrzymało się na podjeździe przed piętrowym domem przy bogatej, ocienionej drzewami ulicy, niedaleko centrum miasta.

Max dojechał do końca ulicy i zatrzymał samochód. Ustawił pojazd tak, aby przez cały czas widzieć budynek, do którego weszła Eloise.

Po godzinie przespacerował się, aby obejrzeć go z bliska. Było już całkiem ciemno. Ulica nie tylko była zupełnie pusta, ale można było odnieść wrażenie, że w stojących przy niej domach nikt nie mieszka. Z żadnego okna nie sączyła się ani odrobina światła. Było cicho, niemal jak makiem zasiał, jedynymi źródłami dźwięków były śpiewające cykady i liście na drzewach. Cisza była wprost niezwykła. Max nie słyszał nawet dudnienia bębnow z nieodległych gór.

Dokładnie obejrzał dom, stojąc na chodniku po przeciwnej stronie ulicy. W pokoju na górze włączony był telewizor. Na moment Maksowi przyszło do głowy, że może Eloise ogląda kasety wideo — podobną jak ta, którą on znalazł w pustym domu.

Wrócił do landcruisera.

*

Samochód wyjechał sprzed domu około siódmej nad ranem. Chwilę później utkwiał w korku, a wraz z nim podążający za nim landcruiser Maksa. Pétionville tętniło już życiem, mnóstwo ludzi tłoczyło się przed wejściem do zadaszonej hali targowej — obszernego budynku o kolorze musztardy, przykrytego brązowym, rdzewiejącym blaszanym dachem. Na ulicach ludzie prowadzili interesy: kobiety i mężczyźni w różnym wieku sprzedawali ryby, jajka, żywe kurczaki, martwe kurczaki — oskubane i nieoskubane z pierza — płyty czerwonego mięsa o podejrzanym wyglądzie, słodkości

domowego wypieku, frytki, napoje chłodzące, papierosy i alkohole. Przez wieki Haiti zaznawało licznych upadków, jednak na ulicach o poranku jego mieszkańcy okazywali żywotność, jakiej Max nie widział i nie czuł w żadnym mieście w Ameryce.

Dopiero po dwudziestu minutach wyjechali na drogę do Port-au-Prince, a po kolejnych pięćdziesięciu znaleźli się w stolicy. Eloise wysiadła przed bramą Arki Noego i pomachała kierowcy, kiedy ten z piskiem opon odjeżdżał w kierunku Boulevard Harry Truman. Żegnając się z nią, nacisnął jeszcze na klakson.

Max ruszył za samochodem, śledząc go na nadmorskim bulwarze. Kiedy jego oczom ukazał się budynek Banque Populaire, kierowca włączył kierunkowskaz, nie pozostawiając wątpliwości, że skręci właśnie do banku, w bramę zarezerwowaną wyłącznie dla najważniejszych pracowników i VIP-ów.

- 442 -

- 443 -

Max minął skracające auto z pełną prędkością, ale zaraz zawrócił i znów podążył ku bankowi. Objechał posiadłość i w końcu znalazł wjazd dla zwyczajnych klientów.

Jadąc powoli na ogólnodostępny parking, rozpoznał kogoś, kto zmierzał w kierunku głównych drzwi. Osoba ta zatrzymała się w połowie prowadzących do nich schodów, odwróciła się i ruszyła z powrotem.

Dwa parkingi, ogólny i specjalny, oddzielał jedynie niewysoki płot. Max miał doskonały widok na samochód, który przed chwilą śledził, i na człowieka, który pośpiesznie szedł w jego stronę.

Wszystko zaczynało nabierać sensu.

Nagle zrozumiał, dlaczego Claudette przedstawiała swojego porywacza na rysunkach w kolorze pomarańczowym. To przez jego włosy, rude afro.

Pomarańczowy Człowiek: Maurice Codada, szef ochrony.

*

Tego wieczoru Max zatelefonował do Vincenta Paula i opowiedział mu o wszystkim, czego się dowiedział. Paul słuchał go w milczeniu.

— Cóż, dopadnę ich za kilka godzin, jutro wcześniej rano — powiedział wreszcie bardzo cicho. — Chcę, żeby pan ich przesłuchał. Musi pan wydobyć z nich wszystko, co tylko się da. Chcę, żeby pan zastosował wszelkie możliwe środki, byleby tylko zmusić ich do mówienia.

49

Krótko po trzeciej nad ranem po Maksa przyjechali ludzie Paula i zawieźli go do domu Codady i Królak. Oboje byli już pojmani i przetrzymywani w piwnicy, w oddzielnych pomieszczeniach.

Max zajrzał do obojga, a dopiero potem przystąpił do przeszukania domu.

*

Przeszedł przez hol, wyłożony czarnymi i czerwonymi płytkami, i znalazł się w dużym otwartym salonie, w którym stał wielki telewizor, aparatura wideo, kanapa, kilka foteli i ładne palmy w doniczkach.

Po prawej stronie znajdował się dobrze zaopatrzony barek, wyposażony nawet w wysokie stołki, ustawione przed kontuarem. Max wszedł za bar i otworzył kasę. Było w niej mnóstwo banknotów i monet. Na banknotach — haitańskich gourde — widniały podobizny Papy i Baby Doca. Pod barem znalazł naładowany rewolwer, kaliber .38, oraz niewielką stertę płyt kompaktowych z muzyką z Haiti i z Ameryki Południowej. Na ścianie obok baru wisiała flaga Haiti z epoki Papy Doca, czarno-czerwona, a nie niebiesko-czerwona, obowiązująca obecnie. Zrozumiał, że do barw starej flagi nawiązują płytki w holu.

Nostalgię za epoką Duvalierów widać było także na piętrze. Na korytarzach wisiały dziesiątki czarno-białych fotografii: na przykład młodego Papy Doca w białym kitlu, uśmiechniętego, w samym środku grupy biednych ludzi, wynędzniałych, ubranych w łachmany, a mimo to radośnie uśmiechniętych. Wielu, zauważył Max, nie miało kończyn — rąk i nóg. Fotografii wykonano zapewne w czasie epidemii frambezji. U stóp Duvaliera siedziała grupa małych dzieci o zatwardziały twarzach. Wszystkie były czarne, z wyjątkiem jednego — białego chłopca z piegami. To był Codada.

Dzięki fotografiom Max mógł prześledzić ewolucję Codady od małego zbira do dorosłego zbira. Pozował do zdjęć w towarzystwie Bedouina Desyra i braci Faustin w mundurach Maco-ute — granatowych koszulkach i spodniach, chustach wokół szyi, ciemnych okularach i wysokich butach; mieli pistolety za pasem i uśmiechali się od ucha do ucha.

- 444 -

- 445 -

Zatrzymał się przy serii fotografii przedstawiających Co-dadę, najwyraźniej nadzorującego jakąś budowę. Usta miał otwarte. W tle, niemal na każdym z nich, widoczna była świątynia w Clarinette. Zajrzał do głównej sypialni. Codada i Eloise Królak sypiali w wielkim łóżku z baldachimem. U stóp łoża stał duży telewizor.

Na ścianie zawieszono niewielki oprawiony obraz, przedstawiający chłopca w niebieskim mundurku grającego na flecie. Max natychmiast rozpoznał obraz. Taki sam wisiał w klubie Manhattan, gdzie po raz pierwszy spotkał się z Al-lainem Carverem. Widział ten obraz w jeszcze jednym miejscu — w gabinecie Codady w banku.

Zdjął obraz ze ściany i odwrócił go. Z tyłu przyklepiona była naklejka: Chłopiec z piszczałką, Eduard Manet.

Usłyszał jakieś głosy za drzwiami. Z pokoju na końcu korytarza wychodziło właśnie dwóch ludzi Vincenta.

Poszedł w tamtym kierunku. Po chwili znalazł się w obszernym gabinecie. Tuż przy drzwiach stało biurko z komputerem. Wzdłuż dwóch ścian znajdowały się półki z ładnie oprawionymi książkami, a na środku — fotel obity ciemnozieloną skórą. Pod ścianą, której nie zajmowały półki, ustawiono kolejny odbiornik telewizyjny. W pomieszczeniu przebywała kobieta pracująca na komputerze.

Wszystkie szuflady biurka były pootwierane, a ich zawartość wyrzucona na blat: pięć zwitków używanych banknotów studolarowych, sterta fotografii, jakieś pół tuzina płyt kompaktowych — każda w innym kolorze — oraz dwa pojemniki z dyskietkami, opatrzonymi numerami od 1961 do 1995.

Max podszedł do jednej z półek i zatrzymał się przy kolejnym portrecie Papy Doca. Ten był zupełnie inny od poprzednich, które widział w tym domu. Tutaj dyktator, ubrany jak Baron Samedi, w kapeluszu, fraku i w białych rękawiczkach, siedział u szczytu długiego stołu w krwistoczerwonym poko-

ju i gapił się prosto w malującego go artystę. Wraz z nim przy stole siedziało sporo innych ludzi, ich twarze nie były jednak widoczne. Sprawiali wrażenie mrocznych, praktycznie czarnych, niewyraźnych postaci. Na środku stołu leżała jakaś nieokreślona biała paczka. A jednak, uważnie przyjrzawszy się płótnu, Max rozpoznał, że to jest po prostu dziecko.

Przebiegł wzrokiem po półkach z książkami. Ułożone były blokami, w zależności od koloru okładek: niebieskie, zielone, jasnoczerwone, ciemnoczerwone, brązowe i czarne. Ich tytuły wydrukowano złotymi literami na grzbietach. Max przeczytał jeden z nich: Georgina A. Kolejna książka miała tytuł Georgina B., następna — Georgina C. Wyciągnął tę ostatnią i otworzył. Nie było w niej kartek. „Książka” tak naprawdę była zakamuflowanym pojemnikiem na kasetę wideo, przypominała wydrążone Biblię, z jakich korzystali handlarze narkotykami. Max wyciągnął z opakowania zwykłą czarną, nieoznakowaną kasetę. Pod kasetą leżała fotografia przestraszonej kilkuletniej dziewczynki. Otworzył jeszcze „książki” A i B i znalazł w nich inne fotografie. Na pierwszej dziewczynka uśmiechała się do aparatu, na drugiej sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Przesunął wzrokiem po pozostałych półkach. Były na nich tylko kasety w opakowaniach, każda miała na grzbiecie imię dziewczynki. Nie było chłopców, nie było ani Charliego, ani — na przykład — Charlesa A — C.

Po chwili znalazł Claudette T.

I znalazł Eloise.

— Co masz? — zapytała kobieta siedząca przy biurku. Nowojorski akcent.

— Kasety wideo. A ty? Co jest w tym komputerze?

— Rejestry sprzedaży. Informacje do roku 1985 zostały ze-skanowane z ksiąg. No i jest tu duża baza danych adresowych. Ta parka sprzedawała dzieci mężczyznom.

— Chwilę sobie popatrzę — powiedział Max.

- 446 -

- 447 -

Podszedł do telewizora, włączył go i wsunął do odtwarzacza wideo kasetę Eloise A.

Nieemożliwe było odczytanie z rogu ekranu daty nagrań, jednak już po chwili Max nie miał wątpliwości: oglądał Eloise Królak w wieku pięciu albo sześciu lat. Zatrzymał taśmę, kiedy zaczęły się sceny erotyczne z małą dziewczynką.

Kobieta przy biurku przerwała pracę. Wyraz jej twarzy, mieszanka odrazy i rozpacz, powiedział mu wszystko.

— Zobaczmy, nad czym pracujesz — rzekł Max i szybko do niej podszedł.

Pokazała mu na ekranie komputera jakiś druk. Formularz podzielony był na sześć pionowych kolumn, nad którymi znajdowały się kolejno informacje o ich przeznaczeniu. Pod spodem wpisywano następujące dane: nazwisko, wiek, płeć, klient, data zakupu, adres. Druk pochodził z 1977 roku i zawierał dane o tym, jakie dziecko zostało sprzedane, jakiemu klientowi i dokąd zostało zabrane.

Max szybko przeczytał zapisy z ostatniej kolumny. Z trzynaściorga dzieci zarejestrowanych na formularzu czworo wyjechało do USA albo do Kanady, dwoje zostało zabranych do Wenezueli, po jednym do Francji, Niemiec i Szwajcarii, troje do Japonii i jedno do Australii. Na karcie wpisano pełne dane personalne kupców.

Przejrzeli bazę danych na ich temat.

Prowadzona była bardzo starannie. Podzielono ją na kolejne lata, a w ramach każdego roku na kraje, do których sprzedano dzieci.

Oprócz pełnych nazwisk kupców (zwanych w bazie „klientami”), ich adresów, dat urodzenia, zawodów i miejsc zatrudnienia odnotowano także informacje o ich pensjach, orientacji seksualnej, stanie cywilnym, liczbie posiadanych dzieci oraz o prowadzonych interesach, współnikach, sympatiach politycznych, sposobie spędzania wolnego czasu i innych sprawach.

- 448 -

Pierwsza odnotowana transakcja została przeprowadzona 24 listopada 1959 roku, kiedy to Patterson Brewster III, dyrektor Piekle and Preservations Company, „zaadoptował” ha-itańskiego chłopca o nazwisku Gesner Cesar.

Adopcja kosztowała 575 dolarów.

Najpóźniej adoptowanym dzieckiem była Ismaelle Cloue, zabrana z Haiti przez Gregsona Peppera, bankiera z Santa Monica w Kalifornii.

Koszt wyniósł 37 500 dolarów (S).

Litera (S) oznaczała usługę standardową. Kupiec po prostu brał w ciemno zaoferowany „produkt” (jak nazywano w bazie dzieci), płacił i natychmiast otrzymywał to, co zaproponowano. Cena w tej kategorii była stała.

Jeśli jednak jeden lub więcej kupców było zainteresowanych tym samym „produktem”, wtedy sprzedaż odbywała się poprzez aukcję (A), a cena wywoławcza wynosiła tyle, ile standardowa (S). Najwyższą cenę na aukcji — 500 000 dolarów — zapłacił za dziewczynkę pewien kanadyjski dyrektor kompanii naftowej z Kuwejtu. Było to w marcu 1992 roku.

Były też inne kategorie usług i cen.

(B) oznaczało Bon Ami (dobrego przyjaciela) albo kupca, który miał prawo wybrania dziecka z katalogu, bez konieczności uczestniczenia w aukcji lub rywalizowania w jakiegokolwiek formie z innymi interesantami. Koszt w tej kategorii był wyższy, wynosił od 75 000 do 100 000 dolarów i zależał od popularności „produktu” i „wartości” klienta (w dodatkowym pliku w komputerze znajdował się ich ranking; najwyższe pozycje zajmowali ci, którzy mieli jakieś powiązania w sferach rządowych).

(M), czyli Meilleur Ami (najlepszy przyjaciel), oznaczało także kupca, który zamawiał & la carte. Dostawał praktycznie wszystko, czego zażądał. Za taki przywilej musiał jednak zapłacić od 250 000 do 1 000 000 dolarów.

- 449 -

Wielu kupców miało przy nazwisku dopisywaną literę (R), oznaczającą stałego klienta. Przy literze znajdowały się liczby, określające, ile razy dany osobnik korzystał z serwisu. Przy większości zapisana była cyfra 3 lub 4, jednak kilku kupiło kilkanaście dzieci, a rekordzista odnotowany był jako R19.

W bazie danych znajdowały się nazwiska 2479 kupców. Trzystu siedemnastu pochodziło z Ameryki Północnej. Byli wśród nich senatorowie, kongresmeni, bankierzy, dyplomaci, maklerzy giełdowi, oficerowie policji, duchowni, żołnierze z generalskimi stopniami, lekarze, prawnicy, biznesmeni z najwyższej półki, aktorzy, gwiazdy rocka, producenci i reżyserzy filmowi, pewien baron prasowy i były gospodarz telewizyjnego talk-show. Max rozpoznał niewiele nazwisk, jednak dużo mówiły mu nazwy organizacji i firm, do których kupcy byli przypisani.

„Oferty” składały się z fotografii poszczególnych dzieci: zdjęcia twarzy i trzech ujęć całych sylwetek — w ubraniu, wbieliźnie i nago. Fotografie przesyłano kupcom za pomocą poczty elektronicznej. Kupcy, którym przedstawiono ofertę, odpowiadali na nią również elektronicznie. Przed upowszechnieniem się Internetu kupcy spotykali się w prywatnych klubach i oglądali oferty dostarczane im w formie papierowej. Wielu preferowało tę metodę również teraz, gdyż e-maile mogli łatwo przechwytywać hakerzy. Poza tym w klubach kupcy bez większych trudności nawiązywali kontakty pomiędzy sobą.

Max przejrzał pliki z fotografiami przedstawiającymi dzieci i ich nabywców. Tych ostatnich fotografowano zwykle z dużej odległości, niczego nieświadomych, albo po prostu przenoszono ich wizerunki z jakichś materiałów filmowych.

Jeden z plików zawierał wyłącznie zdjęcia kupców wykonane w miejscu, albo wokół miejsca, gdzie trzymano dzieci. Max rozpoznał to miejsce z taśmy, którą znalazł w domu Faustina.

Sfotografowano ich, jak witają się ze sobą albo jak oglądają

450

zęby dzieci, które stoją na podwyższeniach, jakby w oczekiwaniu na rozpoczęcie aukcji. Klienci nie patrzyli w kierunku aparatów, z czego Max wywnioskował, że nie mieli najmniejszego pojęcia, iż są fotografowani.

Ostatnie zdjęcia w pliku ukazywały ich, jak wsiadają do łodzi cumujących przy krótkim moło, wysuniętym w morską zatokę.

— Wiesz, gdzie to jest? — zapytał Max.

— Wygląda na La Gonâve. To wyspa, tuż u wybrzeży Haiti.

— Znajdź mi w bazie pewne dziecko. Imię Claudette, a nazwisko Thodore.

Kobieta szybko wpisała dane do pamięci komputera. Claudette sprzedano niejakiemu Johnowi Saxby w lutym 1995 roku. Mieszkał w Fort Lauderdale, na Florydzie.

Max pomyślał o reszcie kupców z Ameryki Północnej i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mógłby uwolnić te wszystkie dzieci, zamienione w niewolników. Uznał, że dowody musi przekazać Joe'emu. Jego przyjaciel zostanie bohaterem. Kiedy już będzie po wszystkim i sporządzone zostaną akty oskarżenia, z pewnością awansuje na stanowisko szefa policji w Miami.

Na razie jednak należało myśleć o bardziej przyziemnych sprawach.

Max wrócił do piwnicy.

50

— Życzy pan sobie czegoś, panie Co-da-da? Wody? Może kawy? Albo czegoś innego do picia? — zaproponował Max, rozpoczynając przesłuchanie tonem, który zachęcał do współpracy. Był w towarzystwie tłumacza — niskiego, wciąż spoconego mężczyzny o orientalnych rysach i włosach obficie skropionych brylantyną.

- 451 -

Codada siedział na twardym krześle z rękami związanymi za plecami i z nogami skrępowanymi łańcuchem. Nad jego głową paliła się goła żarówka. Eloise Królak była zamknięta w sąsiednim pomieszczeniu.

— Tak. Życzę sobie, żebyście wszyscy wynieśli się z mojego domu, a potem poszli do diabła! — Codada zaskoczył Maksa, odzywając się po angielsku. Jego francuski akcent był równie silny jak oburzenie.

— Myślałem, że nie mówi pan po angielsku.

— To źle myślałeś.

— Rzeczywiście — przyznał Max.

Codada miał na sobie spodnie ze skóry rekina i czarne prążkowane skarpetki, pasujące do jedwabnej koszuli. Trzy rozpięte górne guziki pozwalały zobaczyć jego mlecznobiałą skórę na piersiach. Wokół jego szyi Max doliczył się czterech złotych łańcuchów. Codada roztaczał dookoła zapach piżmowej wody kolońskiej, którą skropił się bez żadnego umiaru. Jadąc do domu Codadów, Max dowiedział się, że schwytano ich, kiedy wrócili z eskapady do nocnego klubu w górach i byli tym całkowicie zaskoczeni.

— Jak sądzisz, dlaczego tu jesteś? — zapytał Max.

— Bo ty myślisz, że ja mam chłopca, Charliego — odparł Codada.

— Zgadza się. Nie traćmy więc czasu. Masz go?

— Nie.

— A kto go ma?

— Bóg. — Codada popatrzył w sufit.

— Chcesz powiedzieć, że chłopiec nie żyje?

Codada przytaknął głową. Max spojrzał mu prosto w oczy. Codada nie odwrócił wzroku. Głos miał mocny, zdecydowany, nic nie świadczyło, by kłamał. Oczywiście, nie dowodziło to także, że mówi prawdę. Codada prawdopodobnie nie pojął jeszcze, że bez względu na rozwój wypadków i tak jest już martwy.

— Kto go zabił? — zapytał Max.

452

— Ludzie, ci, co zabili Eddiego Faustina, en meme temps...

— Chcesz mi powiedzieć, że tłum, który zaatakował Eddiego Faustina, zabił także Charliego? To sugerujesz?

— Oui.

— Skąd o tym wiesz?

— Ja... investigator.

— Przeprowadziłeś śledztwo? Codada przytaknął.

— Kto ci powiedział?

— Témoins. Świadkowie. Na ulicy, gdzie to się zdarzyło. Ludzie ze mną rozmawiali.

— Rozmawiałeś ze świadkami, którzy widzieli całe zdarzenie? Z iloma? Z jednym? Z dwoma?

— Więcej. En pille moune. Z bardzo wieloma. Dwudziestoma. To był tutaj bardzo wielki scandale. To tak, jakby porwano córkę Clintona. — Codada błysnął uśmiechem. Błask żarówki odbił się od jego złotych zębów i z jego ust natychmiast wydobyło się jakby ciepłe, żółte światło. — Charlie martwy. Mówiłem to jego ojcu wiele razy. „Twój syn nie żyje”, mówiłem, ale nie słuchał.

— Mówiłeś to Allainowi Carverowi? — Max postanowił udawać, że właśnie Allaina uważa za ojca Charliego.

— Nie. Jego ojcu. — Codada uśmiechnął się jeszcze szerzej, przypuszczając, że informacja, którą zaraz ujawni, zaskoczy Maksa. — Gustavowi. Gustav to ojciec Charliego.

Max uznał, że na razie nie należy usuwać gruntu spod nóg Codady. Na jego uśmiech odpowiedział swoim. Szef bezpieczeństwa nie był pewien, co ten uśmiech ma oznaczać, i przez moment na jego twarzy pojawił się jakby wyraz paniki.

— Powiedz mi o Eddiem Faustynie. Byliście dobrymi przyjaciółmi?

— Wcale nie przyjaciółmi.

— Nie lubiłeś go?

— On i jego brat, Salazar, pracowali dla mnie w policji.

- 453

— Masz na myśli Ton-ton Mackoots?

— Tak, byliśmy w Macoute. — Codada próbował się wyprostować, jednak wytrzymał tak tylko chwilę i zaraz się zgarbił.

— Powiedz, czy Eddie pracował dla ciebie jeszcze później, kiedy Mackoots się skończyło?

— Non.

— Widywałeś potem Eddiego?

— Tylko kiedy woził pana Carvera.

— Nie rozmawiałeś z nim?

— Mówiłem cześć, jak się masz.

— Nie odnowiliście znajomości? Może chodziliście razem na drinka?

— Na drinka? Z Eddiem? — Codada popatrzył na Maksa, jakby ten zasugerował coś nie tylko niemożliwego, ale wręcz skrajnie absurdalnego.

— A dlaczego nie? Chociażby po to, żeby porozmawiać o dawnych czasach.

— Dawnych czasach? — Codada roześmiał się. — Kiedy byliśmy w Macoute, Eddie Faustin pracował dla mnie. Ja byłem jego szefem.

— Ciekawe. Jesteś w stanie popełniać najgorsze czyny, jakie tylko można sobie wyobrazić, ale nie spędzisz wolnego czasu z człowiekiem jedynie dlatego, że w okresie największej glorii Doca był twoim podwładnym? Wiesz co? Ludzie tacy jak ty mają popierdolone standardy. — Max potrząsnął głową i zmierzył Codadę pogardliwym spojrzeniem. — W każdym razie Eddie Faustin zamierzał porwać Charliego. Wiedziałaś o tym?

— Non. Naprawdę.

— Naprawdę to ty wiedziałaś.

— Mówię, że nie wiedziałem. I to jest nieprawda.

— Jaka znowu nieprawda?

— Eddie — Codada zrobił uroczystą minę — to dobry człowiek. Nigdy nie zrobiłby nic złego panu Carverowi. On kochał pana Carvera, jak ojca.

— Eddie ci to powiedział?

— Nie. Widziałem to. Wiedziałem. Czulem.

— Coś takiego! Widziałeś, wiedziałeś i czuleś? Jasne. A ja wiem, że Eddie pracował dla porywaczy Charliego. To dlatego pojechał tamtego dnia akurat tamto miejsce, w którym doszło do porwania. Czekał na porywaczy, żeby sobie zabrali chłopca.

— Non!

— Tak!

— Kto ci opowiedział takie bzdury?

— Ja też prowadziłem śledztwo — odparł Max. — I to nie są bzdury.

Twarz Codady mówiła, że mu nie wierzy.

Max uznał, że już pora trochę zmienić kierunek rozmowy i zapytać więźnia o inne sprawy. Odszedł od narożnika pomieszczenia i podniósł ze stolika jeden z dowodów, które zabrał z gabinetu Codady — kasetę wideo z nagraniem Claudette.

— Opowiedz mi o swoich interesach.

— Interesach? — Codada popatrzył pytająco na Maksa.

— Właśnie.

— Ja nie mam „interesów”.

Max zerknął ku drzwiom. Pilnował ich uzbrojony strażnik. Tłumacz stał oparty o ścianę za plecami Codady.

— Czy kiedykolwiek porywałeś dzieci?

— Nie porywałem dzieci.

— Gówno prawda! — wrzasnął Max. — Ty i twoi ludzie porywaliście dzieci, żeby je sprzedawać bogatym zbrojeńcom. Takie interesy prowadzisz!

— Non! — Codada, zapomniawszy o krępujących go łańcuchach, próbował zerwać się z krzesła. Skończyło się to upadkiem twarzą na posadzkę.

Max z całej siły nacisnął nogą na jego plecy i trzymał ją na nich tak długo, dopóki nie usłyszał, jak trzeszcza kręgi.

— Tak! Kłamiesz, ty złamany kutasie! — Max jeszcze mocniej nacisnął na kręgosłup Codady, który już z trudem łapał

powietrze. — Porywałeś dzieci i zabierałeś je do La Go-Nav, a potem sprzedawałeś gwałcicielom takim jak ty sam. Założę się, że kiedy tam pojedziemy, jeszcze ich kilkoro znajdziemy. To twój towar, prawda, ty kupo gnoju?

Max uderzył go obcasem tak mocno, że Codada wrzasnął z bólu.

— Podnieście go! — rozkazał żołnierzom.

Ci wykonali polecenie i posadzili więźnia na krześle. Max otworzył pudełko z kasetą i pokazał Codadzie fotografię Claudette.

— Znasz ją?

Codada nie odpowiedział, jedynie skrzywił się z bólu.

— John Saxby... facet, który ją kupił. Opowiedz mi o nim. Co robi? I nie pieprz bzdur, bo mamy twoje księgi rachunkowe. Odpowiadaj.

— Nie powiem już ani słowa — odparł Codada. Popatrzył w przestrzeń za Maksem. Jego oczy zmatowiały,

kiedy wzrokiem natrafił na zamknięte drzwi.

— Och, nie będziesz już mówił? Wiesz co, Maurice? Pieprz się. Myślisz, że prowadzę z tobą ciężkie przesłuchanie? To źle myślisz, bo ja ci daję szansę. Jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, zmusi cię do tego Vincent Paul. Rozumiesz? To będzie dopiero przesłuchanie.

— Dobry gliniarz i zły gliniarz? — zadrwił Codada.

— Tutaj nie ma gliniarzy, Maurice. I nie ma nikogo, kto chciałby być dla ciebie dobry. Przegrałeś. Słyszysz mnie? Wszystko, co piękne w twoim życiu, skończyło się, nagle i nieodwołalnie. I wiesz co? Teraz pójde porozmawiać z Eloise. Zmuszę ją, żeby powiedziała mi wszystko, czego na razie nie powiedziałeś ty. Rozumiesz? — Max przysunął usta do ucha Codady. — Nadal twierdzisz, że nie będziesz mówił?

Codada milczał.

Max odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia.

456

51

Kiedy wszedł do piwnicy, w której przetrzymywano Eloise, ta popatrzyła na niego ukradkiem, po czym wbiła wzrok w białą chusteczkę, którą trzymała w skutych rękach.

— Eloise? Nazywam się Max Mingus. Staram się ustalić, kto porwał Charliego Carvera.

Żadnej reakcji.

— Wiem, że mówisz po angielsku równie dobrze jak ja — powiedział Max.

Kobieta nadal milczała ze wzrokiem utkwionym w chusteczkę. Lekko pochyliła się do przodu.

Gdyby mogła, prawdopodobnie podciągnęłaby kolana do piersi.

— Pozwól, że przedstawię ci sytuację. A jest ona cholernie niedobra, dla was obojga. — Max mówił cicho i łagodnie. Na razie nie chciał grozić, zależało mu raczej na nawiązaniu pewnej nici porozumienia. — Wiesz, kim jest Vincent Paul. Widziałem, co robi z ludźmi i, uwierz mi, Eloise, nie jest to nic przyjemnego.

Nawet się nie poruszyła.

— Eloise, ja nie jestem taki jak on. Chcę ci pomóc. Widziałem taśmy wideo, na których zostałeś nagrana jako mała dziewczynka. Widziałem, co robił z tobą mężczyzna, który teraz znajduje się w sąsiednim pomieszczeniu. Jeśli mi pomożesz, obiecuję, że porozmawiam o tobie z Vincentem.

Wyjaśnię mu, że tak naprawdę to nie twoja wina, że wbrew swej woli zostałeś wmieszana w tak okropne rzeczy. Będziesz miała dużą szansę wyjść z tego wszystkiego z życiem.

Cisza.

Przerwał ją potężny męski głos, niewątpliwie dobiegający zza murów domu. Nie można go było pomylić z żadnym innym. Przed domem pojawił się Vincent Paul.

— Eloise, ratuj swoją skórę. Proszę — błagał Max. — Jeśli mi nie pomożesz, Vincent Paul cię zabije. Nie ulituje się nad

- 457

tobą z powodu tego, co cię spotkało w przeszłości. Nie wzruszy go, że kiedy byłaś małą

dziewczynką, ten drań, Codada, porwał cię z domu, zgwałcił i wykorzystał. Zainteresuje go tylko to, co będzie widział. A zobaczy nauczycielkę, osobę odpowiadającą za życie małych, bezbronnych dzieci, sierot, która pozwala złym mężczyznom wykorzystywać je, a nawet w tym uczestniczy. I nie będę go mógł za to winić. Przemyśl to, Eloise, przemyśl to bardzo dokładnie. Proponuję ci wyjście z tego bagna. Ta kupa gnoju za ścianą nie jest warta twojej lojalności.

Max wyszedł i zobaczył na korytarzu Vincenta Paula. Ten przywitał go słabym uśmiechem i skinieniem głowy.

— Daj jej to. — Vincent wsunął w dłoń Maksa coś małego i mokrego.

Max zerknął na to, co otrzymał, i wrócił do Eloise.

— Poznajesz to? — zapytał.

Oczy kobiety rozszerzyły się, a kiedy rozpoznała zakrwawiony, lśniący kawałek metalu, który Max trzymał w palcach, jej oczy zaszyły łzami.

— Zostawcie go! — wrzasnęła.

— Jeśli nie odpowiesz na nasze pytania, Eloise, rozerwiemy go na kawałki, powoli i starannie.

Będzie go strasznie bolało.

Max złapał dłoń Eloise i wcisnął do niej złoty ząb jej kochanka.

Wbiła wzrok w detektywa. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, z pewnością byłby już martwy. Wtedy zrozumiał, że Eloise wcale nie jest niewinną ofiarą okoliczności. Za wszelkie zło, które się wydarzyło, odpowiadała tak samo jak Codada.

— I tak nas zabijecie — prychnęła. Francuski akcent brał w jej wymowie górę nad amerykańskimi naleciałościami.

Do piwnicy wszedł Paul, ciągnąc Codadę za skrepowane nogi.

Ujrzawszy kochanka, Eloise krzyknęła. Próbowwała wstać.

— Siad! — zagrmiał Max. — Albo odpowiesz na moje pytania, albo ten ohydny gwałciciel dzieci straci znacznie więcej niż tylko jeden ząb. Rozumiesz?

Nie czekał na odpowiedź.

— Charlie Carver. Co z nim zrobiliście?

— Nic. Nie mamy go. Nigdy go nie mieliśmy. Nigdy na niego nie polowaliśmy i nigdy byśmy go nie dostali. Pomyliłeś się, przyszedłeś do niewłaściwych ludzi, detektywie.

— Naprawdę? — Max popatrzył kobiecie prosto w oczy. Postanowił, że do tematu Charliego wróci później. — Gdzie jest Claudette Thodore?

— Nie wiem, kto to taki.

Max wyciągnął z portfela fotografię i podsunął Eloise pod oczy. Patrzyła na nią tylko przez sekundę.

— Nie była jedną z moich.

— Co to znaczy?

— Nie pracowałam z nią.

— Słucham? Nie pracowałeś z nią? Co to znaczy, że z nią nie pracowałeś?

— Nie przysposabiałam jej.

— Nie przysposabiałeś jej?

— Nie uczyłam jej etykiety, manier przy stole... Tych rzeczy, które trzeba znać w dobrym towarzystwie.

Max już chciał zażądać, żeby Eloise powiedziała na ten temat więcej, ale niespodziewanie z ust Codady leżącego na podłodze dobiegł jakiś char kot.

— Twierdzi, że będzie mówił — przetłumaczył Paul.

— Tak? Na razie nie mam ochoty go słuchać. Zabierz go stąd.

Vincent wywlekl Codadę na korytarz. Max znowu zajął się Eloise.

— Skończyliśmy na „przysposobieniu”. Mów dalej.

— Niby nie potrafisz sobie czegoś takiego wyobrazić? — Eloise zachichotała.

- 458 -

- 459 -

— Wiem, co masz na myśli — warknął Max. — Ale chcę usłyszeć od ciebie szczegóły.

— Naszymi klientami są bardzo bogaci mężczyźni, ludzie, którzy się poruszają w najwyższych kręgach towarzyskich. Produkty, które im dostarczamy, muszą więc być w najlepszym gatunku.

— Rozumiem, że „produkt” to te wszystkie dzieci?

— Tak. Zanim je sprzedamy, uczymy je, jak się powinny zachowywać przy stole i jak się odnosić do starszych.

— Mówić „proszę” i „dziękuję”, kiedy są gwałcone? Eloise milczała.

— Odpowiedz mi.

— Chodzi nie tylko o to. — Przyjęła obronny ton. — Ludzie 0 złych manierach niczego nie osiągają w życiu.

— A ty, cholera, wyświadczasz im przysługę, ucząc ich posługiwania się nożem i widelcem przy stole jakiegoś pedofila? Przestań pieprzyć, Eloise, do ciężkiej cholery! — wrzasnął Max. — Dlaczego to robisz? Widziałem te taśmy. Widziałem, co się działo z tobą.

— Widziałeś, ale niczego nie dostrzegłeś — powiedziała kobieta i popatrzyła Maksowi w oczy. — Powinieneś je obejrzyć jeszcze raz.

— A może po prostu mi powiesz, co takiego ominąłem?

— Maurice mnie kocha.

— Gówno prawda! — Max splunął na podłogę.

— Co ty możesz wiedzieć? — zapytała Eloise spokojnie i chłodno. — Właściwie kogo chciałeś we mnie zobaczyć? Ofiarę? Bezbronne, zapłakane dorosłe dziecko? Kogoś z podręcznika dla detektywów? Kogoś, kogo udobruchasz i obłaskawisz jakimś fałszywym bełkotem?

Była arogancka i beczelna, a jej głos przeszedł pod koniec niemal do krzyku. Mimo to nie było w nim emocji, tak jakby przez całe życie przygotowywała sobie tę mowę i teraz jedynie wygłaszała ją z pamięci.

- 460 -

— Łatwo ci przychodzi odmalowywać nas jako niewinne, bezbronne, małe ofiary, ale my nie jesteśmy wszyscy tacy sami. Część spośród nas pokonała system.

— I ty niby należysz do tych zwycięzców? — Max wyrzucił w górę rękę. — Przecież umrzesz, i to nie będzie godna śmierć.

— Nikt nigdy nie traktował mnie tak dobrze jak on. Nigdy. W całym moim życiu. Niczego nie żałuję. Gdybym nawet mogła cokolwiek zmienić, naprawdę nie kiwnęłabym palcem — powiedziała Eloise spokojnie.

— Opowiedz mi o Maurisie. W jaki sposób cię porwał? Jakie stosował techniki?

— On mnie wcale nie porwał — odparła Eloise niecierpliwie. — On mnie uratował.

— Jakkolwiek to nazwiesz — Max westchnął. — Po prostu powiedz mi, jak to zrobił.

— Pierwszą rzeczą, jaką w związku z nim pamiętam, jest jego kamera typu Super 8mm. Zakrywała połowę jego twarzy. Przez długi czas widywałam go każdego poranka. I ja, i moje przyjaciółki machałyśmy do niego wesoło, pozdrawiałyśmy go. A on chętnie z nami rozmawiał, przynosił nam drobne prezenty — cukierki i małe druciane figurki, które sam dla nas robił. Najwięcej uwagi poświęcał mnie. Moje przyjaciółki były bardzo o to zazdrosne. — Eloise uśmiechnęła się. — Pewnego dnia zapytał, czy chciałabym z nim wyjechać w pewne magiczne miejsce. Powiedziałam, że tak, chciałabym. No i następnego poranka siedziałam już obok niego w samochodzie. Była to najlepsza decyzja, jaką podjęłam w życiu.

Max chciał przełknąć ślinę, ale w ustach mu zupełnie zaschło. Eloise miała rację. Nie była osobą, jakiej się spodziewał. Wiedział wszystko o syndromie sztokholmskim, o tym, że ofiary porwań czasami zakochują się w swoich porywaczach, ale nigdy nie słyszał o przypadku, w którym taką zakochaną ofiarą jest dziecko.

- 461 -

Był głęboko zdezorientowany, zagubiony, przerażony i nie potrafił ukryć tego przed Eloise.

— A co na to twoja rodzina?

Roześmiała się głośno i gorzko. Wyraz twarzy miała nieprzyjemny, hardy, a oczy zimne i nieprzeniknione.

— Moja rodzina? Masz na myśli słodziutką mamusię i tatusia, jakich wy miewacie w Ameryce? Tak sobie właśnie wyobrażasz moją rodzinę?

Max popatrzył na kobietę obojętnie. Postanowił, że pozwoli jej mówić, dopóki sam nie znajdzie sposobu narzucenia jej tonu rozmowy.

— Widzisz, to wcale nie była taka rodzina, możesz mi wierzyć. Dużo bym dała, żeby wymazać z pamięci nawet najdrobniejsze okruchy wspomnień z nią związane. Mieszkało nas ośmioro w jednoizbowym małym domku i byliśmy tak biedni, że nieraz całymi dniami nie dostawałam nic do jedzenia. A jak już jadłam, to przede wszystkim ciasto błotne. Wiesz, co to jest ciasto błotne? To odrobina mąki kukurydzianej i mnóstwo piachu zmieszanego z wodą z rynsztoków. Miesza się to razem i wystawia na słońce, żeby uschło i wyglądało jak ciasto. Jadałam to prawie codziennie przez długie lata.

Eloise urwała i popatrzyła na Maksa wyzywająco. Prowokowała go, by zaatakował ją z innej strony, bo w rozważaniach

o rodzinie była góra.

Kiedy zrozumiała, że Max nie da się sprowokować, coś się w niej zmieniło. Straciła pewność siebie. Nagle wciągnęła powietrze do płuc przez nos, przytrzymała je, zamknęła oczy i opuściła głowę.

Trwała w tej pozycji sporo ponad minutę. Jej oczy poruszały się pod powiekami, palce zaciskała na rogach chusteczki i poruszała ustami — szybko i bezgłośnie, jakby się intensywnie modliła, albo jakby robiła to bezwiednie, bez żadnego udziału świadomości. Wreszcie przerwała te neurotyczne ruchy: rozprostowała ręce, położyła na kolanach chusteczkę, jej wargi

- 462 -

i oczy znieruchomiały. W końcu wypuściła powietrze przez usta, otworzyła oczy i odezwała się do Maksa:

— Powiem ci wszystko, co chciałbyś wiedzieć. Powiem ci, gdzie przetrzymujemy dzieci i komu je sprzedajemy. Powiem ci, kto jest w to wszystko zamieszany i dla kogo pracujemy.

— Dla kogo pracujecie? — zapytał Max. Popatrzyła mu w oczy.

— Chyba ani przez moment nie sądziłeś, że Maurice prowadzi cały ten interes sam, co? — Roześmiała się.

Max powtórzył pytanie.

— Można o Maurice'ie powiedzieć wiele, jednak nie, że jest bystry, sprytny i inteligentny. — Eloise zachichotała, ale zaraz z powrotem przybrała poważną postawę. — Powiem ci absolutnie wszystko, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Wypuścisz Maurice'a.

— Co? Absolutnie nie ma mowy! Pieprz się.

— Ty wypuścisz Maurice'a, a ja ci wszystko powiem. On był jedynie małym trybikiem wielkiej maszyny. Zresztą, oboje byliśmy jedynie takimi trybikami. Jeśli go nie puścisz wolno, niczego się ode mnie nie dowiesz. Właściwie możesz nas oboje od razu zastrzelić.

— Umowa stoi — niespodziewanie odezwał się Paul. Usłyszawszy jego głos, Eloise aż podskoczyła. — Kiedy tylko zweryfikujemy twoje informacje, wypuścimy go.

— Daj mi słowo — zażądała Eloise.

— Daję ci moje słowo.

Eloise wykonała uroczysty ukłon głową na znak, że zawarli układ.

Max nie do końca uwierzył, że Paul wypuści Codadę, ale swoje wątpliwości schował głęboko na dnie umysłu.

Paul położył dłoń na ramieniu Maksa i klepnął go, co detektyw zrozumiał jako zachętę do wznowienia przesłuchania.

— Powiedz mi, dla kogo pracujesz?

- 463 -

— Nie potrafisz zgadnąć?

— Eloise, zawarliśmy układ. Nie będziemy się więc bawić w kotka i myszkę. Nie udawaj przede

mną spryciary. Zadałem ci pytanie. Odpowiedz na nie, i to zgodnie z prawdą. Proste, prawda? Zrozumiałaś?

— Tak.

— Dobrze. Dla kogo pracujesz?

— Dla Gustava Carvera.

— Przestań mi pieprzyć, Eloise! — krzyknął Max. — Przecież wiem, że Gustav jest twoim szefem! Podlega mu i Arka Noego i bank, w którym pracuje twój pieprzony kochanek dzieciojebca!

— Przecież zapytałeś mnie, dla kogo pracujemy. Ja i Mau-rice.

— Do cholery, przestań udawać sprytną. — Max pochylił się nad kobietą. — Jeśli jeszcze chwilę będziesz się tak zachowywała, przysięgam na Boga, że pójde do sąsiedniej piwnicy i sam spiorę Maurice'a na kwaśne jabłko.

— Przecież ci mówię, że oboje pracujemy dla Gustava Car-vera! To on jest naszym szefem. To on prowadzi ten dochodowy interes. Jest jego właścicielem. Inicjatorem! On to wszystko wymyślił! — ciągnęła Eloise drżącym głosem. — Gustav Carver. To właśnie on. Prowadzi ten interes od ponad czterdziestu lat. Porywa dzieci, robi im wodę z mózgu, sprzedaje je zbrojcom seksualnym. To Gustav Carver jest Panem Klarinetem.

52

— Maurice spotkał pana Carvera, Gustava, jeszcze w latach czterdziestych. Mieszkał wtedy w wiosce na południowym zachodzie wyspy, jakieś piętnaście mil od Port-au-Prince. W tamtych czasach jedną z najbardziej rozpowszechnionych

464 -

chorób na Haiti była frambezja. Okolice wioski Maurice'a były najmocniej zagrożonymi terenami. Maurice opowiedział mi, jak choroba zaatakowała jego rodziców. Pierwsza zachorowała matka. Najpierw zupełnie uschły jej ręce, potem odpadły wargi i nos. Całą rodzinę wywieziono z wioski. Zamieszkali w szopie z byle jak zbitych desek; Maurice i to, co zostało z jego rodziców. Obserwował, jak się rozpadają, dosłownie.

— A dlaczego on nie zachorował? — zapytał Max.

— Ocalił go doktor Duvalier, François Duvalier, albo po prostu Papa Doc.

— Wtedy się spotkali?

— Tak. Szopa stała przy drodze prowadzącej do wioski. Doktor jeździł tamtędy, bo zakładał w pobliżu szpital. Któregoś dnia zobaczył Maurice'a, siedzącego na progu obok zwłok rodziców. Maurice był pierwszą osobą, którą zaszczepił.

— Rozumiem — powiedział Max. Jak dotąd, Eloise przedstawiała Maurice'a jako ofiarę, a nie oprawcę.

— Doktor miał problem z bezpiecznym przechowywaniem środków medycznych. Miejscowi często napadali na słabo zabezpieczone magazyny. Maurice zorganizował więc gang, który zajął się ich ochroną. W skład tego gangu wchodziły dzieci w jego wieku, a nawet młodsze. Ochraniały doktora Duvaliera w czasie pracy i ochraniały szpital w godzinach nocnych. Były bardzo skuteczne. Używały proc, noży i pałek. Nosiły swoją broń w macoutes — słomkowych torbach naramiennych, jakich czasami używają wieśniacy. Duvalier nazywał te dzieciaki mes petits tontons macoutes, swoimi małymi ludźmi z torbami. No i takie określenie do nich przyłgnęło na dobre.

— Jak miło. — Max roześmiał się z sarkazmem. — A co z Gustavem Carverem? Kiedy on się w to włączył?

— Gustav Carver był zawsze w pobliżu. Był pierwszym białym człowiekiem, jakiego zobaczył Maurice. Wówczas dostęp do środków medycznych był na Haiti praktycznie żaden. To pan Carver dzięki swoim kontaktom zdobywał

- 465 -

je w Ameryce. Maurice pokochał doktora Duvaliera, ale nigdy nie byli kochankami, jeżeli chodzi ci po głowie coś głupiego — powiedziała Eloise i uważnie przyjrzała się twarzy Maksa.

— Nie myślałem o tym.

— Ale podejrzewałeś?

Oczywiście, że podejrzewał, ale nie musiał się do tego przyznawać Eloise.

— Pamiętasz o naszym układzie? Ja pytam, ty odpowiadasz. Co nastąpiło później?

— Maurice zaczął regularnie pracować dla doktora Duvaliera. W czasie kampanii prezydenckiej odpowiadał za jego ochronę.

— Kiedy zaczęli porywać dzieci?

— Doktor Duvalier, oprócz tego, że był lekarzem, był także bokorem. Wiesz, co to takiego? — zapytała Eloise protekcjonalnym tonem.

— Przebywam już tutaj dość długo, by wiedzieć, szanowna pani — odparł Max i posłał jej twarde spojrzenie.

Uśmiechnęła się do niego, po raz pierwszy tej nocy, nerwowo, ukazując krzywe, żółtawe przednie zęby. Przypominała starego szczura. Brakowało jej tylko sztywnych wąsów.

— Wiem także — kontynuował — że na Haiti praktykuje się voodoo i czarną magię. I wiem na ten temat wystarczająco dużo, żeby odróżniać jedno od drugiego. Popraw mnie więc, jeśli się mylę, ale odnoszę wrażenie, że Papa Doc praktykował czarną magię, prawda?

— Układał się ze zmarłymi, z duchami. Dlatego potrzebował dzieci.

— Niby po co?

— Jediną rzeczą, jaka dzieli nas od świata duchów, są nasze ciała. Kiedy je tracimy, stajemy się duchami. Wszystkie duchy były kiedyś ludźmi i, jak ludzi, można je oszukiwać — powiedziała Eloise.

Rozprostowała krótkie, cienkie palce, trochę przypominające połamane brązowe ołówki, sklejone taśmą samoprzylepną.

— Jaki jest jednak sens być duchem, skoro duch nie widzi, nie wie, jakie zamiary ma śmiertelnik?

— Tutaj właśnie jest miejsce na czarną magię. Doktor Duvalier używał dusz dzieci, tych najczystszych, jakie można znaleźć, nieskażonych niczym dusz, do których duchy zawsze się odzywały i którym z całych sił pomagały.

— Jak je zdobywał?

— A jak myślisz?

— Zabijał dzieci?

— Poświęcał je. — Eloise znowu przybrała protekcjonalny ton.

— A więc Maurice i jego załoga porywali dzieci dla Papy Doca?

— Tak. Maurice porywał na konkretne zamówienie, bo doktor Duvalier nie zabierał pierwszego lepszego dziecka z ulicy. Bardzo szczegółowo określał, jakie dzieci są mu potrzebne. Czasami była to dziewczynka, a czasami chłopiec. Za każdym razem inne. Dziecko musiało być urodzone konkretnego dnia, pochodzić z konkretnego regionu kraju. Nie mogło mieć więcej niż dziesięć lat. Po przekroczeniu tego wieku dzieci nie bywają już takie niewinne. Rozwijają się i szybko zamieniają w dorosłych. Widzą i wiedzą znacznie więcej.

— I duchy rozmawiają z takimi dziećmi już z mniejszą ochotą? — zapytał Max.

— Tak.

— A więc Maurice porywał dzieci, a Gustav Carver o wszystkim wiedział?

— Tak, wiedział. Więcej, odpowiadał za dobór dzieci. Doktor Duvalier zawsze informował właśnie jego, jakiego dziecka potrzebuje. Wtedy pan Carver i Maurice ruszali w teren

- 466 -

- 467

i szukali. Fotografowali dzieci jak przedmioty. Następnie pokazywali fotografie doktorowi Duvalierowi, który dokonywał odpowiedniego wyboru.

Max odniósł wrażenie, że krew zastyga mu w żyłach. Oczy Eloise nie kłamały, także mowa ciała nie wskazywała, żeby kłamała albo w panice plotła byle co. Ona po prostu mówiła prawdę.

Wszystko się zgadzało, wszystko do siebie pasowało. Wszyscy wiedzieli, że Gustav Carver miał bliskie związki z Papą Dokiem i że sięgały one daleko wstecz. Gustav był oportunistą.

Prawdopodobnie widział w Duvalierze okrutnego człowieka, takiego jak on sam, i widział w nim taką samą wolę działania bez oglądania się na wyrzuty sumienia.

— Do czego Papa Doc wykorzystywał te dzieci, a właściwie ich dusze... Do czego ich potrzebował?

— Aby zwodzić swoich wrogów.

— Wjaki sposób?

— Wszyscy mamy duchy, które się nami opiekują, można je chyba nazywać aniołami stróżami. One nas chronią, strzegą przed nierozważnymi krokami. Schwytałszy jakiegoś ducha należącego do dziecka, doktor Duvalier wykorzystywał go do własnych celów. Używał takich duchów do oszukiwania aniołów stróżów, którzy strzegli jego wrogów. Wyprowadzał ich w pole, przez co ujawniali największe sekrety swoich podopiecznych. W ten sposób na przykład dowiadywał się, czy ktoś nie chce się go pozbyć, na przykład zabić.

— I dzięki temu dostał... Co dał mu Baron Samedi? Prezydenturę?

— Tak. Kiedy już ją zdobył, Baron Samedi utrzymywał go przy władzy, na tacy podawał mu dominację nad wszystkimi wrogami. I Duvalier mógł być bezkarny tak długo, jak długo wykonywał jego polecenia.

— A ty w to wierzysz?

— Maurice powiedział, że Baron Samedi zwykle pojawiał się w pomieszczeniu w trakcie ceremonii.

— Naprawdę? A nie był to przypadkiem ten sam facet, który grał w filmie z Jamesem Bondem?

— Możesz sobie żartować, ile tylko chcesz, ale doktor Duvalier był przepotężnym człowiekiem...

— ...który zabijał dzieci, bezbronne, niewinne dzieci. Do tego nie potrzeba potęgi, Eloise. To, co robił, jest słabością, tchórzostwem i złem — przerwał Max.

— Nazywaj to, jak chcesz. — Eloise najeżyła się. — Ale to działało. Nikt go nie zabił. Nikt go nie obalił. I za jego rządów Amerykanie bynajmniej nie najechali mojej ojczyzny.

— Jestem przekonany, że obecnie wystąpiły bardziej przyziemne powody, żeby tak postąpić, a twój Doc przecież nie żyje — powiedział Max. — Opowiedz mi o Carverze i Coda-dzie. O porywaniu dzieci. W jakim momencie przerodziło się to w intratny biznes?

— Kiedy doktor Duvalier doszedł do władzy, nagroził pana Carvera różnymi kontraktami handlowymi i przywilejami. Maurice został jego doradcą do spraw bezpieczeństwa. Wielu ludzi, którzy popierali prezydenta od początku, utraciło jego łaski, jednak taka degradacja nigdy nie przytrafiła się ani panu Carverowi, ani Maurice'owi. Kiedy Papa Doc umierał, obaj czuwali przy jego łożu.

— Wzruszające — zażartował Max. — Zatem Carver wybudował swoje nowoczesne imperium na grzbietach porwanych dzieci?

— Nie tak od razu. Jego interesy rozwijały się, rosły, wypierał innych biznesmenów. To było tak jak z wycinaniem lasu, kiedy się buduje nowe drogi i miasta. Doktor Duvalier przez cały czas go potrzebował. Gdyby nie on, szybko by stracił władzę. Maurice powiedział mi, że pan Carver zrozumiał potencjalne znaczenie tej działalności, kiedy na Haiti przyjechał pewien dyrektor z firmy zajmującej się wydobywaniem boksytów. Boksyty są jednym z największych bogactw naturalnych tej wyspy. Pan Carver gotów był przystąpić do spółki

- 468 -

- 469 -

mającej na celu ich eksploatację, jednak nie zgadzał się na współpracę z żadnym podmiotem gospodarczym z Republiki Dominikany, do czego dążył ten dyrektor. Pan Carver wynajął więc prywatnego detektywa, który sprawdził firmę i zainteresował się prywatnymi sprawami członków jej zarządu. I co się okazało? Dyrektor był pedofilem. Lubił małych hai-tańskich chłopców. Pan Carver utrzymywał małego chłopca, który mieszkał w jego domu w Port-au-Prince. Nie minął tydzień i posłał chłopca do prywatnej szkoły. Kazał go uczyć etykiety — zachowania przy stole, poprawnego zachowywania się w cywilizowanym towarzystwie i...

— Czyli tego, czego później nauczalaś i ty.

— Tak.

Przed oczyma Maksa na właściwych miejscach układało się coraz więcej elementów przerażającej zagadki. Ujawniały modus operandi Carvera: nie był twórcą, lecz pasożytem. Urodził się wśród dobrobytu i zapragnął być jeszcze bogatszy. Nie postawił jednak na własną przedsiębiorczość, lecz na pod-kupywanie rywali lub bezwzględne ich niszczenie.

Max pomyślał o starym człowieku, jego domu, jego banku, jego pieniądzech. Nagle poczuł, że w

rozgrywających się wydarzeniach sam właściwie nic już nie znaczy, jest poza nawiasem. Bo kim właściwie był? Człowiekiem spełniającym dobre uczynki dla złych ludzi?

— Mów dalej — mruknął do Eloise.

— Dyrektor miał kochającą rodzinę, duży majątek, który przechodził z pokolenia na pokolenie, i dobre stosunki z niektórymi ministrami rządu Dominikany. Skandal, który mógłby wywołać Gustav, całkowicie by go pogrążył.

— Tylko mi nie mów, że Gustav Carver zaprezentował temu mężczyźnie dowody jego zbrodni i sprawił, że ten wycofał się z interesu.

— Coś w tym rodzaju, jednak nie do końca — powiedziała Eloise. — Pan Carver nie miał bladego pojęcia o eksploatacji

- 470 -

boksytów, w związku z czym i tak przyjął ludzi z Dominikany do spółki.

— I pewnie dlatego odniósł sukces, bo zrozumiał, że pedofile to elitarna, zamknięta grupa ludzi, w ramach której wszyscy o sobie wszystko wiedzą? Zaczął więc dostarczać Dominikańczykowi i jego „przyjaciołom” świeże „towary”? — podpowiedział Max.

— Właśnie.

— A ci „przyjaciele” byli biznesmenami, których Carver albo mógł pogrążyć, albo wykorzystać, poprzez ich koneksje, dla rozbudowania swojego imperium.

— Tak jest.

— Dawał im więc dzieci, a ci w zamian oferowali mu kontrakty i pieniądze?

— A co najważniejsze, rozliczne kontakty — z ludźmi takimi jak oni albo pozbawionymi zbrodni, jednak bardzo, bardzo bogatymi. Pan Carver zdobywa ludzi, przeciąga ich na swoją stronę, zmusza, żeby dla niego pracowali. W taki sposób zbudował imperium, ogromną potęgę. I to nie tylko tutaj, na Haiti. Gustav prowadzi interesy na całym świecie.

Eloise urwała i rozłożyła chusteczkę. Po chwili starannie złożyła ją w trójkąt, który znowu złożyła w kolejny, mniejszy. Dokładnie go wygładziła, przez chwilę przypatrywała się swojemu dziełu, po czym zaczęła znowu chusteczkę rozkładać.

— Ale w tym wszystkim nie chodzi wyłącznie o pieniądze i znaczenie, prawda? — kontynuował Max. — Dla Gustava liczy się też władza nad bogatymi i potężnymi ludźmi, jaką posiada. Zapewne ma dość materiałów, żeby każdego, kto nieopatrznie wpadł w jego sidła, zniszczyć dziesięciokrotnie. To on ma nad nimi władzę. Są jego niewolnikami. Kiedy każe im skakać, nie kwestionują polecenia, a jedynie pytają, jak wysoko, zgadza się?

Eloise pokiwała głową.

471

— A Allain Carver? — Paul popatrzył na Eloise. — Czy on jest w to zamieszany?

— Allain? Nie. Skądże! — Kobieta uśmiechnęła się z wyższością, a potem zachichotała.

— Co cię tak rozbawiło? — zapytał Max.

Jej głupi uśmiech zirytował go jak diabli. Był to taki belferski uśmiech na użytek ucznia, mający znaczyć: „wiem więcej od ciebie”.

— Pan Carver nazywa Allaina „córcią z kutasem”. Mawia często, że gdyby w porę wiedział, że Allain będzie pedalem, oddałby go za darmo któremuś z klientów. — Eloise roześmiała się.

— Zabawne — wtrącił się Paul. — Facet uważa, że geje to zbrodnie, a pedofile nie.

Eloise próbowała wytrzymać jego spojrzenie, jednak bez powodzenia. Znowu zaczęła się bawić chusteczką. Tym razem zrolowała ją, jak ciasto, w cylinder.

— A więc Allain o niczym nie wiedział? — Max podjął przerwany wątek.

— Ja też o niczym nie wiedziałem, Max — stwierdził Paul.

— Przecież nie jesteś synem Gustava.

— I całe szczęście. Ja jej wierzę, Max. Znam Allaina. On nawet nie ma pojęcia o większości legalnych interesów ojca. Pamiętasz, szukałem informacji o Gustavie. Ta o porwaniu dzieci jest naprawdę wielkim sekretem. Żeby zrobić coś takiego w tak małym kraju i przez tak wiele lat utrzymywać to w tajemnicy... To naprawdę wymaga sprytu i sporych zabiegów. A już utrzymać sekret przede mną...

— Wielu ludzi jest w to wplątanych — powiedziała Eloise. — Dlatego nikt o tym głośno nie mówi. Poza tym Gustav stworzył taką sieć powiązań, że każda niedyskrecja kończy się tragicznie dla kogoś, kto ma za długi język.

— Zostaje zmieciony z powierzchni ziemi — podpowiedział Paul.

Max pomyślał przez chwilę o Allainie. Postanowił, że o ile nie znajdzie dowodów, które całkowicie wykluczą go z kręgu podejrzanych, twardo Allaina przesłucha, dla pewności.

— Opowiedz mi o Arce Noego — powiedział do Eloise.

— Nikt niczego nie podejrzewał. Wszyscy myśleli, że Arka to zwyczajne przedsięwzięcie dobroczynne. I było takim... dla niepotrzebnych dzieci.

— Niepotrzebnych? Co masz na myśli?

— Nadwyżki. I tych, których nikt nie chciał kupić.

— I jak one kończą?

— Pan Carver znajduje dla nich pracę.

— Nic się nie może zmarnować. — Max popatrzył na Paula, którego twarz była ściągnięta, szczęki mocno ściśnięte, usta zamknięte. Z pozycji, w jakiej się ustawił, z jego zaciśniętych pięści Max wywnioskował, że gotów jest do zmasakrowania kobiety. Miał jedynie nadzieję, że zanim Paul wyrwie jej głowę, on sam zdoła wydobyć od niej dość interesujących go informacji.

— Kiedy zaczęłaś „przygotowywać” dzieci?

— Chyba miałam wtedy piętnaście albo szesnaście lat. Pan Carver był ze mnie bardzo dumny. Nazywał mnie swoją faworytą. — Eloise uśmiechnęła się, jej oczy zaszyły łzami i jednocześnie pojawił się w nich zimny blask ognistej dumy. — Pan Carver wiedział już co nieco o miksturach vodou, o składnikach, które potrzebne są do przyrządzenia surowicy sprawiającej, że ludzie zamieniają się w zombie. Wiele czytał na ten temat. Bez problemów potrafi wprowadzać ludzi w stan hipnozy. Powiedział mi kiedyś, że ćwiczył na dzieciach, biednych dzieciach ze slumsów.

— Co ćwiczył? Uprawiał z nimi seks?

— Nie. Dzięki hipnozie szybciej przyswajały sobie dobre maniery.

— A więc zabieranie z ulic prostych, nieokrzesanych dzieci i przekształcanie ich w posłusznych niewolników seksual-

- 472 -

- 473 -

i

nych o nienagannych manierach, potrafiących odpowiednio się zachowywać wśród ludzi ze śmietanki towarzyskiej, było pomysłem Carvera?

— Tak. Przecież nikt nie kupuje samochodu, który nie ma kierownicy czy foteli, prawda?

— Czy on to ciągle praktykuje? Hipnotyzuje dzieci?

— Owszem, od czasu do czasu. Jednak przekazał swoje umiejętności ludziom z La Gonave.

Max popatrzył na długie cienkie pęknięcie na ścianie tuż przed jego oczami. Dekoncentrowało go i sprawiało, że zaczynał wędrować myślami bardzo daleko. Był tak wściekły, że czuł nudności.

Przypominał sobie, jak stał u boku Gustava i patrzył na portret pani Carver, współczując staremu człowiekowi. Obaj byli przecież wdowcami, obaj stracili osoby, które bezgranicznie kochali. Przez chwilę nie dopuszczał, by to wspomnienie go opuściło, chciał zatrzymać je w sobie jako dowód, że Carver nie jest potworem, ale człowiekiem... że mimo wszystko jest istotą ludzką. Owego wspomnienia nie mogła w nim całkowicie zniszczyć nawet świadomość tego, co się dowiedział od Vincenta. Jednak to, co usłyszał teraz, do końca stłamsiło w nim sympatię do starego człowieka, zadziało tak, jakby rozpuścił ją w żrącym kwasie. Bardzo chciałby, żeby słowa Eloise okazały się kłamstwem, ale nie było na to żadnej szansy.

Musiał kontynuować, musiał wreszcie skończyć przedstawienie.

— Co działo się z tymi dziećmi, kiedy coś poszło niezgodnie z założeniami, kiedy na przykład dziecko próbowało uciekać albo informować kogoś o swoim losie?

— Takie sytuacje praktycznie się nie zdarzały. Nowi właściciele dzieci byli wyposażeni w surowicę, która sprawiała... — Eloise urwała. Widać było, że poszukuje w myślach właściwego słowa; uśmiechnęła się, kiedy je znalazła. — Która sprawiała, że były chętne do współpracy. W

razie czego dyspo-

474

nowaliśmy także ludźmi, którzy mogli interweniować. Właściciel dziecka otrzymywał numer telefonu, pod który mógł dzwonić w nagłych przypadkach. Wtedy już się wszystkim zajmowaliśmy.

— Taka obsługa pogwarancyjna, coś jak w przypadku pralek i telewizorów?

— Tak. — Eloise uśmiechnęła się z wyższością. — Obsługa pogwarancyjna, jak to trafnie ująłeś. W jej skład wchodziło wszystko, od przeorientowania dzieci, co oznaczało ponowne ich

hipnotyzowanie, aż po—jeśli sprawa była poważna — wyłączenie konkretnego dziecka z obiegu.

— Czyli zamordowanie go?

— Tak, bywało to konieczne — powiedziała Eloise. — Ale bardzo rzadko.

— Czy zabijaliście te dzieci, kiedy dorastały?

— To także bywało konieczne — przyznała Eloise. — Jednak rzadko. Zazwyczaj, dojrawszy, organizowały własne życie. Czasami pozostawały ze swoim właścicielem.

— Jak ty?

— Tak.

— A gdybym był klientem o specjalnych wymaganiach? Na przykład chciałbym dostać dziecko azjatyckie?

— Załatwialiśmy to bez trudu. Mamy oddziały na całym świecie. Otrzymałbyś specjalną przesyłkę drogą lotniczą.

Max uznał, że pora znowu porozmawiać o Charliem.

— A co z dziećmi niepełnosprawnymi?

— Dotąd się nimi zupełnie nie zajmowaliśmy, jestem pewna. Jednak w tym biznesie nie ma żadnych granic. Jesteśmy gotowi zdobyć każde dziecko, każdego rodzaju. O niepełnosprawne nigdy dotąd nas nie proszono — stwierdziła Eloise.

Max popatrzył szybko na Paula i potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: oni nie mieli Charliego. Oni go nie porwali.

— Kto porwał Charliego Carvera? — zapytał Max.

475

— Nikt. Ten chłopiec nie żyje. Jestem tego pewna. Maurice też jest pewien. Rozmawiał z wieloma świadkami ataku tłumu na samochód. Wszyscy mówili, że widzieli, jak chłopiec został skopany i stratowany przez ludzi, którym chodziło nie

o niego, lecz o Eddiego Faustina.

— A co z ciałem?

— Przecież to był zaledwie trzyletni chłopczyk. Takie ciało łatwo jest gdzieś po prostu zagubić.

— Czy nie uważasz, że tłum by je zostawił?

— A niby dlaczego? Przecież jakaś matka lub ojciec mogli go zabrać, nawet martwego, chociażby po to, żeby wykorzystać dla swoich dzieci jego ubranie.

Paul westchnął głęboko przez nos. Mimo że jego twarz była ściągnięta i pozbawiona wyrazu, Max wyczuł w tym oddechu głęboki ból. Paul uwierzył Eloise. Tak, jego syn nie żył.

Max spojrzał uważnie na Eloise, żeby stwierdzić, czy czegoś nie zauważyła, ona jednak miała wzrok wbity w posadzkę

i bawiła się rogami chusteczki.

Nie był pewien, czy Charlie żyje, czy nie. Jakiś wewnętrzny głos krzychał w nim, że chłopiec mimo wszystko wciąż żyje.

A co z Filiusem Dufourem? Co z pewnością Franceski, jego matki? Ona przecież nie dopuszczała do siebie myśli, że chłopiec może być martwy.

Głos rozsądku zaraz niweczył te nadzieje.

Daj spokój. Przecież nie będziesz wierzył przepowiadaczo-wi przyszłości ani zrozpaczonej matce!

Max już prawie skończył z Eloise.

— W jaki sposób Gustav Carver był zaangażowany w bieżące prowadzenie tego biznesu?

— Aż do zawału serca był bardzo zaangażowany. Jak już ci wcześniej powiedziałam, to on jest Panem Klarinetem.

— Jak bardzo?

— Jego zadaniem było hipnotyzowanie dzieci.

— Wjaki sposób?

— Znalazłeś płytę kompaktową w gabinecie? Max pokiwał głową.

— Słuchałeś jej już?

— Jeszcze nie. A co tam usłyszę?

— Do-re-mi-fa-sol... pojedyncze nuty, grane na klawirze, z krótkimi przerwami pośrodku każdej kolejnej. Na każdej płycie jedna z nut grana jest dłużej. Na przykład na niebieskiej dłuższe jest re, na czerwonej fa i tak dalej. To są kody — wyjaśniła Eloise. — Umieszczane są w trakcie hipnozy w mózgach dzieci. Stosowany przez nas proces hipnozy ma sześć etapów. Pierwsze trzy oczyszczają mózg z dotychczasowej wiedzy i doświadczeń, a kolejne trzy umieszczają w nim to, co jest pożądane z naszego punktu widzenia. Na przykład: mnóstwo naszych dzieci, a właściwie dziewięćdziesiąt dziewięć procent spośród nich, zostało zabranych właściwie z ulicy. Nie miały zielonego pojęcia o tym, jak się zachowywać przy stole, nie potrafiły używać widelców i noży. Jadły posiłki rękami, jak małpy. W procesie hipnozy oducza się ich takich zachowań jak konsumpcja przy użyciu palców. Zapominają, że kiedykolwiek jadały w taki właśnie sposób. Oduczamy ich pewnych rzeczy, tak chyba należy to nazywać.

— Przecież taką naukę można przeprowadzić w zupełnie inny sposób.

— Oczywiście. Większość ludzi uczy się przez powtarzanie czynności, dzięki próbom i błędom. Taka nauka zabiera jednak mnóstwo czasu — wyjaśniła Eloise.

— A więc umysły waszych dzieci łączą pewien wzór zachowań z pewnymi konkretnymi kodami? To takie reakcje, jak reakcje psa, który jest nauczony, żeby siadać i machać ogonem za każdym razem, kiedy usłyszy dźwięk dzwonka? Reakcje psa Pawłowa?

— Właśnie. Chodzi o uwarunkowanie.

— Pozwól, że zgadnę coś jeszcze: zбочeńcy używają kodów, żeby utrzymywać dzieci w posłuszeństwie?

- 476 -

- 477 -

— Tak. — Eloise pokiwała głową. — Kody wywołują takie reakcje, jakie opisał Pawłow. Aby otrzymać od dziecka to, czego akurat sobie życzą, klienci grają pewien zestaw kodów. Na przykład, żeby uzyskać pełne podporządkowanie seksualne, grają płytę, na której kody odtwarzane są od tyłu. Jeśli chcą, żeby dziecko zachowywało się jak najbardziej poprawnie w towarzystwie osób dorosłych, odtwarzają płytę, na której dominującą nutą jest re. Rozumiesz?

— Doskonale — mruknął Max niechętnie.

Popatrzył na Paula i poczuł na sobie jego wzrok. Wyczuł, że fala wściekłości powoli go opuszcza. Znowu skupił uwagę na Eloise.

— Używałaś także mikstury zombie, prawda? — zapytał.

— Skąd wiesz?

— Mam to wszystko na taśmie.

— Taśmę? Gdzie ją znalazłeś? — Eloise wyglądała na zaniepokojoną.

— To nie ma znaczenia. Odpowiedz na moje pytanie: do czego używaliście soku zombie?

— Poiliśmy nim dzieci, żeby były uległe i łatwiej przyswajały nasze polecenia. Oglupionym umysłem łatwiej jest manipulować.

Max potrząsnął głową, a potem przez chwilę masował skronie. Musiał to przerwać, musiał koniecznie stąd wyjść. Nie wolno mu już było tego słuchać.

— Mówisz więc, że na tych płytach nagrany jest Gustav Carver, tak? To on gra na klawirze?

— Dawniej często sam uczestniczył w seansach hipnozy. Siadał i grał na klawirze tak długo, aż dzieci stawały się potulne i bezwolne. Kiedy dotrzesz do naszej siedziby w La Gonã-ve, zobaczysz nasz zbiór nagrań na wideo. Jest tam mnóstwo taśm i fotografii przedstawiających Gustava w otoczeniu dzieci. Maurice powiedział mi kiedyś, że zapytał Gustava, dlaczego osobiście gra dla tych dzieci, dlaczego po prostu nie zapisze

melodii na płycie. Pan Carver odpowiedział wtedy, że w takich momentach osiąga w relacji z tymi dziećmi stan, który jest najbliższy poczuciu absolutnej władzy.

— Kiedy przestał grać?

— Jakoś tak w połowie lat dziewięćdziesiątych. Z powodu choroby. Cóż, właściwie odszedł na emeryturę, jednak jego legenda przetrwała do dziś.

— Pan Klarnet, czyli Tonton Clarinette?

— Tak. Już mówiłam, Pan Klarnet to prawdziwa osoba. Jest nim pan Carver, Gustav Carver.

— Ale skoro to wszystko ma być tajne, w jaki sposób legenda się rozprzestrzeniła?

— W ciągu tych lat kilkoro dzieci nam uciekło — odparła Eloise bardzo cicho. — Właściwie nie nam, ale swoim właścicielom. Troje wciąż jest na wolności.

— Czy jeden z nich nosi nazwisko Boris Gaspésie?

— Tak. Skąd wiesz?

— Ja pytam, ty odpowiadasz. Pozostali?

— Boris to chłopiec i są jeszcze dwie dziewczynki: Lita Ra-vix i Noëlle Perrin.

Max zapisał dwa nazwiska i wtedy uznał, że właściwie już skończył z Eloise. Posłał jej ostatnie długie, twarde spojrzenie, szukając w jej szurzących rysach choćby jakiegoś drobnego śladu żalu albo wstydu z powodu tego, co przez wiele lat robiła. Na nic takiego jednak nie natrafił.

Skinął na Paula, dając mu znać, że to koniec przesłuchania, po czym pośpiesznie wyszedł z pomieszczenia.

53

Max nerwowo chodził w tę i z powrotem po chodniku przed domem. Informacje, które usłyszał od Eloise, sprawiły, że w głowie mu się wprost kotłowało.

- 479 -

Wiedział, że musi teraz osobiście zobaczyć i sprawdzić wszystkie dowody, a potem skonfrontować je z Gustavem Carverem — mimo że w sumie nie miał wątpliwości, iż Eloise powiedziała mu prawdę. Nie miała w sobie nic z kłamczyni, instynkt samozachowawczy bowiem już dawno temu brutalnie jej odebrano. Kłamcy zdradzali się poprzez niekonsekwencje i absurdalność swoich opowieści, w które często wplatali idiotyczne detale. To, co opowiedziała Eloise, było spójne, składne i zmierzało w jednym, wyraźnie widocznym kierunku.

Nie mógł jednak zrozumieć, co właściwie sobie wyobrażał Gustav, angażując ludzi z zewnątrz, żeby poszukiwali Charlie-go? Czy nie pomyślał, że detektywi spoza Haiti mogą, choćby przez przypadek, zdemaskować jego odrażającą działalność? Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ryzykuje?

Im dłużej Max się zastanawiał, tym większą zyskiwał pewność, że Gustav był całkowicie świadomy tego, co robi. Ludzie tacy jak Gustav nigdy nie ryzykowali na ślepo, ich działania zawsze były chłodno wykalkulowane. Dokładnie badali każdy kawałek gruntu, po którym dane im było stąpać.

A jednak, jak każdy tyran, Carver z pewnością kierował się w postępowaniu swoją indywidualną logiką. Nigdy nie podejmował wyzwania, jakiemu nie byłby w stanie sprostać. Zatem, co właściwie mogło wyniknąć z tego, że on, Max, poznał jego mroczne tajemnice? Co mogła zrobić pojedyncza osoba wobec sieci kontaktów Carvera, który — jeśli był chociaż w jednej setnej tak potężny, jak sugerowała Eloise — mógł ją praktycznie zmieść z powierzchni ziemi? Carver uważał się za człowieka nietykalnego i miał ku temu podstawy.

Czy to właśnie on stał za tym, co przydarzyło się Beesonowi i Meddowi? Czyżby obaj dotarli aż tak blisko? Nie. Max tak nie uważał. A przynajmniej nie mógł dotrzeć do tego wszystkiego Beeson. Poza tym, gdyby chciał Carvera szantażować, ten po prostu kazałby go zabić. Nie było sensu pozostawiać go przy życiu, skoro mógłby naopowiadać ludziom, co wiedział.

Należało się zastanowić nad pierwotnym powodem, dla którego Max przybył na Haiti. Tym powodem był Charlie Carver. Co stało się z chłopcem?

Max nie miał pewności, ale podejrzewał, że dziecko nie żyje.

A Eddie Faustin? Jaką on grał w tym wszystkim rolę? Bez żadnych wątpliwości Faustin chciał porwać chłopca tego samego dnia, kiedy stracił życie. Cekał na porywaczy. Mieli się zjawić i

zabrać Charliego z wcześniej ustalonego miejsca, w całą sprawę wmieszał się jednak tłum ludzi i wydarzenia przyjęły zupełnie nieoczekiwany i zły dla porywaczy obrót.

Czy na pewno?

A może Eddie po prostu wpadł w pułapkę, może go oszukali wspólnicy, którzy mieli uczestniczyć w porwaniu? To było możliwe. Ci ludzie mogli zapłacić nędzarzom, żeby rozpoczęli rozróbę wokół samochodu i żeby zabili byłego członka Maco-ute. Miałoby to sens, gdyby porywacze chcieli uniknąć identyfikacji lub podejrzeń.

Jednak Codada powiedział, że Faustin był lojalny wobec Gustava Carvera, który go kochał jak ojciec. Niby dlaczego miałyby więc nagle zdradzić Gustava? Co zaproponowali mu porywacze? A może nie było żadnej oferty, lecz zwyczajny szantaż? To by nie było trudne, w końcu były członek Maco-ute miał ręce wprost uwalane krwią.

Ile Faustin wiedział o ohydnych interesach Gustava? Czy porwanie miało z tym jakikolwiek związek?

Ale dlaczego właśnie Charlie?

W jakim kierunku on, Max, powinien prowadzić dalsze śledztwo?

Tego akurat nie wiedział. Zabrnął w ślepy zaułek. Co teraz?

- 480 -

- 481 -

Pół godziny później dołączył do niego Paul.

— Dokładnie opisała mi położenie miejsca na La Gonâve, którego szukamy. W tej chwili przetrzymują tam mniej więcej dwadzieścioro dzieciaków. Wywozili je tam łodzią towarową. Każdego miesiąca wypełniają ładownię nowymi dziećmi — powiedział. — Te, które są obecnie na La Gonâve, odbijemy jutro wieczorem.

— A co z żołnierzami?

— To będzie wspólna operacja z ONZ. Mam tam dobrych przyjaciół — wyjaśnił Paul.

— Co z Gustavem?

— Ty się nim zajmiesz.

— Ja?

— Tak, ty. Jutro. Chcę uniknąć ofiar śmiertelnych. Gdybyśmy zbliżyli się dużym oddziałem do posiadłości Carvera, jego ludzie z pewnością zaczęliby strzelać. Bardzo blisko stacjonują Amerykanie; od razu zainteresowaliby się strzelaniną. Znam ich na tyle, by mieć pewność, że wystrzelaliby nas wszystkich, a na do widzenia życzyliby jeszcze Carvero-wi miłego dnia.

— Przecież Carver ma szczelną i liczną ochronę.

— Dostaniesz odpowiednie wsparcie. Nasi ludzie będą w pobliżu, gotowi do działania na twój sygnał. Będiesz z nimi w kontakcie radiowym.

— Zakładając, że wydostanę go z domu, dokąd mam go zabrać?

— Na główną drogę. My już się wtedy nim zajmiemy. Max nie chciał tego robić. Do tej pory nigdy nie musiał

występować przeciwko własnemu klientowi, a przecież wciąż pamiętał, jak dobre wrażenie wywarł na nim Gustav podczas ich pierwszego i jedyne spotkania.

— Uprzedź jednak Francescę, Vincent. I Allaina też. Nie chcę, żeby się znajdowali na miejscu w krytycznej sytuacji.

482

— Załatwione — powiedział Vincent i skierował się z powrotem do budynku.

— A co z nimi, z Codadą i Eloise? — zapytał Max. — Zamierzasz darować im życie?

— A ty byś im darował?

54

Nad ranem Max obudził się, usłyszawszy natarczywy dzwonek telefonu. Po drugiej stronie był Joe. Zaczął od przeprosin. Powiedział, że był dotąd zbyt zajęty, by zająć się tym, o co prosił Max.

Max odparł, że koniecznie musi pogadać z Clyde'em Beeso-nem. Joe stwierdził, że zatelefonował właśnie w tej sprawie.

Beesona znaleziono martwego w jego przyczepie campingowej. Oględziny zwłok wykazały, że nie

żył co najmniej od dwóch tygodni. Jego pitbull zdażył zjeść mu całą nogę, a zjedzeniu drugiej zapobiegli policjanci, którzy włamali się do środka. Chociaż nie przeprowadzono jeszcze sekcji zwłok, wszystko wskazuje na to, że Beeson popełnił samobójstwo. W dłoni trupa znajdowało się magnum.

Max nie przerywał przyjacielowi, słuchając wiadomości, gorzko rozczarowany, że nie będzie już miał możliwości przeprowadzenia z Beesonem szczegółowej rozmowy na temat sprawy, która zniszczyła jego życie.

Samą jego śmiercią nie był wstrząśnięty ani zaskoczony. Już kiedy był u niego ostatni raz, widział, że zbliża się wielkimi krokami. Beeson zniszczył wielu ludzi i zdawał sobie sprawę, że i na niego przyjdzie niechlubny koniec.

Max nie odczuł smutku ani nawet odrobiny żalu, jedynie pogardę.

— Czy istnieją słowa, jakimi chciałbyś pożegnać zmarłego Clyde'a Beesona, Max? — zapytał Joe.

— Tak. Adios, skurwysynu.

- 483 -

55

Zobaczywszy Maksa wchodzącego do salonu, Gustav Carver ciepło się uśmiechnął. Jego szeroka, brzydka twarz gargulca przybrała wyraz rodem z rysunkowych horrorów, kiedy ujrzał Maksa; najpierw się zdziwił, a potem okazał na jego widok zadowolenie. Brwi starego człowieka uniosły się wysoko na czoło.

— Max! Witam cię! — krzyknął przez pusty salon.

Na powitanie podali sobie ręce, po czym Carver zdawkowo objął ramiona gościa. Przez chwilę obaj stali naprzeciwko siebie. Carver zwolnił uścisk, ponieważ zaraz musiał podeprzeć się na lasce.

Zachwiał się i pewnie by upadł, gdyby Max mu nie pomógł. Gustav szybko odzyskał panowanie nad sobą. Zauważył przestrach w oczach Maksa, zachichotał, jakby go kokietował. Czuć było od niego intensywny zapach alkoholu, papierosów i piżmowej wody po goleniu.

W kącie salonu Max dostrzegł wysoką choinkę bożonarodzeniową. Stała niedaleko portretu Judith Carver. Wśród jej gałązek schowane były ozdobne lampki, które świeciły po kolei na czerwono, purpurowo i niebiesko, po czym wszystkie zapalały się intensywnym białym światłem i znów zmieniały kolory w zaprogramowanej kolejności. Choinka udekorowana była złotymi i srebrnymi papierowymi łańcuchami, okrągłymi bombkami w różnych kolorach i złotą gwiazdą na szczycie. W pięknym, gustownie urządzonym domu Carvera wprost zaskakiwała tandetą.

Gustav chyba odczytał myśli Maksa.

— To dla służących. Te cholerne migające światełka ich fascynują. Jednego wieczoru w ciągu roku pozwalam im korzystać z tego salonu. Kupuję prezenty im i ich dzieciom, a oni tutaj przychodzą i wyciągają je spod choinki. Max, lubisz Boże Narodzenie?

— Nie jestem już tego pewien, panie Carver — odparł Max cichym głosem.

484

— Ja nienawidzę. Właśnie w Boże Narodzenie straciłem Judith.

Max milczał, bynajmniej nie z zakłopotania. Chciał, żeby jego sztywna postawa dała wreszcie staremu człowiekowi do myślenia.

Gustav w końcu popatrzył na niego z zainteresowaniem. Zmarszczył czoło i przymrużył oczy. W ich kącikach pojawiły się zaraz gęste zmarszczki, a na twarzy zagościła czujność i nieprzyjazne zniecierpliwienie. Max przez moment patrzył mu w oczy, nie zdradzając na razie niczego poza obojętnością, która w normalnej sytuacji byłaby teraz nie na miejscu.

— Napijemy się? — Ze strony Carvera było to raczej polecenie niż propozycja. Machnął laską w kierunku sofy i foteli. — Usiądźmy.

Z trudem usiadł w fotelu. Kilkakrotnie stęknął z wysiłku, a kości jego nóg głośno zatrzeszczały. Tym razem Max nie pośpieszył mu z pomocą.

Gustav klasnął w dłonie i krzyknął na służących. W ciemnym korytarzu za drzwiami coś zaszurało i w salonie natychmiast zjawiła się dziewczyna w czarno-białym uniformie. Zapewne przez cały czas czujnie czekała na to wezwanie. Carver zamówił whisky.

Max usiadł na sofie blisko jego fotela.

Carver pochylał się ku stolikowi i sięgnął do srebrnego pudełka wypełnionego cygarami. Wziął jedno z nich, po czym zabrał ze stolika popielniczkę z przydymionego szkła. Leżała na niej srebrna zapalniczka. Zapalił cygaro, głęboko się zaciągnął, przez kilka sekund przytrzymał dym w płucach, po czym powoli go wydmuchnął.

— To cygara z Republiki Dominikany — powiedział, unosząc cygaro lekko w górę. — Kiedyś produkowano je także tutaj. Ręcznie zwijane. W Port-au-Prince był sklep, który prowadziły dwie kobiety, były siostry zakonne. Sklep był niewielki i nazywał się po prostu „Le Tabac”. Kobiety

całymi

- 485

dniami wysiadywały w nim przy oknie i zwijały cygara. Kiedyś obserwowałem je przez całą godzinę. Usiadłem po prostu na tylnym siedzeniu samochodu i patrzyłem na nie. Były całkowicie skoncentrowane, w stu procentach oddane swojej pracy. Co za zręczność, co za precyzja. Co jakiś czas do sklepu wchodził klient i przeszkadzał im, bo chciał kupić kilka cygar. Wtedy jedna z nich przechodziła za ladę, a druga nadal pracowała przy oknie. Najwspanialszą rzeczą w ich cygarach było to, że wszystkie były identyczne. Jednego od drugiego nie sposób było odróżnić.

Nadzwyczajne. Co za precyzja, co za oddanie własnej pracy. W końcu zacząłem tam przyprowadzać własnych pracowników, żeby obserwowali, jak te kobiety pracują. Mieli się od nich uczyć, żeby później z równym oddaniem, precyzją i skupieniem pracowali dla mnie. A cygara były wspaniałe. Miały głęboki, bogaty aromat i dawały wspaniały dym. To były chyba najlepsze cygara, jakie kiedykolwiek paliłem. Te tutaj nie są złe, jednak ciągle wspominam cygara z Port-au-Prince.

— Co się stało ze sklepikiem? — zapytał Max raczej przez grzeczność niż z zainteresowania.

Musiał odchrząknąć i powiedzieć cokolwiek, żeby jego głos nabral odpowiedniej barwy i stanowczości. Zaczynał się denerwować, pulsowała w nim ciemna energia, która usztywniała mięśnie i sprawiała, że serce biło mu znacznie szybciej i — zdawało mu się — głośniejsze niż zazwyczaj.

— Och, jedna z tych kobiet zapadła na chorobę Parkinsona i stała się niezdolna do pracy. Druga zamknęła więc sklep i jedynie się nią opiekowała. Przynajmniej tak słyszałem.

— Przynajmniej nie był to rak.

— Żadna z nich nie paliła. — Carver roześmiał się. W tej samej chwili do salonu weszła służąca z butelką whisky, wody, kubkiem lodu i dwiema szklankami na tacy. — O tej porze roku zawsze piję i palę. Pieprzyć doktorów. A ty? Masz ochotę sprawić sobie przyjemność? — Carver wskazał na cygara.

Max potrząsnął przecząco głową. — Ale razem ze mną wypijesz?

Było to polecenie, a nie zaproszenie. Max potrząsnął głową i próbował się uśmiechnąć, ale przywołał na usta jedynie krzywy grymas. Nie był w tej chwili szczery wobec starego człowieka i nie potrafił takiego grać.

Carver rzucił w jego stronę zaciekawione spojrzenie. Wreszcie zaczął coś podejrzewać. Zaraz jednak skierował całą uwagę na służącą, która zaczęła nalewać alkohol do szklanek. Carver natychmiast wziął swoją, bez wody i bez lodu. Max poprosił o whisky z lodem, a wody kazał sobie nalać prawie po brzeg szklanki. Kiedy służąca wyszła, obaj mężczyźni stuknęli się szklankami i wzniesli toast za swoje zdrowie i za nadchodzący nowy rok. Carver dodał życzenie, by Max szczęśliwie doprowadził do końca swoje śledztwo na Haiti. Ten uśmiechnął się i powiedział, że pije i za to.

W domu długo siedział w salonie i rozmyślał, starając się znaleźć najlepszy sposób, żeby powiedzieć Carverowi, co o nim wie. Najpierw chciał po prostu stanąć przed nim, wyrzucić z siebie wszystkie straszne informacje i zaciągnąć go do samochodu. Uznał w końcu, że tak postąpić nie może z jednego powodu: nie był już policjantem.

Postanowił wreszcie, że nakłoni Carvera, by do wszystkiego się przyznał, by opowiedział, jak działała przez długie lata jego „firma”. Może będzie chciał coś wyjaśnić, może się będzie usprawiedliwiał? Przez cały dzień Max planował tę rozmowę, a teraz czuł jedynie pustkę w głowie. Cały dzień planował strategię, zakładając i roztrzęsając różne możliwe zwroty w rozmowie, przygotowując sobie wszelkie odpowiedzi i reakcje na słowa Carvera. Wielokrotnie powtarzał sobie na głos pytania, jakie zamierzał mu zadać, ćwiczył nawet własny głos, aż osiągnął właściwy jego

ton, dokładnie taki, jakim zamierzał się posługiwać: dźwięczny, przyjazny, otwarty, szczerzy, mający skłonić starego człowieka do wynurzeń.

- 486 -

- 487 -

Po południu zadzwonił Paul. Powiedział mu, że powinien wyciągnąć Carvera z domu po akcji na La Gonave. Da mu sygnał, że już czas, a sygnałem tym będzie telefon od Allaina z zaproszeniem do posiadłości w celu zreferowania postępów w śledztwie. Allain był niezbyt zadowolony, że musiał wykonać ten telefon. W końcu zdradzał własnego ojca, a nie jakiegoś pierwszego lepszego przestępcę.

Przed zmrokiem Max miał cały plan doskonale ułożony w głowie. Wziął prysznic, ogolił się, przebrał w luźną koszulę i spodnie. Około dziewiątej zadzwonił Allain. Max zrozumiał, że operacja Paula zakończyła się sukcesem.

Na drodze do posiadłości został zatrzymany przez kilku ludzi Paula w dziupie. Wręczyli mu otwartą kopertę i powiedzieli, że kiedy nadejdzie czas, powinien ją dać Gustawowi.

Wyjaśnili mu też, że przebieg rozmowy będzie rejestrowany i przekazywany bezpośrednio Paulowi. To wszystko zepsuło — przynajmniej w jego głowie.

Nigdy dotąd nie nosił przy sobie urządzenia podsłuchowego. Zawsze znajdował się przy urządzeniu odbiorczym, i to on słuchał, podsłuchiwał. Podsłuchiwał małe robactwo, szkodniki, które miały go doprowadzić do jeszcze większych szkodników.

Teraz wytłumaczono mu, że podsłuch jest niezbędny dla jego własnego bezpieczeństwa, że nie może wejść do posiadłości Carvera wyposażony jedynie w proste walkie-talkie.

Tak, oczywiście, miało to sens, jednak wątpliwości wzbudzała druga strona zagadnienia. Max miał być kapusiem Paula, kapusiem, który nakłoni Gustava Carvera do przyznania się do winy i który wszystko zarejestruje na taśmie, przez co wyrok śmierci na starego człowieka zostanie bezapelacyjnie podpisany.

Pomyślał o tym — niezbyt długo, ponieważ nie miał na to czasu i w zasadzie żadnego wyboru.

Mógł jedynie zaakceptować decyzję Paula.

- 488 -

Wrócił razem z jego ludźmi do siebie do domu. Ogolił klatkę piersiową i przyklepiono mu mikrofon, tuż nad piersią. Przewód prowadził od mikrofonu do paska spodni i zatkniętego przy nim urządzenia nadawczego oraz akumulatora.

Przeprowadzili test. Urządzenie działało doskonale.

Wrócili do samochodów. Max zapytał, jak się przedstawia sytuacja na La Gonave. W odpowiedzi usłyszał, że bardzo dobrze.

Ponownie jadąc do posiadłości Carverów, sam przed sobą przyznał, że na Boże Narodzenie bardzo by chciał otrzymać jeden jedyny wspaniały prezent: zakończenie całej tej ponurej sprawy, możliwość wyjazdu z Haiti i ucieczki od Carvera.

Właściwie wszystko wskazywało na to, że sprawa jest zakończona. Charlie Carver nie żył, a jego zwłok najprawdopodobniej nikt nigdy już nie znajdzie. Tłum, który zabił Eddie-go Faustina, najprawdopodobniej strącił chłopca, a jego szczątki stały się nierozpoznawalnymi ochłapami. Takie rozwiązanie pasowało do wszystkiego, czego się do tej pory dowiedział, miało sens, jeśli się nad tym chłodno zastanowić.

Jednak nie dla Maksa. Nie mógł jeszcze uznać sprawy za zakończoną, bo gdyby tak zrobił, pewnie do końca życia nie mógłby spokojnie spać.

By się przekonać, że chłopiec nie żyje, potrzebował więcej dowodów.

Ale jak je zdobyć? I właściwie po co?

Kogo w tej chwili oszukiwał? Przecież, do cholery, nie był już prywatnym detektywem. Gra była skończona. On sam także był skończony. Nastąpiło to w momencie, w którym w Nowym Jorku zastrzelił te dzieciaki. Przekroczył linię, zza której już się nie powraca. Był skazanym mordercą, z zimną krwią zabił trzy młode osoby. To już samo w sobie przekreślało całą jego przeszłość i uniemożliwiało mu walkę o ideały, którymi kiedyś się kierował.

- 489 -

Na dodatek zastawiał pułapkę na swojego niedawnego klienta. Nigdy dotąd nie zdradził klienta i nigdy nie słyszał

o detektywie, który by tak postąpił. Do czegoś takiego nie posunął się nawet Beeson. Było to coś, czego nie robił żaden detektyw, część długiego kodeksu świętych niepisanych zasad etycznych tego zawodu.

Carver pił, co nie mogło być zaskoczeniem, bardzo dobrą whisky. Max wręcz czuł jej jakość unosząc się znad szklanki mimo sporej ilości wody, którą do niej wlał.

— Zaraz zejdą do nas Allain i Francesca — powiedział Carver.

„Nie, nie zejdą”, pomyślał Max. Minął ich oboje po drodze, kiedy w towarzystwie ludzi Paula zmierzał do posiadłości. Jechali w przeciwnym kierunku.

— A więc jak postępuje śledztwo? — zapytał Gustav.

— Niezbyt dobrze, panie Carver. Odnoszę wrażenie, że za-brnąłem w ślepy zaułek.

— To się zdarza w twoim zawodzie. Tak jak w każdym, który wymaga logicznego myślenia.

Podążasz jakąś drogą

i nagle natrafiasz na przeszkodę nie do przebycia. Co wówczas należy zrobić? Zawrócić do punktu wyjścia i rozpocząć wszystko od nowa.

Carver przewiercił Maksa spojrzeniem praktycznie całkowicie czarnych oczu. Stary człowiek ubrany był tak, jak Max zapamiętał go z ostatniego spotkania — w beżową marynarkę, białą koszulę i błyszczące skórzane buty.

— Czy to twoje zwątpienie ogarnęło cię dawno temu? Za ledwie przed kilkoma dniami Allain powiedział mi, że na coś natrafiłeś i śledztwo jest bliskie przełomu. — W głosie Carvera dało się teraz wyczuć zniecierpliwienie i pogardę. Zdusił w popielniczce cygareto i odstawił ją na stolik. Niemal natychmiast do salonu weszła służąca i brudną popielniczkę zamieniła na czystą, identyczną.

— Bo na coś natrafiłem — przyznał Max.

- 490 -

— No i co?

— To nie było to, czego się spodziewałem.

Gustav uważnie wpatrzył się w twarz Maksa, jakby dopiero teraz zauważył w niej coś, czego dotąd nie widział. Po chwili lekko się uśmiechnął.

— Znajdziesz mojego wnuka — powiedział. — Wiem, że go znajdziesz. — Sięgnął po szklankę z whisky.

Max pomyślał, że może na to zareagować na trzy sposoby: dowcipem, sarkazmem i gwałtownie, konfrontacyjnie. Nie wybrał jednak żadnego z nich, a tylko lekko się uśmiechnął i wbił spojrzenie w podłogę, sugerując Carverowi, że jego słowa miło go polechtały.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Carver, znów wpatrując się w niego badawczym wzrokiem. — Sprawiasz wrażenie, jakbyś nie był sobą.

— A więc kim niby jestem? — odpowiedział Max pytaniem.

— Wiem, kim powinienes być. Mężczyzną, którego bardzo polubiłem i którego podziwiam.

Bezwzględny likwidator złooczyńców Johnem Wayne'em-Mingusem. Mówisz mi, że przychodzisz z niczym? Mam nadzieję, że nie spędziłeś nocy z którąś z lokalnym kurew, co? Jak taka rozłoży nogi, od razu znajdziesz pomiędzy nimi całą encyklopedię chorób wenerycznych. — Carver zachichotał. Nie zdawał sobie sprawy, co się zaraz będzie działo. Max zadał mu przed chwilą pierwsze pytanie. Przesłuchanie się zaczynało.

Max potrząsnął przecząco głową.

— Co się więc z tobą dzieje? — Carver pochylił się, z całej siły klepnął go w plecy i roześmiał się głośno. — Przecież nawet nie ruszyłeś tego cholernego drinka!

Max popatrzył na Carvera twardym wzrokiem. Ten momentalnie przestał się śmiać. Po jego twarzy wciąż błąkał się słaby uśmiech, lecz nie było w nim już wesołości; miał odsłonięte zęby i zmarszczki w kącikach wykrzywionych ust. Rozbawienie natychmiast zniknęło z twarzy Gustava.

- 491 -

— To Vincent Paul, prawda? — Gustav usiadł prosto. — Rozmawiałeś z nim. Naopowiadał ci o

mnie różnych rzeczy, prawda?

Max nie odpowiedział, nie pozwalał się wyprowadzić z równowagi. Nadal wpatrywał się twardo, lecz z obojętnym wyrazem twarzy, w Carvera.

— Jestem pewien, że opowiedział ci o mnie straszne rzeczy. Takie, że teraz pytasz sam siebie, czy powinieneś dla mnie pracować, bo przecież jestem potworem. Musisz jednak pamiętać, że Vincent Paul mnie nienawidzi, a człowiek, który nienawidzi tak mocno, zawsze będzie robił wszystko, żeby uzasadnić swoją nienawiść. Zwłaszcza będzie przekonywał innych, żeby myśleli tak samo jak on.

— Carver znowu się roześmiał, jednak unikał wzroku Maksa. Wziął z pudełka na stoliku kolejne cygaro. Zanim je zapalił i wsunął do ust, długo stukał jego końcówką w dłoń. — Ty, Max, jesteś takim facetem, którego nie powinienem chyba długo o tym przekonywać.

— On nie porwał Charliego — powiedział Max.

— Och, co za cholerna brednia! — krzyknął Carver i dłoń, w której trzymał cygaro, zdusił w pięść.

— W dniu, w którym porwano Charliego, był tam, na miejscu, jednak to nie on jest porywaczem — kontynuował Max. Odrobinę podniósł głos, ale pozostawał spokojny.

— Co się z tobą dzieje, Mingus? — zapytał Carver odrobinę chrapliwym głosem. — Mówię ci, to on.

— A ja mówię panu jasno i wyraźnie, że to nie on. On tego nie zrobił. Porywanie dzieci nie jest jego specjalnością, panie Carver — stwierdził Max stanowczo.

— A Le jest przecież handlarzem narkotyków.

— W gruncie rzeczy baronem narkotykowym — poprawił Max.

— Żadna różnica. Czy baronowie w tym interesie żyją dłużej?

— Można tak powiedzieć, owszem.

— Co więc naopowiadał ci ten Vincent Paul?

— Dużo rzeczy, panie Carver. Bardzo dużo rzeczy.

— Na przykład? — Carver w pogardliwym geście rozłożył ręce, zachęcając Maksa do mówienia.

— Powiedział ci, co zrobiłem jego ojcu?

— Tak. Zrujnował pan jego karierę i...

— Nie zrujnowałem żadnej kariery. Biedny dureń i tak szybko wypadłby z biznesu. Po prostu skróciłem jego gehennę.

— Zniszczył pan posiadłość rodziny. Nie musiał pan tego robić.

— Byli mi winni pieniądze. Odebrałem je. W miłości i na wojnie panują proste zasady. A prowadzenie interesów to jest wojna i ja kocham tę wojnę. — Carver zaśmiał się kwaśno. Dolał sobie whisky. — Jak się poczułeś, kiedy Paul opowiedział ci swoją łzawą historię?

— Zrozumiałem, dlaczego Vincent Paul pana nienawidzi, panie Carver — odparł Max. — I nawet współczuję komuś takiemu jak on, człowiekowi, który ze swoją nienawiścią musi funkcjonować w miejscu takim jak Haiti, gdzie każdy wart jest tylko tyle, na ile sam siebie wyceni, i gdzie obowiązującym kanonem sprawiedliwości jest stara zasada „oko za oko, ząb za ząb”. I rozumiem, w jaki sposób ktoś taki jak pan, kto doskonale zna prawdziwe znaczenie słów „nienawiść” i „nienawidzić”, mógł przyjąć również za swój punkt widzenia zapatrywanie kogoś takiego jak Vincent Paul — człowieka, który nienawidzi innego człowieka z powodu zatargu z przeszłości. Nie mógł pan przyjąć innej postawy, panie Carver. Ponieważ dla pana nie istnieje inna droga. Nienawiść rodzi nienawiść, pan to rozumie i nie ma pan nic przeciwko temu. Panu to doskonale pasuje.

— A więc uważasz mnie za „potwora”? Witaj w klubie.

— Nie nazwałbym pana potworem, panie Carver. Jest pan tylko człowiekiem. W większości ludzie są dobrzy, bywają lu-

- 492 -

- 493 -

dzie źli, ale istnieje też grupa ludzi bardzo, bardzo złych, panie Carver — powiedział Max cicho, lecz z naciskiem, nie odrywając oczu od starego człowieka.

Carver westchnął, dopił do końca whisky i wrzucił do szklanki niedopałek cygara. Niedopałek zasyczał i zaraz zgasł na wilgotnym dnie naczynia.

— Uwierzyłeś słowu diler narkotyków. Ba, uwierzyłeś arystokracie w tej dziedzinie, jak to ująłeś.

Jesteś policjantem, Max, sponiewieranym i przegranym policjantem, ale kiedy raz się zostaje gliną, jest się już nim na całe życie. Chyba wiesz, jakie spustoszenie sięją narkotyki wśród twoich rodaków, wśród ich dzieci. Sam to widziałeś, obserwowałeś. Widzieli to twoi koledzy i przyjaciele. Narkotyki są dla zachodniego społeczeństwa największym zagrożeniem. A ty tymczasem lekkomyślnie bierzesz stronę jednego z ich największych dostawców.

— Wiem, co robi Vincent Paul, panie Carver. Ale wiem także — od kilku godzin — co pan wyrabia.

— Nie rozumiem.

— Cóż. W tej właśnie chwili pańską posiadłość na La Go--Nav obejmują nowi właściciele. Biznes, który pan tam prowadzi, został zamknięty.

Słowa te uderzyły Carvera tak błyskawicznie i tak mocno, że nie zdążył ukryć zaskoczenia i szoku. Przez ułamek sekundy Max widział go odsłoniętego; był tak przerażony, jak może być przerażony człowiek, który mimo strachu nie wydaje z siebie żadnego krzyku.

Carver powoli sięgnął ku pudełku z cygarami. Max na wszelki wypadek odbezpieczył pistolet w kaburze, mimo że wątpił, by stary człowiek miał gdzieś pod ręką broń palną i mógł mu nią zagrozić.

Znowu pojawiła się służąca. Wymieniła szklanke po whisky i popielniczkę na czyste, po czym szybkim krokiem, z opuszczoną głową, wyszła z salonu.

Max niczego nie zamierzał wydobywać ze starego człowieka siłą. Wątpił, by taka konieczność mogła zaistnieć. Był przekonany, że Carver zacznie mówić, gdy tylko będzie do tego gotowy. Stary człowiek znów nalał sobie whisky do szklanki, tym razem niemal po sam brzeg. Następnie zapalił kolejne cygareto i wygodnie rozsiadł się w fotelu.

— Zakładam, że wiesz już, co ludzie Paula znajdują na La Gonave? — zapytał Carver znużonym głosem.

— Dzieci?

— Około dwudziestu — potwierdził Carver spokojnie, tak otwarcie, że wprawiło to Maksa w zakłopotanie.

— Ma pan ich spis, prawda? Ma pan spisane szczegóły każdej sprzedaży: kto, co, gdzie i tak dalej.

— Tak. — Carver pokiwał głową. — Mam również dokumentację filmową i fotograficzną. Ale na tej wyspie... to nie są klejnoty z korony. Zdajesz sobie sprawę, co uczyniliście, wchodząc do tego domu? Masz chociażby niewielkie pojęcie, co otworzyliście?

— Pan mi to powie.

— Otworzyliście puszkę Pandory, jakby to było kruche blaszane pudełeczko z orzeszkami.

— Rozumiem, że jest pan człowiekiem dobrze ustosunkowanym, panie Carver — powiedział Max ze śmiertelną powagą.

— Dobrze ustosunkowanym! — Carver zaśmiał się głośno. — Jestem ważnym elementem wielkiej pieprzonej siatki! Zdajesz sobie sprawę, że wystarczy jeden mój telefon, żebyś stracił życie, a dwa telefony, żebyś zniknął bez śladu, tak jakbyś na tym świecie nigdy nie istniał? Zdajesz sobie z tego sprawę? Taką właśnie władzę posiadam, aż tak dobrze jestem „ustosunkowany”.

— Nie wątpię w to, panie Carver. Teraz jednak ani jeden, ani nawet dwa telefony panu nie pomogą.

- 494 -

- 495 -

— Naprawdę? A to dlaczego?

— Bo linie telefoniczne w pańskiej posiadłości zostały odcięte.

Max wskazał ręką na aparat telefoniczny stojący na stoliku pod ścianą. Jadąc tutaj górską drogą, dostrzegł kilku ludzi pracujących przy słupach telegraficznych.

Carver prychnął z pogardą i głęboko zaciągnął się cygarem.

— Czego ode mnie chcesz, Max? Pieniądzy?

— Nie. — Max potrząsnął przecząco głową. — Mam do pana mnóstwo pytań i chcę usłyszeć odpowiedzi.

— Niech zgadnę. Chodzi ci o to, dlaczego to robiłem?

— Powiedzmy, na początek.

— Wiesz, że w czasach Greków lub Rzymian uprawianie seksu z dziećmi przez osoby dorosłe było powszechnym zachowaniem? Społeczeństwa to akceptowały. Dzisiaj w kulturach niezachodnich czasami nawet dwunastoletnie dziewczęta poślubiane są dorosłym mężczyznom. A w twoim kraju po ulicach paradują całe zastępy nastoletnich ciężarnych dziewcząt. Seks nieletnich, Max, istnieje wszędzie. Był, jest i będzie.

— Przecież dzieci, które pan sprzedaje, nie są nastolatkami.

— Och, cholera jasna, ty i ta twoja głupia moralność! — wycharczał Carver. Zdusił cygaro i upił potężny łyk whisky. — Ludzie tacy jak ty, ze swoimi świętojebliwymi zasadami, z przestarzałą etyką, świeckimi przekonaniem, co jest dobre, a co złe, zawsze kończą, pracując dla takich ludzi jak ja, którym obce są takie słowa jak „uczucia” i „szacunek dla innych”. Widzisz, ja robię nieraz takie rzeczy, jakie nie są w stanie nawet ci się przyśnić. Myślisz, że jesteś sprytny? Nie masz na mnie nic.

— Niektóre z tych dzieci wyglądały, jakby nie miały nawet sześciu lat — powiedział Max.

- 496 -

— Tak? Wiesz co? Kiedyś porwałem spod nosa matki nowonarodzone dziecko, ponieważ życzył sobie tego jeden z moich klientów. Kosztowało go to dwa miliony dolarów, a ja, oprócz pieniędzy, zyskałem jego dozgonną wdzięczność i ogromne wpływy. Moja akcja naprawdę była tego warta. Carver był już wyraźnie odurzony alkoholem, jego słowa nie były jednak bredzeniem pijanego człowieka, który opamięta się dopiero wtedy, gdy górę weźmie kac. Mówiłby to samo i przyjąłby taką samą postawę w identycznych okolicznościach, gdyby nawet był trzeźwy. Każde jego słowo odzwierciedlało przekonania, jakimi się kierował.

Znowu weszła służąca, wymieniła karafkę z whisky na pełną, popielniczkę na czystą i szybko się oddaliła.

— O co ci właściwie chodzi? Wyglądasz na chorego. Czyżby to było więcej niż jesteś w stanie zdzierżyć? — zadrwił Carver i otwartą dłonią klepnął poręcz fotela. — Czego się teraz spodziewasz? Chcesz usłyszeć mea culpa? Ode mnie? Pieprz się!

Max wątpił, czy stary człowiek potrafi prawidłowo ocenić swoje położenie. Całe dekady postępowania według własnego widzimisię uczyniły go ślepym na to, co oczywiste. Pewnie nigdy w życiu nie spotkał człowieka, którego by nie mógł przekupić, skorumpować albo zniszczyć. Na jego drodze nigdy nie stało nic, czego nie mógłby zrównać z ziemią albo kupić. W tej chwili prawdopodobnie myślał, że z natychmiastową pomocą pośpieszą mu wszyscy jego klienci — pedofile, że na najbliższym wzgórzu pojawi się pułk zboczeńców i go ocali. Być może też zastanawiał się, jaką łapówkę zaproponować Maksowi, albo miał jeszcze jakiś inny atut w rękawie, jakiś tajny sposób na natychmiastową ucieczkę, zapadnię, która otworzy się pod jego stopami. Z zewnątrz dotarł do uszu Maksa jakiś krótki krzyk i dźwięk rozbijanego szkła. Popatrzył w kierunku ciemnego korytarza i niczego nie dostrzegł.

— Przecież sam pan jest ojcem... — zaczął Max.

- 497 -

— To nikogo przed niczym nigdy nie powstrzymywało i dobrze o tym wiesz — warknął Carver. — Za kogo ty mnie bierzesz? Przecież jestem profesjonalistą. Wobec wszystkiego, co robię, utrzymuję zawodowy dystans. Pozwala mi to bezkarnie wykonywać najbardziej nieprzyjemne zadania.

— Przyznaje pan zatem, że to, co pan robi, jest...

— Nieprzyjemne? Oczywiście, że to jest nieprzyjemne. Nienawidzę ludzi, z którymi robię interesy. Pogardzam nimi.

— Ale prowadzi pan te interesy od...

— Niemal od czterdziestu lat. Wiesz, dlaczego? Bo nie mam sumienia. Wymazałem je z mózgu dawno, dawno temu. Oglądanie się na sumienie jest zwykłą stratą czasu. — Carver pochylił się bliżej ku Maksowi. — Mogę ich nienawidzić, ale rozumiem pedofilów. Nie to, co robią, to nie dla mnie. Rozumiem jednak, kim są, jakie są źródła ich zbrodni. Oni wszyscy są tacy sami. Nigdy się nie zmieniają: wstydzą się tego, co robią, co lubią, kim są. I na dodatek większość przeraża sama myśl, że ktoś kiedyś ich zdemaskuje.

— A pan z tego korzysta.

— Absolutnie! — wykrzyknął Carver, radośnie klaskając w dłonie. — Jestem biznesmenem, Max, przedsiębiorcą. Pewnego dnia dostrzegłem rynek z ogromną grupą potencjalnych lojalnych klientów i z wielkimi możliwościami na prowadzenie przez bardzo długi czas bardzo intratnych interesów.

— Dostrzegł pan także ludzi, których mógłby pan szantażować...

— Nigdy nikogo nie „szantażowałem”, jak to ujmujesz. Nigdy nie musiałem grozić ani jednemu mojemu klientowi, żeby otworzył mi jakieś drzwi.

— Wszyscy wiedzą, jaki byłby wynik przeciwstawienia się panu.

— Dokładnie. To są ludzie, którzy się poruszają w najwyższych sferach. Ludzie, dla których reputacja jest wszystkim. Nigdy nie nadużywałem naszych stosunków, nigdy, przez cały okres znajomości, nikogo z moich klientów nie prosiłem o więcej niż jedną, no, może o dwie przysługi.

— Co to są za przysługi? — zapytał Max. — Co oni dają panu w zamian? Przywileje handlowe? Dostęp do poufnych dokumentów amerykańskiego rządu?

Carver potrząsnął przecząco głową i nieznacznie się uśmiechnął.

— Kontakty.

— Z jeszcze większą liczbą pedofilów? Takich, którzy funkcjonują w jeszcze wyższych sferach?

— Absolutnie. Chyba znasz maksymę, że od każdego człowieka na ziemi oddalony jesteś najwyżej o sześć innych osób? A jeśli prowadzisz mroczne interesy, tak jak moi klienci, odstęp ten maleje do najwyżej dwóch osób.

— Wszyscy znają wszystkich?

— Tak. W pewnym stopniu. Ja nie zbliżam się tak po prostu do wszystkich, do byle kogo w tym gronie.

— A jedynie do tych, z którymi znajomość może dać panu korzyści?

— Jestem biznesmenem, a nie urzędnikiem organizacji charytatywnej. Wszystkie działania muszą przynosić mi jakieś korzyści. Ryzyko musi być nagradzane. — Carver sięgnął po kolejne cygaro. — Jak myślisz, w jaki sposób dotarliśmy do ciebie w więzieniu? Pamiętasz te wszystkie telefony? Myślałeś o tym kiedykolwiek?

— Wyobrażałem sobie, że jesteście zdesperowani. Ze bardzo wam zależy, akurat na mnie.

— Zdesperowani! — Carver wybuchnął głośnym śmiechem. — Zdesperowani, powiadasz? Ha, ha! Przeklęty jankesie, ja nigdy w życiu nie byłem zdesperowany! To nie miało nic wspólnego z desperacją. Wśród moich klientów jest wielu takich, którzy na jedno moje skinienie potrafiliby wskazać wielu lepszych od ciebie detektywów, na jedno moje skinienie. Ot i cała desperacja.

- 498 -

- 499 -

Carver zapalił cygaro.

— Dlaczego padło akurat na mnie?

— Cóż, byłeś jednym z najlepszych prywatnych detektywów w kraju, o ile nie najlepszym.

Rozwiązywałeś nierozwiązywalne sprawy i nie mogliśmy przejść nad tym do porządku dziennego. Moi przyjaciele wypowiadali się o tobie w samych superlatywach. W swojej wcześniejszej karierze byłeś nawet, raz czy dwa razy, cholernie blisko wykrycia naszej działalności. Cholernie blisko.

Wiesz o tym? Byłem naprawdę pod wrażeniem.

— Kiedy to było?

— Ja to wiem, a ty sam musisz zgadnąć. — Carver uśmiechnął się i wypuścił dym przez nos. — W jaki sposób dowiedziałeś się o mnie? Kto nie wytrzymał? Kto sypnął? Kto mnie zdradził?

Max nie odpowiedział.

— Och, daj spokój. Powiedz mi! Jakie to ma teraz, kurwa, znaczenie?

Max potrząsnął głową.

Twarz Carvera przybrała nienawistny wyraz. Jego policzki zaczęły drżeć, a oczy zwęziły się do drobnych szparek. Ich spojrzenie utkwilo w oczach Maksa.

— Rozkazuję ci, żebyś powiedział mi to nazwisko! — krzyknął Carver.

Chwyił łaskę, opartą o fotel, i zaczął się podnosić.

— Siadaj, Carver!

Max zerwał się z kanapy, złapał laskę i bezceremonialnie pchnął starego człowieka z powrotem na fotel. Carver popatrzył na niego zaskoczony i przestraszony. Następnie zerknął na cygaro tłące się na popielniczce i je zgasił.

— Teraz przesadziłeś — powiedział, patrząc na Maksa z nienawiścią. — Mogłeś mnie zabić. — Skinął w kierunku laski. — Ale gdybyś mnie zabił, nie wyszedłbyś stąd żywy.

— Nie przyszedłem tutaj, żeby pana zabić — odparł Max.

Spojrzał ponad ramieniem starego, spodziewając się, że zaraz do salonu wejdzie służąca, żeby zabrać brudną popielniczkę, i może ktoś jeszcze, żeby bronić pana i władcy tego obejścia. Nikt się jednak nie pojawił.

Max odrzucił laskę na kanapę i usiadł.

Wówczas usłyszał czyjeś ciężkie kroki. Odwrócił się i zobaczył, że w drzwiach stanęli dwaj ludzie Paula. Wyciągnął do góry rękę, dając im znak, że nie ma powodu, aby interweniowali.

Carver także ich zobaczył i prychnął z pogardą.

— Wygląda na to, że sytuacja uległa zmianie — powiedział Max.

— Chyba nie.

— Skąd pan ma służących? — zapytał Max. — Wybiera ich pan sobie z Arki Noego, prawda?

— Oczywiście.

— To te dzieci, które nie spodobały się żadnemu z pana „klientów”, prawda?

— Prawda.

— Miały szczęście.

— Naprawdę? Uważasz ich egzystencję za „szczęście”?

— Tak. Nie były gwałcone w szkolnych czasach. Carver posłał Maksowi długie badawcze spojrzenie. Po

chwili w jego oczach pojawił się wyraz niedowierzania.

— Od jak dawna, Max, przebywasz w tym kraju? Od trzech, czterech tygodni? Czy ty wiesz, dlaczego ludzie tutaj mają dzieci? Ci biedni ludzie, zwykła tłuszcza? Bynajmniej nie z tych samych powodów, które sprawiają, że dzieci się rodzą w Ameryce. Wy, Amerykanie, ich po prostu chcecie. Lecz tutaj biedacy nie planują zakładania rodziny. Tutaj to się po prostu przydarza. Kobiety rodzą, kiedy nadchodzi ich czas. Ludzie pieprzą się, a więc i się rozmnażają. To są takie ludzkie ameby. Kiedy dzieci potrafią już chodzić, rodzice wysyłają je, żeby zarabiała na życie, w jakikolwiek sposób. Większość

- 500 -

501 -

III

ludzi w tym kraju już rodzi się na kolanach. To są urodzeni niewolnicy, żyją, żeby komuś służyć, nie wiedzie się im ani trochę lepiej niż ich żalonym przodkom.

Carver na chwilę umilkł, żeby uspokoić oddech i zapalić kolejne cygaro.

— Widzisz, to, co ja robię, a może, co robiłem, było obdarowywaniem tych dzieci życiem, na które właściwie nie miały żadnej szansy, życiem, którego ich tępi, niepiśmienni, beznadziejni rodzice nie potrafili sobie wyobrazić nawet w marzeniach, ponieważ czegoś takiego nie obejmowały ich drobniutkie mózdzki. Nie wszystkie spośród tych dzieci cierpią. Wykształciłem ich więcej niż mogłem sprzedać, a tym wszystkim, które ukończyły szkołę, dałem pracę. Wiele poszło własnymi drogami i dobrze sobie radzą. Czy ty wiesz, co na tej wyspie pomogłem stworzyć? Coś, czego tutaj wcześniej nie było: klasę średnią. Nie bogaczy, nie biedaków, ale taką właśnie klasę średnią, z aspiracjami, żeby żyć jeszcze lepiej. Przyczyniłem się do tego, że ten kraj trochę wynormalniał, że chociaż odrobinę zbliżył się do Zachodu. A jeśli chodzi o te dzieci, które sprzedałem... Wiesz, Max, jak niektóre z nich kończą? Te inteligentne, te bystre, te, które potrafią przetrwać? Dorastając, mądrzeją i w końcu grają na swoich przyszywanych kochankach jak na wielkich fortepianach. Umieją wycisnąć z nich każdą nutę, dosłownie wszystko. Kończą jako bogaci ludzie, ustawieni na całe życie. Większość wie, że później normalne życie w cywilizowanych krajach. Przybierają nowe nazwiska, nowe tożsamości, a przeszłość pozostaje tylko nieprzyjemnym wspomnieniem, które

zacierą upływający czas. I tyle. Wiem, że uważasz mnie za wcielenie zła, ale ja przecież tysiącom ludzi ofiarowałem godne życie, pieniądze i domy. Dzięki mnie odczuwają do siebie szacunek, kiedy patrzą w lustro. Do diabła, ja im dałem nawet to lustro! Mówiąc w skrócie, Max, ja im ofiarowałem życie!

— Nie jest pan Bogiem, Carver.

— Nie? Jestem zatem drugą w kolejności wspaniałą rzeczą, jaką można spotkać na tej zaplutej wyspie: białym człowiekiem z pieniędzmi! — wrzasnął Carver. — Służalność i kłanianie się w pas białemu człowiekowi tkwi po prostu w genach mieszkańców tego kraju.

— A ja to widzę inaczej, panie Carver — powiedział Max. — Prawda, nie wiem zbyt wiele o Haiti. Ale z tego, co mogłem tu zobaczyć, wnioskuję, że ten kraj jest totalnie upodlony przez ludzi takich jak pan — nadętych bogaczy w wielkich domach, każących służbie nawet podcierać sobie dupy. Wyzyskujecie ten kraj, doicie go i nigdy nie dajecie nic w zamian. Nie pomagacie nikomu, jedynie sobie samym, panie Carver. Wasze miłosierdzie to kłamstwo, które opowiadacie ludziom takim jak ja, żeby zańadto się nie przyglądali waszym niegodziwościami.

— Gadasz jak Vincent Paul. Ile ci płaci ten bandyta?

— Nie płaci mi, panie Carver. Nie powiedział mi pan jeszcze, dlaczego należał pan, żebym to właśnie ja zajął się poszukiwaniem Charliego. Ja, facet, który o mały włos by pana wcześniej nakrył.

— Słowa kluczowe to „o mały włos”. — Carver zdołał się uśmiechnąć, mimo że z jego głosu sączyła się nienawiść. — Widziałeś jedynie to, co byłeś w stanie udowodnić, w co byłeś w stanie uwierzyć. Interesowały cię detale, a nie cały obraz.

— Myślał pan, że zajmę się szukaniem Charliego, a zignoruję wszystko inne dookoła?

— W gruncie rzeczy, tak.

— Iw gruncie rzeczy się pan pomylił, prawda? — Niespodziewanie Max się roześmiał. Carver popatrzył na niego spode łba.

— Mam do pana pytanie — odezwał się znów Max.

— Strzelaj.

— Jak pan myśli, kto teraz ma Charliego?

— To ty mi masz to powiedzieć — mruknął Carver i odwrócił głowę.

- 502 -

- 503 -

Zacisnął dłonie w pięści. Max dojrzał, że stary człowiek zaczyna płakać. Płakał cicho, prawie niewidocznie, jego ciałem wstrząsały jedynie drobne drgania. Co chwilę nabierał w płuca odrobinę powietrza, które później długo wypuszczał ustami. Max spojrział na otwarte pudełko z cygarami i nagle na jego ramiona, zupełnie znikąd, znienacka spadł jakby wielki ciężar. Zaprzagnął zapalić albo przynajmniej zrobić coś z rękami, byleby tylko nie siedzieć beczynn timer, nie patrzeć nachalnie na zrozpaczonego starego człowieka. Zerknął na szklanke rozcieńczonej whisky i przez chwilę zastanawiał się, czy nie wypić porcji alkoholu, jednak szybko oddalił od siebie pokusę.

— Widzisz, wiedziałem o Charliem — odezwał się Carver, nie odwracając się do Maksa, kierując słowa jakby do półki z książkami. — Wiedziałem od pierwszej chwili, w której go zobaczyłem.

Wiedziałem, że nie jest moim dzieckiem. Nie chciała mi tego powiedzieć. Ale ja wiedziałem.

Wiedziałem, że nie jest mój.

— Skąd? — zapytał Max. Tego się nie spodziewał.

— Absolutnie nie był mój — kontynuował Carver tym samym tonem, jakby nie usłyszał pytania Maksa. — Autyzm. To bardzo zaborcza choroba. Zatrzymuje pewną część osoby dla siebie i nigdy, przenigdy z niej nie rezygnuje.

— Skąd pan wiedział?

— Och, wiele rzeczy o tym świadczyło — odparł Carver. — Chociażby pewne modele zachowania. Były jakieś takie nieprawidłowe... Pamiętaj, ja wiele wiem o dzieciach.

Max sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kopertę, którą dali mu ludzie Paula. Wysunął z niej dwie złożone kartki papieru z fotokopiami jakichś dokumentów i podał je staremu człowiekowi.

Następnie wstał i odszedł kilka kroków.

Gustav pociągnął nosem i otarł łzy. Rozłożył kartki i popatrzył na pierwszą z nich. Zamrugał i ciężko westchnął. Przyj-

- 504 -

rzał się uważniej. Jego usta rozwarły się w grymasie krzywego uśmiechu, lecz nadal nie opuszczał ich smutek. Zaczął oglądać kartki na zmianę — pierwszą, drugą, drugą, pierwszą — analizując ich treści. Potem chwycił je po jednej w każdą rękę i znów patrzył, to na jedną, to na drugą. Jego oczy robiły się coraz węższe, aż w końcu całkowicie zniknęły pod ciężkimi powiekami. Policzki zaczęły się trząść i na moment przybrały kolor jasnoczerwony, od zuchwy aż po oczy. Zastygł w bezruchu i wziął głęboki oddech.

Wreszcie popatrzył prosto na Maksa i zmiął kartki w dłoniach. Kiedy rzucił je na podłogę, miały kształt niewielkich kulek.

Gdy Max otworzył kopertę, znalazł w niej kopie wyników testu na ojcostwo, który dowodził, że to Vincent Paul jest ojcem Charliego. Paul dołączył do koperty naprędce zapisaną notatkę: „Max, kiedy nadejdzie właściwy moment, daj to Gu-stavowi Carverowi”.

Carver opadł na fotel. Jego skóra przybrała barwę popiołu, a oczy sprawiały wrażenie, jakby nie były w stanie rejestrować żadnego obrazu. Zniknęła cała jego pewność siebie, był teraz jedynie cieniem samego siebie, wspaniałym monumentem, który właśnie został sponiewierany. Max pewnie by mu współczuł, gdyby przed kilkoma minutami nie usłyszał z ust starego opowieści o jego zbrodniach.

Przez długi czas trwali w ciszy. Oczy Gustava utkwione były w Maksie, jednak z pewnością go nie widziały. Były to oczy martwego człowieka.

— Co zamierzasz ze mną zrobić, Max? — zapytał Carver zduszonym głosem. Był to głos człowieka pozbawionego władzy, człowieka, który stracił grunt pod nogami. Z trudem można go było dosłyszeć.

— Zabrać pana.

— Zabrać mnie? — Carver zmarszczył czoło. — A dokąd? Przecież tutaj nie ma więzień.

- 505 -

— Vincent Paul chce z panem porozmawiać.

— Porozmawiać ze mną? — roześmiał się Carver. — On chce mnie zabić, Max! A poza tym nie mam zamiaru rozmawiać z tym... z tym wieśniakiem.

— Jak pan uważa, panie Carver. — Max wyciągnął zza paska kajdanki.

— Poczekaj chwilę. — Carver podniósł rękę. — Zanim to zrobisz, czy mogę jeszcze wypić ostatniego drinka i wypalić ostatnie cygaro?

— Bardzo proszę — odparł Max.

Carver nalał sobie dużą whisky i zapalił kolejne cygaro. Max usiadł z powrotem na swoim miejscu.

— Panie Carver — powiedział. — Jednej rzeczy nie rozumiem. Przy wszystkich swoich kontaktach, jak to się stało, że nie pozbył się pan Vincenta Paula?

— Bo jestem jedyną osobą na świecie, która byłaby w stanie to zrobić. Gdyby coś mu się stało, wszyscy od razu by wiedzieli, że to moja sprawa. A poza tym... w kraju wybuchłaby wojna domowa — wyjaśnił Carver.

Zaciągnął się cygarem i upił łyk whisky.

— Jak myślisz, Max, czy w piekle także mają cygara?

— Nie mam pojęcia, panie Carver. Nie palę.

— Wiesz co? Chyba mógłbyś coś jeszcze dla mnie zrobić.

— Co takiego?

— Chciałbym sam wyjść z domu. Nie chcę, żeby mnie prowadziło tych dwóch... matolów. — Skinął w kierunku mężczyzn stojących przy drzwiach.

— Dobrze, ale będzie pan w kajdankach. Środki bezpieczeństwa, panie Carver.

Carver dopalił cygaro, wypił do końca whisky i wyciągnął ręce, żeby Max założył na nie kajdanki. Detektyw pomógł mu wstać, odwrócił go i skuł mu ręce na plecach. W pewnej chwili Carver jęknął, gdyż kajdanki mocno wpiły mu się w skórę.

— Chodźmy. — Max zaczął prowadzić go ku drzwiom, podtrzymując go, gdyż bez laski stary

człowiek z trudem postępował krok za krokiem.

Przeszli mniej więcej pięć kroków, gdy Carver zatrzymał się.

— Max, proszę, nie w ten sposób — wymamrotał, chuchając detektywowi w twarz alkoholem i zjełczałym tytoniem. — W gabinecie mam broń. Rewolwer. Pozwól, że sam to zakończę. Możesz opróżnić magazynek, zostawić mi w nim tylko jedną kulę. Jestem starym człowiekiem. Nie zostało mi wiele życia.

— Panie Carver, porwał pan setki dzieci i zrujnował pan nie tylko ich życie, lecz również życie ich rodzin. A przede wszystkim ukradł pan ich dusze. Zniszczył pan te dzieci. Odebrał pan im przyszłość. Nie ma kary adekwatnej dla tego, co pan zrobił.

— A pieprz się, ty przemądrzały kutasie — odparł Carver z pogardą. — Żeby facet, który mordował z zimną krwią, udzielał mi lekcji moralności... Ty...

— Skończył pan? — przerwał mu Max.

Carver wbił wzrok w ziemię. Max zaczął go ciągnąć ku drzwiom. Obaj ludzie Paula postąpili krok do przodu. Carver jakoś przeszedł kilka kroków, ale po chwili znowu przystanął.

— Chciałbym pożegnać się z Judith.

— Z kim?

— Z Judith, moją żoną. Chciałbym jeszcze raz popatrzeć na jej obraz. To takie piękne dzieło, kiedy na nie patrzę, odnoszę wrażenie, że jestem tuż przy niej — powiedział Carver łamiącym się głosem.

— To przecież nie jest ona. Ona nie żyje. I z pewnością wkrótce pan do niej dołączy.

— A jeśli nie? Jeśli życie pozagrobowe w ogóle nie istnieje? Jeszcze tylko raz chcę na nią spojrzeć, proszę, Max.

- 506 -

- 507 -

Max pomyślał o Sandrze i ustąpił starcowi. Machnął ręką ku uzbrojonym ludziom na znak, że zgadza się na prośbę Carvera, i poprowadził go do portretu.

Podtrzymał starego człowieka, kiedy ten patrzył na portret swojej żony i mruzczał cicho jakieś słowa w połowie po francusku, w połowie po angielsku.

Max spojrzał na rodzinną galerię — gzyms kominka zastawiony fotografiami w ramkach, przypominającymi najlepsze chwile w dziejach rodziny. Zastanawiał się, ilu spośród sławnych ludzi widniejących na zdjęciach w towarzystwie Carverów znajdzie w spisie ich klientów.

Carver zamilkł i łypnął na Maksa.

— Nikt z nich nie był naszym klientem, nie martw się — wymamrotał. — Ale łańcuszek prowadzący do któregośkolwiek spośród nich liczy zaledwie dwie osoby. Zapamiętaj to sobie. Dwie osoby.

— Już dobrze. Chodźmy — ponaglił Max i złapał Gustava za ramię.

— Precz z łapami! — Carver gwałtownie się wyprostował i wyrwał ramię z dłoni Maksa. Próbował zrobić krok do tyłu, jednak natychmiast stracił równowagę i padł ciężko na podłogę. Wylądował na plecach, ale cały ciężar jego ciała przyjęły na siebie dłonie skute kajdankami.

Max nie uczynił nic, żeby mu pomóc.

— Wstawaj, Carver.

Stary człowiek przeturlał się na bok, z wielkim wysiłkiem, pojękując i z trudem łapiąc powietrze.

Następnie położył się twarzą do podłogi. Podciągnął lewą nogę i usiłował się podnieść, jednak nie dał rady i zaległ na brzuchu. Po chwili zaczął się czołgać w kierunku Maksa, wykrzywiając twarz w ogromnym wysiłku.

Kiedy oblicze starego człowieka znalazło się tuż przed butami Maksa, starzec podniósł głowę tak wysoko, jak tylko był w stanie.

- 508 -

— Zastrzel mnie, Max — poprosił. — Nie mam nic przeciwko temu, żeby umrzeć. Zastrzel mnie tutaj, na oczach mojej Judith. Proszę!

— Wstawaj, Carver — odparł Max beznamiętnie. Stał za starcem i szarpnął go gwałtownie, chwytając za kajdanki. Postawił go na nogi.

— Proszę, Max, nie oddawaj mnie w łapy Vincenta Paula. Zrobi ze mną takie rzeczy, jakie się

jeszcze nikomu nie śniły. Zastrzel mnie. Bez sprzeciwu przyjmę śmierć z twojej ręki.

— Jesteś żałosny, Carver — powiedział mu Max do ucha.

— Zastrzel mnie, Max.

— Carver, zachowaj chociaż resztę godności. Popatrz na to. — Max rozpiął trzy guziki swojej koszuli i pokazał Carverowi mikrofon przyklejony taśmą do piersi. — Chyba nie chcesz, żeby cię stąd wyciągali ludzie Vincenta Paula, co?

— Czy to, co teraz robisz, nie powinno nazywać się prowokacją?

— Nie w tym wypadku.

Z wyrazem twarzy człowieka pokonanego, ale zarazem odczuwającego wstręt, Carver sztywno skinął głową, wskazując na drzwi.

— Już chodźmy.

Max wyprowadził go z domu.

Na zewnątrz stały trzy dżipy z ludźmi Paula.

Wszyscy służący i ochroniarze Carvera zgromadzeni zostali na środku trawnika. Pilnowało ich czterech ludzi z karabinami.

— W Ameryce miałbym szansę na sprawiedliwy proces — powiedział Gustav, gdy omiół wzrokiem całą tę scenę.

— W Ameryce broniłby cię najlepszy adwokat, jakiego mógłbyś kupić za swoje pieniądze.

Sprawiedliwość może sobie być ślepa, ale z pewnością nie jest głucha, a — wiesz o tym równie dobrze jak ja — nic na świecie nie przemawia głośniejsz jak obietnica większej gotówki.

- 509 -

Kilku służących zawołało coś do Carvera. Ich głosy były jednak słabe i zdezorientowane. Brzmiały tak, jakby ich właściciele pytali, co właściwie się dzieje.

— Wiesz, co on ze mną robi, Max. To zwierzę porozrywa mnie na kawałki i wrzuci do rynsztoków. Czy twoje sumienie wyraża na to zgodę? Naprawdę?

Max dał klucze do kajdanek jednemu z ludzi Paula. Drugi przejął od niego samego więźnia.

— Możliwe, że na tę okoliczność postąpię podobnie jak ty — odparł Max.

— Niby jak?

— Wyłączę na jakiś czas swoje sumienie.

— Ty draniu. — Carver splunął mu pod nogi.

— Ja jestem draniem? — Max niemal się roześmiał. — W takim razie kim ty jesteś?

— Człowiekiem, który pogodził się ze swoim losem. Max dał znać mężczyznom, żeby zabrali Carvera. W tym momencie stary człowiek eksplodował:

— Przeklinam cię, Max! Przeklinam cię! I przeklinam Vincenta Paula. Przeklinam wszystkie razem i każdą z osobna ludzką małpę, która przysłała tu dzisiaj po mnie, wygrażając mi karabinem.

Przeklinam was! I... i przeklinam tego małego bękarta i tę zdradliwą sukę, z której się wykluł. Mam nadzieję, że nigdy go nie znajdziecie! Mam nadzieję, że nie żyje!

Zmierzył Maksa spojrzeniem pełnym pogardy i nienawiści. Jego oddech był głośny i ciężki. Starzec przypominał rannego byka na arenie, przygotowującego się do ostatniego ataku, który musi się zakończyć jego śmiercią.

Przed domem zapadła absolutna cisza. Wszystkie oczy skierowały się na Maksa w oczekiwaniu na jego reakcję.

Po krótkiej chwili Max powiedział:

— Żegnaj, skurwysynu.

Następnie, spojrzawszy na mężczyzn, którzy przytrzymywali Carvera za ramiona, dodał zdecydowanym głosem:

510

— Natychmiast zabierzcie stąd to gówno i postarajcie się, żeby zniknęło z ludzkich oczu raz na zawsze.

56

Wracając do domu, Max zatrzymał się przed „La Coupole”, gdzie wieczorna impreza była w pełnym rozkwicie. Bar był udekorowany ozdobami bożonarodzeniowymi. Budynek aż skrzył się od

lamet, różnokolorowych łańcuchów choinkowych i światełek, poukładanych w kształcie świerków i przymocowanych do ścian.

Z jego wnętrza dobiegały dźwięki okropnej muzyki — od kolęd po techno beat — wykonywanych w języku angielskim z dziwnym niemieckim akcentem. Atmosfera w barze była jednak radosna i przyjazna, ludzie po prostu dobrze się bawili. Każdy uśmiechał się i tańczył — wewnątrz, na zewnątrz, za barem, a pewnie także w toalecie. Nad dźwięki muzyki unosiły się słowa żartów i dowcipów oraz głośne śmiechy. Żołnierze amerykańscy mieszały się z tymi z ONZ, a wszyscy razem — z mieszkańcami wyspy. Max zauważył, że w barze przebywa mnóstwo Haitańczyków — mężczyzn i kobiet. Kiedy popatrzył uważnie, stwierdził ku swemu zgorszeniu, że wszystkie Haitanki uczestniczące w zabawie to wyzywająco ubrane i umalowane kurwy. Nosiły peruki, patrzyły na żołnierzy prowokująco i zapraszająco. Bawiący się haitańscy mężczyźni byli po prostu ich alfonsami. Każdego, kto zbliżał się do ich podopiecznych, taksowali uważnymi spojrzeniami, traktując go zapewne jak chodzący bankomat i oceniając w myślach jego zawartość.

Max kupił podwójny rum i wyszedł z baru, by obserwować tańczących na podwórzu. Jakiś pijany żołnierz piechoty morskiej zapytał go, czy nie jest żandarmem wojskowym, ktoś inny chciał wiedzieć, czy przypadkiem nie jest z CIA. Dziew-

511

czyna o czerwonej twarzy i ze złotymi kolczykami w uszach uniosła nad głowę plastikową jemiolę i pocałowała go w policzek ustami mokrymi od piwa. Zapytała go, czy chce zatańczyć, a Max odparł, że nie, że może później. Akcent dziewczyny świadczył, że pochodziła z Oklahomy. Patrzył za nią, jak odchodzi i czyni identyczną propozycję Haitańczykowi stojącemu przed budką dyskdzokeja. Kilka sekund później oboje już tańczyli, mocno do siebie przytuleni.

Max był w fatalnym nastroju. Czuł zgorzknienie, niesmak wobec ostatnich wydarzeń, niesmak w stosunku do Carvera, niesmak z tego powodu, że dla niego pracował. Zupełnie nie dbał o to, że pomógł w usidleniu i schwytaniu starego człowieka, wcale nie obchodziło go, że ten starzec siedzi teraz zapewne w jakimś ponurym, ciemnym pomieszczeniu i czeka na wyrok, który ma na niego wydać Vincent Paul. Przecież nie po to przyjechał na Haiti.

Horror, jaki zobaczył na taśmach wideo, wciąż tańczył w jego głowie niczym derwisz.

Po tym, jak zastrzelił troje nieletnich bandziorów, którzy torturowali Manuellę, czuł w żołądku bezkresną pustkę, miał poczucie kompletnej beznadziejności, poczucie, że nic w jego życiu nie ma już znaczenia, że wszystko staje się coraz gorsze i coraz bardziej ponure. Aż wreszcie najgorsza zbrodnia, na jaką w życiu natrafił — tutaj, na Haiti — sprawiła, że bardzo powoli zaczął odżywać. Ale zaraz przypomniał sobie, dlaczego wziął wtedy tamtą sprawę, dlaczego poświęcił niemal dwa lata życia na jej rozwiązanie. Manuela uśmiechnęła się do niego jeden raz w życiu, tylko jeden jedyny raz. Było to na plaży, na której przebywali we troje

— Sandra, Manuela i on. Max rozstawiał parasol i składane krzeselka. Minęła ich jakaś para, trzymając się za ręce

— białą mężczyzna i czarna kobieta; kobieta powiedziała do Sandry i Maksa, że mają prześliczne dziecko. Była w ciąży. Max popatrzył na Sandrę i Manuellę i w tym momencie, po raz pierwszy w życiu, zapragnął założyć rodzinę. Manuela odczytała jego myśli, ponieważ uchwyciła jego spojrzenie. Przejrzała go i uśmiechnęła się.

Kiedy strzelał do jej morderców, myślał o niej, tylko o niej. Ostatni z nich, Cyrus Newbury, nie zamierzał odchodzić w milczeniu. Krzyczał i płakał, błagał o darowanie mu życia, recytował modlitwy, które pamiętał jedynie w fragmentach, śpiewał kościelne psalmy. Max pozwolił mu kontynuować te błagania, dopóki chłopak zupełnie nie stracił głosu. Wtedy go zastrzelił.

Rum zdawał się go uspokajać. Działał kojąco na jego zmartwienia, sprawiał, że odlatywały w jakieś odległe miejsce, tam, gdzie nic się w tej chwili nie liczyło. Był błogosławionym napojem, słodkim uśmierzaczem bólu.

Podszły do niego dwie prostytutki w prostych czarnych perukach. Stały po jego bokach i przycisnęły się do niego. Max potrząsnął przecząco głową i popatrzył gdzieś w przestrzeń. Jedna z dziewczyn szepnęła mu coś do ucha. Nie rozumiał jej słów; muzyka skutecznie je zagłuszyła. Wzruszył ramionami i zrobił minę, która miała znaczyć „nie rozumiem”. Wtedy dziewczyna się

roześmiała i wskazała mu jakiś punkt w samym środku roztańczonego tłumu. Max popatrzył na masę podrygujących ciał—w dżinsach, krótkich spodenkach, luźnych koszulkach, koszulach plażowych i podkoszulkach — zupełnie nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Wtedy rozbłysła lampa aparatu fotograficznego. Kilkoro zaskoczonych tancerzy odwróciło się, szukając źródła błysku, zaraz jednak powrócili do swoich podrygiwań.

Max zaczął szukać wzrokiem fotografa, ale go nie dostrzegł. prostytutki odeszły. Wszedł na parkiet i zaczął się przepychać pomiędzy tańczącymi, zmierzając ku miejscu, w którym rozbłysła lampa. Zapytał kilka najbliższych tańczących osób, czy widziały fotografa. Odpowiedź za każdym razem uzyskiwał identyczną: nie, widziałem, widziałam jedynie krótki błysk.

- 512 -

- 513 -

Max przeszedł do baru w poszukiwaniu dziewczyn. Rozmawiał z dwoma żołnierzami piechoty morskiej. Podszedł do nich i już miał zapytać o błysk, kiedy, uważnie się im przyjrzawszy, zorientował się, że to nie są te same prostytutki, które podeszły do niego przed chwilą. Wymamrotał jakieś przeprosiny i kontynuował poszukiwania, jednak już ich nie znalazł. Zapytał o nie barmana, ale ten tylko wzruszył ramionami. Sprawdził toalety — na próżno. Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się. Ulica była pusta, jak wymarła.

Wrócił do baru i wypił jeszcze kilka drinków. Zaczął rozmawiać z sierżantem Alexandre Diazem, mieszkańcem Miami. Diaz był prawie pewien, że Max jest agentem CIA. Jego przypuszczenia Max zbywał śmiechem, ani ich nie potwierdzając, ani im nie zaprzeczając. W końcu zaczęli rozmawiać o Miami i o tym, jak bardzo obaj tęsknią za tym miastem. Diaz upewnił Maksa, że wielu miejsc, które wspominał, już nie ma — klubów, restauracji, sklepów z płytami czy sal tanecznych.

Rekomendował mu nowe miejsce, dostępne tylko dla zarejestrowanych członków, zwane TPBP — Trzech Pisarzy Bez Pieniądzy. Striptizerki, które tam występowały, twierdził Diaz, nie miały sobie równych. Sprezentował Maksowi wizytówkę z nazwą i logo klubu — roześmianym aligatorem w sukience i w kapeluszu z szerokim rondem, trzymającym w jednej łapie gęsie pióro, a w drugiej butelkę szampana. Pod rysunkiem wydrukowany był numer telefonu. Diaz powiedział Maksowi, że kiedy zatelefonuje, zostanie zapytany o hasło. Gdy detektyw zapytał go, jak brzmi to hasło, Diaz nie potrafił sobie przypomnieć.

Max ruszył do domu około trzeciej nad ranem. Przed bramą stanął jakieś dwadzieścia minut później.

Wszedł do salonu, zdjął kaburę z pistoletem i ciężko opadł na krzesło. Wtedy zobaczył, że pistolet jest odbezpieczony. Nigdy nie nosił odbezpieczonego pistoletu — od czasu, gdy był policyjnym nowicjuszem i w trakcie patrolu ukradły mu broń jakieś dzieciaki.

Wyciągnął beretę z kabury i ją sprawdził. Wszystkie kule znajdowały się w magazynku. Z broni nikt nie strzelał.

Pomyślał, że zaczyna się robić roztargniony. Miał za sobą długi dzień, dzień, który na bardzo długo utkwi mu w pamięci.

Pomyślał, że dobrze by było podnieść się z krzesła i zakończyć dzień w łóżku, jednak nie mógł się na to zdobyć. Sypialnia znajdowała się zbyt daleko.

Zamknął oczy i zasnął.

57

Następnego dnia zatelefonował do niego Allain. Chciał się z nim spotkać, jak najszybciej, najlepiej po południu.

Allain był blady jak wosk, jego trupioblada skóra miała niebieskawy odcień. Dolną część twarzy pokrywała szczecina kilkudniowego zarostu, pod oczyma miał głębokie cienie, rozszerzające się aż na policzki. Max zorientował się, że Allain ostatniej nocy spał w ubraniu. Teraz miał na sobie marynarkę, która tylko częściowo zakrywała mocno pogniecioną koszulę. Jej kołnierz był pogięty, a rękawy podciągnięte miał do łokci. Krawat miał przekrzywiony, górny guzik koszuli odpięty.

Włosy jak zwykle zaczesał do tyłu, jednak tym razem brakowało im odpowiedniej ilości brylantyny; kilka pasemek oderwało się od głównego nurtu i ułożyło się w różnych kierunkach. Sprawiał wrażenie, jakby ktoś dawnego Allaina, tego, którego Max spotkał po raz pierwszy,

potraktował wyzymaczką. Wciąż można go było rozpoznać, lecz brakowało mu blasku, kantów na spodniach i w ogóle całej niemal arystokratycznej elegancji, którą jeszcze tak niedawno emanował.

- 514 -

- 515 -

Spotkali się w banku, w pokoju konferencyjnym na najwyższym piętrze, i usiedli po przeciwnych stronach okrągłego stolika. Przez przyciemniane szare szyby mieli wspaniały widok na morze. Max uznał, że w karafce na środku stolika jest woda, ale kiedy nalał sobie do szklanki, uniosły się nad niej opary alkoholu. Posmakował. Czysta wódka. Szklanka Allai-na była już niemal pusta. Minęła trzecia po południu.

— Przepraszam — powiedział Allain z zakłopotaniem. — Zapomniałem.

Nie był pijany.

Max chciał się dowiedzieć, na ile Allain był świadomy odrażającej działalności swego ojca.

Zamierzał zacząć zdawkową rozmowę i zadawać mu pytania w taki sposób, żeby jego rozmówca nie zorientował się, do czego zmierza. Stara technika policyjna.

Na stole przed Allainem leżał bilet lotniczy dla Maksa. Detektyw miał wylecieć do Miami o jedenastej trzydzieści przed południem, następnego dnia.

— Chantale zawiezie pana na lotnisko — powiedział Allain.

— Gdzie ona teraz jest?

— Jej matka umarła we wtorek. Zawiozła jej prochy do rodzinnego miasta.

— Bardzo mi przykro. Czy ona wie, co się stało?

— Tak. Mniej więcej — odparł Allain. — Nie opowiedziałem jej wszystkich szczegółów. Będę wdzięczny, jeśli i pan będzie milczał.

— Jasne.

Max zadał pytanie na temat La Gonave. Allain opowiedział mu, co tam znaleziono. Mówiąc o szczegółach, miał przerażenie na twarzy. W pewnej chwili rozplakał się.

Kiedy doszedł do siebie, Max kontynuował pytania. Czy ojciec wspominał Allainowi o Go-Nav?

Nie, nigdy. Czy ojciec kiedykolwiek grał w jego obecności na klawierze? Nie, nie grał,

- 516 -

jednak Allain wiedział, że potrafił. Potrafił także doskonale grać na trąbce. Czy Allain kiedykolwiek się zastanawiał, skąd ojciec ma tak szerokie kontakty w kręgach biznesowych? Nie. Bo niby dlaczego? Carverowie byli na Haiti ważnymi ludźmi. Allain pamiętał spotkanie z Jimmym Carterem, zanim ten zaczął się ubiegać o urząd prezydenta. Na Haiti? Nie, w Georgii. Ojciec zawarł umowę importową i sprowadzał na Haiti orzeszki Carvera, kiedy haitańskie zbiory okazała się bardzo kiepskie. Carver wpadł później do nich w krótkie odwiedziny, kiedy przebywał w kraju, negocjując bezkrwawe poddanie się junty. Jeszcze długo Max zadawał różne pytania, ale im więcej pytał i im dłużej Allain odpowiadał, patrząc Maksowi w oczy smutnym, przekrwionym wzrokiem, stopniowo zachodzącym mgłą z powodu wypijanego alkoholu i ogromnego załamania, tym większe Max zyskiwał przekonanie, że mężczyzna nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co się działo wokół niego.

— On mnie nienawidził, przecież to jasne — wypalił w końcu Allain. — Nienawidził mnie za to, kim jestem, i za to, kim nie jestem.

Przesunął dłońmi po włosach, żeby je przygładzić. Nie miał zegarka. Na jego lewym przegubie Max zauważył szeroką, różową szramę.

— A pan? Czy pan go nienawidził?

— Nie — odparł Allain łzawym głosem. — Gdyby mnie poprosił, wszystko bym mu wybaczył.

— Nawet teraz? Po tym, czego się dowiedziałeś?

— On jest moim ojcem. Oczywiście, to absolutnie nie znaczy, że powinno pójść w zapomnienie to, co zrobił. Nigdy. Ale jest moim ojcem. Przecież wszyscy mamy na świecie tylko siebie i nasze rodziny.

— Próbował kiedykolwiek na panu swoich technik psychologicznych?

— Jakich? Hipnozy? Nie. Chciał mnie prowadzić do psychoanalityka, żeby mnie wyprostować, ale mama się nie

- 517 -

zgodziła. Zawsze trzymała moją stronę. — Allain popatrzył na swoje niewyraźne odbicie w blacie stołu. Dopił wódkę ze szklanki i otarł usta wierzchem dłoni.

Niespodziewanie strzelił palcami i poklepał marynarkę na piersiach.

— To dla pana. — Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni pogniecioną, lecz zapieczętowaną kopertę. Wsunął ją Maksowi do ręki.

Max ją otworzył. Wewnątrz znajdowało się potwierdzenie przelewu na jego konto bankowe w Miami. Pięć milionów dolarów. Pięć milionów. Maksowi odebrało mowę. Kupa forsy.

Jutro miał polecieć do Miami. Miał rozpocząć nowe życie. Dzięki pieniądзом, które właśnie otrzymał. Żadnej innej pomocy nie potrzebował.

Tę piękną wizję momentalnie schłodził ponury cień.

— Ale... — zaczął Max, podnosząc wzrok znad piątki i towarzyszących jej zer.

Przypomniał sobie Claudette Thodore, sprzedaną za pieniądze, które wzbogaciły imperium Carverow, imperium, które powstało z dziecięcych ciał i kości. Część tych pieniędzy znajdowała się właśnie w jego rękach. Te pieniądze miały stanowić o jego przyszłości.

— Za mało? — Niespodziewanie Allain jakby się przestraszył. — Chętnie zapłacę panu więcej.

Proszę powiedzieć, ile.

Max potrząsnął głową.

— Nigdy nie wziąłem pieniędzy za pracę, której nie dokończyłem — odparł po chwili. — Przecież nie mogę panu prawie nic powiedzieć o tym, co stało się z Charliem.

— Teraz znowu zajmuje się tym Vincent — odparł Allain. — Widzi pan, mój ojciec pana polubił.

Powiedział, że jest pan człowiekiem honoru.

— Tak? A ja go nie polubiłem — stwierdził Max. — I nie mogę przyjąć jego pieniędzy.

Położył potwierdzenie przelewu na stoliku.

— Ale te pieniądze są już na pana koncie. Są pańskie. — Allain wzruszył ramionami. — Poza tym żadne pieniądze nigdy nie wiedzą, skąd przychodzą.

— Ale ja wiem. I na tym polega problem. Prześlę je panu z powrotem, kiedy tylko będę miał możliwość. Do widzenia, Allain.

Podali sobie ręce, po czym Max wyszedł z pokoju i skierował się ku windom.

Zaparkował samochód niedaleko pasteloworóżowej katedry rzymskokatolickiej i poszedł piechotą do centrum Port-au-Prince.

Tuż przy Żelaznym Rynku zatrzymał się przy budynku kościoła, który wyglądał z zewnątrz jak zwyczajny magazyn.

Otworzył drzwi i natychmiast znalazł się w najwspanialszej, najpiękniejszej kaplicy, jaką kiedykolwiek widział.

Przy końcu nawy, za ołtarzem zakrywającym całą ścianę od posadzki aż po trzy okna pod sklepieniem, częściowo zasłonięte drewnianymi okiennicami, natknął się na malowidło ściennie o wysokości mniej więcej dwudziestu stóp. Przeszedł pomiędzy prostymi drewnianymi ławkami i zajął miejsce w jednej z nich, w drugim rzędzie od ołtarza. W różnych ławkach siedziało lub klęczało około dziesięciu osób, głównie starszych kobiet.

Na ołtarzu dominował motyw narodzenia Chrystusa i Matka Boska w żółtej sukni oraz w błękitnym welonie. Sprawiała wrażenie, jakby chciała wyjść z obrazu ku wiernym. Obie dłonie miała złożone na sercu, a za nią stały dwa anioły, przytrzymujące końcówki jej welonu. W tle widoczna była otwar-

- 518 -

- 519 -

ta budowla przykryta strzechą niczym chata — zadaszona, lecz bez ścian — bardzo podobna do tych, które Max widywał z okna samochodu, jadąc do i z Petionville.

Malowidła na murze przedstawiały anioły, grające na różnych instrumentach i rzucające girlandy, co miało sugerować, że życie Jezusa, od samego początku, aż do zmartwychwstania, było jednym aktem.

Kilkakrotnie Maksowi zdarzyło się rozwiązać trudną sprawę po burzy mózgu, jaką odbywał w

samotności w kościele. Godzina albo dwie spędzone na kontemplowaniu ikon, barwnych witraży, wdychaniu stęchłego zapachu dymu z płonących świec, w absolutnej ciszy i niemal namacalnej samotności często pozwalały mu oczyścić umysł i uporządkować myśli.

Co teraz? Jaka była jego przyszłość po tym wszystkim?

W najbliższym czasie będzie musiał stawić czoło tym samym problemom, jakie go nurtowały, zanim wyjechał na Haiti. Będzie musiał wrócić do domu i stanąć wobec wciąż tkwiących za jego drzwiami szczęśliwych wspomnień. Ogarną go w tej samej chwili, w której otworzy drzwi. Znowu pomyślał o Sandrze. Tęsknota za nią pojawiła się w nim niemal fizycznie, wilgotnym uciskiem w oczach i w nosie.

Kiedy wróci do Miami, nie będzie już mógł pracować jako prywatny detektyw. Powrót tam będzie ostatecznym kresem wszystkiego, co potrafił robić i co chciał robić — mimo potwornych rzeczy, jakie widywał w tej pracy i niebezpieczeństw, jakie niosła.

Co zabierze ze sobą z Haiti? Co tutaj osiągnął? Nie zdobył pieniędzy, nie osiągnął satysfakcji z dobrze wykonanego zadania, ponieważ — po raz pierwszy w karierze — nie rozwiązał sprawy, której się podjął. Zostawiał na wyspie niedokończoną robotę. Twarz małego chłopca będzie go prześladowała do końca życia. Mimo czasu, jaki tutaj spędził, wciąż nie miał najmniejszego pojęcia, co się z nim stało. Wszystko, co wiedział, opierało się na spekulacjach, przypuszczeniach, plotkach. Biedne dziecko. Podwójna niewinność.

Pomógł rozbić międzynarodową siatkę pedofilów, a przynajmniej zapoczątkował proces jej upadku. Uratował życie niezliczonych dzieci i zaoszczędził ich rodzicom smaku śmierci za życia albo świadomości, że zabrano im istoty, które najbardziej kochali. Co jednak stanie się z dziećmi, które w ostatniej chwili uchroniono przed strasznym losem? Czy uda się je przywrócić do normalnego życia? Czy procesy, jakie zaszły w ich mózgach, będzie można odwrócić, czy będzie można oddać im to, co wcześniej zabrano? Jedynie czas to pokaże. Trzeba czekać.

Czekać. Cóż, życie oferowało mu jedynie czekanie. Myśl ta wystraszyła go, a potem przygnębiła. Wyszedł z kościoła godzinę później. Jedną z kobiet właśnie do niego wchodzących zapytał, jak się nazywa to miejsce.

— Katedra Świętej Trójcy — padła odpowiedź.

Na zewnątrz oślepiło go słońce, hałas i upał na długą chwilę go zdezorientowały. Nieświadomy, dokąd idzie, powoli oddalał się ulicami od chłodnej i cichej szarości pustej katedry.

Wziął się w końcu w garść i skierował ku miejscu, w którym zaparkował samochód. Auta nie było. Jedynie kawałki rozbitego szkła leżące na jezdni powiedziały mu, co się stało.

Nie przejął się kradzieżą. Strata pojazdu nic go nie obchodziła.

Zawrócił i znalazł Żelazny Rynek. Przy chodniku stał długi rząd samochodów czekających na klientów: karawany z lat sześćdziesiątych, coupe i sedany, pomalowane na najbardziej dziwaczne kolory. Zapytał kierowcę pierwszego z brzegu samochodu, czy go zawiezie do Petionville.

Kierowca pokiwał głową i powiedział mu, żeby wsiadał.

Czekali jeszcze dobre czterdzieści minut, zanim samochód szczelnie wypełnił się ludźmi, którzy wsiadali z ulicy z koszykami pełnymi warzyw, ryżu i fasoli, żywych kurczaków

- 520 -

- 521 -

i martwych mokrych ryb. Max został wciśnięty w sam róg auta, a na kolanach usiadła mu jakaś przyciężkawa kobieta. Otoczony jeszcze kilkoma innymi osobami, nie mógł się ruszać i z trudem oddychał.

Gdy kierowca uznał, że w samochodzie jest już wystarczająco dużo podróżnych, włączył silnik i ruszył. Prowadził jakimiś zaułkami stolicy, na których auto natykało się jedynie na spacerujących ludzi i żywy inwentarz. Pasażerowie w samochodzie byli pogodni, można było odnieść wrażenie, że wszyscy się znają. Wszyscy rozmawiali ze wszystkimi. Milczał jedynie Max, który z ich rozmów nie potrafił zrozumieć nawet pojedynczego słowa.

Spakował walizkę i zjadł kolację w restauracji niedaleko „La Coupole”.

Zamówił rybę z ryżem i smażonego banana. Po posiłku zostawił suty napiwek. Wychodząc,

pomachał ręką i uśmiechnął się do ładnej młodej dziewczyny, która go obsługiwała.

W drodze do domu obserwował dzieci: wynędzniałe, chude, o wydętych brzuchach, ubrane w łachmany. Włóczyły się grupami, przetrząsały sterty śmieci, niektóre grały w jakieś gry, inne po prostu gromadziły się na rogach ulic, jeszcze inne dreptały boso za rodzicami. Rozmyślał, od czego je uratował.

58

— Przykro mi z powodu twojej matki — odezwał się Max w drodze na lotnisko.

Byli już w jej połowie i do tej pory prawie się do siebie nie odezwali.

— W pewnym sensie czuję ulgę — odparła Chantale. — Jej ostatnie dni były naprawdę straszne.

Bardzo cierpiała. Nikt

nie powinien przechodzić przez takie cierpienie. Mam tylko nadzieję, że w tej chwili przebywa już w lepszym miejscu. Przez całe życie wierzyła, że takie miejsce istnieje.

Max nie mógł w tej sprawie nic powiedzieć. Nic, co zabrzmiałoby szczerze i co w jego przekonaniu mogłoby ukoić ból dziewczyny. Przechodził przez to samo, kiedy umarła Sandra. Jej nagła śmierć oznaczała dla niego koniec, nagłe zahamowanie, po którym już nic nie ma.

— Co teraz będziesz robić? — zapytał.

— Zobaczę. Na razie Allain chce, żebym została i mu pomagała. W tej chwili odpowiada dosłownie za wszystko. Wątpię, czy da sobie radę. Otrzymał potężny cios.

— Tak, wiem. Cieszę się, że odwozisz mnie na lotnisko. Przecież wcale nie musisz.

— Nie mogłabym pozwolić, żebyś wyjechał bez pożegnania.

— To wcale nie musi być ostateczne pożegnanie. Możemy sobie powiedzieć „do widzenia” albo „do zobaczenia”. Może zadzwonisz do mnie, kiedy wrócisz do Miami? — Max zaczął zapisywać swój numer telefonu. Napisał numer kierunkowy, po czym zdał sobie sprawę, że zapomniał całą resztę. — Nie, to ja do ciebie zadzwonię.

Chantale popatrzyła na niego. Ich spojrzenia spotkały się i Max zobaczył w jej oczach ogromny smutek, głęboki i wszechogarniający ból. Żyła z nim, był jej codziennością. Nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Max poczuł się niezręcznie i po prostu głupio. Spotkali się w złym czasie i w złym miejscu.

— Przepraszam cię — powiedział.

Chantale pokręciła głową. Nie wiedział, czy z powodu niedowierzania, czy też po prostu mu wybaczała. Samochód zatrzymał się przed lotniskiem. Chantale złapała Maksa za ramię.

— Max, nie dzwoń do mnie. Nie jesteś na to gotowy. Nie na mnie, ale na nikogo — powiedziała i próbowała uśmiechnąć

- 522 -

- 523. -

się drżącymi ustami. — Wiesz, czego będzie ci trzeba, kiedy wrócisz do domu? Będziesz musiał ostatecznie pochować swoją żonę. Opłacz ją, płacz tak długo, dopóki nie wypłuczesz łzami jej ducha ze swojego serca. Dopiero potem będziesz w stanie wykonać jakikolwiek następny ruch.

Część piąta

59

I znowu w Miami, znowu w hotelu „Dadeland Radisson”. Nie otrzymał tego samego pokoju, w którym mieszkał poprzednio, ale przecież i tak mógłby to być ten sam, ponieważ był właściwie identyczny. Stały w nim dwa pojedyncze łóżka z brązo-wo-żółtymi narzutami, pomiędzy nimi nocny stolik z Biblią w szufladzie, biurko i krzesło, na ścianie wisiało lustro, które dawałoby lepsze odbicie, gdyby dokładniej i intensywniej je polerowano. Wyposażenia pokoju dopełniał średnich rozmiarów odbiornik telewizyjny oraz wygodny fotel i niewielki okrągły stolik przy oknie. Widok z okna też niczym się nie różnił od tego sprzed tygodni — Starbucks, Barnes & Noble, stoisko z lodami, hurtownia dywanów i tania chińska restauracyjka. Dalej stały spokojne domy dzielnicy Kendall, oddalone od głównej drogi, osadzone pomiędzy drzewami i gęstymi krzewami. Była ładna pogoda, niebo miało piękny błękitny odcień, a słońce świeciło niemal tak samo intensywnie jak na Haiti.

Kiedy wyszedł z portu lotniczego, nawet nie próbował wrócić do domu. Kierowcy taksówki kazał

jechać prosto do hotelu. Decyzję podjął w samolocie, wkrótce po starcie, kiedy koła jeszcze na dobre nie oderwały się od pasa startowego. Nie chciał spędzać Bożego Narodzenia ani witać nowego 1997 roku w swoim domu — w muzeum minionego życia i minionego szczęścia. Postanowił wrócić do niego dopiero drugiego stycznia. Być może wtedy już będzie na to gotowy.

- 525 -

To jeszcze nie był koniec.

Nie potrafił odsunąć od siebie myśli o Charliem Carverze. Gdzie chłopiec był teraz? Co się z nim stało?

Z bardzo prostego powodu nigdy dotąd nie zostawił pracy niedokończonej: później nie mógłby w nocy spać, prześladowałaby go, nie dawałaby mu spokoju.

Pojechał do Małego Haiti. Sklepy, bary, rynek, kluby. W tłumie był jedynym białym. Nikt jednak się tym nie przejmował, mnóstwo ludzi odzywało się do niego przyjaźnie. Co chwilę odnosił wrażenie, że rozpoznaje jakąś twarz, którą widział w Port-au-Prince albo w Pétionville, ale za każdym razem się mylił.

Co wieczór jadł kolację w haitańskiej restauracji o nazwie „Tap-Tap”. Jedzenie było wspaniałe, obsługa znakomita i energiczna, atmosfera ciepła, w powietrzu przez cały czas unosiły się wrzaski. Siadał zawsze przy tym samym stole — przed tablicą, na której wisiał plakat z podobizną zaginionego Charliego.

Przez cały czas rozmyślał o sprawie zaginionego chłopca. W głowie układał sobie chronologicznie wszystkie zdarzenia. Zastanawiał się nad dowodami. Sumował je w myślach, roztrząsał. Następnie analizował inne szczegóły, także związane z przeszłością, historią i ludźmi, którzy zamieszkiwali Haiti.

Coś się w tej układance nie zgadzało.

Tkwilo w niej coś, czego dotychczas nie dostrzegł, coś, co przeoczył, albo coś, czego nie powinien był zobaczyć, ponieważ komuś na tym bardzo zależało.

Co to takiego? Tego właśnie nie wiedział.

To jeszcze nie był koniec.

Musiał, po prostu musiał dowiedzieć się, co przydarzyło się Charliemu Carverowi.

- 526 -

60

Dwudziesty pierwszy grudnia. Joe zadzwonił do niego krótko po ósmej nad ranem, żeby mu powiedzieć, że oswobodzono Claudette Thodore i aresztowano Saxby'ego. Saxby zaczął robić w gacie w tej samej chwili, w której założono mu kajdanki. Dosłownie z każdym próbował ubić interes, od aresztującego go funkcjonariusza po asystującego lekarza. Obiecywał opowiedzieć im o jakimś prywatnym klubie w Miami i o zwłokach zakopanych w Everglades, byle tylko otrzymać w zamian niższy wyrok.

Ojciec Thodore był już w drodze do Fort Lauderdale. Jechał na spotkanie z siostrzenicą.

Joe zapytał Maksa, dlaczego właściwie zamieszkał w „Ra-dissonie”. Max nie mógł naprędce wymyślić chociażby ćwierć-inteligentnej odpowiedzi, powiedział więc przyjacielowi prawdę. Ku jego zaskoczeniu Joe stwierdził, że go rozumie i że nie powinien się śpieszyć. Nie ma sensu pośpieszenie pakować się w coś, na przewyciężenie czego ma się czas do końca życia.

Umówili się w barze „L” na następny wieczór. Miało to być ich pierwsze spotkanie po powrocie Maksa do Miami. Joe przez cały czas był zajęty: Boże Narodzenie to najtrudniejszy czas dla policji, ponieważ właśnie wtedy wpływają na powierzchnię nawet najbardziej dziwaczne typy.

— Postawić ci drinka, poruczniku? — zapytał Max, zwracając się do odbicia Joe'ego w szybie barowego boksu.

Joe wstał, uśmiechnięty od ucha do ucha, i wyciągnął na powitanie rękę. Wy ściskali się.

— Dobrze wyglądasz, Max — stwierdził Joe. — Nie sprawiasz wrażenia faceta, który ostatnie lata spędził w odosobnieniu.

— A ty chyba trochę schudłeś, co?

- 527 -

Zaraz po Vincencie Paulu Joe był najlepiej zbudowanym mężczyzną, jakiego Max znał, jednak w

czasie, kiedy Max przebywał w więzieniu, Joe i tak znacznie schudł. Jego oczy były szersze, a przez skórę przebijały nawet kości policzkowe. Szyja także była jakby trochę cieńsza.

— Tak, zrzuciłem kilka funtów.

Usiedli. Podszedł do nich barman. Max zamówił podwójny rum barbacourt, bez wody, a Joe to samo, tyle że z w.

Dwaj starzy przyjaciele zaczęli rozmawiać. Rozmowa była sympatyczna i niespieszna. Poruszyli najpierw drobne sprawy i powoli przechodzili do poważnych. Barman przynosił na ich stół kolejne drinki. Wreszcie Max prosto i zwięźle opowiedział swoją historię, ujawniając wszystkie fakty, niczego nie ukrywając, od spotkania z Allainem Carverem w Nowym Jorku do rozmowy z Vincentem Paulem w Petionville. Joe przez cały ten czas milczał, Max jednak widział, że oblicze jego przyjaciela staje się z każdą chwilą coraz bardziej pochmurne. W końcu Joe zapragnął się dowiedzieć, jaki los czeka Gustava Carvera.

— Wydaje mi się, że zostanie wydany pewnym rodzicom dzieci, które porwał.

— Dobrze. Mam nadzieję, że wszyscy wykroją sobie z niego plasterek. Jeden plasterek Carvera za każde dziecko — mruknął Joe. — Nienawidzę takich skurwysynów, Max. Szczerze ich nienawidzę.

— A co z ich organizacją?

— Ze zbrojcami z Florydy damy sobie radę. Powołaliśmy w tym celu specjalną grupę. To kwestia kilku dni — odparł Joe. — Jeśli chodzi o resztę, przekazuję obecnie informacje przyjaciółom z policji w innych stanach. Swoją działkę w tej sprawie będzie miało także FBI: żaden zbrojeniec nie uniknie sprawiedliwości. Będzie to jednak długa i ciężka robota. Spodziewaj się, że przez długi czas będzie na czołówkach gazet.

Stuknęli się szklankami.

— A teraz ja mam coś dla ciebie. W tej chwili z tego nie skorzystasz, ale prosiłeś o to, więc masz, co chciałeś — powiedział Joe i podał Maksowi brązową kopertę. — Pierwsza sprawa: Darwen Medd. Nie żyje.

— Co? Od kiedy?

— Od kwietnia tego roku. Straż przybrzeżna zatrzymała pewną łódź, płynącą z Haiti, w poszukiwaniu nielegalnych emigrantów. Ciało Medda znaleziono w ładowni. Był nagi, ręce i nogi miał związane, język wycięty. Zwłoki były zamknięte w zapieczętowanej beczce. Autopsja wykazała, że przebywały w niej przynajmniej przez dwa miesiące. Potwierdziła też, że Medd żył, kiedy wrywano mu język, żył, kiedy zamykano beczkę.

— Jezu!

— Jego oprawcami mogą jednak nie być ci sami ludzie, którzy załatwili Clyde'a Beesona. Zainteresowałem się tym trochę głębiej. Kiedy Medd wyjechał na Haiti, żeby pracować nad sprawą Charliego, deptali mu już po piętach federalni. Tylko dni dzieliły go od aresztowania za przemyt narkotyków. Pomagał swojemu byłemu klientowi szmuglować je z Wenezueli. Wielu ludzi, z którymi rozmawiałem, było przekonanych, że to właśnie goście z Wenezueli organizowali transporty. Beczka, w której znaleziono Medda, miała wenezuelskie oznaczenia, a zatrzymana łódź, zanim dotarła na Haiti, cumowała właśnie w jednym z portów w Wenezueli.

— W jaki sposób wycięto Meddowi język?

— Skalpelem. Czysta robota. No, o ile nie liczyć tego, że potem został porzucony na pastwę losu, żeby się wykrwawił.

Max upił spory łyk rumu.

— Ta sama osoba zajmowała się Beesonem — powiedział.

— Niekoniecznie... — zaczął Joe.

— Co masz jeszcze? — przerwał mu Max.

— Pamiętasz dowody, które mi przysłałeś pocztą kurierską? Nadruk na taśmie wideo pozwolił nam rozwiązać starą sprawę.

- 528 -

- 529 -

— Naprawdę?

— Chyba pamiętasz, że zanim wyjechałeś, poprosiłeś mnie, żebym się przyjrzał rodzinie

Carverow? W papierach znalazłem jedynie informację o włamaniu do ich domu w Miami. Nic im nie zginęło, włamywacz zostawił natomiast własne gówno na którymś z ich wspaniałych rodowych talerzy. — Joe roześmiał się. — I teraz słuchaj. Odciski palców z kasety wideo są identyczne ze znalezionymi na osranym talerzu.

— Poważnie?

— Aha. Ale to nie koniec. Posłuchaj tylko. — Joe z uśmiechem na twarzy pochylił się bliżej ku Maksowi. — Wciąż nie wiemy, kto jest włamywaczem, wiemy jedynie, że w wypadku kasety i włamania mamy do czynienia z tą samą osobą. W Stanach nie figuruje w żadnej kartotece. Może gdybyśmy poprosili o sprawdzenie Kanadyjczyków, dowiedzielibyśmy się, co to za gnojek.

— Co dalej?

— Jest jeszcze jeden facet, o którego sprawdzenie mnie prosiłeś. Boris Gaspesie — powiedział Joe. Max poczuł, że jego puls przyspiesza. Wzdłuż kręgosłupa przebiegły mu zimne ciarki.

— Mów.

— Poszukiwany jest za dwa morderstwa w Kanadzie.

— Co się stało?

— Boris musi być jednym z dzieciaków Carvera, ponieważ został zaadoptowany przez Jeana-Alberta LeBoeufa, chirurga. LeBoeuf był także pedofilem. Przez cały czas jeździł na Haiti, w tę i z powrotem. Boris zabił go, kiedy miał dwanaście lat. Zadźgał go nożem, zadał mu ponad pięćdziesiąt ciosów. Kawalki faceta znajdowano później w różnych miejscach w pokoju, w którym został zamordowany. Chłopak rozciął LeBoeufa od szyi po jaja. Bardzo precyzyjnie. Detektywom, którzy go przesłuchiwali, powiedział, że ten jego tak zwany „ojciec”,

- 530 -

czyli facet, który go adoptował, zmuszał go do oglądania taśm wideo z operacji chirurgicznych, które przeprowadzał. I mawiał, że zrobi z chłopakiem to samo, jeśli kiedykolwiek powie komuś o tym, co się dzieje pomiędzy nimi. Boris powiedział także policjantom, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Gaspesie i że został porwany i poddany praniu mózgu na Haiti. Gliniarze kupili tę pierwszą część, drugiej jednak nie. Papiery adopcyjne były w doskonałym porządku. Sąd okazał się dla chłopca nad wyraz pobłażliwy. Boris został umieszczony w szpitalu na przedmieściach Vancouver. Przebywał tam przez mniej więcej sześć miesięcy. Dobrze się sprawował, nikt na niego nie narzekał, jednym słowem był przykładnym pacjentem. I nagle, pewnego dnia, ni z tego, ni z owego, wdał się w bójkę z innym dzieciakiem przebywającym na jego oddziale. Świadkowie twierdzili, że tamten zamierzył się na Borisa nożem, a on tylko się bronił. Tyle że z tą obroną przesadził, rozumiesz? Napastnik przeżył bójkę, jednak odniósł tak ciężkie rany, że zapadł w śpiączkę. I zaczęły się dziwne rzeczy. Borisa przeniesiono do strzeżonego skrzydła szpitala. Znowu został napadnięty, tyle że tym razem zaatakował go jeden z pracowników — pielęgniarz, który był tam zatrudniony zaledwie od miesiąca. Napadł na niego ze strzykawką pełną adrenaliny.

— Carver wysłał ludzi, żeby zabili Borisa — stwierdził Max.

— Tak, teraz tak to wygląda. Ale wtedy, kto to mógł wiedzieć? Sądzę, że tylko Boris, ponieważ następnym istotnym wydarzeniem w tej opowieści jest jego ucieczka ze szpitala. Zarządzono poszukiwania zakrojone na szeroką skalę, jednak chłopca już nigdy nie znaleziono.

— Kiedy to wszystko się działo?

— Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego do siedemdziesiątego pierwszego — odparł Joe. Podszedł kelner i przyjaciele zamówili kolejne drinki.

- 531 -

— Jak powiedziałem, kanadyjska policja poszukuje Borisa za dwa zabójstwa. Jedną z jego ofiar jest bankier o nazwisku Shawn Michaels, a drugą biznesmen, Frank Huxley...

— Jesteś pewien, że właśnie tak brzmią te nazwiska? — zapytał Max. Jego puls znowu przyspieszył.

— Shawn Michaels i Frank Huxley — potwierdził Joe. — Mówią ci coś?

— Co nieco — odparł Max. — Mów dalej.

— Na ciałach obu ofiar Boris zostawił swoje krwawe ślady. Obu torturował przynajmniej przez trzy dni i dopiero potem ich zabijał.

— Jak ich dobił?

— Poprzecinał skalpelem ich tchawice.

— To by się zgadzało — przytaknął Max.

Otworzył kopertę i wyciągnął z niej stertę kserokopii spiętych dużym spinaczem. Pierwsza z nich zawierała informację o wszczęciu śledztwa w sprawie morderstwa. Max zaczął przeglądać plik, który dał mu Joe, skupiając na każdej kartce uwagę przez kilka sekund, aż wreszcie wypadło spośród nich zdjęcie Borisa Gaspésie, wykonane przez policję. Nie była to wyraźna fotografia, jednak w poważnej twarzy nastolatka Max rozpoznał mężczyznę, który przedstawił mu się jako Shawn Huxley.

Huxley był Borisem Gaspésie.

Huxley trzymał w ręce taśmę, którą Max znalazł w domu Faustina. Odnalazł dom Faustina, ponieważ w pudełku, które wręczył mu mężczyzna z dreadami w Saut d'Eau, była strona wyrwana z książki telefonicznej.

Nie widział twarzy mężczyzny z dreadami.

Czy Boris Gaspésie był także mężczyzną z dreadami?

Przede wszystkim, dlaczego Max pojechał do Saut d'Eau?

Huxley powiedział mu, że Beeson i Medd byli tam także.

Huxley przez cały czas był jego przewodnikiem.

Huxley porwał Charliego.

Świat usunął się spod stóp Maksa. Nagle poczuł, że jest zawieszony nad wielką pustką.

— Jest jeszcze coś, Max — powiedział Joe. — Ty i Boris macie ze sobą coś wspólnego.

— Co?

— Łączy was osoba Allaina Carvera. Mniej więcej w czasie, kiedy zaistniał incydent z gównem na ozdobnym talerzu, „Shawn Huxley” został zatrzymany przez policję, kiedy prowadził po pijanemu samochód na autostradzie międzystano-wej numer jeden. Dostał mandat i został umieszczony w celi do wytrzeźwienia. Podał do protokołu, że jest dziennikarzem. Miał prawo do jednego telefonu i go wykonał. Zadzwoił do Allaina Carvera, który w ciągu dwóch godzin po niego przyjechał i zaraz go zabrał. Widzisz, prawie tego nie zauważyłem. Był już koniec dnia i jeszcze tylko dla porządku kazałem komputerowi przeanalizować nazwisko Gaspésie pod takim kątem, by powiązał je z innymi nazwiskami, jeśli ten człowiek także ich używał. Nazwisko „Shawn Huxley” wpisałem do bazy właściwie przez przypadek.

— Możesz mieć największe szczęście ze wszystkich ludzi na ziemi i być najgorszym gliniarzem w historii służby, jednak to właśnie twoje szczęście sprawia, że zawsze jesteś górą. Gdyby było inaczej, już dawno wyleciałbyś z pracy.

— Coś w tym jest. — Joe zachichotał, ale za chwilę na jego twarzy pojawił się wyraz powagi. —

Co teraz zrobisz, Max?

— A dlaczego uważasz, że w ogóle coś zrobię?

— Gdybym uważał, że nic nie zrobisz, o niczym bym ci przecież nie opowiedział.

- 532 -

- 533 -

61

— Vincent? Tu Max Mingus. — Połączenie było kiepskie, na linii słychać było głośnie trzaski.

— Jak się masz, Max?

— Dobrze, Vincent, dzięki. Myślę, że już wiem, kto porwał Charliego.

— Kto?

— Jutro wracam na Haiti.

— Wracasz? — Vincent był zaskoczony. — Tutaj? Na Haiti?

— Tak. Jutro. Pierwszym samolotem, na jaki dostanę bilet.

— Nie musisz tu wracać, Max. Sam załatwię sprawę. Naprawdę. Powiedz mi tylko, co wiesz.

— Nic z tego — odparł Max.

— Co więc proponujesz?

— Pozwól, że dokończę moją robotę. Daj mi tydzień, czyli dokładnie siedem dni od momentu, w

którym wyląduję. Jeżeli niczego nie osiągnę, powiem ci wszystko, co wiem, i zawinę dupę z powrotem do Miami. Jeśli cokolwiek mi się stanie i nie osiągnę celu, skontaktuje się z tobą Joe Liston. Zna twój numer telefonu. Jeśli w ciągu tygodnia, licząc od jutra, z nim się nie skontaktuję, opowie ci o wszystkim.

— Dobrze. Umowa stoi.

— Oto, co od ciebie potrzebuję. Po pierwsze, chciałbym, żeby wiadomość o moim powrocie się nie rozniosła. Nikt poza twoimi najbardziej zaufanymi ludźmi nie ma wiedzieć, że znowu jestem na Haiti.

— Wyślę na pas startowy kilku ludzi. Odbiorą cię prosto z samolotu i przeprowadzą przez specjalne wejście dla żołnierzy.

— Dobrze. Po drugie, potrzebny mi jest dobry samochód.

— Jasne.

— I broń.

W dniu wyjazdu Max rozłożył berettę na części i poszczególne jej elementy powrzucał w Pétionville do dołów kloacz-nych.

— Uznajmy to za załatwione.

— Dzięki. Przed wylotem do ciebie zadzwonię.

— Rozumiem.

— I jeszcze jedno, Vincent. Tak samo jak przedtem, to wciąż jest moja rola. Zagram ją po swojemu.

— Zrozumiałem.

— Do rychłego zobaczenia.

— Jasne — odparł Vincent. — Aha, Max...

— Tak.

— Dzięki.

Część szósta

62

Chantale skończyła właśnie ładowanie dwóch walizek do bagażnika swojego fiata pandy i zamykała na klucz drzwi domu, gdy zaszedł ją od tyłu i klepnął w ramię.

— Max! — Chantale aż podskoczyła, a kiedy go zobaczyła, szeroko otworzyła usta ze zdziwienia. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

Ubrana była w dzinsy i jasnoniebieską bluzeczkę. W uszach miała małe złote kolczyki, na szyi wąski złoty łańcuszek i słaby makijaż na twarzy. Chciała wyglądać niezbyt oficjalnie, ale nie było jak. Podróż traktowała bardzo poważnie.

— Gdzie jest Allain?

— Nie ma go. Wyjechał z kraju — odparła, a na jej twarzy pojawił się wyraz z troskaniem. Max blokował jej przejście do samochodu. — Ja też stąd wyjeżdżam. Mój samolot odlatuje za kilka godzin, ale biorę poprawkę na korki, więc...

— Nigdzie nie pojedziesz, Chantale. — Max wydobył zza paska glocka, pistolet, który Vincent Paul dał mu na lotnisku.

Dziewczyna przeraziła się.

— Posłuchaj, ja aż do wczoraj nie wiedziałam, że dzieje się coś złego — wyjaśniła. — Wcześniej rano przyjechał do mnie Allain. Właśnie się obudziłam. Powiedział mi, żebym nie jechała do banku i żebym sama sobie ułożyła dalsze życie. Dodał, że coś źle poszło w interesach i musi porozmawiać z prawnikami rodziny w Nowym Jorku. Nie wiedział, kiedy wróci na Haiti. Dał mi potwierdzenie przelewu pieniędzy na moje

- 537 -

konto bankowe w Miami. Dodał jeszcze, że to jest taki złoty podarunek na do widzenia.

— Próbowałaś z niego wyciągnąć, co się właściwie stało?

— Oczywiście. Zatelefonowałam do kilkorga znajomych w banku, oni jednak o niczym nie wiedzieli. Nie wiedzieli nawet, że już nie przyjdę do pracy.

— Ile pieniędzy ci dał?

— Nie tyle, ile tobie.

— Ile? — powtórzył Max.

— Milion.

— To mnóstwo pieniędzy, Chantale.

— Allain to szczodry facet.

— Co jeszcze robiłaś dla niego oprócz tego, że byłaś osobistą asystentką?

— Nic! — warknęła. — Jak śmiesz...

— Gdzie jest Charlie?

— Charlie? Nie wiem.

Była z pewnością ciężko przestraszona i raczej nie kłamała. Czy miała w ogóle pojęcie, że Allain jest gejem?

— Co jeszcze wiesz? — zapytał Max. — Czym się zajmował Allain od czasu, kiedy stąd wyjechałem?

Chantale spojrzała na niego badawczo, starając się go przejrzeć, wydedukować, dlaczego właściwie znów przyjechał. Max ze zniecierpliwieniem poklepał pistoletem o udo.

— Wykonał mnóstwo przelewów międzybankowych. Podśledziłam, jak krzyczał na kogoś przez telefon, że niektóre z nich trwają zbyt długo. Przyjęłam kilka telefonów z banków na Kajmanach, w Monako i Luksemburgu...

— Wiesz, ile pieniędzy przelał?

— Nie. Co się dzieje, Max?

Max wręczył jej policyjną fotografię Gaspesiego, wykonaną, kiedy ten miał kilkanaście lat.

— Widziałas go kiedykolwiek z Allainem?

— Przecież to chłopiec — powiedziała Chantale.

— Już dorósł. Popatrz uważnie. Może się nazywać...

— Shawn Huxley? — podpowiedziała Chantale.

— Znasz go?

— Tak. Mówił, że jest dziennikarzem, starym znajomym Allaina.

— Ile razy widziałas ich razem?

— Dwa, najwyżej trzy razy. Zawsze przychodził spotkać się z Allainem w banku. Był w zeszłym tygodniu. Pytał mnie, czy chciałabym pojeździć z nim w weekend na nartach wodnych.

Wynajmował od Allaina dom na plaży.

— Gdzie jest ten dom? — zapytał Max.

Chantale mu powiedziała. Znajdował się w odległości mniej więcej trzech godzin drogi. Poprosił ją, żeby naszkicowała mu trasę na kartce.

— Coś jeszcze wiesz o Huxleyu? Słyszałaś kiedykolwiek, o czym rozmawiał z Allainem?

— Nie. Wiem, że kiedy się spotkali ostatnim razem, dużo się śmiali — powiedziała Chantale i nagle się zaniepokoiła. — Czy to oni porwali Charliego?

— A jak myślisz, dlaczego wróciłem?

— To niemożliwe! — wykrzyknęła dziewczyna.

— Jak dobrze znasz Allaina? — zapytał Max. Chantale długo milczała i wreszcie opowiedział jej to, o czym

już wiedział na pewno. Przyglądał się jej badawczo, szukając na jej twarzy reakcji. Najpierw była zaskoczona (orientacją seksualną Allaina, prawdziwym nazwiskiem Huxleya), potem nie chciała mu wierzyć (że Vincent był ojcem Charliego), aż wreszcie poczuła się kompletnie dezorientowana. Oparła się o ścianę, niepewnie, jakby za chwilę miała zemdleć. Max dał jej czas, żeby trochę doszła do siebie.

— Nie mam o tym wszystkim zielonego pojęcia, Max. Przysięgam.

Ich spojrzenia spotkały się.

— Chcę ci wierzyć — powiedział.

- 538 -

- 539 -

Nabrali go już Allain, Huxley i Gustav. Nie chciał dopisywać Chantale do tej listy.

— Powiedziałam ci wszystko, co wiem. A teraz chcę się jedynie stąd wynieść. Chcę zdążyć na mój

samolot. Proszę.

— Nie. — Max zdecydowanie potrząsnął głową i złapał dziewczynę za ramię. — Na ten samolot nie zdążysz. I na żaden inny, dopóki wszystkie sprawy się nie wyjaśnią.

— Ale ja przecież nic nie wiem.

Poprowadził Chantale na chodnik i skinął w kierunku samochodu parkującego za jego własnym.

Wysiedli z niego kobieta i mężczyzna. Zbliżyli się do nich.

— Pilnujcie jej w domu, dopóki nie otrzymacie innych instrukcji — powiedział Max. — I traktujcie ją dobrze. Nie zróbcie jej żadnej krzywdy.

63

Dom plażowy Carverow i jego okolice można było uznać za mały kawałek raj. Stał na niewielkiej, lecz prześlicznej białej plaży i ukryty był pod ciemnym nawisem skalnym. Z jednej strony otaczały go góry, a z drugiej błękitny ocean, jakby przeniesiony z pocztówki.

Max patrzył z dużej wysokości, jak Huxley i dwie kobiety wsiadają do motorówki, a potem jeżdżą na nartach wodnych. Dopiero gdy uznał, że będzie miał dość czasu, zaczął schodzić na plażę i skierował się ku budynkowi.

Dom — właściwie willa w stylu hiszpańskim, w rodzaju tych, które bogaci ludzie kupują w okolicach Miami jako domy na wakacje albo po to, by spędzić tam życie na emeryturze — otoczony był grubym i wysokim na dwadzieścia stóp murem, zwieńczonym ostrymi szpikulcami, pokruszonym szkłem

540

i drutem kolczastym. Jednak kiedy Max pchnął podwójną metalową bramę, otworzyła się szeroko na wybetonowany dziedziniec. Na dziedzińcu znajdował się basen, wokół którego stało kilka rozłożonych leżaków. W normalnych warunkach zamykanie bramy nie miało sensu. Dom był doskonale odizolowany od ładu dzięki ostrym małym skałom, połaciom dzikiej trawy, kaktusom i niedającym owoców palmom kokosowym o żółtawozielonych liściach.

Max wszedł na dziedziniec i zamknął za sobą bramę.

Istniała tylko jedna osoba, którą Allain Carver kochał równie mocno, a właściwie jeszcze mocniej niż samego siebie — jego matka. W kącie salonu znajdowała się poświęcona jej jakby mała świątynia — lśniąca granitowa płyta z umieszczoną na niej centralnie czarno-białą fotografią kobiety, portretem wykonanym w profesjonalnym studiu, ukazującym ją jako osobę wspaniałą i wyniosłą, gwiazdę w swoim własnym wszechświecie. Pod fotografią złotymi literami wryto w granicie jej nazwisko oraz rok urodzenia i śmierci. Dodatkowym elementem świątyni był mały zbiornik z wodą, w którym pływały purpurowe świece.

Wszystkie inne fotografie w domu, wiszące na ścianach lub umieszczone w ramach na meblach, przedstawiały Allaina od wieku dziecięcego aż po czasy współczesne. Max był zaskoczony, oglądając fotki mężczyzny, który aż do tej chwili sprawiał na nim wrażenie, jakby największym wysiłkiem, którego się podejmował, był spacer do samochodu i z samochodu. Tymczasem na fotografiach mógł go podziwiać, jak surfuje na desce, szybuje na paralotni, wspina się po górach, skacze ze spadochronem, na bandzi, zjeżdża po linie. Na każdej fotografii Carver prezentował uśmiechniętą twarz człowieka bez wątplenia zadowolonego z życia, korzystającego z niego w pełni, śmiało podejmującego działania, które uwalniają mnóstwo adrenaliny.

- 541 -

Max zrozumiał, jak niewiele wiedział o swoim pracodawcy, jak mocno ten go zwiódł i jak poważnym jest przeciwnikiem. Właśnie ujrzał tę jego stronę, o której ludzie nie mieli pojęcia, której istnienia nawet nie podejrzewali. Dopiero na fotografiach w letnim domu Max zobaczył Allaina Carvera takim, jakim ten był w rzeczywistości.

Salon ze świątynią w rogu był skąpo umeblowany. Pod oknem, z którego rozciągał się widok na werandę i na ocean, znajdował się stół jadalny, bez wątplenia doskonale miejsce na intymne kolacje o zachodzie słońca. Ustawiono przy nim tylko dwa krzesła, naprzeciwko siebie, przy dłuższych bokach. Pod najdłuższą ścianą pokoju stała skórzana kanapa, a na ścianie naprzeciw wisiał wielki ekran telewizyjny. Przy kanapie stał okrągły stolik do kawy, wykonany z drewna połączonego z chromowanym metalem. Wzdłuż kolejnej ściany ustawiono cztery regały z książkami, wśród

których znajdowały się tomy najróżniejsze, od oprawnych w skórę encyklopedii po powieści erotyczne dla gejów. Na środku pokoju stały na dywaniku dwa proste krzesła, lampa i kolejny stolik. Pod telewizorem była jeszcze wieża stereofoniczna z mnóstwem płyt CD, głównie z muzyką klasyczną.

W całym domu unosił się zapach wypalonych papierosów, skrętów z marihuaną i perfum.

Max zaczął szukać broni i szybko natrafił na ośmiostrza-łowy rewolwer marki Smith & Wesson, leżący na małej półce pod stołem jadalnym. Usunął naboje z bębena i schował je do kieszeni.

Następnie sprawdził kuchnię, do której prowadziły drzwi po lewej stronie. Znajdowała się tam chłodziarka i zamrażarka, obie doskonale zaopatrzone w żywność. W chłodziarce było też mnóstwo świeżych produktów—różne sałatki i owoce. Zauważył w niej ponadto butelkę z wodą i od razu opróżnił ją do połowy. Na półce leżało kilka książek kucharskich, a ich stan świadczył, że często do nich zaglądano. Przy książkach leżały

542

różne przepisy powycinane z magazynów. Włączona zmywarka do naczyń pracowała z cichym szumem.

Na chłodziarce Max znalazł kolejny rewolwer. Z niego także usunął naboje.

Przez salon przeszedł do łazienki. Była bardzo duża, miała wannę wbudowaną w podłogę, prysznic i dwa sedesy — osobny dla mężczyzn i kobiet. Wyszedłszy z niej, Max przeszedł do głównej sypialni. Stało w niej podwójne łóżko z mosiężnymi poręczami. Z okna sypialni rozpościerał się ten sam widok na ocean, co z salonu. Max zobaczył motorówkę, ciągnącą narciarza wodnego. Pościel na łóżku była porozrzucana. Na podłodze leżały różne elementy ubrania, głównie damskiego. W szufladzie nocnego stolika także schowano rewolwer. Max dołożył naboje z niego do swojej kolekcji.

Przeszedł do pierwszej sypialni dla gości i stwierdził, że jest zupełnie pusta, jeśli nie liczyć stojącej w niej niebieskiej ekskluzywnej walizki i torby podróżnej do kompletu. Walizka była zamknięta na kłódkę. Max otworzył torbę i znalazł w niej bilet linii British Airways, pierwszej klasy, w jedną stronę, z Santo Domingo do Londynu, wystawiony na 3 stycznia, czyli na następny dzień. W bocznej kieszeni torby podróżnej spoczywał brytyjski paszport, należący do niejakiego Stuarta Boyle'a.

Fotografia w paszporcie przedstawiała mężczyznę, którego Max znał jako Shawna

Huxleya. Wizerunek Huxleya trochę się zmienił. Mężczyzna na fotografii nie miał wąsów, a jego włosy ścięte były bardzo krótko. Wyglądał niezwykle dorośle. Uśmiechał się do obiektywu aparatu. W domu było pusto i cicho. Max nie słyszał nawet fal oceanu.

W drugiej gościnnej sypialni stały dwie torby podróżne należące do kobiet, z którymi przebywał Huxley. Znajdowała się w niej też brudna kserokopiarka i pudełko na papier. Urządzenie nie było podłączone do prądu. Max otworzył pokrywę kopiarki. Nic. Otworzył pudełko. Puste.

- 543 -

Rozejrzał się jeszcze po pokoju. Nic ciekawego.

Popatrzył znów na kserokopiarce. Odsunął ją od ściany. Ujrzał jedynie kurz i dwa martwe owady. W żadnej z gościnnych sypialni nie było broni.

Przeszedł do głównej sypialni i przez okno spojrzął na motorówkę.

Po jakiejś godzinie narciarze wodni skierowali się do brzegu.

64

Dziewczyny weszły pierwsze. Kreolki, rozbawione, roześmiane.

Po nich wszedł Huxley. Mówiąc coś, zatrzasnął drzwi. Kolejny wybuch śmiechu.

Max czekał w pierwszej sypialni gościnnej, tej z walizką Huxleya i jego fałszywym paszportem. Nagle przypomniał sobie o butelce, z której pił wodę. Butelka była nienapoczęta, musiał zdjąć z niej kapsel. Jeśli towarzystwo przejdzie do kuchni, od razu zorientuje się, że w domu przebywa jeszcze ktoś inny.

Cholera jasna!

W głównej sypialni rozległ się jakiś łoskot, potem dobiegły z niej rozbawione głosy i wreszcie krótki śmiech.

Nagle Max usłyszał czyjeś kroki, tuż przy drzwiach. Ktoś szedł w klapkach basenowych.

Nacisnął klamkę.

Max cofnął się od drzwi i odbezpieczył pistolet. Cisza.

Ktoś włączył klimatyzację. Max czekał.

Klamka wróciła do poprzedniej pozycji, kroki osoby w klapkach zaczęły się oddalać.

- 544 -

Kolejne kroki. Ktoś następny przeszedł boso korytarzem w kierunku salonu.

Ktoś inny spuścił wodę w toalecie. Osoba w klapkach ruszyła za tą, która chodziła boso.

Rozległ się wesoły krzyk kobiety, Huxley mruknął i jęknął z rozkoszą.

Głos drugiej kobiety dotarł z sypialni. Po chwili roześmiała się.

Max nasłuchiwał, ale w tym momencie niczego nie słyszał. Pomyślał o wodzie. Musiał wykonać ruch.

Dłoń mu się pocila, zaciśnięta na rękojeści glocka. Wytarł ją w koszulę. Glock nie był jego ulubionym pistoletem. Wolał broń cięższą i większą, taką jak beretty czy colty. Glocki w jego oczach zawsze bardziej przypominały zabawki niż poważne uzbrojenie. Vincent Paul dał mu nowego glocka kalibru .45 z magazynkiem na trzydzieści nabojów. Joe nosił taką samą broń. Kochał glocki, mówił, że są bardzo poręczne i że kiedy trzyma glocka w dłoni, prawie nie czuje jego ciężaru.

Kroki stóp w klapkach i bosych wróciły do sypialni.

Rozmowy, śmiechy.

Max przysunął się bliżej drzwi i czekał. Usłyszał przyciszony głos Huxleya. Zaskrzypiały sprężyny łóżka.

Odrobinę uchylił drzwi. Cisza. Na palcach wyszedł z pokoju. Huxley znowu się odezwał.

Ciężkie oddechy, jęki, z każdą chwilą bardziej piskliwe.

Max zebrał się w sobie. Myślał jasno i logicznie. Przybył tutaj po Charliego, musiał się dowiedzieć, gdzie jest przetrzymywany lub gdzie został pochowany. Nie przyjechał tu, żeby się mścić. Kończył właśnie swoje zadanie, zamykał karierę detektywa, zamykał na zawsze pewien długi rozdział w życiu. Przewagę dawał mu element zaskoczenia. Nikt się go tutaj nie spodziewał.

545

Huxley znów coś powiedział. Teraz.

Max w absolutnej ciszy wkroczył do sypialni. Czego mógł się spodziewać?

Cała trójka tak była zajęta zabawą, że jego wejście pozostało niezauważone.

Dwie kobiety leżały na łóżku, nagie, każda miała głowę zanurzoną między udami partnerki. Huxley siedział na krześle przed łóżkiem, w żółtej koszulce i w jasnoniebieskich japonkach, ze spodenkami opuszczonymi do kolan i lekko otwartymi ustami. W dłoni trzymał swój sterczący członek i niespiesznie się nim bawił.

Max wycelował glocka w jego głowę.

Huxley był tak zapatrzony w scenę na łóżku, że tego nie zauważył. Max podszedł więc do niego i przyłożył mu lufę pistoletu do czoła.

Odchrząknął.

Dziewczyna na łóżku dostrzegła go kątem oka, uniosła głowę znad krocza koleżanki i wrzasnęła.

Huxley popatrzył na Maksa, jakby ten był halucynacją. Twarz miał tak spokojną, jakby tylko czekał, aż halucynacja całkowicie zniknie z jego pola widzenia i wszystko powróci do normalności. Kiedy to nie nastąpiło, przestraszył się. Wszelki kolor odpłynął z jego twarzy, nozdrza rozszerzyły się, oczy otworzyły jeszcze bardziej, a usta po prostu pozostały nadal szeroko otwarte.

Krzyknęła druga dziewczyna. Obie usiadły i zgarnęły rękami pościel, żeby się zakryć. Miały ciemną skórę, wysokie kości policzkowe, pełne, okrągłe usta i były po prostu piękne. Huxley miał wspaniały gust.

Max przyłożył palec do ust, aby uciszyć dziewczyny, i odszedł kilka kroków od łóżka, na wypadek gdyby chciały na niego skoczyć.

— Charlie Carver — powiedział do Huxleya. — Żyje czy nie? Huxley zdobył się na krzywy uśmiech.

—Mówiłem Allainowi, że wrócisz — odezwał się niemal z zadowoleniem. — Szczególnie że odesłałeś mu pieniądze. Nie był w stanie w to uwierzyć. A ja wtedy zrozumiałem, że wkrótce dobierzesz nam się do skóry. Wiedziałem, że twój powrót w celu dokończenia zadania jest tylko kwestią czasu. Wiedziałem. I nigdy nie widziałem, żeby ktoś spieprzał w takim pośpiechu. Al-lain uciekał, jakby ognisko mu się paliło pod dupą.

— Odpowiedz mi.

— Charlie żyje.

— Gdzie go przetrzymujecie?

— Chłopiec jest bezpieczny. Niedaleko granicy z Dominikaną.

— Kto jest przy nim?

— Dwoje ludzi. — Huxley zaczął się jąkać. — Nie... nie robią mu krzywdy. Traktują go dosłownie jak syna.

— Jedziemy tam — zarządził Max.

65

Huxley prowadził samochód, a Max siedział obok niego z pistoletem wycelowanym w jego bok.

— Kiedy widziałeś dzieciaka po raz ostatni? — zapytał.

— Trzy miesiące temu.

— Jak on się czuje?

— Bardzo dobrze. Jest zdrowy.

— Mówi?

— Co?

— Potrafi mówić?

— Nie. Ani słowa.

Było późne popołudnie. Huxley wyjaśnił, że najpierw trzeba będzie dojechać do Pétionville, później górską drogą prze-

- 546 -

- 547 -

jechać obok posiadłości Carvera, a kiedy wreszcie się zatrzymają, będą widzieć światła i domy na terenie Dominikany. Spodziewał się, że do miejsca, gdzie przetrzymywane jest dziecko, dotrą późnym wieczorem.

— Powiedz mi coś o ludziach, którzy pilnują dziecka.

— To Carl i Ertha. Starzy ludzie, około siedemdziesiątki. Najbardziej niebezpiecznym przedmiotem, jaki mają w domu, jest maczeta. Służy do rozłupywania orzechów kokosowych. Carl to były ksiądz...

— Jeszcze jeden — rzucił Max z przekąsem.

—... pochodzący z Walii. Bardzo dobrze znał matkę Allaina. Pomagał mu, kiedy Allain był nastolatkiem i odkrył w sobie skłonności gejowskie.

— Carl też jest gejem?

— Nie. Lubi kobiety i alkohol.

— To dlatego wyleciał z Kościoła?

— Zakochał się w swojej gospodyni, dziewczynie o imieniu Ertha. Poszedł swoją drogą i jest z Erthą do dzisiaj. Pani Carver mocno ich wspierała. Kupiła im farmę niedaleko granicy. Potem Allain pilnował, żeby nigdy niczego im nie brakowało. To dobrzy ludzie, Max. Traktują Charliego jak własne dziecko. Jest z nimi szczęśliwy, wręcz kwitnie. Mógł przecież trafić znacznie gorzej.

— Dlaczego tak dobrze go traktujecie? Dlaczego go nie zabiliście? Po co wam te wszystkie kłopoty, dlaczego ryzykowaliście, że zostaniecie złapani? Wystarczyłoby zabić Charliego, żeby mieć z tym spokój.

— Nie jesteśmy potworami, Max. Nigdy nie planowaliśmy, że go zabijemy. Poza tym lubimy Charliego chociażby za pochodzenie. Gustav Carver, z jego władzą, pieniędzmi i kontaktami, stary głupiec nie miał pojęcia, że to nie jego dziecko. A przecież, co gorsze dla niego, chłopca spłodził Vincent Paul, zaprzysięgły wróg starego.

Kiedy wjechali do Pétionville, Huxley zmniejszył prędkość.

kość o połowę, a wkrótce, gdy znaleźli się w gęsto zaludnionym centrum miasta, ograniczył ją niemal do zółtego tempa. Granice pomiędzy ulicami a chodnikami były tu zatarte przez ruszające się i tkwiące w miejscu ludzkie ciała. Minąwszy „La Coupole”, ruszyli górską drogą.

— W jaki sposób nas znalazłeś?

— Na tym polega moja robota — odparł Max. — Pamiętasz kasetę wideo, którą podłożyłeś w domu Faustina? Spieprzyłeś sprawę. Zostawiłeś na niej odciski palców. A po tej nitce dotarłem już do kłębka.

— A więc gdyby nie te odciski...

— Zgadza się. Gdyby nie one, mogłeś spędzić resztę swojego marnego życia, a niewiele ci go raczej zostało, w taki sposób, jak byś chciał. Widzisz, zachowanie Allaina wzbudziło już podejrzenia Vincenta Paula. Dopadłby was raczej szybciej niż później.

— Zamierzałem jutro stąd wyjechać — powiedział Huxley gorzko. Mocniej zacisnął ręce na kierownicy, aż pod skórą pokazały się białe knykcie. Dłonie wojownika, pomyślał Max. — Vincent Paul nigdy by się o mnie nie dowiedział. Prawie nikt nigdy nie widział mnie i Allaina razem. Tylko Chantale знаła moje nazwisko, i to wyłącznie jedno z nich.

— Czy była w to zamieszana?

— Nie. Absolutnie nie. Allain codziennie wypytywał ją, co robiłaś, gdzie byłaś, co widziałeś, jednak dziewczyna nie miała pojęcia, co naprawdę się działo. Nie wiedziała więcej niż ty.

— Może więc ty powiesz mi teraz, „co naprawdę się działo”? I to od początku, dobrze?

— A ile już wiesz? — zapytał Huxley.

Jechali niebezpieczną górską drogą. Minęli dzipa suzuki, leżącego w rowie kołami do góry. Bawiły się w nim dzieci.

— Ogólnie wiem po prostu, że ty i Allain porwaliście Charliego. Motyw: załamać i pogryźć Gustava Carvera. Allainowi chodziło najpierw o pieniądze, a później o zemstę. Ty wszedłeś

- 549

w to dla zemsty i dla zielonych banknotów, ale twoim głównym motywem była zemsta. Jak mi idzie?

— Nieźle. — Huxley uśmiechnął się z wyższością. — A teraz od czego chcesz, żebym zaczął?

— Sam zdecyduj.

— Dobrze. Najpierw powiem ci więc o Panu Klarnecie.

— Proszę bardzo. Zamieniam się w słuch.

66

— Moja siostra, Patrice, wołałem na nią Treese. Miała piękne oczy. Zielone, jak Smokey Robinson. Kocie oczy w ciemnej skórze. Była tak piękna, że ludzie na ulicy zatrzymywali się i patrzyli na nią.

— Huxley uśmiechnął się.

— Ile miała lat?

— Nie więcej niż siedem. Trudno było określać takie rzeczy, jak wiek, daty i tym podobne, ponieważ nie potrafiliśmy ani pisać, ani czytać, ani liczyć, podobnie jak nasi rodzice, rodzice ich rodziców i wszyscy inni ludzie, jakich znaleźliśmy. Dorastaliśmy w Clarinette, w biedzie. Kiedy nauczyliśmy się chodzić, musieliśmy pomagać naszym rodzicom we wszelkich pracach, których celem było właściwie tylko jedno: położyć na stół jakieś jedzenie. Ja pomagałem mamie zbierać owoce. Układałem w koszyku mango, razem stawaliśmy na poboczu drogi i sprzedawaliśmy je pielgrzymom podróżującym do Saut d'Eau.

— Co z ojcem? — zapytał Max.

— Bałem się go. Był naprawdę gwałtownym facetem. Potrafił mnie bić z byle powodu. Jeśli tylko uznał, że źle na niego spojrzalem, brał cienką witkę i walił mnie nią w mój mały tyłek. Treese traktował jednak zupełnie inaczej. Uwielbiał ją. Byłem o nią zazdrosny. Pamiętam dzień, kiedy do wioski przyjechały ciężarówki, wielkie ciężarówki z bębniami do mieszania cementu. Pomyślałem, że oto zjawily się potwo-

ry, żeby nas wszystkich pożreć. Tato powiedział nam, że kierowcy ciężarówek mówili, iż wkrótce w naszej wiosce zaczną stawiać nowe wielkie budynki i dzięki temu wszyscy będziemy bogaci.

Poszedł do pracy na budowie. Zarządzał nią Perry Paul, który był też właścicielem terenu. Myśle, że w całej tej budowie chodziło o to, żeby postawić jakieś tanie miejsca noclegowe dla pielgrzymów podróżujących do Saut d'Eau. Większość przybywała z bardzo daleka i nie miała gdzie przenocować. Perry Paul zbudował także świątynię. Sądzę, że chciał stworzyć swego rodzaju Mekkę voodoo. Potem Gustav Carver zniszczył Paula i od razu przejął ten projekt. Nastąpiły zmiany w zarządzaniu. Wszystko pobiegło innym torem. Pewnego dnia przyjechał do nas najdziwniej wyglądający człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Biały mężczyzna z pomarańczowymi włosami. Nikt nigdy nie widział go przy pracy. Zdawało się, że przez cały czas nie robi nic poważnego, a jedynie bawi się z dziećmi. Graliśmy z nim w piłkę nożną. Kupił nam piłkę.

Huxley odchrząknął.

— Był bardzo zabawnym facetem. Wszystkie dzieci doprowadzał do śmiechu. Opowiadał nam bajki i dawał prezenty — cukierki, słodycze, czasami coś do ubrania. Był dla nas wszystkich jak wielki ojciec i jednocześnie jak starszy brat. Często nas filmował ośmiomilimetrową kamerą. Wyglądał wtedy, jakby połową jego twarzy była ta czarna brzydka maszyna z ciekawskim okrągłym szklanym okiem. Przerazała nas ona i jednocześnie bawiła. Mężczyzna filmował przede wszystkim Treese. Pewnego dnia wziął mnie i Treese na bok i powiedział nam, że wkrótce wyjeżdża. Byliśmy naprawdę zasmuceni. Moja siostra zaczęła płakać. On wtedy stwierdził, że nie mamy się martwić i że jeśli chcemy, może nas oboje zabrać ze sobą. Odparliśmy, że chętnie z nim pojedziemy. Zobowiązał nas, żebyśmy niczego nie zdradzili rodzicom, bo jeśli za wcześniej się dowiedzą o naszych wspólnych planach, nie

- 550 -

- 551 -

będzie nas mógł zabrać. Zgodziliśmy się na to. Następnego popołudnia w absolutnej tajemnicy wyszliśmy z wioski. Naszego przyjaciela spotkaliśmy wkrótce w samochodzie przy drodze. Był z nim jakiś inny mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widzieliśmy. Treese zaczęła cicho mówić, że może jednak powinniśmy wrócić do rodziców. Wtedy obcy wyskoczył z samochodu, chwycił ją i wrzucił do środka. Po chwili to samo zrobił ze mną. Kiedy samochód ruszył, oboje zaczęliśmy płakać. Mężczyzna dał nam jakiś zastrzyk. Z tego, co działo się później, nic już nie pamiętam. Nie mam pojęcia, jak dostaliśmy się na La Gonâve.

Minęli posiadłość Carvera i dalej jechali pod górę wąską i dziurawą drogą. Dwukrotnie się zatrzymywali. Najpierw drogę zatarasowała zepsuta ciężarówka, a potem stado kościstych kóz, sprowadzanych z zielonego wzgórza.

— Obejrzałeś taśmę, prawda? Tę, którą ci zostawiłem. Obejrzałeś ją? — zapytał Huxley.

— Skąd ją wzięłeś? — Max przełożył pistolet z ręki do ręki.

— Później ci powiem. Widziałeś, co na niej było? Jak poili dzieci jakąś miksturą?

— Tak. — Max pokiwał głową.

— Z powodu całego tego „procesu indoktrynacji” moja pamięć cholernie szwankuje. Nie mógłbym stać w sądzie jako świadek, ponieważ, jeśli chodzi o tamte wydarzenia, mój umysł jest jak makaron. Odnoszę wrażenie, że niektóre rzeczy jedynie mi się śniły. Nie wiem, ile z tego jest dysocjacja, a ile efektem działania soku zombie, którym nas poili. Nie był tak silny, jak to, czego używają kapłani voodoo, żeby wprowadzać ludzi w stan katatoniczny, ale na tyle mocny, że po jego wypiciu traciliśmy kontrolę nad własnymi zmysłami. Pojono nas tym sokiem codziennie.

Otrzymywaliśmy go jak komunię. Wstawaliśmy rano i piliśmy zielony płyn. Wpadaliśmy w stan hipnozy, w którym słyszeliśmy muzykę. To Gustav Carver siadał na środku pokoju o białych ścianach, a my otaczaliśmy go

kołem, trzymając się za ręce. Grał nam na klawirze. Poprzez tę grę otrzymywaliśmy „instrukcje”.

— Ale co z twoją siostrą? — zapytał Max. — Co się z nią wtedy działo?

— Nie wiem. Ostatni raz widziałem ją na tylnym siedzeniu samochodu, kiedy zostaliśmy porwani.

— Huxley potrząsnął głową. — Najprawdopodobniej nie żyje. Nie pozwalano nam dorastać.

— Skąd to wiesz?

— Do tego też dojdę — odparł Huxley i kontynuował opowieść. — Zostałem sprzedany

kanadyjskiemu chirurgowi plastycznemu o nazwisku LeBoeuf. Zawsze patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby natychmiast chciał zdebrać ze mnie ubranie. Kazał mi obserwować, jak wykonuje operacje. Wtedy nauczyłem się posługiwać skalpelem. Nabrałem w tym sporej wprawy. Nauczyłem się czytać dzięki książkom medycznym. Kiedy zabiłem LeBoeufa, sprawiedliwość była po mojej stronie, ale była też w kieszeni Carvera, ponieważ nikt nigdy nie skojarzył z nim LeBoeufa. Kiedy opowiadałem, że porwano mnie na Haiti, że byłem poddawany praniu mózgu, kiedy mówiłem o Panu Klarncie, o mojej siostrze, nikt mi nie wierzył. Bo niby dlaczego? Byłem dzieciakiem, który właśnie porzynał człowieka na drobne kawałeczki, a jego wnętrzności porzrzucał po całym domu.

— Ale przecież policjanci przetrząsnęli dom w poszukiwaniu dowodów zaraz po znalezieniu zwłok.

— Nie znaleźli niczego, co wiązałoby LeBoeufa z Carverem. A nawet jeśli znaleźli, nie ujrzało to światła dziennego. Stary człowiek miał macki dosłownie wszędzie — odparł Huxley. — Uciekłem ze szpitala, w którym mnie zamknięto, uciekłem dlatego, że Gustav kazał mnie tam zabić. Kiedy o tym opowiadałem, nikt nie wierzył w ani jedno moje słowo. To był przecież dom wariatów, nie mogłem więc być tym zaskoczony. Kiedy zaczęli się zastanawiać, dochodzić do wniosku, że może w moich

- 552

- 553 -

słowach było trochę prawdy, ja już byłem zbiegiem, uciekinierem, osobnikiem poszukiwanym w całym kraju. Nocowałem na ulicach. Włóczyłem się. Robiłem różne złe rzeczy, ale nie miałem wyboru, życie mnie postawiło przed taką koniecznością. Jednak przez cały czas składałem w myślach elementy układanki, zaczynałem dociekać, co się właściwie stało i kto za tym stoi. Przypomniałem sobie pewną osobę, którą znał LeBoeuf. Nie był to lekarz, człowiek z jego branży, lecz po prostu przyjaciel, Shawn Michaels. Bankier. Odszukałem go. Zmusiłem go, żeby powiedział mi wszystko o interesach Carvera: jak je prowadził, na jaką skalę, dosłownie wszystko.

— Zabiłeś go? — zapytał Max.

— Tak. — Huxley pokiwał głową. — Zabrałem jego notes z adresami. Znał wielu innych pedofilów, ludzi, którym polecał usługi Carvera.

— Zacząłeś na nich polować?

— Dotarłem tylko do jednego.

— Do Franka Huxleya?

— Tak. Miał mnóstwo kaset wideo z nagraniami z La Gonâ-ve i z Arki Noego. Kasetę, którą ty znalazłeś, była kompilacją, którą sam wykonałem, takim przeglądem horroru.

— Co z resztą ludzi z tego notesu?

— Nie byłem w stanie się do nich dostać.

— A co z Allainem? Kiedy on pojawił się na horyzoncie?

— W Kanadzie przez większość czasu mieszkalem na ulicy. Poznałem wielu włóczęgów. Znał ich też Allain. Nie uwierzysz, ale bywali jego partnerami seksualnymi. Okazało się, że mamy wspólnych znajomych. Dwóch z nich często opowiadało mi o bogatym Haitańczyku, z którym się ostro pieprzą. Zaciekawili mnie. Bez trudu dowiedziałem się, kto to taki. Któregoś dnia poszedłem do baru, do którego Allain wpadał na podrywki. Zaczęliśmy rozmawiać. Kiedy się zorientowałem, że nienawidzi starego niemal tak samo jak ja, doprowadziłem do tego, że staliśmy się sprzymierzeńcami.

- 554 -

— Ukułeś więc plan, który miał doprowadzić do zniszczenia starego człowieka?

— Zasadniczo tak. Nasze motywy postępowania były bardzo różne. Allain był jedynie zepsutym bogatym chłopaczkiem, któremu ojciec odmówił miłości ze względu na jego orientację seksualną. Jakoś by mógł z tym żyć, gdyby nie... Otóż jeden z jego kochanków pracował w Miami w kancelarii prawnej, z której usług korzystała rodzina. Powiedział on Alla-inowi, że stary całkowicie pominął go w testamencie. Wszystkie pieniądze zapisał swoim zięciom i najbliższym współpracownikom. Interes Carverow jest tak zorganizowany, że w wypadku gdyby stary zachorował albo w pośpiechu gdzieś wyjechał, tymczasowa odpowiedzialność za jego prowadzenie

spada na drugiego pod względem starszeństwa Carvera na Haiti. Takie sytuacje się zdarzały, dlatego Allain wiedział, za jakie sznurki pociągać. Odkrył, że na różnych kontach gotówkowych stary trzyma „na czarną godzinę” ponad pół miliarda dolarów. Allain jako głowa imperium mógłby robić z tymi pieniędzmi, co by mu się tylko podobało...

— Ale najpierw musiał usunąć z drogi starego — odpowiedział Max.

— Właśnie. Allain nie miał zielonego pojęcia, jak się dostać do tej fortuny. Facet był inteligentny, ale brakowało mu sprytu i zbyt często miewał wyrzuty sumienia. Natomiast moje sumienie od dawna było martwe.

— A więc to ty wymyśliłeś, że należy porwać dziecko?

— Oczywiście — przyznał Huxley z dumą. — Wymyśliłem też prawie cały plan. Mielśmy porwać dziecko, zadekować je w jakimś bezpiecznym miejscu, sprowadzić na wyspę jakiegoś detektywa z zewnątrz i pokierować nim tak, żeby szukając dziecka, przypadkiem odkrył sprawki Carvera.

— Poprzez „pokierowanie” rozumiesz podkładanie dowodów w odpowiednich chwilach i miejscach, prawda?

— Właśnie.

- 555 -

— Albo dosłownie wkładanie mi dowodów do ręki, jak to uczyniłeś...

— ..nad wodospadem? Tak. To ja byłem pod tą peruką.

— Pasowała ci — powiedział Max kwaśno.

Było już ciemno. Huxley zmniejszył prędkość. Poza ich samochodem na drodze nie było żadnego innego pojazdu. Max obejrzał się do tyłu, aby się zorientować, czy nadąża za nimi eskorta, którą otrzymał od Vincenta Paula. Jechała za nim do domu na plaży, a potem do Pétionville. Teraz nie dostrzegał nikogo.

— Oczywiście, ważne było także to, żebyś się spotkał z Vincentem Paulem. Musiał ci zaufać, otworzyć się przed tobą. Wcześniej ani Beeson, ani Medd nie zdobyli jego zaufania.

— To dlatego ich zabiłeś?

— Żadnego z nich nie zabiłem. Sprawilem, że stali się znakami ostrzegawczymi.

— Uciałeś Meddowi język i zapakowałeś go do beczki. Cholernie dobry znak ostrzegawczy!

— Udławił się i umarł — powiedział Huxley. — Cóż, przyznaję, że to, co zrobiłem, było zabiegiem ekstremalnym, a nawet barbarzyńskim. Jednak mając w perspektywie zdobycie tak wielkiej forsy, nie mogliśmy sobie z Allainem pozwolić na to, żeby na wyspę przyjeżdżali jacyś niedołęzni poszukiwacze. Podzielałem odstraszać. Ludzie dowiadywali się, jaki los spotkał Beesona, i nagle stwierdzali, że mają jakieś ważne i lepiej płatne sprawy na Alasce. Świat detektywów, Max, jest bardzo mały. Wy doskonale się wszyscy znacie.

— Na czym polegały błędy Beesona i Medda?

— Beeson w pewnej chwili znalazł się zbyt blisko starego. Składał raporty bezpośrednio jemu, omijając Allaina. No i kompletnie spieprzył sprawę z Vincentem Paulem. Stał się dla nas całkowicie bezużyteczny — wyjaśnił Huxley. — A Medd... Prawie finiszował, ale nagle wydały mu się podejrzanе wskazówki, które mu podrzucaliśmy. Powiedział Allai-

- 556 -

nowi, że wszystko w tej sprawie jest zbyt łatwe, zbyt oczywiste. Miał nas niemal na widelcu, w każdej chwili mógł nas rozgryźć. Cóż, podjąłem akcję prewencyjną.

— A ten chłopak z Haiti?

— Emmanuel? Emmanuel był leniwym skurwysynem, zbyt zajęty pierdoleniem kobiet, żeby się zabrać za jakąkolwiek poważną pracę. Sam bym mu odciął fiuta, ale ktoś to zrobił przede mną.

— I w końcu trafiłeś na mnie? — zapytał Max.

Droga biegła teraz po bardziej płaskim terenie. Jej nawierzchnia nagle stała się niezwykle gładka i koła samochodu zdawały się wręcz nad nią szybować. Jedyne cichy pomruk silnika przypominał, że auto wciąż jest w ruchu. Na niebie pojawiły się gwiazdy. Błyskały nisko nad ziemią, tak nisko, że aż chciało się po nie sięgać ręką. Huxley przez cały czas był opanowany, spokojny. Nie zapytał, co Max zamierza z nim zrobić. Maksowi przyszło więc do głowy, że może wcale nie jada tam, gdzie znajduje się Charlie Carver, że zmiierzają ku miejscu, w którym Beesona i Medda spotkał

tragiczny los. Jeśli nawet tak było, wiedział, że nie dopuści, aby i z nim stało się coś podobnego. Zabije Huxleya, jeśli będzie miał chociażby cień podejrzenia, że coś jest nie w porządku. Tyle że nie wierzył, iż Huxley się tym teraz przejmował. Całe życie dążył do zemsty za swą siostrę i za siebie. Kiedy tej zemsty dokonał, zapewne nie obchodziło go już, co stanie się później.

— Byłeś tym detektywem, którego właściwie od zawsze pragnąłem przyciągnąć do tej roboty — powiedział Huxley. — Śledziłem twój proces, każdego dnia. Czytałem o tobie. I naprawdę szanuję cię za to, co zrobiłeś. Poczulem, że jesteś po mojej stronie, że jeśli się kiedykolwiek spotkamy, będziesz osobą, która przynajmniej zrozumie, skąd się wzięłem i przez co przeszedłem.

— Ludzie tak samo myślą o swoich ulubionych wykonawcach rockowych — zauważył Max z przekąsem. — Cza-

- 557 -

sami dochodzi do tego, że ich śledzą i w ogóle utrudniają im życie.

— Chyba i ty dostałeś od życia porządnego kopa, co? — Huxley roześmiał się.

— Moje życie to jedna wielka porażka — przyznał Max. — Z którejkolwiek strony by na to spojrzeć. To, co zrobiłem, nie wpłynęło zupełnie na nic, jedynie na mój paskudny los. Nie przywróciło życia ofiarom, nie cofnęło wskazówek zegara, nie wróciło pokrzywdzonym dzieciom niewinności. Nie pomogło ich rodzicom, rodzinom. Przynajmniej w dłuższej perspektywie. Czyli że bilans zamknięcia jest paskudny. Nikt nigdy nie otrząśnie się na dobre po stracie ukochanego dziecka. Łzy cierpiących rodziców zawsze są zabierane do grobu. Cieszę się jednak, gdy mówisz, że moje życie ci pomogło, bo sam sobie, niestety, nie pomogłem ani trochę. Straciłem to, co miałem w życiu najwspanialszego. Moją żonę. Umarła, kiedy siedziałem w więzieniu. Nigdy już jej nie uściskam, nigdy nie dotknę, nie pocałuję, nie będę z nią, nigdy jej nie powiem, jak bardzo ją kocham — a wszystko to wyłącznie z powodu stylu życia, jaki wybrałem. Całe „dobro”, które, jak mi się zdawało, czyniłem, dało w efekcie wynik zerowy. Doprowadziło mnie do więzienia. Jeśli to nie jest porażka, to co nią jest?

Max popatrzył w ciemność przez przednią szybę samochodu.

— No dobrze — odezwał się po chwili. — Jak to się stało, że Gustav pozwolił Allainowi samodzielnie wynająć detektywa? — zapytał.

— Nie było mowy o żadnej samodzielności. Pamiętasz tę pierwszą kolację, na którą zostałeś zaproszony? To był właściwie wywiad Gustava z tobą. Gdybyś mu się nie spodobał, leciałbyś najbliższym samolotem z powrotem do Miami.

— Czy kiedykolwiek to się komuś przytrafiło?

— Nie. Allan i ja wybieraliśmy bardzo uważnie.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Max schował glocka do kabury. Na razie był mu niepotrzebny.

— Opowiedz mi o Eddiem Faustinie — poprosił Huxleya.

— Wykorzystanie go było również moim pomysłem.

— Jak udało ci się go przekreślić? Myślałem, że był absolutnie lojalny wobec starego.

— Każdy ma swoją cenę.

— Jaka była cena Eddiego?

— Miała na imię Francesca. Była jego dziewczyną ze snów erotycznych, przyczyną nocnych zmas. Powiedziałem mu, poprzez jego bokora, madame Leballec, że będzie ją miał, jeżeli tylko nam pomoże. Madame była dobrą przyjaciółką mojej matki — wyjaśnił Huxley.

— Poczekaj chwilę — przerwał mu Max. — Kazałeś pani Leballec powiedzieć Eddiemu, że będzie „miał” Francescę? Czyli że to była kompletna bzdura?

— I tak, i nie. Madame Leballec posiada pewne moce, jednak praktykuje czarną magię, jest czarownicą. Kłamstwa są więc częścią jej standardowego repertuaru — wyjaśnił Huxley. — I ma wielu zwolenników.

— A więc kiedy przyjechaliśmy do niej i „duch” Eddiego kazał nam iść do świątyni...

— ...tam spotkałeś mnie, a ja dałem ci pudełko, w którym znajdował się adres domu Eddiego. W tym domu znalazłeś kasetę wideo.

— Zapłaciłeś jej, żeby nam wskazała tę drogę?

— Tak. A przy okazji, ona wcale nie jest kaleką, a Philippe to jej kochanek, nie syn. No i bardzo cię

proszę, nie pytaj mnie, w jaki sposób przeprowadziła w twojej obecności cały seans, bo naprawdę nie wiem — powiedział Huxley i roześmiał się.

— Cholera jasna! — zaklął Max. — No dobrze, wracajmy do Faustina.

— Eddie był w wielkim kłopotcie. Miał paranoję, przeczucie, że nieuchronnie spadnie na niego kara za wszystkie złe czyny,

- 558 -

- 559 -

jakie popełnił razem z bratem, kiedy byli członkami Macoute. Co miesiąc odwiedzał madame Leballec, żeby przepowiadała mu przyszłość. I tu rozpoczęła się rola dla nas. Allain zapłacił madame Leballec mnóstwo pieniędzy, żeby wygłosiła Fausti-nowi przygotowaną przez nas przepowiednię, że wkrótce miał połączyć się z dziewczyną swoich marzeń i żyć potem długo i szczęśliwie. Powiedziała mu, że zgłosi się do niego pewien mężczyzna, którego nigdy dotąd nie widział, i zaproponuje mu, żeby wykonał tajne zadanie. Powiedziała, że musi je wykonać, jeżeli chce, żeby jego marzenia się spełniły.

— I spotkałeś się z nim?

— Tak. Pewnej nocy przed knajpą, w której czasami pił. Kiedy usłyszał propozycję, ani myślał na nią przystać. Natychmiast popędził do madame Leballec. Spodziewaliśmy się tego i kobieta jeszcze mocniej nad nim popracowała. Wmówiła mu, że Charlie Carver w rzeczywistości jest duchem, który uciekł Baronowi Samediemu i wszedł w ciało chłopca. Należało go jak najszybciej oddać z powrotem wysłannikowi Barona Sa-mediego, czyli mnie.

— Co za brednie!

— Ale Faustin dał się na to złapać.

— Chryste!

— Faustin był po prostu głupi i przesądny.

— Dobrze. Opowiedz mi o samym porwaniu. Sprawy chyba nie potoczyły się zgodnie z planem, co?

— W jakim sensie? — zapytał Huxley.

— Na przykład ten tłum...

— Nie, to było dokładnie zaplanowane. Faustin miał mnóstwo wrogów. Wielu z nich zapłaciliśmy, żeby znaleźli się akurat tam, gdzie się umówiliśmy z Faustinem. Myślał, że po prostu podejść do samochodu i zabiorę dziecko.

— Niania Rose zginęła.

— To Faustin ją zabił, nie my.

— Planowałeś, że Faustin tego nie przeżyje?

560

— Tak.

— Kto zabrał Charliego?

— Ja. Byłem w przebraniu, wśród tłumu, który zaatakował samochód. Wyszarpnąłem chłopca i zaraz z nim zniknąłem.

Przejechali przez małą wioskę z domami krytymi strzechą. Max nie dostrzegł w niej żadnych śladów życia poza małą wynędzniałą kozą. Reflektory samochodu wyłowiły ją z mroku, jak przeżuwała jakieś liche zielsko.

— Kto więc był Panem Klarinetem? Carver czy Codada?

— Obaj. Codada je filmował i porywał na zamówienie. Carver kradł im dusze i sprzedawał ich ciała.

— A ten symbol? Zgięty krzyż z odłamanym ramieniem?

— Nie rozpoznałeś go?

— Nie. — Max potrząsnął głową.

— To motyw z Chłopca z piszczalką Maneta. Pamiętasz ten obraz? Przedstawia młodziutkiego żołnierza z fletem. To była jakby odznaka organizacyjna, po niej się rozpoznawali. Wisiała nawet w klubie, w którym poznałeś Allaina. Posadził cię w taki sposób, żebyś ją zobaczył. Wisiała także w gabinecie Codady, do którego zaprowadził cię Allain. Była również w Arce Noego, przy klasie, w

której uczyła Eloise Królak. W każdym klubie wisi coś takiego. Miało podprogowo przemawiać do wyobraźni — powiedział Huxley i się roześmiał. — Może zadziałało trochę zbyt podprogowo. — Przecież mogłeś wszystko załatwić prościej, na przykład przekazać mi jakąś anonimową informację, kogo powinienem szukać.

— Nie. To nie mogło być aż takie łatwe. Bez wątplenia chciałbyś się dowiedzieć, kto stoi za tą informacją. Wtedy mógłbyś do nas dotrzeć.

— Nie mogłeś po prostu wydać Carverow?

— Tutaj? Pewnie skuteczniejszym zajęciem byłoby szeptanie do ucha zmarłego. Poza tym wiesz, co się stało w Kanadzie. To się nie mogło powtórzyć.

- 561

Znowu przez dłuższy czas jechali w milczeniu. Max starał się nie myśleć o tym, że od początku do końca nim manipulowano, wolał raczej skupić się na pozytywnym wyniku wszystkich wydarzeń — bliskim uwolnieniu Charliego z rąk porywaczy i oddaniu go prawdziwym rodzicom. To było w sumie najważniejsze, tylko to się liczyło. W końcu przybył na Haiti właśnie w tym celu.

Nie miał pojęcia, co zrobić z Huxleyem.

— Co się dzieje z Allainem? — zapytał. — Dokąd poleciał?

— Pytaj mnie, a ja ciebie. Nie powiedział mi. Rozliczyliśmy się i tyle go widziałem. Nie spodziewam się, żeby ktoś kiedykolwiek go odnalazł.

— A więc zarobiłeś na tym wszystkim pieniądze?

— Tak, oczywiście. Nie zamierzam przecież znowu zarabiać na życie, oddając się napalonym pederastom. Już jesteśmy niedaleko...

Max popatrzył na zegarek. Minęła ósma. W oddali dostrzegł światła jakiegoś miasta. Odgadł, że dotarli w pobliże granicy z Dominikaną.

— W przeciwieństwie do ciebie, Max, niczego nie żałuję. Nie mam wyrzutów sumienia. Mogłem być do końca życia biedakiem, nawet nędzarzem, ale to było moje życie. Nie życie, ale właśnie moje. I mojej siostry. Nasze. Oni je nam odebrali. Odebrali je mnie, odebrali tym wszystkim innym dzieciom. Allaina one gównem obchodziły. Był przerażony i zdegustowany tym, co robił jego ojciec, to oczywiste, ale widzisz, patrzył na to jedynie pod kątem tego, jaki to będzie miało wpływ na jego egzystencję. Nikt inny go nie obchodził. Chciał tylko urwać ojcu łeb, naszczać mu na twarz, po czym zwinąć jego forszę. Nigdy nie rozumiałem takiej mentalności, mówię ci szczerze. Powiedziałeś mi, że przegrałeś swoje życie i że jest ci wszystko jedno, co będzie dalej. Nie powinienes tak myśleć, Max. Zabiłeś potwory i ocaliłeś dzieci, które mogłyby się stać ich kolejnymi ofiarami. Uczyniłeś to samo co ja.

Droga zaczęła opadać w dół, coraz bliżej granicy. Po lewej stronie, na szczycie najbliższego wzniesienia, Max dostrzegł światła domu.

— Tam jest Charlie — powiedział Huxley i skręcił w kierunku światła.

67

Carl i Ertha czekali na nich w drzwiach. Ertha, w luźnej brązowej sukience i sandałach, była potężnie zbudowaną Kre-olką w średnim wieku o sympatycznej twarzy, którą trudno było sobie wyobrazić w stanie gniewu czy wzburzenia. Carl ważył najwyżej połowę tego co ona i wyglądał przy niej jak szkielet. Miał nieproporcjonalnie dużą głowę w stosunku do reszty ciała, jakby dynię nabitą na kij, który obwieszono jakimis szmatami. Głowa sprawiała wrażenie jeszcze większej niż była w rzeczywistości z powodu resztek włosów, które na niej rosły — grubych kasztanowych strąków, wyrastających po jej bokach i opadających Carlowi aż na ramiona. Jego twarz — mocno pomarszczona, zniszczona, dziobata, napuchnięta i czerwona, jakby ją ktoś ugotował — była najbardziej klasyczną twarzą pijaka, jaką Max kiedykolwiek widział. Oczy były jednak zaskakująco przenikliwe i jasnoniebieskie. Patrząc w nie, Max odniósł wrażenie, że mężczyzna zupełnie niedawno wypił swoją ostatnią butelkę i do końca życia nie tknie alkoholu.

Kiedy samochód zatrzymał się i Huxley z niego wysiadł, oboje uśmiechnęli się do niego. Ale zaraz zobaczyli Maksa i od razu posmutnieli. W jednej chwili radość powitania została zastąpiona na ich twarzach, oraz w całej ich postawie, zdenerwowaniem i irytacją.

- 562 -

- 563 -

Kiedy Max stanął przed nimi, popatrzyli na niego z pogardą. Wiedzieli, po co — albo po kogo — przyjechał.

Huxley, nie zważając na ich reakcję, szybko wyjaśnił im sytuację. Nie miał najmniejszego zamiaru przedstawiać ich Maksowi.

Carl i Ertha weszli do domu i poprowadzili gości do pokoju z otwartymi drzwiami. Stanęli z boku. Huxley skinął głową i Max wszedł do środka.

Na podłodze siedział Charlie, obecnie chłopiec w wieku pięciu lat. Max najpierw dojrzał jego oczy, dosłownie identyczne jak na fotografiach, tyle że teraz nieco większe i lśniące inteligencją oraz nieufnością. Był ślicznym dzieckiem, małym che-rubinkiem, którego dziecięca niewinność nieco ukrywała się pod figlarną miną, świadczącą o skłonności do psot. Z rysów twarzy bardziej przypominał ojca niż matkę. Max spodziewał się, że chłopiec będzie miał włosy długie przynajmniej do pasa, jednak od czasu, kiedy mu wykonano ostatnią fotografię, Charlie najwyraźniej poddał się nożyczkom i grzebieniowi. Miał krótką, starannie wymodelowaną fryzurę, z przedziałkiem na środku czoła. Ubrany był w niebieskie spodenki, białe skarpetki, lśniące czarne buciki i marynarską koszulkę w czerwone i białe pasy z kotwicą wyhaftowaną na prawej piersi. Wyglądał na zdrowego, zadowolonego i wręcz szczęśliwego. Był zadbany i wszystko świadczyło o tym, że miał doskonałą, czułą opiekę — jak żadne z dzieci, które Max do tej pory odnalazł i uwolnił.

Detektyw przykucnął i przedstawił się Charliemu. Chłopiec podniósł wzrok, speszony, szukając pomocy u Huxleya, który stanął za Maksem. Ten natychmiast przykląkł obok Maksa i powiedział coś do chłopca po francusku — Max usłyszał, jak dwukrotnie wymówił jego imię — po czym zmierzwił włosy Charliego, uniósł go z podłogi i odwrócił twarzą do Maksa. Oczy Charliego załśniły, chłopiec roześmiał się, ale nie wyartykułował żadnego słowa. Nie umiał mówić.

Huxley postawił małego z powrotem na podłodze i ten natychmiast poprawił potarganą czuprynę. Następnie powrócił do zabawy. Kompletnie zignorował Maksa, zachowywał się tak, jakby go w ogóle nie było w tym pokoju.

Huxley wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia, żeby porozmawiać z Carlem i Erthą, którzy dotąd czekali na niego w progu. Objął ich ramionami i starał się, żeby ani słowo z tej rozmowy nie dotarło do uszu Maksa.

Max cofnął się, chcąc na nich popatrzeć. Ertha była odwrócona do niego tyłem, stała zwrócona twarzą do ściany, ku wiszącej na niej czarno-białej fotografii, która przedstawiała księży w sutannach; jednym z nich był Carl, o wiele młodszy niż dzisiaj. Kobieta gryzła własną dłoń, aby powstrzymać płacz.

Carl odciągnął od niej Huxleya i powiedział mu coś do ucha, zerkając jednocześnie na Erthę, która tymczasem oparła się o ścianę.

Huxley wrócił do Maksa i szepnął mu na ucho: — Carl właśnie mi powiedział, że powinniśmy zabrać Charliego od razu, dopóki jeszcze możemy. Jeżeli zostaniemy dłużej, Ertha wpadnie w taki stan, że trudno go będzie jej odebrać.

Huxley wszedł do pokoju i podniósł Charliego tak gwałtownie, że zabawki, które trzymał w dłoni, wypadły na podłogę. Twarz chłopca nagle poczerwieniała. Wynoszony z pokoju, sprawiał wrażenie rozzłoszczonego. Zaczął wydawać z siebie ciche jęki, jakby naśladował ranne zwierzę, które wpadło w sidła i woła o pomoc.

Mijając Erthę i Carla, teraz tulących się do siebie, Charlie zmienił wyraz twarzy. Złość na jego obliczu ustąpiła dezorientacji. Ertha opierała głowę o ramię Carla. Kobieta zarzuciła ręce na jego szyję i wąskie plecy, nie zamierzając oglądać tego, co się działo. Carl także nie patrzył ani na Maksa, ani na Huxleya, lecz tylko głaskał Erthę po włosach. Oboje wydali się Maksowi najsmutniejszą, najbardziej załamaną parą ludzi, jaką kiedykolwiek widział.

- 564 -

- 565 -

Kiedy Huxley wynosił Charliego z domu, chłopiec wyciągnął jeszcze rączki w kierunku Erthy i Carla. Usta chłopca otworzyły się szeroko, a oczy spoglądały na zmianę ku Maksowi, Carlowi i

kobiecie, z przerażeniem i niedowierzaniem. Max nastawił się, że chłopiec, jako dziecko autystyczne, będzie głośno i przeraźliwie krzyczeć, jednak nic takiego nie nastąpiło. Charlie zaczął protestować, głośno i histerycznie, ale tak samo jak każde inne normalne dziecko w podobnej sytuacji.

Wyszli z domu i Max zatrzasnął drzwi. Zaledwie to uczynił, usłyszał, jak Ertha wybucha głośnym szlochem. Świadomy bólu, jaki jej zadał, zaczął pytać samego siebie, dlaczego właściwie zabiera stąd chłopca — z domu o wspaniałej atmosferze i od tych dobrych, kochających go ludzi — i przewozi na przedmieścia metropolii pełnej otwartych rynsztoków, do ojca, który jest baronem narkotykowym.

Otworzył drzwi samochodu i powiedział Huxleyowi, żeby posadził chłopca z tyłu. Ten wykonał polecenie i zamknął samochód.

— Co teraz?

Max wyciągnął rękę. Huxley uściśnął mu dłoń.

— Unikaj głównych dróg — powiedział Max. — Vincent Paul na pewno nie jest daleko.

— Dzięki — odparł Huxley.

— Do widzenia, Shawn... Boris... jakkolwiek masz na imię.

— Uważaj na siebie, Max — powiedział Huxley. Odszedł od samochodu i ruszył przed siebie.

Szybko pochłonęła go ciemność.

Max wsiadł do auta, włączył silnik i, nie obejrzawszy się nawet za siebie, zaczął zjeżdżać ze wzgórza. Dotarł do głównej trasy i ruszył w drogę powrotną. Wiedział, że nie minie wiele czasu, a natknie się na Vincenta Paula.

Oczywiście, nie minęło pięć minut i zobaczył światła konwoju, szybko zbliżającego się z naprzeciwka.

68

Vincent Paul, Francesca i Charlie przyjechali po niego bardzo wczesnym następnego ranka.

Paul prowadził samochód, Max siedział obok niego, a Francesca i Charlie zajmowali miejsca z tyłu.

Rozmawiali o błahych sprawach, skacząc z tematu na temat po to tylko, żeby zabijać ciszę — o pogodzie, o polityce, czy też o modzie albo o okropnych różowych kostiumach Hillary Clinton.

Charlie wszystko to ignorował. Przycisnął czoło do bocznej szyby i przez cały czas wpatrywał się w przesuwany się za nią monotony krajobraz wypalonego łądu. Ubrany był w nowe dżinsy, niebieską koszulkę i tenisówki. Max zauważył, że ma bardzo długie nogi, po ojcu. Zapewne wyrośnie na wysokiego mężczyznę.

Francesca głaskała syna po ramieniu długimi czułymi ruchami. Od czasu do czasu, nie przerywając rozmowy, spoglądała na niego z miłością. Jej twarzy ani na chwilę nie opuszczał uśmiech.

Max miał odlecieć z Haiti samolotem ONZ, prosto do Miami. Dzięki Vincentowi na lotnisku nie czekała go żadna kontrola. Na moment przyszło mu do głowy, że Vincent poprosi go, żeby przemycił dla niego jakieś narkotyki, jednak od razu odrzucił tę myśl. Vincent Paul nie potrzebował przecież mrówek, skoro miał do dyspozycji cały aparat ONZ.

Wjechali na lotnisko boczną bramą, z dala od głównego terminalu, i po chwili znaleźli się na płycie postojowej, doraźnie połatanej świeżym betonem, tuż przy ciemnozielonym wojskowym DC-10.

Przy otwartych drzwiach dla pasażerów stały ruchome schodki. Poza tym lotnisko było puste.

— Będę jedynym ładunkiem? — zapytał Max.

— Nie. Będiesz jedynym pasażerem — poprawił go Paul, wyłączając silnik samochodu. Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu, wpatrując się w samolot.

- 566 -

- 567 -

— Co z Chantale? — zapytał w końcu Max.

— Puściłem ją wolno. Za kilka godzin ona także odleci do Miami.

— A Gustav Carver, Codada i Eloise Królak? Co stało się z nimi?

— A jak myślisz? — Paul odpowiedział pytaniem z obojętnym wyrazem twarzy. — Świat jest tak skonstruowany, że musi panować w nim równowaga, za złe uczynki należy płacić. Wiesz przecież, jak to jest.

Max pokiwał głową. Wiedział.

— Co będziesz robił, kiedy wrócisz do Miami? — zapytał Paul.

— Muszę doprowadzić do równowagi mój własny świat.

— Cóż, Gaspésie uciekł. — Paul popatrzył uważnie na Maksa — No i, oczywiście, Allain Carver także się gdzieś zapodział. Szukasz pracy?

— Nie. — Max potrząsnął przecząco głową. — Widzisz, Vincent, uważam, że powinieneś im odpuścić. Wszystko dla waszej trójki dobrze się skończyło. Odzyskaliście Charliego, całego i zdrowego. Znowu jesteście z Francescą razem. Powinniście być za to wdzięczni całemu światu. Podobne historie w zdecydowanej większości przypadków kończą się zupełnie inaczej.

Paul nie skomentował tych słów. Nadal wpatrywał się w płytę lotniska.

— A co z tobą? — zapytał Max. — Co ty będziesz robił?

— Cóż, muszę w moim życiu zmienić kilka rzeczy. — Paul popatrzył na tylne siedzenie samochodu, na swoją rodzinę, i uśmiechnął się.

— Całe imperium Carverow jest teraz twoje — powiedział Max. — Szkoda, że stary Gustav nie dożył tej chwili.

— Czy ty wierzysz w Boga, Max?

— Tak, chyba tak.

— A zatem mówię ci, że Gustav to wszystko widzi. Doskonale to widzi. Ze swojej klatki w piekle. Obaj się roześmiali. Francescą nie dołączyła do nich. Charlie nadal patrzył przez okno.

Wreszcie wszyscy czworo wysiedli z samochodu.

Niedaleko stały dwa dzipy z ochroniarzami Paula, którzy jechali za nimi aż na lotnisko. Paul podszedł do nich, zostawiając Maksa z Francescą i Charliem.

Max zdał sobie sprawę, że nie rozmawiał z nią od tamtej pamiętnej nocy, kiedy przyszła do niego do domu. Teraz dopiero domyślił się, że to Vincent Paul podrzucił ją do niego, ratując mu wcześniej życie na ulicy.

— A co będzie z tobą? — zapytał ją.

— Ze mną? Nie rozumiem.

— Tak to się skończy? Zostaniesz tutaj?

— A dlaczego nie? Tutaj jest mój dom. Na dobre i na złe. — Roześmiała się i położyła dłonie na ramionach Charliego. Nagle cień wahania przebiegł przez jej twarz. — Powiesz komuś o mnie?

— O to się nie martw — odparł Max.

Popatrzył na Charliego. Także chłopiec spojrzał na niego z zainteresowaniem. Jego wzrok spoczął na policzku Maksa. Detektyw przykucnął, aby jego oczy i oczy chłopca znalazły się na jednym poziomie.

— Do widzenia, Charlie Carverze — powiedział.

— Powiedz Maksowi do widzenia — poprosiła Francescą i pomachała ręką chłopca.

Max uśmiechnął się do niego. Charlie odpowiedział uśmiechem.

— Bądź dzielny. — Max zmierzwił jego włosy. Charlie natychmiast uniósł rączkę i poprawił fryzurę.

Francescą uściskała Maksa i pocałowała go w policzek.

— Dziękuję ci — powiedziała.

Max ruszył do samolotu, przy którym stał Paul, obserwując, jak dwaj jego ludzie wnoszą na pokład po ciężkim żołnierskim worku.

- 568 -

- 569 -

— Czy to jest to, co myślę? — zapytał Max.

— Nie — odparł Paul. — O czymś takim chyba nigdy nawet nie śniłeś. Ale to jest twoje.

— Co to takiego?

— Dwadzieścia milionów dolarów. Dziesięć w imieniu Thodore'ow, za szczęśliwy powrót Claudette, a reszta za odnalezienie Charliego.

Max stanął jak wryty.

— Przyjechałeś tutaj dla pieniędzy. Wróciłeś dla naszego syna. Nie wydrukowano jeszcze dość

pieniędzy, żebym mógł cię za to właściwie wynagrodzić.

— Nie wiem, co powiedzieć...

— Powiedz au revoir.

— Au revoir.

— Au revoir, mon ami.

Dwaj mężczyźni podali sobie ręce.

Paul odwrócił się i podszedł do Franceski i Charliego.

Max zaczął powoli iść po stopniach do samolotu. Kiedy stanął w wejściu, odwrócił się i jeszcze raz pomachał całej trójce. Na koniec skupił wzrok wyłącznie na Charliem i pomachał tylko jemu.

Chłopiec lekko unióś rękę, ale zaraz jakby się rozmyślił i ją opuścił.

Max po raz ostatni popatrzył na Haiti — na niskie góry, nisko zawieszony niebo, wysuszony krajobraz, ubogą roślinność. Życzył temu krajowi dobrze, jak najlepiej. Ale wątpił, czy kiedykolwiek tutaj powróci. Właściwie pragnął, żeby to nigdy nie nastąpiło.

Epilog

W powietrzu sprawdził pieniądze.

Dwadzieścia milionów dolarów w banknotach studolaro-wych.

Nie mógł się temu oprzeć. Musiał na nie popatrzeć.

Wyjął z worka stertę banknotów. Rozerwał otaczający je papierowy pasek i banknoty rozsypały się po podłodze.

Był jeszcze zbyt otumaniony, żeby na to zareagować. Nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy, nawet gdy jako policjant robił naloty na kryjówki handlarzy narkotyków.

Powoli pozbierał banknoty, wsunął kilka setek do portfela, a resztę z powrotem upchnął w worku.

Sprawdził, co znajduje się w drugim.

Tutaj było jeszcze więcej pieniędzy. I biała koperta z jego nazwiskiem. Otworzył ją.

Znalazł fotografię z polaroidu. Z trudem ją rozpoznał, ale po chwili przypomniał sobie moment jej wykonania. To było wtedy, gdy po raz ostatni bawił w „La Coupole”... Błysk flesza...

Na fotografii stał wyprostowany, wpatrując się prosto w obiektyw. W ręce trzymał szklanekę z rumem. Wyglądał na zmęczonego i pijanego. Jedna z dziwek, które go usidliły, tuliła się do jego lewego boku, drugiej jednak nie było widać.

W jej miejscu stał Solomon Boukman, celując w głowę Maksa z rewolweru z szerokim uśmiechem na ustach.

Max odwrócił fotografię.

„DAJESZ MI POWÓD, ŻEBY ŻYĆ” — przeczytał napis wykonany drukowanymi literami, niewątpliwie ręką Boukma-na. Rozpoznał charakter tego pisma, takim samym zapisana była kartka, którą znalazł w więziennej celi.

- 571 -

Serce Maksa zaczęło bić szybciej.

Przypomniał sobie, jak się zdziwił, kiedy wróciwszy tego wieczoru do domu, stwierdził, że jego pistolet jest odbezpieczony. Znowu popatrzył na fotografię. Boukman miał w ręce jego berettę i celował mu prosto w głowę. Mógł wtedy pociągnąć za spust. Dlaczego tego nie zrobił?

„DAJESZ MI POWÓD, ŻEBY ŻYĆ”.

Zimny dreszcz przebiegł przez ciało Maksa. W brzuchu poczuł okropny chłód.

W kopercie znajdował się liścik od Paula.

Max — znaleźliśmy to w willi, w której mieszkałeś. Na poduszce. On nam uciekł. Wówczas ci o tym nie powiedziałem, bo miałeś na głowie ważniejsze sprawy. Szukamy go. Nic się nie martw.

Drugi raz nam nie zwieje. Uważaj na siebie. VP.

„Nie, nie złapiecie go”, pomyślał Max. Nie uda się wam. Powinniście byli go zabić od razu, kiedy mieliście taką możliwość.

Max znowu spojrzął na zdjęcie. Uważnie przyjrzał się twarzy Boukmana. Wiedział już, że kiedyś się z nim spotka. Nie jutro, nawet nie w najbliższej przyszłości, ale gdzieś, kiedyś... To było nieuniknione; niektórych spotkań nie da się uniknąć z założenia. A oni dwaj mieli przecież

nieuregulowane rachunki.

Max wyszedł z budynku portu lotniczego i pomachał na taksówkę. Wrzucił worki do bagażnika i wsiadł do samochodu.

— Dokąd jedziemy? — zapytał taksówkarz.

Max jeszcze się nad tym nie zastanawiał. Właściwie chciał wrócić do „Radissona”, może na jakiś tydzień, aby zebrać myśli, zastanowić się nad przyszłością..

Nagle zmienił zdanie.

— Do domu — powiedział i podał taksówkarzowi adres w Key Biscayne. — Niech mnie pan zawiezie do domu.

PODZIĘKOWANIA

Specjalne podziękowania składam mojemu agentowi, Lesley-owi Thorne'owi, za niewiarygodne oddanie i wsparcie, oraz Beverleyowi Cousinsowi, mojemu inspirującemu wydawcy.

I tym, bez których...

Tato; The Mighty Bromfields: Cecil, Lucy, Gregory, David, Sonia, Colin, Janice, Brian i Lynette; Novlyn, Errol i Dway-ne Thompson; Tim Heath, Suzanne Lovell, Angie Robinson, Ruper Stone, Jan i Vi, Sally i Dick Gallagher, Lloyd Strickland, Pauli i Tiina Toivola, Rick Saba, Christine Stone, Robert i Sonia Philips, Al i Pedro Diaz, Janet Clarke, Tomas Carrut-hers, Chas Cook, Clare Oxborrow, Michael und die Familie Schmidt, Georg und die Familie Bischof, Haarm van Maanen, Bill Pearson, Lindsay Leslie-Miller, Claire Harvey, Emma Riddington, Lisa Godwin, Big T, Max Allen, Alex Walsh, Steve Purdom, Nadine Radford, Simon Baron-Cohen, Marcel-la Edwards, Mike Mastrangelo, Torr, Seamus „The Legend” i Cal de Grammont, Scottish John, Anthony Armstrong Burns z E2, Shahid Iqbal, Abdul Moquith, Khoi Quan-Khio, mon frere Fouad, Whitthards i Wrigley's.

...dziękuję wam!

Autor wyraża także głęboką wdzięczność zarządowi i pracownikom Tres Escritores Que Pierden Dinero, Calle chn w Miami, na Florydzie. Dziękuję. Dobrze być znów w domu

- 572 -

Spis treści

Prolog.....	9/
Część pierwsza.....	13
Część druga.....	91
Część trzecia.....	205
Część czwarta.....	413
Część piąta.....	525
Część szósta.....	537
Epilog.....	571